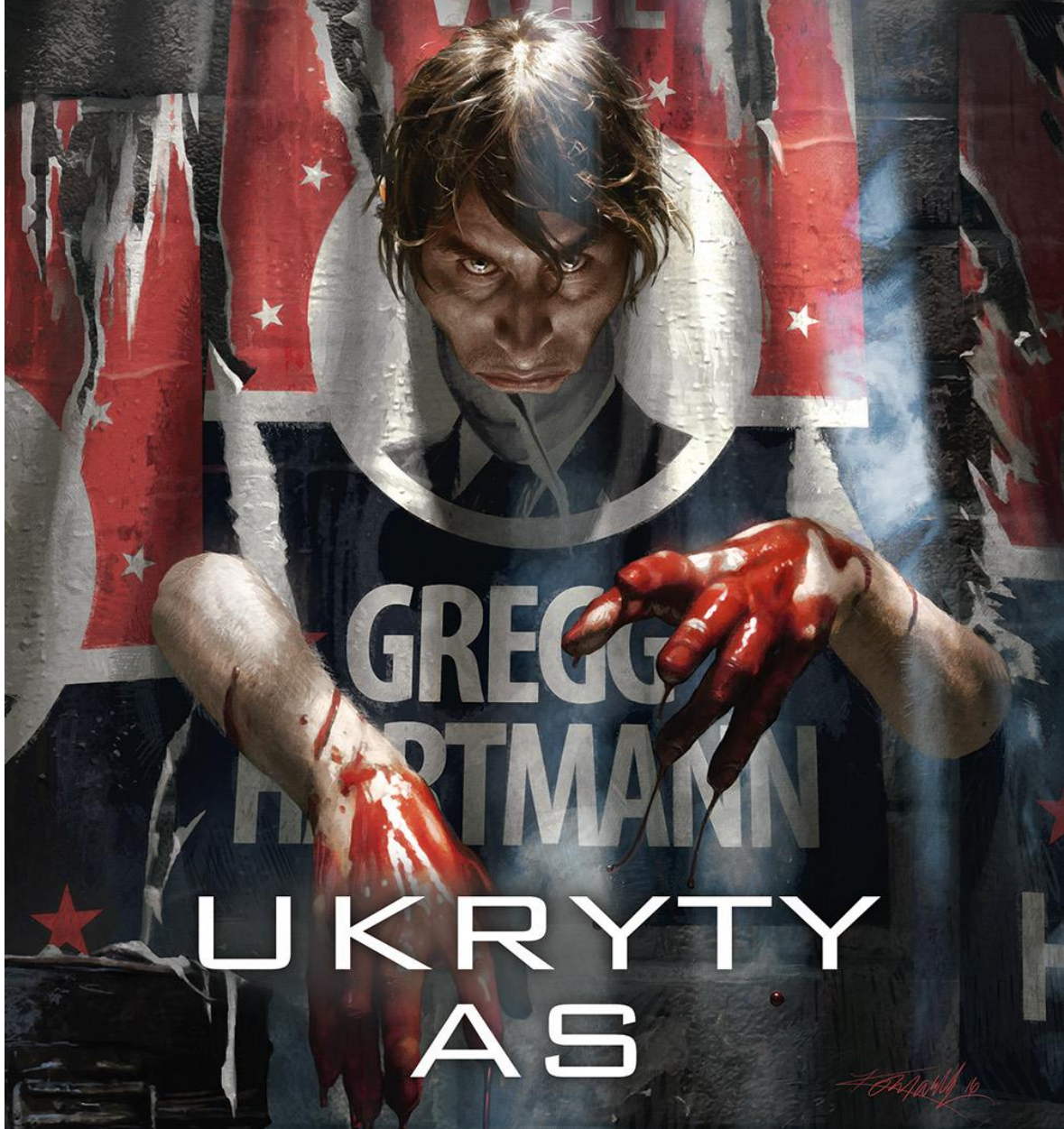


REDAKCJA I WYBÓR

GEORGE R.R. MARTIN



GREGG
PTMANN
UKRYTY
AS

Handwritten signature

Redakcja i wybór

GEORGE R.R. MARTIN

UKRYTY AS

Powieść mozaikowa

Współpraca:

Melinda M. Snodgrass

Autorzy:

Walton Simons

Victor Milán

Melinda M. Snodgrass

Stephen Leigh

Walter Jon Williams

Przełożył

Michał Jakuszczyński

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

George R.R. Martin
Ukryty As [Dzikie karty t.6]

Tytuł oryginału
Id Cards VI: Ace in the Hole

ISBN 978-83-8116-057-5

Copyright © 1989 by George R.R. Martin and the Wild Cards Trust
All rights reserved

Copyright © 2017 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j.,
Poznań

Cover art copyright © Michael Komarck

Redaktor
Robert Cichowlas

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Od redaktora wydania oryginalnego

Rozdział pierwszy Poniedziałek, 18 lipca 1988

Rozdział drugi Wtorek, 19 lipca 1988

Rozdział trzeci Środa, 20 lipca 1988

Rozdział czwarty Czwartek, 21 lipca 1988

Rozdział piąty Piątek, 22 lipca 1988

Rozdział szósty Sobota, 23 lutego 1988

Rozdział siódmy Niedziela, 24 lipca 1988

Rozdział ósmy Poniedziałek, 25 lipca 1988

Lista postaci

Od redaktora wydania oryginalnego

Dziki karty to zbiór utworów opisujących fikcyjną rzeczywistość, której historia rozwija się równolegle do naszej. Nazwiska i postacie pojawiające się na kartach niniejszej książki są fikcyjne lub osadzone w fikcyjnym kontekście. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, miejsc lub postaci jest zupełnie przypadkowe. Eseje, artykuły i inne urywki dzieł cytowanych w niniejszej antologii są całkowicie fikcyjne. Nie było naszym zamiarem opisywanie istniejących twórców albo też sugerowanie, że taka osoba rzeczywiście istniała, publikowała lub przesyłała nam swoje eseje, artykuły lub inne dzieła cytowane w niniejszej antologii.

Rozdział pierwszy

Poniedziałek, 18 lipca 1988

6:00

Spector szarpnął za kłódkę urękawiczoną dłonią. Metal się złamał. Mężczyzna wyciągnął kłódkę i oparł się całym ciężarem o drzwi z blachy falistej, popychając je do góry i na boki. Starał się robić przy tym jak najmniej hałasu. Przecisnął wąskie ciało przez szczelinę i zamknął za sobą drzwi. Jak dotąd wszystko wyglądało tak, jak mu powiedzieli.

Wewnątrz pachniało kurzem i świeżą farbą. Panował tu półmrok. Jedyne źródłem światła była lampa wisząca pod sufitem pośrodku magazynu. Zaczekał chwilę, by oczy mu się przyzwyczaiły. Wszędzie stały skrzynie wypełnione maskami. Klauni, politycy, zwierzęta, a nawet trochę zwyczajnych ludzkich twarzy. Wybrał maskę niedźwiedzia i włożył ją na twarz. Lepiej się zabezpieczyć na wypadek, gdyby ktoś zapalił światła. Plastik uciskał mu nos, a otwory na oczy były dla niego za małe. Nic nie widział po bokach. Ruszył powoli w stronę lampy, kręcąc głową na boki, by się upewnić, czy nikt się nie zbliża.

Przyszedł kilka minut za wcześnie. Doszedł do wniosku, że tak będzie lepiej. Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, by go wytropić i zaaranżować to spotkanie. Albo był zdesperowany, albo to była pułapka. Tak czy inaczej, mogło to oznaczać kłopoty. Szczypały go oczy od kurzu, ale miał maskę na twarzy i nie mógł nic na to poradzić. Odsunął się kilka metrów od światła i czekał. Słyszał tylko stukot ciał uderzających o metalową oprawę lampy.

— Jest pan tutaj? — Głos był stłumiony, ale z pewnością męski. Dobiegał z przeciwnej strony oświetlonego obszaru.

Spector odchrząknął.

— Tak, to ja. Dlaczego nie stanie pan w świetle, żebym mógł pana zobaczyć?

— Nie wiem, kim pan jest, a pan nie wie, kim ja jestem. Lepiej niech tak zostanie.

Nastała chwila ciszy. W mroku zaszeleścił papier.

— W takim razie słucham.

Spector zaczerpnął długi, swobodny oddech. To nie wyglądało na pułapkę. Przewaga leżała po jego stronie.

W oświetlonym obszarze pojawiła się ręka. Nieznajomy był tak niski, że mógłby być dzieckiem, ale kończyła ją gruba i muskularna, a palce krótkie. Spod skórzanej rękawiczki wysuwał się skraj drugiej, gumowej. Facet najwyraźniej był bardzo ostrożny. W dłoni trzymał szarą kopertę.

— Jest w niej wszystko, co musi pan wiedzieć.

— Proszę mi ją rzucić. — Ręka poruszyła się. Koperta wylądowała ciężko na podłodze i przesunęła się do granicy oświetlonego obszaru, wzbijając po drodze w górę kurz i drobiny farby. — Podoba mi się ten dźwięk.

Spector podszedł do koperty. A co tam, niech nieznajomy zobaczy maskę niedźwiedzia. To nie miało znaczenia. W kopercie były starannie ułożone pliki studolarowych banknotów, bilet powrotny do Atlanty na nazwisko George Kerby oraz dwukrotnie złożona kartka. Według obliczeń Spectora znajdowało się tam ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Połowa teraz. Reszta po wykonaniu zadania. — Nieznajomy się przesunął. Głos dobiegał teraz z miejsca bliższego drzwiom. Spector rozłożył kartkę i uniósł ją ku światłu, by ją przeczytać. Westchnął. — Cholera. Nigdy nie proś o coś małego. I to w Atlancie. Ależ będzie zamieszanie. Czemu nie zaczekać, aż wróci do miasta, i dostać zwrot pieniędzy za bilet George'a Kerby'ego?

— Chcę, żeby to załatwiono w przyszłym tygodniu. Jutro nie byłoby za wcześnie. Umowa stoi?

— Jasne. — Zabójca zgiał kopertę i wsadził ją sobie pod koszulę. — Musi pan go diabelnie nienawidzić.

Drzwi się otworzyły i Spector ujrzał przelotnie sylwetkę nieznajomego, nim ten zdążył je zamknąć. Miał może z metr dwadzieścia wzrostu i był zbudowany jak zawodowy futbolista. Karzeł. Nie było ich zbyt wiele, a tylko jeden z nich miał powód, by chcieć załatwić faceta, o którego chodziło.

— Słyszałem, że nie żyjesz, Gimli.

Karzeł nie odpowiedział, ale trudno było tego oczekiwać po kimś, kto ponoć stał wypchany w Sławnym Groszowym Muzeum Dzikiej Karty przy Bowery Street. Jednakże Spector lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, że nawet jeśli kogoś uważano za zmarłego, niekoniecznie musiało to być prawdą.



To był Szcurzy Zaulek, w którym umarli tracili kości. Tam właśnie znajdowali się Szalejący Dżokerzy.

Dla szcurów zapewne było to dobre miejsce.

Ostatni klienci opuszczali już lokal, wychodząc chwiejnie przez drzwi zacinające się niczym krzyk o ceglany mur, pozbawiony wyrazu jak twarz imbecyla. Miały normalną wysokość, ale większość ludzi pochylała głowy, wtulając je w kołnierze wilgotne od potu zrodzonego ze strachu, oczekiwania oraz słodkiej ulgi. Nie unosili ich też, idąc przez kałuże barwy macicy perłowej, wyblakły blask plastikowych opakowań oraz stęchły, miejski odór znużonych protein oraz węglowodanów złożonych, które nieprzyjemnie się starzały.

Obok drzwi przystanąła nieprzyciągającą uwagi postać, garbaty James Dean.

Jego czarny but marki Keds opierał się o mur, a biały zagłębiał się w błocie. Młodzieniec kiwał głową i nucił gardłowo, by zapewnić, że nocna klientela zmierzała we właściwym kierunku. Nie było to trudne. Ci, którzy nadal siedzieli w środku, wychodzili, by zostawić za sobą gumowatą, chichoczącą groźbę Księżycowego Zbira, a gdy już wyszli na dwór, wystarczyło im oddalać się od chłopaka

Po drugiej stronie drzwi stała potężna, kiwająca głową postać. Spod pozbawionej szwów maski klauna płynęły szeptane słowa pożegnania.

— Dziękuję bardzo. Proszę tu jeszcze kiedyś przyjść. Dziękuję. Bardzo mi miło.

Goście co najwyżej kiwali głowami w odpowiedzi.

Na koniec wyszła grupka Pięknych Młodzieńców, starszych nastolatków, którzy jakimś cudem nadal zachowali świeży i czysty wygląd. Kelnerzy z Szalejących Dżokerów byli ostrzyżeni na żołnierzy i nosili kapelusze z opadającymi rondami.

Nieudany James Dean odprowadzał ich wzrokiem. Źrenice mu się rozszerzyły, gdy wlepił spojrzenie w chłopaków, zgrabnych i umięśnionych jak młodociani bohaterowie opowiadań Howarda. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Zresztą to na pewno były pedały. Wszędzie się od nich roило. Nigdy nie wiadomo, kto mógł być jednym z nich. Na tę myśl Mackie poczuł swędzenie w mosznie i w koniuszkach palców. Lubił robić pedalom różne rzeczy. Ale rzadko miał na to okazję. Odźwierny i Szeף ciągle mu powtarzali, by uważał, kiedy używa swych mocy. I przeciwko komu.

Gdy już wszyscy opuścili Szcurzy Zaulek, mężczyzna z twarzą klauna zamknął drzwi. Ich zewnętrzną powierzchnię pokrywała łuszcząca się zielona emalia. Mężczyzna ujął framugę palcami w białych rękawiczkach i oderwał ją od ściany. Pod spodem były cegły. Zwinął drzwi razem z framugą niczym malarskie sztalugi i wsunął je pod pachę.

— Bądź grzeczny, Mackie — rzekł, wyciągając rękę, by pogłaskać chłopaka po zapadniętym policzku, porośniętym delikatnym meszkiem.

Mackie się nie cofnął. Wiedział, że Odźwierny nie jest pedalem. Lubił, kiedy zamaskowany mężczyzna go dotykał. Pragnął aprobaty. Chudemu, nastoletniemu, garbatemu wygnańcowi trudno było ją znaleźć. Zwłaszcza gdy pragnął z nim pogadać Interpol.

— Jasne, Odźwierny — zapewnił, kiwając głową i uśmiechając się półgębkiem. — Wiesz, że zawsze jestem grzeczny.

W jego słowach słyszało się wyraźny północnoniemiecki akcent.

Odźwierny przyglądał mu się jeszcze przez chwilę. Jego oczy były widoczne tylko chwilami. Obecnie były jedynie czarnymi plamami w masce.

Mężczyzna dotknął twarzy Mackiego koniuszkami urękawiczonych

palców. Rozległ się cichy zgrzyt. Potem Odźwierny odwrócił się i odszedł, kołysząc się lekko. Pod pachą niósł zwinięte drzwi.

Mackie oddalił się w przeciwnym kierunku, z uwagą omijając kałuże. Bardzo nie lubił mieć mokrych nóg. Dzisiejszej nocy Szcurzy Zaułek będzie gdzie indziej. Znajdzie go, bez obaw. Usłyszy jego zew, syrenią pieśń Szalejących Dżokerów, podobnie jak reszta tych, których przyciągało to miejsce, ofiary i gapie, których ekscytacja brała się częściowo z wiedzy, że w każdej chwili mogą się zamienić rolami.

Ale nie Mackie. W Szalejących Dżokerach Mackie był nietykalny. Nikt nie ważył się go zaczepiać w nocnym klubie potępieńców.

Wyszedł na Dziewiątą Ulicę i uderzył w niego wiatr od Hudson River, niosący woń dieslowskich spalin. Jego ruchliwa twarz wykrzywiła się w krótkim skurczu nostalgii i wstrętu. Poczul się jak w hamburskim porcie, gdzie się wychowywał.

Schował ręce w kieszeniach i zwrócił się prawym, wyższym barkiem pod wiatr. Musi sprawdzić, czy nie ma dla niego wiadomości w punkcie kontaktowym w noclegowni przy Bowery Street. Szef załatwiał jakąś ważną sprawę w Atlancie. W każdej chwili może go potrzebować, a Mackie Majcher nie mógł znieść myśli, że przegapi chwilę, gdy będzie potrzebny.

Zanucił swoją piosenkę, swoją balladę. Szedł przed siebie, ignorując dźwięk pneumatycznych hamulców autobusu, brzmiący jak pisk dręczonego królika.

7:00

Szaleńcy przyszli wcześniej. Gdy tylko Jack Braun minął kordon policyjny otaczający hotel Atlanta Marriott Marquis, zobaczył setki delegatów. Większość nosiła swobodne stroje, a ich kamizelki oraz śmieszne kapelusze były ozdobione znaczkami z hasłami wyborczymi. Widział też kilka limuzyn wiozących partyjnych bossów oraz jasnoszarego chevroleta impalę. Na jego antenie powiewała flaga ze swastyką, a na przednim siedzeniu siedziało trzech mężczyzn o kamiennych twarzach, odzianych w mundury hitlerowskich szturmowców. Na tylnym z jakiegoś powodu nie było nikogo. Członkowie dwóch dżokerskich gangów wystawiali zniekształcone głowy z poobtłukiwanych volkswagenów mikrobusów, machając rękami do tłumów i śmiejąc się z reakcji przechodniów. Pojazdy były pokryte nalepkami wyborczymi Hartmanna oraz innymi sloganami wyborczymi. Jeden z nich głosił uwolnić gila, drugi zaś czarny pies rządzi.

Jack Braun pomyślał, że Gregg Hartmann nie byłby z tego zadowolony. W oczach opinii publicznej kojarzenia przyszłego prezydenta z dżokerskim terrorystą raczej nie można było uznać za dobrą strategię polityczną.

Jack czuł pot spływający mu po głowie. Nawet o siódmej trzydzieści rano w Atlancie było gorąco i parno.

Pojednanie przy śniadaniu. Za godzinę on i Hiram Worchester mieli zostać dobrymi przyjaciółmi. Zastanawiał się, dlaczego pozwolił, by Gregg Hartmann go do tego namówił.

Do licha z przechadzką — pomyślał ze złością. Przewietrzy sobie głowę w inny sposób. Odwrócił się i ruszył z powrotem do Marriotta.

Poprzednią noc spędził w swym apartamencie w hotelu, upijając się z czterema bezstronnymi superdelegatami z upalnego środkowego zachodu. Charles Devaughn, który kierował kampanią Gregga Hartmanna, zadzwonił do niego z sugestią, że odrobina hollywoodzkiego uroku mogłaby przeciągnąć niezaangażowanych do obozu Gregga. Zrezygnowany Jack świetnie rozumiał, co to miało znaczyć. Zadzwonił do kilku agentów, których znał. Gdy zjawili się superdelegaci, w apartamencie było już pełno burbona, szkockiej oraz autentycznych gwiazdek z Georgii, które zasłynęły z ról w filmach lokalnej produkcji, takich jak *Kobiece roboty przymusowe* czy *Jatka na autorodeo*. Gdy gdzieś o trzeciej nad ranem przyjęcie wreszcie się skończyło i ostatni kongresmen z Missouri wywlókł się na korytarz, obejmując Miss Peachtree z roku osiemdziesiątego czwartego, Jack doszedł do wniosku, że z pewnością zdobył dla Hartmanna parę głosów.

Czasami było to łatwe. Z jakiegoś powodu politycy często tracili panowanie nad sobą w towarzystwie celebrytów, nawet sławnych zdradzieckich asów i zgranych telewizyjnych Tarzanów, takich jak on. Wyblakła hollywoodzka charyzma połączona z łatwym seksem mogła złamać wolę nawet najbardziej doświadczonego politykiera. Rzecz jasna, w połączeniu z niewypowiedzianą groźbą szantażu. Jack wiedział, że Devaughn będzie zachwycony.

W jego głowie bębnił żelazny kocioł. Czekać na czerwonym świetle, Jack pocierał skronie. Dzika karta dała mu wielką siłę i wieczną młodość, ale nie broniła go przed kaczem.

Ale przynajmniej to nie było hollywoodzkie przyjęcie. W takim przypadku musiałby się postarać o kokainę.

Sięgnął do kieszeni bluzy safari od Marksa & Spencera i wyciągnął pierwszego dziś camela bez filtra. Pochylił się, by osłonić zapalniczkę w swych wielkich dłoniach, i ponownie zobaczył jadącą ku niemu impalę ozdobioną flagą ze swastyką. W przedniej szybie widniały profile szturmowców w wojskowych czapkach. Gdy światło zmieniło się na żółte, samochód przyspieszył.

Jack zauważył slogany na błotnikach. biała siła. auslander raus!

Przypomniał sobie, jak kiedyś uniósł wojskowego mercedesa pełnego peronistów i przewrócił go na dach.

Przypomniał sobie, jak krzyczał z gniewu, gdy niemieckie karabiny maszynowe zmieniły rzekę Rapido w białą pianę, jak bolały go ramiona, gdy ciągnął tonący ponton na północny brzeg, gdzie w krzakach było pełno czarnych

hełmów i maskujących kurtek dywizji SS „Das Reich”, wszędzie padały pociski wystrzelone z Monte Cassino, połowa ludzi z jego drużyny zginęła bądź została ranna, ich ciała leżały na dnie pontonu, a krew mieszała się z wodą z rzeki...

Niech diabli wezmą politykę — pomyślał Jack.

Wystarczyłoby, żeby stanął przed impalą. Mógłby się postarać, by impet obalił go pod samochód. Potem wyrwałby z niego silnik i brunatne koszule zostałyby same w centrum Atlanty, otoczone przez bojowych dzokerów, liczną murzyńską ludność miasta oraz szalonych i potencjalnie niebezpiecznych ludzi, których przyciągnęły tu obłęd i chaos towarzyszące konwencji Partii Demokratycznej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku.

Jack odrzucił zapalnik i postawił jedną nogę na jezdni. Impala przyśpieszyła jeszcze bardziej, starając się przejechać na żółtym świetle. Jack odsunął się, gapiąc się na przejeżdżających obok nazistów. Czarna swastyka wypaliła się na jego siatkówce.

Czwórka asów była martwa od prawie czterdziestu lat. Jack nie robił już takich rzeczy.

A szkoda.

8:00

Z radia płynęły głośne dźwięki muzyki U2. Nastolatek wybijał rytm widelcem, pijąc przez słomkę sok pomarańczowy ze szklanki. Krwawoczerwone włosy ostrzygł sobie krótko, pozostawiając tylko meszek na okrągłej czasce, a także długie, cienki warkoczyk opadający na czarną, skórzaną kurtkę. Czarne tenisówki i spodnie od munduru dopełniały obrazu agresywnego punka, ale twarz była stanowczo zbyt młoda i delikatna, by mogła wyglądać naprawdę groźnie.

Kontrast ze stojącym przed telewizorem dziadkiem chłopaka był uderzający. Doktor Tachion mrużył z zainteresowaniem oczy, słuchając Jane Pauley z programu *NBC Today*, prowadzącej panel politycznych ekspertów. Kosmita wsparł skrzypce pod ostrym podbródkiem i pracowicie grał sonatę Paganiniego. Rozumiał być może co trzecie słowo, ale to nie miało znaczenia. Znał już wszystkie hasła. Słyszał je wielokrotnie podczas ciągnącej się miesiącami kampanii, zmierzającej ku temu miejscu. Ku Atlantycie. Jeden czas — lipiec 1988. Jeden człowiek — Gregg Hartmann. Jeden cel — prezydentura Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Tachion spojrział na Blaise'a i uklonił się, wskazując na telewizor.

— To będzie zażarta bitwa.

Takizjanin wyglądał, jakby był gotowy do walki. Wdział bryczesy i buty z cholewami, a wokół wysokiego koronkowego kołnierza koszuli owiązał czarny halsztuk. Oficer Armii Napoleona nie mógłby wyglądać bardziej pstrokato niż ten drobny mężczyzna w błyszczącym, zielonym stroju. Na piersi, zamiast Orderu

Podwiązki, miał plastikowy identyfikator zaświadczający, że jego nosiciel jest przedstawicielem prasy, pracującym dla „Krzyku Dżokerowa”.

Blaise skrzywił się i ugryzł spory kęs croissanta.

— Nudy — skwitował.

— Blaise, masz już trzynaście lat. Wystarczająco wiele, by zapomnieć o dziecinnych błahostkach i zainteresować się szerokim światem. Na Takis opuszczalbyś już pokoje kobiece i przygotowywałbyś się do rozpoczęcia intensywnej edukacji. Brałbyś na siebie odpowiedzialność wobec rodziny.

— Aha, ale nie jesteśmy na Takis, a ja nie jestem dżokerem. Dlatego chuj mnie to obchodzi.

— Co powiedziałaś? — zapytał dziadek chłopaka lodowatym tonem.

— Chuj. No wiesz, chuj. To stare słowo.

— Wulgarność nie przystoi dżentelmenom.

— Ty też tak mówisz.

— Rzadko. I, proszę, rób tak, jak ci mówię, nie tak, jak sam robię. — Tachion zdobył się jednak na zażenowany uśmiezek. — Dziecko, może i nie jesteśmy dżokerami, ale i tak musimy być ostrożni. Jesteśmy jedyni w swoim rodzaju i jeśli Barnett ze swą filozofią ucisku zasiądzie w Białym Domu, zniszczy nas tak samo, jak najbardziej nieszczęsnych mieszkańców Dżokerowa. Chciałby zamknąć nas wszystkich w izolatoriach. — Takizjanin prychnął pogardliwie. — Dlaczego po prostu nie nazwie ich obozami koncentracyjnymi? Jesteśmy tu obcy, Blaise. Urodziłeś się na Ziemi, ale w twoich żyłach płynie moja krew. Władasz moimi mocami i z tego powodu zawsze będziesz inny od powierzchniowców. Naturalna tendencja wszystkich gatunków nakazująca im popierać swoich i zwalczać obcych przez pewien czas pozostawała uszpięta w duchu ludzkości, ale to może się zmienić...

Blaise ziewnął. Tachion zamknął usta, przerywając potok słów. Zmieniał się w nudziarza. Jego wnuk był jeszcze młody, a młodość zawsze wiązała się z nieczułością i optymizmem. W życiu Tacha nie było jednak zbyt wiele miejsca dla optymizmu. Od czasu straszliwej nocy w czerwcu osiemdziesiątego siódmego nosił w swym DNA ciągle mutującego wirusa dzikiej karty. Na razie pozostawał on w stanie uszpięcia, Takizjanin wiedział jednak, że wystarczy chwila silnego stresu, dojmującego bólu, przerażenia czy nawet radości, by obudzić wirusa, a jeśli nie będzie miał na tyle szczęścia, by wyciągnąć Czarną Damę i umrzeć, on również może zostać dżokerem. Trudno było liczyć na to, że znajdzie się w garstce szczęściarzy, którzy stawali się asami.

Ktoś zapukał do drzwi apartamentu. Zaskoczony kosmita uniósł brwi i kazał Blaise'owi otworzyć drzwi. Odłożył skrzypce.

— George!

Podenerwowany Tachion stał w drzwiach salonu, trzymając się futryny, by

nie ujawnić gwałtownego gniewu i strachu, które go wypełniły.

— Co tu robisz? — zapytał cichym, opanowanym głosem.

George Steele, znany też jako Wiktor Demianow albo Gieorgij Władimirowicz Poliakov, odpowiedział na ledwie skrywaną wrogość kosmity obojętnym uniesieniem brwi.

— A gdzie indziej mógłbym być?

Chłopiec wypuścił z uścisku starszego, tęgiego mężczyznę i George pocałował go głośno w oba policzki.

— Pracuję dla „Brighton Beach Observer”. Zlecono mi napisanie relacji.

— Och, Ideale, cholerny rosyjski szpieg w hotelu, w którym aż się roi od agentów Secret Service. W dodatku przebywasz w moim apartamencie! — Tachion złapał się za serce, uspokoił oddech i uświadomił sobie, że Blaise słucha go z uwagą. — Zejdź na dół i... — Wyciągnął portfel. — Kup jakąś gazetę.

— Nie mam ochoty.

— Nie sprzeciwiaj mi się choć ten jeden raz!

— Dlaczego nie mogę zostać?

Płaczliwy ton powrócił.

— Jesteś tylko chłopcem. Nie powinieneś się mieszać w takie sprawy.

— Przed chwilą powiedziałeś, że jestem już prawie dorosły i powinienem się interesować sprawami dorosłych.

— Przodkowie!

Tachion osunął się na kanapę, ściskając głowę w dłoniach.

Poliakov uśmiechnął się półgębkiem.

— Być może twój dziadek ma rację... To naprawdę będzie nudne, mój drogi Blaise. — Położył po przyjacielsku dłoń na ramieniu chłopaka i popchnął go ku drzwiom. — Zajmij się czymś przyjemnym, podczas gdy ja i twój dziadek porozmawiamy o mroczniejszych sprawach.

— Ale nie pakuj się w żadne kłopoty! — zawołał Tachion gdy drzwi zatrzasnęły się za chłopakiem.

Potem posmarował croissanta dżemem, pogapił się na niego przez chwilę i odrzucił go z powrotem na talerz.

— Jak to się dzieje, że radzisz sobie z nim lepiej ode mnie?

— Ty próbujesz go kochać. Nie sądzę, by Blaise dobrze reagował na miłość.

— Nie chcę w to wierzyć. Ale co to za mroczne sprawy, o których musimy porozmawiać?

Poliakov osunął się na krzesło i zatroskany ujął dolną wargę między kciukiem i palcem wskazującym.

— Ta konwencja ma kluczowe znaczenie.

— To nie żart? Nie mówię o konwencji.

— Zamknij się i słuchaj! — Głos odzyskał nagle stalowy ton z dawnych

czasów, gdy Wiktor Demianow znalazł zapijaczonego, załamane Takizjanina w rysztołach Hamburga i nauczył go trudnego rzemiosła współczesnego szpiega. — Chcę, żeby wykonał dla mnie pewne zadanie.

Tachion odsunął się, rozpościerając dłonie.

— Nie. Koniec z zadaniami. I tak już dałem ci więcej, niż powinienem. Wpuściłem cię z powrotem do swojego życia, pozwoliłem ci zbliżyć się do mojego wnuka. Ile jeszcze ode mnie chcesz?

— Bardzo wiele i zasługuję na to. Masz wobec mnie dług, Tancerzu. Przez twoją pomyłkę w Londynie utraciłem swój kraj i dawne życie. Uczyniłeś mnie wygnańcem...

— To kolejna rzecz, która nas ze sobą łączy — zauważył z goryczą Tachion.

— Tak. To i ten chłopak. — Poliakov wskazał na drzwi. — A także przeszłość, której nie sposób wymazać.

Raz jeszcze potarł nerwowo wargę palcami. Zaciekawiony Tachion uniósł głowę, ale stanowczo stłumił pragnienie wniknięcia w warstwy tego skrytego umysłu. Takizjańskie zasady zabraniały gwałcenia prywatności przyjaciela. A po latach, które spędzili razem we wschodnim i zachodnim Berlinie, pozostało wystarczająco wiele przyjaźni, by był winny Rosjaninowi tę uprzejmość. Jednakże kosmita nigdy dotąd nie widział, by Poliakov okazywał tak wielki niepokój. Przypomniał sobie wydarzenia z minionego roku — noc, gdy siedział do późna i pił, gdy Blaise już zasnął; bezkrytyczny entuzjazm, w jakim Poliakov słuchał, kiedy Tach i jego wnuk grali taniec węgierski na fortepian i skrzypce Johanna Brahmsa; chwile, gdy Rosjanin powstrzymywał chłopaka przed użyciem jego straszliwej mocy przeciwko otaczającym ich bezbronnym ludziom.

Tachion przeszedł na drugą stronę pokoju i przykucnął przed Poliakovem, wspierając dłonie na jego kolanie dla zachowania równowagi.

— Choć raz przestań grać enigmatycznego Rosjanina i powiedz mi, czego chcesz. Czego się boisz.

Poliakov nagle złapał Tachiona za prawą dłoń. ból! Kończynę Takizjanina wypełnił ogień, który następnie przebiegł przez całe ciało, doprowadzając krew do wrzenia. Na jego skórze wystąpił pot. Z oczu popłynęły łzy. Tach zważył się na podłogę, wspierając się na łokciach.

— na płonące niebo!

— To bardzo trafny okrzyk — stwierdził Poliakov z pozbawionym wesołości uśmiechem. — Takizjanie mają dar do takich rzeczy.

Tachion potarł chusteczką zwilgotniałą twarz, ale łzy nie przestawały płynąć. Przełknął ślinę, by stłumić łkanie. Rosjanin popatrzył na niego z zamyśloną miną.

— Co ci się stało, do licha?

— Nie mogłeś mi po prostu powiedzieć, że jesteś asem? — zawołał z goryczą Tach.

Poliakow wzruszył ramionami, wstał i wyjął z kieszeni na piersi chusteczkę do nosa. Kosmita zaciskał kurczowo palce na mokrej szmacie, w którą zmieniła się jego chusteczka.

— O co chodzi? Dałem ci tylko lekkie dotknięcie mojego ognia.

— Jestem nosicielem dzikiej karty i nawet to małe dotknięcie mogło uaktywnić wirus.

Tachion poczuł, że obejmują go silne ramiona. Wyszarpnął się z uścisku i wysmarkał mocno nos.

— Mamy dziś dzień wyznawania sekretów, nieprawdaż?

— Od jak dawna?

— Od roku.

— Gdybym wiedział...

— Wiem. Gdybyś wiedział, nie przestraszyłbyś mnie swym małym pokazem tak bardzo, że będzie mnie to kosztowało tysiąc lat życia. — Jego ubranie cuchnęło potem i strachem. Tachion zaczął się rozbierać. — Teraz wiem, dlaczego tak bardzo interesujesz się tą konwencją.

— Nie chodzi tylko o moją dziką kartę — mruknął Poliakow. — Jestem Rosjaninem.

— Tak — odparł Tach, oglądając się przez ramię po drodze do łazienki. Szum wody zagłuszył słowa tamtego. — słucham?

Poliakow poszedł za nim, narzekając po nosom. Zza zasłony kabiny Takizjanin usłyszał brzęk metalu o szkło.

— Co pijesz?

— A jak ci się zdaje?

— Nalej mi też.

— Jest ósma rano.

— W takim razie obaj wylądujemy w piekle pijani. — Tach pochylił się, wziął w rękę kieliszek i wypił wódkę, pozwalając, by woda spływała mu po plecach. — Za dużo pijesz — stwierdził.

— Obaj za dużo pijemy.

— To prawda.

— Na tej konwencji jest as.

— Jest tu od cholery i trochę asów.

— Ukryty as.

— Jasne. Siedzi u mnie w toalecie. — Tachion wysunął głowę zza zasłony. — Jak długo to potrwa? Nie możesz być odrobinę mniej ostrożny i zaufać mi choć w niewielkim stopniu?

Poliakow westchnął ciężko i wpatrzył się w swoje dłonie, jakby liczył włosy na grzbietach swych palców.

— Hartmann jest asem.

Tach wystawił głowę zza zasłony kabiny prysznicowej.

— Nonsens.

— Zapewniam, że to prawda.

— Masz dowody?

— Podejrzenia.

— To nie wystarczy. — Takizjanin zakręcił wodę i wystawił rękę zza zasłony. — Podaj mi ręcznik.

Poliakow rzucił mu go.

Kosmita wyszedł z kabiny i przyjrzał się sobie w lustrze, wycierając ręcznikiem rude, opadające do ramion włosy. Przyjrzał się bliznom na lewym ramieniu i dłoni, gdzie lekarze złożyli kości pogruchotane podczas ratowania Anielskiej Buzi. Pomarszczona blizna na udzie była pamiątką po kuli terrorysty z Paryża, a ta długa, na prawym bicepsie, pozostałością po pojedynku z kuzynem.

— Życie pozostawia w nas wiele śladów, czyż nie tak?

— Ile właściwie masz lat? — zapytał z zainteresowaniem Rosjanin.

— Uwzględniając obrót Ziemi wokół Słońca, osiemdziesiąt dziewięć, może dziewięćdziesiąt. W przybliżeniu.

— Kiedy cię poznałem, byłem młody.

— Tak.

— A teraz jestem stary, gruby i śmiertelnie przerażony. Z łatwością mógłbyś ustalić, czy mój strach ma realne podstawy, czy po prostu ulegam złudzeniom. Sprawdź Hartmanna, przeczytaj jego myśli, a potem podejmij odpowiednie kroki.

— Gregg Hartmann to mój przyjaciel. Nie czytam myśli przyjaciół. Nawet twoich nie czytam.

— Masz moje pozwolenie, jeśli to pomoże cię przekonać.

— Ideale, musisz naprawdę być przerażony.

— Masz rację. Hartmann jest... zły.

— To dziwne słowo w ustach wyznawcy materializmu dialektycznego.

— Ale odpowiednie.

Tachion potrząsnął głową, poszedł do sypialni i pogrzebał w szufladzie w poszukiwaniu świeżej bielizny. Czuł, że George stoi tuż za nim. Irytowała go bliskość tęgiego mężczyzny.

— Nie wierzę ci.

— Nie chcesz mi uwierzyć. To coś zupełnie innego. Ile wiesz o wczesnym okresie życia Hartmanna? W swej wędrówce przez świat zostawił za sobą trop tajemniczych śmierci i złamanych ludzi. Jego trener futbolu z liceum, współlokator z akademika...

— Miał pecha i często znajdował się w pobliżu tragicznych wydarzeń. To jeszcze nie znaczy, że jest asem. A może uważasz go za winnego tylko na podstawie skojarzenia?

— A co powiesz o polityku, którego dwa razy uprowadzono, ale w obu przypadkach udało mu się uciec w tajemniczych okolicznościach?

— Co w nich było tajemniczego? W Syrii Kahina zwróciła się przeciwko bratu i zaatakowała go. Nastąpił chaos, który umożliwił nam ucieczkę. W Niemczech...

— Współpracowałem z Kahiną.

— Co?!

— Po przybyciu do Ameryki. Gimli też. Biedny głupiec. Przyjechała do Ameryki, by zdemaskować Gregga Hartmanna.

— To ty tak mówisz.

— Tachion, nie okłamuję cię.

— Po prostu mówisz mi tylko tyle, ile ci odpowiada.

— Gimli go podejrzewał, a teraz nie żyje.

— To znaczy, że Gregg jest odpowiedzialny nawet za Tyfusowego Croyda? Gimlego zabił wirus, nie senator Hartmann.

— A Kahina?

— Pokaż mi ciało. Pokaż mi dowód.

— A co z Niemcami?

— A co ma być?

— Tą operacją kierował jeden z najlepszych agentów GRU. A mimo to uciekł jak nowicjusz. Ktoś nim manipulował. Daję słowo!

— Dajesz słowo! Dajesz słowo? Nie powiedziałeś mi nic oprócz obelg i insynuacji. Nic, na czym można by oprzeć te fantastyczne oskarżenia.

— Ile by cię kosztowało poddanie go próbie? Przeczytaj jego myśli i udowodnij mi, że się mylę.

Tachion zacisnął uparcie usta.

— Boisz się. Boisz się, że to, co ci mówię, jest prawdą. To nie jest takizjański honor i powściągliwość. To tchórzostwo.

— Bardzo niewielu ludzi mogłoby powiedzieć mi coś takiego i ujść z życiem. — Tachion włożył koszulę, nie przestając mówić sztywnym tonem wykładowcy. — Jako as z pewnością uwzględniłeś panujący klimat polityczny. Wyobraźmy sobie na moment, że masz rację i Gregg Hartmann rzeczywiście jest sekretnym asem. Co wtedy? Nie ma nic podejrzanego w tym, że człowiek mający ambicje polityczne ukrywa fakt, że jest dziką kartą. To nie jest Francja, gdzie bycie asem jest szczytem mody. Lepiej, że zachował w tajemnicy to, co i tak ukrywał przez całe życie.

— To zabójca, Tachion. Wiem o tym. Dlatego się ukrywa.

— Psy gończe się zbierają, George. Depczą nam po piętach. Wkrótce zapragną posmakować krwi. Gregg Hartmann to dla nas jedyna nadzieja powstrzymania nienawiści. Jeśli oczernimy Hartmanna, otworzymy drogę przed

Barnettem i jego szaleńcami. Tobie nic nie zagrozi. Możesz się ukryć za tą swoją pozbawioną wyrazu twarzą. Ale co z moimi przybranymi, bękarcimi dziećmi, które czekają w parku? Ich deformacje są widoczne dla wszystkich. Co im powiem? Że człowiek, który bronił ich od dwudziestu lat, jest zły i trzeba go zniszczyć, ponieważ może być asem i ukrywać ten fakt?

Tachion otworzył szeroko oczy. Przyszła mu do głowy nowa możliwość.

— Mój Boże, niewykluczone, że właśnie dlatego cię tu przysłano. Żeby zniszczyć kandydata, którego boi się Kreml. Gdyby Hartmann został prezydentem...

— Co to znowu za bzdury? Zacząłeś czytać sensacyjne powieści szpiegowskie? Musiałem ratować się ucieczką. Nawet na Kremlu myślą, że nie żyję.

— Jak mógłbym ci uwierzyć? Dlaczego miałbym ci zaufać?

— Musisz sam sobie odpowiedzieć na te pytania. Nic, co mógłbym powiedzieć lub zrobić, nie zdoła cię przekonać. Powiem tylko jedno. Mam nadzieję, że wydarzenia ostatniego roku udowodniły przynajmniej tyle, że nie jestem twoim wrogiem.

Poliakow podszedł do drzwi.

— I to wszystko? — zapytał Tachion.

— Dalsza rozmowa do niczego by nie prowadziła.

— Przyszedłeś tu i spokojnie oznajmiłeś, że Gregg Hartmann to as zabójca, a teraz sobie idziesz?

— Dałem ci wszystko, co mam. Reszta należy do ciebie, Tancerzu. — Przez chwilę wyraźnie walczył ze sobą. — Ale jeśli nie podejmiesz koniecznych kroków, bądź pewien, że ja to zrobię.



Po przejściu na drugą stronę ulicy Jack uświadomił sobie, że nie musi dłużej się narażać na lipcowy upał. Mógł dotrzeć do Marriotta przez Peachtree Mall. Klimatyzacja przyniosła mu ulgę. Wjechał schodami ruchomymi na najwyższe piętro i stanął twarzą w twarz z członkami grupy Charyzmatyczni Katolicy dla Barnetta. Wszyscy chodzili wkoło, odmawiając modlitwy różańcowe. W rękach trzymali transparenty z hasłami oraz portretami swego kandydata. Jedno z haseł głosiło: powstrzymać przemoc dzikich kart. To był obowiązujący w tym tygodniu eufemizm oznaczający „Zamknąć dzikie karty w obozach koncentracyjnych”.

To dziwne — pomyślał Jack. Barnett głosi, że Kościół katolicki to narzędzie szatana, a mimo to katolicy modlą się za niego.

Przeszedł obok nich. Pot stygł na jego czole. Dwóch czarnych chłopaków obwieszonych znaczkami z Jesse Jacksonem przerzucało się dużymi styropianowymi samolocikami. Delegaci w śmiesznych kapeluszach tłoczyli się

w restauracjach. Nadeszła pora śniadania.

Jeden z samolocików pomknął w stronę Jacka, obniżając szybko lot. Mężczyzna uśmiechnął się i złapał go nad podłogą. Uniósł rękę, by rzucić go z powrotem właścicielowi, ale zatrzymał się nagle, spoglądając z zaskoczeniem na samolocik.

Nadano mu kształt Sokolicy, o rozpiętości skrzydeł prawie sześćdziesięciu centymetrów. Sławny biust, na który Jack nieraz z radością się gapił na pokładzie „Ułożonej Tali”, oddano z najdrobniejszymi szczegółami. Tylko struktura ogona nie miała anatomicznego charakteru, zapewne z uwagi na wymogi aerodynamiki. Na ogonie napisano małymi literkami: „samolociki latający asowie”. Zbierz wszystkie”.

Jack zastanawiał się, czy Sokolica dostaje za to jakieś tantiemy. Chłopcy zatrzymali się może z piętnaście metrów od niego, czekając na samolocik. Jack uniósł rękę i rzucił, tym samym ruchem, jakiego używał przed laty, grając w futbol. Dodał też odrobinę swej mocy. Z jego ciała spłynęła delikatna złota aura. Samolocik przemknął po prostej linii przez całą galerię, brzęcząc niczym lecący owad.

Dzieciaki spojrzały na samolocik, następnie na Jacka, a później znowu na samolocik. Wreszcie pobiegły za swoją Sokolicą.

Ludzie gapili się na niego. Jack poczuł przypływ szaleńczego optymizmu. Może powrót do publicznej działalności nie będzie aż taki zły. Roześmiał się i ponownie popędził przez galerię.

Po drodze spotkał sprzedawcę samolocików. Na stoliku przed nim leżały przykładowe egzemplarze. Jack poznał Skaczącego Ognika oraz JB1 Śmiga. Był tam też przypominający frisbee obiekt zapewne mający być Żółwiem.

Pokazał swój identyfikator oraz klucz do pokoju policjantom otaczającym kordonem Marriotta, a następnie wszedł do wielkiego atrium w kształcie zwężki. W Marriocie mieściła się kwatera główna Hartmanna. Niemal wszyscy widoczni tu ludzie nosili jego barwy. Latający Asowie, rzucający z balkonów kreślili śmiałe pętle nad ich głowami. W jakimś niewidocznym miejscu ktoś grał na organach Hammonda.

Jack podszedł do biurka w celu sprawdzenia, czy nikt nie zostawił dla niego wiadomości. Charles Devaughn chciał, żeby Jack do niego zadzwonił. Jedną z gwiazdek z Georgii też. *Która to była Bobbie?* — próbował sobie przypomnieć. Ta cycata ruda? A może blondynka z robót przymusowych, która przez połowę przyjęcia chwaliła się swymi drogimi implantami zębów i demonstrowała ćwiczenia zapobiegające cellulitowi?

Dopóki konwencja się nie skończy, i tak raczej nie będzie miał czasu na życie osobiste.

Włożył kartki z wiadomościami do kieszeni i odwrócił się od biurka.

Kolejny Latający As wylądował tuż pod jego nogami. Schylił się odruchowo, by go podnieść, i zobaczył wymodelowaną białą apaszkę, pilotkę oraz skórzaną kurtkę.

Przez długi czas gapił się na zwisający z jego dłoni samolocik. *Cześć, Earl* — pomyślał.

Przez chwilę naprawdę wierzył, że wszystko będzie w porządku. Udało mu się zawrzeć rozejm z Tachionem, a może Gregg Hartmann zdoła przekonać nieprzejednanych, takich jak Hiram Worchester. Może cała reszta zapomniała o Czwórcie Asów, HUAC i zdradzie Jacka. Może będzie mógł wrócić do działalności publicznej, zrobić coś pożytecznego i nie spieprzyć sprawy. Może wreszcie przestaną go dręczyć duchy przeszłości.

Daj sobie z tym spokój, chłopaku z farmy. To dziwne, że po tylu latach nadal dokładnie wiedział, co powiedziała by Earl Johnson. Wyprostował się maksymalnie i rozejrzał się nad głowami tłumu, zastanawiając się, czy ktoś specjalnie się postarał, by samolocik spadł tam, gdzie spadł, by uświadomić asowi judaszowi, że nie wszyscy zapomnieli o jego uczynkach. Bóg wiedział, że Jack musiał wyglądać śmiesznie, gdy tak się pochylał nad samolocikiem, na jego twarzy malowały się wyrzuty sumienia, a z dłoni zwisała podobizna dawnego przyjaciela i ofiary.

Żegnaj, Earl — pomyślał. *A teraz uważaj na siebie.*

Uniósł rękę nad głowę i rzucił. Samolocik pomknął w górę, nie przestając się wznosić, aż zniknął mu z oczu.



Gregg czuł głód.

Nie miał on nic wspólnego z polityką ani ze świadomością, że pod koniec tygodnia może otrzymać nominację prezydencką Partii Demokratycznej. Zjeżdżał windą w Marriotcie, zmierzając na śniadanie z Jackiem Braunem i Hiramem Worchesterem. Głód palił jego wnętrze niczym płonący fosfor. Tego pulsującego ognia z pewnością nie ugasi kilka croissantów i kawa.

To był głód Lalkarza i żądał bólu. Przynajmniej część wewnętrznej walki z pewnością odbiła się na twarzy senatora, bo jego asystentka, Amy Sorenson, pochyliła się ku niemu i dotknęła niepewnie jego ramienia.

— Panie senatorze...?

Odziany w nieskazitelnie biały uniform Carnifexa Billy Ray, przydzielony Hartmannowi na czas konwencji jako osobisty strażnik, obejrzał się za siebie, stojąc przy drzwiach windy. Gregg zmusił się do ziewnięcia i profesjonalnego uśmiechu.

— To tylko zmęczenie, Amy. Nic więcej. To była długa kampania, a, na Boga, ten tydzień będzie jeszcze dłuższy. Kilka kubków kawy i poczuję się lepiej. Będę mógł stawić czoło hordom.

Amy wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Billy Ray ponownie skierował uwagę

na drzwi, ignorując widok ogromnego, surrealistycznego holu hotelu Marriott Marquis.

— Ellen nie miała kłopotów, prawda?

— Nie miała — zapewnił Gregg, spoglądając na coraz bliższą podłogę holu. Duży, styropianowy samolocik przeleciał obok nich po szerokim łuku, zmierzając ku zatłoczonej restauracji na dole. Gdy winda minęła latający obiekt, Gregg zauważył, że nadano mu kształt kobiety z ptasimi skrzydłami, z twarzy podejrzanie przypominającej Sokolicę. Gdy już dostrzegł pierwszy samolocik, zorientował się, że w przestrzeni nad holem wykonuje akrobatyczne manewry kilka podobnych. — Od pierwszego trymestru nie miała nudności. Oboje czujemy się dobrze. Po prostu jesteśmy zmęczeni.

— Nie powiedział mi pan, czy chcecie chłopca, czy dziewczynkę.

— Nieważne. Byle tylko było zdrowe.

Numery pięter zmniejszały się z każdą chwilą. Greggowi zatrzęszczało w uszach z powodu zmiany ciśnienia. Ukryty w nim Lalkarz warknął ze złością. *Nie czujesz się dobrze. Kilka kubków kawy. Jego cień promieniował niesmakiem. Wiesz, jak długo czekałem? Wiesz, ile czasu minęło?*

Siedź cicho. W tej chwili nie możemy nic na to poradzić.

Lepiej, żeby to nie potrwało zbyt długo. Słyszysz, Greggie?

Gregg zapędził moc z powrotem do jej mentalnej klatki. Ten wysiłek sporo go kosztował. Lalkarz stawiał opór. Jego drażniący gniew był nieustannie wyczuwalny. Potrząsał prętami klatki.

Ostatnio ciągle nimi potrząsał.

Ten problem pojawił się dopiero przed kilkoma miesiącami. Z początku zdarzało się to rzadko i Gregg myślał, że to jakaś dziwna anomalia, być może efekt znużenia długą kampanią. Ale takie incydenty przytrafiały się coraz częściej.

Gdy tylko Lalkarz próbował się nasycić mrocznymi, gwałtownymi emocjami, między nim a jego ofiarami pojawiała się mentalna ściana. Jakaś zewnętrzna siła odpychała go, zmuszała do odwrotu. Lalkarz wył wściekle, gdy pękał łańcuch łączący go z lalką.

Gregg modlił się o to, by problem zniknął, lecz on nie przestawał narastać. W dwóch ostatnich tygodniach blokada pojawiała się za każdym razem, gdy Lalkarz próbował zaspokajać swój głód. Niedawno senator zaczął też wyczuwać drwiący śmiech towarzyszący ingerencji, słaby szept na granicy słyszalności.

Moc mieszkająca w jego wnętrzu stawała się zdesperowana i niepowstrzymana. Gregg obawiał się, że wewnętrzna walka zaczyna być dostrzegalna.

Daj mi trochę czasu, a pokażę ci, kto jest prawdziwą lalką. Dobitnie ci zademonstruję, który z nas ma władzę.

Moc wyrwała się na moment spod kontroli senatora, rzucając mu wyzwanie.

Gregg uciszył ją wysiłkiem woli, ale nie przestawała wrzeszczeć, gdy po raz kolejny otaczał ją mentalnymi kratami. Lalkarz pluł i bełkotał. *To ty jesteś jebaną lalką, słyszysz? Będziesz przede mną pełzał! Jasne? Potrzebujesz tego tak samo jak ja. Jeśli zginę, umrzesz razem ze mną. Beze mnie nie masz nic.*

Gregg spocił się z wysiłku, ale zwyciężył. Zamknął oczy i oparł się o ścianę windy, która zatrzymała się z nagłym szarpnięciem na parterze. Lalkarz pograżył się w ponurym milczeniu. Amy przyglądała się z troską senatorowi.

Drzwi się otworzyły. Uderzyły w nich chłód i hałas wypełniające hol. Większość tłoczących się tam ludzi nosiła znaczki i kapelusze Hartmanna. Niektórzy z nich go zauważyli. Rozległy się krzyki. Tłum popędził w jego stronę, ale czekający w pogotowiu ludzie z Secret Service wprawnie przecięli drogę zwolennikom senatora. Gregg uśmiechnął się i pomachał ręką.

— Hartmann! Hartmann! — zaczęli skandować. Cały hol powtórzył echem ich okrzyk.

— Ale cyrk, co? — odezwała się Amy, potrząsając głową.

Ray poprowadził Gregga w stronę prywatnego pokoju, gdzie miał się spotkać z Hiramem i Braunem, a następnie zajął pozycję pod drzwiami. Senator wszedł do środka. Klimatyzacja była tu bardziej uciążliwa niż w holu. Zadrżał i potarł ramiona. Obecny był tylko Jack, Złoty Chłopiec — wysoki, przystojny mężczyzna, sprawiający wrażenie, jakby nie postarzał się nawet o jeden dzień od najlepszych dni Czwórki Asów. Nadal wyglądał jak gwiazdor filmowy, którym kiedyś był. Wstał, by przywitać Gregga. Sprawiał wrażenie przybitego. Senatora to bynajmniej nie dziwiło. Nie liczył na to, że Braun ucieszy się z propozycji pojednania. Szczerze mówiąc, guzik go to obchodziło. Zmusi ich do zakopania topora wojennego, przynajmniej na użytek publiczności.

— Senatorze. Amy — odezwał się Braun, nieco zbyt długo zatrzymując spojrzenie na asystentce Hartmanna. To również raczej nie zaskoczyło Gregga. Wiedział o ich romansie. Lalkarz znał bardzo wiele tajemnic. — Dzień dobry. Jak się czuje Ellen?

— Z każdym dniem robi się coraz większa — odparł Gregg. — I czuje się bardzo zmęczona. Jak my wszyscy.

— Wiem, co masz na myśli. Czujesz się gotowy rozpocząć walkę?

— Myślałem, że już ją rozpoczęliśmy, Jack — zauważył Gregg. Jego ponury, pełen irytacji głos ostro kontrastował z serdecznym tonem Brauna. Zmusił się do uśmiechu.

Złoty Chłopiec popatrzył na niego dziwnie, a po chwili roześmiał się.

— Pewnie masz rację. Wiesz, jacy są Kalifornijczycy. Nawet lekki jet lag wydaje się nam uciążliwy. Większą część nocy zajęło mi spotkanie z niezobowiązwanymi superdelegatami. Myślę, że doszliśmy do porozumienia. Hej, czy nie mówiłeś, że Worcester tu przyjdzie?

— Nie widziałeś go dziś rano? — zapytał Gregg, marszcząc z irytacją brwi.

— Jeszcze nie. To niepodobne do niego, by opuścił posiłek, choć zapewne przywiózł ze sobą własny, bo słyszałem, że nawet Bello Mondo nie spełnia jego standardów. — Braun skrzywił się i wzruszył ramionami. — Hej, wiem, że zaprosiłeś nas na to śniadanie, bo chcesz, żebyśmy się pogodzili. Doceniam tę próbę. Sam bym tego pragnął. Ale może Hiram nie jest tak skłonny do wybaczenia, jak ci się zdawało.

— Nie wierzę w to, Jack.

Złoty Chłopiec uśmiechnął się półgębkiem. W tym grymasie było wiele goryczki.

— Tobie nigdy nie podał talerza z trzydziestoma srebrnikami.

— Amy... — zaczął Gregg.

— Już się robi, panie senatorze — odezwała się jego asystentka. — Znajdę go albo umrę z głodu podczas poszukiwań. Niech pan zostawi dla mnie bułkę, zgoda?

Gdy wyszła z pomieszczenia, senator spojrzął na Brauna.

— W porządku, w takim razie zjedźmy śniadanie. Jak Hiram przyjdzie, to będzie.

Te słowa zabrzmiały ostrzej, niżby tego pragnął. Nie był w nastroju na gierki. Lalkarz nieustannie szarpał się w swojej klatce. Braun znowu spojrzął na niego osobiście, ale nim as zdążył cokolwiek powiedzieć, Gregg potrząsnął głową i zbył ból machnięciem ręki. — Boże, to zabrzmiało okropnie. Przepraszam, Jack. Nie jestem dziś sobą. Pokaż mi, gdzie znajduje dzbanek z kawą, dobra?



To dziwne — pomyślał Braun. Nigdy dotąd nie czuł się nieswojo w towarzystwie Hartmanna. Teraz jednak, gdy spotkał się z człowiekiem, który był jego kandydatem na prezydenta, człowiekiem, który namówił go, by wyszedł z odosobnienia i przyłączył się do jego krucjaty, przekonał się, że coś jest nie w porządku.

Jestem zmęczony — pomyślał. *Gregg również. Nikt nie może być charyzmatyczny przez cały czas.*

Nalał sobie kawy. Filiżanka zagrzechotała na spodku. Może to był kac, a może nerwy. Jack nie przyszedłby na to spotkanie, gdyby nie to, że Gregg osobiście go zaprosił.

— Widziałem na ulicy samochód pełen nazistów — poinformował Hartmanna. — W mundurach.

— Klan też tu jest. — Senator potrząsnął głową. — Istnieje możliwość poważnej konfrontacji. Prawicowe świry lubią takie rzeczy. To przyciąga uwagę.

— Całe szczęście, że i Żółw tu się zjawił.

— Tak. — Hartmann spojrział na niego. — Nigdy go nie spotkałeś, prawda?
Jack uniósł rękę.

— Proszę. — Uśmiechnął się, by zamaskować nerwowość. — Ograniczmy się do jednego pojednania dziennie, zgoda?

Hartmann zmarszczył brwi.

— Czy są między wami jakieś problemy?

Jack wzruszył ramionami.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Po prostu... przyjąłem założenie, że będą.

Senator podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu. W jego oczach widniała troska.

— Zbyt wiele bierzesz na siebie, Jack. Uważasz, że wszyscy mają ci za złe twoją przeszłość, a to po prostu nieprawda. Musisz się odsłonić, pozwolić, by ludzie cię poznali.

As spojrział na kawę wirującą w jego filiżance i pomyślał o Earlu Sandersonie, który spadając, rozbił się u jego stóp.

— Zgoda, Gregg. Spróbuję.

— Jesteś ważny dla tej kampanii, Jack. Przewodniczysz delegatom z Kalifornii. Nie wybrałbym ciebie, gdybyś nie był odpowiedni do tego zadania.

— Może cię z tego powodu spotkać parę nieprzyjemności. Ostrzegałem cię.

— Jesteś ważny, Jack. Symbolizujesz coś złego, co wydarzyło się dawno temu, coś, czego powtórce próbujemy zapobiec. Reszta Czwórki Asów była ofiarami, ale ty również. Zapłacili za to więzieniem, wygnaniem albo życiem, ale ty... — Hartmann uśmiechnął się chłopięco, niemalże przepraszająco. — Być może zapłaciłeś utratą szacunku dla siebie. Któż potrafiłby stwierdzić, czy na dłuższą metę to nie jest gorsze? Ich cierpienia się skończyły, lecz twoje wciąż trwają. Myślę, że to wyrównało się już dawno i wszyscy wycierpieli zbyt wiele. — Ucisnął ramię Jacka. — Potrzebujemy cię. Jesteś dla nas ważny. Cieszę się, że jesteś z nami.

Jack zapatrzył się na senatora. Cynizm dźwięczał w jego umyśle niczym dzwony pogrzebowe. Czy Gregg mówił poważnie? Śmierć, szaleństwo i więzienie miałyby się równoważyć z utratą jego bezwartościowej godności?

Hartmann z pewnością śmiał się z niego w duchu, ukrywał drwinę pod poważną miną.

As potrząsnął głową. Od czasu, gdy spotkał go po raz pierwszy na pokładzie „Ułożonej Talii”, senator zawsze potrafił poprawić mu nastrój. To, co powiedział mu teraz, nie różniło się zasadniczo od tego, co mówił wcześniej. Teraz jednak zabrzmiało to jak odruchowe gadanie polityka, a nie słowa zatroskanego przyjaciela.

— Czy coś się stało, Gregg? — zapytał.

Hartmann opuścił rękę i odwrócił się odrobinę od niego.

— Przepraszam — rzekł. — Ostatnio żyję w sporym napięciu.

— Potrzebny ci odpoczynek.

— Pewnie wszyscy go potrzebujemy. — Hartmann odchrząknął. — Charles mówił, że wczoraj dużo dla nas zrobiłeś.

— Załatwiłem dla kilku kongresmenów gorzałę i dziwki, to wszystko.

Senator roześmiał się.

— Charles podał mi ich nazwiska i numery pokojów. Zadzwoń do nich zaraz po śniadaniu. Może...

Drzwi się otworzyły. Hartmann poderwał się, rozlewając kawę. Odwrócił się i zobaczył, że to nie Hiram Worchester, lecz Amy. Zawstydzony swą nerwową reakcją as sięgnął po serwetkę.

— Przepraszam, że wam przeszkadzam. Właśnie dostałam telefon z Dżokerowa, od Futrzaka. Poczwarękę znaleziono martwą w Nowym Jorku. Śmierć była powiązana z użyciem talentów asów.

Jack zaniemówił z zaskoczenia. Spędził z Poczwaręką wiele miesięcy na pokładzie „Ułożonej Talii” i choć nigdy nie czuł się swobodnie w jej towarzystwie — narządy i mięśnie widoczne wewnątrz przezroczystego ciała przypominały mu o wielu rzeczach, które ujrzał podczas drugiej wojny światowej i potem w Korei — podziwiał ją w abstrakcyjny sposób za to, jak sobie radziła ze swoją deformacją. Jego uznanie wzbudzał również jej kulturalny akcent, papierośnica, antyczna talia do gry oraz ironiczny dystans, jaki zachowywała.

Twarz Hartmanna zeszywniała.

— Jakież szczegóły? — zapytał z napięciem w głosie.

— Najwyraźniej pobito ją na śmierć. — Amy wyduła wargi. — Barnett może to wykorzystać w celach propagandowych. Kolejny przykład „przemocy dzikich kart”, którą trzeba powstrzymać.

— Dobrze ją znałem — rzekł Hartmann z napięciem w głosie. Jego twarz stała się nieruchomą maską. To było niezwykle u człowieka zwykle tak otwartego wobec przyjaciół.

Jack zadał sobie pytanie, czy ta śmierć ma jakieś aspekty, o których on nic nie wie.

— Tony Calderone przyjechał wczoraj późnym wieczorem — dodała Amy. — Może powinien mu pan zlecić przygotowanie oświadczenia, na wypadek, gdyby Barnett próbował to wykorzystać.

— Tak, będę musiał to zrobić — zgodził się z westchnieniem Hartmann. — Spojrzał na Złotego Chłopca. — Jack, obawiam się, że muszę cię opuścić.

— Czy powinienem sobie pójść?

W oczach senatora znowu pojawiła się troska.

— Byłbym ci wdzięczny, gdybyś został. Obaj z Hiramem Worchesterem zaliczacie się do moich najpopularniejszych zwolenników. Bardzo byście mi

pomogli, gdybyście zdołali zapomnieć o dzielących was różnicach.

Jack przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy Judasz i święty Paweł kiedykolwiek zdołali zapomnieć o dzielących ich różnicach.

Westchnął. Prędzej czy później to będzie musiało się zdarzyć.

— Ja nie mam problemów z Worchesterem, Gregg. To on ma problem ze mną.

— W porządku — odparł z uśmiechem Hartmann. Uniósł rękę i ponownie uściskał ramię Jacka.

Po wyjściu senatora i Amy w pokoju zrobiło się bardzo pusto. Jack wpatrywał się w stygnące na bufecie śniadanie.

Oczami umysłu widział rozbijający się raz po raz samolocik Earla.

9:00

— Saro — odezwał się Ricky Barnes. — Daj sobie spokój z tą sprawą z Hartmannem. To zmienia się w nerwicę natręctw.

Siedzieli za okrągłym stolikiem nakrytym ceratą w zieloną kratę, tuż obok okna Le Peep. Na dworze grupka delegatów z farmerskich stanów, noszących krzykliwe krawaty, przesuwawała się wzdłuż jelita prostego Peachtree Center, zmierzając do holu Hyatta. Kolejni delegaci rywalizowali o przestrzeń z paprociami w doniczkach, starając się zaspokoić głód lekką kuchnią nabiałową. Mieli do wyboru tylko to, fast foody albo hotelowe restauracje, w których zarezerwowano już miejsca aż do następnego stulecia.

— W „Rolling Stone” napisali, że to choroba lat osiemdziesiątych — stwierdziła Sara Morgenstern, krojąc omlet widelcem. Jasne prawie jak śnieg włosy zaczesła dziś z lewej do prawej. Miała na sobie prostą, różową sukienkę, sięgającą kolan, Założyła nogę na nogę, demonstrując czarne jak noc pończochy, a jej buty na koturnach były zupełnie białe.

Barnes wziął do ust kęs omletu z tofu i szpinakiem. Marynarkę od prostego czarnego garnituru zawiesił na oparciu krzesła. W szelkach i białej koszuli wyglądał jak pastor Południowego Kościoła Metodystycznego z czasów filmu *Kto sieje wiatr*. Obraz psuły jedynie modne złote, druciane okulary.

— AIDS staje się dla niej coraz silniejszą konkurencją. Ale, szczerze mówiąc, jesteś daleko od swych terenów w Dżokerowie, wszystkim, co będziesz przysyłała w tym tygodniu z Atlanty, zajmuje się waszyngtońskie biuro, które nie będzie tak wyrozumiałe dla twoich małych obsesji, jak biuro w Nowym Jorku. Senator Gregg jest ulubieńcem „Post”. Można by pomyśleć, że to Katie Graham go wymyśliła. Nie będzie zadowolona, że rzucasz w niego kamieniami.

— Jesteśmy dziennikarzami, Ricky — odpowiedziała, pochylając się do przodu i wyciągając rękę, jakby chciała dotknąć jego dłoni spoczywającej obok talerza. Jej białe palce zatrzymały się kilka milimetrów od jego palców barwy

mlecznej czekolady. Ricky nie zareagował. Był jej starym przyjacielem. Przed kilku laty przejął od niej prowadzenie kursu dziennikarstwa na Columbia University i wiedział, że jej powściągliwość nie ma nic wspólnego z jego rasą. — Musimy pisać prawdę.

Ricky potrząsnął długą, wypielegnowaną głową.

— Saro, Saro. Nie jesteś naiwna. Piszemy to, czego chcą właściciele gazet albo nasi koledzy po fachu. Jeśli prawda pechowo wpadnie w dziurę między jednym a drugim, nie będzie miała żadnego poparcia. Poza tym, cóż to jest prawda, jak kiedyś zapytał pewien facet, który umywał ręce?

— Prawda brzmi tak, że Gregg Hartmann to morderca i potwór. A ja go zdemaskuję.



Gdy Hiram Worchester, powłócząc nogami, wszedł do pokoju, Jack odruchowo zaczął wstawać z krzesła. Powstrzymał się jednak i usiadł z powrotem ze swą kawą i papierosem. Obaj z Hiramem byli na „Ułożonej Talii” i nawet jeśli nie zostali przyjaciółmi, nie potrzebowali formalności.

Hiram wyglądał, jakby nie spał całą noc. Ruszył bez słowa do bufetu, wziął sobie talerz i zaczął go napełniać.

Jack czuł pot spływający mu po głowie. Jego serce co kilka sekund zmieniało rytm. *Czemu, do licha, tak się denerwuję?* — zadał sobie pytanie i zaciągnął się głęboko camelem.

Hiram cały czas nakładał na talerz. Jack zadał sobie pytanie, czy jego nowym talentem dzięki karty nie jest przypadkiem niewidzialność.

Restaurator odwrócił się, żując faworka, jakby właściwie nie czuł jego smaku, i zajął miejsce naprzeciwko Jacka. Na pokładzie „Ułożonej Talii” pomagał sobie swą zdolnością panowania nad grawitacją, by znacznie zmniejszyć swój ciężar, dzięki czemu wydawał się dziwnie zwinny. Teraz jednak najwyraźniej tego nie robił. Skierował na Jacka spojrzenie matowych, przypominających kulki marmuru oczu.

— Braun — odezwał się. — To spotkanie nie było moim pomysłem.

— Moim również nie.

— No wiesz, w młodości uważałem cię za bohatera.

Wszyscy musimy kiedyś dorosnąć — pomyślał Jack, ale postanowił, że nie powie tego na głos. Niech Hiram też ma swoją chwilę.

— Sam nigdy się nie podawałem za bohatera — mówił dalej Hiram. Jack odnosił wrażenie, że restaurator pracował nad tą przemową już od dłuższego czasu. — Jestem grubasem, który prowadzi restaurację. Nigdy nie byłem na okładce „Life’a” ani nie grałem w filmie. Ale jestem lojalny wobec przyjaciół.

To świetnie, kolego. Tym razem Jack omal nie powiedział tego na głos.

Pomyślał jednak o Earlu Sandersonie spadającym na posadzkę Marriotta i zachował milczenie.

Usunął mruganiem pot z oczu. *Dlaczego sam się na to skazuję?* — zadał sobie pytanie.

Hiram mówił dalej, mechanicznie jak robot:

— Gregg powiedział mi, że wykonałeś świetną robotę w Kalifornii. Mówi, że moglibyśmy przegrać, gdyby nie poparcie celebrytów i pieniądze, które zorganizowałeś. Jestem ci za to wdzięczny, ale wdzięczność to nie to samo, co zaufanie.

— W polityce nie ufałbym nikomu, Worchester — ostrzegł go Jack. Zaraz jednak zadał sobie pytanie, czy ten modny cynizm był szczery. Ufał Greggowi Hartmannowi, wiedział, że jest on autentycznie dobrym człowiekiem, i pragnął jego zwycięstwa w wyborach bardziej niż czegokolwiek od trzydziestu lat.

— To ważne, by Gregg Hartmann wygrał te wybory, Braun. Leo Barnett jest amerykańską wersją Nur al-Allaha. Pamiętasz Syrię? Pamiętasz dzokerów kamienowanych na ulicach? — W oczach Hiram pojawił się osobliwy błysk. Restaurator uniósł pięść i zacisnął ją, zapominając, że trzyma w niej jeszcze połowę ciastka. — Taka jest stawka, Braun. Zrobią wszystko, co w ich mocy, by nas powstrzymać. Posłużą się przekupstwem i zniesławieniem, spróbują nas uwieść i uciekną się do przemocy. Gdzie wtedy będziesz, Braun? Gdzie będziesz, gdy zaczną naprawdę przykręcać śrubę? — zapytał głośniej.

Jacka nagle opuściła nerwowość. Wypełnił go zimny gniew. Miał już tego dość.

— Nie... było... cię... tam... — powiedział Jack.

Hiram przerwał. Zorientował się, że miażdży w uniesionej dłoni kawałek ciasta.

— Kurwa... nie... było... cię... tam...

Te słowa płynęły z jakiegoś miejsca ukrytego wewnątrz Jacka, miejsca przypominającego spowity półmrokiem cmentarz, miejsca pozbawionego ciepła, bezkresnej równiny porośniętej jesienną trawą i usianej szarymi kamieniami — pamiątkami po śmierci Earla, Blythe, Archibalda Holmesa, wszystkich chłopaków, których znał w Piątej Dywizji, tych którzy zginęli po przejściu przez Rapido, małych sylwetek leżących niczym garści pyłu pod ostrzałem dział z Monte Cassino...

Jack wstał i odrzucił papierosa.

— Worchester, jak na kogoś, kto nie ma ambicji uchodzić za bohatera, potrafisz wygłaszać świetne przemowy. Może powinieneś zostać politykiem.

Szybkim, gwałtownym ruchem Hiram otarł ciasto serwetką z dłoni.

— Mówiłem Greggowi, że nie można ci ufać, ale on zapewniał, że się zmienię.

— Może ma rację — odparł Jack. — A może się myli. Pytanie brzmi, co możesz w tej sprawie zrobić?

Hiram odrzucił serwetkę i wstał ciężko na nogi niczym blada góra wlokąca się na bitwę.

— Zrobię to, co będę musiał! — oznajmił ostro. — To bardzo ważna sprawa!

Jack odstłonił zęby w uśmiechu godnym rosomaka.

— Nie możesz tego wiedzieć. Nie poddano cię próbie. Nie było cię tam. — Wybuchnął scenicznym śmiechem niczym Basil Rathbone stojący na balkonie i drwiący z wieśniaków. — O mnie wszyscy słyszeli, Worcester, ale tobie nikt dotąd nie przykręcił śruby. Nikt nie zażądał, byś zdradził przyjaciół. Nie byłeś tam i nie będziesz wiedział, jak się zachowasz, dopóki to się nie wydarzy. — Ponownie się uśmiechnął. — Uwierz mi na słowo.

Hiram jakby oklapł pod wpływem uśmiechu Jacka. Kolor odpłynął z jego twarzy. Ku zaskoczeniu Złotego Chłopca masywny mężczyzna zachwiał się na nogach i osunął na krzesło. Sprężyny pękły. Grubaszłapał za kołnierz, jakby się dusił, odsłaniając bolesny wrzód na szyi.

Jack gapił się na to ze zdumieniem. Granitowa góra zmieniła się w żelatynową piankę.

Nagle dopadło go zmęczenie. W skroniach czuł lekki, pulsujący ból, pozostałość kaca. Nie chciał już patrzeć na Hiram.

Ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się przy drzwiach.

— Przyszedłem tu dla Gregga — oznajmił. — Przypuszczam, że ty również. Powiedzmy mu, że zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi i zrobimy wszystko, co będzie trzeba. Zgoda?

Restaurator skinął głową, nadal pociągając za kołnierz.

Jack wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Czuł się jak szkolny chuligan, znęcający się nad klasowym grubasem.

Z głębi korytarza dobiegły go ochryple krzyki uczestników konwencji, którzy dopiero dzisiaj przybyli do Atlanty. Jack ruszył w tamtą stronę.

10:00

Gregg miał już dość rozmów z delegatami, którym Jack załatwił wczoraj wieczorem dziewczyny. Zmęczyło go udawanie entuzjazmu. Alex James był jego lalką już od początku kampanii. Większość dodatkowych agentów Secret Service przydzielonych Greggowi nie interesowała Lalkarza. Byli zbyt obowiązkowi i pozbawieni ukrytych wad, którymi się karmił. Ale Alex... prześliznął się przez całą masę testów psychologicznych i badań środowiskowych, którym go poddano. Podobnie jak w przypadku Billy'ego Raya, duszę Alexa naznaczyła cudowna nuta sadyzmu, zabarwiona nefrytowym odcieniem upodobania do popisywania się swą

władzą i jej nadużywania. Pozostawiony sam sobie mógłby tylko nieco nadgorliwie wykonywać swe obowiązki, odrobinę zbyt brutalnie usuwać ludzi z drogi i dążyć do konfrontacji, zamiast starać się rozładować sytuację. Nikt nie zwróciłby na to uwagi.

Ale Lalkarz wiedział. Dostrzegał wszystkie szczeliny w fasadzie duszy i najlepiej wiedział, jak je otworzyć najszerzej.

Gregg czekał w salonie swego apartamentu. Telewizor marki Zenith, przytwierdzony do ściany, nastawiono na kanał CBS. Dan Rather zdawał relację z otwarcia konwencji. Senator bardzo ostrożnie opuścił kraty więżące Lalkarza. Moc wypłynęła na zewnątrz, szukając Alexa. Gregg niedawno widział go na korytarzu. Wiedział, że Ray rozkazał mu sprawdzić klatki schodowe. Na schodach byli też inni ludzie — lobbyści szukający dostępu do kandydata, reporterzy, groupies albo po prostu ciekawscy. Szanse, że Alex kogoś znajdzie, były spore. Lalkarz sięgnął do umysłu ochroniarza i skrył się w jego znajomych zakamarkach. *Tym razem się uda — westchnęła moc. Tym razem.*

Bądź ostrożny — ostrzegł Lalkarza. Pamiętaj, co się ostatnio działo. Unikaj pośpiechu.

Zamknij się! — warknął w odpowiedzi Lalkarz. Wszystko jest już w porządku. Sprawy układają się po naszej myśli. Ktoś wreszcie załatwił Poczwarkę. Kuriozum znajdzie kurtkę i rozkażemy Mackiemu załatwić Downsa. Konwencja zaczęła się dobrze. Potrzebujemy tego faceta. Czy nie czujesz jego głodu? Pamiętaj, jeśli ja zginę, ty zginiesz razem ze mną. Dopilnuję tego.

Wypowiedziawszy tę groźbę, moc odwróciła się od niego, nagle straszliwie głodna. Gregg wyczuł za pośrednictwem Lalkarza niecierpliwe oczekiwanie wypełniające Alexa. Wiedział, co to oznacza. Ochroniarz kogoś znalazł. Senator wyobrażał sobie tę scenę. To zapewne jakiś natolski chłopak, noszący wytarte dżinsy, T-shirt pełen przesadnie wielkich znaczków z napisem „Hartmann w ’88” oraz taną maskę z Dżokerowa, osłaniającą jego stanowczo zbyt normalną twarz. Alex będzie gapił się na niego i wywarkiwał rozkazy, trzymając ręce o wiele za blisko wypukłości uwydatniającej się pod sportową kurtką.

Lalkarz wniknął w emocjonalną strukturę ochroniarza, odrzucając na boki grube, niebieskie warstwy poczucia obowiązku i przecinając brązowe jak rzemienie więzy moralności, aż wreszcie dotarł do pomarańczowoczerwonego jądra psychotycznej brutalności. Zaczął ją karmić, aż wreszcie rozgorzała jasnym, gwałtownym płomieniem. Teraz.

(Alex z pewnością już krzyczał, na jego szyi uwydatniły się ścięgna, a policzki poczerwieniały mu od napływającej krwi. Wyciągnął ręce i złapał za T-shirt. Znaczkę zagrzechotały niczym blaszane spodki. Ochroniarz potrząsnął ofiarą jak nieposłusznym szczenięciem. Maskę spadła na podłogę i zdeptały ją florsheimy Alexa.)

Tak jest. Lalkarz czuł ten smak i Gregg kosztował go razem z nim. Była w nim naga furia, oczekiwanie na ucztę. Zgłodniały Lalkarz pochylił się ku Alexowi, ponownie podkrecając gałkę jego emocji...

(Alex cofnął rękę i spoliczkował chłopaka otwartą dłonią. Jego głowa odskoczyła na bok. Z rozciętej wargi spływała krew. Nastolatek, nagle przerażony, płakał ze strachu i bólu.)

I to stało się znowu. W umyśle Gregga ingerencja przypominała zimną, obsydianową ścianę, która raptem pojawiła się między nim a Alexem. Lalkarz odbił się od niej i zatoczył do tyłu.

Moc ukryta wewnątrz Gregga zawyła z frustracji i gniewu. Raz po raz rzucała się na ścianę, ale zawsze odbijała się od niej. Senator słyszał dobiegające zza bariery słowa i ten cichy głos.

Ale tym razem... tym razem usłyszał również słowa.

Jesteś cholernym skurwysynem, Hartmann, ale w końcu znalazłem sposób, by cię załatwić, czyż nie tak? Odkryłem twoją cholerną słabość, mój drogi Reggie. Znalazłem jebanego koleżkę, którego w sobie nosisz, moc, której użyłeś przeciwko mnie, Mishy, Sarze Morgenstern i całej reszcie. Ale teraz mogę się zabawić twoim asem tak, jak ty bawiłeś się nami. Potrafię odciąć mu dostęp do lalek, zagłodzić skurwysyna. I co się wtedy z tobą stanie, senatorze? Co będzie, gdy twoja moc zwróci się przeciwko tobie?

Słowa ucichły i pozostał tylko drwiący chichot.

Gregg z narastającym przerażeniem uświadomił sobie, że poznał ten głos. Wiedział, kto jest za murem, i ta świadomość przyprawiła go o zimne dreszcze.

Gimli. To był Gimli.

Nie żyjesz — krzyknął do głosu. Nie żyjesz. Stoisz wypchany w Groszowym Muzeum. Widziałem cię. Zabił cię Tyfusowy Croyd.

Nie żyję? — Śmiech rozległ się znowu. Czy to jest głos trupa, Hartmann? Zapytaj kumpla, którego w sobie nosisz, czy jestem realny. Nie umarłem. Po prostu się zmieniłem. Potrzebowałem wiele czasu, by wrócić...

Głos ucichł na dobre. Mur zniknął.

Lalkarz skierował nieartykułowany wrzask ku miejscu, gdzie przed chwilą stała bariera.

Wypuść mnie znowu — zażądała moc. Jeszcze nie jest za późno. Alex...

Nie! — Gregg spojrzał na swe leżące na kolanach dłonie. Drżały. Czuł pot, spływający mu po plecach pod koszulą. Pierś wypełniał mu rytm adrenaliny. Pragnął uciekać, wrzeszczeć tak samo jak Lalkarz. Zwyczajny wygląd pokoju hotelowego i smęcący głos Rathera zdawały się z niego drwić.

Był straszliwie przerażony.

Musisz mnie wypuścić. Nie ma wyboru.

Nie!

Nie ma wyboru, rozumiesz? — Moc skoczyła na Gregga, wbijając się głęboko w jego wolę.

Senator wciągnął powietrze z zaskoczenia, czując, że traci kontrolę. Jego dłonie się zacisnęły i zaczął wstawać z kanapy jak automat. Lalkarz poprowadził go na sztywnych nogach przez cały pokój. Mięśnie twarzy Gregga zastygły w bolesnym grymasie, a jego nogami targały gwałtowne spazmy. Senator walczył o odzyskanie kontroli. Przyglądał się bezradnie, jak jego ręka unosi się do klamki do drzwi sypialni i naciska ją.

Boże, nie...

— Gregg? — Ellen leżała w łóżku, wspierając książkę na ciężowym brzuchu. — Połóż tu rękę. Czuję ruchy przez cały ranek. — Odwróciła się i spojrzała na niego. Na jej pięknej twarzy arystokratki z Nowej Anglii pojawił się wyraz zdziwienia. — Gregg? Dobrze się czujesz?

Czuł, jak całe jego ciało drży, rozciągnięte między wolą Lalkarza a jego własną. Obie ciągnęły za sznurki, wrywając je sobie nawzajem. Gdy tylko Gregg wyobraził sobie ten obraz, Lalkarz parsknął drwiącym śmiechem. *No wiesz, jesteśmy jedną osobą. Jestem tylko twoim asem, twoją mocą. Robię to, czego potrzebujesz, by przetrwać. Ellen tu jest. Wykorzystaj ją.*

Nie! Nie w ten sposób.

To tylko kolejna cholerna lalka. W gruncie rzeczy, bardziej uległa niż większość. Jej ból jest równie dobry jak ból innych.

To zbyt ryzykowne. Nie tu. Nie teraz.

Jeśli nie zrobisz tego tu i teraz i tak stracisz wszystko. Ruszaj!

Senator poczuł, że jego ciało postąpiło kolejny chwiejny krok naprzód. Jego pięść zacisnęła się i uniosła. W oczach Ellen pojawił się wyraźny strach. Kobieta zamknęła książkę i spróbowała wstać z łóżka.

— Gregg, proszę, boję się ciebie.

Hartmann całkowicie uwolnił się od kontroli nad ciałem, jakby walka odebrała mu siły. Lalkarz zakrzyknął triumfalnie. Następnie, gdy ręka uniosła się, by zadać pierwszy cios, i moc rozluźniła się, oczekując spełnienia, senator ruszył do kontrataku. Zaskoczony tym Lalkarz utracił kontrolę. Ignorując jego opór i przekleństwa, Gregg zepchnął go głęboko, najgłębiej od wielu lat, zatrzasnął mentalną klatkę i pogrzebał w czeluści swego umysłu. Gdy już nie słyszał głosu Lalkarza, zatrzymał się i odzyskał panowanie nad swym ciałem.

Stał obok łóżka, dysząc ciężko. Rękę nadal miał uniesioną. Ellen kuliła się przed nią trwożnie. Hartmann rozluźnił pięść, przysunął powoli dłoń do twarzy żony i usiadł. Poczul, że kobieta odsunęła się od niego, ale potem uspokoiła się powoli, gdy zaczął ją głaskać po włosach.

— Nie masz się czego bać, kochanie — zapewnił. Spróbował się roześmiać, ale usłyszał w swym głosie ból. — Hej, przecież wiesz, że nigdy bym cię nie

skrzywdził. Nie mógłbym tego zrobić. Jesteś matką mojego dziecka.

— Byłeś okropnie rozgniewany i gwałtowny. Przez krótką chwilę...

— Nie czuję się dobrze. To nic takiego, tylko bóle żołądka. Wziąłem maaloX, na pewno mi przejdzie.

— Przestraszyłeś mnie.

— Wybacz, Ellen — rzekł uspokajającym tonem. — Proszę.

Gdyby mógł liczyć na pomoc Lalkarza, to byłoby łatwe. Bez trudu mógłby sprawić, by mu uwierzyła. Ale nie mógł bezpiecznie korzystać ze swej mocy. Nie w tej chwili. Ellen gapiła się na niego. Przez chwilę obawiał się, że powie coś więcej, ale ona tylko skinęła powoli głową.

— W porządku — powiedziała. — W porządku, George.

Przytuliła się do niego. Gregg oparł się o wezłowie łóżka. Dzięki delikatnym witkom swej mocy asa wyczuł, że kobieta uspokoiła się i zapomniała o wszystkim. Od chwili zajścia w ciążę jej uwaga zwróciła się ku wnętrzu i to, co działo się na zewnątrz, nie było już takie ważne. Bezpieczniej było uwierzyć w jego tłumaczenia i dlatego postanowiła to zrobić. Ta świadomość zbytnio go jednak nie uspokoiła.

— Mój Boże, co mam teraz zrobić?

Nadal słyszał śmiech Gimlego, niosący się echem pod jego czaszką. Zadzwoił znajdujący się przy łóżku telefon. Hartmann uniósł słuchawkę, mając nadzieję, że to przegoni karła.

— Hartmann.

— Senatorze? — Głos po drugiej stronie słuchawki był zdyszany i podekscytowany. — Amy. Złe wiadomości. Mówi się, że dziś wieczorem czeka nas ciężka walka o uprawnienia kalifornijskiej delegacji...

Ledwie słyszał jej słowa, zagłuszane przez głośny rechot Gimlego.



Po dwóch kieliszkach wódki dręczący Jacka kac wreszcie złagodniał. As spędził ostatnią godzinę w swym apartamencie, rozmawiając przez liczne telefony ze swym zastępcą Emilem Rodriguezem, a także zwołując wszystkich kalifornijskich delegatów, by przygotować ich na debatę programową, która miała odbyć się nazajutrz. Rozległo się pukanie do drzwi. As powiedział Rodriguezowi, że zadzwoni później, i otworzył drzwi. Na korytarzu stała Amy Sorenson, trzymająca kopertę wypełnioną papierami. Kasztanowe włosy miała upięte wysoko.

— Cześć, Amy.

Jack pocałował ją ciepło, po czym wciągnął do środka. I znów chciał ją pocałować. Odwróciła głowę.

— Nie teraz, Jack. Nie jesteśmy w Buenos Aires. Tu jest mój mąż.

Złoty Chłopiec westchnął.

— To znaczy, że przyszedłeś w sprawach służbowych.

Wysunęła się z jego ramion i poprawiła elegancki, niebieski zakiet.

— Przygotuj się — rzekła mu. — Mam złe wiadomości.

— Jestem przygotowany. Już od wielu miesięcy.

Kobieta zmarszczyła nos, poczuwszy przerażający odór tytoniu i alkoholu oraz pozostałości zapachu perfum. Przysiadła na skraju krzesła, a potem ostrożnie odepchnęła pełną niedopałków cygar popielniczkę tak daleko, jak tylko mogła. Jack przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, przodem do oparcia, gapiąc się na Amy.

— Co się dzieje?

— To ci się nie spodoba. Dziś wieczorem dojdzie do zacieklego sporu o uprawnienia delegatów z Kalifornii.

Jack popatrzył na nią ze zdumieniem.

— Ludzie Jacksona zgłoszą protest, twierdząc, że ordynacja, w której zwycięzca bierze wszystko, z samej swej natury dyskryminuje mniejszości.

— Absurd — odparł natychmiast Jack. — Odkąd pamiętam, prawyборы w Kalifornii zawsze organizowano w ten sposób.

— Ale to stworzy wszystkim szansę rozmontowania naszego największego bloku delegatów i to ponoć w słusznej sprawie.

— Nie złamaliśmy żadnych zasad. Uczciwie wygraliśmy prawyборы.

— Jack, zasady brzmią tak, jak orzeknie konwencja — odparła Amy z poirytowaną miną. — Jeśli unieważnią naszych delegatów, to otworzą drogę przed całą serią proceduralnych sporów, które mogą zdezorganizować wszystko. Tego właśnie chcą Jackson, Gore i Barnett. Jeśli na konwencji zapanuje chaos, ich szanse na zdobycie nominacji wzrosną. Kurwa, jeśli pokrzyżują nam szyki i poniesiemy proceduralną porażkę przed pierwszym głosowaniem, mogą liczyć na to, że przed drugą część delegatów z naszego obozu przejdzie do nich.

— Rewelacja. Po prostu rewelacja.

To dziwne, że jakoś nie mógł się przyzwyczaić do tego, że kobiety używają takich słów, jak „kurwa”. Do licha, nie podobało mu się nawet to, jak często używają ich w dzisiejszych czasach mężczyźni.

Czasami naprawdę czuł się jak relikwina minionych czasów.

— Konfrontacja będzie dotyczyła zasad i tego, kto najlepiej potrafi nimi manipulować. Kto jest ekspertem od spraw proceduralnych w twojej delegacji?

Jack przesunął się niespokojnie na krzesło.

— Pewnie ja.

— Masz jakiegokolwiek pojęcie o procedurach parlamentarnych?

Zastanowił się nad tym pytaniem.

— Zasiadałem w radach nadzorczych wielu korporacji. Zdziwiłabyś się,

jakie sztuczki się tam stosuje.

Kobieta westchnęła.

— Znasz Danny'ego Logana. On jest naszym ekspertem od spraw proceduralnych. Dobrze by było, gdybyś skorzystał z jego rad.

— Kiedy go ostatnio widziałem, leżał pod stołkiem barowym w LAX.

W oczach Amy pojawił się błysk. Odgarnęła z oczu kasztanowe włosy.

— Zapewniam, że dziś wieczorem będzie trzeźwy.

Jack zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Czy mamy wystarczająco dużo głosów?

— Trudno wyczuć. Dukakis jak zwykle trzyma karty przy orderach. Tylko superdelegaci mogą nas uratować. To w większości kongresmeni albo senatorzy i zrobią wszystko, by zapobiec gwałtownej kłótni. Mogą zagłosować na nas tylko po to, by powstrzymać chaos. I oczywiście znają Gregga znacznie lepiej niż Duke'a i Jacksona, nie wspominając już o Barnecie.

— Wszystko to szaleństwo.

— Demokraci od tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego nie mieli konwencji, która wymagałaby więcej niż jednego głosowania. Wszyscy musimy improwizować.

Jack wsparł podbródek na wielkich dłoniach.

— Pamiętam tę konwencję. Cała nasza rodzina słuchała radiowej relacji. Wszyscy byliśmy gorącymi zwolennikami Roosevelta. Pamiętam, jak tata otworzył flaszkę samogonu, gdy Jack Garner z Teksasu porzucił obóz Smitha i zapewnił nominację Rooseveltowi.

Amy uśmiechnęła się do niego.

— Ciągle myślę o tobie jako o młodszym... skoku w bok. Nie potrafię sobie wyobrazić, że pamiętasz tamte czasy.

— Przed pojawieniem się Gregga jedynym kandydatem, na którego głosowałem, był Roosevelt w czterdziestym czwartym, kiedy byłem na wojnie. Przedtem byłem za młody. W czterdziestym ósmym nie mogłem wybrać między Trumanem a Wallace'em. Dlatego nie zagłosowałem w ogóle.

— Chciałeś głosować na George'a Wallace'a? — Amy była wyraźnie wstrząśnięta. — To niepodobne do ciebie.

Jack nagle poczuł się okropnie stary.

— Henry'ego, Amy. Henry'ego Wallace'a.

— Och. Przepraszam.

— Dla uściślenia dodam też, że Roosevelt, o którym wspomniałem, to był Franklin, nie Teddy.

— O tym wiedziałam — odparła z uśmiechem. — Jak poszło spotkanie z Hiramem? A może nie powinnam o to pytać?

Jack potrząsnął głową.

— Dziwnie. Właściwie nie wiem, co na ten temat sądzić. — Popatrzył na nią. — Czy Worchester dobrze się czuje? Nie wyglądał na zdrowego.

— Hmm.

— Ma na szyi wielki wrzód. Czytałem gdzieś, że to może być objaw AIDS.

Zamrugła ze zdumieniem.

— Hiram?

Braun wzruszył ramionami.

— Nie znam go, Amy. Zauważyłem tylko, że naprawdę nie był zainteresowany rozmową ze mną.

— To pewnie znaczy, że dogadaliście się całkiem nieźle — skwitowała z przelotnym uśmiechem.

— Przynajmniej nie dał mi żadnych monet.

— To brzmi zachęcająco. — Uniosła głowę i spojrzała na Jacka. — Spotkałam dziś rano celebrytę. Joshua Davidsona. Znasz go?

— Tego aktora? A co on tu robi?

— Jego córka jest jedną z naszych delegatek. Przyjechał tu jako obserwator. Pomyślałam sobie, że możecie się znać, w końcu obaj jesteście aktorami.

— Są tacy aktorzy, których nie znam. Daję słowo.

— Jest bardzo czarujący i wygadany.

Jack uśmiechnął się do niej.

— Mam wrażenie, że rozważasz starszego kandydata do, hmm, skoku w bok.

— Być może — odparła ze śmiechem Amy. — Ale najpierw musiałby zgolić brodę.

— Wątpię, by to zrobił. To jego cecha charakterystyczna.

Zadzwoił jeden z telefonów stojących na biurku Jacka. Spojrzał na nie, próbując odgadnąć, który z nich się odezwał. Amy wstała.

— Muszę już iść, Jack. To pewnie Danny Logan.

— Jasne.

Parlamentarne rozgrywki — pomyślał Jack. *Rewelacja*. Odezwał się kolejny telefon. As podszedł do biurka i podniósł słuchawkę, ale usłyszał wyłącznie sygnał. Zapowiadał się ciężki dzień.

11:00

Z nosowym piskiem furii Mackie zerwał kalendarz z pokrytej przypominającymi wybroczyny plamami tapety. Widniała na nim rozchylona cipka czekająca na jego aprobatę — której nie uzyskała — otoczona ciemnymi włosami i oliwkową skórą ud. Nad nią widniał niepewny uśmiech portorykańskiej dziewczyny. Mackie sprawił, że jego palce zabrzęczały, i przesunął nimi po zdjęciu. Kawalki kobiety posypały się na wszystkie strony niczym wielobarwny śnieg. Od razu poczuł się lepiej.

To było prawie tak, jakby to zrobił naprawdę.

Choć jednak ukoił nieco złość, nie zmieniało to faktu, co ją wywołało. Nie znalazł faceta, którego przyszedł zabić. Mackie źle znosił rozczarowanie.

Gdyby chwilę zaczekał, może Kopacz Downs wróciłby do domu. Mackie przewrócił kopniakiem niski stół pokryty jasnym, przypominającym drewno fornirem, kupiony w sklepie ze starzyzną, a następnie poszedł do kuchni. Tabloidy, kupony z wyścigów oraz egzemplarze „Photo District News” przesuwaly się po podłodze niczym zranione ptaki. Z odtwarzacza stereo firmy SounDesign, stojącego na półce z pustaków i drewna, sączyły się dźwięki robopopu, spływające po blaknących szwach na plecach jego skórzanej kurtki.

Lodówka przypominała samochód wyprodukowany w Detroit w latach pięćdziesiątych — wielka, masywna i pełna chromowanych ozdóbek, z których już dawno zszedł fałszywy połysk. Brakowało tylko skrzydeł z tyłu. W środku była sterta białych, kartonowych pojemników na fast foody, połowa kanapki z delikatesów owinięta w folię Saran (mięso nabrało już barwy wczorajszego siniaka), karton z jajkami z zerwaną pokrywką (dwa jajka przebito, jakby ktoś nacisnął je kciukiem po pijanemu, niektóre z pozostałych upodabniały się zaś do wczorajszego omletu); dwa sześciopaki Little Kinga i jeden z anonimową cream sodą; a także plastikowe pojemniki po margarynie wypełnione tym i owym, ale głównie pleśnią. W kilku małych, szarych pojemnikach z pewnością znajdowały się filmy. Mackie otworzył je i rozwinął filmy, z radością wystawiając je na blade światło nieosłoniętej żarówki, zwisającej z sufitu na podobieństwo hemoroidów.

Zamknął drzwi lodówki, uruchomił rękę i ciął nią. Gruba stalowa blacha rozstąpiła się, tryskając iskrami. Wzdłuż jego ramienia przebiegła satysfakcjonująca wibracja, docierając do kutasa. Tyle, że fajniej się przecinało skórę niż porządny metal. Objął urządzenie i rozkołysał je z siłą zaskakującą w tak chudym i wypaczonym ciele. Lodówka zwała się z satysfakcjonującym trzaskiem na spękane linoleum. Następnie Mackie zwrócił swą uwagę na szafki kuchenne otaczające zlew wypełniony naczyniami pokrytymi warstwą brudu. Bił od nich owocowy odór, kojarzący się z winem i fekaliami, tak gęsty, że można by w nim zanurzyć łyżkę.

Szafki ukrywały się skromnie pod warstwami farby, licznymi jak warstwy stroju żony telewizyjnego kaznodziei. Choć nikt z żyjących nie mógłby pamiętać, kiedy je ostatnio odnawiano, bił od nich jej chemiczny odór, mieszający się z wonią osadzającego się na nich przez eony dymu papierosowego, który wnikał w nie aż do drewnianego szkieletu, który przecież musiał gdzieś tam się kryć. Zapach był tak silny, że naprawdę mógł rywalizować z organiczną wonią rozkładu bijącą ze zlewu. W środku znalazł szesnaście torebek Doritos, dwie puszkę fasoli (jedną z nich otworzono, by potem o niej zapomnieć podczas nagłego ataku zaspokajania głodu), a także pudełko Frosted Flakes. Tony Tiger wyglądał

niezdrowo. Fasola cuchnęła zdechłym kotem.

— Mówi Randy St. Clair. Będę wam przynosić dźwięki waszego miasta ze stacji WBLS-FM, częstotliwość sto siedem i pół megaherca, na samym końcu waszej skali — mówił głos w radiu, gdy Mackie wrócił do salonu. — Ale na początek wiadomości. Sandy opowie wam, jak delegaci przygotowują się na długi, upalny letni tydzień w Atlancie. Poda też najnowsze informacje na temat raportów o ludobójstwie, napływających z Gwatemali, oraz świeże fakty dotyczące makabrycznego zabójstwa celebrytki w Dżokerowie. Sandy?

Mackie zmarszczył brwi. Pechowo się złożyło z Poczwarką. Szef obiecał, że pozwoli mu kiedyś ją załatwić. Teraz już nigdy się nie dowie, jak by to było zanurzyć rękę w tym przezroczyście jak szkło mięsie.

To zupełnie nowe rozczarowanie na nowo rozpało w nim wściekłość. Łaził z pokoju do pokoju w ciasnym mieszkaniu, niszcząc wszystko, co tylko znalazł. Przechodził od upojenia do klinicznych rozważań: „Czy od tego poczuję się lepiej?”. Wypróbowywał różne formy wandalizmu niczym kolejne dopalacze.

Jeden róg łóżka wspierał się na podręcznikach: język francuski, zasady pracy w ciemni, policyjny podręcznik przesłuchania. Prześcieradła nie było, a koc ufarbowano nierównomiernie płynami fizjologicznymi, z którymi człowiek powinien się stykać tylko za pośrednictwem lateksu. Mackie zniszczył mnóstwo różnych rzeczy.

Kiedy stamtąd wyszedł, znowu poczuł się wkurzony na Downsa. *Der Boss* nie będzie zadowolony, nawet w najmniejszym stopniu.

No cóż, Kopacza po prostu tu nie było. Szef raczej nie mógł mieć o to pretensji do Mackiego. To nie była jego wina. Niech to chuj. Zmienił fazę i wyszedł przez ścianę na korytarz.

W tej samej chwili piętro niżej drzwi się otworzyły.

— Mówię panu, że to ci Chińczycy — mówiła jakaś kobieta nosowym, jęklwym nowojorskim akcentem, przypominającym Mackiemu bzyczenie wielkich, mięsistych much. — Widziałam program o nich w *60 Minutes*. Ten pan Downs jest jak dziennikarz śledczy połączony z krzyżowcem. Pewnie dowiedział się o nich zbyt wiele i tong kazał swoim ludziom zdewastować jego mieszkanie. Sądząc po odgłosach, jest ich kilkunastu. Z młotami pneumatycznymi i piłami mechanicznymi.

Wyszła na korytarz niczym holownik z East River w szlafroku i mechatych, fluoryzujących różowych pantoflach. Na lokówkach zawiązała sobie chusteczkę. Za nią szedł dozorca — czarnoskóry mężczyzna niewiele wyższy od Mackiego, ubrany w szary kombinezon pełen plam od farby. Miał wąsy i upstrzone siwizną włosy sterczące spod bejsbolówki z napisem „Montreal Expos”. Dozorca pokiwał z roztargnieniem głową, mrużąc coś pod nosem, i pobrzękiwał wielkim pękiem stalowych kluczy, szukając tego, którym będzie mógł otworzyć mieszkanie

Kopacza. Nie zauważył Mackiego.

Ale kobieta go zauważyła. Krzyknęła.

Uśmiechnął się. To był najmilszy dźwięk, jaki dziś usłyszał.

Dozorca spojrzał na niego. Jego usta były różową plamą krzyku na ciemnej twarzy. Mackie poczuł, że jego ręce zawibrowały spontanicznie. Dzień jednak nie będzie całkowicie zmarnowany.



Jack zobaczył dziwaczne czerwone piramidy wieńczące Omni Center. Wyglądały jak jakieś osobliwe panele akustyczne. Ruszył w tamtą stronę. Zabłądził w Peachtree Center, szukając papierosów, i nie mógł trafić z powrotem na konwencję. Omni Center Teda Turnera zbudowano z nowego rodzaju stali, która z założenia miała rdzewieć. W teorii rdza miała osłaniać ukrytą pod spodem stal. Zgodnie ze sprostowaniami Jacka, który w ostatnich trzydziestu latach wybudował mnóstwo budynków, teoria okazała się słuszna.

Ale to cholerstwo było okropnie brzydkie.

Zbliżał się do jednego z tylnych wejść na teren konwencji. Przed zamkniętymi drzwiami stał umundurowany strażnik. Jack skinął dłonią do noszącego ciemne okulary mężczyzny, a potem spróbował go ominąć.

— Chwileczkę — odezwał się ostrym tonem strażnik. — A dokąd to?

— Na konwencję.

— Nie ma mowy.

Jack przyjrzał się mężczyźnie. Na jego identyfikatorze wypisano nazwisko Connally. Miał złamany nos i srebrny krzyżyk przy kołnierzu.

Rewelacja — pomyślał Jack. *To na pewno zwolennik Barnetta.* Wyjął z kieszeni identyfikator oraz przepustkę, a następnie przesunął je przed twarzą strażnika.

— Jestem delegatem. Wolno mi wejść.

— Nikt nie może przejść przez te drzwi. Nigdy. Tak mi rozkazano.

— Jestem delegatem.

Connally zastanawiał się przez chwilę.

— No dobra. Sprawdźmy ten identyfikator.

Jack podał go i strażnik przyjrzał mu się uważnie. Kiedy uniósł wzrok, na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiešek.

— Nie wygląda mi pan na sześćdziesiąt cztery lata.

— Dobrze się trzymam.

Strażnik sięgnął po walkie-talkie.

— Mówi Connally. Sytuacja trzy.

Jack zamachał rękami.

— Co to ma znaczyć, do licha?

— Jesteś aresztowany, dupku. Za udawanie delegata.

— Jestem delegatem.

— Ludzie z Secret Service już tu idą. Będziesz mógł porozmawiać z nimi.

As gapił się na strażnika z narastającą desperacją. Uświadomił sobie, że to dopiero poniedziałek.

12:00

— Na diabły i przodków. Co tutaj robisz?

Jack Braun obrzucił Tachiona skwaszonym spojrzeniem.

— Idę do baru. — Wyciągnął rękę, wskazując na znajdujący się na półpiętrze bar z pianistą. — Potrzebuję drinka albo dwóch... a może i trzech... a jeśli ktoś spróbuje stanąć mi na drodze...

— Powinieneś być w centrum kongresowym.

— Próbowałem się dostać na konwencję, ale ten zasrany strażnik aresztował mnie za podawanie się za delegata. Dopiero Charles Devaughn zdołał mnie wyciągnąć. Miałem dość kiepski ranek, Tachion, i zamierzam się napić.

— Ludzie Barnetta gorączkowo zabiegają o poparcie delegatów. Powinieneś być na miejscu i trzymać Kalifornię w garści.

— Tachion, może o tym zapomniałeś, ale to ja jestem szefem kalifornijskiej delegacji. Na pewno sobie poradzę! — ryknął Braun. Kilku zawsze czujnych reporterów wyciągnęło szyję, by zobaczyć kłótnię. — Jezu, jesteś amerykańskim obywatelem dopiero od pięciu, może sześciu miesięcy, a już uważasz się za eksperta od naszej polityki?

— Wszystko, co robię, robię dobrze — odparł Tachion z afektacją w głosie. Trudno mu jednak było powstrzymać uśmiech.

Braun to zauważył i sam wyszczerzył zęby.

— Spokojnie, Tachion. Gregg nie straci Kalifornii.

— Jesse Jackson chce się ze mną spotkać — oznajmił Takizjanin, w typowy dla siebie sposób zmieniając nagle temat.

— Zgodzisz się?

— Jeszcze nie wiem. Mógłbym się czegoś dowiedzieć.

— Wątpię w to. Jesse to sprytny gracz. Poza tym nie pracujesz dla Hartmanna. Prasa powinna być obiektywna i tak dalej.

Kosmita zmarszczył brwi.

— Czego twoim zdaniem mógłby chcieć?

— Przypuszczam, że twojego poparcia.

— Nie mam delegatów ani wpływów.

— Nie chrzań. Tachion, tego typu konwencje są jak wielkie, ociężałe dinozaury. Czasem wystarczy dźgnąć taką bestię w dupę, żeby skierować ją w zupełnie inną stronę. Gdybyś przeniósł poparcie na innego kandydata, wielu

dżokerów podążyłoby za twoim przykładem. Ludzie mogliby dojść do wniosku, że coś wiesz. To mogłoby zwiększyć szanse Jacksona. O to właśnie mu chodzi.

— W takim razie nie spotkam się z nim. Rywalizacja i tak już jest zbyt wyrównana.

— Napijesz się?

— Nie, dziękuję. Chyba pójdę do centrum kongresowego.

Złoty Chłopiec ruszył w górę po schodach. Tachion wpatrywał się w jego szerokie plecy i potężne bary, zastanawiając się, czy mógłby złożyć na nie część swoich brzemion.

— Jack.

Coś z jego niepewności i strachu najwyraźniej dotarło do drugiego mężczyzny. Braun zatrzymał się na schodach i zszedł powoli. Położył ręce na barkach Tachiona i spojrzał na niego z góry, marszcząc brwi.

— Słucham? Co się stało?

— Myślisz, że to możliwe, że któryś z kandydatów jest asem?

— Tutaj?

— Pewnie że tutaj! Nie mówię o kandydatach na hycła w Shawnee w stanie Oklahoma. Nie bądź imbecylem!

— Nie jestem. Po prostu mnie zaskoczyłeś. Dlaczego pytasz? Wiesz coś?

— Nie — odparł nonszalancko kosmita. W niebieskich oczach wysokiego asa rozbłysła podejrzliwość.

— To bzdura. Nikt nie zdołałby ukryć czegoś takiego przed prasą. Nie zapominaj o Harcie.

— On był nieostrożny.

— Posłuchaj, jeśli masz powody do niepokoju, sprawdź to. Dla ciebie to nie będzie trudne.

— Tak, ale informacje zdobyte telepatycznie nie są dowodem. Poza tym, biorąc pod uwagę obecny klimat polityczny w tym kraju, co by się stało, gdyby ludzie się dowiedzieli, że wykorzystałem nieludzkie moce mentalne przeciwko jednemu z potencjalnych kandydatów na prezydenta?

— Daliby ci kopa w tę chudą takizjańską dupę.

— W rzeczy samej. — Tach wzruszył ramionami. — Mniejsza z tym. Tak tylko sobie pomyślałem, że o tym wspomnę... żeby zapytać cię o zdanie...

Jego głos umilkł.

— Zapomnij o tym, Tachy. — Jack potrząsnął nim lekko. — Zgoda?

— Zgoda.

— Pójdę teraz na tego drinka.

— Nie siedź tam za długo — zawołał za nim Tach. — A niech cię.



— Amerykańska whisky bez sodu. Podwójna. Dwie podwójne.

— Ciężki dzień?

— Mocny trunek na ciężki dzień — potwierdził Jack. Postawił teczkę na podłodze i po raz pierwszy zauważył — co z nim było nie w porządku, do licha? — że drobna blond kelnerka jest całkiem atrakcyjna. Obdarzył ją hollywoodzkim uśmiechem, który w późnych latach czterdziestych ćwiczył przed niezliczonymi lustrami. — Wam też pewnie każą pracować w nadgodzinach — rzekł jej. — Swoją drogą, proszę mi mówić Jack.

— Nadgodziny to paskudna rzecz, Jack — zgodziła się dziewczyna i oddaliła się, kołysząc biodrami, czego nie robiła dla innych klientów.

Jack poczuł się odrobinę lepiej.

Gdy już Secret Service potwierdziło jego tożsamość i wypuścili go, Jack zajął się ostrzeganiem delegatów, że jeśli nie będą ostrożni, przeciwnicy odbiorą im głosy. Tachion czepiał się go za to, że nie wykonuje obowiązków, a ekspert od spraw proceduralnych, Logan, który miał się z nim spotkać w holu Marriotta, już się spóźnił.

Doszedł do wniosku, że radosne ruchy tyłeczka kelnerki wystarczą, by dodać mu odwagi przed bitwą. Latający Asowie przemykali mu nad głową, tworząc taneczny akompaniament dla jego myśli.

Kelnerka przyniosła mu whisky. Porozmawiał z nią chwilę — miała na imię Jolynn — i przełknął pierwszego drinka. Logan nadal się nie zjawiał. Jolynn musiała odejść, by obsłużyć kolejnego gościa, i Jack dał jej dziesięć dolarów napiwku. Pomyślał, że w sumie nieźle jest być bogatym, nawet jeśli kosztowało go to cztery lata symulowania inteligentnych konwersacji z szympansem w telewizji. Nagle pojawił się młody mężczyzna w białym smokingu. Usiadł przy białym fortepianie i zagrał pierwsze takty piosenki *Piano Man*. Złoty Chłopiec poczuł, że jego głowa próbuje się schować w ramiona, jakby był żółwiem.

Moss Hart — pomyślał z desperacją. *Kurt Weill. George i Ira Gershwin. Richard Rodgers*. Jack nadal pamiętał premierę musicalu *South Pacific*.

Może powinien dać temu facetowi sto dolarów napiwku, żeby przestał grać.

Potem przyszła kolej na *Honky Tonk Women*, a następnie na *New York, New York*. As zadał sobie pytanie, dlaczego Morrie Ryskind musiał opuścić ten świat.

Logan nadal się nie zjawiał. As popijał drugą whisky, wpatrując się w przypominający kształtem serce tyłeczek Jolynn, przemieszczający się przez drugą stronę sali.

Potem jego uwagę przyciągnęła sylwetka innej kobiety. *Dziwki po prawej* — pomyślał. Tego powiedzenia nauczył się przed laty w obozie wojskowym Camp Shenango.

Kobieta szła prostu ku niemu.

Nagle zauważył u niej znaczek Barnetta. *Dziwka w służbie Pana* —

skonkludował.

Po chwili ją poznał. Kierowała kampanią Barnetta, co już samo w sobie było złą wiadomością, ale w dodatku dzieliła ich przeszłość, co znacznie pogarszało sytuację.

O Boże.

Pianista zagrał pierwsze tony *Don't Cry for Me, Argentina*. Jacka zalała fala innych wspomnień. Było wśród nich to, jak jakaś peronistka opluła go przed rokiem w Buenos Aires.

Wstał z sercem ciężkim jak ołów, gotowy na kolejne oplucie.

— Jack Braun? Nie ma pan pojęcia, od jak dawna chciałam się z panem spotkać.

No jasne — pomyślał.

Uświadomił sobie, że głos brzmi inaczej. Blythe mówiła z arystokratycznym nowojorskim akcentem, którego już nigdzie się nie słyszało. Umarł razem z Franklinem i Eleanor Rooseveltami. Używała też czerwonej szminki, jak wszystkie kobiety w latach czterdziestych, ostro kontrastującej z jej bladą twarzą i ciemnymi włosami.

— Fleur van Renssaeler, jak sądzę — rzekł. — Dziwię się, że pani mnie pamięta.

Te słowa były uprzejme, ale całkowicie absurdalne. Według niektórych Jack zamordował jej matkę. Fleur z pewnością nie mogłaby o tym zapomnieć, nawet gdyby chciała.

Odchyliła do tyłu twarz w kształcie serca, by spojrzeć mu prosto w oczy.

— Ile miałam wtedy lat? Trzy? Cztery?

— Mniej więcej.

— Pamiętam, jak bawił się pan ze mną na podłodze w domu mojego ojca.

Złoty Chłopiec gapił się na nią z twarzą nieruchomą jak kamień. Przeciągała to niewiarygodnie długo. Dlaczego go nie opluje albo nie podrapie mu twarzy, by mieć to wreszcie z głowy?

— Zawsze pragnęłam panu powiedzieć, jak bardzo pana podziwiam. Od początku był pan jednym z moich bohaterów.

Szok wypełnił żyły Jacka niczym zimny ogień. Nie chodziło o to, by uwierzył w jej słowa... ale o to, że córka Blythe tak biegle posługuje się sadyzmem.

— Trudno powiedzieć, bym na to zasługiwał — odparł szczerze.

Uśmiechnęła się. To był wyjątkowo ciepły uśmiech. Uświadomił sobie, że zatrzymała się bardzo blisko niego. Poczul mrowienie w kroku na myśl o tym, że mogłaby uderzyć go tam kolanem. Moc dzikiej karty uchroniłaby go przed szkodą, ale stare odruchy nie umierały tak łatwo.

— Poza wielebnym Barnettem jest pan najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam — ciągnęła Fleur. — Zaryzykował pan wszystko, by doprowadzić do

klęski asów i... tego kosmity. Uważam, że później paskudnie pana potraktowano. Hollywoodzcy liberałowie zniszczyli pańską karierę.

Myśli Jacka pęzły powoli jak żółw. Z osłupieniem uświadomił sobie, że kobieta mówi całkowicie szczerze. Zimne ciarki przebiegły mu po plecach niczym owad.

— Jestem... zaskoczony — stwierdził.

— Z powodu mojej matki?

Nadal uśmiechała się i nadal stała blisko. Jack pragnął uciec od niej tak szybko, jak tylko mogłyby go ponieść nogi.

— Moja matka była krnąbrna i uparta. Porzuciła mojego ojca, by kurwić się z tym... stworzeniem z kosmosu. Tym samym, które przyniosło nam zarazę. — Uświadomił sobie, że kobieta nie jest w stanie wymówić imienia Tachiona. — Miałam szczęście, że się od niej uwolniłam. I pan również.

As przypomniał sobie, że nadal trzyma w ręce szklaneczkę whisky. Pociągnął długi łyk. Potrzebował smaku trunku, by jego wstrząśnięte zmysły mogły wrócić do rzeczywistości.

— Dziwi pana ten język? — zapytała Fleur. — Biblia jasno wyraża się o kurestwie i jego konsekwencjach. Ktokolwiek cudzołoży z żoną bliźniego, będzie ukarany śmiercią, i cudzołożnik, i cudzołożnica. Księga kapłańska, rozdział dwudziesty.

— Biblia równie jasno wypowiada się o tych, którzy pierwsi rzucają kamień.

Jack czuł się tak, jakby spuchł mu język. Dziwił się, że w ogóle jest w stanie mówić.

Fleur skinęła głową.

— Cieszę się, że potrafi pan cytować Pismo.

— W dzieciństwie dobrze poznałem Biblię — przyznał Jack. — Głównie w języku niemieckim.

Pociągnął kolejny łyk. Pod jego czaszką rozbrzmiewały dźwięki *Don't Cry for Me, Argentina*.

— Zaskakuje mnie jednak to, w którym towarzystwie pan się obecnie obraca. — Zbliżyła się o kolejny krok i dotknęła jego nadgarstka. Jack omal nie wyskoczył ze skóry. — Senator Hartmann z pewnością jest moralnym dziedzicem rooseveltowsko-holmesowskiej kliki, która omal nie zniszczyła naszego kraju w latach czterdziestych. Wtedy uratował nas pan przed tymi ludźmi, ale teraz znowu uległ pan grzechowi liberalnego humanizmu.

— Zgadza się. — Zdołał się uśmiechnąć. — Jestem grzesznikiem.

— Przyszło mi na myśl, że pomogę panu wydobyć się z otchłani grzechu.

Jej palce przebiegły wzdłuż jego silnego nadgarstka.

Tak jest, dziwka w służbie Pana — pomyślał Jack.

— Dlatego chciałam porozmawiać z panem osobiście. Po to przybyłam do

tych... — roześmiała się dźwięcznie jak dzwon — przybytków szatana.

— Każdy musi od czasu do czasu sobie pofolgować.

Gapił się na nią i czuł mdłości. Zdał sobie sprawę, że Fleur van Renssaeler jest najbardziej wypaczoną suką ze wszystkich kobiet, jakie spotkał w życiu. Wliczając w to swoją trzecią żonę.

— Pomyślałam sobie, że moglibyśmy się spotkać i porozmawiać o... polityce. O senatorze Hartmannie i wielebnym Barnecie.

— Barnett chce mnie zamknąć w obozie koncentracyjnym.

— Nie pana. Pan dowiódł swego patriotyzmu. Bóg zmienił pana klątwę w błogosławieństwo.

Jack poczuł smak żółci.

— Miło się dowiedzieć, że jestem odporny na boskie łapanki. A co z resztą biednych frajerów, którzy wyciągnęli dziką kartę?

— Gdybym tylko miała okazję wytłumaczyć to panu. Skierować pana na właściwą ścieżkę. Ścieżkę wielebnego Barnetta i mojego ojca.

Gniew Jacka wreszcie przedarł się na powierzchnię. As zobaczył w tłumie delegatów głowę Logana i zrozumiał, że pora stąd iść.

— O ścieżce Barnetta nic nie mogę powiedzieć — zaczął, podnosząc teczkę z podłogi. — Ale ścieżkę pani ojca znam dość dobrze. Żarł jak świnia z publicznego koryta, a dla rozrywki pierdolił czarnych chłopaków w Harleemie.

Gdy szedł w stronę Logana, przez głowę przemknęła mu myśl, że po raz pierwszy w życiu użył takiego słowa w rozmowie z kobietą.

Musiał jednak przyznać, że Fleur okazała się prawdziwą profesjonalistką. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, choć miał wrażenie, że nieco zeszywniał.

Humor trochę mu się poprawił. Nawet tani i mdły triumf był lepszy niż żaden.

14:00

— Posłuchaj, Saro — mówił Charles Devaughn. — Cokolwiek zaszło między tobą a Greggiem podczas tej podróży dookoła świata, jest już historią. Skończyło się. Pogódź się z tym.

Devaughn cechował się wyglądem twardziela typowym dla absolwentów elitarnych prywatnych szkół, jaki ludzie często przypisywali senatorowi. Nikt nie wyobrażał sobie Hartmanna jako zwykłego, garbiącego się faceta, którym w rzeczywistości był.

Sara poczuła, że jej policzki rozgrzewają się niczym łyżeczka w mikrofali.

— Cholera, Charles, nie o to chodzi. Muszę z tobą porozmawiać o tym, jak się zachowuje senator...

Odwrócił się do niej bokiem, unosząc bark ukryty pod nienagannie skrojonym, granatowym garniturem.

— Nie mam już pani nic do powiedzenia, pani Morgenstern. Proszę, by powstrzymała się pani przed dalszym nękaniami ludzi pomagających w kampanii wyborczej senatora. Prasa ma pewne obowiązki i rozsądnie by było, by pani o nich nie zapominała.

Zaczął się oddalać.

— Charles, zaczekaj! To jest ważne.

Jej słowa odbiły się od muru jego pleców i pomknęły niczym nadrzewne zwierzęta w górę wysokiego atrium Marriotta, cechującego się zdecydowanie organicznym wyglądem. Sara podsłuchiwała, jak reporter z jakiegoś niszowego pisma nazwał je tchawicą Gaudiego. Delegaci przepychający się w holu przed salami konferencyjnymi odwrócili się, spoglądając w jej stronę. Ich pozbawione wyrazu twarze wyglądały jak blade księżycy wiszące nad ogrodami jaskrawych wstążek i znaczków wyborczych. Pośrodku każdego z tych ogrodów lśnił mały, plastikowy kwadrat identyfikatora, przypominający tabliczkę w ogrodzie botanicznym informującą, do którego podgatunku politycznego machera albo karierowicza należy dany eksponat.

Sfrustrowana kobieta uderzyła się dwukrotnie w uda kłębami dłoni. *Tracisz zmysły, Saro.*

Projektor ukryty w jej umyśle jak na zamówienie wyświetlił obraz Andrei, jej starszej siostry, pięknej i delikatnej niczym lodowa rzeźba. Roześmiany, prowokujący głos, oczy jak topniejący śnieg — żywy obraz doskonałości, o jakiej szara myszka Sara mogła jedynie marzyć. Andrea, nieżyjąca od trzydziestu lat.

Zamordowana przez człowieka, który chciał teraz zostać prezydentem. Który miał moc naginania innych do swej woli. Który ją również uczynił swoją ofiarą.

Rzecz jasna, nie miała dowodów. Bóg wiedział, że potrzebowała wielu lat, by dopuścić do świadomości najpierw podejrzenia, a potem przerażającą pewnością, że za okrutną śmiercią jej siostry stało coś więcej niż tylko przypadkowe pragnienia upośledzonego umysłowo nastolatka. Minął długi czas, nim dotarło do niej, że dlatego właśnie została dziennikarką, że to przyciągnęło ją do Dżokerowa. W głębi duszy zawsze wiedziała, że za tą sprawą kryje się coś więcej. Z upływem lat, gdy zdobyła doświadczenie jako reporterka pisząca o sprawach dżokerów, zaczęła sobie uświadamiać, że w dżokerskich slumsach wyczuwa się wpływ czegoś ukrytego i posługującego się manipulacją. Czegoś... złego.

Postanowiła to wytropić. Nawet znakomitej dziennikarce śledczej obsesyjnie prowadzącej swe dochodzenie trudno było zauważyć niewidzialne sznurki szalonego lalkarza. Nie dawała jednak za wygraną.

Jeszcze zanim wsiadła na pokład „Ułożonej Tali”, była przekonana, że to Hartmann. Wierzyła, że podczas wyprawy odkryje dowody wystarczające, by go skazać.

I odkryła je. Gdy sobie przypominała, jak jej podejrzenia zaczęły słabnąć,

a następnie wysunęły się poza jej zasięg, jak kawałek drewna z palców tonącej, poczuła, że u nasady jej włosów gromadzi się zimny pot. Naprawdę uwierzyła, że go kocha, choć jej wewnętrzny głos przez cały czas krzyczał: „Nie, nie, nie! Co się ze mną dzieje?”.

Przypomniała sobie zetknięcie spoconych skór i to, jak w nią wchodził. Miała ochotę podmywać się bez końca.

Zapanował nad nią, tak samo jak nad biednym Rogerem Pellmanem tego popołudnia w Cincinnati, gdy zginęła jej siostra. Wykorzystał ją, ponieważ — podobnie jak sama Sara — widział w niej marną imitację jej pięknej, utraconej siostry. Przynajmniej tę jedną obsesję dzielili ze sobą.

Tak jest, zdobyła dowód. Nadal czuła w swej psychice miejsca, do których przytwierdzono sznurki lalkarza. Czasami, podczas aktu miłosnego, słyszała wśród jego czułych słów imię „Andrea” i wypełniał ją chłód, mimo że jej ciało i umysł odpowiadały gwałtownym pożądaniem.

To jednak nie było dowodem dla nikogo, kto nie potrafił czytać w jej myślach.

Zorientowała się, że dryfuje, przyciągana jakimś dziennikarskim tropizmem do Centrum 3, skupiska sal konferencyjnych, znajdującego się za kolistą studnią schodów ruchomych. Sarą zawładnęło gorączkowe pragnienie znalezienia dowodów mogących przekonać innych, skłonić ich do zajrzenia pod maskę dystygowanego męża stanu oraz aurę współczucia dla wszystkich ofiar dzikiej karty, za którymi kryło się prawdziwe oblicze lalkarza. Dlatego nie poświęcała zbyt wielkiej uwagi zjawisku, jakim była sama konwencja. Dopadło ją poczucie winy. Miała zajmować się problemami dotyczącymi dzikich kart.

Rozgorzał w niej gniew na samą siebie. Cóż mogłoby być ważniejsze dla dzokerów i dla wszystkich niż możliwość, że następnym prezydentem stanów zjednoczonych może zostać psychopatyczny as? Wyobraziła sobie palec lalkarza zawieszony nad sławetnym czerwonym guzikiem i zebrało jej się na wymioty.

Z Wielkiej Sali Sidneya ulokowanej w rogu wychodził tłum delegatów i reporterów, podekscytowany i hałaśliwy jak szkolna wycieczka.

— Co się dzieje? — zapytała jednego z nich. Wybrała go właściwie dlatego, że był tylko trochę wyższy od niej.

— Szaleńcy od Barnetta znaleźli potężnego haka na Hartmanna — wyjaśnił, dygocząc ze złośliwej satysfakcji. Na nosie miał okulary, a na marynarce wielki znaczek Dukakisa.

Czy to może być to? — zadała sobie pytanie i poczuła się oszukana, że to nie jej ręka przebiła kołkiem serce potwora.

— Dotarli do kogoś, kto uczestniczył w wyprawie zorganizowanej w zeszłym roku przez Światową Organizację Zdrowia. Okazuje się, że Hartmann przez cały czas jej trwania romansował z jakąś dziennikareczką z „Washington

Post”.



Parada delegatów i polityków przewijających się przez apartament Gregga ciągnęła się bez końca. Senator musiał przyznać, że Amy wykonała wspaniałą robotę, kontaktując się w bardzo krótkim czasie z tak wielką masą ludzi.

Ale z drugiej strony większość z delegatów pragnęła się spotkać z najsilniejszym kandydatem, a nikt z zawdzięczających swą pozycję wyborom polityków nie chciałby się narazić człowiekowi, który mógł zostać kolejnym prezydentem.

Sam Gregg czuł się już bardzo zmęczony długim popołudniem. Był przekonany, że zdołał bezpiecznie zamknąć Lalkarza. Zaczynał nawet żywić nadzieję, że być może głos w jego głowie umilknie aż do końca tygodnia. Ale kraty klatki znowu zaczynały słabnąć. Czuł uwięzioną moc, słyszał jej błagania przeplatające się z groźbami.

Wypuść mnie! Musisz mnie wypuścić!

Starał się je ignorować, ale jego cierpliwość była mniejsza niż zwykle, a uśmiech zaczynał się upodabniać do grymasu. Najgorzej było z politykami. Dotknięcie mocy Lalkarza mogłoby zmusić większość z nich do wyrażenia zgody, ale teraz byli w stanie odmawiać mu bezkarnie. W takich chwilach Lalkarz był najgłośniejszy.

Senatorzy z Ohio, Glenn i Metzenbaum, zjawili się o ustalonej godzinie. U drzwi przywitała ich Ellen. Gregg właśnie zmieniał koszulę w sypialni. Słyszał Metzenbauma, przypochlebnego jak zawsze.

— A więc to prawda. Kobiety, które spodziewają się dziecka, naprawdę promienieją.

Ellen roześmiała się. W tej samej chwili do pokoju wszedł Gregg.

— Witajcie — rzekł, kiwając głową do obu senatorów. — Weźcie sobie coś z barku, jeśli macie ochotę. Dziękuję, że zjawiliście się tak szybko po otrzymaniu zaproszenia. Staram się spotkać z maksymalną liczbą wpływowych ludzi, ale wy byliście na samym szczycie tej listy.

Spadajcie. To właśnie pragnął im powiedzieć. *Jestem zmęczony, czuję się paskudnie, a umysł pęka mi na pół. Dajcie mi spokój.*

Metzenbaum uśmiechnął się uprzejmie. Glenn skinął tylko głową z przesadnym spokojem starego astronauty. Jego twarz miała chyba jeszcze bardziej kamienny wyraz niż zwykle. Obaj popatrzyli znacząco na Ellen. Gregg nie musiał nic mówić. Jego żona dawno już nauczyła się odczytywać podobne wskazówki.

— Zostawię was waszej polityce — oznajmiła. — Ja też mam spotkanie, z delegatkami z Narodowej Organizacji Kobiet. Popieracie Poprawkę o Równych

Prawach Kobiet, prawda?

Uśmiechnęła się po raz kolejny i ruszyła ku drzwiom. Gregg ją odprowadził. Pod wpływem nagłego impulsu wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie.

— Posłuchaj, Ellen. Chcę tylko powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczny za okazaną dziś pomoc. Gdyby nie ty... no wiesz, chodzi mi o ten incydent dziś rano. Nie myśl o tym więcej. Czuję się bardzo zmęczony. Stres...

Nie mógł przestać mówić. Słowa same wypadały mu z ust. Od wielu miesięcy nie czuł się tak blisko związany z żoną.

— Nigdy bym cię nie skrzywdził...

Glenn i Metzenbaum gapili się na niego ze zdziwieniem. Ellen przerwała mu szybkim pocałunkiem.

— Masz gości, kochanie.

Ona również dziwnie na niego patrzyła.

Gregg uśmiechnął się przepraszająco, czując się jak szczerząca zęby czaszka.

— Pewnie masz rację... Spotkamy się na kolacji. W Bello Mondo, tak?

— O szóstej trzydzieści. Amy obiecała, że zadzwoni, by ci o tym przypomnieć. — Ellen bez słowa przytuliła się do Gregga. — Kocham cię.

Obrzuciła go jeszcze jednym spojrzeniem i wyszła.

Lalkarz wył w głębiach jego umysłu, domagając się uwagi. Gregg poczuł, że na czoło występują mu kropelki potu. Otarł je grzbietem dłoni i wrócił do pokoju.

— Panowie, poparcie Ohio jest dla mnie bardzo cenne. W znacznym stopniu zawdzięczam je wam. Zapewne obaj zdajecie sobie sprawę, że szukamy dalszego poparcia i Kalifornia... — Nie słuchali go. Przerwał w połowie zdania. — Co się stało? — zapytał.

— Mamy poważniejszy problem, Gregg — oznajmił Glenn. — Obawiam się, że to zła wiadomość. Krążą paskudne plotki o tym, co wyprawiałeś z tą Morgenstern podczas ekspedycji asów.

Hartmann przestał go słuchać. Sara Morgenstern. Jego kariera nierozłącznie sprzęgła się z jej karierą. Pierwszą ofiarą Lalkarza była trzynastoletnia Andrea Whitman, siostra Sary. Gregg miał wówczas zaledwie jedenaście lat. Tylko dziwaczny zbieg okoliczności, wiele lat później, skłonił ją do podejrzeń, że Gregg miał coś wspólnego ze śmiercią Andrei. Chcąc ją unieszkodliwić i jednocześnie zaspokoić pragnienia Lalkarza, w zeszłym roku, na wyprawie dzikich kart, zrobił z Sary swoją lalkę. Zostali kochankami, starając się zachować maksymalną dyskrecję.

Zobaczył oczami umysłu, jak cała jego kariera — nominacja i szansa na prezydenturę — rozsypuje się niby domek z kart. To, co spotkało Gary'ego Harta, równie dobrze mogło przytrafić się jemu.

Lalkarz krzyczał w jego wnętrzu, bynajmniej nie uciszony.



Na moment pogрузyła się w zamyśleniu.

Gdy wróciła do swego pokoju w Hiltonie, światelko w telefonie świeciło jasno jak sygnał alarmowy na konsoli przeciążonego reaktora. Kiedy połączyła się z recepcją, dowiedziała się, że ma chyba ze dwanaście tysięcy nieodebranych rozmów z Waszyngtonu, od Bradena Dullesa. W tej samej chwili nadeszła następna. Wyraźnie przeciążona hotelowa telefonistka natychmiast przekazała rozmowę do pokoju Sary.

— Czy to prawda? — zapytał Dulles.

Poczuła, że oddech uwiązł jej w gardle. Czuła się tak, jak ostatnio, gdy próbowała kokainy, będąc jeszcze żoną ambitnego prawnika Davida Morgensterna. Mięśnie jej klatki piersiowej po prostu odmawiały posłuszeństwa.

— Tak.

Rozległo się pierwsze pukanie do drzwi.

17:00

Amy Sorenson spotkała się z Greggiem i Ellen za kurtyną zasłaniającą podwyższenie. Zza grubej, aksamitnej zasłony dobiegały głośne rozmowy reporterów oraz jaskrawe światła reflektorów, sączące się przez szczelinę pod czerwoną tkaniną.

— Wszystkich poinstruowano — zapewniła Amy. — Pańskim gościom kazałam czekać za następnymi drzwiami. Wpuszczę ich, kiedy pan wejdzie. — Dotknęła odbiornika, który miała w uchu, i słuchała czegoś przez krótką chwilę. — Dobra, Billy Ray mówi, że wszystko w porządku. Jest pan gotowy?

Gregg skinął głową. Miał za sobą długie i ciężkie popołudnie. Czekał na wiadomości z Nowego Jorku, próbując na spółkę z Jackiem i z ubzdryngolonym Dannym Loganem (Logan był lalką, którą z pewnością wykorzystywał zbyt mocno) opracować strategię przed czekającą ich wieczorem walką o delegatów z Kalifornii, gasił szerzące się niczym pożar plotki o swym romansie, załatwiał sprawy z Departamentem Sprawiedliwości i przygotowywał konferencję prasową. Obawiał się, że stres przywróci świadomość Lalkarzowi, ale moc milczała, ukryta głęboko. Wyczuwał tylko cichutki szelest jej ruchów.

Ale Gimli, jeśli to rzeczywiście był on... Ta obecność nadal się w nim kryła. Gregg słyszał złośliwy chichot karła. Po raz kolejny dziś zadał sobie pytanie, czy stoi na progu załamania nerwowego. Ta myśl natychmiast przywołała głos Gimlego.

Tak jest, Greggie. Możesz być kurewsko pewny, że dopilnuję, by tak się stało.

Senator zaczerpnął głęboki oddech, udając, że nie usłyszał głosu. Ujął rękę żony i uściśnął ją, po czym pogłaskał Ellen po brzuchu.

— Jesteśmy gotowi. Zacznijmy ten cyrk, Amy.

Rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu, gdy jego asystentka rozsuwała kurtynę. Pokonał jednym skokiem trzy stopnie prowadzące na scenę. Ellen podążała za nim ostrożnie. Kamery uruchomiły się nagle niczym stado mechanicznych owadów. Elektryczne flesze rozbłysły w szybkiej serii błyskawic. Gregg stał na podwyższeniu, czekając, aż reporterzy uspokoją się na swych miejscach, przyglądając się tekstowi napisanej przez Tony'ego Calderone'a mowy, który trzymał w ręce. Wreszcie uniósł głowę.

— Jak zwykle, właściwie nie przygotowałem formalnego oświadczenia — oznajmił, machając pojedynczą kartką. To wywołało serię śmieszków, zgodnie z jego oczekiwaniami. Gregg był znany z tego, że często improwizuje podczas przemówień, odbiegając od przygotowanego przez Tony'ego tekstu, a większość obecnych na sali reporterów już od miesiący towarzyszyła jego kampanii. — I to nie bez powodu. Naprawdę nie mam zbyt wiele do powiedzenia na tej konferencji. Uważam, że im mniej mówi się w odpowiedzi na złośliwe, bezpodstawne plotki, tym lepiej. Wiem, co mi na to powiecie: „Nie miej do nas pretensji. To należy do obowiązków prasy”. Mam nadzieję, że wszyscy poczujecie się lepiej, gdy już będziemy to mieli za sobą.

Zabrzmiały kolejne chichoty, płynące głównie od jego zdeklarowanych zwolenników. Reszta czekała z powagą.

Przerwał, spoglądając na notatki, które przygotowali razem z Tonym, Braunem i Tachionem. W tej samej chwili, jak ktoś, kto nieustannie sprawdza językiem złamany ząb, poszukał w swym umyśle Lalkarza. Nie wyczuł nic i uspokoił się nieco.

— Wszyscy wiemy, dlaczego tu przyszliście. Wygłoszę swój tekst, odpowiem na kilka pytań, jeśli będziecie chcieli, a potem przejdę do innych spraw. Widziałem już, jak innego kandydata zniszczyły pogłoski równające się w praktyce insynuacjom. Nie miało znaczenia, czy Gary Hart rzeczywiście zrobił to, co mu zarzucano. Plotki go zniszczyły. Utracił wiarygodność, nawet jeśli w rzeczywistości był niewinny. No cóż, nie jestem Garym Hartem. On jest przystojniejszy. Nawet Ellen tak mówi.

Niemal wszyscy rozciągnęli usta w uśmiechu i Gregg uśmiechnął się razem z nimi. Ostrożnie i dostrzegalnie odłożył kartki na bok, a potem pochylił się nad nimi, wsparty na łokciach.

— Pewnie mógłbym wymienić też kilka innych różnic między nami. „Ułożona Talia” nie była „Monkey Business”. Polecieliśmy do Berlina, a nie popłynęliśmy na Bimini. I przez całą drogę towarzyszyła nam Ellen.

Gregg popatrzył na żonę i skinął głową. Ellen odwzajemniała jego uśmiech na ten sygnał.

— Panie senatorze?

Gregg zerknął w oślepiające światła reflektorów i zobaczył, że Bill Johnson

z „Los Angeles Times” macha swym notesem. Senator skinął na niego, pozwalając mu mówić.

— To znaczy, że zaprzecza pan, by miał romans z panią Morgenstern? — zapytał dziennikarz.

— Z pewnością znam panią Morgenstern. Ellen również ją zna. Przyjaźniliśmy się z nią. Ona ma pewne problemy i nie wiem, co dokładnie mogła ostatnio powiedzieć. Niemniej nie zdradzam żony za jej plecami.

Ellen pochyliła się ku mężowi. Na jej twarzy pojawiła się psotna mina.

— Bill, czasami przyłapywałam Gregga na tym, że gapił się na Sokolicę, ale z pewnością nie był jedyny.

Odpowiedział jej śmiech. Znowu rozbłysły flesze. Napięcie w sali wyraźnie osłabło. Gregg wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale jego twarz zrobiła się twarda i zimna jak kamień. Tuż za swym uchem usłyszał szept Gimlego.

Pieprzyłeś się z nią, Hartmann. Rozkładała dla ciebie nogi na pięciu różnych kontynentach, a twój mały talent asa kazał jej się uśmiechać i myśleć, że sprawiało jej to przyjemność. Ale nie sprawiało, prawda? Nie naprawdę. Nie jest teraz o tobie zbyt dobrego zdania. Nie pod nieobecność Lalkarza.

Ellen zauważyła, że jej mężowi coś dolega. Wiedział, że jego dłoń, którą trzymała, jest wilgotna od potu. Nie przestała się uśmiechać, ale w jej oczach pojawił się niepokój. Senator potrząsnął lekko głową, ściskając jej palce.

Masz kurewsko profesjonalną żonę. Doskonale wie, co ma robić, nieprawdaż? Zawsze uśmiecha się we właściwym momencie i mówi to, co trzeba, a nawet pozwala, żebyś zrobił jej dzieciaka, by mogła wystąpić na konwencji jako symbol macierzyństwa. Ależ z ciebie wspaniały, dumny ojciec. Jesteś skurwysynem, Hartmann. Ale ja też nim jestem i ten mały skurwysyn zniszczy twoje życie. Zadbam o to, by twój ulubiony as rozerwał cię na strzępy, odsłaniając przed wszystkimi twoje wnętrze.

Zasłuchany w ten głos Gregg spóźnił się o jedno uderzenie serca. Usłyszał, że śmiech milknie. Chwila umknęła. Rzucił się w pogoń za nią, odmawiając słuchania nieustannego strumienia inwektyw Gimlego.

— W porządku, jak wspomniała Ellen, czułem żądzę w swym sercu, jak powiedział Jimmy Carter w wywiadzie dla „Playboya”. Wątpię, by wielu z nas jej nie czuło. W przeciwnym razie Sokolica byłaby rozczarowana. Poza tym, obawiam się, że was oszukano. To tylko plotka, nic więcej. Od tej chwili będę uważał, że już odpowiedziałem na to pytanie. Skupmy się na realnych problemach. Jeśli chcecie się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat, zapytajcie swoje źródła. Zadajcie sobie pytanie, kto mógł mieć motyw, by rozpowszechnić podobne kalumnie.

— Czy oskarża pan Leo Barnetta albo jego sztab?

Głos z tyłu sali. Connie Chung z NBC.

— Nie wymieniam żadnych nazwisk, pani Chung. Nie znam ich. Chciałbym

wierzyć, że bogobojny człowiek, jakim jest wielebny Barnett, nie uciekłby się do takiej taktyki. Z pewnością nie rzucę pierwszy kamieniem. — Kolejna fala śmiechu. — Ale kłamstwo miało gdzieś swój początek. Wytropcie go. Zauważyłem, że nikt z was nie zacytował bezpośrednio pani Morgenstern. Nie pokazano mi żadnych konkretnych dowodów. To powinno wam coś powiedzieć.

Miał ich. Udało mu się odwrócić kota ogonem. Widział to i czuł. Ale mimo to nie uważał, by odniósł triumf. Wyczuł znajome poruszenie. Lalkarz się budził. Nadal krył się głęboko, ale zmierzał ku powierzchni. *Jeszcze jeden dzień* — pomyślał Gregg. *Daj mi choć tyle czasu.*

Nie zatrzymasz go tak długo, Hartmann. Jesteś uzależniony. Lalkarz to twój cholerny narkotyk. Nie jest niczym więcej. Obaj potrzebujecie kolejnej działki, prawda? — Gimli zachichotał. *Ale żeby ją dostać, będziecie musieli mnie ominąć. Chujowo, nieprawdaż?*

Ellen i Amy gapily się na niego. Gregg zamarł w bezruchu niczym posąg. Wzruszył przepraszająco ramionami i wznowił przemowę.

— Przed paroma minutami Bill Johnson nazwał mnie „senatorem”. Zrezygnowałem z tej funkcji już ponad rok temu, by ubiegać się o prezydenturę, ale rozumiem jego pomyłkę. Zwracał się tak do mnie przez wiele lat, chyba że używał innych epitetów.

Wśród siedzących rozlała się powolna fala wesołości.

— To nawyk — wyjaśnił im Gregg, wracając swobodnie do tekstu napisanego przez Tony’ego. — Łatwo jest pozwolić, by nawyki nami zawładnęły. Łatwo jest ulegać starodawnym uprzedzeniom, mętnym wizjom i zwykłym bajaniom. Ale nie możemy sobie na to pozwolić. Nie w tej chwili. Od wielu lat ulegaliśmy nawykowi i słuchaliśmy kłamstw, mówiących nam, że dzokerzy są przeklęci, że wolno nam nienawidzić ludzi, czy to dzokerów, czy innych grup, dlatego że wyglądają albo zachowują się inaczej od nas, że ludzie nie mogą się zmienić i wszystko zawsze musi pozostać takie samo, jak dziś. Jeśli uwierzycie, że opinie i uczucia są niezienne, ten pogląd okaże się słuszny. Nie będziecie mogli się zmieniać ani rozwijać. Jeśli jednak zdołamy uczynić coś, co zaprzeczy podobnym osądom, moim zdaniem będzie to zasługiwało na większą uwagę niż sensacyjne pogłoski na temat czyjejś niewierności.

Gregg zerknął na Ellen, która skinęła głową. Gimli ciągle był z nim i Hartmanna rozboleła głowa od brzmienia jego głosu. Mimo to zamrugał tylko i mówił dalej. Pragnął wreszcie zejść z podwyższenia i zostać sam w swoim apartamencie. Śpieszył się, mówił za szybko. Zmusił się do zwolnienia tempa.

— Z zadowoleniem stwierdzam, że niektóre sprawy, które uważaliśmy za wieczne, przemijają. Oparłem całą swą kampanię na myśli, że nadszedł czas, by uleczyć rany. Opinie się zmieniają. Możemy zaakceptować to, czego kiedyś nienawidziliśmy. To jest ważna wiadomość. Zasługująca na uwagę. Ale to nie jest

moja opowieść. Potrafię zrozumieć kogoś, kto posuwał się za daleko w swym ferworze. Potrafię zrozumieć pasję przekonanych, nawet jeśli ich nie podzielam. Każdy z nas ma coś, w co wierzy bardzo mocno. To dobrze. Ta pasja staje się problemem dopiero wtedy, gdy przekracza granicę między ferworem a przemocą. Niektórym dzokerskim organizacjom zdarzało się niekiedy ją przekroczyć.

Gregg wskazał na tył sceny.

— Amy, pokaż ich nam, proszę.

Kurtyna za nim się rozsunęła i w światło wyszło dwóch dzokerów. Jeden miał skórę pokrytą delikatnymi, ząbkowatymi wypukłościami, drugi zaś przypominał cień i przez jego sylwetkę można było dostrzec niewyraźny obraz zasłony. Wśród dziennikarzy rozległy się szepty.

— Z pewnością nie muszę wam przedstawiać Pilnika i Całuna. Ich zdjęcia pokazywano w waszych gazetach i stacjach telewizyjnych w zeszłym roku, gdy wreszcie udało się rozbić DSS. — Gimli roześmiał się głośno wewnątrz jego jaźni. Gregg przełknął z wysiłkiem ślinę. — Niektórych członków tej organizacji, tych, którzy mieli w niej niewielkie znaczenie albo uznano ich za niegroźnych, ukarano tylko grzywną, a następnie wypuszczono na wolność. Innym, tym naprawdę niebezpiecznym, wymierzono karę więzienia. Pilnik i Całun od chwili aresztowania przebywali w więzieniu federalnym. Zapewne zasłużenie. Obaj przyznali się do popełnienia bardzo gwałtownych czynów. Niemniej... sam padłem ofiarą niektórych z tych aktów przemocy i w zeszłym roku poświęciłem bardzo wiele czasu na rozmowy z Pilnikiem i Całunem. Uważam, że obaj otrzymali surową, bolesną naukę i obecnie czują szczerą skruchę. Jestem przekonany, że mam rację. Będę bronił swych poglądów. Wierzę w pojednanie. Musimy się nauczyć wybaczać. Musimy zrozumieć tych, dla których los był mniej łaskawy niż dla nas. Dzisiaj, działając w porozumieniu z gubernatorem Cuomo, Departamentem Sprawiedliwości oraz senatem Stanu Nowy Jork, spowodowałem, że Pilnika i Całuna zwolniono warunkowo z więzienia.

Gregg objął obu dzokerów, kładąc ręce na szorstkiej skórze Pilnika oraz mglistych ramionach Całuna.

— To jest znacznie ważniejsze niż plotki. To jest prawda. Ale to również nie jest moja historia. Ona należy do nich. Pozwolę, by przekonali was, podobnie jak przekonali mnie. Porozmawiajcie z nimi. Zadawajcie im pytania. Amy, czy zechcesz poprowadzić rozmowę?

Gdy ktoś w tłumie wykrzyczał pierwsze pytanie i Pilnik podszedł do mikrofonu, Hartmann zaczerpnął głęboki oddech i wycofał się.

Nie rozumiesz? — drwił z niego Gimli, gdy Gregg opuścił salę i skierował się ku windom. Nie uwolniłeś się ode mnie. Nie zdołasz uciec przed moją szczególną obsesją. Jestem tutaj i nigdzie nie odejdę. Ja nie wybaczam. Nigdy.



Sara odłożyła słuchawkę pozbawionymi czucia palcami.

Uciekła z pokoju zalana łzami, wierząc, że niski wzrost oraz szczególnie dar nieprzyciągania uwagi, tak bardzo pomocny w wielu punktach jej kariery, umożliwią jej ukrycie się w tłumie. Z początku szło jej dobrze, ale kiedy namierzono ją w holu, zaczęła ją ścigać cała sfera reporterów, pragnąca odnaleźć jakieś kości, z których bezbarwne zaprzeczenia Hartmanna nie usunęły jeszcze ostatnich skrawków mięsa.

Czy Hartmann mówił prawdę? Dlaczego oświadczenie Barnetta wymienia panią z nazwiska? Co panią łączy z kampanią Barnetta? Pytający dzielili się na dwie mniej więcej równie liczne grupy — tych, którzy chcieli ją skłonić do przyznania, że spała z Hartmannem, i tych, którzy chcieli z niej wyciągnąć wyznanie, że spiskowała z fundamentalistami, by zniesławić senatora.

Częścią jaźni pragnęła wykorzystać to audytorium, by oznajmić: „Tak jest, spałam z Greggiem Hartmannem i przekonałam się, że jest potworem, zamaskowanym asem czyniącym z ludzi swe marionetki”. Powstrzymało ją jednak tchórzostwo. A może to był zdrowy rozsądek. Jej informacje z pewnością uznano by za pomówienia. I tak już były wystarczająco ekstrawaganckie i nie musiała z nich robić materiału na nagłówki w „Midnight Sun”.

— Bez komentarzy — oznajmiła, zwracając się ku reporterom. I musiała wysłuchać całego steku obelg.

— Na co pani liczy, wciskając nam taki kit? Opinia publiczna ma prawo wiedzieć. Jest pani dziennikarką, na Boga.

W końcu kelnerka w trykotowym kostiumie i krótkiej czarnej spódniczce ujęła ją za rękę i zaprowadziła do biura kierownika.

Słuchawka kliknęła w widełki z dźwiękiem nieodwołalnym jak odgłos naboju wprowadzanego do lufy. Ktoś wreszcie potraktował poważnie jej słowa.

Dzwoniącym był Owen Rayford z nowojorskiego biura „Washington Post”. Poczwarzka nie żyła. Zamordowano ją. Z użyciem mocy asów.

Czy to była lalka? Sara w to wątpiła. Sznurki Hartmanna szybko słabły i zrywały się wraz z narastającą odległością. Zdarzali się przekupni asowie zdolni do takiego czynu — Maczuga, Carnifex, być może Śpioch, jeśli jego amfetaminowa psychoza posunęła się wystarczająco daleko. Była w tym ironia. Gdy ktoś osiągnął taką pozycję jak Hartmann, właściwie nie potrzebował mocy asa, by popełniać poważne przestępstwa. Pieniądze, władza i wpływy pozostawały siłą równie wielką jak przed piętnastym wrześnią tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego.

Strach nadal w niej żył zwinięty niczym wąż, gorejący jak gwiazda. Przynosił ze sobą straszliwą świadomość, że może się poczuć bezpiecznie tylko wtedy, gdy zaryzykuje wszystko.

Kierownik i kelnerka, która uratowała Sarę, przyglądali się jej z uprzejmą ciekawością. Dziennikarka zdołała się uśmiechnąć, po czym wstała.

— Czy jest stąd jakieś wyjście? — zapytała.

18:00

Musiała połknąć valium, zanim zdołała skłonić cholerny konwerter akustyczny do prawidłowego funkcjonowania. Jej laptop miał wbudowany modem, ale administracja hotelu nie lubiła złącz modularnych, preferując telefony na stałe połączone ze ścianą staromodnymi przewodami. Dlatego musiała się borykać z antycznym modemem zewnętrznym, co było trudne, ponieważ trzeba było ułożyć słuchawkę na widelkach w odpowiedni sposób.

Wreszcie się jej udało. Potem usiadła w półmroku, rozświetlanym tylko popołudniowym światłem sączącym się do środka przez grube zasłony. Palila papierosa i wpatrywała się w ekran, na którym przesuwiała się jej opowieść, przepływająca z laptopa do komputerów gazety.

Wszystko wypłynęło z niej jednym orgazmicznym strumieniem: śmierć Andi, podejrzenia, jakie się w niej zrodziły, złowieszczy cień ukrywający się w Dżokerowie, niejasne wskazówki dotyczące jego istnienia i tożsamości, jakie odkryła podczas zamieszek towarzyszących innej konwencji Demokratów, dwanaście lat temu, jej poszukiwania, z powodu których sama zaplątała się w sieć, którą starała się wykryć. A na koniec morderstwo.

Pisała o tym, że istniały tylko dwie osoby trzymające ręce na pulsie Dżokerowa. Właściwie były trzy takie osoby. Trzecią był Tachion, robiący to nie tylko w sensie przenośnym, lecz również dosłownym. Jego jednak zaślepiła sympatia dla Hartmanna, a także korzyści, jakie zapewniał mu senator, subsydia pozwalające Takizjaninowi żyć jak księżę, którym przecież był. Sara nie mogła się na niego powołać.

Dwiema pozostałymi osobami była ona sama oraz Poczwarzka. Kryształowy Pałac nigdy nie był niczym więcej niż przykrywką dla prawdziwej działalności jego właścicielki, jaką był handel informacją o wszystkim, co działo się w Dżokerowie. Uważni obserwatorzy tamtejszej sceny traktowali jako pewne, że Poczwarzka prędzej czy później pociągnie za jakąś nitkę i przekona się, że na jej drugim końcu znajduje się kobra.

Ta kobra nazywała się Hartmann. A Poczwarzka pociągnęła za nitkę akurat w tej chwili, gdy gad był pełen jadu i gotowy do ataku.

Dlaczego się jej nie zwierzyłam? — zapytała samą siebie, gdy cyfry na ciekłokrystalicznym ekranie migały przed nią w półmroku. Miała na to mnóstwo czasu. Na pokładzie „Ułożonej Talii” nawiązały coś w rodzaju ostrożnej przyjaźni, a od zakończenia podróży minął z górą rok. Jednakże Poczwarzka pozostawała w pewnym sensie jej rywalką, a Sarze szczerłość nigdy nie przychodziła łatwo.

upload zakończony powodzeniem — poinformował ją komputer z emfatycznym *biip*. Szybko przerwała połączenie i zaczęła odłączać modem. Ogarnął ją spokój, dziwny i nieco przerażający. Spokój ofiary wypadku.

Jestem celem — pomyślała bez śladu emocji. *Jeśli Poczwarka poznała jego tajemnicę, z pewnością doszedł do wniosku, że ja również wiem.* Nagle pożałowała, że dziś rano tak mocno naciskała na ludzi ze sztabu Hartmanna. Z pewnością o tym usłyszał i doszedł do nieuniknionych wniosków.

Jesteś zupełnym niewiniątkiem — skarciła samą siebie. *Ricky ci mówił, że jesteś naiwna.*

Nie była jednak całkowitą idiotką. Brodziła w zbiorniku pełnym rekinów. Podczas swej długiej i pełnej sukcesów kariery dziennikarskiej poznała wiele sztuczek, ale żadna z nich nie wystarczy, by doprowadzić ją bezpiecznie na suchy ląd. To mógł być najważniejszy fakt, z którego zdawała sobie sprawę.

Wyłączyła laptopa i zamknęła klapę. Następnie schowała komputer do torebki i wstała.

To musi być Tachion — uświadomiła sobie. Na pewno sam miał pewne podejrzenia odnoszące się do wydarzeń, do których doszło z biegiem lat w Dżokerowie, a także incydentów w Syrii i Berlinie. Jeśli nie da wiary słowom Sary, będzie mógł odczytać jej myśli.

Poza tym uważa mnie za... atrakcyjną. Nawet jeśli nie zechce jej uwierzyć, znajdzie sposób, by się z nim związać. Była skłonna zaoferować mu siebie już przedtem, gdy wierzyła, że sprawa Kluchy doprowadzi ją do Hartmanna. Tachion miał w sobie magnetyzm. Może nawet nie będzie tak źle.

Nie oszukuj się. Od czasu wyprawy nie była z żadnym mężczyzną i wcale jej tego nie brakowało. Nawet przed sławnym teraz romanssem seks nie zajmował pierwszego miejsca na liście jej priorytetów.

Pierwsze było przetrwanie. Przynajmniej do chwili, gdy pomści Andreę.

Tachion przynajmniej wyglądał na faceta, który szybko załatwia sprawę. Żadnych przeciągających się jęków, stękania albo pytań: „Czy tobie też było dobrze?”. Zgasła papierosa, wciskając go w logo Hiltona wytłoczone w plastikowej popielniczce. Zatrzymała się jeszcze na moment, by wetrzeć odrobinę perfum w wewnętrzną powierzchnię nadgarstków, gdzie na tle białej skóry uwidaczniały się sine żyły, a potem wyszła z pokoju.

19:00

Konwencję przerwano na czas kolacji. O dziewiątej obrady miały się zacząć na nowo. Jack dzielił windę z facetem niosącym wysoką stertę opakowań z pizzą Domino. Braun cały czas twardo zwracał twarz w stronę drzwi. Nie znosił wysokości. Ta fobia rozwinęła się u niego po tym, gdy Tachion powiedział mu, czterdzieści lat temu, że upadek z wielkiej wysokości to jedna z nielicznych rzeczy,

które mogą go zabić. Wreszcie drzwi się otworzyły i Jack z radością podążył za pizzami ku kwaterze głównej Hartmanna. Od strony atrium dobiegały dźwięki *Don't Cry for Me, Argentina*. Żółty Chłopiec doszedł do wniosku, że barowi pianiści są stanowczo zbyt wąsko wyspecjalizowani.

Straż w korytarzu pełnił Billy Ray, ubrany w biały strój Carnifexa. Wypiął dumnie pierś, ominął doręczyciela, poruszając się z szybkością typową dla mistrza sztuki walki, i zagroził drogę Jackowi.

— Czy senator cię wzywał, Braun?

Żółty Chłopiec popatrzył na niego.

— Nie czepiaj się mnie. Miałem ciężki dzień.

Na twarzy Raya zniekształconej w efekcie jednej z walk, które stoczył, pojawiło się chytre spojrzenie.

— Wzrusza mnie twoje cierpienie. Pokaż, co masz w teczce.

Jack stłumił irytację i otworzył aktówkę. W środku miał telefon komórkowy z komputerowym systemem, pozwalający mu łączyć się z delegatami oraz ze sztabem Hartmanna.

— A teraz pokaż identyfikator.

Jack wyciągnął z kieszeni laminowaną plakietkę.

— Prawdziwy z ciebie palant, Ray.

— Palant? Co to, kurwa, za słowo? — Popatrzył z pogardą na identyfikator Jacka. — Z pewnością nie słowo, którego użyłby najsilniejszy as na świecie. Już raczej jakiś marny, tchórzliwy fiut. — Oblizał wargi, jakby napawał się tą myślą. — Żółty Fiut. Tak właśnie powinienes się nazywać.

Jack popatrzył na niego, krzyżując ramiona na piersi. Billy Ray dopieprzał się do niego już od z górą roku, gdy spotkali się po raz pierwszy na „Ułożonej Talii”.

— Zejdź mi z drogi, Billy.

Ray wysunął zuchwę.

— Bo co mi zrobisz, fiucie? — Uśmiechnął się. — Pokaż mi, co potrafisz. No, spróbuj.

Jack pocieszył się na moment wizją tego, jak rozwala głowę Billy'ego niczym dynię. Dzika karta dała Rayowi siłę i szybkość, a znajomość kung-fu, czy jak to tam zwał, umiejętności, ale Żółty Chłopiec był przekonany, że i tak zdołałby załatwić go jednym ciosem. Po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że nie po to tu przyszedł.

— Moje zadanie polega w tej chwili na umożliwieniu senatorowi wygrania wyborów. Bijatyka z jego ochroniarzem z pewnością w tym nie pomoże. Obiecuję, że gdy już Gregg znajdzie się bezpiecznie w Białym Domu, dam ci takiego kopa, że polecisz pod samo niebo. Zgoda?

— Trzymam cię za słowo, fiucie.

— W dowolnej chwili po ósmym listopada.

— Spotkamy się minutę po północy dziewiątego, fiucie.

Ray odsunął się na bok i Jack wszedł do apartamentu. Wokół otwartych pudełek z pizzą siedzieli zgłodniaли członkowie sztabu. Na telewizyjnych ekranach komentatorzy wygłaszali swe analizy do głuchych na głos mediów słuchaczy. Jack dowiedział się, w którym pokoju urzęduje Danny Logan, wziął pudełko pizzy i ruszył w tamtą stronę.

Ekspert od spraw proceduralnych był białowłosym, brzuchatym byłym kongresmenem z Queens, który stracił miejsce w Kongresie, gdy jego irlandzkich wyborców zastąpili Portorykańczycy. Teraz doradzał kandydatom Demokratów, jak ubiegać się o głosy Irlandczyków.

Logan leżał na łóżku z rozpostartymi kończynami, otoczony pustymi butelkami oraz zmiętymi, pożółkłymi papierami dużego formatu, na których napisano masę cyfr.

— Lepiej coś zjedz — powiedział Jack i postawił pudełko pizzy na wielkim brzuchu eksperta od spraw proceduralnych.

— To nic nie zmieni — mruknął ochryplym głosem Logan. — Brakuje nam głosów. Przegramy głosowanie w sprawie zasady 9c. To test kontrolny.

Jack potarł powieki.

— Odśwież moją pamięć.

— Zasada 9c to formuła podziału głosów delegatów uprzednio zobowiązanych do popierania kandydatów, którzy odpadli z wyścigu. Zgodnie z nią ich głosy dzieli się między pozostałych kandydatów proporcjonalnie do liczby głosów otrzymanych przez nich w danych stanach. Inaczej mówiąc, po odpadnięciu Gephardta głosy jego delegatów z, na przykład, Illinois, podzielono między Jacksona, Dukakisa i nas stosownie do procentowych wyników głosowania.

— W porządku.

— Barnett i niektóre z partyjnych szycy atakują zasadę 9c. Chcą dać delegatom swobodę głosowania, na kogo zechcą. Barnett uważa, że zdobędzie w ten sposób trochę głosów, a szycy chcą powołać wśród niezobowiązanych delegatów ruch popierający Cuomo albo Bradleya. — Logan przesunął dłonią po rzędziejących, białych włosach — Ogłosiliśmy, że popieramy formułę, zakładając, że wyniki głosowania pozwolą nam ocenić, jakie mamy szanse w sprawie kalifornijskiej delegacji.

— I przegramy głosowanie w sprawie zasady 9c.

Jack sięgnął po butelkę i pociągnął łyk z gwinta.

— Gregg dzwoni do kilku osób, ale Dukakis wypowiedział się przeciwko formule. To znaczy, że nie mamy szans. — Logan walnął pięścią w łóżko. — Wszyscy pytają o senatora i tę reporterkę. To będzie powtórka sprawy Harta. W tym tkwi sedno. Ludzie zwęszyli krew Gregga.

— Co możesz w tej sprawie zrobić? — zapytał Jack.

— Zostaje mi tylko gra na zwłokę. — Logan beknął potężnie. — W tej grze jest na to wiele sposobów.

— A potem?

— Potem Gregg zacznie pracować nad ogłoszeniem wycofania się z wyścigu.

Gniew eksplodował w Jacku niczym uderzenie pioruna. As machnął potężną pięścią.

— Wygraliśmy prawybory w najważniejszych stanach! Mamy najwięcej głosów ze wszystkich kandydatów!

— To właśnie czyni nas celem. Niech to szlag. — W kącikach oczu Logana pojawiły się łzy. Mężczyzna otarł je grzbietem wielkiej, czerwonej łapy. — Gregg nie opuścił mnie, kiedy straciłem miejsce w kongresie. Na świecie nie ma porządniejszego człowieka. Zasluguje na to, by zostać prezydentem. — Skrzywił się. — Ale brakuje nam głosów!

Logan się rozplakał. Pudełko z pizzą podskakiwało na jego szerokim brzuchu. Jack odstawił flaszkę na stolik przy łóżku i wyszedł z pokoju. Przygnębienie wypełniło go niczym zawodzący głośno wicher.

Tyle wysiłku — myślał. Cała nadzieja, że będę mógł wrócić do życia publicznego. Wszystko to pójdzie na marne.

W głównym pomieszczeniu członkowie sztabu nadal tłoczyli się wokół pudełek z pizzą. Jack zapytał, gdzie znajdzie Hartmanna, i powiedziano mu, że senator zamknął się z Devaughnem i Amy Sorenson, by stworzyć nową strategię. Potem mieli spróbować zaskakującego ataku telefonicznego, który mógłby pozyskać głosy części niezobowiązanych superdelegatów. Nie mając nic innego do roboty, Jack wziął sobie kawałek pizzy i usiadł przed telewizorami.

— Wyścig będzie bardzo wyrównany — brzmiał głos Teda Koppela, dobiegający z centrum konferencyjnego. David Brinkley słuchał go z cyniczną miną. — Zwolennicy Hartmanna liczą na to, że ten test stanie się demonstracją ich siły przed konfrontacją w sprawie kalifornijskiej delegacji.

— Czy. To. Nie. Ryzykowna. Strategia?

Urywany sposób mówienia Brinkleya sprawiał, że każde słowo wydawało się odrębnym zdaniem.

— Strategia Hartmanna zawsze była ryzykowna, Davidzie. Nawet jego sztab uważał, że otwarta obrona liberalnych ideałów w wyścigu zdominowanym przez gładkie osobowości medialne nie jest bezpieczną opcją. Szef jego kampanii powiedział mi, że nawet jeśli Hartmann straci dziś Kalifornię, i tak będzie jutro bronił praw dzokerów podczas dyskusji programowej.

Brinkley udał zaskoczenie.

— Czy chcesz mi powiedzieć. Ted. Że nawet w dzisiejszych czasach. Można

wyjść na czoło. Prezydenckiego wyścigu. Dzięki stanowczej obronie zasad?

Koppel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Czy powiedziałem coś takiego, Davidzie? Nie chciałem sugerować, że sztab kampanii Hartmanna nie umie sobie radzić z mediami. Chodzi o to, że Hartmann konsekwentnie trzyma się obrazu, jaki prezentuje wyborcom. To samo dotyczy Leo Barnetta i Jessego Jacksona, dwóch pozostałych najbliższych zwycięstwa kandydatów. Jak już mówiłem, żadna strategia nie jest pozbawiona ryzyka. Walter Mondale w osiemdziesiątym czwartym może być przykładem polityka, który był zbyt konsekwentny i elokwentny.

— Ale przypuśćmy. Że Hartmann przegra tę walkę. Jak mógłby. Odzyskać inicjatywę?

— Może mu się to nie udać, Davidzie. — Koppel był wyraźnie podekscytowany. — Jeśli Gregg Hartmann nie wygra, choćby z niewielką przewagą głosów, walki o zasadę 9c, może stracić wszystko. Wielkie starcie o delegatów z Kalifornii może okazać się tylko pokłosiem tej porażki.

Dramat — pomyślał Jack. Ze wszystkiego trzeba było robić dramat. Każdy głos musiał być tym rozstrzygającym. W przeciwnym razie żarłocznicy bogowie mediów tracili zainteresowanie i byli zmuszeni wypełniać czas antenowy swoim gadaniem.

Wrzucił do pudełka niedojedzony kawałek pizzy, przeszedł na drugą stronę sali i natknął się na wychodzącą ze spotkania Amy Sorenson. Jej ciemne oczy lśniły desperacją. Powiedziała mu, że Hartmann rozmawia przez telefon, rozpaczliwie szukając potrzebnych głosów. *Nie ma szans* — pomyślał Jack. Zabrał aktówkę, wyszedł z sali i ruszył z powrotem do pokoju Logana. Ekspert od spraw proceduralnych spał na łóżku, ściskając butelkę whisky niczym kobietę.

W kącie pokoju jazgotał zapomniany telewizor. Cronkite i Rather analizowali strategię Hartmanna, dochodząc do wniosku, że tym razem senator posunął się za daleko. Przypominali Jackowi dwóch krytyków znęcających się w telewizji nad nowym filmem. A co, jeśli nie będzie żadnego dramatu? Jeśli głosowanie się odbędzie i nic się nie wydarzy? Jeśli się okaże, że to była tylko pozbawiona znaczenia proceduralna dyskusja? Czyż wszyscy się nie zdziwią, jeśli zjawi się ktoś, kto odbierze wydarzeniom wszelki dramatyzm? Jeśli jakiś medialny bóg, albo ktoś w tym rodzaju, odwoła konfrontację sprowokowaną przez Leo Barnetta?

Jack uświadomił sobie, że gapi się na swoją aktówkę. Otworzył ją, wyjął telefon i polecił komputerowi połączyć go z Hiramem Worchesterem.

— Worchester? — zapytał. — Mówi Jack Braun. Dzwonię od Jacka Logana.

— Czy znalazł już potrzebne głosy? Sądząc z tego, co pokazują w telewizji, mamy poważne kłopoty.

Złoty Chłopiec sięgnął po butelkę i wychylił resztkę jej zawartości.

— Wiem — przyznał. — Właśnie dlatego chcę, żebyś oddał połowę naszych głosów Barnettowi podczas głosowania nad zasadą 9c.

— Lepiej, żebyś nas nie sprzedał, Braun.

— Nie zrobię tego.

— To byłoby klasyczne zagranie w stylu asa judasza, czyż nie tak? Szybkie pchnięcie nożem w plecy, a potem nowa посадка w mediach, dar wdzięczności od Barnetta.

Jack zacisnął pięść. Butelka eksplodowała w kaskadzie złotego światła.

— Zrobisz to czy nie? — zapytał, przyglądając się, jak zmiażdżone szkło wysypuje się z jego ręki niczym piasek.

— Chcę najpierw porozmawiać o tym z Greggiem.

— Możesz do niego zadzwonić, jeśli chcesz, ale jest zajęty. Po prostu bądź gotowy zmniejszyć liczbę swoich delegatów o połowę.

— Czy mógłbyś mi wytłumaczyć, co tu jest grane?

— Odwołujemy konfrontację. Jeśli Barnett wygra ze zbyt wielką przewagą, to niczego nie dowiedzie. Okaze się, że po prostu nie podjęliśmy walki. Jak w filmie. Nie możesz mieć pojedynku rewolwerowców, jeśli na ulicy pojawi się tylko jeden facet. Widzowie wyjdą z kina.

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza.

— Chcę pogadać z Loganem — zażądał wreszcie Worchester.

— Rozmawia przez inny telefon.

— Czemu miałbym ci zaufać?

Wściekły gniew grubasa ranił ucho Jacka.

— Nie mam teraz czasu o tym dyskutować. Zrób to albo nie. Jak chcesz. Wszystko mi jedno. Ale bądź gotowy ponieść potem odpowiedzialność za swoją decyzję.

— Jeśli Gregg przegra przez ciebie wybory...

Jack roześmiał się głośno.

— Oglądałeś ABC? Już w tej chwili mówią, że nasz kandydat zaraz się wycofa.

Braun przerwał połączenie, a następnie zadzwonił do swego asystenta, Emila Rodrigueza. Powiedział mu, że nie przyjdzie dziś na głosowanie i przekazuje mu kierowanie delegacją, ale ma wycofać połowę głosów w sprawie zasady 9c, a potem stać niezłomnie w obronie kalifornijskich delegatów.

Następnie zaczął dzwonić do wszystkich szefów delegacji, które mają w kolejności najwięcej, aż do tych, które mają najmniejszą liczbę głosów. Gdy zakończył ostatnią rozmowę, z facetem kontrolującym dwa głosy Hartmanna z Wysp Dziewiczych, obrady wznowiono.

Danny Logan, leżący bez czucia na łóżku, zaczął chrapać. Jack włączył telewizor i usiadł w kącie, trzymając w ręce drugą butelkę whisky, którą zabrał

Loganowi. Atmosfera na konwencji była napięta. Delegaci pośpiesznie otoczyli swoich przywódców. Orkiestra grała — Boże, zmiłuj się — *Don't Cry for Me, Argentina*.

Jack czuł w żołądku narastający ucisk strachu.

Jim Wright, spiker Izby Reprezentantów oraz wybrany dziś po południu przewodniczący konwencji, ogłosił rozpoczęcie obrad. Senator z Wyoming wstał z miejsca i zgłosił wniosek o unieważnienie zasady 9c. Szyki walczących zdążyły się już sformować i debaty nie było.

Jack pociągnął bardzo długi łyk. Zaczęło się głosowanie. Przez następne dziesięć minut Peter Jennings, otoczony przez towarzyszących mu ludzi, mówił o zdumiewającej porażce Gregga Hartmanna. Jack słyszał ludzi chodzących po korytarzu. Dwukrotnie ktoś zapukał do drzwi, ale on to zignorował.

Potem David Brinkley ze swym nieodłącznym sardonycznym uśmieszkiem zaczął się głośno zastanawiać, czy nie dzieje się coś podejrzanego. Wymieniali się tą myślą z Koppelem i Jenningsem, podczas gdy pokazywały się nieoczekiwane wyniki. Po chwili jednomyślnie doszli do wniosku, że to był podstęp, a Barnett, Gore i cała reszta dali się nabrać.

Ktoś załomotał do drzwi.

— Logan? — zwołał Devaughn. — Jesteś tam?

Jack milczał.

Gdy już analizy dziennikarzy wyciekły na konwencję, w sali zapanował chaos. Tłumy delegatów miały się w tę i we w tę jak kawałki drewna unoszone na fali. Jack sięgnął po telefon i zadzwonił do Emila Rodrigueza.

— Zgłoś wniosek o głosowanie w sprawie kalifornijskiej delegacji. Natychmiast.

Szeregi przeciwników Hartmanna ogarnął całkowity zamęt. Cały ich plan spalił na panewce.

Hartmann bez trudu wygrał głosowanie w sprawie kalifornijskiej delegacji. Zza drzwi pokoju dobiegł ryk radości. Jack otworzył je, zawiesił na zewnątrz tabliczkę z napisem „nie przeszkadzać” i wyszedł na korytarz.

— Jack! — zawołała Amy Sorenson. Jej kasztanowe włosy powiewały, gdy biegła ku niemu przez oszołomiony radością tłum. — Byłeś tam? Czy to wy z Loganem to wymyśliliście?

Pocałował ją, w ogóle nie dbając o to, czy jej mąż to zobaczy.

— Zostało ci trochę pizzy? — zapytał. — Robię się głodny.

20:00

Grupa ludzi tłoczących się przy wejściu do Marriotta odsunęła się niespokojnie, gdy na chodniku wylądował Żółw. Blaise ześliznął się ze skorupy, bębniąc piętami o metal. Tachion poklepał z sympatią skorupę, a potem również

zszedł na ziemię.

— Dziękuję za wspaniałe popołudnie, Żółtuiu. To bardzo piękne miasto, jeśli patrzy się na nie z góry.

— Nie ma za co, Tachy.

Skorupa się oddaliła.

— Doktorze.

Kosmita odwrócił się, słysząc gładki, pięknie modulowany głos z silnym południowym akcentem.

— Dzień dobry, wielebny.

Tachion i Barnett nigdy się nie spotkali, ale poznali się natychmiast. Stali na schodach Marriotta, pożerając nawzajem wzrokiem swe twarze w poszukiwaniu kluczy, które pomogłyby im rozgryźć charakter rozmówcy. Leo Barnett był młodym mężczyzną średniego wzrostu, miał blond włosy, niebieskie oczy i dołek na podbródku. To była sympatyczna twarz i Takizjanin przez chwilę miał trudności z pogodzeniem wyglądu tego łagodnie przemawiającego mężczyzny ze znienawidzonym obrazem ze swych snów. Później jednak przypomniał sobie piękne twarze swych kuzynów — którzy bez wyjątku byli krwiożerczymi zbirami — i chwila dezorientacji minęła.

— Doktorze, czy nigdy nikt panu nie powiedział, że pewnych rzeczy nie robi się na ulicy, bo to straszy dzieci i płoszy konie?

W słowach kaznodziei pobrzmiwała wesołość i Tachion, który spodziewał się ataku, uspokoił się nieco.

— Wielebny, mieszkam na Ziemi dłużej niż pan na niej żyje, a chyba nigdy nie słyszałem tego wyrażenia.

Z otaczającego Barnetta tłumu wynurzyła się jakaś kobieta.

— Ono z reguły dotyczy seksu, a na ten temat z pewnością wie pan wszystko.

Długie, czarne włosy opadały jej kaskadą na ramiona i piersi, rzęsy barwy sadzy trzepotały na tle alabastrowych policzków, a osłonięte nimi oczy miały głęboką, ciemnoniebieską barwę.

Nieprawda, brązową!

Rzeczywistość przesunęła się nagle w bok, jak tramwaj, który wyskoczył z szyn. Tach poczuł, że oddech uwiązł mu gdzieś między przeponą a gardłem. Zachwiał się na nogach, łapiąc Blaise'a za ramię. Leo Barnett podskoczył bliżej, by podtrzymać go z drugiej strony.

— Doktorze, dobrze się pan czuje?

— Właśnie zobaczyłem ducha — wyszeptał ochryple Takizjanin. Chwila słabości minęła. Uniósł wzrok i spojrzał kobiecie prosto w oczy.

— To szef mojej kampanii, Fleur van Renssaeler — wyjaśnił Barnett, spoglądając nerwowo na kobietę.

— Wiem — odparł Tachion.

— Ma pan bardzo szybką orientację, doktorze.

Jej pierwsze słowa zabrzmiały agresywnie, ale teraz każdą sylabę przesycił gorzki sarkazm.

— Ma pani twarz po matce. — Skulił się lekko pod gniewem gorejącym w tych brązowych oczach. — Ale jej oczy były niebieskie.

— Ma pan nadzwyczajną pamięć.

— Pamiętam każdy szczegół jej twarzy.

— Czy to miało mi sprawić przyjemność?

— Mam nadzieję, że sprawiło. Ja bardzo się ucieszyłem na pani widok. Przez blisko dwa lata bawiliśmy się ze sobą co tydzień. — Roześmiał się łagodnie. — Pamiętam, że bardzo pani lubiła te okropne cukierki Candy Corn. Przez całe dni lepiły mi się od niej kieszenie.

— Nigdy pan nie był w naszym domu. Ojciec by do tego nie dopuścił.

Tach poczuł, że opada mu szczęka.

— Przejmowałem kontrolę nad umysłami służby. Matka rozpaczliwie pragnęła panią zobaczyć.

— Moja matka była cholerną dziwką. Opuściła dla pana męża i dzieci.

— Nieprawda. Pani ojciec wyrzucił ją z domu.

— Dlatego, że kurwiła się z panem!

Fleur spoliczkowała go, tak mocno, że głowa mu się obróciła. Tachion niepewnie dotknął piekącego policzka, a potem ruszył w stronę kobiety.

— Nie...

Barnett położył dłoń na jego ramieniu.

— Doktorze, ta rozmowa wyraźnie wyprowadza z równowagi zarówno pana, jak i pannę van Renssaeler. Uważam, że powinniśmy ją zakończyć.

Duchowny wyciągnął rękę do Fleur. Kąciki ust kobiety opadły, jakby jej wargi nagle stały się cięższe. Otaczała ją aura seksu. Barnett pomógł jej wsiąść do taksówki, jakby pragnął się od niej uwolnić.

— Być może będziemy mieli jeszcze kiedyś okazję porozmawiać, doktorze. Przyznaję, że bardzo mnie interesują przekonania religijne znane w waszym świecie. Jest pan chrześcijaninem?

— Nie.

— Powinniśmy porozmawiać.

Taksówka, do której wsiadła Fleur, odjechała. Tachion śledził ją wzrokiem w osłupieniu.

— O co tu chodziło, na Ideał?

Takizjański zwrot wypowiedziany po angielsku z silnym akcentem Blaise'a zwiększył tylko dezorientację Tachiona.

Takizjanin uniósł do ust złożone w piramidkę palce.

— Och, przodkowie. — Objął mocno ramiona wnuka. — Tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy.

— Nie chrań. O czym ty, kurwa, gadasz?

— Uważaj na język.

Ruszyli w stronę hotelu.

— *K'ijdad*, kim jest ta stara *femme*?

— Nie jest stara... trochę starsza niż jej matka, kiedy ją utraciłem. Przestań używać takizjańskich i francuskich słów w tym samym zdaniu. To doprowadza mnie do szaleństwa.

— Opowiedz mi o tym — zażądał chłopiec.

— Muszę się napić — oznajmił Tachion, przenosząc spojrzenie z wind na bar.

Pianista był na stanowisku. Brzdąkał podrasowaną wersję *Smoke Gets in Your Eyes*.

— Brandy — warknął kosmita do przechodzącej obok kelnerki.

— Piwo. — Blaise skulił się pod ostrym spojrzeniem dziadka. — Colę — poprawił się z przygnębieniem.

Czekali w milczeniu, aż przyniosą im napoje. Tachion pociągnął długi łyk.

— To było zaledwie kilka miesięcy po uwolnieniu wirusa. Blythe zaraziła się dziką kartą i przywieźli ją do szpitala, w którym pracowałem. Była najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu, i chyba zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. — Blaise wzniósł oczy ku niebu. — Tak było — zapewnił ze skrzepowaniem dziadek Blaise'a.

— I co wydarzyło się potem?

— Moc Blythe pozwalała jej absorbować umysły. Archibald Holmes zwerbował ją do antyfaszystowskiej organizacji znanej jako Czwórka Asów. Pozostałymi jej członkami byli Jack, Earl Sanderson i David Harstein. Blythe przechowywała umysły Einsteina, Oppenheimera i bardzo wielu innych, w tym również mój. Tymczasem Jack, Earl i David krążyli po świecie, obalając dyktatury, ścigając nazistów i tak dalej. Później, w czterdziestym ósmym, spróbowali rozwiązać problem Chin. David grał kluczową rolę w negocjacjach, ponieważ miał potężną moc feromonów. Dzięki niemu maoiści i kuomintangowcy pocałowali się i poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń. Ale potem David opuścił Chiny razem z towarzyszami i oczywiście pokój szlag trafił.

Tachion uniósł palec, zamawiając kolejną brandy.

— W tym okresie podejrzliwość wobec dzikich kart się nasilała. Podobnie jak dzisiaj. Chiny dały ich wrogom pretekst, którego potrzebowali. Zaatakowali Czwórkę Asów, oskarżając ich o komunizm. Ale to również był tylko pretekst. Ich prawdziwy grzech polegał na tym, że byli inni. Byli czymś więcej niż ludzie. Wezwano nas do stawienia się przed Komisją ds. Działalności Antyamerykańskiej.

Chcieli poznać nazwiska wszystkich asów, których leczyłem. Odmówiłem odpowiedzi, ale wtedy...

Pociągnął długi łyk brandy. Ta opowieść nigdy nie stawała się dla niego łatwiejsza.

— Mów dalej — naciskał Blaise. W jego ciemnych oczach lśniła ekscytacja.

— Jack został tak zwanym sprzyjającym świadkiem — podjął Tachion głosem pozbawionym wszelkich emocji. — Oznajmił komisji, że Blythe pochłonęła mój umysł. Moje wspomnienia.

— Wezwali ją i zaczęli maglować. Żonglowanie tak wieloma umysłami bardzo ją stresowało. Poza tym Blythe była... krucha. Miała już wydać innych asów, a do tego nie mogłem dopuścić. Dlatego zapanowałem nad jej umysłem i w ten sposób go zniszczyłem. Popadła w nieuleczalny obłąd i mąż kazał ją zamknąć w zakładzie. Umarła tam w pięćdziesiątym czwartym.

— Kim był jej mąż?

— Kongresmenem z Nowego Jorku. Było też troje dzieci. Henry Jr, Brandon i Fleur. Zgubiłem ich ślad w czasach, gdy przebywałem w Europie.

— Wtedy spotkałeś George'a.

— Tak.

— To bardzo skomplikowane.

— Ciesz się, że nie musiałeś tego przeżyć.

— A więc to są te stare dzieje, o których nigdy nie chciałeś opowiadać, kiedy cię pytałem, dlaczego tak często kłócicie się z Jackiem.

— Tak. Przez lata uważałem, że to była jego wina. Ale potem uświadomiłem sobie, że to ja doprowadziłem do zguby Blythe. Jack był tylko jednym z ogniw długiego łańcucha. Moja rodzina, która stworzyła wirusa; Archibald Holmes, który ją zwerbował; mąż, który ją odrzucił; Jack, który okazał się słaby; i ludzkość, która jest podła.

Jack wessał głośno resztkę coli przez słomkę.

— Kurde, to tragiczne, nie?

— Jest piękna, prawda?

— Fleur? — Chłopak wzruszył ramionami. — Pewnie tak.

— Muszę się z nią zobaczyć, Blaise. Wytłumaczyć, jak było naprawdę. Pragnę, by mi wybaczyła.

— A właściwie po co?

— Na płonące niebo, popatrz, która godzina! Pięć minut temu miałem się spotkać z delegatami z Teksasu. Kup coś na kolację i zanieś to do pokoju. Ale unikaj kłopotów! Muszę się przebrać.

Kiedy Tachion wszedł do pokoju, dzwonił telefon. Złapał za słuchawkę i usłyszał syk zamiejscowej rozmowy.

— Czy przyjmie pan rozmowę na koszt odbiorcy od pana Thomasa Downsa?

— zapytała chłodnym, znudzonym głosem telefonistka.

Tach zaniemówił na moment, nie potrafiąc uwierzyć w bezczelność dziennikarza.

— Tachy, musisz mnie wysłuchać...

Telefonistka skarciła Downsa lodowatym tonem.

— Proszę pana, tej rozmowy nie przyjęto.

— Tachy, słuchaj. Coś strasz...

— Proszę pana!

— Pomóż mi...

— Czy przyjmie pan rozmowę!

— ...okropne kłopoty!

— Nie!

Tachion walnął słuchawką o widełki tak mocno, że aż brzęknęła na znak protestu. Kiedy zdejmował koszulę, telefon zadzwonił znowu.

— Rozmowa na koszt odbiorcy...

— nie!

Telefon dzwonił jeszcze siedem razy. Po trzeciej próbie Takizjanin przestał odpowiadać. Przenikliwy dźwięk dzwonka był jak wiertarka wnikająca w jego czaszkę. Pośpiesznie przebrał się w jak zwykle zdobny strój — jasnoróżowo-lawendowy, obszyty srebrnymi koronkami. Wychodząc na korytarz, zawahał się na moment. *Pomóż mi. Jak miałbym mu pomóc?* — Potrząsnął z emfazą głową. Kopacz zbyt często już wplątywał go w swe żalosne problemy żalosego dziennikarzyny. Nie tym razem.

Mam wystarczająco wiele własnych kłopotów.



Spector nie odwiedzał tego sklepu od półtora roku — od Dnia Dzikiej Karty, gdy Astronom zginął w blasku chwały. Z niewielką pomocą tego konkretnego nieprzyjaciela, rzecz jasna. Garnitur, który wtedy kupił, nie dotrwał do końca dnia, ale tego akurat dnia nie przeżyło też wiele innych rzeczy. Staruszek prowadzący sklep wydawał się w porządku. Nie zaszkodzi dać mu trochę zarobić. Jeśli miał się zatrzymać w eleganckim hotelu, musi mieć jakieś porządne łachy. Bez nich rzucaliby się w oczy jak dzoker na pokazie mody.

Gdy tylko wszedł do środka, zorientował się, że popełnił błąd. Przedtem panował tu półmrok i wszędzie było pełno kurzu. Sklep był stary jak człowiek, który go prowadził. Teraz odnowiono go, pomalowano ściany i zainstalowano jaśniejsze lampy. Nawet samo wnętrze pachniało nowością.

Spector odwrócił się ku wyjściu, ale nagle ktoś go zawołał.

— Hej, niech pan wejdzie. Jeśli szuka pan ładnych ubrań za wysoką cenę, trafił pan we właściwe miejsce. Mam na imię Bob. Nazwisko jest na szyldzie na

zewnątrz. Niech mi pan powie, czego pan potrzebuje, a zaraz znajdę coś odpowiedniego.

Spector przyjrzał się Bobowi. Sprzedawca był dobrze ubrany, choć nie zmieniało to faktu, że wkroczył już w wiek średni. Miał jednak spojrzenie i uśmiech kanciarza. As pragnął tylko kupić ubranie i wyjść stąd jak najszybciej.

— Potrzebuję dwóch garniturów. Jednego ciemnoszarego i jednego jasnoszarego. Rozmiar XL. Nie za drogie.

Bob pogłaskał się po podbródku z grymasem niezadowolenia na twarzy.

— Nie sądzę, by w szarym było panu do twarzy. Lepsze byłoby coś z brązów. Proszę pójść ze mną. — Złapał Spectora za łokieć i podprowadził go do jednego z luster. — Niech pan chwilę zaczeka.

Spector rozejrzał się po sklepie. Nie zauważył nikogo innego, był sam na sam z Bobem.

Sprzedawca wrócił truchtem, niosąc jasnobrązowy płaszcz. Skierował klienta ku lustru i uniósł płaszcz przed nim.

— I co pan na to? Świetny, co? Tylko czterysta pięćdziesiąt dolarów, plus przeróbki, oczywiście. To jakby pan go ukradł.

— Mówiłem, że chcę dwa garnitury. Jeden jasnoszary. I jeden ciemnoszary.

Bob westchnął.

— Proszę wyjrzeć na ulicę. Czy widzi pan tam wielu ludzi w szarych garniturach? Jeśli chce pan się wyróżniać, robić wrażenie, musi się pan ubierać stosownie do tego. Proszę mi zaufać.

Spector go nie słuchał. Oddychał miarowo i koncentrował się. Przypominał sobie ból. Cierpienia, które towarzyszyły jego śmierci.

— Dobrze się pan czuje?

Spector zwrócił się w stronę Boba i spojrzał mu w oczy. Ich spojrzenia się spotkały. Bob nie mógł odwrócić wzroku, a Spector nie chciał tego zrobić. Wspomnienie jego śmierci przesłoniło wszystko. Przekazał je człowiekowi, który stał przed nim. Jego trzewia wykręcały się i płonęły. Skóra pękała i schodziła. Mięśnie się zrywały, a kości pękały. Śmierć Spectora ożyła na nowo w jego umyśle. A Bob również ją poczuł. As zadrżał, przypominając sobie chwilę, gdy serce mu pękło. Bob wciągnął gwałtownie powietrze. Nogi ugięły się pod nim. Padł na podłogę. Był martwy. Tak samo jak jego zabójca, nim Tachion przywrócił mu życie.

Spector rozejrzał się wkoło. Nadal byli sami. Złapał Boba pod pachy i pociągnął do jednej z przebieralni. Następnie wrócił do wieszaków i wybrał sobie dwa szare garnitury. Jeden ciemny i jeden jasny.

Owinał je w plastik i wyszedł na ulicę.

— Klient zawsze ma rację, Bob. To najważniejsza zasada w interesach.

— Problem z Jacksonem jako kandydatem na wiceprezydenta polega na tym, że to będzie nas kosztowało porażkę. Nie chodzi o to, że jestem rasistą czy coś w tym rodzaju.

— Ale mówi pan jak rasista — przerwał mu Tachion. Na czole Bruce'a Jenkinsa pojawił się potężny mars. Ponieważ pozostały mu tylko drobne kępki włosów nad wielkimi, czerwonymi uszami, wyglądało to tak, jakby całą jego głowę pokryły fałdy na podobieństwo rozdartej wstrząsami Ziemi. — Nie chcę sugerować, że pan nim jest — dodał pośpiesznie kosmita, uświadomiwszy sobie, że takizjańska szczerłość może nie być na miejscu wśród polityków. — Ale dlaczego dyskutujemy o tych, którzy rywalizują o trzecie miejsce, choćby nawet byli nie wiedzieć jak interesujący i charyzmatyczni? Naprawdę ważni są tylko senator Hartmann i Leo Barnett.

— Wielebny.

— Słucham?

— Wielebny Barnett. Posługuje się pan tytułem Hartmanna. Leo również zasługuje na swój.

— Czy wreszcie przejdziemy do rzeczy, panie Jenkins?

— Tak. Teksas zdecydowanie popiera wielebnego.

— I chce pan zadbać o to, by tak zostało.

— Jeśli się uda. Nie chcę sugerować, że Gregg Hartmann nie jest dobrym człowiekiem. Jest nim. Dlatego uważam, że Barnett i Hartmann mogą się złożyć na dobrą listę wyborczą.

— To niemożliwe!

— Niech pan nie będzie zbyt pochopny, doktorze. Polityka często przypomina handel końmi. Nie może pan być zbyt sztywny.

— Panie Jenkins, jeśli chodzi o zwycięstwo Demokratów w listopadzie, Leo Barnett jako kandydat na prezydenta byłby katastrofą. W tym kraju nadal nie brakuje ludzi, którzy nie chcą, by kierował nim religijny przywódca. Poza tym Barnett to kandydat jednego problemu.

— Nie, doktorze. Myli się pan. To pan widzi go jako takiego kandydata, ponieważ dzikie karty są pańską obsesją. Leo reprezentuje wielu prostych Amerykanów, którzy niepokoją się moralnym upadkiem tego kraju.

Obaj mężczyźni wyszli z restauracji Bello Mondo. Z lewej strony dobiegał ich stukot sztućców o porcelanę. Dziennikarze, inne osoby towarzyszące konwencji oraz mniej zamożni delegaci jedli posiłek w barze kawowym Marriotta. Tachion przyglądał się z zaszępioną miną transparentom rozciągniętym nad nieprawdopodobnie przestronnym atrium.

Wtem usłyszał ostry stuk wysokich obcasów. Poderwał się i odwrócił błyskawicznie, poczuwszy, że zimne palce dotykają jego karku tuż poniżej linii

włosów. Sara skrzywiła się boleśnie, gdy zacisnął na nich dłoń. Czerwień, która zapłonęła na jej policzkach, wydawała się gniewna na tle nienaturalnej bieli jej skóry.

— Przyszłam po oświadczenie. Chciałam też zapytać, czy mogę w czymś pomóc.

Tachion potrząsnął głową.

— Słucham?

Odsunęła się nieco. Jej nozdrza się rozszerzyły.

— Chodzi o Poczwarkę.

— To znaczy?

— Ona nie żyje.

Te słowa były dla niego równie bolesne, jak policzek wymierzony przez Fleur. Takizjanin postąpił dwa szybkie kroki, wyciągając rękę w poszukiwaniu punktu oparcia. Potem zacisnął dłoń na kościstym barku kobiety.

— Nie żyje?!

— Nie wiedział pan o tym?

— Nie... byłem zajęty. Przez cały dzień.

— Rozumiem. — Jej głos wypełniła gorycz. Sara nagle zrzuciła maskę łagodnej sympatii, zasłaniając dotąd jej bladą twarz. — Przepraszam, że dowiedział się pan ode mnie.

Jenkins podszedł do niego ostrożnie.

— Doktorze, mam wrażenie, że otrzymał pan złe wieści. Porozmawiamy przy innej okazji.

Sara chwyciła obiema dłońmi ramię Tachiona i pociągnęła go ku windom.

— Widzę, że to był szok. Bardzo pan pobladł. Może powinien się pan położyć.

— Muszę się napić.

Kobieta uczepliła się nieustępliwie jego ramienia.

— Ma pan coś u siebie w pokoju?

— Tak — potwierdził, przyglądając się jej z zaszępioną miną.

— Chodźmy... chodźmy tam. — Przesunęła bladym językiem między zbyt cienkimi wargami. — Muszę... muszę z panem porozmawiać.

Gdy winda ruszyła w górę, do wypełniającej go emocjonalnej burzy dołączyły fizyczne zawroty głowy.

— Poczwarka. — Potrząsnął głową. — Niech mi pani o tym opowie.

Zrobiła to, w krótkich, urywanych zdaniach. Jej jasne oczy patrzyły prosto w liliowe oczy kosmity. Sprawiała wrażenie dążącej do mentalnego kontaktu. Tachion wzmocnił kontrolę nad swym umysłem. Nie chciał się dowiedzieć, co się kryje za tą pełną napięcia twarzą.

Zaprowadził Sarę do swego apartamentu i zatrzymał się przy barku,

wpatrzony w lustro nad nim. W zwisającej bezwładnie ręce trzymał butelkę brandy. Lustra. Poczwarzka je kochała. W jej buduarze było ich pełno.

Wyobraził sobie jej twarz czaszki z charakterystyczną plamą brokatu na przezroczystym policzku. Wyobraził sobie, jak wyglądała, gdy rozbito ją na krwawą miazgę. W pokoju zabrzmiał głośny szczęk szkła uderzającego o szkło.

Odwrócił się, unosząc kieliszki. Sara zniknęła. Usłyszał skrzypienie materaca i wszedł do sypialni. Wytrzeszczył oczy, zdumiony pozą kobiety. Sara założyła nogę na nogę i podwinęła spódniczkę do połowy uda. Przyjęła kieliszek i poklepała zalotnie łóżko obok siebie. Tachion usiadł ostrożnie, czując się jak człowiek dzielący miejsce z pająkiem.

— Tajemnice. — Pociągnął łyk z westchnieniem. — Podejrzewam, że Poczwarzka w końcu odkryła tajemnicę, która ją zabiła.

— Tak. — Sara wpatrywała się sztywno w przeciwległą ścianę. Otrząsnęła się i położyła dłoń na ramieniu Tachiona. Była ciężka i martwa. — Wiem, jak bardzo musiało to pana zboleć. Byliście ze sobą bardzo blisko.

Zdjął jej dłoń ze swego ramienia, uścisnął ją i położył obok.

— Nie jestem pewien, czy posunąłbym się tak daleko.

Dłoń Sary znowu podkradła się ku niemu. Jej palce zacisnęły się nagle na jego udach. Zaczęła go masować. Tachion łypnął na nią nerwowo. Na linii jej włosów pojawiły się kropelki potu. Wyczuła jego spojrzenie i uśmiechnęła się do niego, opuszczając powieki i wydymając usta. W mięśniach zaczęły go łapać kurcze od jej gwałtownego ataku.

— Jeszcze jeden? — zapytał, machając kieliszkiem.

— Och, tak, proszę — odparła ochryłym, gardłowym głosem.

Siedzieli i pili w milczeniu. Tachion czuł ucisk w brzuchu.

— Zastanawiam się... JEZU!

Zsunął się z łóżka, spadając na podłogę. Brandy wylała mu się na krocze.

Wsadził sobie palec w ucho i wytarł odrobinę wilgoci pozostałą po nagłym ataku języka Sary. To było tak, jakby ktoś wepchnął mu tam wacik umoczony w lodowatej wazelinie.

Sara pochyliła się nad Tachionem, gapiąc się na niego rozgorączkowanymi oczami.

— Pragnę cię! Pragnę cię! — wydyszała.

Gdy skoczyła na niego, to było tak, jakby oberwał grabiami. Kościste kolana, łokcie oraz miednica wbiły się w jego pierś, krocze i uda. Szarpali się ze sobą przez parę chwil. Sara zasypywała niewprawnymi pocałunkami wszystkie obszary jego ciała, których mogła dosięgnąć. Wreszcie zrzucił ją z siebie i umknął na drugą stronę łóżka.

— Co ty wyprawiasz, do cholery? — zawołał. Oczy wypełniły mu łzy wstydu i gniewu.

— Chcę się z tobą kochać!

— Jeśli to ma być żart, to jest w bardzo kiepskim guście! A może w świetnym, jeśli ktoś lubi okrutny takizjański humor.

— O czym ty gadasz! — krzyknęła, odgarniając włosy.

— Jestem impotentem! Impotentem! impotentem!

— Nadal?

W tym słowie zabrzmiało szczere zdumienie, które pozbawiło go ostatnich resztek panowania nad sobą.

— Tak, do chuja. A teraz zmiataj stąd do wszystkich diabłów!

Na jej policzkach wykwitły czerwone plamy. Sara rzuciła się na pierś Tachiona, gorączkowo splatając dłonie na jego karku.

— Błagam, nie. Nie mogę cię opuścić. Ja jestem następną, nie rozumiesz? Tylko ty możesz mi zapewnić bezpieczeństwo!

— Oszalałaś? Kto ci zagraża?

— Hartmann! hartmann! Zabił Andi i Poczwarkę. Teraz kolej na mnie!

— Nie będę dłużej tego słuchał.

— To potwór. Nieludzki! Zły!

— Rok temu pieprzyłaś się z nim tak, że mózg ci o mało nie wypadł.

— Zmusił mnie — odpowiedziała, dysząc ciężko.

— Słyszałem już wszystko, czego mi potrzeba. Jesteś szalona. — Tachion wybiegł z pokoju, ciągnąc za sobą Sarę niczym opornego żrebaka. Otworzył szeroko drzwi. — Jazda stąd. Jazda, jazda, jazda.

Wyrwała mu się i rzuciła na łóżko. Zwinęła się na nim, przyciskając poduszkę do piersi.

— Nie, nie, nie możesz mnie do tego zmusić. Nie wyjdę stąd — zawodziła, gdy uniósł ją w ramionach i powłókł się ku drzwiom. — Odczytaj mnie! Wejdz do mojego umysłu! — syczała, łapiąc go za klapy.

— Nie dotknę kloaki, którą nazywasz swoim umysłem.

Poczuł ogień, gdy przeorała paznokciami jego twarz.

— kiedy zginę, będziesz żałował.

— Już żałuję.

Tach zatrzasnął za sobą drzwi, otrzepał z niesmakiem płaszcz i ruszył do barku. Chwycił butelkę koniaku i napił się z gwinta. Zwrócił trunek, gdy stał się zbyt gorący w jego gardle. Otarł dłonią twarz i pisnął, gdy alkohol wniknął w rany pozostawione przez paznokcie.

Pomóż mi.

Nie chcesz mi uwierzyć. Kiedy zginę, będziesz żałował!

Rozbił butelkę o przeciwległą ścianę.

— mam już dość żalu!

Spector zaczesał włosy i zabrał się do skracania ich nożyczkami. Wiotkie, brązowe kosmyki spadały do brudnego zlewu. Radził sobie z tym niemal równie dobrze, jak prawdziwy fryzjer. W szkolnych latach dorabiał na boku strzyżeniem i był w tym całkiem niezły. Wziął w rękę pęknięte lustro i sprawdził włosy z tyłu.

— Nie najgorzej, kolego — powiedział do siebie. Nabrał na palec trochę płynu do pielęgnacji skóry i wtarł go w zaczerwienioną górną wargę. Bez wąsów i długich włosów wyglądał o wiele lat młodziej, prawie jak w college'u. Tylko pełne bólu oczy zmieniły się na zawsze. Gdy już umyje i wysuszy włosy, nie rozpozna go nikt, kto poznał go, odkąd stał się Zgonem. Oprócz Tachiona, oczywiście. On zawsze będzie wiedział.

Myśl o niskim kosmicie wytrąciła go z towarzyszącego mu z reguły ponurego nastroju. Jeśli zamach się uda, to z pewnością zrani Takizjanina. Pokiwał głową do swego odbicia w lustrze i wrócił do salonu. Wszystko wyglądało tu lepiej niż w jego mieszkaniu w Dżokerowie. Ściany pomalowano na szarzielono, a meble wykonano z mahoni lub innych rodzajów ciemnego drewna. Czasami nawet kogoś tu przyprowadzał. Wrócił do Teaneck po pobiciu przez Śpiocha. Biorąc pod uwagę piekło, jakie się potem rozpętało, trzeba to było uznać za dobry pomysł.

Osunął się na czarny futon i sięgnął po pilota. Samolot odlatywał dopiero jutro o dziesiątej. Zdąży się ze spokojem spakować rano. Przełączył telewizor na WABC. Ekran obudził się do życia i pojawił się na nim Ted Koppel.

— „...niewiele wiadomo o tej kobiecie o przezroczystej skórze, która postanowiła zbudować swe królestwo w samym środku nowojorskiego Dżokerowa. — Koppel marszczył brwi jeszcze silniej niż zwykle. — Policja skąpi informacji o domniemanym morderstwie, ale mówi się, że było ono wyjątkowo brutalne. Niewykluczone, że sprawcą był as dysponujący nadludzką siłą. Nim podamy wam nieliczne informacje o kobiecie zwanej Poczwarzką, jakie udało się nam zdobyć, posłuchajcie, co powiedziała dziś kapitan Angela Ellis, kierująca komisariatem w Dżokerowie”.

Obraz przełączył się na konferencję prasową, zorganizowaną w pozbawionej ozdób sali. Niska kobieta o ciemnych włosach i zielonych oczach stała przed lasem mikrofonów. Odkasznęła, umilkła na chwilę, a potem wsparła rozpostarte dłonie na mównicy.

— „Kobietę znaną powszechnie jako Poczwarzka znaleziono dziś rano martwą w prowadzonym przez nią lokalu. Jeśli specjaliści od medycyny sądowej orzekną, że mamy do czynienia z morderstwem, śledztwo rzecz jasna będzie prowadził nasz komisariat. Na razie nie mamy dla was więcej informacji. — Pytania reporterów natychmiast przerodziły się w chóralny ryk. Kapitan Ellis

unosła rękę. — To wszystko. Gdy tylko pojawią się nowe fakty, bezzwłocznie was z nimi zapoznamy”.

Spector sięgnął po butelkę whisky, którą zawsze trzymał przy futonie. Odkręcił nakrętkę i pociągnął kilka łyków.

— Niech to szlag.

Ta suka nigdy go nie obchodziła, ale coś w jej zabójstwie budziło jego niepokój. W powietrzu już przedtem unosiła się aura krwi i śmierci, a choć na ogół czuł się w takiej sytuacji komfortowo, intuicja mówiła mu, że wykonanie tego zadania będzie naprawdę bardzo trudne. Ale nie miał wyjścia. Pieniądze od Widmowych Pięści już się prawie skończyły i znowu potrzebował dużego zastrzyku forsy. Okazja sama wpadła mu w ręce i nie miał zamiaru jej zmarnować.

Po kolejnych łykach whisky znajomy, monotony głos Koppela wreszcie go uśpił. Spector zapadł w sen, zastanawiając się, jaka jest pogoda w Atlancie.



Tachion siedział zgarbiony przy barze, owijając nogi wokół szczebli wysokiego, chromowanego stołka. Od światła odbijającego się w wiszących kieliszkach do wina rozboleła go głowa, ale nie potrafił znaleźć w sobie energii, by odwrócić wzrok. Lustra. Te w Gabinetcie Luster, rozpryskujące się, gdy porywacze przyszli po Anielską Buzię. Twarz czaszki, odbijająca się pod setką różnych kątów, gdy wchodził do buduaru Poczwarke na górnym piętrze Kryształowego Pałacu. Niewidzialne wargi umalowane bladą różową szminką, zakrętas brokatu na przezroczystym policzku, niebieskie oczy unoszące się niesamowicie w kostnych oczodołach.

Pił w obu tych barach przez tyle lat, że wolałby tego nie pamiętać. A teraz Gabinet Luster zamykano po śmierci Desa w zeszłym roku.

Co się stanie z Pałacem?

Pijackie uzalenie się nad sobą przywołało łzy do jego oczu. Zastanowił się nad swym żalonym stanem.

— Hej, kolego? — odezwał się radosny, młody barman. — Jeszcze jeden?

— Jasne. Czemu nie? — Barman nalał mu kolejną brandy i Tachion uniósł kieliszek. — Za utraconych i opłakiwanych zmarłych.

Wypił trunek, nabazgrał na rachunku numer swego pokoju hotelowego i zsunął się ze stołka. Pomimo późnej pory w holu nadal kręciło się mnóstwo ludzi, ale Tach nie zauważył nikogo znajomego. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Jacka, ale miał ochotę jeszcze się napić i wspominać Poczwarke, a wysoki as jej nie znał.

Wałęsał się bez celu, aż wreszcie trafił na piętro, na którym urządzono przyjęcie zwolenników Barnetta. Słyszał cichy szmer głosów dobiegający zza drzwi. Wpatrywał się w nie intensywnie, próbując przywołać Fleur. Gapił się na

nie tak długo, że przyciągnęło to uwagę agenta Secret Service. Tach zauważył go i ruszył chwiejnym krokiem ku windowi.

Wrócił do pokoju i popatrzył na rozczochrane włosy śpiącego Blaise'a. Targnęło nim łkanie. Uklęknął przy łóżku i wziął chłopca w ramiona.

Wszyscy zawsze mnie opuszczają. Wszyscy, których kocham. Kocham cię tak bardzo. Nie opuszczaj mnie.

Rozdział drugi

Wtorek, 19 lipca 1988

8:00

Wieczorem był tak pijany i przygnębiony, że nie zauważył światełka w telefonie, informującego, że ma wiadomość. Po przebudzeniu doszedł do stanu, w którym potrafił skupić wzrok, a głowa nie wydawała mu się już nieprzyjacielską naroślą, którą nosił na ramionach. Wypił alka-seltzer, słuchając odległego sygnału w słuchawce.

— Klinika Imienia Blythe van Renssaeler.

— Mówi Tachion. Połącz mnie z Finnem.

— Hej, doktorze, na pewno już o tym słyszałeś.

— Tak.

— Mamy tu okropne zamieszanie. Nocą ktoś podpalił misję Barnetta, a na Chatham Square doszło do czegoś, co należałoby nazwać spontanicznymi demonstracjami. Próbowałem się z tobą skontaktować przez całe popołudnie.

— Wróciłem do pokoju bardzo późno.

— Asystowałem przy sekcji. Czy chcesz się zapoznać ze szczegółami?

— Pewnie muszę — odparł z westchnieniem Tachion.

Finn wyrecytował mu wszystko, czego się dowiedzieli. W tle Takizjanin słyszał ostry stukot. Centaur wielkości kucyka tańczył, nerwowo stukając czterema delikatnymi kopytkami.

— Trumna na pogrzebie na pewno będzie zamknięta — zakończył lekarz dzoker z nutą makabrycznego humoru.

— Cholera, pogrzeb. Kiedy ma się odbyć?

— Jutro o jedenastej.

— Przylecę, oczywiście.

— A jak wygląda sytuacja na twoim odcinku?

— Pełen chaos. Nie wiem nawet, ilu mamy teraz delegatów. — Zerknął na zegarek. — Posłuchaj, muszę już lecieć. Do zobaczenia jutro.

Tachion złapał kapelusz i zatrzymał się przez drzwiami łazienki.

— Idę na śniadanie z Jackiem! — ryknął, przekrzykując szum spływającej wody. — Spotkamy się o wpół do jedenastej i pójdziemy do Omni. Bądź na miejscu.

Odpowiedzi nie było. Blaise albo coś knuł, albo się obraził. Żadna z tych możliwości nie rokowała dobrze.



— Pani Morgenstern. — Braden Dulles był młodszy od niej, ale potrafił przemawiać oficjalnym, autorytatywnym tonem godnym Bena Bradlee, brzmiącym jak chrzęst żwiru pod oponami podczas zimowego dnia w Nowej Anglii, z dodatkowym trzaskiem i skrzypieniem szronu. — Stawia pani naszą gazetę na wyjątkowo trudnej pozycji.

Sara przesunęła się w łóżku, przyciągając zmiętą poduszkę. Miała na sobie grubą koszulę nocną z niebieskiej flaneli. Zawsze tak postępowała w hotelach. Zimą zakręcała ogrzewanie, latem puszczała klimatyzację na maksa, wkładała ciepłą koszulę nocną i przykrywała się licznymi warstwami pościeli. Lubiła poczucie izolacji, jakie jej to dawało.

Poruszyła z wysiłkiem powiekami. Na ogół była rannym ptaszkiem, ale wczorajszy incydent z Tachionem — skurwysyn ją wygonił! — całkowicie pozbawił ją sił. Nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, zaryzykowała powrót do pokoju i zapadła w sen cierpiących na kliniczną depresję. Spojrzała na radio z zegarem stojące na nocnym stoliku. Ósma zero zero. Gdyby nie obudził jej telefon od Dullesa, mogłaby spać aż do popołudnia.

— Niepokoi nas fakt, że pani zachowanie wskazuje, iż prowadzi pani personalną wendetę przeciwko najpoważniejszemu kandydatowi do prezydenckiej nominacji — podjął Braden, gdy nie odpowiadała.

Gorycz eksplodowała w niej niczym przekłuty pęcherz.

— Ma pan na myśli waszego wspaniałego chłoptasia?

— „Post” jest renomowaną gazetą działającą w stolicy kraju i zawsze zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka się z tym wiąże. Nie ulega wątpliwości, że w obecnej chwili senator Hartmann ma największe kwalifikacje ze wszystkich kandydatów na prezydenta.

— Uważa pan, że to odpowiednia chwila, by umieścić w Białym Domu psychopatycznego asa? Jezus, Ronnie Reagan tylko mniej więcej raz na dwa lata napadał na jakiś kraj, w którym nie powinno nas być. Ten człowiek... to stworzenie... karmi się ludzkim cierpieniem, Braden.

Nastała pełna bólu cisza. Sara wyobrażała sobie wyraz arystokratycznej twarzy dziennikarza oraz niepasujące do jego młodego wieku bruzdy otaczające kąciaki ust i rozchodzące się wokół oczu. Pielęgnował je, ponieważ dodawały mu powagi. Z pewnością wyglądał tak, jakby nagle poczuł w uświęconych salach „Washington Post” odór psiej kupy.

— Uważamy, że ta... obsesja szkodzi zarówno pani zawodowej reputacji, jak i opinii o naszej gazecie. Pani ostatni raport, jeśli mogę to tak nazwać, jest po prostu niewiarygodny. Nawet gdybyśmy byli skłonni zaakceptować podobny stek szalonych oskarżeń oraz insynuacji, nasz dział prawny nigdy nie pozwoliłby nam tego wydrukować. A do tego ta podjęta przez Leo Barnetta próba zniesławienia senatora Hartmanna. Doprawdy, Saro, jak pani mogła użyć swojego nazwiska

do równie, no cóż, niskiego przedsięwzięcia?

— Ludzie Barnetta nie pytali mnie o zdanie, Braden. Nic o tym nie wiedziałam. Przysięgam na Boga.

Uczepiła się słuchawki, jakby tylko ona pozwałała jej utrzymać się na nogach. Była chłodnym, twardym talizmanem dotykającym jej policzka.

— Zapewniła mnie pani, że oskarżenia są prawdziwe. Ale po kilku godzinach senator Hartmann wszystkiemu zaprzeczył, co naszym zdaniem zabrzmiało przekonująco.

Dlatego, że chcieliście dać się przekonać. Spróbowała sobie wyobrazić, jak „Washington Post” zareagowałby na takie ogłoszone od niechcenia *dementi* z ust polityka, na którego nie padł złoty blask aprobaty gazety. Gdyby to był Nixon, Robertson albo nawet Bush, ścigaliby go aż po kres świata.

Ale nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Biegle posługiwała się reporterską gadką, gdy chciała wyciągnąć z ludzi informacje, ale słowa zawsze ją zawodziły, gdy próbowała wyrazić coś, co było dla niej naprawdę ważne.

— Na koniec, pani Morgenstern, bardzo nas dziwi, że najwyraźniej nie zamierza pani wrócić do Nowego Jorku. Jest pani uznanym dziennikarskim autorytetem w sprawach Dżokerowa. Szczególnie niepokojący jest fakt, że nie chce się pani zainteresować morderstwem dokonany przy użyciu mocy asów. Mógłbym też dodać, że ofiara była osobą mającą wielkie wpływy w społeczności dżokerów. Słyszałem też, że była bliską przyjaciółką pani. Mam wrażenie, że tam właśnie powinna pani szukać swojego newsa.

— News jest tutaj, Braden. To ważniejsze niż zabójstwo w Dżokerowie. To dotyczy wszystkich. Pana, mnie, asów, dżokerów, ludzi w Ugandzie, całego świata. Prezydent ma bardzo dużą władzę, bardzo wiele...

Przerwała, żeby się nie potknąć i nie runąć na twarz. Dlatego właśnie wołała słowo pisane. Mówione zawsze miało tendencję do wymykania się spod kontroli. Zaczepnęła oddech.

— Sugeruje pani, że senator Hartmann osobiście zatłukł panią Jory na śmierć?

— Nie. Do licha, niech pan nie udaje głupiego. Kazał komuś to zrobić, wykorzystując swoją moc asa albo swoją pozycję. I co to za różnica, do licha? Jest winny, tak samo jak don mafii, który zleca zabójstwo.

Dulles westchnął.

— Szczerze żałuję, że musi do tego dojść. Rozpad osobowości poważnie zaszkodził pani profesjonalizmowi. W związku z tym jesteśmy przekonani, że kontynuacja naszej współpracy nie leży w interesie ani pani, ani naszej gazety.

— Wywalacie mnie? — Jej głos wzbił się aż pod sufit. — Niech pan to powie, Braden. Niech pan pokaże, że ma pan jaja, niech pan to powie!

— Powiedziałem już wszystko, co konieczne, pani Morgenstern. Dodam, że

osobiście mam nadzieję, że poszuka pani pomocy terapeuty. Ma pani zbyt wiele talentu, by zmarnować wszystko z powodu uzależnienia.

— Uzależnienia?

Ledwie zdołała wypowiedzieć to słowo.

— Uzależnienia od strachu. Od ekscytacji wywołanej myślą, że znajduje się pani w samym centrum wielkiej, złowrogiej i groźnej tajemnicy. Uzależnienia to choroba lat osiemdziesiątych. Żegnam, Saro.

Usłyszała stuk odkładanej słuchawki, a potem biały szum. Wyobraziła sobie, jak Braden Dulles unosi ręce, i tak już nieskazitelnie różowobiałe, i wykonuje w powietrzu gest ich umywania.

Cisnęła telefonem na drugi koniec pokoju. Następnie wstała z łóżka, żeby się ubrać. Czuła się jak pęknięta porcelanowa lalka. Jakby każdy ruch, a nawet zaczerpnięty oddech, mogły sprawić, że jej odłamki rozsypią się po całym dywanie.

9:00

Tach zauważył z nagłym rozbłyskiem niemalże grzesznej przyjemności, że nawet wśród najważniejszych ludzi w kraju nadal przyciąga uwagę mediów. Dyskretne aluzje, które rzucili wczoraj z Jackiem, wydały owoce. Dziennikarze kłębili się i przepychali, robili próby mikrofonów i sprawdzali kamery. Jack wykonał świetną robotę, przygotowując całe wydarzenie. Wybrał stolik ustawiony w równej linii z niską ścianką dzielącą bar kawowy w atrium od przejścia. Technik włączył podłogowe lampy, kierując ich blask na wysokiego, jasnowłosego asa. Jack przymrużył powieki, osłaniając oczy ręką.

— Miałeś złą noc? — zapytał Tach, siadając obok Złotego Chłopca. Mówił bardzo cicho, by jego słowa nie dotarły do plastikowych fallusów, wyciągających się już w ich kierunku.

— Późno się położyłem. Mieliśmy problem z próbą podważenia zasady 9c, ustalającej, jak się dzieli głosy delegatów poprzednio zobowiązanych...

— Oszczędź mi nudnych szczegółów, Jack. Wygraliśmy czy nie?

— Tak, dzięki mnie. Udało się nam odrzucić wniosek w sprawie delegatów z Kalifornii. — Jack wypił łyk kawy i zapalił papierosa. — Masz pojęcie, jak to rozegramy?

— Nie.

— Rewelacja — odparł skwaszonym tonem.

Kąciki ust Tachiona uniosły się w lekkim uśmiešku.

— Pewnie mógłbym po prostu okrążyć stół i pocałować cię zmysłowo.

— Zabiłbym cię za to.

Tach osłonił oczy dłonią i rozejrzał się po tłumie. Zauważył, że wśród obecnych są Brokaw i Donaldson. Sokolica, która zawsze umiała wybrać

odpowiednią chwilę na wejście, sfrunęła z dziesiątego piętra. Podmuch wywołany ruchem jej wielkich skrzydeł poruszył menu i zniszczył modelowane fryzury. Kamery obróciły się, by zarejestrować jej lądowanie.

Tachion sięgnął do niej telepatycznie.

Dzień dobry, słodka. Jesteś gotowa zrobić nam publicity?

W każdej chwili, mój drogi Tachy.

— Panie Braun, doktorze, czy to nie dziwne, że spotykacie się przy śniadaniu? — odezwała się śpiewnie Soko.

— Co w tym dziwnego? — zapytał w odpowiedzi Tach pozbawionym wyrazu głosem.

Sam Donaldson przechwycił piłeczkę, zadając kolejne pytanie typowym dla siebie twardym *staccato*.

— Wasza wzajemna antypatia jest dobrze udokumentowana. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, w wywiadzie dla „Time’a”, powiedział pan, doktorze, że Jack Braun to najgorszy zdrajca w całej historii Ameryki.

Jack zeszywniał i zdusił camela. Tachion przez chwilę poczuł żal na myśl o tym, przez co będzie musiał przejść.

— Panie Donaldson, mógłby pan zwrócić uwagę na fakt, że to było szesnaście lat temu. Ludzie się zmieniają. Uczą się wybaczać.

— To znaczy, że wybaczył pan panu Braunowi, to co wydarzyło się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym?

— Tak.

— A pan, panie Braun? — wtrącił Buckley z „New York Timesa”.

— Ja nie mam nic do wybaczenia. Został mi jedynie żal. To, co się wydarzyło w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, było skandalem. Widzę, że teraz to się może powtórzyć. Dlatego postanowiłem tu przybyć, by wygłosić słowa ostrzeżenia. Łączy nas z doktorem Tachionem coś więcej niż tylko przeszłość. Zbliżył nas podziw dla Gregga Hartmanna.

— Zatem to senator skłonił was do zawarcia zgody?

— Tylko w ten sposób, że służył nam przykładem — odparł Tach. — Był jednym z organizatorów zeszłorocznej ekspedycji Światowej Organizacji Zdrowia, mającej zbadać położenie dzikich kart na całym świecie. Senator wygłosił poruszające przemówienie o pojednaniu i gojeniu starych ran. — Zerknął na Jacka. — Myślę, że obaj wzięliśmy sobie jego słowa do serca.

— Łączy nas również coś innego — podjął Braun. — Jestem dziką kartą. Jedną z pierwszych. A doktor Tachion poświęcił czterdzieści dwa lata na pomaganie ofiarom tego wirusa.

Była to miła przesada, ale Tach go nie poprawiał. Musiałby wtedy wspomnieć o fakcie, że przez trzynaście lat, od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego do sześćdziesiątego trzeciego, był bezużytecznym alkoholikiem, wałęsającym się

po ulicach i rynsztokach Europy albo Dżokerowa. A powodem jego upadku i deportacji były pamiętne przesłuchania prowadzone przez HUAC oraz zdrada Jacka.

— ...co więcej, obu nam nie podoba się to, co się obecnie dzieje w naszym kraju. Nienawiść powróciła i boimy się tego.

Tachion wyrwał się ze wspomnień.

— Czy oskarża pan wielbego Barnetta o podsycanie płomieni nienawiści i nietolerancji? — zapytał młody mężczyzna o poważnej minie, pracujący dla CBS.

— Jestem przekonany że Leo Barnett to człowiek wierny swoim zasadom. Ale to samo można powiedzieć o Nur al-Allahu z Syrii, a w owym nieszczęsnym kraju widzieliśmy, jak dżokerów kamienowano na ulicach. Czy podobne cierpienia są czymś, co chcielibyśmy zobaczyć w naszej ojczyźnie? — Takizjanin potrząsnął głową. — Nie sędzę. Gregg Hartmann...

— Jest ukrytym asem i zabójcą — rozległ się cichy, wysoki głos, dobiegający z tłumu.

Ludzie odsunęli się od Sary, odepchnięci wyrazem szaleństwa na jej szczupłej twarzy. Tachion omal nie wstał z krzesła.

— Niech to szlag! — mruknął Jack Braun.

— Co pan zamierza w tej sprawie zrobić, doktorze Tachion? To jeden z pańskich ludzi. Jeden z pasierbów diabła. Tylko pan może go powstrzymać.

Słowa Sary zrobiły się niewyraźne od płaczu.

— Zrób coś — wyszeptał Jack. — Zapanuj nad jej umysłem. Cokolwiek.

To tylko pogorszyłoby i tak już złą sytuację — odpowiedział pełnym goryczy telepatycznym przekazem Takizjanin.

Tłum reporterów zwrócił się w stronę kobiety niczym stado drapieżców, które zwęszyło krew. Sara pobladła i cofnęła się trwoźnie.

— Pani Morgenstern! Na jakiej... Czy ma... dowody... czy „Post”...

Głosy z każdą chwilą przybierały na intensywności. Przeciężone nerwy Tachiona sprawiały, że odbierał je jako fizyczne zjawisko, falę gotową zalać kruchą kobietę.

Sara odwróciła się błyskawicznie i zniknęła w tłumie podekscytowanych gapiów. Tachion spojrział na zgłodniałe twarze dziennikarzy i pochylił głowę. Będzie musiał ich nakarmić.

Matki mojej matki, wybaczcie mi — pomyślał i rzucił Sarę wilkom na pożarcie.

— Biedna dziewczyna nie radzi sobie dobrze ze stresem. Wczorajsze rewelacje dotyczące jej i senatora Hartmanna...

— Czy mieli romans? — warknął Donaldson.

— Nie. Dziewczyna zakochała się w senatorze i nie potrafiła zaakceptować jego odmowy. Myślę, że jest rozdarta między miłością do niego a pragnieniem

zemsty. Piekło nie zna takiej furii, jak kobieta wzgardzona...

Jego głos umilkł.

— Tak jest — poparł go Jack. — Podczas wyprawy próbowałem przyciągnąć zainteresowanie tej młodej damy, ale ona miała obsesję na punkcie senatora.

— To smutne — dodał Tachion. *Ale nie aż tak smutne jak to, co jej przed chwilą zrobiłem.*



— Kim pan jest do licha? — zapytała przenikliwym głosem Sara.

Mężczyzna, który złapał ją za ramię, zignorował te słowa. A może po prostu zagłuszył je tumult zadawanych pytań i gniewu zalewający ją niczym tsunami.

Coś w jego zachowaniu sugerowało jednak, że prawdziwa jest ta pierwsza możliwość.

Dyskretne zbiry z ochrony — ubrane w trzyczęściowe garnitury i mrużące coś do mikrofonów u gardeł — pierwsze otrząsnęły się z oszołomienia i ruszyły w jej stronę. Osamotniona Sara stała prosto, rzucając im wyzwanie w swej bladozielonej spódnicy oraz białej bluzce z długimi rękawami. Brodę unosiły jej koronki zdecydowanie skromniejsze od noszonych przez Tachiona. Pozwoliła, by fale hałasu spłynęły po niej. Wylała prawdę na dywan niczym gówno, lśniące i śmierdzące w gorącym blasku reflektorów. Nie sposób już było jej przeoczyć ani ukryć. Była gotowa ponieść konsekwencje swego czynu.

Czyjaś dłoń złapała ją za nadgarstek. Odwróciła się, gotowa wymierzyć kopniaka w osłonięte gabardyną krocze, ale zamiast młodego mięśniaka zobaczyła niskiego, posiwiałego, łysiejącego mężczyznę z brzuszkiem, noszącego koszulkę z Myszka Miki. Psy stróżujące nawet się do niej nie zbliżyły.

Nieznamy pociągnął ją ku bocznym drzwiom z umiarkowaną, lecz niepowstrzymaną siłą, jak holownik z East River. Zbiry z ochrony ugrzęzły w tłumie delegatów i reporterów, obrzucających się nawzajem pytaniami. Gdy po raz ostatni spojrzała w stronę sali, zobaczyła, że Jack Braun gapi się na nią ze speszoną miną godną Sonny'ego Tuftsa, natomiast siedzący obok niego Tachion z neurotyczną trwogą, jak niedożywiony lokaj z czasów regencji, którego pracodawca właśnie pierdnął w garderobie.

Jej wybawca — czy kim tam właściwie był — pociągnął Sarę wzdłuż korytarza pełnego gapiących się na nich bez zainteresowania ludzi. Po chwili skręcił w boczny korytarz służbowy i wykorzystał impet, którego zdążył nabrać, by obrócić kobietę i oprzeć ją plecami o ścianę. Zgraja reporterów przemknęła głównym korytarzem, podążając za fałszywym tropem.

— Nie tak się to robi — rzekł jej mężczyzna. Miał poważną twarz dobrego wujka, jaką widuje się jedynie u aktorów charakterystycznych w telewizji. Jego

akcent był chyba... rosyjski?

Sara straciła panowanie nad sobą. To było po prostu zbyt niezwykle. Wyrwała rękę z jego uścisku, przerażona bardziej samym kontaktem niż jego możliwymi implikacjami.

Złapał ją ponownie.

— Nie! Musi mnie pani wysłuchać. Grozi pani wielkie niebezpieczeństwo...

Co ty nie powiesz? Przecisnęła się między nim a ścianą i uciekła, gubiąc po drodze but na wysokim obcasie. Uderzyła o ścianę i oparła się o nią rękami, ale nie zatrzymała się ani na chwilę, machając gwałtownie nogą, by uwolnić się od drugiego buta.

— Ty mała kretynko! — zawołał za nią mężczyzna. — Prawda, którą znasz, może zabić!

But wreszcie spadł. Zawirował w powietrzu i uderzył o przeciwległą ścianę. Sara uciekła.

10:00

Gregg nie przypominał sobie, by przespał tej nocy choć chwilę. O szóstej zadzwoniła Amy, by zapoznać go z harmonogramem na rano. O siódmej był umówiony na spotkanie z Andrew Youngiem w Pompano's. O siódmej czterdzieści pięć miał konferencję z Tachionem, Braunem i innymi lobbystami oraz delegatami o kluczowym znaczeniu. Będą rozmawiać o programie partii oraz jej stanowisku w sprawie praw dzokerów. O ósmej dziesięć spotka się z delegatami z Ohio, którzy traktowali go jak coś w rodzaju ulubionego syna, ponieważ urodził się w tym stanie, i w związku z tym uważali, że należy im się uprzywilejowany dostęp do niego. O ósmej trzydzieści omówi z Tedem Kennedym i Jimmym Carterem kwestię jutrzejszych mów nominacyjnych. Amy i John Werthen usiedli z nim na chwilę, by zatwierdzić resztę harmonogramu. Następnie Gregg pomówił z Tonym Calderone'em, by zapytać, jak idzie praca nad jego przemówieniem akceptującym nominację.

O dziewiątej trzydzieści zaatakował go Tachion, uskarżając się, że tym razem Sara Morgenstern posunęła się za daleko. Poinformował Gregga o jej wybuchu.

— Całkowicie oszalała — wściekał się kosmita. — Jest paranoiczką, ma urojenia prześladowcze. Musimy coś zrobić w tej sprawie.

Gregg zgadzał się z tą opinią bardziej, niż się Takizjaninowi zdawało. Sara stała się nieprzewidywalna i niebezpieczna, a on nie mógł się odważyć skorzystać z usług Lalkarza, by ją zneutralizować. Ryzyko interwencji Gimlego było za duże, a Lalkarz w ostatnim tygodniu sprawiał mu zbyt wiele problemów. Publiczna scena zniszczyłaby wszystko.

Nieco po dziesiątej mógł wreszcie wycofać się na kilka minut do swego

pokoju. Ellen wyszła, by ścisnąć dłonie delegatów, i ich apartament był pusty. Głowę Gregga wypełniał pulsujący ból, a jego głos był głosem Gimlego.

Po co się martwić Sarą Morgenstern? To prawda, że jest nieprzewidywalna, ale nie stanowi tak kurewsko wielkiego problemu jak ja, nieprawdaż? Mógłbyś sobie z nią poradzić, gdybyś odważył się wypuścić Lalkarza. Czujesz go, Greggie? Słyszysz, jak wyje, domagając się swojej dawki? Ja słyszę. Tobie też wkrótce się uda.

— Zamknij się, do cholery!

Nie uświadamiał sobie, że powiedział to na głos, dopóki nie usłyszał słabego echa swych słów.

Gimli ryknął śmiechem. *Jasne. Zamilknę na pewien czas. W końcu już udało mi się sprowokować cię do mówienia do siebie. Tylko pamiętaj, że nadal tu jestem, nadal czekam. Ale przecież wątpię, byś kiedykolwiek o tym zapomniał, czyż nie tak? Nie możesz o tym zapomnieć.*

Głos ucichł. Gregg jęczał, trzymając się za głowę. *Tylko jeden problem na raz* — powiedział sobie. *Najpierw Sara.* Wziął się w garść, sięgnął po słuchawkę i wybrał numer. Usłyszał cichy syk zamiejscowej rozmowy. Potem telefon na drugim końcu linii zadzwonił.

— Hartmann w osiemdziesiątym ósmym — rozległ się głos mówiący z silnym akcentem z Harlemu. — Nowojorskie biuro. Mówi Matt Wilhelm.

— Futrzak, jak się mają sprawy na północy?

Ze słuchawki dobiegł śmiech. Gregg wiedział, że Wilhelm — znany w Dżokerowie jako Futrzak — woli swoje dżokerskie imię.

— Senatorze, dobrze, że pan dzwoni. Powinienem się domyślić, że na tej linii to nie może być nikt inny. Wszystko idzie gładko, chociaż raczej powoli. Czekamy, aż oficjalnie ogłoszą, że zdobył pan nominację. Wtedy wciśniemy gaz. A co słychać w Atlancie?

— Jest upalnie i parno. Jak rozumiem, na salach obrad też jest raczej gorąco.

— Silny opór przeciwko platformie wyborczej — zgodził się Futrzak. Gregg wyobraził sobie lwią twarz dżokera wykrzywioną w złowrogim grymasie. — Spodziewałem się tego.

— Obawiam się, że masz rację. Ale pracujemy nad tym.

— Róbcie tak dalej, senatorze. A tymczasem, w czym może ci pomóc Futrzak?

— Chciałbym zadzwonić do kilku ludzi. Mógłbym zrobić to sam, ale za kilka minut mam spotkanie, a Amy i John pracują nad programem. Czy ty albo ktoś z twojego sztabu mógłby mnie w tym wyręczyć?

— Oczywiście. Słucham.

— W porządku. Na początek zadzwoń do biura gubernatora Cuomo. Pamiętaj podziękować mu za wczorajszą pomoc w sprawie Pilnika i Całuna.

Dowiedz się też, o której dokładnie ma jutro przybyć do Atlanty. Chcę się tego dowiedzieć, by dopilnować, aby jeden z naszych ludzi przywitał go na lotnisku. Potem zadzwoń do naszego sztabu w Albany i poproś kogoś z nich, by potwierdził moją rezerwację na pierwszy tydzień sierpnia. Amy mówi, że w ogóle jej nie odpowiadają. Swoją drogą, chcę też, żebyś się upewnił, że mieszkanie w Nowym Jorku będzie gotowe na przybycie Ellen w poniedziałek, ale John zadzwoni do ciebie, by cię zaznajomić ze szczegółami.

— Rozumiem, senatorze. Coś jeszcze?

Gregg zamknął oczy, zapadając w wyściełaną kanapę.

— Jeszcze jeden telefon. — Wyrecytował numer, którego nauczył się przed opuszczeniem Nowego Jorku. — Odpowie ci tylko automatyczna sekretarka — poinformował Futrzaka. — Nie przejmuj się tym. Musisz tylko zostawić krótką wiadomość. Powiedz, żeby zarezerwowali bilet na najbliższy samolot do Atlanty. Będą wiedzieli, co mają zrobić.

— Bilet na najbliższy samolot do Atlanty. Nie ma sprawy. To wszystko?

— Tak. Dziękuję, Futrzak. Wkrótce się zobaczymy.

— Dajcie dzokerom platformę, na której będziemy mogli stanąć.

— Zrobimy, co w naszej mocy. Uważaj na siebie. Pozdrów ode mnie swój sztab. Bez waszej pomocy niczego byśmy nie dokonali.

Gregg ostrożnie odłożył słuchawkę na widelki.

Zrobione. Mackie przybędzie do Atlanty. Gregg nie chciał, by nieprzewidywalny as się tu zjawił, musiał jednak coś zrobić w tej sprawie. Mackie z pewnością załatwił już Downsa. Teraz zajmie się Sarą.

Ale co ze mną? Co ze mną? — dobiegł go z wnętrza słaby głos.



— Agent KGB na Konwencji Demokratów? — Ricky Barnes potrząsnął długą, starannie ostrzyżoną głową. — Wszyscy i tak już myślą, że jesteś w zmoiwie z Barnettem, ale może powinnaś się zastanowić nad pracą dla Robertsona. To brzmi jak coś, co mogliby wykombinować jego ludzie, na równi ze wskrzeszaniem zmarłych oraz informacjami o tym, gdzie w Kalifornii przechowuje się zakładników z lotu 737.

— To nie jest zabawne, Ricky. — Siedziała na skraju jego starannie zaścielonego łóżka, metodycznie drąc na strzępy chusteczkę higieniczną. Mówiła bez pasji. Ricky zapewne był pierwszą spotkaną przez nią w życiu osobą, która mogła z niej drwić, nie wywołując prawdziwego bólu.

— No wiesz, urządziłaś swoją małą scenę na publicznej demonstracji miłości Tacha i Jacka i zapewniasz, że potem wyciągnął cię z kotła, który sama postawiłaś na ogniu, jakiś starszy facet w koszulce z Myszka Miki. Kto kiedykolwiek słyszał, żeby agenci KGB nosili takie koszulki?

— A jak twoim zdaniem ubierają się agenci KGB, Ricky?

— Noszą zmięte garnitury i podrabiane rolexy na rękach. Nieraz się z nimi spotykałem. Ty również, Saro.

Kobieta rzuciła podartą chusteczkę na podłogę.

— W takim razie kto to był?

— Ktoś, kto ma znacznie więcej zdrowego rozsądku niż ty, kochanie.

Podciągnęła nogi na łóżko, skrzyżowała je i skryła głowę w dłoniach. Siedzący przy stole Ricky przypatrywał się jej z uwagą. Jego antyczny laptop Epson Geneva stał na blacie. Kamizelka i spodnie mężczyzny były ciemnobrązowe w prążki, koszulę miał jasnoróżową, a krawat brązowy. Ze swoją pociągłą twarzą i wielkimi białymi zębami jak u konia przypominał Sarze biednego Ronniego, asystenta Gregga, który nie aprobował romansu swego szefa. Frakcja Czerwonej Armii zamordowała go, gdy porwała senatora w Berlinie. Sara uważała, że to Hartmann jest winny jego śmierci.

Jednakże Ricky tylko z wyglądu przypominał pechowego asystenta Gregga. On ją aprobował. Od zawsze. Sara niekiedy podejrzewała, że ta aprobata jest zbyt silna.

— Uważasz, że jestem szalona? — zapytała.

— Jasne, do licha. Zastanów się nad tym, co się stanie, jeśli masz rację, Rosie. — Często nazywał ją tym imieniem, twierdząc, że Sara wygląda jak Rosanna Arquette, albinoska. — Stanęłaś przed Bogiem i wszystkimi, oznajmiając, że senator Gregg jest asem zabójcą. Czy przychodzi ci do głowy szybszy sposób przyciągnięcia jego uwagi, jeśli to prawda?

— Nie kłamię w sprawie Hartmanna. Wszyscy traktują mnie jak trędowatą, bo nie uważam go za nowe wcielenie Abrahama Lincolna albo kogoś w tym rodzaju.

Ricky przygryzł wargę i potarł podbródek koniuszkami palców. Całkiem niezłe grał na fortepianie i miał odpowiednie do tego dłonie — długie, wąskie i delikatne.

— Muszę przyznać, że wszystko to wydaje mi się mało prawdopodobne. Moc panowania nad umysłem i tak dalej. Jak to możliwe, że zdołał ją ukrywać przez tyle lat? — Jej twarz zaczęła się chmurzyć. Mężczyzna uniósł dłoń w ochronnym geście, rozpościerając szeroko palce. — Chwileczkę. Jesteś znakomitą dziennikarką i bardzo wartościową osobą. Uważam, że twoje reportaże mogły zrobić więcej dla zrozumienia dzokerów i ich problemów niż moralizatorskie mowy senatora Hartmanna i jego głośno upubliczniane subwencje. Brat Malcolm wiedział wszystko o tym, co to znaczy, gdy ktoś wyciąga pomocną dłoń. Wiem, że nie wymyśliłaś sobie tego wszystkiego. Ale z drugiej strony... z drugiej strony wiem, że nadal odczuwasz głęboki ból po stracie siostry. Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że to wpływa na twój osąd?

Sara pozwoliła, by jej twarz osunęła się między dłonie. Wyglądało to tak, jakby trzymała własną głowę za niemal białe włosy.

— W dzieciństwie, gdy tylko zrobiłam coś fajnego albo bystrego, widziałam, że rodzice myślą: „Gdyby tylko to była Andi” — zaczęła. — Rozumiesz, co mam na myśli? Kiedy byłam niegrzeczna albo niezdarna, to było: „Andi by się tak nie zachowała”. No wiesz, nigdy nie powiedzieli na głos nic równie okropnego. Ale ja wiedziałam. To było tak, jakbym miała własną moc dzikiej karty, toksyczny dar odczytywania prawdziwych myśli ludzi.

Rozpłakała się. Łzy wypływały z jej oczu, jakby ktoś wsadził w nie wielkie szydło, przebijając ogromny zbiornik żalu. Ricky usiadł na łóżku i przytulił kobietę do piersi, szczupłej, lecz muskularnej dzięki grze w racquetballa. Głaskał ją po włosach swymi wspaniałymi palcami, podczas gdy tusz do rzęs spływał z jej twarzy, pozostawiając duże, brzydkie plamy na jego koszuli z Brooks Brothers.

— Saro... Rosie... wszystko w porządku, kochanie, wszystko w porządku. Poradzimy sobie z tym. Wszystko będzie dobrze. Nic ci nie jest, kochanie, wszystko będzie dobrze...

Uczepiła się go jak małe opośiatko, ciesząc się tą rzadką chwilą bliskości. Pozwalała mu szeptać uspokajające słowa i obejmować ją.

Mam nadzieję, że nie posunie się za daleko — pomyślała.



Pasażerowie czekający w holu lotniska LaGuardia omijali szerokim łukiem chudego młodzieńca w wyblakłej czarnej kurtce. Nie chodziło tylko o kwaśny odór potu bijący od brudnych ubrań i rzadko mytego ciała. Mackie był tak podekscytowany wezwaniem, które otrzymał, że nie był w stanie nad sobą zapanować. Części jego ciała od czasu do czasu ogarniała spontaniczna wibracja i te podprogowe sygnały niepokoiły ludzi.

Mackie spojrział na ekrany przy bramce Eastern Airlines. Szare napisy po raz kolejny potwierdziły, że jego samolot odleci zgodnie z planem. Widział go za szybą z polaryzacyjnego szkła. biała, obła maszyna lśniła jak smarki w blasku porannego, lipcowego słońca. Papierowa koperta, w której trzymał bilet i kartę pokładową, zaczęła się marszczyć w jego dłoni. Nie wypuszczał jej z ręki ani na moment. Nie chciał nawet schować jej do kieszeni.

Poczwarka nie żyła, Kopacz zniknął, ale będzie miał okazję załatwić kogoś jeszcze lepszego. Kobietę. Szef opowiadał o niej Mackiemu. Robiła to z nim podczas podróży.

Potem się rozstali i ona zwariowała. Mogła zrobić coś złego Szefowi. Jego Szefowi. Gdy tylko o tym usłyszał, zapragnął wyruszyć na jej poszukiwania, pociąć ją porządnie i patrzeć, jak płynie krew, ale Szef powiedział „nie”. Czekaj na moje słowo.

To słowo nadeszło przed półgodziną, w postaci zakodowanej wiadomości wysłanej do punktu kontaktowego przy Bowery Street.

Cieszył się, że w samolotach nie wolno palić. Nienawidził palaczy. Palaczy i dzokerów. Leciał kiedyś samolotem, gdy opuścił Niemcy, by być blisko Szefa.

Uniósł kopertę do oczu, otworzył ją i przerzucił zawartość. Ledwie był w stanie przeczytać czerwone literki i to nie tylko dlatego, że były niewyraźne. W Niemczech nie odebrał zbyt dobrego wykształcenia. Nigdy nie opanował zbyt biegle sztuki czytania, choć nauczył się mówić po angielsku. Od matki. Od kurwy.

Bilet czekał na niego, gdy zgłosił się do kasy. Kasjerka bała się go. Widział to. Spasiona murzyńska suka. Wzięła go za dzokera.

Mógł to wyczytać w jej głupich cięłych oczach. Ludzie zawsze uważali go za dzokera. Zwłaszcza kobiety.

Pewnie właśnie dlatego Szef mówił tak dziwnie. Ta kobieta chciała go załatwić. Kobiety zawsze tak robiły. Zastrane suki. Pomyślał o matce. Tłustej, złopiącej koniak kurwie. Wyobraził sobie szyjkę butelki w jej ustach. Szyjka zmieniła się w wielkiego, murzyńskiego kutasa. Przez chwilę patrzył, jak kutas porusza się w obie strony. Oblizwał wargi.

Jego matka pierdoliła się z czarnuchami. Pierdoliła się z każdym, kto miał forszę, w dzielnicy Sankt Pauli w Hamburgu. Reeperbahnstrasse. Tam właśnie się wychowywał. Jeden z tych facetów zrobił jej dzieciaka. Kiedyś, gdy zbiła Mackiego po pijanemu, powiedziała mu, że jego ojciec był dezserterem. Służył w Wietnamie, ale zwiął i teraz zmierzał do Sztokholmu. Ale on wiedział, że jego ojciec był generałem.

Mackie Majcher był maksymalnym twardzielem. Jego ojciec nie mógł być byle kim, prawda?

Matka go opuściła: *natürlich*. Kobiety zawsze tak robiły. Staraly się, byś je pokochał, by potem móc cię skrzywdzić. Chciały, żebyś wetknął w nie swoją męskość, by móc ci ją odebrać.

Odgryźć. Spróbował sobie wyobrazić, jak jego matka odgryza wielkiego, czarnego kutasa, ale ta wizja rozpuściła się we łzach, które płynęły po jego twarzy i podbródku, skapując pod T-shirt Talking Heads.

Jego matka umarła. Znowu nad nią zapłakał.

— Pasażerowie lotu Eastern Airlines numer trzysta siedemdziesiąt siedem, do Raleigh Durham i Atlanty, są proszeni do bramek od pierwszej do piętnastej — powiedział do niego sufit.

Mackie otarł łzy, wysmarkał nos w palce i podążył za tłumem pasażerów. Wybierał się tam, gdzie był potrzebny, i cieszył się z tego.



Spector zamknął się w ciasnej toalecie samolotu i spryskał twarz odrobiną

wody ze zlewu. Żołądek go bolał, a skórę miał zupełnie zimną. Przyszedł tu, licząc na to, że zwymiotuje, ale nic z tego. Był tak podenerwowany, że nie mógł się nawet odlać.

Ktoś zapukał niecierpliwie do drzwi.

— Wyjdę za minutkę — zapewnił, ocierając wodę z twarzy rękawem płaszcza.

Pukanie się powtórzyło, tym razem jeszcze bardziej natarczywe. Spector otworzył z westchnieniem drzwi.

Za nimi stał garbaty dzoker w koszulce Talking Heads. Odepchnął Spectora na bok i zamknął za sobą drzwi. Oczy małej pokraki były zupełnie martwe, jeszcze gorsze od oczu Zgona.

— Pierdol się, kurdupłu — warknął Spector i ruszył z powrotem na miejsce, nie czekając na odpowiedź.

Pierwszy raz w życiu leciał samolotem. Maszyna była mniejsza niż się tego spodziewał. Miotąło nią coś, co pilot nazwał „drobnymi turbulencjami”. Spector wyłopał już dwie małe buteleczki whisky i poprosił stewardesę o dwie następne. Ale ona gdzieś się podziała. Siedział między facetem, który pilotował helikopter w Wietnamie, a jakimś reporterem. Dziennikarz bawił się swoim laptopem, ale były pilot nie przestawał gadać od chwili, gdy wsiedli na pokład.

— Widzi pan tę rudą? — Spector spojrział we wskazanym kierunku, na siedzącą kilka rzędów od nich kobietę. Spoglądała na nich. Jej usta oraz obcisła suknia miały karmazynową barwę. Oczy miała zielone i mocno umalowane. Oblizywała wargi w przesadny sposób. — Pragnie mnie. Widzę to. Pragnie mnie mocno. Robił pan to kiedyś w samolocie?

— Nigdy.

Spector postukiwał dwiema pustymi butelkami trzymanymi w spoczonej dłoni.

Były pilot odchylił się w fotelu, strzepnął kłaczek z kłapy garnituru i wciągnął brzuch.

— Ale muszę to dobrze rozegrać. — Wyrzwał przez okno i trącił łokciem Spectora. — Widzi pan te czarne punkty na skrzydłach? Tam właśnie połączono je nitami. Boże, nie znoszę tych latających trumien. Widziałem kiedyś, jak jedna z nich nie trafiła w pas startowy na National Airport w Waszyngtonie. Nikt nie ocalał. Jeśli nie zabije pana wstrząs, zginie pan od ognia albo trujących gazów. W Wietnamie było bezpieczniej.

Spector wsadził butelki do kieszeni garnituru i obejrzał się, wypatrując stewardesy. Nigdzie jej nie widział. Zapewne siedziała w pierwszej klasie, podlizując się bogatym gąbom. Głupio postąpił, wybierając klasę turystyczną, ale był więźniem swych typowych dla klasy średniej przyzwyczajień.

— Pora działać — oznajmił były pilot.

Spojrzał rudej kobiecie prosto w oczy, a następnie ruszył powoli ku tyłowi samolotu. Uśmiechnęła się do niego i skinęła głową, a następnie zachichotała, gdy zniknął w toalecie.

— Niech pan nie da się nabrać — odezwał się reporter, nie unosząc wzroku. Miał trzydzieści parę lat, był mniej więcej tego samego wzrostu co Spector i zaczynał łysieć. — Te maszyny są tak bezpieczne, jak to tylko możliwe.

— Naprawdę? — zapytał Spector, starając się nadać swemu głosowi maksymalnie nonszalanckie brzmienie.

— Tak. Zauważył, że jest pan jednym z tych, którzy zaciskają ręce, i postanowił z pana zadrwić. — Reporter zamknął komputer i spojrzał na rudowłosą kobietę. — Mam nadzieję, że dobrze się bawi, trzepiąc konia.

Stewardesa, krótko ostrzyżona blondynka, sprawiająca wrażenie nieco za dużej na swój uniform, wręczyła Spectorowi plastikowy kubek z lodem oraz dwie kolejne miniaturowe buteleczki.

— Dziękuję — rzekł, grzebiąc w portfelu w poszukiwaniu banknotu. Nim zdążyła wydać mu resztę, otworzył już kolejną buteleczkę i wylał jej zawartość do szklanki.

— Leci pan do Atlanty na konwencję? — kontynuował rozmowę dziennikarz.

— Hmm, nie. — Spector pociągnął długi łyk chłodnego płynu. — Właściwie nie interesuję się polityką. Lecę w interesach.

— Nie interesuje się pan polityką? — Reporter potrząsnął głową. — To może być najbardziej ekscytująca konwencja od czasu Nowego Jorku w siedemdziesiątym szóstym. Walka będzie naprawdę zażarta. Osobiście stawiam na Hartmanna — zakończył tonem kogoś, kto dostał przeciek na wyścigach konnych.

— Czasami dzieją się dziwne rzeczy. Zwłaszcza w polityce. — Spector dopił whisky i otworzył drugą buteleczkę. Jego wnętrzości wypełniła miła, ciepła pustka. — Na pana miejscu nie ryzykowałbym zakładu.

Były pilot wracał powoli na miejsce, wciskając ręce głęboko w kieszenie. Łypnął ze złością na rudą kobietę. Samolot zachwiał się nagle i mężczyzna wpadł na garbatego dzokera. Ręce chłopaka zrobiły się na moment zamazane. Spector miał wrażenie, że widzi obłoczek pyłu unoszący się z poręczy fotela. Miał nadzieję, że to tylko efekt działania trunku.

— Nigdy nic nie jest pewne — skwitował.

11:00

W salonie apartamentu, w którym sztab Hartmanna urządził swą kwaterę główną, włączono jednocześnie pięć telewizorów, każdy nastawiony na inny kanał. Na najbliższym Gregga ekranie Dan Rather dyskutował z wyglądającym jak

patriarcha Walterem Cronkite'em, który wrócił na moment do telewizji, by relacjonować konwencję. Jak zwykle jego głos brzmiał jak głos samego Boga.

— ...uważa się, że choć Hartmann zdobył poparcie większości, jest po prostu za słaby, by zdołał przepchnąć platformę praw dzokerów. Czy to sugeruje, że poparcie dla niego nie jest wystarczające, by zapewnić mu zwycięstwo, gdy po pierwszym głosowaniu delegaci zostaną zwolnieni ze zobowiązań, i nominację może w końcu zdobyć Barnett, Dukakis, Jackson albo jakiś czarny koń, na przykład Cuomo?

— Walterze, podczas tej konwencji nikt nie ma gwarancji zwycięstwa. Wskazują na to bardzo wyrównane wyniki prawyborów. Hartmann jest postrzegany jako liberał z północy, pozbawiony szans zwycięstwa na południu. Szczerze mówiąc, jego długotrwałe zaangażowanie w walkę o prawa dzokerów raczej mu przeszkadza poza oboma wybrzeżami i wielkimi miastami. Barnett ma poparcie na południu i mógłby też odebrać część głosów Bushowi, zwłaszcza gdy chodzi o fundamentalistów. Ale z drugiej strony jest zbyt konserwatywny i religijny dla większości wyborców Demokratów. Dukakis jest gładki i bezbarwny. Nie ma wielkich wad, ale wielkich zalet też nie. Jackson ma charyzmę, ale pozostaje pytanie, czy ma szansę na zwycięstwo poza miastami o wysokim procencie czarnoskórych mieszkańców. Gore, Simon, Cuomo czy inny czarny koń mogą liczyć wyłącznie na impas, prowadzący do konieczności wyboru kompromisowego kandydata. Wszystko to znajduje odbicie w zażartej rywalizacji programowej. Oczywiście...

Gregg przekreślił gałkę, przerywając mówiącemu w pół słowa. Z innych telewizorów nadal płynęły potoki słów.

— Rather pieprzy bez sensu — skwitował John Werthen. — Odpowiedni kandydat na wiceprezydenta załatwi nam problem słabszych regionów.

— Daj spokój, oni świetnie o tym wiedzą — odezwał się siedzący na drugim końcu pokoju Tony Calderone. — Po prostu chcą większego dramatyizmu. Miej pretensję do tych, którzy piszą im teksty.

Gregg potrząsnął ze znużeniem głową, nie spoglądając na żadnego z nich. Lalkarz milczał, Gimli najwyraźniej również odszedł na chwilę. Mackie wkrótce wyruszy w drogę. Może nawet już siedział w samolocie. Czuł się wyczerpany, bliski letargu.

Narada sztabu ciągnęła się już całą godzinę. Wszędzie pełno było plastikowych kubków z zimną kawą, niedopałków papierosów i stert papieru. Część kartek pospadała ze stołów. Kanapki kamieniały w kartonowych pudełkach ustawionych na podłodze. Powietrze było niebieskawe od papierosowego dymu, a ludzie Gregga nie zaprzestawali pracy. Dźwięki kilku toczonych jednocześnie rozmów rywalizowały ze słowami płynącymi z telewizorów.

Do pokoju wpadła Amy.

— Ogłosili to oficjalnie — oznajmiła, gdy wszystkie głowy skierowały się w jej stronę. — Zdanie odrębne nie tylko sprzeciwia się platformie na rzecz praw dzokerów. Barnett osobiście domaga się przywrócenia *Ustawy o Kontroli Egzotycznych Mocy*.

Salę wypełniły donośne okrzyki niedowierzania. Nagły przypływ emocji spowodował, że Gregg po raz pierwszy dzisiaj poczuł Lalkarza.

— To szaleństwo — zaprotestował Tony. — Z pewnością nie mówi poważnie.

— Cholerna głupota — poparł go John. — Nie ma szans, by zaakceptowano coś takiego.

Amy wzruszyła ramionami.

— Tak powiedział. Szkoda, że nie widzicie, co się dzieje na terenie konwencji. Cholerny chaos. Devaughn miota się jak szalony, starając się uspokoić delegatów.

— Barnett nie przejmuje się delegatami. Chodzi mu o tych, którzy przebywają na zewnątrz — skwitował Gregg.

— Panie senatorze?

— O dzokerów zgromadzonych w Piedmont Parku. Kiedy usłyszą tę wiadomość, eksplodują.

To będzie paliwo dla jego antydzokerskiej retoryki. Lalkarz ożywił się na tę myśl, ale Gregg go powstrzymał.

— Straci wahających się delegatów. Uznają, że jest zbyt radykalny.

Hartmann machnął ręką.

— To kandydat jednej sprawy. Ma obsesję na punkcie dzokerów.

— Nie myśli racjonalnie.

— Ale to możemy powiedzieć tylko tutaj.

Przez salę przebiegły szybkie śmieszki. Gregg wstał, poprawił krawat i przebiegł palcami po swych upstrzonych siwizną włosach.

— W porządku. Wiecie, od czego zacząć. Jeśli Barnett zacznie naciskać, będziemy musieli na to odpowiedzieć. Siadajcie do telefonów. Użyjcie wszelkich wpływów, jakie mamy. Musimy wygonić wszystkich neutralnych delegatów z ich kryjówek. Wszyscy się zgadzamy, że propozycja Barnetta doprowadzi do wzrostu przemocy na ulicach, nie wspominając już o braku współczucia, jakim się cechuje. Rozmawiajcie z nimi, naciskajcie na nich, przekonujcie ich. Postarajcie się, by inni robili to samo. Amy, sprawdź, czy mogłabyś załatwić mi spotkanie z Barnettem. Może w rzeczywistości chodzi mu o kompromis. Tymczasem muszę zajrzeć do Ellen i sprawdzić, jak się czuje. Potem przekonam się, czy będę mógł się na coś przydać na zewnątrz.

W tych ostatnich słowach zabrzmiała dziwna nuta niecierpliwości. Nie spodziewał się tego. Zadał sobie pytanie, czy Lalkarz rzeczywiście jest ukryty tak

głęboko, jak mu się zdawało.

12:00

Spector podążył za reporterem do męskiej toalety. W sali lotniska kręciło się mnóstwo ludzi i as był pewien, że tamten nie zauważył, że ktoś go śledzi. Nie znał jego nazwiska. Wolał, żeby tak było, kiedy musiał kogoś zabić.

Reporter zajął ostatnią kabinę w zatłoczonej toalecie. Spector podszedł spokojnie do sąsiedniej i zamknął za sobą drzwi. Czuł się trochę niedobrze z powodu tego, co miał zrobić.

Ale facet wygadał się, że ochrona w hotelu będzie bardzo szczelna i musiał przekupić sporo osób, by dostać pokój. Spector nie wziął tego czynnika pod uwagę. Miał za mało czasu, żeby się przygotować. Zresztą na ogół i tak improwizował.

Usłyszał dobiegający z sąsiedniej kabiny szelest przewracanych kartek, ale żadnych odgłosów postępów w zasadniczej sprawie. Pochylił się, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby zauważyć, co robi. Wszystkie pary stóp zwracały się ku lustrum albo wędrowały w stronę wyjścia. Zaczerpnął głęboki oddech i zsunął się z toalety, kładąc się na plecach. Czuł przez garnitur dotyk zimnych, wilgotnych płytek podłogowych. Złapał za metalową ściankę dzielącą kabiny i przeciągnął się pod nią.

Reporter złożył czytaną gazetę i spojrział w dół. Zdażył zamrużyć kilka razy, nim Spector wbił wzrok w jego oczy. Doświadczenie śmierci Zgona popłynęło bez przeszkód do umysłu dziennikarza. Mężczyzna wypuścił gazetę z rąk i osunął się na bok. Z kącika ust popłynęła mu ślina. Spodnie miał opuszczone do kostek. Spector sprawdził jego kieszenie, zabrał portfel i przeczłgał się z powrotem do swojej kabiny. Zaczekał parę chwil, nasłuchując odgłosów, które mogłyby sugerować, że ktoś coś zauważył, ale słyszał tylko nieustanny stukot butów oraz szum wody z kranów, a niekiedy również odgłos splukiwania.

Sprawdził zawartość portfela. Znalazł tam wszystko, czego mógł potrzebować — prawo jazdy, legitymację prasową bez zdjęcia oraz legitymację ubezpieczeniową. Brak dokumentów utrudni glinom identyfikację zwłok. Zapewne dojdą do wniosku, że ktoś wykorzystał okazję i zwinął portfel, zanim ich zawiadomił. Wszystko szło lepiej niż zwykle. Spector wstał i spuścił wodę, po czym otworzył drzwi i podszedł do lustra. Uniósł podbródek i pokręcił głową na boki. *Wyglądam całkiem nieźle.* Mrugnął do lustra i uśmiechnął się półgębkiem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wróci jutro samolotem do New Jersey, a Demokraci będą mieli jednego kandydata do nominacji mniej.



Wyglądało to tak, jakby nowojorskie Dżokerowo odwrócono do góry nogami i wysypano całą jego zawartość na ulice Atlanty.

Każde wielkie miasto miało swoją miniaturową wersję Dżokerowa, ale w Atlancie nigdy dotąd nie widziano podobnego widowiska. Oślepiający blask słońca spływał z bezchmurnego nieba na morze transparentów, masek i dziwacznie zniekształconych ciał. Tłum — władze oceniały jego liczebność na piętnaście tysięcy — wymaszerował z Piedmont Parku i otoczył Coliseum. Szeregi policji i Gwardii Narodowej przyglądały mu się z uwagą, gotowe do działania.

Późnym rankiem, gdy stało się jasne, że propozycja większości nie zostanie szybko zaakceptowana, nieopodal hali Omni Coliseum rozpalono ognisko. Zachęteni obecnością kamer dżokerzy palili w nim maski, krzycząc i śpiewając głośno. Wypuszczony z tłumu Latający As przeleciał nieco za blisko płomieni. Styropian się stopił, a skrzydła zrobiły brązowe, skurczone i zdeformowane. Jeden z dżokerów uniósł nad głowę tłącą się masę.

— Hej, to Pierdolony Latający Dżoker! — zawołał.

Reszta zebranych podchwyciła ten gorzki żart. Kolejnych Latających Asów rzucono w stronę ogniska bądź też przekształcano ich, używając zapalniczki.

Policja z Atlanty nierozsądnie wybrała tę właśnie chwilę, by rozproszyć tłum. Podwójny szereg noszących hełmy funkcjonariuszy ruszył na demonstrantów. Jak łatwo można było przewidzieć, dżokerzy stawili opór. Rzucono kamieniami, a ktoś dysponujący słabą mocą asa zwałił z nóg kilku gliniarzy. Nagle zaczęła się zadyma na całego. Dżokerów, dziennikarzy i przypadkowych gapiów okładano pałkami, nie czyniąc między nimi różnicy.

Po pewnym czasie pojawił się Żółw i wykrzyczał rozkaz rozejścia się. Jego telekinetyczna moc siłą odepchnęła od siebie pozostałych na placu boju dżokerów oraz gliniarzy. Aresztowano około sześćdziesięciu ludzi, a choć większość zadanych obrażeń zaliczała się do drobnych, zdjęcia krwawiących głów wyglądały bardzo spektakularnie.

Demonstranci, już przedtem niespokojni, wściekli się na dobre.

W odległości kilku przecznic od centrum konferencyjnego dżokerzy się przegrupowali. Zaczęli odkręcać hydranty uliczne, by nieco złagodzić upał. Za każdym razem policja przyjeżdżała, by zakręcić je znowu, ale unikała bezpośredniej konfrontacji. Gliniarzy obrzucano obelgami.

Późnym rankiem w śródmieściu zaczęła się kontrdemonstracja zorganizowana przez KKK. Tu i ówdzie na ulicach dochodziło do potyczek między obiema stronami. Klan okazał się brutalniejszy od policji. Ponoć słyszano strzały, a grupa dżokerów wylądowała w miejscowych szpitalach z ranami postrzałowymi. Z szybkością pożaru szerzyły się plotki mówiące, że dwóch dżokerów zabito, a policja nie chce aresztować ludzi z klanu, a nawet przepuszcza ich przez barykady.

W południe rozeszła się wiadomość, że Leo Barnett domaga się ponownego wprowadzenia *Ustawy o Kontroli Egzotycznych Mocy*. Przed Omni Coliseum

ukrzyżowano kukłę wielebnego. Skorupa Żółwia unosiła się nad demonstrantami jak pasterz pilnujący stada, wymuszając zachowanie dystansu między dzokerami a policją.

— To mi się nie podoba, senatorze — powiedział Greggowi Billy Ray, gdy obaj wysiadali z limuzyny w pobliżu barykad. Towarzyszyli im inni ochroniarze w trzyczęściowych garniturach. Od tłumu dzokerów płynęły krzyki i przekleństwa. — Nie sędzę, by to był dobry pomysł.

Gregg skrzywił się z irytacją i skinął stanowczo dłonią.

— Mam już dość ludzi mówiących mi, jak powinienem się zachować.

Skarcony Ray zacisnął mocno usta, ale nim zdążył odpowiedzieć, zawisł nad nimi cień.

— Cześć, senatorze! — zagrzmiął dobiegający z głośników głos. — Przyjechał pan nam pomóc?

Ten nagły hałas przyciągnął uwagę kamerzystów. Gregg pomachał ręką do skorupy Żółwia. Wokół niej unosiła się cała eskadra imitujących go Latających Asów. Zbudowane z frisbee samolociki krążyły wokół niego jak elektrony wokół jądra. W grupę wmieszało się też kilka Pierdolonych Latających Dzokerów.

— Miałem nadzieję, że zdołamy przynajmniej uspokoić sytuację. Wiem, że robi pan wszystko, co w pana mocy.

— Jasne. Sztuczki z frisbee. Najnowsze osiągnięcie w dziedzinie kontroli nad tłumem.

Samolociki przyśpieszyły, kreśląc w powietrzu skomplikowane wzory.

— Mógłby pan przenieść mnie w środek tłumu?

— Nie ma sprawy.

Samolociki opadły na ulicę. Skorupa pochyliła się wdzięcznie, jakby kłaniała się barykadzie, po czym obróciła się powoli, zwracając się przodem ku tłumowi. Głośniki zasyczały, gdy zwiększano ich moc.

— no dobra. przesuńcie barykadę, żeby zrobić przejście dla senatora, albo ja będę musiał to zrobić. do roboty!

Unosząc się na wysokości głowy nad ulicą, Żółw przedostał się przez barykadę i zagłębił się w tłum dzokerów niczym pług. Gregg szedł za nim. Carnifex, ludzie z Secret Service oraz grupka policjantów podążali za nimi. Reporterzy i kamerzyści przepychali się, pragnąc zająć najlepsze pozycje.

Gregga rozpoznano natychmiast. Po obu stronach Żółwia i jego świty tłum zaczął skandować:

— Hartmann! Hartmann! — Gregg uśmiechnął się, wyciągając ręce, by muskać wyciągające się ku niemu dłonie. — Hartmann! Hartmann!

Rozpromienił się. Zdjął marynarkę i poluzował krawat. Na jego plecach pojawiła się ciemna plama potu. Żywy obraz kandydata przy pracy. Wiedział, że ta scena znajdzie się we wszystkich wieczornych wiadomościach.

W głębi ducha nie czuł się jednak tak pewnie.

Tłum przesycala emocjonalna energia. Wyraźnie wyczuwał jej strumień, pulsujący i przybierający na sile, przyciągający Lalkarza niczym przynęta. Czuł, że moc w nim potężnieje, wzbiera, rośnie. *Wypuść mnie — zażądała. Pozwól mi poczuć ten smak.*

Jest jeszcze Gimli — odpowiedział Hartmann. *Nie zapominaj o siedemdziesiątym szóstym.* Słaby szept karła rozległ się nagle, jakby Gregg przywołał go zaklęciem. *Ja pamiętam siedemdziesiąty szósty, Hartmann. Pamiętam bardzo dobrze. Nie zapomniałem też o tym, co wydarzyło się wczoraj z Ellen. Powiedz, jak ci się podoba rola pierdolonej lalki? No jazda, wypuść swojego kumpla. Może tym razem cię nie powstrzymam. Rzecz jasna, w takim przypadku Lalkarz mógłby wpaść w szal. Może znowu udałoby mu się cię ominąć. Dziennikarze byliby zachwyceni.*

Lalkarz warknął na Gimlego, ale Gregg zadrżał za zasłoną uśmiechu. Moc potrzasała prętami klatki, gdy energia dzokerów migotała wokół nich. Senator z wysiłkiem zamknął drzwi.

— Hartmann! Hartmann!

Uśmiechał się. Kiwał głową. Dotykał rąk. Kusiło go, by wypuścić Lalkarza i dać się ponieść jego mocy. Pokusa była tak silna, że doprowadzała go do szaleństwa. Pod tym względem Gimli miał rację. Gregg również tego pragnął. Mocniej niż czegokolwiek innego.

Żółw zatrzymał się pośrodku International Boulevard, w pobliżu kukły Barnetta.

— Do dzieła, senatorze — rzekł. Skorupa opuściła się, zatrzymując się jakieś trzydzieści centymetrów nad nawierzchnią. Gregg na nią wszedł. Billy Ray i pozostali ochroniarze otoczyli Żółwia.

Gdy tylko senator znalazł się na górze, przywitał go ogłuszający ryk. Choć głęboko ukrył Lalkarza, nie stracił wrażliwości i omal nie zachwiał się na nogach pod emocjonalnym naciskiem ich zmasowanego uwielbienia. Pośliznął się i omal nie upadł. Poczul, że Żółw wyprostował go niemalże czułym popchnięciem.

— Jezu, senatorze, przepraszam. Zapomniałem się...

Gregg stanął na skorupie. Dzokerskie twarze zwracały się ku niemu, wciskając się w telekinetyczną barierę stworzoną przez Żółwia. Ich radosne okrzyki odbijały się echem od gmachów Omni i WCC, tworząc ogłuszający hałas. Senator potrzaskał głową i zademonstrował skromny, niemalże nieśmiały uśmiech, który stał się jego znakiem rozpoznawczym podczas długiej kampanii prezydenckiej. Pozwolił im skandować, czując natarczywy rytm ich emocji.

Lalkarz wzniósł się w górę w tym rytmie. Choć Gregg nadal trzymał moc w zamknięciu, nie mógł jej przeszkodzić w dotarciu do powierzchni jego umysłu. Rozejrzał się po tłumie dzokerów i zauważył w nim znajome twarze. Fistaszek,

Migotek, Nagietek, Pierdzięba, a także ten zwany Panem Grobkiem, który zdołał w końcu powstrzymać Tyfusowego Croyda. Lalkarz również ich dostrzegł. Moc uderzyła silnie o kraty, szarpiąc je z głośnym warczeniem.

Gregg zadrżał z wysiłku, ale zdołał zapanować nad żarłoczną osobowością. Wiedział jednak, że nie wytrzyma tu długo. Jego kontrola załamywała się pod naciskiem szalejących emocji.

(Wokół niego tańczyły plamy barw podstawowych, jaskrawe i nierozcieńczone. Lalkarz mógł niemalże ich dotknąć, widział, jak kołyszają się niczym zabarwiony dym...)

Hartmann uniósł ręce, chcąc uciszyć tłum.

— Proszę! — zawołał i usłyszał swój zwielokrotniony głos, odbijający się od ścian otaczających ich budynków. — Wysłuchajcie mnie. Rozumiem waszą frustrację. Wiem, że za cztery dziesięciolecia złego traktowania i niezrozumienia należy się zadośćuczynienie. Ale to nie jest właściwa droga. To nie jest odpowiednia chwila.

Nie to chcieli usłyszeć.

— Wewnątrz tego budynku toczymy walkę o prawa dzokerów — dodał pośpiesznie, czując ich rozczarowanie. (...okrzyki poparcia: bolesna zieleń i ostra jak nóż żółć...). Proszę was o to, byście mi pomogli w tej walce. Macie prawo demonstrować, ale muszę was ostrzec, że przemoc na ulicach zostanie wykorzystana jako narzędzie przeciwko wam. Moi przeciwnicy wskażą na nią i powiedzą: „Sami widzicie, że dzokerzy są niebezpieczni. Nie wolno im ufać. Nie możemy pozwolić, by mieszkali obok nas”. Nadszedł czas, by wszyscy dzokerzy w końcu zdjęli maski, ale musicie pokazać światu, że ukryte pod nimi twarze są twarzami przyjaciół.

(...skryte w cieniach prądy nabrały błotnistobrązowej barwy zmieszania i niepewności. Jaskrawe kolory wyblakły...)

Przy mojej pomocy mógłbyś to zrobić. Z łatwością — odezwał się z drwiną w głosie Lalkarz. *Rozejrzyj się. We dwóch moglibyśmy zawrócić falę. Zakończyć demonstrację. Odszedłbyś stąd jako bohater. Tylko mnie wypuść.*

Gregg tracił kontakt z tłumem. Nawet bez swej ukrytej mocy dostrzegał, że senator Hartmann nagle zaczął mówić to samo, co słyszeli od wszystkich. Nie miał już magii. Nie miał Lalkarza.

(...przechodząc w mroczny, posępny fiolet: niebezpieczny odcień, barwę żerowania. Lalkarz krzyknął...)

Gregg musiał stąd uciekać. Emocje, potężne jak sztormowe fale uderzające o brzeg, groziły zerwaniem słabych więzów, jakie nałożył na swą moc. Lalkarz zaraz wyskoczy na zewnątrz.

Musi to zakończyć. Umknąć od uczyty oferowanej jego mocy.

— Proszę... błagam was, byście pomogli tym, którzy walczą za was na

konwencji. Proszę. Nie pozwólcie, by gniew zniszczył wszystko.

To było okropne, nagłe zakończenie. Gregg o tym wiedział. Tłum gapił się na niego bez słowa. Garstka próbowała skandować jego nazwisko, ale ich głosy szybko umilkły.

— Postaw mnie na ziemi — wyszeptał senator.

Żółw uniósł go delikatnie i postawił na betonie.

— Wycofajmy się stąd — dodał Gregg. — Zrobiłem już wszystko, na co mnie było stać.

Lalkarz rozszarpywał desperację senatora, miotając się w jego umyśle jak wściekła bestia. Żółw ruszył powoli przez tłum, zmierzając ku czekającej na Hartmanna limuzynie. Gregg podążył za nim, marszcząc mocno brwi. Nie widział ani nie słyszał nic z tego, co się działo na jego oczach. Wszystkie siły jego umysłu pochłaniało powstrzymywanie Lalkarza.

1:00

Od godziny siedział w taksówce. Korki zaczęły się zaraz po tym, jak opuścili lotnisko. Samochody stały na ulicach, zderzak przy zderzaku, aż do samego śródmieścia. Klaksony trąbiły głośno. Na ulicach kłębiły się tłumy pieszych, głównie dzokerów. Niektórzy nosili maski. Inni trzymali w rękach transparenty. Wszyscy byli niebezpiecznie wkurzeni. Kilka razy zatrzęśli posuwającą się powoli przez tłum taksówką. Spector dał taksówkarzowi dodatkową stówkę, żeby wysadził go przecznicę od hotelu. Sądząc po odgłosach narzekania dobiegających z przedniego siedzenia, mężczyzna zaczął mieć wątpliwości pomimo wysokiej zapłaty.

Prawo jazdy nie nastreczyło mu trudności. Podrabiał je już przedtem. Usunął laminat, a następnie zdrapał ostrożnie zdjęcie reportera i zastąpił je własnym.

Skorzystał z laminatora na lotnisku, by dokończyć robotę. Reporter (jego nazwisko brzmiało Herbert Baird) nie odbiegał zbyt od Spectora wzrostem, wagą ani wiekiem. W tej chwili jednak fałszywe dokumenty były najmniejszym z jego zmartwień. Przede wszystkim musiał dotrzeć do Marriotta w jednym kawałku.

Na maskę taksówki wskoczył dzoker, którego różowa, pomarszczona skóra zwisała w wielkich fałdach. Wymachiwał tabliczką, na której z jednej strony napisano „natole to naziole”, z drugiej zaś „a co z nami?”. Z przodu dobiegały okrzyki tłumu. Spector nie potrafił rozpoznać słów.

— Dalej już nie pojedziemy, proszę pana — oznajmił taksówkarz. — Nie zostanę przekazką dla dzokerów za sto dolarów ani nawet za sto tysięcy.

— Jak daleko stąd jest hotel? — zapytał Spector. Walizkę trzymał na tylnym siedzeniu obok siebie. Przewidywał, że w śródmieściu mogą być kłopoty i nie zamierzał poświęcać więcej czasu niż to absolutnie konieczne na przebijanie się

przez tłum wkurzonych dzokerów.

— Jakieś dwie przecznice prosto przed siebie. — Taksówkarz rozejrzał się nerwowo. Jeden z protestujących rozbił mu kopniakiem tylne światło. — Na pana miejscu bym się śpieszył.

— Jasne.

Spector otworzył ostrożnie drzwi i wysiadł na zatłoczony chodnik. Niektórzy dzokerzy krzywili się na jego widok albo wygrażali mu pięściami, ale większość nie zwracała na niego uwagi. Posuwał się naprzód powoli, zdając sobie z niezadowoleniem sprawę, że nowy garnitur oraz bagaż przyciągają uwagę i mogą uczynić go celem.

Po jakichś dziesięciu minutach przebijania się przez tłum ujrzał po drugiej stronie ulicy hotel. Spectora zalewał pot. Zaczynał cuchnąć jak otaczające go dziwolągi. Dzoker o paznokciach jak igły zastąpił mu drogę i zamachnął się na jego walizkę, rozdzierając jej bok. Zgon spojrział mu w oczy i podzielił się z nim ilością śmiertelnego bólu wystarczającą, by dzoker osunął się na chodnik. Nie chciał dodatkowo rozjuszać tłumu zabójstwem. Był paskudny upał i żadnego z tych głabów nie zdziwi, że ktoś zemdłał.

Gdy Spector wszedł do hotelowego holu, tłum już się rozpraszał, z pewnością po to, by zebrać się ponownie w innym miejscu. Atrium było otwarte aż po sam dach, a krzywizny ścian przypominały asowi wnętrze czegoś martwego. Zacerpnął głęboki haust chłodnego powietrza i podszedł do ochroniarzy. *Herbert Baird, Herbert Baird, nazywasz się Herbert Baird* — powtarzał sobie.

Czekała już na niego grupa umundurowanych gliniarzy oraz facetów w garniturach, noszących słuchawki w uszach.

— Dokumenty, proszę — odezwał się jeden z policjantów.

Spector wyciągnął portfel, świadomie starając się odprężyć, i wręczył policjantowi prawo jazdy. Ten przyjrzał się dokumentowi, a następnie pokazał go facetowi siedzącemu przy komputerowym terminalu. Mężczyzna przez chwilę śmigał palcami po klawiaturze, a potem znieruchomiał i skinął głową.

— Czy mogę zobaczyć pański bagaż, panie Baird? — Policjant przyjrzał się śladom pazurów na boku walizki. — Jest tu dziś raczej gorąco, prawda?

— Goręcej, niż jestem do tego przyzwyczajony — odparł z uśmiechem Spector. Byli znudzeni i nie poświęcali mu zbyt wielkiej uwagi. Dostanie się do środka.

Policjant przepuścił walizkę przez aparat rentgenowski i wskazał na wykrywacz metali.

— Można pana prosić?

Gdy as przechodził przez aparat, nagle rozległ się sygnał alarmowy. Zatrzymał się i bardzo powoli sięgnął do kieszeni. Czuł, że gapi się na niego co najmniej dwudziestu ludzi. Wyciągnął z kieszeni garść drobnych i wręczył je

gliniarzowi. Potrzebował monet, żeby skorzystać z laminatora.

— Czy mogę spróbować jeszcze raz?

Gliniarz poruszył powoli ręką, wskazując na wykrywacz. Spector przeszedł przez niego bezdźwięcznie i westchnął z ulgą. Policjant wyciągnął rękę i zwrócił mu drobne. As schował je do kieszeni i znowu się uśmiechnął.

— Pański bagaż jest tam.

Policjant wskazał na walizkę, po czym znowu zwrócił się ku wejściu do hotelu.

Spector uniósł walizkę. Była tak ciężka, że omal nie wysunęła mu się ze spoczonej dłoni. Ruszył powoli w stronę recepcji. W holu nie było zbyt wielu ludzi, którzy nie mieliby pod garniturami charakterystycznych wypukłości. Zarejestrowanie się zajęło mu więcej czasu, niżby należało. Recepcjonista był grubym, nadętym kutafonem, który przyjrzał mu się uważnie, gdy Spector oznajmił, że zapłaci gotówką. Mały skurczybyk pewnie chciał zaimponować facetom z Secret Service albo coś równie głupiego. Zapewne była to dla niego jedyna w życiu szansa, by zgrywać ważniaka. Spector wróci tu któregoś dnia i załatwi skurwiela. Gdy mężczyzna wreszcie podał mu klucz, as wyrwał mu go z palców i ruszył pośpiesznie ku windom.

Był już prawie na miejscu, gdy nagle ktoś go zawołał:

— James. James Spector. Cześć, Specs.

Głos wydawał się znajomy, ale to nie musiała być dobra wiadomość. Odwrócił się powoli. Mężczyzna podszedł do niego i wyciągnął z uśmiechem rękę. Miał jasnoszary garnitur i elegancką fryzurę. Był kilka centymetrów niższy od Spectora, ale znacznie bardziej muskularny.

— Tony C. — As wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił mięśnie. — To niemożliwe.

On i Calderone byli kumplami w Teaneck, ale Spector już przed wielu laty stracił z nim kontakt.

Tony uścisnął jego dłoń, potrząsając ją mocno.

— Mój stary kumpel. Król koszykarskich zasłon. Co tu porabiasz?

— Hmm, lobbuję. — Spector zakasłał. — A ty?

— Pracuję dla Hartmanna. — Spector otworzył usta, po czym od razu je zamknął. — Wiem, trudno w to uwierzyć. Jestem jego czołowym specjalistą od pisania mów. — Zatarł dłonie. — Zawsze miałem dobrą gadkę.

— Zwłaszcza z dziewczynami. — Spector przestępował nerwowo z nogi na nogę. Najwyraźniej żaden z gliniarzy, którzy sprawdzali jego dokumenty, nie usłyszał Tony'ego, ale i tak czuł się zdemaskowany. — Posłuchaj, cieszę się, że cię spotkałem, ale muszę się rozgościć w pokoju. Na zewnątrz jest prawdziwe zoo.

— Jeśli wydaje ci się, że to zoo, poczekaj, aż zobaczysz, co się dzieje w środku. — Tony poklepał go po ramieniu. W tym geście było prawdziwe ciepło,

jakiego Spector nie zaznał od wielu lat. — Jaki masz numer pokoju?

As spojrział na kartę.

— Tysiąc trzydzieści jeden

— Tysiąc trzydzieści jeden. Zjedźmy razem kolację, jak już zejdziesz na dół. Mamy mnóstwo spraw do obgadania. — Tony wzruszył ramionami. — Nawet nie wiem, czym się zajmowałeś od czasów liceum.

— Zgoda. Mam mnóstwo czasu do zabicia. — Zza ich pleców dobiegł sygnał windy. Tony odsunął się i pomachał mu na pożegnanie. — Do zobaczenia — dodał Spector, starając się, by jego głos zabrzmiał tak, jakby nie obawiał się tej perspektywy. To będzie dziwniejsze niż Sylwester w Cudakach.



Hiram urządził przyjęcie w swym apartamencie w Marriotcie. Gregg miał się na nim pojawić, więc w pokojach było pełno delegatów z Nowego Jorku z rodzinami. W większości apartamentów, które odwiedzał tu Tachion, cuchnęło papierosami i starą pizzą. Tu również czuło się woń papierosów, ale na rozstawionych w strategicznych miejscach tacach leżały małe quiches oraz pierożki. Tach wziął sobie jeden. Kruche ciasto eksplodowało w jego ustach, a po chwili poczuł intensywny smak grzybów.

Strzepnął okruszki z palców i z klap płaszcza, po czym uniósł rękę i poklepał Hiram po ramieniu. Gruby as jak zwykle był ubrany z klasą, ale pod oczami miał cienie przypominające obrzękłe siniaki, a jego skóra miała niezdrowy kolor wilgotnego surowego ciasta.

— Nie mów mi, że miałeś czas wkraść się do kuchni i przyrządzić to wszystko — rzekł Takizjanin.

— Nie miałem, ale moje przepisy...

— Tak też podejrzewałem. — Tach pochylił się i zdjął rąbkiem chusteczki okruszek z lakierków. Kiedy się wyprostował, zebrał się na odwagę.

— Hiram, czy dobrze się czujesz?

— Dlaczego pytasz?

Te słowa wyrwały się z ust restauratora niczym ostre sapnięcie.

— Wyglądasz niezdrowo. Przyjdź później do mojego pokoju. Zbadam cię.

— Nie. Dziękuję, ale nie skorzystam. Nic mi nie jest. To tylko zmęczenie.

Na jego szerokiej twarzy pojawił się uśmiech. Wyglądało to tak, jakby nagle dodał go rysownik kreskówek.

Tachion wypuścił z płuc długo wstrzymywany oddech i potrząsnął głową, odprowadzając wzrokiem Hiram, który poszedł przywitać senatora Daniela Moynihana. Kosmita krążył po pokojach, uśmiechał się i ścisnął dłonie. Ten ostatni zwyczaj nawet po tak wielu latach wciąż wydawał mu się dziwny. Na Takis znali tylko dwie ekstremalne opcje — kontakt ograniczony do minimum, ponieważ dla

telepatów nawet lekkie dotknięcia były odrażające, a między bliskimi przyjaciółmi albo krewnymi pełen uścisk. Na Ziemi obie te opcje wywoływały problemy. Lekki dotyk sugerował snobizm, a serdeczny uścisk wywoływał u mężczyzn z tej planety homofobiczne reakcje. Dlatego Tachion z pewną zadumą przyglądał się, jak jego urękawiczona dłoń raz po raz ginie w chciwych ludzkich łapskach.

Na sofie ustawionej pod oknem siedział mężczyzna otoczony przez trzy roześmiane kobiety. Najmłodsza przysiadła mu na kolanie. Jej siostra stanęła z tyłu i pochylała się ku niemu, oplatając ramiona wokół jego szyi. Obok siedziała ładna kobieta o posiwiałych włosach. Jej wpatrzone w twarz mężczyzny oczy były pełne czułości. Ciepło tej sceny przypomniało Tachionowi o pustce wypełniającej jego życie.

— Daj spokój, tato — prosiła najmłodsza z kobiet. — Tylko jedna, krótka mowa. — Jej głos zmienił nieco tonację, stał się głębszy i bardziej dźwięczny. — Co chcesz mi powiedzieć? Jeśli publiczne dobro masz na celu, postaw śmierć z jednej, honor z drugiej strony, na oba spojrzę okiem obojętnym, bo niechaj bogi tak mi dopomogą, sława mi droższa nad życie jest moje₁.

— Nie, nie, nie — odparł mężczyzna, podkreślając każde słowo potrząśnięciem głowy.

— Juliusz Cezar może nie być najlepszym przykładem na politycznej konwencji — odezwał się cicho kosmita. Skierowały się na niego cztery pary ciemnych oczu. Po chwili mężczyzna opuścił wzrok i przeczesał nerwowo palcami siwiejącą brodę. — Wybaczcie, że się wtrąciłem, ale niechący podsłuchałem waszą rozmowę. Jestem Tachion.

— Domyślił się — odparła dziewczyna stojąca za sofą. Przyjrzała się jaskrawemu, zielono-różowemu strojowi Takizjanina, a potem obrzuciła siostrę drwiącym spojrzeniem.

— Josh Davidson — przedstawił się mężczyzna. Wskazał na siedzącą obok kobietę. — Moja żona, Rebecca. A to moje córki, Sheila i Edie.

— Jestem oczarowany.

Tach musnął ustami grzbiety trzech dłoni.

Edie zachichotała, przenosząc spojrzenie między ojcem a siostrą. W grupce krążyły silne emocje. Pod powierzchnią kryło się coś, od czego Tachion celowo odwracał spojrzenie. Ludzie mieli swoje sekrety i nawet jeśli potrafił je odczytać, to jeszcze nie znaczyło, że miał do tego prawo. Kolejną rzeczą, której nauczyło go czterdzieści lat pobytu na Ziemi, była potrzeba filtrowania. Kakofonia niewyszkolonych ludzkich umysłów szybko doprowadziłaby go do szaleństwa, gdyby nie chronił się za tarczami.

— Poznaję panią — rzekł Tachion. — Ostatniej zimy była pani świetna w *Domu lalki*.

— Dziękuję.

— Jest pani delegatką?

— Mój Boże, nie — zaśmiała się kobieta. — Reprezentuje nas moja córka Sheila.

— Tata jest raczej cynikiem, jeśli chodzi o politykę — wyjaśniła starsza siostra. — Miałymy szczęście, że się nam udało go tu przyciągnąć.

— Muszę mieć na ciebie oko, młoda damo.

— Myśli, że nadal mam dziesięć lat — wyjaśniła, mrugając znacząco do Tachiona.

— To prerogatywa ojców. — Davidson wpatrywał się w niego tak intensywnie, że Takizjanin zadał sobie pytanie, czy ten ojciec chce mu przekazać ostrzeżenie brzmiące: „Jeśli dotkniesz moich córek, utnę ci jaja”. Postanowił, że sprawdzi to dla rozrywki.

— Może mógłbym zaprosić jutro panie Davidson na obiad?

— Proszę pana — odparła Sheila. Jej głos brzmiał poważnie, ale w oczach tańczyły ogniki. — Pańska reputacja pana poprzedza.

Tach położył rękę na sercu i zachwiał się lekko.

— Ach, moja sława, moja nieszczęsna sława.

— Uwielbia ją pan — zauważył Davidson z osobliwym, odległym wyrazem pełnych ekspresji oczu.

— Być może to nas ze sobą łączy, panie Davidson?

— Och, nie. Nie sądzę.

Ze wszystkich stron dobiegały go uprzejme szeptki. Tach ruszył w dalszą drogę. Czuł spojrzenia wbijające się w jego plecy, ale się nie odwrócił. Nie było sensu zachęcać żadnej z tych pięknych dziewczyn. Z pewnością by je rozczarował.

17:00

Większość kandydatów na lalki Gregg podporządkowywał sobie bez wysiłku. To było łatwe. Wystarczyło kilka sekund dotyku, na przykład przeciągający się uścisk dłoni, by Lalkarz przeszedł po utworzonym w ten sposób moście i zakradł się do umysłu drugiej osoby, by krążyć po jaskiniach ukrytych pożądań i emocji, ożywiając wszelkie możliwe plugastwo.

Gdy już więź została nawiązana, Gregg nie potrzebował więcej fizycznego kontaktu. O ile ofiara znajdowała się w promieniu kilkuset metrów, Lalkarz mógł wykonać natychmiastowy skok mentalny.

Senator zręcznie wykorzystywał to podczas kampanii. Dzięki jego mocy inni kandydaci jękali się przy odpowiedziach albo wyrażali swe stanowisko zbyt stanowczo i agresywnie. Robił to aż do czasu, gdy pod koniec prawyborów Gimli zaczął mu przeszkadzać, a Lalkarz stał się zbyt nieprzewidywalny i niebezpieczny, by mógł dalej korzystać z jego usług.

Jessego Jacksona zostawił w spokoju, choć miał szansę się do niego dobrać.

Pastor miał zbyt silną, charyzmatyczną osobowość. Był też znakomitym mówcą. Z pewnością żaden inny kandydat nie wypowiadał się tak śmiało i bezpośrednio. Jackson był idealistą, a nie pragmatykiem, jak pozostali. To był jeden z czynników zmniejszających jego szanse.

Gregg wiedział też z doświadczenia, że uprzedzenia są realne. Przeciętny człowiek z łatwością wyrażał współczucie, ale znacznie trudniej było mu podjąć konkretne działania.

Uprzedzenia do czarnych nie różniły się od uprzedzeń do dzokerów. Czy to przy pomocy Lalkarza, czy bez niej Jackson nie zostanie prezydentem, nawet gdyby udało mu się zdobyć nominację.

Nie w tym roku. Jeszcze nie.

Gregg nie odważyłby się powiedzieć tego publicznie, ale wiedział, że Jackson również zdaje sobie z tego sprawę, nawet jeśli twierdzi, że jest inaczej. Dlatego pozwolił mu iść własną drogą. Dzięki temu prawyborcy stały się bardziej interesujące.

Teraz, gdy Lalkarz wrzeszczał w jego wnętrzu i stał się tak nieprzewidywalny, że Gregg nie ważył się go wypuścić, musiał przyznać, że to mógł być błąd. Gdyby zapanował nad czarnoskórym kandydatem, znacznie ułatwiłoby mu to zadanie.

Wielebny Jackson siedział teraz w wielkim, obitym skórą fotelu naprzeciwko Gregga, krzyżując przed sobą nogi w nienagannie wyprasowanych czarnych spodniach. Drogi jedwabny krawat miał ciasno zawiązany pod szyją. Asystenci pastora, również obecni w kwaterze głównej jego kampanii, udawali, że się nie przyglądają. Dwaj synowie wielebnego siedzieli po obu jego stronach na drewnianych krzesłach.

— Barnett zmienił kwestię praw dzokerów w parodię — mówił Gregg. — Przyciągnął do siebie wszystkie możliwe grupy interesu, by tylko osłabić jej znaczenie. Kłopot w tym, że sam nie zdołam go powstrzymać.

Jackson wydał wargi i postukał w nie palcem wskazującym.

— Teraz prosi pan o moją pomoc, senatorze, ale gdy debata programowa się skończy, wrócimy do sytuacji wyjściowej. A choć nie zgadzam się z wielebnym Barnettem w wielu podstawowych kwestiach, zdaję sobie sprawę z realiów politycznych. Poparcie dla praw dzokerów to pańskie dziecko, senatorze. Jeśli ten punkt nie przejdzie, trudno będzie pana uznać za odpowiedniego kandydata na przywódcę kraju. W końcu to pana najważniejszy projekt, a nie potrafi pan nawet zmusić do posłuchu własnej partii.

Jackson sprawiał wrażenie niemalże zadowolonego z tej perspektywy.

Poradzę sobie z tym. Tylko mnie wypuść... Lalkarz był zły, poirytowany. Moc szarpała więzy, pragnąc zaatakować pewnego siebie Jacksona.

Daj mi spokój. Chociaż na kilka minut. Pozwól mi załatwić tę sprawę. Gregg

zepchnął moc z powrotem w głębinę, opierając się wygodnie, by zamaskować chwilowy konflikt.

Jackson przyglądał mu się z wielką uwagą. Miał oczy drapieżnika, hipnotyczne i niebezpieczne. Hartmann poczuł, że na czoło występuje mu pot. Zdawał sobie sprawę, że pastor również to zauważył.

— W tej chwili nominacja nie jest dla mnie najważniejsza — podjął Gregg, ignorując Lalkarza. — Pragnę pomóc dzokerom, którzy są ofiarami takich samych uprzedzeń, jak pański lud.

Jackson skinął głową. Asystent postawił tacę na stoliku między rozmówcami.

— Mrożonej herbaty? Nie? Jak pan sobie życzy.

Pastor pociągnął łyk ze szklanki i znowu ją odstawił. Gregg wiedział, że tamten zastanawia się, poddaje go ocenie.

Dzięki mnie wiedziałbyś wszystko dokładnie. Mógłbyś kontrolować jego uczucia...

Zamknij się.

Potrzebujesz mnie, Gregg. Naprawdę mnie potrzebujesz.

Skupił się na powstrzymaniu Lalkarza i kilka następnych słów mu umknęło.

— ...pogłoski, że zmusza pan swoich ludzi do bardzo ciężkiej pracy, senatorze. Niektórzy z nich nawet się na pana gniewają. Słyszałem opowieści o groźbie załamania nerwowego, powtórki z siedemdziesiątego szóstego.

Gregg poczerwieniał. Zaczął odpowiadać gniewnie, ale uświadomił sobie, że Jackson go prowokuje. Taką właśnie reakcję pragnął wywołać. As rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu.

— Wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do obrzucania błotem, pastorze. I tak, to prawda, że naciskam na swoich ludzi. Zawsze to robię, kiedy mocno w coś wierzę.

— Ale gniewają pana te oskarżenia. — Jackson uśmiechnął się i pomachał ręką. — Och, znam to uczucie, senatorze. W gruncie rzeczy reaguję tak samo, gdy ktoś atakuje moją pracę na rzecz praw obywatelskich. Spodziewałem się tego. — Złożył palce w piramidkę pod podbródkiem i wsparł łokcie na kolanach. — Czego pan chce, senatorze?

— Poparcia dla punktu programu dotyczącego praw dzokerów. Niczego więcej.

— A co pan może mi zaoferować w zamian?

— Miałem nadzieję, że zgodzi się pan wyłącznie z przyczyn humanitarnych.

— Głęboko współczuję dzokerom. Niech mi pan uwierzy, senatorze. Ale wiem również, że punkt w platformie programowej to tylko słowa. Program nikogo do niczego nie zobowiązuje. Będę walczył o prawa wszystkich uciśnionych,

z programem czy bez niego. Nie obiecuję swoim współbraciom punktów. Zapewniłem ich, że zrobię wszystko, by wygrać na tej konwencji. I tak właśnie postępuję. Ja nie potrzebuję platformy wyborczej, pan tak.

Jackson ponownie uniósł szklanke i wypił kolejny łyk. Przyglądał się Greggowi, czekając cierpliwie.

— W porządku — zgodził się wreszcie senator. — Rozmawiałem na ten temat z Devaughnem i Loganem. Jeśli wszyscy pańscy delegaci poprą nas w tej sprawie, uwolnimy w drugim głosowaniu naszych delegatów z Alabamy, udzielając im silnej rekomendacji, by przeszli do pana.

— Alabama nie jest dla pana ważna. Zdobył pan tam... ile... dziesięć procent delegatów?

— Te dziesięć procent może należeć do pana. Zajął pan w Alabamie drugie miejsce za Barnettem. Co ważniejsze, może to zasugerować, że szala na Południu przechyla się w drugą stronę i Barnett traci poparcie. To byłoby dla pana korzystne.

— Dla pana również — zauważył Jackson i wzruszył ramionami. — W Missisipi też byłem drugi.

Sukinsyn.

— Będę musiał to potwierdzić, ale zapewne mógłbym uwolnić również delegatów z tego stanu.

Jackson umilkł na chwilę. Popatrzył na synów, a następnie przeniósł spojrzenie z powrotem na Gregga.

— Muszę się nad tym zastanowić — oznajmił.

Cholera, pozwalasz, by zwycięstwo wymknęło ci się z rąk! On będzie żądał coraz więcej. Mógłbym spowodować, że zgodzi się bez żadnych warunków. Jesteś durniem, Reggie.

— Nie mamy czasu — rzekł ostro Gregg i natychmiast pożałował tych słów.

Jackson przymrużył powieki.

— Przepraszam, wielbny — rzekł pośpiesznie senator, starając się zatuszować gafę. — Po prostu... chodzi o to, że tym razem dla dzokerów platforma wyborcza to nie są słowa. Ona stanie się dla nich dowodem na to, że ich głos usłyszano. Wszyscy, którzy ich poprą, mogą tylko na tym skorzystać.

— Senatorze, słynie pan z sukcesów w humanitarnej działalności, ale...

Pozwól mi go dorwać...!

— Pastorze, czasami pasja bierze we mnie górę nad rozsądkiem. Ponownie pana przepraszam.

Jackson nadal miał zaszępiłą minę, ale z jego oczu zniknął gniew.

O mały włos wszystko byś zepsuł.

Zamknij się. Niepotrzebnie się wtrącałeś. Pozwól mi to załatwić. Będziesz musiał mnie wypuścić. Już niedługo.

Niedługo. Obiecuję. Tylko siedź cicho.

— W porządku — rzekł wielebny Jackson. — Myślę, że zdołam to załatwić ze swoim sztabem. Ma pan moje poparcie, senatorze.

Jackson wyciągnął rękę. Gdy Gregg ją uścisnął, poczuł drżenie palców. *Mój! Mój!* Moc rozszalała się w jego wnętrzu, wrzeszcząc, drapiąc i rzucając się na kraty.

Senator potrzebował wszystkich swych sił, by powstrzymać Lalkarza, gdy ścisnął dłoń Jacksona. Szybko przerwał kontakt.

— Coś panu dolega, senatorze?

Gregg uśmiechnął się blado do rozmówcy.

— Nic mi nie jest — zapewnił. — Dziękuję, pastorze. Po prostu jestem głodny.

18:00

— Tam, gdzie mnie wychowano, nie siada się bez zaproszenia przy czyimś stole.

Tachion przerzucił siedem różowych papierków z wiadomościami od Hirama i schował wszystkie do kieszeni.

— Tam, gdzie panią wychowano, nie zapomina się też o podziękowaniu za prezent. Wiem o tym, bo byłem obecny, kiedy pierwszy raz wysepleniła pani „dziękuję”, kiedy przyniosłem pani cukierki.

Furia, która rozgorzała w brązowych oczach Fleur, była tak intensywna, że Takizjanin aż się wzdrygnął. Uniósł nieco rękę w obronnym geście.

— Niech mnie pan zostawi w spokoju!

— Nie mogę.

— Dlaczego? — Załamała ręce, splatając z desperacją palce. — Czy nie wystarczy panu, że zabił moją matkę?

— Szczerze mówiąc, uważam, że dzielimy tę winę z pani ojcem. Ja zniszczyłem jej umysł, ale on pozwolił, by torturowano ją w tym szpitalu psychiatrycznym. Gdyby zostawił ją ze mną, mógłbym znaleźć jakiś sposób, by poskładać rozbite odłamki.

— Jeśli tylko taki był wybór, cieszę się, że umarła. Lepsze to, niż gdyby nadal miała być pańską kurwą.

— Pani matka nigdy nie była kurwą. Nazywając ją tak, poniża pani ją i samą siebie. Z pewnością nie myśli pani tak o niej.

— Myślę. Czemu miałabym być innego zdania? Nigdy jej nie poznałam. To pana zasługa.

— Ja nie wyrzuciłem jej z domu.

— Mogła pojechać do rodziców.

— Kochała mnie.

— Nie potrafię sobie wyobrazić dlaczego.

— Jeśli da mi pani szansę, zademonstruję to pani.

Gdy tylko Tachion wypowiedział ten gładki, zalotny frazes, uświadomił sobie, że zrobił straszliwe głupstwo. Przycisnął palce do ust, jakby chciał powstrzymać te słowa, ale było już za późno. Stanowczo za późno.

Czterdzieści lat za późno?

Fleur wstała z krzesła jak rozwścieczona bogini i wymierzyła mu siarczysty policzek, kalecząc go paznokciem w dolną wargę. Takizjanin poczuł ostry, metaliczny smak krwi. Wszystkie rozmowy w Pompano's umilkły. Nagła cisza sprawiła, że po skórze Tachiona przebiegły ciarki. Przełknął upokorzenie, które wypełniło mu usta paskudnym smakiem. Stukot butów opuszczającej demonstracyjnie restaurację kobiety nasilał tylko dręczący go ból głowy.

Tachion ostrożnie unióś dwa palce przed oczy i policzył je. Następnie otarł usta wyrzuconą przez Fleur chusteczką. Lekko pachniała jej perfumami. Zacisnął wargi w upartym grymasie.

20:00

— Dystrofia mięśniowa. Za czy przeciw, Charles?

— Jezu! — Ryk Devaughna dobiegający z telefonu komórkowego Jacka brzmiał jeszcze bardziej wściekle niż dotąd. — Nie możemy zagłosować przeciwko Stowarzyszeniu Dystrofii Mięśniowej, tak? To dzieci Jerry'ego Lewisa!

Orkiestra wreszcie dowlokła się do ostatnich tonów *Mame*. Louis Armstrong zagrałby to lepiej przez sen. As stał na podrapanym, szarym składanym krześle, otoczony tłumem kalifornijskich delegatów.

— Za czy przeciw, Charles? — powtórzył.

— Za. Cholera. Za. — Jack wyraźnie usłyszał, jak Devaughn wali pięścią w blat biurka. — Cholera, cholera, cholera. Cholera, kurwa, pizda. Ta suka. Ta jebana waspowska dziwka.

— Mam ochotę skrócić kark Fleur van Renssaeler.

— Musiałbyś się ustawić w kolejce za mną.

— Wzywają do głosowania.

Emil Rodriguez pociągnął Jacka za rękaw. As odłożył telefon i pokazał swej hordzie delegatów gest uniesionego kciuka, oznaczający głos za. Spróbował sobie wyobrazić, jak tysiące Amerykanów siedzących na wózkach inwalidzkich albo noszących ortezy wydają z siebie radosne okrzyki i zmieniają sympatie polityczne, ale imaginacja go zawiodła.

Rodriguez, niski mężczyzna o potężnej klatce piersiowej, spojrział na Jacka z furią w oczach.

— Przesrana sprawa — warknął.

Złoty Chłopiec zszedł z krzesła i zapalił papierosa.

— Masz rację, *ese*.

Jim Wright uderzył młotkiem, prosząc o ciszę. Jack spojrzął na grupki rozchodzących się delegatów, myśląc o chaosie, jaki zapanował dziś w Atlancie. Gwałtowne demonstracje, zacięta walka o platformę wyborczą oraz dziwaczny incydent z Sarą Morgenstern na porannej konferencji prasowej.

Ukryty as? — pomyślał. Ciekawe, który z nich?

Przez wiele godzin trwało w konwencji rozdarcie z powodu punktu programu dotyczącego praw dzokerów. Komisja programowa zaakceptowała go przy silnym sprzeciwie ze strony delegatów Barnetta. Potem, gdy nikt nie patrzył, poddał wniosek pod głosowanie i zaczęła się prawdziwa awantura. Wszyscy delegaci Barnetta byli przeciw, a ludzie Hartmanna za. Jackson dochował wierności swym zasadom i poparł Gregga. Pozostali kandydaci grali na zwłokę, chcąc się zorientować, jakie korzyści może im przynieść poparcie jednej albo drugiej ze stron. Wszystko mogłoby pójść po ich myśli, gdyby nie wybuch przemocy, do którego doszło po południu w obozie dzokerów. Centrowi kandydaci zwlekali tak długo, jak tylko mogli, obawiając się antydzokerskiej reakcji. W końcu jednak delegaci zaczęli się skłaniać do punktu widzenia Hartmanna.

I wtedy sztab Barnetta wykonał mistrzowskie posunięcie. Jego ludzie uświadomili sobie, że nie zdołają powstrzymać uchwalenia punktu o prawach dzokerów, postanowili więc go osłabić.

— Dlaczego partia miałaby popierać wyłącznie prawa dzokerów? — zapytali. — Czemu zapominamy o innych niepełnosprawnych obywatelach?

Wkrótce zarządzono głosowanie nad tym, czy w punkcie dotyczącym praw obywatelskich powinno się uwzględnić również chorych na stwardnienie rozsiane. Choć szefowie kampanii Hartmanna, świetnie wiedzący, że wpuszczono ich w kanał, przeklinali i rzucali krzesłami, wniosek przeszedł jednogłośnie. Żaden Demokrat nie chciał, by przyłapano go na sprzeciwianiu się prawom nieuleczalnie chorych.

Potem podążyły następne choroby: stwardnienie zanikowe boczne, zespół Guillaina-Barrégo, rozszczep kręgosłupa, zespół post-polio (w tym przypadku głosowanie było wyrównane, głównie dlatego, że nikt nie słyszał o takiej chorobie), a teraz przyszła kolej na dzieci Jerry'ego. Barnettowi udało się ośmieszyć całą kwestię praw dzokerów. Przewodnicząca jego teksańskiej delegacji, kobieta o niebieskich włosach, nosząca biały kowbojski kapelusz, czerwone lakierki z cholewami oraz dopasowane do nich barwą spódnicę i kamizelkę obszytą kołyszającymi się, białymi frędzlami w stylu Buffalo Boba, zgłosiła kolejny wniosek. Jack wybrał numer kwatery głównej i ponownie wspiął się na krzesło.

— Jezu Chryste, to AIDS — odezwał się Rodriguez.

Z ust delegatów wyrwał się chóralny jęk paniki. Barnett zadał śmiertelny cios. Wszyscy widzowie, którzy ulegli homofobicznej histerii spowodowanej przez wirusa AIDS, z pewnością wpatrywali się w ekrany, chcąc się dowiedzieć, czy

Demokraci usankcjonują zanieczyszczanie ich płynów ustrojowych przez czających się wszędzie sodomitów oraz ćpunów sączących nieczyste wydzieliny ze wszystkich otworów ciała. Co więcej, Barnettowi udało się skutecznie połączyć AIDS z ksenowirusem Takis-A.

— Za czy przeciw, Charlie? — zapytał znużonym głosem Jack.

— Jebać pedałów! — wściekał się Devaughn. — Do diabła z tym wszystkim!

Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokazał swoim delegatom opuszczony kciuk. Wniosek przepadł z kretesem. Konwencja miała już dość taktyki Barnetta. Wszystkie te podchody przez pewien czas mogły się wydawać zabawne i wykonały swe najważniejsze zadanie, jakim było ośmieszenie przekonañ Hartmanna, ale teraz wszyscy byli już tym zmęczeni.

Kobieta z Teksasu otrzymała instrukcje i zaproponowała zakończenie głosowania. Ludzie Hartmanna cicho zgłosili wniosek o uwzględnienie w punkcie dotyczącym praw obywatelskich ofiar wszystkich pozostałych chorób. Propozycję zaakceptowano jednogłośnie.

Następnie przyjęto całą platformę i Jim Wright uderzył młotkiem, ogłaszając koniec długiego dnia. W górę wzbiły się kapelusze, transparenty oraz Latający Asowie rzucani przez uszczęśliwionych delegatów.

Jack polecił swoim ludziom, by wstali jutro wcześniej i byli przygotowani. W środę wieczorem odbędą się co najmniej dwie tury wyborów kandydata na prezydenta. To zapewne pozwoli określić, w jakim kierunku zmierza konwencja.

Zapalił kolejnego camela, przyglądając się tysiącom kierujących się ku wyjściom delegatów. Orkiestra zęgnęła ich, grając *Don't Cry for Me, Argentina*.

Choć raz Złoty Chłopiec nie zareagował na znienawidzoną melodię. Myślał o ukrytym asie.

21:00

Billy Ray zadzwonił do Gregga z holu Marriotta.

— Senatorze, czy nadal jest pan zainteresowany spotkaniem z Barnettem? Czarna Lady powiedziała mi, że on właśnie wraca ze spotkania do hotelu.

Gregg miał za sobą okropny dzień. Popołudnie i wieczór były jeszcze gorsze niż rano. Amy, John i na koniec Devaughn już od pewnego czasu bezskutecznie próbowali załatwić mu spotkanie z Barnettem. Udało im się dotrzeć tylko do Fleur, która prosto z mostu oznajmiła im, że wielebny nie jest zainteresowany rozmową z Greggiem. Dzisiejsze starcie na obradach potwierdziło, że Barnett nie jest skłonny do współpracy.

Jedno z nich — albo sam wielebny, albo Fleur van Renssaeler — okazało się naprawdę bystrym politycznym strategiem. Gregg musiał użyć wszystkich swych wpływów, by zachować w platformie wyborczej jakąkolwiek wzmiankę o prawach

dżokerów. Bez poparcia Jacksona nie byłoby to możliwe. Zachowała się jednak tylko bezzębna, zneutralizowana wersja oryginału, pełna warunków i niejasnych sformułowań. Nie można było o niej powiedzieć wiele dobrego poza tym, że była to pierwsza oficjalna deklaracja w historii dotycząca praw dżokerów. Media mogły ją nazywać „małym triumfem” Hartmanna i dżokerów, ale gniewne tłumy czekające pod halą wiedziały, że deklaracja jest pozbawiona znaczenia.

Po uchwaleniu platformy wyborczej zniknęły wszystkie powody, by spotykać się z Barnettem. Wszystkie poza jednym. *Zrób to* — zażądał z emfazą jego głos wewnętrzny.

— Senatorze? Jeśli akurat będziemy w holu, gdy zjawi się Barnett, albo...

Najgorszy jednak był fakt, że po dzisiejszym incydencie z dżokerami musiał sobie radzić z narastającą desperacją Lalkarza. Próbował poskromić na nowo moc, ale nie był w stanie tego dokonać. Towarzyszyła mu przez cały czas.

Ludzie coś zauważali. A już z pewnością Jackson. Ellen również gapiła się na niego, gdy wydawało się jej, że tego nie widzi. Amy, Braun i Devaughn obchodzili się z nim bardzo ostrożnie. Jeśli pragnie zdobyć tę nominację, musi jakoś rozwiązać problem Lalkarza. Nie mógł sobie pozwolić na to, by coś tak mocno odciągało jego uwagę.

— Dziękuję, Billy. To brzmi nieźle.

— Jasne. Przyjadę po pana.

Gregg odłożył słuchawkę i poszedł do łazienki.

— Wyrwałeś się spod kontroli — wyszeptał, wpatrując się w swe odbicie w lustrze.

Odpowiedziała mu zimna wesołość Gimlego.

Dzisiejsze wysiłki kosztowały go bardzo wiele. Patrząca z lustra twarz sprawiała wrażenie całkowicie wycieńczonej. *Barnett będzie dla mnie* — zażądał po raz kolejny Lalkarz. Gregg niemalże spodziewał się, że zobaczy w lustrze swe poruszające się usta. *Gdy już zrobimy z niego lalkę, będziemy mogli nim manewrować, jak Gephardtem i Babbitem. Wystarczy parę lekkich trąceń to tu, to tam...*

Już raz próbowaliśmy to zrobić, podczas jednej z debat — przypomniał mu Gregg. *Zawsze trzymał się na dystans, nie pozwalał się dotknąć ani nie chciał uścisnąć nam ręki. To szaleństwo.*

Lalkarz prychnął pogardliwie. *Tym razem się uda. Musisz mi zaufać. Nie wygrasz bez mojej pomocy,*

Ale Gimli...

Musimy spróbować. Uda się nam, jeśli przestaniesz mi się opierać.

Zgoda. Zgoda.

Przez kilka minut drogi na piętro, na którym mieszkał Barnett, Billy Ray ani na moment nie zamykał ust. Gregg nie przerywał tego monologu. I tak nie

docierało do niego ani słowo. Gdy drzwi windy się otworzyły, Ray wyszedł na zewnątrz, pokazał swoją odznakę i porozmawiał chwilę z pełniącymi tam służbę agentami ochrony. Gregg podszedł do balustrady i spojrzął na rozświetlony hol na dole. Na dywanie obok wylądował Latający As. Mistral. Podniósł zabawkę i rzucił ją lekko. Zatoczyła pętlę, a potem zaczęła miarowo opadać. Ktoś stojący kilka pięter niżej zauważył ją i pozdrowił pijackim okrzykiem.

Po jakichś pięciu minutach rozległ się brzęk windy. Senator odwrócił się i zobaczył wysiadającą z niej Czarną Lady. Za nią szli Fleur oraz Leo Barnett. Gregg uśmiechnął się i ruszył w ich stronę.

— Wielebny Barnett, pańscy ludzie strzegą pana bardzo pilnie.

Czarna Lady odsunęła się na bok, ale Fleur nadal stała między Greggiem a kaznodzieją. Łypała groźnie na Hartmanna, nie pozostawiając mu innego wyboru, jak zatrzymać się albo wpaść na nią. Przesunął się w bok i wyciągnął rękę.

Lalkarz przycupnął, gotowy do skoku.

Barnett był przystojnym mężczyzną, jasnowłosą wersją kaznodziei z Południa. Pełne usta rozciągał w bladym uśmiešku, a w jego dźwięcznym głosie pobrzmiwał lekki akcent zdradzający, skąd pochodził.

— Błagam o wybaczenie, senatorze Hartmann. Moi ludzie czasami myślą, że potrzebuję również ich ochrony oprócz tej, którą zapewnia mi Pan. Z pewnością to zrozumiałe. — Spojrzał na wyciągniętą rękę i na jego ustach znowu wykwitł ten blady uśmieszek. — Z chęcią ucisnąłbym pańską dłoń, senatorze, ale niestety, moja w tej chwili mnie boli. W holu doszło do drobnego wypadku.

Lalkarz zaklął. Gregg cofnął rękę.

— Powiedz mu, że to był dzoker, wielebny — warknęła zimno Fleur. — Powiedz mu o tym, że uścisnąłeś dłoń grzesznika, a on spróbował ci ją zmiażdżyć. Nadal uważam, że powinieneś pojechać do szpitala. Złamanie...

— To tylko siniak, siostró. Proszę... — Barnett uśmiechnął się do Gregga, jakby dzielił się z nim jakimś żartem zrozumiałym tylko dla nich obu. — Jestem pewien, że senatorowi to również się zdarzało. Ściskanie dłoni to przekleństwo polityków.

— Zgadza się — potwierdził Hartmann. Miał już serdecznie dość uśmiechania się. Skinął głową do gapiącej się na niego z kamienną twarzą Fleur. — Szczególnie mi przykro z tego powodu, że to był dzoker.

— Nosił znaczek z pana nazwiskiem — dodała kobieta, pociągając nosem.

— Nasi ludzie rozdają je tysiącami, podobnie jak wasi — odgryzł się Gregg odrobinę zbyt ostrym tonem. Spojrzał na Barnetta. — Doszło już do wystarczająco wielu nieporozumień. Chciałem pogratulować panu i pańskiemu sztabowi ciężkiej walki o platformę wyborczą, a także dodać, że cieszę się, iż wreszcie osiągnęliśmy kompromis.

Barnett poruszył nerwowo ustami. Gregg zorientował się, że trafił w czuły

punkt.

— Nie wyraziłem zgody na zmodyfikowaną platformę — oznajmił wielebny. — Wśród moich delegatów znalazły się, no cóż, słabe dusze, które uznały za stosowne poprzeć ją pomimo moich sprzeciwów. To był błąd. Muszę przyznać, że byłem winien próżności. Nie czuję się dobrze z tego powodu. Ale Pan robi użytek również z naszych porażek, senatorze. Pokazał mi, że źle czyniłem, angażując się w polityczne gierki. Przekonałem się, że ta konwencja nie jest odpowiednim miejscem dla kogoś takiego jak ja, senatorze.

Gregg poczuł chwilowy przyływ optymizmu. Jeśli Barnett wycofa swą kandydaturę, nawet gdyby przekazał swych delegatów Dukakisowi albo Jacksonowi... Ale wielebny znowu się uśmiechnął, wyjął z kieszeni marynarki wyczytany egzemplarz Biblii i otworzył pozłocaną okładkę.

— Jestem bożym człowiekiem, senatorze. Przez resztę czasu trwania konwencji będę robiło to, co potrafię najlepiej. Będę się modlił. Zamknę przed sobą drzwi tego świata i otworzę drzwi duszy.

Na twarzy Gregga z pewnością pojawił się brak zrozumienia.

— Dzisiejszy dzień trudno nazwać pańską porażką, wielebny. Nie był również zwycięstwem dla mnie. Pragnąłbym porozumieć się z panem, by odnaleźć nową ścieżkę, którą mogłaby podążać nasza partia. Izolowanie się nie jest rozwiązaniem.

Barnett pokiwał z powagą głową, jakby rozważał argumenty Gregga.

— Niewykluczone, że ma pan rację, senatorze. Jeśli tak, muszę mieć nadzieję, że Bóg to przede mną odsłoni. Niemniej spodziewam się, że spędzę resztę konwencji na modlitwie, a nie na politycznych gierkach. Fleur ma wszelkie kwalifikacje potrzebne, by sobie z nimi poradzić. Czasami bywam upartym durniem. Właściwie nie wierzę w kompromis. Nie wmawiam sobie, że istnieje więcej niż jedna właściwa ścieżka. Bóg, którego znam, ten, którego ujrzałem w Biblii, nie uznaje kompromisów. Bóg nigdy nie zawiera „porozumień”. Nigdy nie czyni ustępstw na rzecz „realiów politycznych”. — Barnett zerknął na Gregga. Na jego czole pojawił się mars zatroskania. — Nie chcę pana urazić, senatorze, ale muszę mówić to, w co wierzę.

— Ale ja wierzę w tego samego Boga, wielebny. Jesteśmy tylko ludźmi. Żaden z nas nie jest wszechmocny. Robimy to, co w naszych siłach. Nie musimy być wrogami. To ludzka pycha wywołuje konflikty między nami. Jako przywódcy możemy przynajmniej ucisnąć sobie dłonie i spróbować rozstrzygnąć dzielące nas różnice. — Gregg nasycił swe słowa tonem szczerego przekonania. — Dla dobra wszystkich. To byłby prawdziwie chrześcijański uczynek. — Zachichotał z nutą autoironii i ponownie wyciągnął rękę. — Obiecuję, że nie ucisnę mocno.

Lalkarz zadrzał z niecierpliwości. Przez chwilę był przekonany, że się uda. Barnett zawahał się, stając na palcach, ale po chwili ujął w dłonie Biblię.

— Tym, co chciałbym z panem dzielić, jest modlitwa, senatorze. Niech pan przyjmie moje zaproszenie i połączy się ze mną w czuwaniu. Zostawmy politykę delegatom i klękniemy przed Panem na kilka dni.

— Wielebny... — zaczął Gregg. *Dlaczego? Dlaczego za każdym razem nas unika?*

Barnett pokiwał głową.

— Tak też sądziłem — rzekł tonem bliskim smutku. — Wędrujemy bardzo różnymi ścieżkami, senatorze.

Ruszył ku swojemu pokojowi.

Gregg opuścił rękę.

— Nie ściska pan dłoni nieprzyjaciółom, wielebny? — zapytał ostrym tonem, przesyconym jadem Lalkarza.

Fleur, idąca tuż za Barnettem, zaczerwieniła się gniewnie. Ogniousty zaszczyił go tylko kolejnym smutnym, tajemniczym uśmiechem.

— Ludzie oczekują od bożego męża cytatów z Biblii, senatorze — rzekł. — Nie ma w tym nic dziwnego, bo Pismo ofiaruje nam właściwe słowa na wiele okazji. W tej chwili nasuwa mi się na myśl cytat z Pierwszego Listu do Tymoteusza. „Duch zaś otwarcie mówi, że w czasach ostatnich niektórzy odpadną od wiary, skłaniając się ku duchom zwodniczym i ku naukom demonów, przez takich, którzy obłudnie kłamią, mając własne sumienie napiętnowane”². Być może jest w tym trochę przesady, senatorze, sądzę jednak, że demon skaził pańskie słowa, nawet jeśli nie jest pan tego świadomy. Nie jesteśmy nieprzyjaciółmi, senatorze, a przynajmniej nie sądzę, byśmy nimi byli. Nawet jednak gdyby było to prawdą, modliłbym się o to, by przyszedł pan do światła i doznał oczyszczenia. Zawsze istnieje nadzieja odkupienia. Zawsze.

Barnett wlepił w Gregga długie, niemrugające spojrzenie. Następnie zamknął za sobą drzwi z głośnym trzaskiem zasuw.



Brandy ciągle paliła go w skaleczoną wargę. Przy każdym łyku wydawał z siebie jęk, a barmanka uśmiechała się drwiąco. Tachion miał ochotę powiedzieć jej, żeby poszła się pierdolić, ale nagle uświadomił sobie, jak wygląda. Paznokcie Sary pozostawiły głębokie, czerwone bruzdy na jego białym policzku, pamiątkę po wczorajszym fiasku. Dolną wargę nadal miał rozciętą i lekko obrzękłą po spotkaniu z pazurem Fleur. Okazał się wyjątkowo nieudolnym uwodzicielem. Nic dziwnego, że młoda barmanka uśmiechała się drwiąco. Kobiety zawsze trzymały się razem.

— Hej. Czy mogę się do pana dołączyć?

Josh Davidson usiadł na sąsiednim stołku. Tach odwrócił się, by przywitać go ze szczerą przyjemnością.

— Oczywiście.

— Kiedy mężczyzna siedzi sam, garbiąc się na stołku barowym, na ogół oznacza to, że chce, by zostawiono go w spokoju, ale pomyślałem sobie, że podejmę to ryzyko.

— Cieszę się, że pan to zrobił. Mogę postawić panu kolejkę?

— Oczywiście.

Na moment zapadła krępująca cisza, przerwana tylko zamówieniem złożonym przez Davidsona. Nagle obaj mężczyźni zwrócili się ku sobie i powiedzieli chórem:

— Zawsze podziwiałem...

— Zawsze pana podziwiałem...

Roześmiali się.

— Czyż nie szczęśliwie się złożyło, że obaj najwyraźniej mamy dobry gust? — zapytał Tachion. Przerwał na chwilę, by pociągnąć łyk brandy. — Dlaczego pan tu przybył?

— Z ciekawości — odparł Davidson, wzruszając ramionami.

— A co pana zainteresowało?

— Proces polityczny. Czy jeden człowiek może coś zmienić?

— Och, tak. Jestem o tym głęboko przekonany.

— Ale pan pochodzi z kultury kładącej nacisk na indywidualne starania — twierdził Davidson, kręcąc kieliszkiem w palcach.

— Jak rozumiem, pan się nie zgadza z tą opinią.

— Nie jestem pewien. Wydaje mi się wątpliwym pomysłem, żeby pozwolić, by wizja czy opinie jednego człowieka kształtowały politykę.

— Ale w tym systemie politycznym to się nigdy nie zdarza. Nawet w mojej arystokratycznej kulturze absolutny despotą to fantazja. Zawsze istnieją różne, przeciwstawne interesy.

— Tak, ale jak między nimi wybrać?

— Trzeba podjąć decyzję — odpowiedział Tachion, marszcząc brwi.

— Łatwo powiedzieć. Ale jakie ma pan prawo, by uznać własny osąd za ważniejszy niż... hmm...

— Wola ludu? — zasugerował Takizjanin.

— Tak.

Tach złączył palce w piramidkę przed ustami, a następnie odchylił głowę do tyłu, wpatrując się w kieliszki do wina, zwisające z półki niczym kryształowe stalaktyty.

— Przedstawiciel powinien służyć ludowi nie tylko swą pracą, lecz również osądem. Byłby winien zdrady, gdyby ustąpił opinii większości... Edmund Burke.

Davidson parsknął śmiechem, ostrym i wyrazistym. Tachion zeszywniał.

— Zdumiewa mnie pan, doktorze.

Takizjanin nie odpowiedział. Wiedział, że zdumiewa Ziemiaków. Robił to już

od chwili przybycia na ich planetę, dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Ideale, ależ ten czas leci!

Czterdzieści dwa lata. Przeżył na tym świecie prawie tyle samo czasu, co na własnym. Dom.

— Halo, gdzie pan jest?

Ciemne, zamysłone oczy spoglądały na niego z troską.

— Na świecie, który już dla mnie nie istnieje.

Tęsknota za domem uwięzła w gardle Tacha niczym bryła o ostrych krawędziach.

— *A tak minuty, godziny, dni, lata*

Na wyznaczonej spędzone robocie,

Do grobu siwą zaprowadzą głowę,

O, jak rozkoszne, o, jak błogie życie!

Czy cień nie miłszy cierniowego krzaka

Śpiącemu przy swej trzodzie pasterzowi

Nad haftowane złotem baldachimy

Krółom o zdrajców sztylcie marzącym?3

Dwaj mężczyźni spojrzeli sobie prosto w oczy.

— Czyż to nie dobry opis Takis?

— I Ziemi również. Niewykluczone, że zdrada jest jedynym stałym elementem w całym niestałym wszechświecie. — Tach wstał nagle. — Proszę mi wybaczyć. Miał pan rację. Muszę chwilę pobyć sam.

23:00

Spector zmitrężył cały dzień. Leżał teraz w łóżku, wsparty na dwóch poduszkach. W jednej ręce trzymał pilota, a w drugiej butelkę whisky. To był jego codzienny rytuał. Dzięki niemu poczuł się tu bardziej jak w domu. Nie dorwie Hartmanna w tym budynku. Musiałby mieć niewiarygodne szczęście. A wszystkie jego zasoby wyczerpał, docierając w to miejsce. Nie miał dostępu do części hotelu, w której przebywał senator, chyba że podczas konferencji prasowych. Zauważył też, że politycy rzadko patrzą ludziom w oczy, chyba że zada się im jakieś pytanie, a on nie był aż taki głupi, by przyciągać do siebie uwagę w ten sposób.

Pociągnął łyk whisky i wybrał losowo kanał. Atlanta znowu dostała łomot, tym razem od Cardinals. Rzecz jasna większą część wiadomości poświęcono na polityczne pierdoły. Czy Hartmann rznął się z tą głupią dziennikarską suką? Czy Leo Barnett rzeczywiście wierzył, że Bóg z nim rozmawia? Spector żałował, że nie dostał kontraktów na każdego z nich. Politykami z reguły zostawali ludzie, którzy stali zbyt nisko pod względem moralnym i etycznym, by mogli się utrzymać w zawodzie prawnika.

W końcu zdecydował się na stary film historyczny. Akcja rozgrywała się we

Francji podczas rewolucji. Grał w nim facet, który mówił jak Odie Cologne z serialu „King Leonardo and His Short Subjects”. Spector odnosił wrażenie, że aktor gra dwie role jednocześnie, ale nie oglądał filmu wystarczająco uważnie, żeby mieć pewność. Kolory nawet w najmniejszym stopniu nie przypominały występujących w naturze. Pastelowe barwy mieszały się i zlewały ze sobą za każdym razem, gdy ktoś się poruszył. Filmy Teda Turnera nie prezentowały się lepiej niż jego drużyna baseballowa.

To naprawdę dziwne, że wpadł na Tony’ego, a jeszcze dziwniejszy był fakt, że jego dawny kumpel okazał się waśniakiem ze sztabu Hartmanna. Tony był fajnym gościem i Spector go lubił, ale zawsze miał skłonność do pochylania się nad losem uciśnionych.

Aktor wpadł w poważne tarapaty. Wieźli go na gilotynę. Nie sprawiał jednak wrażenia, by zbyt się tym przejmował. Spector wrzeszczałby i kopał, zanim by zginął. Wiedział, jak wygląda śmierć.

Mógłby wykorzystać Tony’ego, by dostać się do Hartmanna, jeśli nie znajdzie innego sposobu. Zawsze chlubił się tym, że nigdy nie załatwił żadnego z przyjaciół. Co prawda, nie miał ich zbyt wielu, więc nie było to takie trudne. Tak czy inaczej, robota miała pierwszeństwo.

Aktor przesłał całusa małej blondynce prowadzonej na gilotynę. Potem przyszła kolej na niego.

— To, co czynię teraz, jest o tyle piękniejsze od tego, co czyniłem dotychczas. A tam, dokąd idę teraz, znajdę spokój o wiele większy, niż kiedykolwiek doznałem⁴.

Aktor stanął dumnie przed gilotyną, nie okazując strachu. Rzecz jasna, kamerę skierowano w górę i nikt nie zobaczył wpadającej do kosza głowy.

— Co za pierdolony dureń — mruknął Spector i wyłączył telewizor. Przełknął jeszcze jeden łyk whisky, a następnie zgasił światło.

¹ Fragment z *Juliusza Cezara* Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha (przyp. tłum.).

² Cytat za *Biblią Tysiąclecia*.

³ Fragment z *Króla Henryka VI* Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha (przyp. tłum.).

⁴ Fragment z *Opowieści o dwóch miastach* Karola Dickensa w przekładzie Zofii Popławskiej (przyp. tłum.)

Rozdział trzeci

Środa, 20 lipca 1988

Głośny ryk silników drażnił wszystkie jego nerwy. Tachion wyglądał z przygnębieniem przez okno, aż wreszcie kuksaniec pasażera z sąsiedniego fotela przywrócił go do rzeczywistości. Stewardesa wskazała oczami na zakrytą tackę i uniosła brwi.

— Dziękuję, nie. Ale chętnie bym się czegoś napił. Może być screwdriver.

Uśmiechnął się do niej, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Spojrzenie, którym go obrzuciła, jasno mówiło: „Ty moczymordo”. — Wrócił do posępnej kontemplacji chmur, kłębiących się ponad pół kilometra niżej. Stewardesa wróciła z drinkiem. Tach sięgnął do kieszeni po pieniądze i wyciągnął stamtąd gruby na kilka centymetrów plik karteczek z wiadomościami. *Tachion, zadzwoń do mnie, do cholery! Hiram.* Zapłacił kobiecie i wpatrzył się w obraźliwy, niezrozumiały przekaz Hirama.

Czego, kurwa, chciał od niego Worchester? I o co chodziło Davidsonowi? Czy chciał zasugerować, że Tachion jest „pasterzem”, a dzokerzy „trzodą”? A może to wzmianka o królu odnosiła się do niego? Czy też chodziło o coś bardziej osobistego? Davidson wyglądał dziwnie. Czyżby to był tylko manieryzm zawodowego aktora, niepotrafiącego podtrzymać rozmowy bez pomocy scenariusza?

— Trzoda. Niech go diabli.

Wyjął chusteczkę i wysmarkał się pośpiesznie.

Wracam do domu, by pochować jedną ze swej trzody. Och, Poczwarko.

Wsparł głowę na dłoni.

9:00

Czekał na miejsce prawie czterdzieści pięć minut. W kawiarni w atrium panował szalony ruch. Kelnerzy i kelnerki miotali się od stolika do stolika jak kulki od pinballa. Spector usiadł samotnie w małej łoży, ignorując gadanie otaczających go ludzi. Rozejrzał się uważnie. Wszędzie roіło się od zaczerwienionych oczu i zboląłych min. Doszedł do wniosku, że wszyscy na pewno wczoraj się ruchali albo dali się wyruchać. Albo i jedno, i drugie. Dopiero nad ranem udało mu się wreszcie zasnąć.

Kelnerka podeszła do stolika z miną, która mogła być uśmiechem, gdy prezentowała ją pierwszy tysiąc razy. Wyciągnęła bloczek i ołówek, po czym uniosła wyczekująco brwi.

— Czego pan sobie życzy dziś rano? — zapytała szybkim *staccato*. Sławna południowa gościnność wyraźnie nie miała się najlepiej.

— Na razie wystarczy kawa.

Spector rozciągnął usta w powolnym uśmiechu. Chciał coś zjeść, ale postanowił, że najpierw trochę podrażni tę sukę. Kelnerka łypnęła na niego ze złością i odeszła szybko od stolika.

Spector usadowił się wygodnie na krześle i świadomie odwrócił uwagę od otoczenia. Musiał stworzyć jakiś plan, który pozwoli mu dotrzeć do Hartmanna. Dziś rano ból dokuczał mu przeraźliwie, utrudniając myślenie. Może uda mu się wyciągnąć jakieś informacje od Tony'ego. Dowiedzieć się, w jakim czasie i miejscu senator będzie najbardziej odsłonięty. Będzie tam musiało być tłoczno, by nikt się nie zorientował, co się właściwie wydarzyło. Przynajmniej przez pewien czas.

Kelnerka wróciła i postawiła ze stukiem kawę na blacie. Płyn wylał się na spodek.

— Przepraszam — powiedziała, wyraźnie nieszczerze. — Życzy pan sobie coś jeszcze?

As odczekał dłuższą chwilę, zanim jej odpowiedział:

— Potrzebuję jeszcze kilku minut.

Kelnerka wzniosła oczy ku niebu i odeszła.

Spector wziął w rękę filiżankę i pociągnął duży łyk kawy. Płyn poparzył mu usta i gardło. Nie szkodzi, wszystko się zagoi, nim zdecyduje, co zamówić na śniadanie. Nie miewał już kłopotów z oparzeniami języka.

Zerknął na kolejkę czekających na miejsce ludzi. Elegancko ubrany starszy mężczyzna z brodą ominął tłum i rozejrzał się powoli wkoło. Zauważył Spectora i ruszył prosto do jego stolika. As napiął mięśnie nóg, gotowy w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Miał wrażenie, że zna skądś tego faceta. Mężczyzna podszedł do stolika od drugiej strony i uśmiechnął się.

— Przepraszam, ale jest tu dzisiaj raczej tłoczno. Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym się przysiadł? Jestem Josh Davidson.

Spector chciał już mu powiedzieć, żeby spierdalał, ale przypomniał sobie, że Davidson to jeden z jego ulubionych aktorów. Całe napięcie z niego odpłynęło, gdy przybysz znowu się uśmiechnął.

— Proszę, niech pan siada, panie Davidson.

As wręczył aktorowi menu, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu kelnerki. Niech go szlag, jeśli pozwoli, by Josh Davidson czekał na obsługę, jeśli tylko będzie mógł coś w tej sprawie zrobić.

— Serdecznie dziękuję — odrzekł Davidson i usiadł ostrożnie. Wyjął spod pachy złożoną gazetę, a następnie ją rozłożył.

As zauważył kelnerkę i już chciał ją wezwać, gdy nagle z tłumy wyłonił się masywny mężczyzna. Hiram Worchester wygładził klapy garnituru i zaczął przenosić spojrzenie od stolika do stolika.

— Czy mogę przeczytać? — zapytał Spector i sięgnął po zewnętrzną stronę, którą Davidson odłożył na bok.

— Proszę bardzo.

Złapał gazetę i rozłożył ją pośpiesznie. Zerknął nad jej szczytem. Grubas nadal się rozglądał. *Jeśli szuka Davidsona, mam przerąbane* — pomyślał. Choć z satysfakcją wykończyłby spasionego skurczybyka, nie mógł narażać roboty. Jeden z kelnerów podszedł do Hirama i skinął z szacunkiem głową.

— Muszę już iść, panie Davidson — odezwał się Spector. — Naprawdę nie czuję się dobrze. Czy mogę sobie zatrzymać tę część gazety?

— Nie ma sprawy. Z chęcią panu pomogę.

Zgon wstał i ruszył powoli ku drzwiom, trzymając przed sobą rozłożoną gazetę. Wyglądał głupio, ale lepsze to, niż żeby Worchester go rozpoznał.

Kelnerka minęła go po drodze.

— Żegnam oziębłe — mruknęła, wystarczająco głośno, by ją usłyszał, ale Spector miał na głowie ważniejsze sprawy i nie przejął się tym.

11:00

Tachion oparł się o bok kościelnej ławy i zlizął pot z górnej wargi. Bał się, że zemdleje od dusznego upału. Cztery wielkie wentylatory, zamontowane w kościele Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej, tylko w niewielkim stopniu poruszały gęstym, wilgotnym powietrzem. Zastanawiał się, czy nie zdjąć aksamitnego płaszcza, ale wtedy odsłoniłby ciemne plamy potu pod pachami, a taki widok byłby zniewagą dla Poczwarki, którą przyszedł tu pożegnać. To on miał ubrać to pożegnanie w słowa, ale nie miał pojęcia, co właściwie powie. Nie znał jej zbyt dobrze, a na pewnym, głębokim poziomie właściwie jej nie lubił. Ale czegoś takiego nie można było powiedzieć w mowie pogrzebowej.

Gapiąc się na przystrojoną kwiatami trumnę, zadał sobie pytanie, czy duch Poczwarki znajduje się w pobliżu i słucha pośpiesznego mamrotania członkiń Kółka Różańcowego przesuających paciorki i modlących się o spokój jej duszy.

Kondukt ruszył w drogę. Prowadził go dzokerski ministrant niosący helisę z brązu, z której zwisała figurka Jezusa Dżokera. Z nim podążali dwaj następni, machający kadzielnicami. Woń kadzidła wypełniła i tak już intensywnie pachnące powietrze. Tach zakasłał i zasłonił usta chusteczką.

— Nie znoszę tych katolickich rytuałów. Wychowywała się jako baptystka i powinni ją pochować jako baptystkę.

Tach obrócił powoli głowę i spojrzał na siedzącego obok mężczyznę. Był on masywnie zbudowany i miał ogorzałą twarz, rumianą pod opalenizną. Wielkie brzuszysko rozciągało mu czarną marynarkę, a po obwisłych policzkach spływały strużki potu. Tachion nie wiedział, co powiedzieć, więc nie powiedział nic.

— Jestem Joe Jory, tata Debry Jo.

— Miło mi pana poznać — wymamrotał Takizjanin w tej samej chwili, gdy Ojciec Kałamarnica przeszedł obok z ociężałą godnością, odziany w najwspanialszą ze swych komży.

Kapłan dotarł do ołtarza, położył mszał na miejscu, i rozpostarł szeroko ręce.

— Módlmy się — rzekł smutnym głosem o delikatnym brzmieniu.

Przez całą mszę Jory i Tachion pozostawali trochę z tyłu za wstającymi, siadającymi i klękającymi wiernymi. W zeszłym roku na pogrzebie Desa było tak samo. Nagle Tachion uświadomił sobie, co będzie zawierała jego mowa. Dał sobie spokój z próbami zrozumienia obcej ceremonii. Po prostu siedział z pochyloną głową i układał myśli, pozwalając, by łzy wypływały mu spod zamkniętych powiek.

Mały dzokerski ministrant trącił go w bark i Takizjanin wyrwał się z zamyślenia. W koszyku były maleńkie kawałki chleba. Tach odgryzł kawałek i podał koszyk dalej. Chleb rósł mu w suchych ustach. Kosmita zakrzuszył się, próbując go przełknąć. Rozejrzał się ukradkowo w obie strony, otworzył piersiówkę i pociągnął łyk brandy.

Ojciec Kałamarnica skinął na niego i Tach zajął miejsce przy pulpicie. Otarł twarz chusteczką, zaczerpnął głęboki oddech i zaczął mówić:

— Dokładnie przed rokiem, dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, zebraliśmy się w tym kościele, by pochować Xaviera Desmonda. Wygłosiłem wówczas mowę pogrzebową, podobnie jak dziś pożegnam Poczwarzkę. To dla mnie zaszczyt, ale smutna prawda wygląda tak, że znużyłem się już żegnaniem przyjaciół. Ich odejście zubożyło Dżokerowo, umniejszyło moje życie, a także życie was wszystkich. — Przerwał na chwilę, wpatrując się w swe zaciśnięte na pulpicie dłonie. Nakazał sobie się odprężyć. — Mowa pogrzebowa ma wychwalać zmarłą osobę. Ale w tym przypadku to dla mnie bardzo trudne. Zwałem się przyjacielem Poczwarzki, często się z nią widywałem, a nawet okrążyłem razem z nią świat, ale teraz sobie uświadomiam, że właściwie jej nie znałem. Wiedziałem, że posługuje się imieniem Poczwarzka i mieszka w Dżokerowie, ale nie miałem pojęcia, jak brzmi jej rodowe nazwisko czy gdzie się urodziła. Wiedziałem, że udaje Brytyjkę, ale nie znałem motywów, które ją do tego skłaniały. Wiedziałem, że lubi amaretto, ale nigdy się nie dowiedziałem, co ją śmieszy. Wiedziałem, że uwielbia tajemnice, zawsze chce panować nad sytuacją, sprawiać wrażenie chłodnej i nieporuszonej, ale nie miałem pojęcia, skąd się to u niej wzięło. Myślałem o tym wszystkim podczas lotu z Atlanty i doszedłem do wniosku, że jeśli nie mogę wysławiać Poczwarzki, będę przynajmniej wysławiał jej czyny. Przed rokiem, gdy na naszych ulicach szalała wojna i naszym dzieciom groziło niebezpieczeństwo, zaproponowała, by jej dom, jej pałac, stał się dla nas azylem i fortecą. To było niebezpieczne, ale Poczwarzka nigdy nie bała się niebezpieczeństw. Była dżokerką, która nie chciała się zachowywać jak dżokerka.

Kryształowa dama nigdy nie nosiła maski. Ludzie mogli ją zaakceptować taką, jaka była, albo iść do diabła. Niewykluczone, że dzięki temu nauczyła niektórych natoli tolerancji, a część dzokerów odwagi.

Łzy spływały mu strumieniami po twarzy. W gardle ścisnęło tak mocno, że musiał podnieść głos i nadać mu wyższą tonację.

— Na Takis oddajemy cześć przodkom. Dlatego pogrzeby są dla nas jeszcze ważniejsze niż narodziny. Wierzymy, że zmarli są blisko swych głupich potomków, by służyć im przewodnictwem. To przekonanie może niekiedy przerażać, zamiast nieść pociechę, zależnie od osobowości przodka. Jestem przekonany, że bliskość Poczwarki będzie raczej straszna niż pocieszająca, ponieważ jesteśmy jej winni bardzo wiele. Ktoś ją zamordował. Winny nie powinien ująć karze. W naszym kraju wzbiera dławiąca fala nienawiści. Musimy się jej przeciwstawić. Nasi sąsiedzi są biedni i głodni, przerażeni i pozbawieni środków do życia. Musimy ich nakarmić i zapewnić im schronienie, służyć im pocieszeniem i pomocą. Będzie tego od nas oczekiwała.

Przerwał i przyjrzał się zebrany. Jego uwagę przyciągnął długi szereg świec wotywnych palących się pod pulpitem. Podszedł do nich, wziął w rękę jedną małą świeczkę i postawił ją na blacie. Płomień zamigotał hipnotycznie przed jego oczami.

— W przeciągu jednego roku Dżokerowo utraciło dwoje swych najważniejszych przywódców. Ten cios przeraził nas, zasmucił i pogрузzył w dezorientacji. Ja jednak wam mówię, że oni nadal tu są, że nas nie opuścili. Okażmy się ich godni. Okryjmy się honorem w ich imieniu. I nigdy nie zapomnijmy.

Tach pochylił się i wyjął nóż z pochwy, którą miał u cholewy. Postawił świeczkę na pulpicie i uniósł palec wskazujący nad płomieniem. Potem skaleczył się szybkim ruchem i ugasił płomień kroplą krwi.

— Żegnaj, Poczwarko.



Bliskie spotkanie z Grubasem wstrząsnęło Spector, ale parę łyków whisky pomogło mu się uspokoić. Siedział zgarbiony na skraju łóżka, wpatrując się w nagłówek.

„hartmann przemówi dziś w parku”.

Senator miał publicznie zwrócić się do dzokerów z prośbą o powstrzymanie się przed użyciem przemocy podczas protestów. To było niebezpieczne. W okolicy kręciło się mnóstwo szaleńców. Nikt jednak nie mógłby być bardziej szalony od polityka, którego przyparto do muru. A Hartmann z pewnością znalazł się w takiej właśnie sytuacji. Spector włączył telewizor, nastawił na kanał, na którym pokazywano skrót wydarzeń poprzedniego dnia. Po paru chwilach oczekiwania

poznał wszystkie szczegóły. Senator miał przemówić o trzynastej. Nic nie wspomniano o odwołaniu jego wystąpienia.

As przeglądał z roztargnieniem gazetę, przygryzając wargę. Potrzebował czegoś, co pozwoli mu wmieszać się w tłum, a jednocześnie przyciągnie uwagę Hartmanna, by mógł spojrzeć mu w oczy.

Wypatrzył małą reklamę firmy Keaton's Kostumes, umieszczoną w rogu strony. „Maski, szminki, kostiumy, dekoracje i więcej” — obiecywała. Mężczyzna w dziwnym stroju unosił w ręce listę i uśmiechał się w głupi, przesadny sposób. Wyglądał jak Marcel Marceau. Spector odrzucił na bok gazetę, wytarł szare spodnie, zaplamione farbą drukarską, i wybuchnął głośnym śmiechem.



Jack przeszedł przez ogromne mosiężne drzwi obrotowe i znalazł się w holu Marriotta. Gdy ujrzał kłębiące się tam tłumy dziennikarzy oraz delegatów Hartmanna, starał się nie myśleć o świniach u koryta. Konwencja pragnęła jak najszybciej nakarmić swoich ludzi, by mogli wrócić na salę obrad przed końcem krótkiej przerwy na lunch. Marriott spełnił to życzenie, otwierając ogromny bufet, sprzedający całe tony sałatek oraz pieczeni wołowej. Zauważył Hiramę Worchestera, który siedział na zapadającej się sofie obok fortepianu. Na obu kolanach balansowały tace wypełnione jedzeniem. W oszklonych windach pełno było dziennikarzy i delegatów wiozących na górę dziwki, by trochę się rozerwać w południe. Pianista znowu grał *Piano Man*. Jack miał przygnębiające wrażenie, że wie, jaką piosenkę usłyszy później.

Na szczęście nie musiał się przedzierać przez tłum otaczający stoły bufetowe, pożerać lunchu razem z innymi i słuchać, jak pianista składa nieunikniony hołd Evie Perón. Miał zarezerwowany stolik w Bello Mondo. Zapewniał mu go całkiem nowy studolarowy banknot, jaki codziennie wręczał szefowi sali.

Dobry posiłek i parę podwójnych whisky bardzo by mu się przydały. Miał paskudny poranek. Komentatorzy CBS zagłuszyli swoim gadaniem większą część przemówienia Jimmy'ego Cartera udzielającego poparcia Hartmannowi, a inne stacje nadawały w tym czasie reklamy. Przewodniczący Jim Wright — który zdaniem Jacka życzył zwycięstwa Hartmannowi — kazał orkiestrze zagrać pod koniec przemówienia *Stars and Stripes Forever*. Audytorium wstało, ale w telewizji w ogóle nie pokazano tej demonstracji poparcia. Złoty Chłopiec mógłby przysiąc, że słyszy dobiegające z Marriotta krzyki Devaughna.

W Jacku zaczynało się rodzić czysto irracjonalne przekonanie o istnieniu ukrytego asa, który chce załatwić Hartmanna. A może to po prostu były gremliny z Kremla.

— Jack! Panie Braun!

Szedł ku niemu dobroduszny święty Mikołaj w słomianym jazzowym kapeluszu. Jego rondo rzucało cień na długie białe włosy oraz postrzępioną brodę. Louis Manxman, reporter z „LA Times”, towarzyszył kampanii Hartmanna od samego początku. W oczach dziennikarza lśniła determinacja.

— Cześć, Louis.

Jack włożył teczkę pod pachę, wsunął ręce do kieszeni kurtki fotoreportera marki Banana Republic i spróbował przemknąć obok. Manxman zagroził mu sprytnie drogę i wyszczerzył zęby w uśmiechu, spoglądając na asa spod dwuogniskowych okularów w metalowej oprawie.

— Chciałbym porozmawiać o tym poniedziałkowym głosowaniu testowym.

— To już stare dzieje, Louis.

— Prasa wychwalała mistrzowską strategię Danny’ego Logana, który wpadł na coś takiego w ostatniej chwili. Nawet Devaughn nie wiedział, co się dzieje. Szkoda, że nie widziałeś jego twarzy w chwili, gdy to zrozumiał. Ale ja znam Logana od dawna i nie wydaje mi się, żeby to było zagranie w jego stylu. Rozmawiałem ze wszystkimi przewodniczącymi delegacji, których zdołałem znaleźć, i każdy mówi, że polecenia pochodziły od ciebie, nie od Logana.

— Logan wiedział, co robię.

Jack spróbował przesunąć się w lewo, ale reporter ponownie go zablokował.

— Wiem od swojego źródła, że stary Irlandczyk w poniedziałek kompletnie się zalał.

— Świętował zwycięstwo.

Jack przesunął się w prawo.

— Słyszałem, że świętował od śniadania.

Kolejna blokada.

As łypnął na niego ze złością.

— Jestem zajęty, Louis. Czego właściwie od mnie chcesz?

— Czy to byłeś ty, czy nie?

— Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Dobra?

— Czemu nie chcesz się przyznać? Jesteś chłopakiem z Hollywood. Lubisz publicity. Nie bądź fiutem.

Jack znieruchomiał na moment, zastanawiając się, czy słowo „fiut” stało się symbolem tej konwencji.

W końcu nadeszło nieuniknione i facet w białym smokingu zagrał pierwsze takty *Don't Cry for Me, Argentina*. As poczuł, że jego cierpliwość się wyczerpuje.

— Spóźnię się na lunch, Louis. Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. To moja oficjalna odpowiedź, jasne?

Z twarzy dziennikarza zniknął dobroduszny wyraz świętego Mikołaja.

— Jest już czterdzieści lat za późno, by się powoływać na Piątą Poprawkę, Jack.

Złoty Chłopiec poczuł, że budzi się w nim gniew. Przeszył reportera zimnym spojrzeniem, po czym ruszył naprzód, jakby chciał przejść prosto przez niego.

Zbliżali się do białego fortepianu stojącego na podwyższeniu. Facet w białym smokingu nadal brzdąkał swój pean na cześć południowoamerykańskiego faszyzmu. Strach i upokorzenie wypełniające Jacka ustąpiły miejsca furii. Przeprosił na chwilę Amy i podszedł do pianisty, który uśmiechnął się do niego odruchowo.

Na fortepianie stało duże akwarium, o dnie pokrytym zieloną warstwą banknotów pochodzących z napiwków. As złapał za brzeg szkła, wyteżył lekko mięśnie i ułamał kawałek wielkości własnej dłoni. Jego złota moc zamigotała lekko. Pianista wytrzeszczył oczy. Jack zacisnął dłoń, zamieniając szkło w proszek, a następnie wyciągnął rękę i wysypał go do przedniej kieszeni smokingu.

Dźwięki *Don't Cry for Me, Argentina* umilkły.

— Jeśli jeszcze raz zagrasz tę piosenkę, zabiję cię — oznajmił. Oddalając się, pomyślał, że powinien się wstydzić tego rodzaju taniej satysfakcji.

Ale z jakiegoś powodu się nie wstydził.

12:00

Troll sam niósł trumnę Poczwaraki. Olbrzymi szef ochrony z kliniki w Dżokerowie szedł na czele konduktu, tuląc trumnę w ramionach, jakby była śpiącym dzieckiem. Odmówiono kolejne modlitwy, po czym Ojciec Kałamarnica pobłogosławił grób kadzidłem i wodą święconą. Tachion wziął w garść trochę ziemi i wysypał ją powoli na pokrywę. Uderzała o nią z głuchym, drapiącym dźwiękiem pazurów zgrzytających o szkło. Takizjanin zadrżał.

Spowite w całun nowojorskiego smogu słońce wydawało się obrzękłe, jakby chore. Tach pragnął, by ceremonia wreszcie się skończyła. Zmarłą pochowano. Teraz wzywała go Atlanta. Najpierw jednak czekały go kondolencje. Musiał wytrzymać trzydzieści minut ściskania dłoni. Wyciągnął parę czerwonych, dziecięcych rękawiczek i wcisnął w nie wąskie, białe dłonie.

— Cześć, ojcie — dobiegł go z lewej strony znajomy głos.

— Cieszę się, że znowu cię widzę, Daniel.

Tachion nie potrafił się powstrzymać. Rzucił się Brennanowi w ramiona i uściskał go mocno. Wiedział, że tamten z trudem to toleruje. Wciągnął nagle oddech i odsunął się od mężczyzny na odległość wyciągniętego ramienia, przyglądając mu się krytycznie.

— Musimy porozmawiać. Chodź.

Oddalili się w głąb cmentarza, aż wreszcie kilka zdobnych nagrobków choć częściowo zasłoniło ich przed resztą żałobników.

Tachion wyjrzał zza posągu płaczącego anioła, by zerknąć na gapiącą się na nich z zainteresowaniem kobietę.

— Ta piękna blondynka to z pewnością Jennifer.

— Tak — potwierdził Brennan.

— Powiedziałbym, że masz szczęście, ale to nie byłoby zbyt stosowne w chwili, gdy ktoś próbuje cię wrobić w morderstwo. Czy to właśnie cię tu sprowadziło?

— Częściowo. Przede wszystkim pragnę odnaleźć prawdziwego zabójcę.

— I jak ci idzie śledztwo?

— Nie za dobrze.

— Masz jakieś teorie?

— Myślę, że to mógł być Kien.

Tachion potrząsnął głową.

— To by nie miało sensu. Zawarliśmy ugodę. Ty wyjechałeś z miasta, a on zakończył wojnę. Po co miałyby zaczynać cały krwawy cykl od nowa?

— Kto wie? Będę sprawdzał to tu, to tam, aż wreszcie coś wyskoczy.

— Tylko uważaj, żeby nie wyskoczyło na ciebie — ostrzegł go z ironią Tachion. — Chętnie bym ci pomógł, ale muszę wracać do Atlanty. Będziesz w kontakcie?

— Nie. Kiedy skończę tę sprawę, wyjeżdżamy z Jennifer z Nowego Jorku. Tym razem na stałe.

— Jeśli nie będziesz w kontakcie, to przynajmniej uważaj na siebie.

— Na to mogę się zgodzić.

13:00

W Piedmont Parku było tłoczno. Spector przepychał się przez tłum, zmierzając ku trybunie. W obcisłym, czarno-białym stroju czuł się jak idiota. Skóra gotowała mu się pod warstwą szminki aktorskiej. Ledwie zdążył tu na czas. Sklep z kostiumami całkowicie wypełniali klienci, głównie dzokerzy. Na szczęście wiec w parku przyciągnął wszystkich i ulice opustoszały. Swoje ubranie i inne rzeczy zostawił w schowku na bagaż, a klucz schował w rękawie trykotu.

Od mównicy nadal dzieliło go dobre sto metrów. Zrobili próbę mikrofonu, ale Hartmanna nadal nie było. Nad tłumem przesuwiał się powoli jakiś cień. Spector uniósł wzrok, zasłaniając oczy przed słonecznym blaskiem, i zobaczył Żółwia, który zmierzał powoli w stronę podium przygotowywanego na przemówienie senatora. Rozległy się brawa, wsparte nielicznymi okrzykami. Tłum składał się głównie z dzokerów, choć na jego obrzeżu widać było kilka grupek natoli.

— Popatrz, mamó, zabawny pan.

Młoda dzokerka wskazała na Spector. Siedziała w sfatygowanym wózku dzieciennym, trzymając w dłoni kwiat. Ręce i nogi miała cienkie jak patyki i pełne guzów na całej długości. Wyglądały tak, jakby każda z nich łamała się i zrastała po dwadzieścia razy.

Spector uśmiechnął się do niej blado, mając nadzieję, że dzięki szmince na ustach uśmiech wyda się szerszy.

Matka dziewczynki również się uśmiechnęła. Jej skórę pokrywały niezdrowo wyglądające plamy czerwonego barwnika. Wtem jedna z nich zmieniła się w małą kropkę i eksplodowała krwią. Kobieta otarła ją szybkim, zawstydzonym ruchem. Wyjęła kwiat z dłoni córki i podała go Spectorowi. Zgon wyciągnął rękę i przyjął kwiat, uważając, by nie dotknąć jej skóry. Przechodziły go ciarki na myśl, że jest natolem w tłumie dzokerów, choćby nawet noszącym kostium mima. Odwrócił się.

— Zrób coś zabawnego — nie ustępowała dziewczynka. — Mamo, powiedz mu, żeby zrobił coś zabawnego.

Tłum poparł ją szeptami. Spector odwrócił się powoli, próbując się zastanowić. Z pewnością nikt nigdy nie oskarżał go o to, że jest zabawny. Spróbował unieść kwiat, balansując nim na czubku palca. O dziwo, udało mu się. Zapadła głucha cisza. Pot spływał po namalowanych brwiach zabójcy, zalewając mu oczy. As oddychał ciężko. Nadal było bardzo cicho.

Dłoń w rękawiczce przemknęła przed twarzą Spectora i zabrała mu kwiat. Drugi mim włożył łyżkę w umalowane usta i przybrał afektowaną pozę. W tłumie rozległy się śmiechy. To było ostatnie, czego potrzebował as. Nie tylko znalazł się w centrum uwagi, lecz nadal był daleko od miejsca, w którym musiał się znaleźć. Hartmann mógł zacząć w każdej chwili i Spector nie zdążył dotrzeć do niego na czas.

Drugi mim opuścił wzrok, skrzywił się i spojrzał na stopy Zgona. As zerknął na nie odruchowo, ale nie zobaczył tam nic niezwykłego. W tej samej chwili drugi mim złapał go za podbródek i uniósł jego głowę. To wywołało jeszcze głośniejszy śmiech. Mim złapał się za boki, rechocząc bezgłośnie. Spector otarł usta. Ugryzł się w język. Zazgrzytał zębami pod namalowanym uśmiechem.

Drugi mim położył palec na jego głowie i otoczył go tanecznym krokiem. Potem zatrzymał się przed nim i pociągnął go za policzki.

Spector miał już tego dość. Pora pozbyć się skurwysyna. Podeszedł bliżej do nieznajomego i nawiązał kontakt wzrokowy. Następnie uwolnił ból, łapiąc mima za ramiona, gdy ten zaczął się osuwać na ziemię. Położył go na niej powoli, a potem skrzyżował mu ręce na piersi. Oczy głaba zaszyły szkłem zaskoczenia i śmierci w tej samej chwili, gdy spoczął na zdeptanej trawie. Spector włożył mu kwiat w rękę i zaczął bić brawo z melodramatyczną przesadą. Tłum śmiał się i krzyczał radośnie. Niektórzy klepali go po plecach, inni zaś zerkali na mima, czekając aż wstanie.

— Przyjaciele. — Głos płynął z głośników umieszczonych przy mównicy. Wszyscy zwrócili się w tamtą stronę. Spector zgarbił się i zaczął przepychać przez tłum. — Będziemy dziś mieli zaszczyt wysłuchać jedyne go człowieka, który może nas bezpiecznie przeprowadzić przez najbliższe, trudne lata. Człowieka, który głosi tolerancję, nie nienawiść. Który jednoczy, zamiast dzielić. Który będzie dla swego

narodu przewodnikiem, nie poganiaczem. Przedstawiam wam następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, senatora Hartmanna.

Aplauz był ogłuszający. Rozległy się dziwaczne krzyki i gwizdy, dzokerskie odgłosy. Spector oberwał łokciem w ucho od dziwoląga o rękach zwisających aż do kolan. Otrząsnął się z tego i przepychał się dalej.

— Dziękuję. — Hartmann przerwał na chwilę, czekając, aż okrzyki i brawa umilkną. — Dziękuję wam wszystkim bardzo serdecznie.

As już go widział, ale z tej odległości nie miał szans zwrzeć z nim spojrzeń, nawet gdyby Hartmann patrzył wprost na niego. Tłum napierał w stronę mównicy. Spector płynął naprzód na fali ludzkich błędów, wykorzystując chude barki, by przepchać się naprzód. Jeszcze minuta albo dwie i znajdzie się w odpowiednim punkcie.

— Nazywano mnie prodzokerskim kandydatem. — Hartmann uniósł ręce, by uciszyć brawa, nim zdążyły się zacząć. — Ścisłe mówiąc, to nie jest prawda. Zawsze na pierwszym miejscu stawiałem przekonanie, że ten kraj powinien wyglądać tak, jak zaplanowali ojcowie założyciele. Równe prawa dla wszystkich, zagwarantowane obowiązującymi ustawami. Nikt nie powinien znaczyć więcej niż inni. Nikt, choćby najpotężniejszy, nie powinien stać ponad prawem.

Senator przerwał. Tłum ponownie nagroził go brawami.

Spectora od centrum zgromadzenia dzieliło jeszcze ze trzydzieści metrów. Hartmann miał na sobie beżowy garnitur. Lekki wietrzyk poruszał jego starannie ufryzowanymi włosami. Pod mównicą stali agenci Secret Service o oczach ukrytych za ciemnymi okularami. Senator przesunął wzrokiem po tłumie, ale nie zauważył Zgona. Zabójca będzie potrzebował maksymalnej koncentracji, by zwrzeć z nim spojrzenia, gdy tylko spojrzą sobie w oczy. O ile to w ogóle się wydarzy.

— Potrzebuję waszej pomocy, by zdobyć nominację, a następnie zostać nowym prezydentem. — Hartmann wyciągnął ręce w stronę tłumy. — Wasza obecność w Atlancie pomoże mi tylko wtedy, gdy zachowacie spokój podczas swych demonstracji. Wszelkie akty przemocy, czy to uzasadnione, czy nie, z pewnością zostaną wykorzystane przeciwko nam. Macie szansę przemówić prostym, lecz dobitnym głosem. Głosem Gandhiego i Martina Luthera Kinga. Oznajmić, że przemoc jest czymś odrażającym i nie będziecie jej tolerować w żadnej sytuacji.

Wzrok senatora ponownie przesunął się po tłumie, zmierzając ku Spectorowi. As wstrzymał oddech i skoncentrował się. Głowę wypełniał mu straszliwy ból. Spojrzeli sobie w oczy...

...nagle rozległ się huk. Agent Secret Service obalił senatora na ziemię. Strzały. Było też słycać krzyki. Ludzie próbowali uciekać, ale byli zbyt ciasno stłoczeni. Spector spojrzał na szczyt wzgórza. Było tam może ze stu ludzi

w konfederackich mundurach. Z luf ich broni buchnęły smużki dymu. Potem nad parkiem poniosło się echo strzałów.

Hartmann zniknął. Drugiej szansy nie będzie. Przynajmniej nie tutaj. Spector przepchnął się za plecy dzokera o ciele szerokim jak u trzech normalnych mężczyzn. Nie miało znaczenia, dokąd szedł dziwoląg. Z nim będzie bezpieczniej. Nad ich głowami przemknął Żółw. Rozległo się jeszcze kilka strzałów. Potem ogień ucichł. Spector nadepnął na coś, co trzasnęło. Rozległ się jęk. As trzymał się pasa idącego przed nim dzokera. Napisano na nim „szeroki ładunek”.

No jasne — pomyślał. Choć raz cieszył się jednak, że ma za towarzysza spasionego cudaka.

18:00

Stojący na końcu korytarza Mackie obserwował, jak wysoki, chudy mężczyzna o skórze barwy kawy z mlekiem zamyka za sobą drzwi pokoju. Numer tysiąc pięćset trzydzieści jeden. Tak jak powiedział *Der Boss*. Przyszło mu na myśl, że Ameryka rzeczywiście jest dekadencją, jak mówili jego nieżyjący towarzysze z Frakcji Czerwonej Armii. Gdzie indziej na świecie można było zobaczyć czarnucha w garniturze wartym więcej forsą niż Mackie Majcher miał kiedykolwiek w życiu, a do tego przechadzającego się z białą kobietą pod rękę?

Roześmiał się w duchu na widok prób przebrania zamierzonej ofiary. Wyglądała jak jedna z dziewczyn z Reeperbahnstrasse, spowita w strój chroniący przed światłem, do którego nie przywykła. Czekala ją zasłużona kara. Była kurwą, kolejną jebaną kurwą. Wciągnęła Szefa w pułapkę i zapłaciła za to.

Oboje odwrócili się od niego i ruszyli ku windom. Odsunął się od ściany, wychodząc zza oszklonej szafki z gaśnicą, za którą się skrywał. Nie zdoła załatwić ich tutaj. Doszedł już do wniosku, że wykończy oboje. To było logiczne. Nie mógł zostawić świadka. Ten szalony burżuazyjny pałac był pusty w środku — podobnie jak cała kultura, która go stworzyła, i każdy na którymś z kilkunastu pięter mógł zobaczyć, co się dzieje na otaczających atrium korytarzach. Musiał być bardzo dyskretny. *Der Boss* jasno mu to oznajmił.

To jednak nie stanowiło problemu. Mackie Majcher był sprytny. Sprytny jak w piosence o nim. Będzie ich śledził i wybierze odpowiednią chwilę.

Może powinien zjechać z nimi windą. Obliznął wargi na tę myśl. To byłby świetny żart. Naprawdę *kriminell*. Niczego by nie podejrzewali. Mogliby go nawet nie zauważyć. Może byli zakochani. Może czarnemu stanął.

— Hej, ty. Nie tak szybko — zatrzymał go nagle czyjś głos.

Odwrócił się. Stał za nim krępy, biały mężczyzna w brązowym uniformie. Z ucha sterczał mu przewód. Hotelowy ochroniarz. Klasyfikacja gliniarzy wypaliła się w autonomicznym układzie nerwowym Mackie już w czasach, gdy był małym chłopcem, wałęsającym się po ulicach w Sankt Pauli. Był tak dyskretny, jak to

tylko możliwe, trzymał się przy wejściu do pokoju, w którym czała się maszynka do lodu, postukująca cichutko do siebie, i przenikał przez ścianę, kryjąc się w pokoju służbowym, gdy tylko ktoś zanadto się zbliżył. Jednakże nawet Macheath nie zawsze był w stanie się ukryć na sześćdziesięciu metrach wolnej przestrzeni w tym niepokojącym, wywróconym na lewą stronę budynku.

Ochroniarz położył mu rękę na ramieniu. Nikt nie robił czegoś takiego Mackie Majchrowi.

— Masz szczęście — oznajmił mu. Następnie dotknął koniuszkiem palca jego kości policzkowej i uruchomił wibrację.

Popłynęła krew. Mężczyzna krzyknął i zgiął się wpół, łapiąc się za twarz. Mackie zmienił fazę, przeszedł przez stalowe drzwi przeciwpożarowe i pobiegł w dół po schodach. Nie mógł sobie pozwolić na zgubienie tropu. Kobiety ciągle zmieniały zdanie. Nie sposób było przewidzieć, czy cel kiedykolwiek tu wróci.



Spector siedział na skraju łóżka, podkulając nogi pod siebie. Poczul się niemal zaskoczony, gdy po powrocie przekonał się, że w pokoju posprzątało. Od bardzo dawna nie zatrzymywał się w hotelu. Spędzał tu czas na planowaniu następnego ruchu albo na oglądaniu telewizji. W tej chwili jego uwagę zaprzętało to drugie. Miejscowy reporter prowadził w hotelowym holu wywiad z Hartmannem, starając się zrobić wrażenie, że to zadanie go nie przerasta.

— Senatorze, czy uważa pan, że wielebny Barnett ma cokolwiek wspólnego z wydarzeniami, do których doszło dziś po południu?

Dziennikarz podsunął mikrofon Hartmannowi, który zastanawiał się przez chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

— Nie. Bez względu na wszystko, co nas dzieli, nie wierzę, by Leo Barnett zniżył się do podobnych metod. To człowiek honoru. — Hartmann zakasłał. — Uważam jednak, że ci, którzy zakłócili przemówienie, dzielają wiele jego niebezpiecznie ciasnych poglądów. To właśnie takie nierozumne uprzedzenia musimy wyeliminować. Leo Barnett pragnie rozwiązać ten problem przez wyeliminowanie dzikich kart ze społeczeństwa. Ja wolę wyeliminować samą nienawiść.

Senator z powrotem usiadł na krześle, splótł dłonie na kolanach i wpatrzył się w kamerę.

— Jest kurewsko dobry — stwierdził Spector. — Ale to i tak nic nie zmieni.

Obraz przeniósł się do studia. Czarnoskóra spikerka spojrzała na współprowadzącego wiadomości.

— Podziękujmy Howardowi za interesujący wywiad. Dan, czy policja dowiedziała się czegoś na temat sprawców zamieszania?

— Obawiam się, że niezbyt wiele. Dzięki Żółwiowi udało się kilku

aresztować, ale nie są skłonni do współpracy. — Spiker złączył kciuki. — Krążą pogłoski, że większość z nich to członkowie Ku-Klux-Klanu, ale do tej pory tego nie potwierdzono. Choć incydent z pewnością dobrze zaplanowano, żaden z zatrzymanych sprawców nie przyznaje się do bycia przywódcą grupy. Nie udało się też ustalić, skąd pochodziły autentyczne konfederackie mundury oraz muszkiety.

Mężczyzna zmarszczył brwi, spoglądając na czarnoskórą kobietę.

— No cóż, jestem pewna, że władze poinformują nas, gdy tylko zdobędą nowe informacje o tym dziwnym incydencie. — Kobieta potrząsnęła głową. — Mimo że użyto ślepej amunicji, w wyniku paniki, do której doszło, kilka osób odniosło obrażenia. — Na ekranie pojawiła się relacja z wcześniejszych wydarzeń w parku. Kamerzysta uciekał razem ze spanikowanymi ludźmi i obraz podskakiwał w rytm jego kroków. — Co najmniej jedną osobę, ulicznego artystę, najwyraźniej stratowano na śmierć. O ironio, w chwili wybuchu paniki udawał ponoć trupa. Policja nie podała jego nazwiska, chcąc najpierw zawiadomić rodzinę.

— A niech to chuj! — zawołał Spector i wyłączył telewizor.

Przynajmniej od tego zarzutu się uwolnił. Ale to nie pomoże mu zbliżyć się do Hartmanna. W chwili, gdy spojrzeli sobie w oczy, niemalże poczuł, że coś go powstrzymuje. Nie, to z pewnością był tylko wytwór wyobraźni. Żeby dokonać takiej sztuki, Hartmann musiałby mieć moce porównywalne z Astronomem albo Tachionem.

— Astronom na prezydenta. — Zachichotał. — W porównaniu z nim nawet Reagan wyglądałby nieźle.

Wstał z łóżka i zaczął powoli krążyć po dywanie, rozważając opcje, jakie mu pozostały. Niewykluczone, że zabicie Hartmanna było dla niego zbyt trudnym zadaniem. Może powinien wziąć forszę i gdzieś wyjechać, najlepiej za granicę. Mógłby znaleźć pracę w kasynie na Kubie. Nie. Zawsze dotąd wykonywał robotę, za którą mu zapłacono. Znowu pierdolona etyka klasy średniej. Nie powstrzymywała go przed zabijaniem ludzi, ale kazała dotrzymywać umów.

Podszedł z westchnieniem do telefonu. Jego jedyną szansą był Tony. Wiedział o tym już od chwili, gdy spotkali się w holu. Kismet albo coś w tym rodzaju. Ta myśl nie zmieniła jednak faktu, że poczuł się paskudnie. Wybrał numer i czekał. Po chwili usłyszał w słuchawce nieznaną, kobiecą głos.

— Czy mógłbym rozmawiać z Tonym Calderone'em?

— W tej chwili go nie ma. Mam mu przekazać jakąś wiadomość? — W głosie kobiety pobrzmiwało zmęczenie.

— Tak, niech mu pani powie, że dzwonił James. Będzie wiedział, o kogo chodzi. Proszę mu przekazać, że chciałbym potwierdzić zaproszenie na kolację.

Spector niemal się zdziwił, słysząc, jak spokojnie i uprzejmie brzmi jego głos.

- Dzwonił James. Hmm, a nazwisko?
- Po prostu James. Będzie wiedział, o kogo chodzi.
- Dziękuję.

Spector odłożył z westchnieniem słuchawkę. Przyszło mu do głowy, że zamówi stek do pokoju i włączy telewizor. Może dzisiaj znowu pokażą Peaches. *Jeśli to najlepsza drużyna w Ameryce, wszyscy mamy przesrane* — pomyślał.

20:00

Blask reflektorów oślepił Jacka. Długie telewizyjne kamery wyciągały się ku niemu na podobieństwo dwururek. Kolana ugięły się pod nim na skutek nagłego ataku tremy. Nie robił takich rzeczy od wielu lat.

Spojrzał w blask i uśmiechnął się drwiąco do świata. Dawne odruchy wracały. Bardzo dobrze. Następnie wygłosił swój tekst:

— Trzydziesty pierwszy stan, Złoty Stan, z dumą oddaje swe trzysta czternaście głosów na prawa dzokerów i na następnego prezydenta, senatora Gregga Hartmanna!

Ryk. Aplauz. W powietrze wzbiły się śmieszne kapelusze i latające asy. Jack starał się utrzymać szlachetną, radosną, a zarazem triumfalną minę aż do chwili, gdy światła przeniosły się na przewodniczącego delegacji stanu Kolorado.

I co ty na to, Ronaldzie Reagane — pomyślał. *Pokażę ci, jak powinno się występować przed kamerą.*

Zszedł z małego podwyższenia w czerwono-biało-niebieskich barwach, ustawionego tu właśnie w tym celu. Facet z Kolorado, niepewny swoich liczb, plątał się przed mikrofonem. Na szczęście jego stan poparł Dukakisa i Jacksona. W pierwszym głosowaniu Hartmann otrzymał tysiąc sześćset dwadzieścia dwa głosy, Barnett dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem, a resztą podzielili się Jackson, Dukakis i Gore. Żaden z kandydatów nie był bliski zwycięstwa.

Na sali obrad zapanował chaos. Komentatorzy z mediów wygłaszali mądre opinie i ostrożne prognozy. Po pierwszym głosowaniu zasada 9c utraciła znaczenie i przedstawiciele poszczególnych kandydatów obiecywali niezobowiązującym delegatom złote góry.

Drugie głosowanie zarządzono zaledwie trzydzieści minut po pierwszym, by szefowie kampanii mogli zdobyć dane, które pomogą im ustalić, w którą stronę zmierza sytuacja. Hartmann zyskał pięćdziesiąt dodatkowych głosów, głównie kosztem Dukakisa i Gore'a.

Spoceni delegaci skupili się w kilku grupkach, podczas gdy komentatorzy próbowali zdecydować, czy pięćdziesiąt głosów oznacza „trend” sprzyjający Hartmannowi, czy może to tylko „odchylenie”. Szefowie kampanii wpadali w szal na myśl o delegatach wyciekających im przez palce.

Pandemonium ciągnęło się przez cztery godziny. Gdy, niedługo przed

północą, zaspany Jim Wright zarządził trzecie głosowanie, trzy komercyjne sieci padły ofiarą inercji i wróciły do swego standardowego letniego repertuaru składającego się z powtórek oraz Johnny'ego Carsona. Tylko PBS kontynuowała nieprzerwaną transmisję na użytek kilku tysięcy najbardziej zagorzałych entuzjastów polityki.

Hartmann otrzymał równo tysiąc osiemset głosów. Trend stawał się coraz wyraźniejszy. Kapelusze i asy pofrunęły aż pod sufit. Jack złapał swoją mównicę i cisnął ją dobre trzydzieści metrów w górę, by stała się koziołkującym symbolem triumfu w barwach amerykańskiej flagi. Następnie sięgnął ku niej i złapał ją ostrożnie, nim zdążyła rozbić komuś głowę.

Później świętowali przez wiele godzin w jego pokoju. Zwalił się do łóżka, nim zdążył sobie uświadomić, że powinien był zadzwonić do Bobbie. Nawet gdyby się okazało, że to ta gwiazdka z obsesją na punkcie cellulitu, z pewnością zdołałby jej zapewnić wystarczająco wiele zdrowej rozrywki, by poczuła się szczęśliwa.

22:00

Peachtree, wyłożone kafelkami i pełne ech. Szli pod rękę. Sara wypila dwa kieliszki wina. To był jej pierwszy alkohol od ponad roku. Nigdy nie piła zbyt wiele, pomijając kilka tygodni po podróży dookoła świata.

Ricky zasypywał ją najnowszymi kawałami o kandydatach.

— Znasz ten: „Dukakis, Hartmann i brat Leo płynęli statkiem przez jezioro Lanier, aż nagle silnik eksplodował i statek poszedł na dno. Kto ocalał?”.

— Ameryka — odparła Sara. — Kiedy ostatnio go słyszałam, to byli Reagan, Carter i Anderson. Ale ty jesteś za młody, żeby pamiętać te czasy.

— I kto to mówi, Rosie? W osiemdziesiątym roku miałem już prawo głosować, choć ledwie zdążyłem się załapać.

— Zapewne uważasz mnie za złą starą jędzę, która próbuje uwieść niewinnego chłopca.

Zmarszczyła brwi. *Skąd to się wzięło? Weź się w garść* — powiedziała sobie.

Ricky pogłaskał ją po dłoni.

— Z pewnością, mam taką nadzieję, Rosie,

Roześmiał się, by zademonstrować, że to żart. Mimo to Sara poczuła narastające napięcie.

Korytarzem niósł się słaby dźwięk, słyszalny między kolejnymi wybuchami ich śmiechu.

— Co to za piosenka? — zapytała Sara.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

— Nie znasz jej?

Znała, ale chciała coś powiedzieć.

— To *Mackie Majcher*. Stały element repertuaru każdego taniego śpiewaka

hotelowego na półkuli północnej. No wiesz, głośniki się tu zepsuły. Dlatego wynajęli jakiegoś białasa, żeby chodził korytarzami i gwizdał.

Roześmiała się i uściśnęła jego ramię. Cholera, co ja robię? Rozejrzała się wkoło, jakby szukała jakiejś zewnętrznej przyczyny swego zachowania.

Coś za nią się poruszyło. Wysunęła język między nagle wyschniętymi wargami i zwróciła głowę w tamtą stronę, jakby podziwiała przykłady śmiałej mody zdobiące bezgłowe manekiny srebrnej, czarnej albo oliwkowej barwy, stojące na wystawie butików.

— Ktoś za nami idzie. Nie, nie oglądaj się!

— Daj spokój, Rosie. Jestem dziennikarzem, pamiętasz? Nie przespałem twoich seminariów.

Zerknął na bok, a potem ponownie spojrzął przed siebie.

— To tylko jakiś chłopak w skórzanej kurtce. — Na jego nieskazitelnym czole pojawił się mars. — Biedak, chyba jest garbaty.

Sara znowu się obejrzała.

— Przestań to robić, bo zamienisz się w słup soli. To ty domagałaś się subtelności.

— Nie podoba mi się jego wygląd. Coś w nim jest nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

— Instynkt doświadczonej dziennikarki. Bardzo doświadczonej.

— Czy to miała być uwaga na temat mojego wieku?

— Wypiłaś trochę wina. — Poglaskał ją po dłoni. — Tak trzymać. Dobry humor w obliczu grozy. Idź dalej. Trzymaj głowę wysoko uniesioną. Nigdy nie pokazuj im, że się boisz. To budzi prymitywne, nordyckie instynkty drapieżnika.

Powstrzymała mięśnie szyi, które znowu zaczęły kierować jej głowę w stronę chłopaka w skórzanej kurtce.

— Czy to może być jeden z małych pomocników Barnetta?

— Na tej konwencji takie rzeczy się zdarzały, Rosie. Czyż nie byłoby w tym ironii, gdyby na nas napadł, bo podejrzewał, że jesteśmy zwolennikami Hartmanna?

Tym razem jednak się obejrzała. Chłopak szedł sobie spokojnie, trzymając ręce w kieszeniach. Jeden but miał biały, a drugi czarny. Ricky miał rację, jeden but był położony zdecydowanie wyżej od drugiego.

Stanowczo zbyt demonstracyjnie nie zwracał na nich uwagi.

Przynajmniej jest mały. Ale z drugiej strony Ricky też raczej nie był Arnoldem Schwarzeneggerem.

Gdy minęli zakręt, Ricky złapał ją za ramię i rzucili się do ucieczki. Sara chwiała się na wysokich obcasach. Buty od Gucciego, które miał na nogach mężczyzna, uderzały o gumowy chodnik.

Zwolnili. Sara sapała ciężko. Ricky był na tyle uprzejmy, że udawał, że

również się zmęczył.

— Jeszcze jeden zakręt i będziemy w Hyacie — oznajmił. — Udało się uniknąć kolejnej potencjalnie nieprzyjemnej konfrontacji. Tak właśnie załatwia się podobne sprawy w latach osiemdziesiątych.

Minęli zakręt i ujrzeni chłopaka przed sobą. Opierał się plecami i policzkiem o chłodne kafelki ściany. Zaczął gwizdać *Mackie Majchra*.

Sara złapała Ricky'ego za nadgarstek i pociągnęła go w drugą stronę, by zniknąć prześladowcy z oczu.

— Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, Rosie. Mogliśmy spróbować blefu.

— Nie widziałeś? — Zawładnęło nią przerażenie. — W jaki sposób nas wyprzedził?

— Na pewno zna jakiś skrót. Jesteśmy blisko hotelu. Jeśli będzie sprawiał kłopoty, narobimy mnóstwo hałasu i ktoś przybędzie na ratunek.

W tej samej chwili chłopak wynurzył się ze ściany i skoczył na nich jak rekin.

Ricky pchnął Sarę za swoje plecy ze zręcznością tancerza.

— Co ty wyprawiasz, do licha?

— Zabawa, zabawa! — zawołał chłopak z typowo szkopskim akcentem. Śmiał się głośno, tryskając śliną z otwartych ust. — Wszyscy dziś padną na pyski.

Rozległo się brzęczenie, przytłaczające niczym upał panujący poza Peachtree Center z jego sztucznym chłodem. Chłopak uderzył ręką jak karateka, celując w szyję Ricky'ego.

Ale Ricky nie na darmo był mistrzem racquetballa. Jego refleks był nienaganny. Zablockował cios szczupłym przedramieniem.

Ręka napastnika przeszła na wylot przez jego kończynę. Rozległ się gwałtowny wizg, jakby piła mechaniczna przecinała deskę. Następnie przedramię i rozpostarta dłoń Ricky'ego spadły na podłogę.

Mężczyzna gapił się na czerwony strumień tryskający z ukrytego w rękawie kikuta. Sara krzyknęła.

Ricky uniósł rękę, tryskając krwią prosto w oczy chłopaka. Ten zatoczył się do tyłu, prychając i próbując otrzeć twarz. Napadnięty rzucił się na niego, wymachując szaleńczo kończynami.

— Rosie, uciekaj!

Jej nogi nie chciały się ruszyć. Ricky okładał chłopaka kikutem i niewprawną pięścią. Był wyższy od niego o głowę i miał o dobre piętnaście centymetrów większy zasięg rąk. Wyglądał jak chuligan ze szkolnego boiska, bijący mniejszego.

Dźwięk rozległ się ponownie. Sara wiedziała, że do końca życia będzie go słyszała za każdym razem, gdy zamknie oczy. Poczwała woń przypominającą odór

palonych włosów.

Ręka Ricky'ego odpadła od ciała w barku. Krew trysnęła na białą ścianę, pokrytą mozaiką niebieskich, zielonych i żółtych punktów.

Zwrócił ku niej twarz męczennika.

— Rosie — jęknął. Jego dziąsła były plamami świeżej krwi. — Proszę, uciekaj, na Boga...

Ręka uderzyła od niechcenia, odcinając mu zuchwę i przerywając jego słowa. Język Ricky'ego wyciągał się ku niej w makabrycznej parodii żądy.

Odwróciła się i uciekła. Ścigały ją dźwięki, jakby pochodziły z rzeźni. Gdy minęła róg, pękł obcas w jej lewym bucie. Przewróciła się na kolano z trzaskiem głośnym jak huk wystrzału. Ślizgała się naprzód przez jakieś sześć metrów, po czym odbiła się od ściany. Spróbowała się podnieść, ale noga załamała się pod nią i kobieta runęła ciężko na posadzkę.

— Och, Ricky — łkała. — Tak mi przykro.

Było jej przykro, że zmarnowała szansę ucieczki, za którą zapłacił własnym życiem. Żałowała też dziwnej, kryjącej się pod przerażeniem ulgi, że nie będzie musiała stawić czoła pytaniu, które z pewnością wywołałaby następna noc spędzona w jego pokoju.

Wsparała się na czterech kończynach, unosząc wysoko kolana, i zaczęła się posuwać w bok na tyłku. Napastnik wyszedł z za rogu. Wyglądał, jakby miał trzy i pół metra wzrostu. Jego kurtka i twarz zbryzgane były krwią, nienaturalnie jaskrawą w blasku świetlówek. Uśmiechał się, odsłaniając zęby przypominające walący się płot.

— *Der Boss* przesyła pozdrowienia.

Odsuwała się od niego z desperacją. Na całym świecie nie pozostało nic poza skazanym na porażkę wyścigiem.

Nagle dobiegły ją głosy, pochodzące z miejsca, gdzie korytarz prowadzący z Hyatta przebiegał pod Center Avenue. Pojawiła się grupa delegatów noszących znaczki Jacksona. Czarnoskórzy mężczyźni i kobiety w średnim wieku rozmawiali radośnie o nagłym wzroście poparcia dla ich kandydata w ostatnim głosowaniu wieczoru.

Zabójca w skórzanej kurtce uniósł głowę. Niska kobieta w łososiowej sukience z kokardą zawiązaną pod obfitymi piersiami zauważyła pokrywającą go krew oraz pokawałkowaną ofiarę leżącą na korytarzu za jego plecami. Potarła oczy pięściami i zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy.

Chłopak skierował błyszczące oczy na Sarę.

— Pamiętaj o Jenny Towler — warknął, a następnie wszedł w ścianę.

23:00

Jest mój!

Lalkarz poczuł zbliżanie się pałacej, wypaczonej groźby. Gregg odwrócił się i zobaczył, jak Mackie wychodzi ze ściany jego sypialni. Krzywy uśmiezek na jego twarzy harmonizował z krzywymi plecami.

Krew, która splamiła jego prawą rękę aż po łokieć, mogła oznaczać tylko jedno.

Jest mój!

— Wszystkie jebane pokoje hotelowe wyglądają tak samo — skwitował Mackie.

— Spierdalaj stąd — warknął Gregg.

Z posiniaczonej twarzy Mackiego zniknął uśmiech.

— Chciałem ci o tym opowiedzieć — zaczął, mówiąc z silniejszym niemieckim akcentem niż zwykle. — Załatwiłem czarnucha, ale kobieta...

Mój! Jest mój!

Senator dziwił się, że w ogóle słyszy głos Mackie mimo wrzasków Lalkarza. Gwałtowny obłęd chłopaka promieniował na wszystkie strony, sączył się z porów jego skóry jako smród rozkładającego się mięsa, oferując Lalkarzowi prawdziwą ucztę zgnilizny.

Gregg musiał jak najszybciej pozbyć się stąd niemieckiego zabójcy. W przeciwnym razie całkowicie utraci resztki kontroli nad swoją mocą.

— Zjeżdżaj — zażądał z desperacją w głosie. — Tu jest Ellen.

Mackie wyszczerzył zęby w szyderym grymasie. Wiercił się niespokojnie, przestępując z nogi na nogę.

— Aha. Wiem o tym. Siedzi w sąsiednim pokoju i ogląda cholerną telewizję. Pokazywali pogrzeb Poczwardki. Widziałem ją, ale ona mnie nie. Mógłbym z łatwością ją wykończyć. — Obliznął wargi. Jego nerwowe spojrzenie podziało na Gregga jak smagnięcie bicia. Lalkarz tłukł wściekle o kraty. — Nie wiem, gdzie jest ta Morgenstern — oznajmił wreszcie chłopak.

— W takim razie znajdź ją.

— Chciałem się z tobą zobaczyć — wyszeptał Mackie niczym kochanek. Jego głos miał brzmienie aksamitnego papieru ściernego. Jego pożądanie było jak syrop o smaku miodu, złocisty, gęsty i słodki.

Lalkarz darł się z żądz. Bariery w umyśle Gregga zaczęły się załamywać.

— Zmiataj stąd — wysyczał. — Nie udało ci się załatwić Downsa, a teraz mówisz mi, że nie potrafisz znaleźć Sary. Jaki z ciebie pożytek, do cholery? Jesteś tylko bezużytecznym śmieciem, nawet jeśli masz moc asa.

Zawsze dotąd obchodził się z Mackiem delikatnie, schlebiał mu i karmił jego ego. Bał się garbusa, nawet jeśli Lalkarz kontrolował jego emocje. Korzystanie z jego usług było jak zonglowanie naczyniami z nitrogliceryną. Z pozorów mogło się to wydawać łatwe, ale Gregg wiedział, że wystarczy tylko jeden błąd. Niewykluczone, że popełnił go właśnie w tej chwili. Twarz Mackiego w jednej

chwili stała się zimna i wroga. Żądza przerodziła się nagle w coś prostszego i bardziej niebezpiecznego. Jego prawa ręka zaczęła wibrować bez udziału świadomości. Powietrze przeszył groźny jęk.

— Nie — zaprzeczył Mackie, potrząsając głową. — Nie wiesz tego. Jesteś Szefem. Kocham...

Gregg mu przerwał. Jeśli wybuch musiał nastąpić, to niech przynajmniej będzie potężny.

— Kazałem ci załatwić dwoje ludzi, którzy są dla nas zagrożeniem. Oboje nadal chodzą po świecie, a ty mi mówisz, jaki jesteś dobry i ile dla ciebie znaczą.

Mackie zamrugał. Po jego twarzy przebiegł tik.

— Nie słuchasz mnie.

— Nie słucham. I nie będę słuchał, dopóki nie załatwisz tych niezakończonych spraw. Jasne?

Mackie postąpił chwiejny krok ku Greggowi. Uniósł rękę. Jego palce zmieniły się w niebezpieczną, zamazaną plamę.

Senator powstrzymał go spojrzeniem. To było absolutnie najtrudniejsze ze wszystkiego, co zrobił w życiu. Lalkarz szalał za jego oczami, bełkotał i toczył pianę pobudzony bliskością Mackiego i płynącą od niego burzą emocji. Gregg wiedział, że wystarczy sekundy, by emocjonalne więzy się odwróciły i to on znalazł się pod spodem. Dopóki jednak więził Lalkarza, nie był w stanie zapanować nad Mackiem, stłumić jego obłędu. Jeśli młody as zrobi kolejny krok i zamachnie się na Gregga tą ręką...

Senator drżał z wysiłku.

— Przyjdź do mnie później, Mackie — wyszeptał. — Kiedy już to zrobisz. Ale dopiero wtedy.

Chłopak opuścił wzrok i rękę. Otaczająca go czerwona aura przemocy osłabła nieco.

— Zgoda — rzekł cicho. — Ty jesteś Szefem. Tak.

Wyciągnął rękę, bezpieczną teraz i spokojną. Gregg stłumił impuls, nakazujący mu cofnąć się i uciec. Skupił się na powstrzymaniu Lalkarza jeszcze przez chwilę.

Suche koniuszki palców Mackiego musnęły z dziwną czułością porośnięty lekką szczecina policzek senatora.

Gregg zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, Mackiego już nie było.



Tachion dotknął palcami strun i wydobyl ze skrzypiec westchnienie muzyki. Agent Secret Service odwrócił głowę, powoli i ciężko jak byk, kierując spojrzenie ku źródłu irytacji. Tach skinął uprzejmie głową. Mężczyzna rozpromienił się

wyraźnie i obejrzał ukradkiem za siebie. Kosmita siedział po turecku na podłodze przed drzwiami pokoju Fleur. Z jednego z sąsiednich apartamentów dobiegały odgłosy zabawy.

— Hej.

— Witam.

— Moja córka szaleje za panem. Zabije mnie, jeśli się dowie, że spotkałem pana i nie poprosiłem o autograf. Czy mógłby pan?

— Oczywiście, z wielką chęcią. — Tach wyciągnął z kieszeni notes. — Jak ma na imię?

— Trina.

Dla Triny, z wyrazami sympatii. Pod spodem umieścił swe imię z zakreślasem.

— Hmm, przepraszam, ale co pan właściwie tu robi?

— Będę grał na skrzypcach dla damy, która mieszka w tym pokoju.

— Ach. Mały romans, tak?

— Mam taką nadzieję. Zapewniam, że nie spowoduję kłopotów. Czy mogę tu zostać?

Agent wzruszył ramionami.

— Jasne, a co tam. Ale jeśli ludzie będą się skarżyć...

— Bez obaw.

Tachion uniósł smyczek i wsparł skrzypce pod podbródkiem. Przed laty zaaranżował etiudę a-moll Szopena na skrzypce solo. Nuty spływały ze strun jak kryształowe paciorki, jak woda spływająca po kamieniach. Jednakże pod radością krył się ton smutku.

Twarze kobiet. Blythe, Anielska Buzia, Ruletka, Fleur, Poczwarzka. Żegnaj, stara przyjaciółko. Drzwi hotelowego pokoju otworzyły się gwałtownie. Tach uniósł głowę i spojrzał w brązowe, pełne furii oczy. *Cześć, ukochana?*

— Co pan tu robi? Czemu nie zostawi mnie pan w spokoju? Proszę, niech pan sobie pójdzie!

Włosy opadały jej na twarz.

— Nie mogę.

Klęknęła przed nim, zaciskając ręce na jego barkach.

— Dlaczego?

— Nawet dla mnie to nie ma sensu. Jak mógłbym wytłumaczyć to pani?

— Wypaczył pan i zepsuł wszystko, czego w życiu dotknął. A teraz próbuje pan uczynić to samo mnie.

Nie próbował zaprzeczyć tym słowom. Nie mógł im zaprzeczyć.

— Pomyślałem, że moglibyśmy pomóc sobie nawzajem. Zmyć z siebie winę.

— Tylko Bóg ma taką moc.

Niepewnie dotknął koniuszkiem palca opadającego kosmyka jej włosów.

— Ma pani jej twarz. Czy to możliwe, by nie miała pani jej duszy?

— Ty cholerny głupcze! Zrobiłeś z niej coś, co nigdy nie istniało.

Szarpnęła gwałtownie głową. Jego palce przesunęły się po jej policzku. Poczuł wilgoć. Gwałtowny ruch spowodował, że przesunęła się kilka kroków w jego lewą stronę. Oparła czoło o ścianę. Każdy rys jej ciała znamionował cierpienie. Tach dotknął smyczkiem strun i zaczął grać.

0:00

W lateksowej masce klauna Gregg był po prostu kolejnym dzokerem szukającym chłodu w parnej, upalnej Atlancie. Temperatura cały czas wynosiła trzydzieści parę stopni, a wietrzyk przypominał ruchomą saunę. Pod maską czuł się jak w piecu, ale nie odważył się jej zdjąć.

Zaaranżowanie jego ucieczki z hotelu zajęło sporo czasu. Ellen wreszcie zasnęła, ale nie sposób było przewidzieć, w której chwili może się obudzić. Podejmował to ryzyko z wielką niechęcią, ale musiał coś zrobić w sprawie Lalkarza.

Moc potężniała pod wpływem desperacji. Senator obawiał się, że walka, którą musi z nią toczyć, już stała się zbyt widoczna dla innych.

Porzuceni Latający Asowie przeobrażeni w Pierdolonych Latających Dzokerów chrzęścili mu pod stopami, gdy Gregg przechodził przez rynsztok, wchodząc na teren Piedmont Parku. Między drzewami i wokół trawiastych pagórków krążyły niewyraźne sylwetki. Policja regularnie patrolowała obwód parku, starając się nie wypuszczać dzokerów na zewnątrz i nie wpuszczać nikogo innego do środka, ale Gregg bez większego trudu przemknął się w ciemności między gliniarzami i wszedł do surrealistycznego świata, w jaki zmienił się park.

Gdy już się w nim znalazł, zapomniał o mieście, które zostawił za sobą. Na zboczu jednego ze wzgórz powstało miasteczko namiotów. Płynęły od niego krzyki, śmiechy i światło. Nieopodal palono ognisko. Słyszał śpiew. Dzokerzy przechodzący przed płomieniami rzucali na trawę długie, zmienne cienie. Dalej w głąb parku, za spiczastymi namiotami, Gregg widział zmienną, fosforyzującą jasność. Ciała wielu dzokerów świeciły migotliwym bądź stałym blaskiem. Co noc, gdy zrobiło się zupełnie ciemno, mieli zwyczaj zbierać się na szczycie jednego ze wzgórz niczym ludzkie świetliki. Fotograf z UPI zrobił im zdjęcie, które stało się jednym z najpopularniejszych obrazów tej konwencji, poza konwencją.

Gregg szedł przez park prowadzony przez Lalkarza, podążając za mentalnymi sznurkami swych lalek znajdujących się w tłumie. Było ich tu wiele — głównie wieloletni mieszkańcy Dzokerowa, których nerwice i dziwactwa były dla Lalkarza znajomym, często odwiedzanym terytorium. Często ignorował ich, wołąc dreszczyk płynący z podporządkowania nowej lalki swej woli. Często, ale nie dzisiaj. Dzisiaj potrzebował pożywienia. Musiał zaspokoić potrzeby swej mocy.

Dlatego wybrał szybką i łatwą drogę.

Jeden ze sznurków prowadził do Fistaszka.

Był on lalką już od połowy lat siedemdziesiątych, jedną z tych, które Hartmann wykorzystał podczas tragedii, jaką stała się konwencja w siedemdziesiątym szóstym. Dżoker był żalonym, słabym na umyśle człowiekiem, którego skóra zrobiła się twarda, krucha i bolesna przy ucisku. Należał do kierowanej przez Gimlego organizacji DSS i nieco ponad rok temu Mackie Majcher uciął mu prawą rękę. Fistaszek próbował stanąć między Mackiem a siostrą Nur al-Allaha, Kahiną. Po śmierci Gimlego aresztowano Fistaszka razem z innymi członkami organizacji, ale szybko go zwolniono, gdy wstawiło się za nim biuro Hartmanna.

Fistaszek zawsze zamartwiał się faktem, że jego przyjaciel Gimli głęboko nienawidzi Gregga. Sam podziwiał Hartmanna, którego znał. Po zwolnieniu z więzienia pracował nawet jako ochotnik dla jego nowojorskiej kampanii, agitując w Dżokerowie podczas prawyborów.

Fistaszek był jak stary kochanek. Gregg świetnie wiedział, które guziki trzeba nacisnąć.

Nikt nie zwracał zbytnej uwagi na senatora. Większość dżokerów miała odsłonięte twarze, jawnie demonstrując światu swe deformacje, ale nadal sporo było takich, którzy nosili maski, dzięki czemu Gregg nie rzucał się w oczy. Czekał na skraju pola namiotowego, na granicy otaczającego ognisko tłumu. Siedział pod drzewem, ozdobionym wystrzępionym na wietrze plakatem z napisem „Uwolnić Gila”.

Pot spływał mu po twarzy, skapując na skraj jego koszulki z napisem „Black Dog”.

Ujrzawszy po prawej Fistaszka, opuścił pręty klatki więżącej Lalkarza. Zniknęły stanowczo za szybko, dowodząc, jak bardzo osłabła jego kontrola nad mocą.

Lalkarz pomknął w stronę Fistaszka, przyglądając się kolorom słabowitego umysłu dżokera w poszukiwaniu czegoś... smacznego. Jego odcienie były proste i oczywiste. Łatwo było oddzielić od siebie poszczególne pasma i znaleźć coś, co moc mogła wykorzystać. W przypadku Fistaszka, podobnie jak wielu innych dżokerów, nad którymi zapanował, najodpowiedniejsze były te, które wiązały się z seksem. Lalkarz wiedział, że większość dżokerów brzydziła się własnym wyglądem, nawet jeśli temu zaprzeczali. Nienawidzili tego, co widzieli w lustrze. Dla wielu z nich inni dżokerzy również wydawali się odrażający. Fortunato był tylko jednym z wielu ludzi czerpiących zyski z tego faktu. W Dżokerowie był wielki popyt na natolskie prostytutki gotowe obsługiwać dżokerskich klientów.

Fistaszek również cierpiał z tego powodu. Tkanki jego ciała były sztywne i pokrywała je twarda skorupa, a twarz wyglądała tak, jakby ktoś zbryzgał ją

blotem, a potem wysuszył na słońcu. W miejscach, gdzie kończyny łączyły się w stawach, skóra często mu pękała i rozszarpała się, pozostawiając ropiejące, gojące się z trudem wrzody oraz strupy. Fistaszek był brzydki i akurat na tyle inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że jest głupi. Dla natola byłoby to fatalne połączenie, ale w Dżokerowie wyglądało to znacznie gorzej.

Gregg wiedział, że dla Fistaszka seks był rzadko zdarzającym się połączeniem przyjemności z cierpieniem. Wzwody były w jego przypadku bolesne, a sucha, stwardniała skóra pękała i krwawiła od tarcia towarzyszącego seksualnemu kontaktowi. Ból dręczył go potem przez wiele dni.

Jednakże dzika karta nie stłumiła pragnień ani nie sprawiła, że nie pragnął ulgi wiążącej się z aktem miłosnym. Jego pożądania były wręcz silniejsze od przeciętnych. Fistaszek regularnie odwiedzał najtańsze kurwy w Dżokerowie, a gdy nie mógł sobie pozwolić nawet na ich niedrogie usługi, onanizował się w swej norze, pośpiesznie i z poczuciem winy.

Lalkarz wiedział o tym bardzo dobrze. Czasami myślał, że dziką kartę stworzono specjalnie dla jego przyjemności.

Gregg popieścił umysł Lalkarza i zobaczył pulsującą, żółtą nutę żądz. Uświadomił sobie, że dla dżokera minęło już wiele dni. Pragnienie zrobiło się bardzo mocne. Lalkarz zaczął podsycać je powoli, czyniąc żółty kolor coraz jaskrawszym. Przyglądający się temu Gregg zauważył, że Fistaszek skrzywił się nagle. Dżoker wstał i oddalił się od ogniska. Senator odczekał chwilę, a potem podążył za nim.

W złocistej barwie podstawowej można było zauważyć pomarańczowe nuty tłumionego sadyzmu, lazur pożądania natolskich kobiet, koralowozieloną preferencję dla seksu oralnego. Lalkarz widział podobne elementy u wszystkich lalek. Pożądanie zawsze jest skomplikowane, a niekiedy również pełne sprzeczności. W normalnych warunkach wszystkie takie impulsy były tłumione, a nawet wypierane — fantazje i towarzyszące onanizmowi wizje, zaledwie drobne wiry w powodzi. Lalkarz rozniecał je jednak, czynił z nich dominujące pasje. Mógł uczynić swą ofiarę okrutnym gwałcicielem albo upokorzonym niewolnikiem, nakazać jej uwieść dziecko bądź żonę przyjaciela.

To była jego ulubiona sztuczka.

Rób co chcesz, ale się pośpiesz. Nie zapominaj o Gimlim...

Lalkarz warknął, usłyszawszy to przypomnienie. Dźgnął brutalnie umysł Fistaszka i czekał, co się wydarzy. Dżoker podszedł do skraju obozu, gdzie znajdował się mroczny zagajnik. Był wyraźnie podekscytowany. Całe jego ciało obracało się, gdy spoglądał na boki. Senator przyglądał mu się, ukryty w jednym z namiotów. Wreszcie Fistaszek podjął decyzję i skierował się między drzewa.

Gregg ruszył w pościg.

I omal nie wpadł na dżokera.

Fistaszek zapuścił się w gąszcz zaledwie na kilka metrów. Hartmann słyszał, co spowodowało, że się zatrzymał. Zdyszane jęki mogły oznaczać tylko jedno. Stał bez ruchu, obserwując pieprzącą się w krzakach parę dzokerów. Barwy jego umysłu były pełne zmieszania i niepewności.

Lalkarz dotknął go raz jeszcze.

Czujesz to? Nie możesz tylko tak stać i się gapić. Popatrz na nią. Spójrz, jak opłotła go nogami. Spójrz, jak porusza pod nim tyłkiem, unosi biodra, żeby mógł wejść głębiej, chętna, gorąca i wilgotna. To mógłbyś być ty. Pragniesz jej. Pragniesz, by jej nogi opłotły się wokół twoich bioder, pragniesz poczuć swego kutasa głęboko w jej ciepłym wnętrzu, pragniesz usłyszeć, jak wzdycha ci w ucho i mówi ci, żebyś ją pierdolił, pierdolił ją mocno i ze wszystkich sił, aż wreszcie eksplodujesz w nią...

Fistaszek pociągnął jedną ręką za sprzączkę pasa. Spodnie opadły mu do kostek.

Ale ona cię nie pragnie. Nie Fistaszka. Jesteś brzydki i odrażający, pełen ostrych krawędzi. Jesteś głupi. Będzie się ciebie brzydziła, poczuje się brudna i zbrukana...

Lalkarz czuł, że żądza i gniew narastają jednocześnie. Kierował tym wzrostem, powiększając nacisk, aż wreszcie poczuł, że umysł dzokera kipi. *Musisz stać się panem. Ona tego właśnie chce, tego pragnie. Znam cię. Wiem, o czym myślisz, kiedy sam się zaspokajasz...* Sam Lalkarz również westchnął. Był gotowy. Gotowy wreszcie się nasycić.

Fistaszek przykucnął, szukając czegoś w podszyciu. Kiedy się wyprostował, Gregg zauważył w jego dłoni grubą gałąź. Dzoker uniósł broń.

No jazda. Uderz go i posiadź dziwkę. Pragniesz tego. Musisz...

Wtem Gregg usłyszał głęboki, drwiący śmiech.

Gimli. Gdzie jesteś, do cholery! — zaklął. Gdzie się ukrywasz?

Ależ jestem tutaj, Greggie. Z tobą. Karzeł ryknął śmiechem i w tej samej chwili pojawił się wzniesiony przez niego mur, tak samo, jak działo się to zawsze od kilku tygodni. Sfrustrowany Lalkarz zawył, gdy sznurki łączące go z Fistaszką zostały gwałtownie przecięte.

— Nie!

Ten krzyk mógł pochodzić od Gregga albo od Lalkarza. Ten drugi rzucił się na mentalną barierę, próbując się przebić na drugą stronę. Było już jednak za późno. Fistaszek poderwał się nagle. Następnie się odwrócił i zobaczył człowieka w masce klauna. Gałąź wypadła mu z rąk. Leżąca na ziemi para podniosła się z trudem.

Co się stało, Greggie? Nie potrafisz zapanować nad swoim cholernym pieszczoszkiem?

Lalkarz, słaby i wyczerpany, skrył się w jego wnętrzu, Gregg uciekł

w panice, bojąc się, że ktoś go rozpozna. Nigdy dotąd go nie złapano. Nigdy nawet go nie zauważono. Gałęzie smagały go, gdy biegł na oślep. Za sobą słyszał krzyki wystraszonego Fistaszka.

Ale przed głosem Gimlego nie było ucieczki. Karzeł przez cały czas towarzyszył Greggowi, gdy ten biegł między namiotami, gdy wreszcie wypadł z parku i odnalazł drogę powrotną do Marriotta.

Jak długo jeszcze zdołasz go powstrzymywać. Greggie? — szydził Gimli. Dzień? Może dwa? Potem skurwysyn cię pożre. Pierdolony Lalkarz wyrwie się na wolność i zżre cię w całości.



Spector ich nie widział, ale wiedział, że są na drugim końcu holu. Grupa ludzi, Hartmann i jego świta, zmierzała ku niemu. Nie robili zbyt wiele hałasu. As postąpił krok ku nim. Ludzie spoglądali w jego kierunku, ale go nie widzieli. Hartmanna otaczały flesze kamer. Senator wyciągnął rękę do Spectora.

As sięgnął ku niemu i nagle zauważył, że ma na sobie białe rękawiczki oraz czarny trykot. Ludzie śmiali się i wskazywali na niego palcami. Zazgrzytał zębami i spojrzał senatorowi prosto w oczy. Poczł, że krew jego ofiary zawrzała z bólu. Hartmann oddychał z wysiłkiem, jego serce biło spazmatycznie, zmierzając do zatrzymania się. Chwila satysfakcji, a potem było po wszystkim. Ofiara zwała się na podłogę. Absolutna cisza. Wokół nadal błyskały kamery. Spector trącił nogą martwego mężczyznę, przewracając go na plecy. To był Tony. Jego twarz zamarła w straszliwym grymasie agonii.

Rozległ się śmiech Hartmanna. Spector uniósł wzrok. Otaczali go agenci Secret Service. Wszyscy wyciągnęli broń i celowali w niego. Lufy ich pistoletów były niewiarygodnie wielkie.

Zgon otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale w tej samej chwili pierwsza kula odstrzeliła mu żuchwę. Spróbował się cofnąć, lecz kolejne pociski zbiły go z nóg, urywając mu kawałki ciała. Przestał widzieć na jedno oko. Zdarzało się już, że go postrzelono, ale nigdy dotąd nie było aż tak źle. Czł, jak deszcz pocisków popycha jego ciało ku podłodze. Stracił kilka palców jednej z dłoni. Uniósł drugą przed twarz. Nadal była nieskazitelnie biała, nie widział na niej ani jednej kropli krwi. Drugie oko również przestało cokolwiek widzieć.

Krzyknął i stoczył się z łóżka, a potem wczołgał się pod nie. Nie słyszał strzałów. Poruszył żuchwą i rękami. Jego oczy przywykły powoli do ciemności. Wysunął się spod łóżka i włączył lampę stojącą na stoliku. Był sam w pokoju. Włączyła się klimatyzacja. Zerwał się nagle na nogi.

— Pierdolony koszmar. — Potrząsnął głową i położył się z powrotem. — Jezu, co za pierdolony koszmar.

Wymacał pilota i włączył telewizor. To był kolejny stary film. Poznawał

Johna Wayne'a. Z jakiegoś powodu jego widok uspokoił Spectora. As sięgnął pod stół i wydobyl stamtąd butelkę whisky. Została w niej najwyżej połowa łyku. Zadzwoił po kolejną. Jutro poszuka sobie innego lokum. Wkrótce ktoś zauważy zniknięcie prawdziwego Herberta Bairda, a Spector nie chciałby przebywać w jego pokoju, gdy zjawi się tu policja. Zadzwoi do hotelu z nowego miejsca i zapyta, czy Tony zostawił dla niego wiadomość Diabelnie mocno pragnął, by to wreszcie się skończyło i aby mógł wrócić do New Jersey.

Rozdział czwarty

Czwartek, 21 lipca 1988

1:00

— Ty sukinsynu!

Smyczek zsunął się ze strun z dysharmonijnym piskiem.

Hiram łypnął na niego z góry. Jego niknące pod zwałami tłuszczu oczy miały czerwoną barwę.

— Hiram, jest już późno. Wszyscy przeżywamy silny stres. Dlatego to zignoruję.

Worcester z wyraźnym wysiłkiem zapanował nad sobą.

— Od wtorku wieczorem zostawiłem dla ciebie dwadzieścia siedem wiadomości.

Tachion uderzył się w czoło otwartą dłonią.

— Och, przodkowie. Wybacz, Hiram. Dzisiaj... wczoraj — poprawił się, spoglądając na zegarek, byłem w Nowym Jorku, na pogrzebie...

— Widziałeś Jaya? — zapytał restaurator.

— Jaya?

— Ackroyda.

Takizjanin przypomniał go sobie. Jay Ackroyd niekiedy pracował jako prywatny detektyw, a czasami wykonywał zadania asa, ale zawsze pozostawał przyjacielem Hiram. Był wysyłającym teleporterem i w Dzień Dzikiej Karty w osiemdziesiątym szóstym wykorzystał swą moc, by uratować Tachiona z nieprzyjemnej sytuacji.

— Aha, jego. Nie.

— Chodź ze mną. Mamy poważny problem. Myślę, że tylko ty potrafisz go rozwiązać. Dzięki Bogu, chyba nie jest za późno.

— Gdyby było, miałbyś prawdziwy powód, by czuć się winny.

Tachion zatrzasnął futerał na skrzypce i podążył za grubasem.

— O co chodzi?

— Poczwarka wynajęła zamachowca — odparł bardzo cichym głosem Worcester.

— Co takiego?

Restaurator strzelił palcami przed twarzą kosmity.

— Obudź się, Tachion.

— Na krew i ród, nie wierzę w to.

— Lepiej w to uwierz. Jay rzadko myli się w takich sprawach. A nawet gdyby tym razem popełnił błąd, to czy możemy podjąć takie ryzyko?

Tach miał wrażenie, że żołądek wypełnił mu zimny ołów.

— Mamy jakieś pojęcie, kto może być celem?

— Jay uważa, że to Barnett, ale myślę, że bezpieczniej będzie nie wykluczać nikogo. Trzeba wzmocnić ochronę wszystkich kandydatów. Nasz problem polega na tym, jak zawiadomić Secret Service, nie zdradzając wszystkiego, co wiemy. Mój Boże, wtedy wszystko byłoby stracone.

Jego głos przeszedł w basowy pomruk. Słowa straciły sens. Tach znalazł się w prywatnym piekle, wpatrywał się w knykcie swej prawej dłoni, które powoli robiły się białe.

...zabił Poczwarę. Teraz kolej na mnie.

Nie chcesz mi uwierzyć.

Pomóż mi.

nie!

— Jezu Chryste! Czy usłyszałeś chociaż jedno słowo z tego, co powiedziałem? — Pod pachami restauratora pojawiły się ciemne od potu kręgi. I co teraz zrobimy?

— Powiem ludziom z Secret Service, że krążyłem na oślepie w tłumie i przechwyciłem czyjeś powierzchowne myśli o zamachowcu. Znam jego intencje, ale nie wiem, kto jest jego celem ani jakiej metody zamierza użyć.

— Tak, tak, dobrze. — Nagle Hiram zaniepokoiło coś innego. — Ale czy ci uwierzą?

— Uwierzą. Moje mentalne moce budzą w ludziach wielki podziw. — Tach poklepał Worchestera po ramieniu. — Nie przejmuj się, Hiram. Powstrzymamy go.

To jednak była tylko czysta brawura i Tach odnosił wrażenie, że Hiram o tym wie.

5:00

— Jest pani pewna, że tu właśnie chce pani wysiąść? — zapytał noszący uniform kierowca, wyciągając szyję, by spojrzeć przez okno na miasteczko namiotów, które wyrosły w Piedmont Parku jak grzyby po deszczu. Zaczynał się już dzień i światło słońca tłumiło blask dogasających na stratowanej przez tłumy trawie ognisk.

— Jestem pewna — potwierdziła i wysiadła.

Powietrze zmieniało się już w gęstą galaretę, złożoną z gorąca, wilgoci, dieslowskich spalin, a także odorów wydzielin, ludzkich i nieco innych. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Samochód odjechał.

Oparła się pokusie pokazania kierowcy uniesionego palca. Kiedy poprosiła o ochronę policyjną, popatrzyli tylko na nią bez wyrazu. Pragnąc zapobiec hysterii i spekulacjom, policja z Atlanty otoczyła morderstwo w Peachtree zasłoną tajemnicy. Nie ujawniono nawet nazwiska Ricky'ego. Rzekomo chcieli najpierw

zawiadomić jego matkę, mieszkającą w Filadelfii. Nie zdradzono też tożsamości Sary. Rzeczniczka policji oznajmiła prasie, że towarzysze zamordowanego mężczyzny zapewniono policyjną opiekę. Być może miała to być próba przekupstwa.

Sara świetnie zdawała sobie sprawę, że policja z Atlanty próbuje schować dynamit w kamiennym naczyniu. Ta próba pogorszy tylko sytuację, gdy dojdzie wreszcie do eksplozji. Z drugiej jednak strony cieszyła się z tego. Koledzy Ricky'ego wkrótce dowiedzą się o jego śmierci i domyślą się, że to ona była kobietą, która mu towarzyszyła.

Bała się tego, co się wtedy wydarzy. Nie czuła nawet śladu pokusy, by spróbować oskarżyć Hartmanna podczas nieuniknionego przesłuchania. Wiedziała, że to by nic nie dało. Tachion za dobrze wykonał swoją robotę.

Włożyła kapelusz z szerokim rondem i poprawiła torebkę na ramieniu. Nieustraszona reporterka, obecnie pracująca na własną rękę. Chodziła wśród nieszczęsnych i uciśnionych, słuchając ich opowieści o bólu i prześladowaniach. Ta rola pozwoli jej spędzić w tłumie kilka dobrych godzin.

Bała się zostać sama. Śmiertelnie się bała.

Pokuśtykała w górę po stoku.

9:00

Gregg nie sądził, by spał tej nocy zbyt długo. Ostatnie głosowanie odbyło się dopiero wczesnym rankiem, a potem uczcili sukces drobną uroczystością w green roomie. Udało się przebić barierę tysiąca ośmiuset głosów. Liczono na to, że wieczorem impet pozwoli mu osiągnąć dwa tysiące osiemdziesiąt jeden głosów i zdobyć nominację.

— Trzysta głosów. To łatwe jak chleb z masłem — stwierdził Devaughn.

Ale Gregga to nie obchodziło. Nawet w najmniejszym stopniu.

Stał przy oknie w swym apartamencie, spoglądając na skąpany w porannym blasku kłębiący się w dole tłum. Sądząc po kapeluszach, większość stanowili jego zwolennicy. Potarł powieki i przełknął łyk kawy ze styropianowego kubka. Płyn parzył mu żołądek, a Lalkarz płonął w jego głowie.

— Cholera, musisz mnie nakarmić — zawodził. Jego głos przesycala zapowiedź powolnej głodowej śmierci.

— Nie mogę. — Gregg również czuł ten głód, jako nienasyconą pustkę w żołądku. — Chcę to zrobić, ale nie mogę. Wiesz o tym.

— Kurwa, nie mamy wyboru. Już nie.

Moc szarpała go mentalnymi szponami. Gregg ścisnął w palcach grubą zasłonę. Widok ludzi chodzących swobodnie w porannym słońcu drwił z głodu Lalkarza. Pragnął ich. Miał ochotę zeskoczyć na dół jak pantera i rozszarpać ich na strzępy. Palce zbieleły mu od siły uścisku.

— Kiedy wrócimy do Nowego Jorku... — zaczął Gregg, ale Lalkarz mu przerwał:

— Natychmiast! W Nowym Jorku będziemy dopiero za tydzień. Nie mogę czekać tak długo. Ty też nie możesz.

— Co niby mam zrobić, do licha? — warknął z wściekłością zdesperowany Gregg. — To nie moja wina, tylko Gimlego. Musimy znaleźć na niego jakiś sposób — błagał.

— Natychmiast!

— Proszę...

Senator był bliski płaczu. Głowę wypełniał mu pulsujący ból, wywołany powstrzymywaniem Lalkarza. Pragnął rozerwać sobie czaszkę i gołymi rękami wyrwać z niej żarłoczną moc.

— W takim razie wkrótce, do cholery! Wkrótce albo znowu każę ci się czołgać. Rozbiorę cię do naga i zmuszę cię do walenia konia na oczach prasy. Słyszysz? Pożrę cię, jeśli nie dostanę nikogo innego. Pod tym względem Gimli ma rację.

Lalkarz ponownie rozdarł pazurami jego umysł. Gregg westchnął głośno z bólu.

— Daj mi spokój! — krzyknął. Jego zaciśnięte dłonie z furią zerwały zasłonę ze ściany. Spadła na ziemię z hukiem metalowych części. Senator cisnął kubkiem kawy na drugi koniec pokoju. Płyn chlusnął na luksusowe meble i oparzył jego dłoń. — Daj mi wreszcie spokój! — krzyczał, zaciskając palce na twarzy.

— Gregg!

— Senatorze!

Ellen wybiegła z sypialni. W tej samej chwili Billy Ray wpadł do środka z korytarza. Oboje gapili się na Gregga i na spustoszenia w pokoju. Na twarzy kobiety malowało się czyste przerażenie, a jej ręce składały na brzuchu w ochronnym geście.

— Mój Boże, Gregg. — Tym razem mówiła szeptem. — Słyszałam, że z kimś się spierasz. Myślałam, że ktoś tu jest z tobą...

Jej głos ucichł.

Senator zamrugnął głupawo. Poraził go szok. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że Lalkarz mówił na głos. Rozmawiał głośno ze swą mocą i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Jęknął z przerażenia.

Ellen zerknęła na Raya.

Billy stał przez chwilę bez ruchu, przenosząc spojrzenie z jednego na drugie z nich. Potem wyszedł z apartamentu, zamykając za sobą drzwi. Stojący pośrodku pokoju Gregg dyszał ciężko. Wysiłkiem woli spowolnił oddech. Spróbował wzruszyć ramionami, udawać, że nic się nie stało.

— Ellen... — zaczął, ale nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Nagle się rozpląkał, jak dziecko bojące się ciemności.

Ellen podeszła do niego, uśmiechając się odważnie, wsparła jego głowę na swym ramieniu i zaczęła głaskać go po włosach.

— Wszystko w porządku, Gregg — wyszeptała, ale on słyszał przerażenie w jej głosie. — Wszystko jest w porządku. Kocham cię, najdroższy. Po prostu potrzebujesz odpoczynku.

To były słowa. Tylko słowa.

Gregg usłyszał śmiech Gimlego i przez krótką chwilę zadawał sobie pytanie, dlaczego Ellen ignoruje ten dźwięk.



— Wielki stan Iowa! Kraina Boga! Kraina kukurydzy! — Tachion zastanawiał się, jak spiker jest w stanie zachować entuzjazm po tak wielu głosowaniach. — Oddaje cztery głosy na senatora Ala Gore'a!

Centrum konferencyjne Omni przypominało Tachionowi ogromny lej. Ludzie lepili się do stromych boków niczym ziarenka przyprawy, choć przyciąganie Ziemi próbowało strącić ich na płaską powierzchnię boiska do koszykówki znajdującego się na dole. Mogła to być przesada, niemniej hala przyprawiała kosmitę o zawrót głowy.

Tachion złapał za wieczne pióro, balansując faworkiem na filiżance z kawą, i zapisał tę liczbę. Cukier puder osypał mu się na płaszcz. Takizjanin zerknął na liczby w pięciu kolumnach oznaczonych odpowiednimi inicjałami. To była tylko kwestia czasu. Hartmann doczołgał się powoli do tysiąca dziewięciuset głosów. Tach potarł grzbietem dłoni obolałe, opadające powieki. Rozmowa z ludźmi z Secret Service ciągnęła się do piątej. Później raczej nie było już sensu kłaść się spać.

— Twój chłopak ma kłopoty — oznajmiła Connie Chung, siadając na składanym krześle za plecami Tachiona. Słuchawki z antenką nadawały jej wygląd koślawego owada.

— Mój chłopak, jak go nazwałaś, świetnie sobie radzi. Gdy Gore wycofa się z wyścigu...

— Spotka cię paskudny szok.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał zaniepokojony Tachion.

— Ma wybór między trzema liberałami z Północy i jednym konserwatystą z Południa. Jak sądzisz, komu przekaze...

— Nie — przerwał jej z odrazą Takizjanin.

Strzepnęła cukier puder z jego podbródka.

— Naprawdę jesteś w tych sprawach jak dziecko, doktorze. Patrz i ucz się. — Zaczęła wstawać, ale spojrzała na niego jeszcze raz. — Swoją drogą, Gore zapowiedział konferencję prasową na dziesiątą.



Telefon zadzwonił, gdy Jack palił pierwszego dziś camela. Przez dłuższą chwilę szukał aktówki, aż wreszcie znalazł ją pod stolikiem na kawę. Uniósł słuchawkę i osunął się na leżankę.

— Mamy kłopoty — odezwała się Amy Sorenson. — Gregg chce, żebyś natychmiast tu przyszedł.

As popatrzył na sufit spod lepiących się powiek.

— Na czym polega problem?

— Gore ma wkrótce urządzać konferencję prasową. Wycofa się z wyścigu i każe swoim ludziom poprzeć Barnetta.

— Co za lachociąg! Jebany yuppie! — Choć raz Jack nie przejmował się tym, że posługuje się bluzgami w obecności kobiety. Zerwał się z kanapy, przewracając stół, który poleciał aż na środek pokoju.

— Barnett robi go kandydatem na wiceprezydenta, tak?

— Na to wygląda.

— Niech go chuj strzeli.

— Jakiś typ z dziką kartą poszatkował nocą na kawałki przedstawiciela czwartej władzy w Peachtree Mall. Zgadnij, kto spróbuje to wykorzystać. Lepiej przyjdź jak najszybciej.

Zebranie sztabu nie zdołało stworzyć żadnego planu. Postanowili trzymać się i liczyć na pojawienie się dezertów. Gore z pewnością otrzymał od Barnetta hojną zapłatę, a to mogło odstręczyć część jego zwolenników, którzy nie byli w stanie znieść wielebnego.

W czwartym głosowaniu Hartmann zyskał sto cztery dodatkowe głosy. Najgorsze obawy Jacka się nie spełniły. Z drugiej strony Barnett zdobył prawie trzystu delegatów i trend wyraźnie odwrócił się w jego stronę. W swym maleńkim, pięciocentymetrowym radyjku firmy Sony Jack usłyszał Dana RATHERA opowiadającego o działaczach Demokratów, którzy próbowali stworzyć ruch pod hasłem „Każdy, byle nie Hartmann”. Krążyły pogłoski o liście kandydatów Dukakis/Jackson. Dodawano też sugestywne komentarze przypominające, że to czarnoskóry kandydat ma większe poparcie i być może lista powinna wyglądać raczej tak: Jackson/Dukakis. Analitycy zastanawiali się, czy Jackson będzie skłonny zaakceptować podobne upokorzenie, by zostać wiceprezydentem.

Najwyraźniej nie był. Ruch KbnH, jak nazwał go Rather, pozostał marzeniem garstki partyjnych macherów oraz sztabu Barnetta, przekonanego, że „Każdy, byle nie Hartmann” to synonim „Czemu by nie Ogniousty?”.

„Każdy, byle nie Hartmann”. Jack nie potrafił uwierzyć, że słyszy te słowa. Czemu to nie mogło być „Każdy, byle nie Barnett”?

Ukryty as — pomyślał. Może on rzeczywiście gdzieś tu jest. Alternatywna

hipoteza, jaką były gremliny z Kremla, wyraźnie się sypała.



Z początku wszystko szło nieźle. Sara mogłaby robić takie rzeczy przez sen. Mechaniczne wywiady, nieodłączny element artykułów publikowanych co trzy tygodnie w niedzielnych dodatkach oraz audycji nadawanych przez małomiasteczkowe radiostacje po wiadomościach o dziesiątej. Jak to jest być dzokerem w Ameryce?

To nie było dobre dziennikarstwo, lecz coś, czego szczerze nie znosiła. Coś należącego do tej samej kategorii, co rozmowy z rodzinami astronautów zabitych w katastrofie wahadłowca albo wywiady pod hasłem „co pani czuła, kiedy panią gwałcono”. Tym razem nie chodziło jednak o dziennikarstwo, lecz o ocalenie życia.

Wszystko było w porządku aż do chwili, gdy ją rozpoznano.

Dzokerzy obozujący w parku zjechali się z całego kraju — z Kalifornii, Idaho i Vermont. Garstka przybyła nawet z Alaski i z Hawajów. Choć bardziej odcytani spośród nich mogliby rozpoznać jej nazwisko, bo w końcu zaliczała się do najślawniejszych na całym świecie dziennikarzy piszących o sprawach dzikich kart, nie była dziennikarką telewizyjną. Każdy wiedział, jak wygląda Connie Chung, ale nikt nie znał twarzy Sary Morgenstern. Zawsze ją to cieszyło.

Ale było tu również mnóstwo jej starych znajomych z Dżokerowa. Nawet nie pomyślała o tym, jaką reakcję może wywołać jej obecność, aż do chwili, gdy porośnięta futrem pazurzasta łapa złapała ją i odwróciła od dżokerskiej matki z jej dwojgiem rozpaczliwie różniących się od siebie dzieci, od której właśnie wyciągała stek nic nieznaczących frazesów. Sara poczuła gorący oddech drapieżnika, cuchnący zepsutym mięsem.

— A co ty tutaj robisz? — zapytał głos. W korytarzach umysłu Sary nadal niosła się echem pierwsza, paniczna reakcja: *To on, gdybym tylko miała broń, dobry Boże, Ricky, Ricky!* Po chwili jednak rozpoznała osobę, która ją zaczepiła. Trudno by było pomylić ją z kimkolwiek innym. Metr osiemdziesiąt od czarnego, wilgotnego nosa na samym przodzie klinowatej głowy do czubka ogona, czarne włosy układające się w maskę na twarzy, a za nimi jasnobrązowe futro przechodzące na brzuchu w kolor srebrny — ożywiony obraz disneyowskiej animowanej fretki. Jedynym strojem, jaki miała na sobie, była zielona kamizelka pokryta znaczkami wyborczymi Hartmanna oraz pełnymi goryczy dżokerskimi sloganami: „po co być normalnym?”, „dss!” i „zjedz natola na obiad”. Sara dobrze ją znała. Dziewczyna powinna być kolejną włoską nastolatką chodzącą na msze w niemodnej niebieskiej spódniczce w kratę. Po raz pierwszy aresztowano ją, kiedy miała czternaście lat, podczas demonstracji domagającej się uwolnienia Kluchy.

— Cześć, Mustelino — pozdrowiła ją Sara. — Jak się masz?

— Co tu robisz, ty suko?

Dziennikarka cofnęła się przed jej gwałtownością. To dziwne, że ludzie od Disneya zawsze zapominali o takich szczegółach, jak długie na pięć centymetrów kły sterczące z górnej szczęki.

— O co ci chodzi?

Czas spędzony wśród dzokerów uodpornił Sarę, nie wzdrygnęła się więc przed oddechem dziewczyny. Dzika karta obdarzyła Mustelinę również nieustannym głodem mięsa żywych ofiar. Na szczęście w Dżokerowie nie brakowało szczurów.

Zebrał się tłum. Wielu dzokerów z prowincji wołało zachować anonimowość pod maskami, ale kontyngent z Dżokerowa popisywał się swymi zniekształceniami, demonstrując je z dumą niczym stygmaty. Poznała Świetlika, Pana Sera i Fistaszka, z jego twardą skorupą oraz dziwnym wyrazem oczu. Kiedyś wszyscy byli jej przyjaciółmi, ale teraz z tej przyjaźni nie zostało zbyt wiele.

— Świetnie wiesz, o co mi chodzi. Sprzedałaś nas Barnettowi.

Sara zamruwała. Jej oczy wypełniły gorące łzy.

— Co ty wygadujesz?

— To ty próbowałaś zniesławić senatora Gregga — oznajmił głos z południowym akcentem, dobiegający spod maski kabuki. Brwi sięgały połowy wysokości białej kopuły czoła.

— Zwróciłaś się przeciwko Hartmannowi — dodała Mustelina. — Przeciwko nam. Musisz mieć mnóstwo tupetu, żeby tu teraz przyjść.

— Zdrajczyni! — zawołał ktoś inny. — Natolka!

— Pierdolona żydowska kurwa!

Sara spróbowała się wycofać, ale została otoczona ze wszystkich stron. Groteskowe twarze z obrazów Goi, Hokusai i Boscha, maski o wrogim wyrazie zrobione z piór i plastiku gładkiego jak kość. *Po co tu przyszłam? To są ludzie Hartmanna.*

Wtem ktoś odciągnął Mustelinę sprzed jej twarzy i cisnął nią pięć metrów na bok. Dżokerka zwinęła się w kłębek, przetoczyła i wstała, prychając niczym cała paczka sztucznych ogni.

Pośród gromadzącego się tłumu pojawiła się ogromna, biała postać i wyciągnęła ku dziennikarce pulchne łapsko, blade i błyszczące jak surowe ciasto.

— Tseba, zebyś stąd posła, Saro — wysepleniała głosem murzyńskiego dziecka. — Zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Uczepiła się jego ręki i Klucha ruszył naprzód swym kołyszącym się krokiem, prowadząc kobietę u swego boku. Tłum rozstąpił się przed nim. Klucha nie był agresywny, ale ważył co najmniej dwieście pięćdziesiąt kilo i miał siłę trzech albo i czterech natolskich mężczyzn. Na swój sposób był niepowstrzymany.

— Widziałem cię w telewizoze, Mechano — ciągnął. — Mówiłaś okropne

zeczy o senatoze. Wszyscy mówią, że nas zdradziłaś.

Spojrzała na dzokera. Jego twarz wyglądała jak pozbawiony plam księżyc. Klucha uśmiechał się, choć nie miał warg ani zębów.

— Jesteś moją psyjacióką, Saro. Wiem, że nigdy nie zrobiłaś nic złego.

Uściskała go, ale nie zatrzymywała się ani na chwilę. Z opóźnieniem uświadomiła sobie, że to idealne miejsce dla ataku lalki Hartmanna. Gdyby nie Klucha, dzokerzy mogliby już wykonać robotę za senatora. Kilku z nich nadal szło za nią.

— Psyniesies mi kiedyś cukierków, panno Saro? — zapytał Klucha. — Odkąd pan Połysk odsedł, nikt mi już ich nie psynosi.

Zatrzymał się nagle na ulicy i spojrzał na Sarę.

— Kiedy pan Połysk wróci? Myślisz, że wróci szybko?

— On już nie wróci, kochanie — odparła łagodnie. — Wiesz o tym.

To był wylew, w styczniu tego roku. Klucha znalazł Połyska, gdy ten leżał sparaliżowany na materacu w ich małym mieszkanku przy Eldridge Street. Niósł go ulicami, płacząc i błagając, by ktoś pomógł naprawić pana Połyska. Doszedł do kliniki w Dżokerowie, nim znaleziono karetkę o wystarczająco solidnym zawieszaniu, by utrzymała jego ciężar. Nikt nie miał ochoty próbować odbierać Klusze jego przyjaciela i opiekuna. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, nawet doktor Tachion nie mógł już w niczym pomóc Połyskowi.

Z przypominających guziki oczu Kluchy popłynęły łzy.

— Tęsknię za nim. Tęsknię za nim.

Uniosła ręce, ale była za niska. Musiał się pochylić, by mogła objąć jego szyję.

— Wiem, kochanie — rzekła przez łzy. — Niedługo przyniosę ci cukierki. Kocham cię.

Pocałowała go w policzek i odeszła szybko, nie oglądając się za siebie.

11:00

— Doktorze!

Przyjrzał się przystojnej, ciemnej twarzy i oczom uważnie obserwującym wnętrze holu Marriotta. Nic nie umykało ich uwagi. Tach uklonił się lekko.

— Witaj, wielebny.

— Opuszcza pan salę obrad?

— Chaos jest zbyt wielki.

— Czuje się pan rozczarowany? — zasugerował delikatnie Jesse Jackson.

— Wszystko będzie dobrze. — Tach uniósł głowę w zamyśleniu. — A co z panem? Postanowił pan odwiedzić twierdzę nieprzyjaciela?

— Gregg Hartmann nie jest moim nieprzyjacielem.

— Czy zatem nie ma pan nic przeciwko temu, żeby się wycofać i przekazać

swoich delegatów senatorowi?

Jackson parsknął śmiechem.

— Wyprzedził mnie pan, doktorze. Możemy porozmawiać? — Wskazał na sofę stojącą pod ścianą w górnej części holu. Dziennikarze z AP, „Time’a”, „The Sun Times” oraz „Washington Post” krążyli wokół nich niczym barrakudy. Prosta Strzała, mormoński as z Utah i osobisty strażnik Jacksona, przyglądał się im nieruchomym wzrokiem. Informacja o rewelacjach Tachiona szybko rozeszła się wśród wszystkich ochroniarzy. Wprawne oko Takizjanina dostrzegало w holu wielu dyskretnie uzbrojonych mężczyzn.

— Czy w pańskim apartamencie nie mielibyśmy więcej prywatności? — zapytał z przekąsem.

Jackson rozciągnął w uśmiechu przesłonięte wąsami usta, odsłaniając białe zęby.

— Nie zależy mi na prywatności. Niech sobie spekulują.

Po chwili zastanowienia Tachion doszedł do wniosku, że on i pastor Jackson mogą pomóc sobie nawzajem. Niektórzy będą podejrzewać, że poparcie Takizjanina dla Hartmanna słabnie. Innym nasunie się myśl, że Jackson może się wycofać i przekazać swe głosy Hartmannowi.

Usiedli na sofie — wysoki, czarnoskóry mężczyzna i drobniutki kosmita, podwijający pod siebie jedną nogę.

— Chciałbym, żeby przeniósł pan swe poparcie na mnie — oznajmił bez zbędnych wstępów Jackson.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu. Logika wskazuje, że jestem najlepszym reprezentantem dzokerów i asów. Razem zbudujemy nowy świat.

— Mieszkam tu już czterdzieści dwa lata i nadal czekam na nadejście tego nowego świata.

— Nie może pan ulegać cynizmowi, pesymizmowi i rozpacz, doktorze. Nie spodziewałem się tego po panu. Jest pan wojownikiem, tak samo jak ja. — Tachion milczał. — Łączą nas wspólne interesy — dodał Jackson.

— Doprawdy? Ja chcę zapewnić swemu ludowi bezpieczeństwo, a pan pragnie zostać prezydentem.

— Jeśli pomoże mi pan osiągnąć ten cel, będę bronił pańskiego ludu, tak samo jak własnego. — Zmarszczył brwi, wpatrując się w przeciwległą ścianę. — Doktorze, moi przodkowie przybyli do Ameryki na statkach niewolniczych, a pan przyleciał tu statkiem kosmicznym, ale teraz obaj siedzimy w tej samej łodzi. Jeśli Barnett zostanie prezydentem, wszyscy ucierpimy.

Takizjanin potrząsnął głową, raczej z powodu dezorientacji niż na znak zaprzeczenia.

— Nie jestem pewien. Gregg Hartmann był naszym przyjacielem od

dwudziestu lat. Czemu miałbym go teraz opuścić?

Pomóż mi. Zabij mnie. Uwierz mi. Bezlitośnie uciszył te głosy.

— Dlatego, że nie możecie wygrać. Senator gra na zwłokę. Moi ludzie informują mnie, że koalicje pod hasłem „każdy, byle nie Hartmann” mnożą się jak grzyby po deszczu. A jeśli Gregg Hartmann nie zdoła powstrzymać Leo Barnetta, Michael Dukakis z pewnością tego nie dokona.

— A pan dokona?

Pewny siebie śmiech Jacksona zelektryzował już cały kraj. Jego blask był jasny jak lampa łukowa.

— Dokonam. — Uśmiech zniknął. Jackson wlepił w Tachiona skupione spojrzenie. — Ja rozumiem. Wiem, jak się czuje ktoś, kogo opuszczono, kto spotyka się ze złym traktowaniem, komu mówią, że jest nikim i nigdy nic nie osiągnie.

Zacisnął dłoń na ramieniu Takizjanina.

Tachion położył na niej swoją dłoń. Takie same pięknie wypielęgnowane paznokcie i długie, smukłe palce, ale białe na czarnym tle.

— Podobno pan i Barnett służycie temu samemu Bogu. Jak to możliwe, że wasi Bogowie tak bardzo różnią się od siebie?

— To celne pytanie, doktorze. Bardzo celne.

Na podłodze u stóp Tachiona wylądował Latający As. Kosmita uniósł go i pogłaskał palcem wskazującym białą apaszkę. Jackson gapił się na pomalowaną na czarno twarz. Uniósł odruchowo rękę i dotknął palcami własnego policzka.

— Czy ma pan opory przed poparciem mnie tylko z powodu lojalności, czy też chodzi o to, że jestem czarny?

Tach uniósł raptownie głowę.

— Na płonące niebo, nie. — Wstał. — Niech mi pan uwierzy, wielebny, że jeśli postanowię wycofać poparcie dla Hartmanna, niemal na pewno przekażę je panu. No wie pan, pańska charyzma jest niemal takizjańska.

— Jak rozumiem, to miał być komplement? — zapytał z uśmiechem Jackson.

— Z najwyższej półki, wielebny. Z najwyższej półki.

12:00

Przyniesiony do pokoju Gregga lunch stał nietknięty i zimny na stoliku do kawy. Telewizor grał głośno, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Tachion siedział na kanapie jak jakiś cholerny drewniany bóg.

Gregg słyszał niebezpiecznie blisko powierzchni głos Lalkarza mieszający się z drwiącym śmiechem Gimlego. Musiał maksymalnie skupić wolę, by nie dać się pochłonąć tym podprogowym dźwiękom i nie powiedzieć czegoś, co ujawniłoby konflikt trwający w jego wnętrzu.

Najbardziej jednak obawiał się tego, że Lalkarz znowu zacznie mówić na głos.

Spacerował przed oknami bez chwili wytchnienia. Czuł, że chłodne spojrzenie fioletowych oczu Tachiona cały czas spoczywa na nim, poddając go ocenie. Gregg wiedział, że mówi za dużo, ale ruch i monolog pomagały powstrzymać Lalkarza.

— W ostatnim głosowaniu Barnett zyskał kolejne sto głosów. Sto! A ile my zdobyliśmy? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? Ktoś wreszcie musi się zabrać za zatykanie dziur, doktorze. Do licha, Charles mówił, że rozmawiał z ludźmi ze sztabu Gore'a i usłyszał, że on nie zamierza się wycofywać. Jezu, to było wczoraj wieczorem, Barnett na pewno obiecał mu cholerną pozycję wiceprezydenta w zamian za poparcie. Połowa pismaków bredzi o ruchu „Každy, byle nie Hartmann”, a to znaczy, że niektórzy z niezdecydowanych delegatów zaczną w to wierzyć. Barnett już skorzystał na tym syfie. Dukakis uśmiecha się i ściska dłonie, licząc na sytuację patową albo na ugodę.

— Wiem to wszystko, senatorze — odezwał się Tachion z lekką nutą niecierpliwości i złożył delikatne dłonie na kolanach.

— W takim razie zacznij coś robić w tej sprawie, do cholery.

Chłodna wyniosłość kosmity wzbudziła irytację Gregga i Lalkarz wzniósł się na tej fali. *Nie, idioto* — skarcił swą moc senator. *Nie tutaj, a już z całą pewnością nie z nim. Proszę.*

— Robię, co mogę — odparł Takizjanin, precyzyjnie wymawiając każde słowo. — Nic ci nie dadzą próby terroryzowania zwolenników, senatorze. A tym bardziej przyjaciół.

Gregg nie miał „przyjaciół”. Nie miał powierników, chyba żeby liczyć Lalkarza. Podejrzał, że to samo można powiedzieć o Tachionie. Mówili o sobie nawzajem jako o „przyjaciołach”, ale łączyły ich tylko polityczne i towarzyskie kontakty, które zaczęły się w latach sześćdziesiątych, gdy Gregg zasiadał w radzie miejskiej, a potem został burmistrzem Nowego Jorku. Świadczyli sobie nawzajem przysługi i obaj przyznawali się do lewicowo-liberalnych poglądów. Na tym kończyła się ich przyjaźń.

Tachion był asem, a Hartmann bał się asów, zwłaszcza tych, którzy potrafili czytać w myślach. Wiedział, że gdyby kosmita poznał prawdę, zdemaskowałby go publicznie bez chwili wahania.

Taka to była przyjaźń. Ta myśl rozgniewała Gregga jeszcze bardziej.

— W takim razie porozmawiajmy szczerze. Jak przyjaciele — odgryzł się senator. — Na całej konwencji mówi się o tym, że uganasz się za Fleur van Renssaeler jak niewyżyty nastolatek. Są sprawy ważniejsze niż twoje gonady, doktorze.

Gregg nigdy dotąd nie odważył się przemawiać w ten sposób do Tachiona.

Kosmita władał potężnymi mocami mentalnymi, a w głowie senatora czaił się Lalkarz. Takizjanin zaczerwienił się jak burak, po czym wstał szybko, demonstrując urażoną godność.

— Senatorze... — zaczął, ale Gregg odwrócił się i przerwał mu nagłym ruchem dłoni.

— Nie, doktorze. Nie. — Gniew był jak węgielek żarzący się w piersi Gregga. Pragnął stłuc na kwaśne jabłko tego fircyka, spłaszyc mu ten arystokratyczny nos i zobaczyć, jak krew wypływa z niego na atlasową koszulę z koronkami. Zazgrzytał zębami, powstrzymując się przed wrzeszczeniem z furii i zdzieleniem Tachiona na odlew w arogancką gębę. Miał ochotę kopnąć go w jego cholerne takizjańskie jaja. Nie chodziło tylko o Tachiona, lecz o cały ten przekłety dzień... wzrost poparcia dla niego zatrzymał się raptownie, Lalkarz ciągle podgryzał go od środka, Gimli chichotał, po śmierci Poczwarki Mackiemu dwukrotnie się nie powiodło, najpierw w Nowym Jorku, a potem tutaj, kłopoty z Ellen, wszystko.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Lalkarz nie roznieca celowo tych płomieni. Ta myśl go ostudziła. Skrzywił się z niezadowoleniem.

— Potrzebuję cię. Możesz sobie udawać, że jesteś tylko korespondentem, ale wszyscy wiedzą lepiej. Zaliczasz się do moich najbardziej rozpoznawalnych zwolenników. Wszyscy świetnie zdają sobie sprawę, że bardzo pomogłeś mi w kampanii i znają twoje stanowisko w sprawie dzikich kart. Jak to wygląda w oczach całej konwencji, gdy dobry doktor woli uganiać się za spódniczką, zamiast walczyć o nominacje dla swojego kandydata? Priorytety, doktorze, priorytety.

Tachion zaczerpnął głęboki oddech przez nos i uniósł podbródek.

— Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek karciał mnie jak niegrzeczne dziecko, senatorze. A już z pewnością nie ty. Nie po tym, jak poświęciłem cały poranek na pracę dla ciebie. Uważam, że twoje oskarżenia są wyjątkowo niesmaczne.

— A jak bardzo niesmaczne będzie, jeśli to Barnett zostanie następnym prezydentem, doktorze? Może udawać, że wie, co to współczucie, ale obaj wiemy, co się wydarzy. Wydaje ci się, że dalej będziesz otrzymywał subwencje dla swojej kliniki? Czy los, który spotka wtedy dzokerów, jest wart kilku minut namiętnego pochrząkiwania między nogami kobiety?

— Senatorze... — zaczął oburzony Tachion.

Gregg się roześmiał. W tym śmiechu pobrzmiwała ostra, szalona nuta. Zalewał go pot. Pod pachami jego koszuli od Brooks Brothers pojawiły się wilgotne kręgi.

— Wybacz, doktorze. Przepraszam za te słowa. Niepokój skłania mnie do szczerości. Martwię się o siebie, to prawda, ale również o dzokerów. Jeśli przegramy, ucierpią wszyscy zarażeni dziką kartą. Wiem, że to rozumiesz.

Usta Tachiona zamieniły się w wąską, bezkrwistą linię. Na jego wysoko ustawionych kościach policzkowych nadal utrzymywał się gniewny rumieniec.

— Rozumiem to lepiej niż ktokolwiek inny, senatorze. Dobrze by było, gdybyś o tym pamiętał.

Obrócił się z gracją na palcach jak tancerz i ruszył szybko ku drzwiom. Gregg myślał, że Takizjanin zatrzyma się i powie coś jeszcze, ale on po prostu wyszedł, kiwając po drodze głową do pełniącego straż na zewnątrz Billy'ego Raya.

— Kurwa, nawet nie walnął żadnego tekstu na pożegnanie — powiedział ktoś głosem Gregga.

Senator nie był pewien, kto to był.

13:00

Między jedną z członkiń nowojorskiej delegacji a starszą kobietą z Florydy doszło do awantury. Obie szybko przeszły od przepychanki do szczerzenia zębów i pokazywania pazurów. Twarz Hiram zrobiła się czerwona od krwi. Oczy omal nie wyszły mu z orbit z furii. Potoczył się w stronę walczących, odrzucając na boki krzesła. Jim Wright, stojący na swej wielopiętrowej mównicy przypominającej tort weselny, walił młotkiem w pulpit, zawzięcie, lecz bezskutecznie. Wytrzeszczył oczy, gdy główka młotka odpadła od trzonka i poleciała w tłum.

Przedzierając się przez skłębiony tłum, Tachion zauważył, że Hiram zaciska pięść. Na twarzy restauratora pojawiła się niemożliwa do opisanía mina. Następnie jego oblicze utraciło wszelki wyraz, zrobiło się gładkie jak plaża po cofnięciu się fali. Pulchna, wypielęgnowana dłoń otworzyła się i opadła bezwładnie u jego boku.

Stare babsko nosiło znaczek Barnetta i wielki, drewniany krzyż. Takizjanin wahał się przez chwilę, ale potem zobaczył, że ostry nosek buta delegatki z Florydy unosi się do kopniaka. Zapomniał o ostrożności i zapanował nad umysłami obu kobiet.

Zjawiała się prasa. Zjawiała się ochrona. Zjawiała się Fleur.

— Jak pan śmie! Proszę ją puścić!

Fleur położyła rękę na ramieniu delegatki z Florydy, jakby chciała ją osłonić.

Tach zauważył, że Hiram mocno trzyma kobietę z Nowego Jorku. Ukłonił się nerwowo.

— Z przyjemnością. Tylko niech pani nie pozwoli jej mnie uderzyć.

— o mój boże! zakradł się do mojego umysłu! splugawił mnie! kosmiczny...

— Proszę pani, z zasady nigdy nie plugawię kobiet w pani wieku i o pani pozycji swymi cennymi, kosmicznymi płynami. Ani nie poświęcam im swego cennego, kosmicznego czasu.

— Ty sukinsynu!

Fleur odprowadziła na bok płaczącą kobietę.

Hiram potarł się dłonią po czole.

— To nie było uprzejme, Tachy.

— Nie mam w tej chwili głowy do uprzejmości. To katastrofa.

— Taki tłok musi prowadzić do bójk — stwierdził restaurator.

Znaleźli dwa wolne miejsca i usiedli. Krzesła były ustawione tak blisko siebie, że nawet Tach musiał podciągać kolana pod podbródek. Takizjanin rozejrzał się ukradkiem i, upewniwszy się, że nie widzą go kamery ani ochroniarze, wyciągnął piersiówkę. Hiram pociągnął potężny łyk brandy i zakrztusił się. Nagle Tach zadrżał z niepokoju na widok łez, które spływały po tłustych policzkach Worchestera, wsiąkając w gęstą, czarną brodę. Masywnym ciałem restauratora targało łkanie. Tachion objął go, po czym zaczął go poklepywać i kołysać uspokajająco. Z ust kosmity popłynął strumień pozbawionych sensu słów, miłych i pocieszających. Jego głos również drżał.

Po chwili burza emocji minęła i Tach podsunął grubasowi chusteczkę. Hiram dotknął niepewnie palcami czoła, a potem warg.

— Przepraszam. Przepraszam.

— Nic się nie stało. Wszyscy przeżywamy straszliwe napięcie.

— Tachion, on musi wygrać!

Kosmita oderwał wzrok od wytrzeszczonych szaleńczo oczu przyjaciela, spoglądając na dłonie, które Worcester zaciskał na jego ramionach z siłą tak wielką, że aż knykcie zbieleły mu z wysiłku. Tachion dotknął lekko jednej z nich.

— Hiram, proszę, to mnie boli — rzekł cicho i delikatnie.

Restaurator w jednej chwili zwolnił uścisk.

— Przepraszam, przepraszam. Tachion, musimy zrobić, co tylko będzie konieczne, tak? To zbyt ważne, byśmy mogli zostawić sprawę przypadkowi... zawierzyć dobrej woli innych. To ten wyjątkowy przypadek, gdy cel uświęca środki. Mam rację?

Takizjanin zamknął oczy. Wspominał Syrię. Dżokerów kamienowanych na ulicach, gdzie natolscy przechodnie gapili się na nich, obojętni albo podekscytowani. Afrykę Południową. A także całkiem niedawne czasy, gdy zgwałcenia dżokerki nie uważano za przestępstwo, a tylko za przejaw złego gustu.

— Tak, Hiram. Niewykluczone, że masz.

Tach poklepał od niechcienia restauratora po ramieniu, a potem ruszył na poszukiwania Charlesa Devaughna. To, co rozważał... nie, co już zdecydował się zrobić, było... szalone. A już z pewnością nie było fair. Ale odkąd to Takizjanie przejmowali się zasadami fair play? Nie było sensu próbować tego ze zdeklarowanymi zwolennikami Barnetta. To tylko wzbudziłoby podejrzenia, a skutki mogłyby nie okazać się trwałe. Ale niezdecydowani... gdyby zmienili zdanie po rozmowie z pełnym zapału Devaughnem i niezwykle przekonującym oraz charyzmatycznym doktorem Tachionem... A co z Michaelem Dukakisem? Nic mu się nie stanie, jeśli straci trochę delegatów. I tak mógł liczyć co najwyżej na

propozycję kandydowania na wiceprezydenta...



Zjawił się jakby znikąd, opadając prosto do jej ręki. Przyglądała mu się, idąc Harris Street — Plastikowy Skaczący Ognik z dziurami w kadłubie i skrzydłach, starannie wypalonymi rozżarzoną drutem albo prętem. Teraz równie starannie, a zarazem złośliwie zamazano mu twarz czarnym długopisem, uniemożliwiając jej rozpoznanie.

Para czarnych dzieciaków zmierzała ku niej, gapiąc się na wszystkich tych dziwacznych ludzi.

— Co pani tu ma? — zapytał ten, który nosił T-shirt z napisem „Run-DMC”.

Popatrzyła bez zrozumienia na trzymany w ręce obiekt.

— Pierdolonego Latającego Dżokera — wyjaśniła.



Pokój nie był taki dobry jak ten, który miał w Marriocie. Zamiast zasłon były tu stare, drewniane żaluzje, sprężyny w łóżku trzeszczały, a z paneli podłogowych zlaźła pastelowa farba. Motel był położony czterdzieści pięć minut drogi od śródmieścia i Spector musiał dać recepcjoniście pięćdziesiąt dolców, żeby dostać pokój. Mimo to czuł się tutaj znacznie lepiej. Nieopodal był całodobowy sklep z alkoholem, a po drugiej stronie ulicy sprzedawano burgery. Właśnie przed chwilą skończył jeść jednego — ociekającego tłuszczem, z podwójnym mięsem i serem — a teraz zastanawiał się nad jakimiś wiarygodnymi kłamstwami, które mógłby powiedzieć Tony’emu. Nadal miał klucz do pokoju w Marriocie, więc nie powinien mieć kłopotów z dostaniem się do hotelu.

Na pewno będą rozmawiali głównie o dawnych czasach. Taką przynajmniej miał nadzieję. Życie w czasach, nim wyciągnął czarną damę, stało się dla niego zamazaną plamą. Rzadko myślał o swej przeszłości, a o przyszłości niewiele częściej. Najczęściej jego myśli zaprzętała śmierć. Nie dlatego, że ją lubił. Po prostu trudno mu było uniknąć tego tematu. W porównaniu z nią wszystko inne stawało się mało istotne. Gdyby wszyscy politycy, prawnicy i ważniacy z korporacji rozumieli kostuchę równie dobrze jak on, żadnemu z nich nie chciałoby się wstawać rano z łóżka.

Spector wziął w rękę słuchawkę beżowego, staromodnego telefonu z obracaną tarczą i wykręcił numer Marriotta. Dopiero po jakichś dwudziestu sygnałach ktoś wreszcie odebrał połączenie.

— Marriott Marquis — odezwał się opryskliwy, płaczliwy głos.

To pewnie był ten sam kurdupłowaty palant, który stał w recepcji, gdy Spector przybył do hotelu.

— Mógłby pan sprawdzić, czy są jakieś wiadomości do pokoju numer tysiąc trzydzieści jeden?

Mężczyzna wcisnął przycisk „hold”, nawet nie mówiąc „chwilczkę” albo „sprawdź”. Spector bębnił palcami o udo. Zapewne celowo kazali mu czekać.

Albo jeszcze gorzej, wiedzieli już, co stało się z Bairdem, a teraz próbowali ustalić, skąd dzwoni. To powinno im zająć minutę albo dwie. Zaczekał jeszcze kilka sekund.

— Tak. Pan Calderone prosi, by spotkał się pan z nim w holu o szóstej wieczorem.

Rozległ się trzask przerywanego połączenia.

— Ty też się pierdol — warknął Spector, uderzając słuchawką o krawędź nocnego stolika. Potem położył ją na widełkach i skierował się do łazienki. Dlaczego w eleganckich hotelach zawsze pracowały dupki? Niski recepcjonista przesunął się daleko w górę jego listy. Miał jeszcze mniejsze szanse dożyć końca tygodnia niż Hartmann.

15:00

Oszklona łoża prasowa CNN znajdowała się w najwyższym punkcie hali, niczym wizja nieba. Tachion wspinał się z wysiłkiem na schody, przygotowując się mentalnie na kolejną serię rozmów z dziennikarzami. Pomyślał z goryczą, że tę grupę społeczną bardzo wiele łączy z padlinożernym ptactwem. Musieli mieć newsa. Im bardziej tragicznego, przerażającego i makabrycznego, tym lepiej. Gwiazda Hartmanna, świecąca tak jasno na początku długiej kampanii, bladła teraz smętnie w gorejącym blasku ognia konwencji Partii Demokratycznej. Ta głupia metafora, którą usłyszał z ust przyprochlebnego komentatora, zmieniała się teraz w samospelniającą się przepowiednię.

Drzwi łoża prasowej otworzyły się i wyszła z nich Fleur. Na schodach nagle zrobiło się okropnie ciasno. Spojrzą sobie prosto w oczy. To było nieuniknione. Tachion wziął się w garść. Nagle wysoki obcas załamał się pod Fleur i kobieta poleciała w dół głową do przodu. Tach skoczył w górę tak raptownie, że mięśnie łydek zapłonęły mu z przeciążenia. Złapał Fleur na chwilę przed tym, nim uderzyła ciemną głową o beton. Jej kok się rozsypał. Czarne kosmyki opadały jej na twarz. Takizjanin pomógł jej stanąć i kilka kolejnych spinek do włosów posypało się ze stukiem na stopnie.

— Nic się pani nie stało?

— Nic, nic. — Dotknęła dłonią czoła, rozglądając się wkoło z dezorientacją. — Mogłam się zabić. — Tachion nie wypuścił jej z objęć. Opuściła wzrok, a potem z wahaniem spojrzała mu w oczy. — Nadal mnie pan trzyma.

— Przepraszam.

Zaczął się odsuwać. Położyła mu dłoń na ramieniu, by go powstrzymać.

Tachion poczuł, że jej jędrne udo okryte jedwabną spódniczką lepi się do jego uda. Jego penis drgnął.

— Mógł pan pozwolić mi upaść. To byłoby naturalne po tym... jak pana potraktowałam.

— Nigdy nie pozwoliłbym pani... upaść.

Jej palce, delikatne jak motyle, musnęły jego twarz, a następnie przebiegły wzdłuż warg.

— Uratował mi pan życie.

— Przesadza pani.

Fleur przytuliła się do niego całym ciałem. Tach jęknął cicho, czując, że jego członek staje boleśnie na baczność. Kobieta nagle ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go. Utracił resztki panowania nad sobą. Jego język wniknął głęboko w jej usta, a dłonie zacisnęły się na pośladkach. Ich zdyszane oddechy tworzyły dziwny kontrast z dobiegającym z dołu wyczytywaniem listy głosujących. Dłonie Takizjanina poruszały się gorączkowo po całym jej ciele.

Fleur odsunęła się od niego i zaczęła rozpinąć bluzkę. Tach złapał jej drżące palce.

— Pozwól mi to zrobić.

— Chodźmy do twojego pokoju.

Spojrzał na nią. Jego palce zamarły na guziku. Uniosła głowę i mocno przygryzła palec wskazujący.

Pomóż mi.

Czy ten krzyk dobiegał z wnętrza jego duszy? A może przypadkowo przechwycił myśl Fleur? Zignorował to płaczliwe błaganie.

— Nie mogą nas zobaczyć razem — wyszeptała kobieta, i Tachion wręczył jej klucz do swego pokoju.

— Za chwilę do ciebie przyjdę — zapewnił.



Telefon Jacka znowu wydał z siebie wysoki sygnał. Nie milkł przez cały czas, gdy as jadł obiad w Bello Mondo, i inni klienci zaczynali okazywać irytację. W gruncie rzeczy, spiker Izby Reprezentantów gapił się na niego zza sąsiedniego stolika. Jack obrzucił Jima Wrighta z Teksasu przeproszającym spojrzeniem, otworzył teczkę i wyjął z niej aparat.

— Mówi Tachion. Jestem w łoży prasowej. Muszę stąd wyjść i potrzebuję kogoś, kto ma charyzmę dokładnie taką jak twoja.

— A właściwie do czego?

— Powiem ci, kiedy przyjdiesz. Pośpiesz się, proszę.

— Hej, nie zgrywaj takizjańskiego księcia, któremu się śpieszy.

Ale Tachion przerwał już połączenie.

Jack miał ochotę zmiążyć telefon, ale zamiast tego dokończył deser, zapłacił wygórowany rachunek i wręczył szefowi sali kolejne sto dolarów.

Odległość dzieląca Marriotta od centrum konferencyjnego równała się dokładnie jednemu camelowi bez filtra. Braun czuł mrówki chodzące mu po karku. W drzwiach do centrum konferencyjnego zderzył się z Fleur van Renssaeler. Wariatki budziły w nim niepokój. Jego trzecia żona była tego świetnym przykładem. Choć bał się Fleur, pomachał do niej radośnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ona również się uśmiechnęła, choć usta miała mocno zaciśnięte. Zauważył w jej dłoni klucz do pokoju w Marriocie i doszedł do wniosku, że kobieta zamierza zrobić jakiemuś reporterowi laskę w imię Boga, w nadziei, że to nawróci go na sprawę Barnetta.

Tachion czekał tuż pod stanowiskiem ABC. Miał na sobie swój efektowny surdut z rozcięciami, spodnie do konnej jazdy oraz buty z cholewami. Na jego obcej twarzy widniało napięcie. Kiedy zobaczył Jacka, w jego fioletowych oczach pojawił się błysk.

— Co ci zajęło tyle czasu?

— Ja też się cieszę, że cię widzę.

— Musisz natychmiast porozmawiać z prasą — oznajmił, machając ozdobionym piórem kapeluszem tuż przed nosem Brauna.

— Świetnie. — As wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. — A o czym?

— O tej całej akcji „Każdy, byle nie Hartmann”. Jeśli media ciągle będą o tym mówić, to stanie się samospełniającą się przepowiednią.

— W porządku. — Złoty Chłopiec uśmiechnął się, zapalając camela. — Czy przyjdzie Connie Chung? A jeśli jest zamężna, to czy przyjdzie jej mąż?

— To nie jest czas na...

Tachion znowu zaczął się wachlować kapeluszem. Jego słowa ucichły nagle. Policzki mu poczerwieniały. Na ten widok umysł Jacka wypełniła zimna, pełna desperacji pewność.

— To jest Fleur, prawda? To kluczem do twojego pokoju pomachała mi przed nosem.

— Nie zrobiłaby...

Kosmita ponownie przerwał. Wyprostował się na swą pełną, książęcą wysokość — na wysokich obcasach był jakieś dwadzieścia centymetrów niższy od Jacka — i przeszył rozmówcę wściekłym spojrzeniem fioletowych oczu. — Nie będę rozmawiał o swoim życiu osobistym. To nie twój interes.

— Masz cholerną rację, że nie mój. Odrzuciłem jej propozycję przed paroma dniami.

Tachion odsłonił zęby.

— Jak śmiesz! Wiesz, z kim rozmawiasz?

Złoty Chłopiec zaciągnął się z namysłem.

— Mówię z kimś, kto myśli wyłącznie fajfusem. To dość zabawne, biorąc pod uwagę, jak długo nie chciał ci stanąć.

Tachion poczerwieniał z gniewu. Wzdłuż kręgosłupa Jacka przemknął zimny strach. Uświadomił sobie, że rozmawia z kimś, kto wychowywał się w kulturze nakazującej karać śmiercią nawet najdrobniejszą zniewagę. Z kimś, kto kiedyś poprzysiągł go zamordować i może dojść do wniosku, że zbyt długo już ignoruje tę przysięgę.

Ale Tachion tylko odepchnął go na bok i ruszył ku wyjściu z centrum konferencyjnego. Jack podążył za nim. Długie nogi z łatwością pozwalały mu nadążyć za szybkimi krokami obcego.

— Tach, w porządku, to nie było fair — odezwał się. — Rzecz w tym, że przedwczoraj rzeczywiście próbowała mnie uwieść.

— Nie wierzę ci — odparł kosmita przez zaciśnięte zęby. Jego obcasy mocno stuknęły o beton.

— Próbuje skompromitować naszą kampanię. Wiesz, ile nas kosztowała ta cała sprawa z Sarą Morgenstern. Może się okazać, że kiedy będziecie się pieprzyć, sześciu kamerzystów będzie was filmować zza lustra weneckiego.

— W... mojej... sypialni...? — zapytał kosmita głosem bliskim krzyku.

— To pułapka. Wysłuchaj mnie. — Złapał Tachiona za ramię. — To pieprzona...

— Zostaw mnie! — Takizjanin wyszarpnął rękę.

— Ona ma świra. Nie jest swoją matką. Rozumiesz? Nie jest Blythe.

Tachion zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na Jacka. Jego twarz zrobiła się zupełnie biała.

— Już nigdy nie waż się wypowiadać przy mnie jej imienia — warknął. — Nie zasłużyłeś na to prawo.

Złoty Chłopiec gapił się na niego. Jego irytacja przerodziła się w kipiący gniew.

— Robię to dla twojego dobra — oznajmił.

Wsadził sobie papierosa w zęby, uniósł Tachiona, wziął go pod pachę i ruszył w stronę hotelu Omni. Kosmita szarpał się i wierzgał.

— Na krew i kość! Zostaw mnie!

— Znajdę zimny prysznic i wepchnę cię pod niego — zapowiedział Braun. — Możesz to uznać za karę za tę bombę, którą rzuciłeś mi w Paryżu. Jeśli nadal będziesz chciał potem kogoś przelecieć, znam miss Peachtree, która zgodzi się bardzo chętnie.

Zatrzymał się i postawił Tachiona na podłodze. Następnie wrócił po rampie do schodów prowadzących do łoży prasowej, rzucił niedopałek na beton i rozdeptał go.

Nagle zamrugnął i zaczerpnął głęboki oddech, starając się nie osunąć na

ziemię. Tachion przed chwilą rozdarł jego umysł jak wichur targający gazetą.

Reporterzy czekali na niego, siedząc przy stolikach. Wszyscy mieli znudzone miny, a niektórzy gapili się na niego. Jack znalazł odwagę w jakimś miejscu, z którego istnienia nie zdawał sobie dotąd sprawy, uśmiechnął się do nich, pomachał ręką i poszedł wygłosić swój tekst.

16:00

— Chcesz się napić?

— Nie — odparła, krzyżując ręce na piersiach w obronnym geście.

Podrzucił butelkę w dłoń. Alkohol niekiedy miewał hamujące działanie. Szybko odstawił ją na miejsce. Zacisnął dłonie na własnych łokciach i wlepił wzrok w podłogę. Dzieliło ich od siebie trzydzieści centymetrów, ale równie dobrze mogłyby to być lata świetlne. Nigdy dotąd nie czuł się aż tak skrępowany.

Uniósł głowę, usłyszawszy szelest jedwabiu. Spódnica Fleur leżała na podłodze u jej stóp. Kobieta wpatrzyła się w przeciwległą ścianę z roztargnioną miną i szybko rozpięła bluzkę, a po niej biustonosz, odsłaniając obfity biust. Miała większe piersi od matki. Tachion nie potrafił zdecydować, czy to mu się podoba. W ustach zaschło mu z niepokoju. Zobaczył dołeczki na jej pośladkach w chwili, gdy wchodziła do łóżka.

— Zaczekaj — zdołał z siebie wykrztusić.

— Zróbmy to.

Te słowa nie zabrzmiały zbyt przekonująco jako zachęta. Tachion wepchnął ręce do kieszeni i rozejrzał się szybko po pokoju. Zauważył, że jego wzwód powrócił.

— Boję się.

Fleur wsparła łokcie na kolanach, pozwalając, by jej dłonie zwisały swobodnie między nogami przed ciemną cipką.

— To powinien być mój tekst — zauważyła z przekąsem.

— Pomóż mi trochę.

— Jak?

— Rozbierz mnie. Bądź dla mnie czuła.

Zeszła z łóżka i złapała go za koronkowy krawat, tuż przy gardle. Potem rozpięła mu koszulę i ściągnęła ją z jego ramion. Tach stał z zamkniętymi oczami, czując, jak jej włosy muskają jego skórę. Nozdrza wypełniła mu woń wanilii i korzeni. Shalimar, perfumy Blythe. Ten zapach natychmiast przywołał wspomnienia. Upalny letni dzień w czterdziestym ósmym, szelest halek, gdy obejmował Blythe, zapach i smak jej perfum, kiedy całował jej szyję.

Fleur przesunęła się w dół jego ciała niczym czcicielka przed jakimś starożytnym ołtarzem. Przyciskała usta do jego brzucha, kiedy rozpinała mu spodnie, a potem je ściągała. Jego wzwód pulsował w rytm bijącego serca.

Strzepnął buty z nóg, i uwolnił się z krępujących jego ruchy spodni. Gdy stracił równowagę i zwałił się na podłogę, Fleur parsknęła niskim, ochrypłym śmiechem. Całowali się, obejmowali i dyszeli, przerywając strumienie czułych słówek głębokimi jękami, aż wreszcie dowlekli się do łóżka. Na czubku członka Tachiona pojawiła się kropelka spermy. Przerażony, że zaraz mu opadnie, rozłożył jej nogi, mamrocząc takizjańskie obsceniczne słowa niczym pogańską litanie. Jej dolne wargi zamknęły się na nim.

Dotknięcie jej umysłu. Ruletka. Trucizna, śmierć, przerażenie, obłąd.

Wzwód zaczął słabnąć. Żelazo odpływało z jego członka. Nagle w jego długie włosy wplątały się czyjeś dłonie. Słodki, ochrypły głos dodawał mu odwagi.

Cichy stukot zasłony z koralików kołyszącej się lekko na gorącym wietrze. Zdarta płyta sypiąca dźwiękami Traviaty po apartamencie, jakby były odpryskami światła. Blythe w jego ramionach.

Wszedł w nią głęboko. Z jego ust wyrwał się przenikliwy krzyk triumfu. *Blythe. Blythe. Blythe.*

18:00

Nadchodziła noc. Była tego pewna. Siedząc pod lekko wystrzępionym liściem doniczkowej rośliny w holu Marriotta, czuła, jak bestia pełźnie w stronę śródmieścia Atlanty.

Gdy wreszcie nadejdzie, tłum się przeredzi. Chodzące, mówiące drzewa, w których lesie się skryła, odejdą jedno po drugim, aż wreszcie nie zostanie jej żadna osłona. Rachunek był prosty. Liczby zapewniały jej bezpieczeństwo, a odejmowanie wiodło do śmierci.

Noc była naturalnym środowiskiem garbatej lalki Hartmanna. Wiedziała o tym. I wiedziała, że to prędzej czy później się narodzi.

Musiała znaleźć nienaruszalną osłonę. Inaczej dopadnie ją stworzenie uczone czarnego futra porastającego brzuch nocy.

Tachion ją zawiódł. Ricky również, choć jego porażka była szlachetna, a do tego kupił jej dwadzieścia cztery godziny. Potrzebowała kogoś silnego, kto ją osłoni, kto zaakceptuje jedyną walutę, jaką mogła mu zapłacić. Aż do chwili, gdy wypłyną wody narodzin dnia.

Tak się składało, że znała takiego mężczyznę.



Orkiestra grała *Stars Fell on Alabama*. Jack miał nadzieję, że to nie miał być jakiś sygnał o politycznym znaczeniu. Po jedenastu bezowocnych głosowaniach znużeni i zdesperowani delegaci mogli niemal wszystko uznać za omen. Oby się okazało, że piosenkę zagrano tylko po to, by uspokoić tłum po siódmej bijatyce, do której doszło dziś w sali. Jack wędrował przez tłum, szukając Rodrigueza.

— Posłuchaj, *ese*. Cały czas twardo popieraliśmy Hartmanna.

— Zgadza się.

— Dziś wieczorem wszyscy rzucą się na nas. Wystarczy jedno pęknięcie w twardej fasadzie Kalifornii, a nasi przeciwnicy uznają, że zaczął się sezon polowań.

Po twarzy Jacka spływały strumienie potu. Pod pachami szytej na miarę koszuli miał wilgotne plamy. Po południu klimatyzacja po prostu przestała działać.

— Ogłoś, że mamy zebranie po kolacji. O dziewiątej. Obecność obowiązkowa.

Rodriguez popatrzył na niego.

— A o czym będziemy mówić?

— Co to ma za znaczenie? Coś wymyślimy. Musimy się policzyć, upewnić się, że nikt z wrogich obozów nie rozmawia z naszymi ludźmi. Jeśli damy naszym delegatom coś do roboty, nie będą mieli czasu myśleć o dezercji.

Rodriguez wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A co zrobisz później? Będiesz sprawdzał, czy śpią w swoich pokojach?

— Coś w tym rodzaju. — Z twarzy drugiego mężczyzny zniknął uśmiech. — Wszyscy mieszkamy w Marriotcie — dodał pośpiesznie Jack. — Chcę, żebyś umieścił na każdym piętrze zaufanego człowieka, żeby obserwował, kto wchodzi, a kto wychodzi, sprawdzał dokumenty i prowadził listę.

— Widziałeś te wszystkie dziwki na zewnątrz? — zapytał z powątpiewaniem Rodriguez. — Mamy zapisywać ich nazwiska?

— Zrób to — warknął Jack.

Niech to szlag. Nerwy puszczały mu równie szybko jak całej reszcie.

— Ludzie Barnetta próbują nas skompromitować — wyjaśnił, ścisząc głos. — Jedna z ich nierządnic dla Chrystusa właśnie w tej chwili pieprzy się z Tachionem.

— W porządku — zgodził się tamten z przerażoną miną. — Zajmę się tym.

Jim Wright z wyraźną ulgą na twarzy stuknął młotkiem w pulpit, ogłaszając wcześniejsze zakończenie obrad. Ekipy telewizyjne zajęły się pośpiesznym ustalaniem harmonogramu powtórek.

Gniew Jacka wypchnął go przez drzwi. Umysł wypełniała mu złość. Wszystko to trwało za długo. Najpierw dwa dni proceduralnych przepychanek, a potem kolejne dwa poświęcone na głosowania. A wszystko to podczas upalnego lata w Georgii. Fleur van Renssaeler pieprzyła się z Tachionem i jeden Bóg wiedział, co chciała w ten sposób osiągnąć, a Takizjanin zostawił Jacka sam na sam z prasą.

W dodatku Connie Chung najwyraźniej była zdeterminowana dochować wierności mężowi.

Ale przynajmniej w Bello Mondo czekał na niego stolik i miał przed sobą

całą noc. Nie miał kobiety już od tygodnia, a dziś w nocy nie miał do roboty nic lepszego, niż naprawić tę sytuację.

W pokoju czekała na niego kolejna wiadomość od Bobbie, ale kiedy do niej zadzwonił, nie odebrała telefonu. Wziął prysznic, przebrał się i zdołał jakoś znieść przerażającą podróż oszkloną windą do Bello Mondo. Kelner go poznał i bez pytania przyniósł mu podwójną whisky. Wtem naprzeciwko niego usiadła Sara Morgenstern, wyglądająca, jakby ktoś przed chwilą podłączył ją do samochodowego akumulatora. Przyciskała torebkę do piersi, jakby to był cały jej dobytek.

— Czy mogę się przysiąc?

Popatrzył na nią. Ubrania zawsze dobrze na niej leżały, nawet ta niebiesko-biała suknia, odpowiednia dla licealistki, którą miała na sobie, ale jej białoblonde włosy były rozczochrane, a zapadnięte oczy miały nerwowy wyraz.

— Nie chcę nic o tym słyszeć, Saro.

— Czy mógłbyś mi pożyczyć jednego papierosa? Nie czuję się zbyt dobrze. Byłam dziś w nocy świadkiem morderstwa.

— Tego w galerii handlowej?

Drżącymi palcami wyciągnęła camela z pudełka.

— To był as — ciągnęła. — Dziwaczny, wypaczony nastolatek. Pokroił Ricky'ego na plasterki. Na moich oczach.

Jack doszedł do wniosku, że nie chce spędzić w towarzystwie tej kobiety nawet jednej sekundy.

Spojrzała na niego. Zauważył, że ma wokół oczu za dużo makijażu. Z pewnością próbowała ukryć skutki nieprzespanej nocy.

— Rzecz w tym, że nie chcę być dziś w nocy sama — wyjaśniła, próbując się uśmiechnąć.

To może zmieniać sprawę — pomyślał as. Wyjął zapalniczkę z kieszeni marynarki i zapalił jej papierosa. Zaciągnęła się i rozkasłała niepowstrzymanie. Z jej oczu popłynęły łzy.

— Jezu — wydyszała. — Co to za fajki?

— Takie nauczyłem się palić w armii.

— W college'u paliłam carltony. Naprawdę nie powinnam do tego wracać. A niech to.

Zgasiała papierosa, tak gwałtownie, jakby wbijała sztylet w najgorszego wroga.

— Napij się. To działa dłużej.

Jack skinął na kelnera. *Może uda mi się wyłączyć na parę godzin z gry tę postrzeloną babę* — pomyślał szlachetnie. *A może nawet na całą noc.* A przy okazji ją przelecieć.

Popatrzył na Sarę i nasunęła mu się nowa myśl.

Może uda mu się wyłączyć ją z gry na dłużej.



Na North Expressway było mnóstwo korków, ale Tony bez wysiłku przebijał się przez nie swoim buickiem regal. Spector cieszył się, że nie będą jedli w Marriotcie. Tam ryzyko, że ktoś mógłby go rozpoznać, byłoby znacznie większe. Tony miał na sobie szyty na zamówienie granatowy garnitur oraz krawat tego samego koloru. Spector wdział swój szary garnitur, nadal pachnący sklepem.

— La Grotta — odezwał się Tony, przecinając dwa pasy ruchu. — O ile zdołam dowieźć nas tam żywcem. Będziesz zadowolony. Podają tam chyba najlepsze włoskie żarcie w mieście. Oczywiście, to nie Nowy Jork, ale musimy się zadowolić tym, co jest dostępne.

— Aha. Dziękuję, że znalazłeś dla mnie trochę czasu. Wiem, że jesteś teraz diabelnie zajęty.

— Nie widziałem cię od wieków. To znaczy, że masz pierwszeństwo — zapewnił Tony z uśmiechem, który zamieniał serca kobiet w galaretę i zjednywał mu sympatię mężczyzn, odkąd Spector go poznał. Trudno go było nie polubić.

— Jak to się stało, że wyłądownałeś u Hartmanna?

As pragnął, by jego dawny przyjaciel cały czas mówił o sobie. W ten sposób uniknie pytań.

Tony wzruszył ramionami.

— Jedno nieprawdopodobne wydarzenie doprowadziło do drugiego. Pożyczka i dobre gadane umożliwiły mi studiowanie prawa. Potem zajmowałem się miejscową polityką i tak się złożyło, że kilka razy wyłądownałem po zwycięskiej stronie. Ktoś w obozie Gregga mnie zauważył i, hej, zaliczam się do mniejszości etnicznej. To z pewnością mi nie zaszkodziło.

— A poza tym jesteś dobry. Zawsze byłeś. Celnie rzucałeś do kosza i świetnie umiałeś gadać z dziewczynami. — Spector uśmiechnął się. — Hej, potrafiłbyś namówić grzeczną katolicką panienkę do rozebrania się do naga tak szybko, że my nie zdążylibyśmy się nawet uczesać.

— To grzech marnować talent dany przez Boga. — Tony pokiwał palcem. — A wiesz, że za wszelką cenę staram się unikać grzechu.

— Jasne. — Spector wyjrzał przez okno. Nad drzewami zbierały się ciemne chmury z plamami szarości w miejscach, gdzie deszcz już zaczął padać. — Coś mi się zdaje, że możemy zmoknąć.

— Przyjacielu, za taki posiłek warto przepłynąć Hudson River. — Tony wydał z siebie pomruk zadowolenia. Następnie spojrzął na Spectora i pocałował koniuszki własnych palców. — Zaufaj mi.

Nad nimi uderzył grom.

— Ufam ci, stary przyjacielu.

Spector żałował, że nie może powiedzieć Tony'emu, by zaufał jemu.
19:00

Obudził się nagle. Wypełniało go poczucie niczym niezmaconego szczęścia. Choć być może słowo „wypełniało” nie było tu zbyt odpowiednie. Czuł się pusty i lekki, uwolniony od nacisku i niepokoju dręczących go od dwóch lat.

Tachion skopał z siebie zmiętą kołdrę. W pokoju unosiła się intensywna woń potu i seksu. Z dreszczem rozczarowania zauważył, że jest w łóżku sam. Usiadł, a potem osunął się z ulgą na poduszki, usłyszawszy szum spuszczonej wody.

Fleur weszła do pokoju, kołysząc piersiami. Zauważyła, że się obudził, i zasłoniła je, krzyżując ręce.

— Nie rób tego. Lubię na ciebie patrzeć.

— Jesteś poganinem.

— To prawda. A ty jesteś kurtyzaną.

Uniosła zasłonę i wyjrzała na zewnątrz.

— To nie było zbyt uprzejme.

— To miał być komplement. Dlaczego nie wysłaś za męża?

— Skąd wiesz, że nie wysłałam?

Oparła się tyłem o okno, sadowiąc jeden pośladek na wąskim parapecie.

— Nie wyczuwam w tobie aury mężatki.

Zesztywniała.

— Czytałeś w moich myślach?

— Nie.

— Ale próbowałeś, kiedy robiliśmy to po raz drugi.

— Spróbowałbym już za pierwszym razem, ale byłem zajęty staraniem o zachowanie, hmm... sztywności.

— Nigdy nie zaglądam do mojej głowy!

— W porządku. Od tego seks robi się dla mnie lepszy, ale zgoda.

— Moim zdaniem to okropne, że gwałcisz innych w ten sposób.

— Fleur, czy mogą ci przypomnieć, że nie przeczytałem twoich myśli?

Wyczułem twój sprzeciw i wycofałem się. Jestem bardzo uprzejmy. A do tego czarujący, przystojny i dowcipny... — Jej poważna twarz nie łagodniała. Zawstydzony Takizjanin umilkł. Sięgnął po stojącą na nocnym stoliku piersiówkę i pociągnął łyk. — Matka tak wiele dla ciebie pragnęła. Męża, dzieci, domu, szczęścia...

— Nie chcę o niej rozmawiać.

— Dlaczego?

— To stare dzieje. — Wsunęła się pod kołdrę, sięgając ku jego członkowi.

— Pragnę, żebyś był w łóżku ze mną, nie z nią.



Spector poluźnił pasek o jedno oczko. Zjadł sałatkę i gulasz jagnięcy, Spezzatino de Montone, jak nazwał go Tony, próbując kawałek, by się upewnić, czy danie ma odpowiednią jakość. Sam zamówił kurczaka w migdałach z ryżem na maśle. Na deser podzielili się strudlem z kremem angielskim i Spector miał dość. Nie był przyzwyczajony do tak obfitych posiłków i niemalże czuł, że spożyte potrawy podchodzą mu do gardła.

— A nie mówiłem? — stwierdził z westchnieniem Tony.

— Miałeś rację.

Spector wypił resztkę wina z kieliszka.

— Zajęliśmy się jedzeniem i nie miałem czasu cię zapytać, dla kogo lobbujesz.

Asem zawładnął niepokój. Do tej pory rozmawiali o starych dziejach, o dziewczynach, koszykówce i o tym, jak się powodzi dawnym kolegom. W latach szkolnych Tony był jedynym bliskim przyjacielem Spectora. Nie chodzi o to, że inni go nienawidzili. Po prostu go nie zauważali. Natomiast Tony był żywym wcieleniem charyzmy. Była z nich dziwna para przyjaciół, ale zbliżyli się do siebie. Pytanie Tony'ego przypomniało asowi, że przybył tu po to, by zabić Hartmanna. Tego faktu nie sposób było uniknąć.

— No cóż, powiedzmy, że moi pracodawcy nie podzielają poglądów twojego senatora.

Spector nie chciał kłamać, ale z pewnością nie zamierzał też powiedzieć prawdy. Lepiej zdecydować się na kompromis.

Tony pokiwał głową i zebrał na widelec kilka ocalałych okruchów strudla.

— Nie chcesz o tym rozmawiać? Nie ma sprawy. A czy masz jakąś opinię na temat dzikiej karty, to znaczy osobiście?

— Złapać ją to wielki pech. — Przekonał się o tym na własnej skórze. Wyciągnął czarną damę, ale Tachion okazał się na tyle głupi, że sprowadził go z powrotem. — Ale życie jest twarde. Niektórzy po prostu mają mniejszego farta od innych.

— Ale czy nie uważasz, że dzokerzy są dyskryminowani?

Tony wlepił w niego spojrzenie. To wyraźnie było dla niego ważne i nie tylko z przyczyn politycznych.

— Jasne, że są. Ale co można na to poradzić?

As wziął w rękę butelkę Pinot Nero i znowu wypełnił swój kieliszek.

— Zapewnić, że ich prawa będą przestrzegane, tak samo jak prawa innych amerykańskich obywateli. Tego właśnie pragnę. Dlatego pracuję dla Hartmanna.

— Tony umilkł na chwilę. — Chyba nie uważasz, że to zbyt wiele?

Spector potrząsnął głową.

— Nie uważam. Ale znałem wielu dzokerów i z nimi jest inaczej. Czarni,

Włosi i tak dalej, wszyscy wyglądają jak ludzie. To nie jest wina dzokerów, ale jeśli chodzi o wygląd, to wielu z nich powinno siedzieć w zoo. Większość ludzi reaguje instynktownie, nie rozumowo.

Świetnie o tym wiedział, bo sam zawsze kierował się instynktami. Gdyby nie złapał wirusa, zapewne nienawidziłby dzokerów, tak samo jak wszyscy.

Tony rzucił serwetkę na blat i skinął na kelnera, prosząc o rachunek.

— Masz czas na krótką przejażdżkę? — zapytał.

— Jasne — zgodził się Spector, popijając wino. — A dokąd chcesz się wybrać?

— Odwiedzimy paru moich przyjaciół. Dobrych przyjaciół. Pragnę, żebyś ich poznał.

Tony znowu się uśmiechnął i as nie był w stanie mu odmówić.

— Może przedstawiłbyś mnie potem swojemu szefowi? Chciałbym go poznać.

Spector poczuł się nie najlepiej i to nie tylko z powodu przepełnionego żołądka.

— Niewykluczone. Ale wszystko po kolei.

Tak jest — pomyślał Zgon. *Wszystko po kolei.*



Wszystkie jego dawne talenty powróciły. Odzyskał swój aspekt. Tachion uśmiechnął się do swego penisa, sterczącego agresywnie z gęstwy rudych włosów. Zanurkował ze śmiechem między nogi Fleur, przygryzał jej uda, lizał i pieścił. Pozostało mu tylko jedno zadanie. Połączyć się z nią całkowicie. Zespolic się z jej umysłem. Doszedł do wniosku, że robi to w chwili, gdy osiągną szczytowanie. To na zawsze przegna z jego umysłu strach przed Ruletką. Przesunął się w górę jej ciała i zaczął ssać ciemną sutkę. Wszedł we Fleur.

Jej myśli były ostre i kaleczące jak szkło.

— Wyglądasz jak twoja matka, a ona była dziwką, dziwką... dziwką.

Przesycony nienawiścią głos. Nie słyszał go od trzydziestu ośmiu lat. Nawet po przesączeniu przez wspomnienie Fleur Henry van Renssaeler nadal budził w nim wstręt.

— Lepiej mi udowodnij, jak bardzo mnie kochasz.

— Kocham cię, tato. Kocham.

Delikatny głos Leo Barnetta.

— Otwórz serce przed Jezusem, a wszystkie grzechy będą ci wybaczone.

Później nadeszła reszta, w bolesnych, szybko się zmieniających obrazach. Chwila, gdy Fleur uświadomiła sobie, że Tachion wpływa swą mocą na niezobowiązanych delegatów. Symulowany upadek. Udawana namiętność. Obrzydzenie i dezorientacja towarzyszące jej próbom pogodzenia się z faktem, że

poszła do łóżka z kochankiem matki. Nawet gdy namiętnie obejmowała jego spocone ciało, wyobrażała sobie, że jest z Leo Barnettem.

Zawładnęła nim furia. Tachion nigdy w życiu nie był tak bliski uderzenia kobiety. Zemścił się na niej w ten sposób, że dokończył aktu, zaspokoił swe żądze wynajętym ciałem. Kiedy skończył, stoczył się z łóżka, zebrał jej ubrania i cisnął je na nią. Spojrzała na niego. W jej brązowych oczach pojawił się lęk.

— Zjeżdżaj stąd.

— Odczytałeś moje myśli.

— Tak.

— Zgwałciłeś mnie.

— Tak.

Ubrała się pośpiesznie, zwinęła rajstopy i wepchnęła je do torebki, po czym wygładziła włosy.

— Osiągnęłam swój cel — rzuciła na pożegnanie, zatrzymując się w drzwiach. — Uniemożliwiłam ci udział w głosowaniu.

— I zasługujesz na nagrodę. — Tachion wyciągnął dwa dwudziestodolarowe banknoty i wsunął je w jej dłoń. — Jack miał rację. Nie jesteś swoją matką. Jesteś dziwką.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Klimatyzacja dotykała jego gołej skóry lodowatym powiewem. Tach nalał sobie brandy, zaczerpnął kilka głębokich oddechów, by uspokoić tłukące gwałtownie serce. Potem, gdy uniósł kieliszek do ust, drzwi uderzyły o ścianę z hukiem przypominającym wystrzał z pistoletu.

Brandy wylała mu się na pierś i brzuch.

— Och, Ideale!

— Spodziewasz się kogoś? — zapytał z ironią Poliakov, spoglądając na wzwód Takizjanina.

Przymrużone powieki i napięte mięśnie jego żuchwy przekonały jednak Tachiona, że to nie jego życie płciowe zaprzęta myśli Rosjanina.

— Może mógłbyś na chwilę przenieść swe myśli z mniejszej głowy do tej większej? Mamy do omówienia wyjątkowo poważną sprawę.

— Bardzo zabawne. — Tach podszedł do kredensu i nalał sobie nowy kieliszek.

Blaise siedział po turecku na łóżku, wpatrując się we własne dłonie. George stał pośrodku pomieszczenia, masywny i niewzruszony.

— Cóż to za wielki, poważny problem?

— Aresztowano nas.

— co! — Tachion zwrócił się w stronę wnuka, powoli jak przygotowujący się do ataku wąż. — Co tym razem zrobiłeś?

— Nic — pisnął chłopak.

— Jasne — warknął Poliakov. — On tylko bawił się w lalkarza, używając do tego dzokera, człowieka z Klanu, neonazistę i policjanta. — Takizjanin potrząsnął głową jak zdziwiony kucyk. — Można by pomyśleć, że ktoś, kto dysponuje subtelną, niewidzialną mocą, będzie miał wystarczająco wiele rozsądku, by nie demonstrować jej publicznie.

Coś przemknęło między mężczyzną a chłopcem. W Tachu zrodziły się podejrzenia. Zaatakował swą telepatią, ale zdołał przechwycić jedynie niepewne zarysy wymienianych myśli. Miały smak zмовы.

— Wszyscy tylko stali i popisywali się długością swoich kutasów. Dałem im szansę pokazania, jacy z nich naprawdę są twardziele. Ten głupi, brzydki dzoker próbował zwać...

— zamknij się! — Nawet Tachion poderwał się nerwowo, słysząc pełen furii ton rozkazu w głosie Rosjanina. Poliakov odwrócił się plecami do zarumienionego chłopaka. — Przechadzki nastoletniego Kaliguli dysponującego supermocami nie stanowią problemu. Problem stanowi Henry Chaiken.

— Fascynujące. A któż to jest Henry Chaiken, na Ideal?

— Dziennikarz AP, który kiedyś pracował w Europie. Rozpoznał mnie jako Wiktora Demianowa, reportera TASS.

— Na krew i przodków.

Nagle kolana ugięły się pod Tachionem. Wymacał brzeg łóżka i usiadł na nim ciężko.

— Oczywiście, policja...

Sfrustrowany powolnym tempem opowieści, Tachion wyrwał wspomnienie z umysłu wnuka.

Ulica biegnąca brzegiem Piedmont Parku. Spojrzenie w dół, na ślady pozostawione przez jego tenisówki na masce samochodu. Krąg spoconych twarzy otaczający tę scenę. Rozciągnięte w wyrazie ekscytacji usta, błyszczące oczy. Gwałtowny ruch, z jakim strząsnął z siebie zaciśnięte dłonie George'a.

— No chodź. Chodź! Pokaż, co potrafisz. Nie z tym paskudnym dzokerem. Jego bez trudu zlejesz na kwaśne jabłko.

Gliniarz szarpnął się gwałtownie, gdy Blaise pociągnął za sznurek łączący człowieka z ćwierćkrwi takizjańskim dzieckiem.

— On nie pomoże dzokerowi. Sam ich nienawidzi. Wiem, to, bo jestem w jego głowie.

— Wkrótce potem pojawił się tłum policjantów i Blaise przekonał się, że jego moce mają ograniczenia — ciągnął Poliakov, nie zdając sobie sprawy, że Tachion przeczytał już wszystko.

Takizjanin uświadomił sobie, że pod koniec Blaise zapanował nad dziewięcioma ludźmi. Po jego plecach przebiegł zimny dreszcz. Granice jego możliwości stanowiło trzech, gdy chodziło o pełną kontrolę, a i to było straszliwym

obciążeniem dla umysłu i ciała. Dziewięciu. A przecież miał dopiero trzynaście lat. *I to ja go szkolilem.* Spojrzał w nieprzeniknione oczy naburmuszonego chłopaka.

— Chaiken przyglądał się temu wszystkiemu z zainteresowaniem, ale jego szczególną uwagę przyciągnął fakt, że moja obecna tożsamość nie zgadza się z tą, którą pamiętał. Opowiedziałem im historyjkę o tym, że zmieniłem nazwisko, gdy zacząłem nowe życie, ale sprawdzą to, jeśli nie są kompletnymi idiotami.

— Twoje papiery?

— Są bardzo dobre, ale jedno pytanie zadane w nieodpowiednim miejscu, jedno zdjęcie pokazane niewłaściwemu człowiekowi...

Poliakow wzruszył z ekspresją ramionami.

— Musisz zwiewać. Opuścić kraj. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, dam ci...

— Nie. Przybyłem tu po to, by wykonać zadanie, i nie zamierzam dać za wygraną.

— A co ze mną?

— Znaczysz równie mało, co ja. Robię to, co robię, ponieważ kieruje mną, być może żalosna, wiara w ideał. To dla ciebie znajome pojęcie, Tachion. Używasz tego słowa jako przekleństwa, ale to nie znaczy, że przestałeś wierzyć. Nie różnimy się od siebie aż tak bardzo. Obaj mamy honor. Niestety, ceną za niego zawsze jest krew.

Rosjanin i Blaise ponownie wymienili ulotne spojrzenia. Tachion przedostał się przez niedoskonałe osłony nastolatka.

— Nie możesz użyć do tego mojego wnuka. Zabraniam ci!

Poliakow uniósł leciutko brwi i rozciągnął usta w bladym, gorzkim uśmiešku.

— Zrobię to, czego będzie chciał wujek George! — pisnął chłopak.

— Prędeż cię zabiję — ostrzegł Tachion, spoglądając Rosjaninowi prosto w oczy.

— Nie jestem twoim wrogiem, Tancerzu. On nim jest.

Poliakow uniósł pulchny palec, wskazując na sufit i na ulokowany siedem pięter wyżej apartament Hartmanna.

20:00

Ukryty za liśćmi paproci, opadającymi mu na twarz niczym grzywka, Mackie Majcher obserwował, jak Sara opuszcza restaurację ze swym wysokim przydupasem.

Wymykała mu się przez cały dzień. Ani na moment nie zostawała sama. Myślał, że na pewno pójdzie do pokoju, który dzieliła z czarnuchem, żeby wziąć prysznic. Kobiety miały świra na punkcie czystości. Nigdy nie widział *Psychozy*, więc nie zdawał sobie sprawy, że to była ostatnia rzecz, jaką kobieta z pokolenia Sary zrobiłaby w podobnej sytuacji.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, gdy wspominał zabójstwo sztywnego czarnucha. To było świetne, gdy jego ręka przecinała kość, ale potem ekstaza minęła. Był głodny. Zauważył Sarę dopiero późnym rankiem, gdy szła przez dzokerski park. Nie miał nawet okazji zmienić fazy, zakraść się do kuchni w jakiejś restauracji i zwinąć czegoś do jedzenia. Głód dodatkowo nasilał frustrację i gniew, narastające w nim przez cały dzień.

Suka. Muszę ją zabić. Nie mogę zawieść Szefa. Wkrótce będzie musiał coś zrobić, coś gwałtownego, by dać upust temu pragnieniu.

A teraz ruszyła ku windom z nowym chłopakiem. Trzymali się pod rękę. Szli na górę, żeby się pierdolić. Wszystkie kobiety były takie same.

Poszedł za nimi, klucząc między delegatami, którzy nawet nie raczyli zauważyć garbatego chłopaka. Dotarł do wind akurat na czas, by zobaczyć, jak wsiadają do jednej z nich i drzwi zamykają się za nimi. Roześmiał się w głos.

— Tak jest, kochanie. Tak jest.

Teraz wystarczy, żeby zobaczył, na którym piętrze wysiedli. Potem znajdzie ich bez trudu.

Oblizwał wargi. *Mam nadzieję, że będą to robili, kiedy ich dorwę.* Wyobraził sobie, jak wielki kutas mężczyzny wchodzi w Sarę, a w następnej chwili twarda ręka Mackiego wnika w jego ciało. Omal nie spuścił się w dzinsy.



Alkohol, wyczerpanie i suty posiłek nie pozostały bez wpływu na Sarę. Kolana miała jak z gumy. Wspierała się na Jacku, gdy pomknęli w górę oszkloną windą. Złoty Chłopiec zamknął oczy, porażony nagłymi zawrotami głowy. Potem pomyślał o buteleczce valium, którą miał w bagażu, i uśmiechnął się w duchu.

Łatwo było zauważyć, że Sara ledwie się trzyma na nogach. Nim minie parę godzin, zaśnie jak zabita. Wtedy będzie mógł wykraść się z łóżka, znaleźć tabletki, rozpuścić je w szklance soku pomarańczowego, a następnie podać jej przy śniadaniu. To powinno wyłączyć ją na większą część piątku. Może nawet na cały.

Poprowadził kobietę łukowatym balkonem wychodzącym na atrium, a potem krótkim korytarzem do swego apartamentu. Z dołu dobiegały dźwięki *Piano Man*, odbijające się echem od ścian. Sara weszła do apartamentu i zatrzymała się nagle. Ciężka torba przerzucona przez ramię utrudniała jej zachowanie równowagi. Jack zawiesił na drzwiach tabliczkę z napisem „nie przeszkadzać”, zamknął je za sobą na klucz, a następnie podszedł do kobiety i objął ją od tyłu. Pomimo wypitego alkoholu mięśnie miała mocno naprężone. Poglaskał ją po rozczochranych włosach i zaczął całować w kark. Przez chwilę nie reagowała, lecz wreszcie odwróciła się ku niemu z westchnieniem. Zarzuciła mu ręce na szyję, rozchyliła usta i pozwoliła, by jego język wsunął się do nich.

— A widzisz? — odezwał się z uśmiechem mężczyzna. — Kiedy pomagasz,

jest jeszcze lepiej.

To właśnie powiedziała Lauren Bacall Bogartowi w *Mieć i nie mieć*.

Sara się nie uśmiechnęła.

— Muszę iść do łazienki. Zaraz wrócę, dobra?

Odprowadzał ją spojrzeniem, gdy szła chwiejnym krokiem do toalety. Nagle ogarnęło go przygnębienie. To stanowczo za bardzo przypominało jego drugie małżeństwo.

Zdjął marynarkę i nalał sobie whisky. Usłyszał dobiegający z łazienki odgłos spływającej wody. Potem zapadła cisza. Może poprawiała sobie fryzurę albo makijaż. A może siedziała na sedesie, wspominając śmierć przyjaciela.

Zapalił papierosa, wrócił myślą do pierwszej gwałtownej śmierci, której był świadkiem. Jego kompanię zaskoczył niemiecki kontratak przy szosie 90, między Avellino a Benevento. Pamiętał, że po tym doświadczeniu raczej nie miał ochoty na seks.

Cholera — pomyślał. *To może być bardzo przygnębiająca noc.*

Drzwi łazienki się otworzyły i Sara wyszła z odważnym uśmiechem na ustach. Poprawiła włosy i makijaż. Wyglądała teraz zupełnie inaczej niż strach na wróble siedzący z nim przy stoliku podczas kolacji.

Jack zgasił papierosa i ruszył w jej stronę. Chciał już wziąć ją w ramiona, gdy ze ściany za jej plecami wyłonił się młody garbus w skórzanej kurtce. Intruz uśmiechnął się i skoczył naprzód, wyciągając przed siebie rękę niczym włócznię.

Bez chwili zastanowienia Jack uniósł Sarę, wykonał półobrót i rzucił ją na sofę za swymi plecami. Powietrze zapłonęło od jego złotej mocy. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt, jakby piła mechaniczna uderzyła w gwóźdź ukryty w drzewie. Wszystkie włoski na jego ciele stanęły dęba. Poczłł wypełniającą go adrenalinę. Zwrócił się ku intruzowi i zobaczył szok na jego młodej, bladej twarzy. Zacisnął pięść i uderzył go lekko na odlew. Rozbłysło żółte światło. Cios rzucił młodzieńcem o ścianę łazienki. Rozległ się trzask, jakby pękały kości. Chłopak osunął się na podłogę niczym szmaciana lalka.

Kobieta krzyknęła, gdy odwróciła się i zobaczyła zabójcę. Jack poderwał się mimo woli.

— Mam go, Saro — zapewnił, ale ona nie przestawała krzyczeć. Usłyszał, że zaczęła wstawać z kanapy.

Podszedł do chłopaka w skórzanej kurtce i pochylił się nad im. Zabójca otworzył oczy i uderzył obiema rękami niby nożami. Gdy zetknęły się z ciałem Jacka, ponownie rozbłysło złote światło i rozległ się wizg piły. Kawalki ubrania Brauna posypały się na wszystkie strony, jak sierść walczącego kota.

Złoty Chłopiec nawet nie poczuł uderzeń.

Uniósł przeciwnika za skórzaną kurtkę, trzymając go na odległość wyciągniętej ręki od siebie. Garbus nie przestawał atakować jego kończyny, jakby

nie mógł uwierzyć w to, co widzi, aż wreszcie pociął jasnyniebieską koszulę od Givenchy na wąskie wstążki.

Najwyraźniej chłopak nigdy dotąd nie mierzył się z niezwyciężonym przeciwnikiem.

— Zabij go! — zawołała Sara. — Jack, zabij go natychmiast!

On jednak nie miał takiego zamiaru. Chciał znokautować skurczybyka i dowiedzieć się, kto go przysłał. Uderzył otwartą dłonią w głowę chłopaka. Taki cios powinien pozbawić go przytomności na kilka godzin.

Dłoń przeniknęła przez głowę garbusa, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Jack poczuł, że jego druga ręka, zaciskająca się pod podbródkiem przeciwnika, również nagle stała się pusta. Na twarzy chłopaka pojawił się triumfalny, oszołomiony uśmiech. Napastnik zaczął się osuwać — nie spadać, tylko osuwać się bardzo powoli — w stronę podłogi.

— Jack — zawodziła Sara. — Jack, o JezuJezuJezu.

Złoty Chłopiec poczuł lekkie dotknięcie strachu. Zadał dwa szybkie ciosy, ale jego ręce przeniknęły przez ciało zabójcy.

Stopy chłopaka dotknęły podłogi. Jego uśmiech przerodził się w złowieszczy grymas. Napastnik przeniknął przez Jacka, biegnąc prosto ku Sarze.

Braun odwrócił się i popędził za nim. Kobieta cofała się ku drzwiom, zasłaniając się torebką. Zabójca uderzył obiema rękami i torebka pękła z głośnym trzaskiem jak gruba tektura przecięta myśliwskim nożem.

Jack złapał garbusa za kołnierz skórzanej kurtki i z całej siły cisnął nim do tyłu. Chłopak zdematerializował się, nim jego stopy oderwały się od podłogi, ale Braun zdołał mu nadać trochę impetu i zabójca wznosił się wysoko, zataczając łuk. Jack zauważył, że blada twarz tamtego poczerwieniała z wściekłości, gdy przelatywał przez sufit. Dolna część jego ciała pozostawała widoczna, kiedy wznosił się w górę, a potem opadał.

— JezuJezu! — Sara szarpała się z drzwiami, próbując je otworzyć. — O kurwa!

Jack zorientował się w sytuacji. Garbus musiał się zmaterializować, by zrobić użytek ze swoich funkcjonujących jak piły mechaniczne rąk. Był narażony na atak w chwili, gdy próbował zabić.

Złotemu Chłopcu było znacznie łatwiej, gdy jego zadanie polegało na unoszeniu samochodów z uciekającymi nazistami i odwracaniu ich do góry kołami.

Sara otworzyła drzwi i krzycząc, pobiegła korytarzem. Głowa chłopaka w skórzanej kurtce wynurzyła się z sufitu. Jack wyprowadził kilka ciosów na wypadek, gdyby przeciwnik znowu się zmaterializował.

— Cholera — warknął. Zastanowił się, czy nie przebić się przez ścianę w pościgu za przeciwnikiem, ale postanowił tego nie robić. Mógłby ugrzęznąć po drodze. Pognał ku drzwiom sypialni i rozwalił je z rozbłyskiem złotego światła.

Chłopak w skórzanej kurtce zmaterializował się i popędził ku ścianie, za którą był korytarz. Ponownie stał się niematerialny i skoczył przez ścianę głową naprzód.

— Cholera — powtórzył Jack. Odwrócił i pobiegł w stronę korytarza.

Chłopak był tuż przed nim. Sary nigdzie nie widział. Zapewne wybiegła już na balkon wychodzący na atrium.

Z dołu dobiegały dźwięki *Don't Cry for Me, Argentina*.

Złoty Chłopiec przyśpieszył i zamachnął się pięścią, ale chybił karku chłopaka o kilka centymetrów. Impet ciosu zbił go z kursu i Jack odbił się od ściany. Garbus oddalił się od niego.

Z pewnością usłyszał odgłosy pościgu, bo gdy dotarł do balkonu, odwrócił się, demonstrując swój uśmiech szaleńca. Odciął jedną ręką kawał betonowej ściany, tylko po to, by zademonstrować swą moc.

Jack nadal poruszał się naprzód ze znacznym impetem. Zatrzymał się przed chłopakiem i obrócił górną połowę ciała, a potem dolną i uderzył prawą ręką w pierś garbusa, wkładając w ten cios całą swą siłę.

Zabójca się zdematerializował.

Impet ciosu sprawił, że Jack przeleciał nad balustradą, otoczony łuną złotego światła.



Sara wybiegła z pokoju i popędziła przed siebie korytarzem, ponieważ klatka schodowa była za ciasna i ze ściany w każdej chwili mogła wyrosnąć ręka, która przecięłaby ją wpół. W gardle ścisnęło ją ze strachu.

Nie miała pojęcia, dokąd biegnie. Zdystansowana część jej umysłu zauważyła, że w tej chwili panika jest jej przyjaciółką. Nie miała dokąd uciekać, a panika jest lepsza od desperacji.

Powinnam po prostu wrócić i odłonić przed nim gardło — myślała gorączkowo. Ale jej nogi nie przestawały się poruszać.

Ze ściany faktycznie wyrosła ręka. Na jej nadgarstku zacisnęła się dłoń.

Sara krzyknęła. To było tak, jakby jej serce nagle eksplodowało i huk wybuchu wydostał się przez jej usta. Oklapła z przerażenia.

— Wstawaj — rozkazał głos, cichy, ale stanowczy. Mówił z akcentem.

Uniosła wzrok i ujrzała przed sobą twarz starszego mężczyzny, tego samego, który przyczepił się do niej po tym, jak uciekła z konferencji prasowej Tachiona. Zamiast koszulki z Myszka Miki miał teraz na sobie jasnozielony garnitur sportowy.

— Wstawaj — powtórzył. — Teraz już wiesz, że powiedziałem ci prawdę.

Pozwoliła, by podniósł ją na nogi, i skinęła głową. Zabrakło jej słów. Zgubiła but.

— Chodź ze mną. Zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce.
Posłuchała go.



Gdy pod nim rozpostarło się atrium Marriotta, Jack miał pod dostatkiem czasu, by zastanowić się nad własną głupotą.

Spadał, wymachując rękami i nogami. Obok niego przemykały kolejne balkony. Dręczyły go zawroty głowy oraz ból brzucha z przerażenia.

Krzyknął, by dać ludziom na dole szansę ucieczki.

Dobiegły go unoszące się ku górze dźwięki *Don't Cry for Me, Argentina*.

Przyszło mu do głowy, że powinien spróbować wyrównać lot. Rozprostował kończyny, jak wykonujący skok akrobatyczny spadochroniarz, który próbuje spadać nieco wolniej. Jego ciało przechyliło się gwałtownie. Poczł kolejne szarpnięcie w żołądku, ale po chwili ten sposób okazał się skuteczny. Zawroty głowy zelżały. Szczątki koszuli od Givenchy powiewały za nim niczym flaga. Strzępy rękawa wywoływały ciche gromy dźwiękowe obok jego ucha. Impet uderzenia wyniósł go daleko nad atrium i nie wydawało się, by miał szansę pokierować swym lotem tak, by wylądować na balkonie, nie na posadzce.

Zastanawiał się bardzo intensywnie.

Tu i ówdzie zwisały liny, na których zawieszono kawałki materiału, mające grać rolę abstrakcyjnych flag, plamy jasności, urozmaicające onieśmielające atrium, które przypominało wnętrze klatki piersiowej dinozaura. Jack próbował skierować swój lot ku jednej z nich. Być może to powstrzyma jego upadek.

Krzyknął nagle, gdy te wysiłki obróciły go głową w dół. Zamachał kończynami i ustabilizował lot. Żałował, że nie przychodzą mu do głowy jakieś odważne, inspirujące słowa. Zresztą i tak nikt by ich nie usłyszał. Wszystko zagłuszało brzmienie fortepianu.

Nie trafił w linę, którą wybrał, mijając ją o jakieś sześć metrów. Skoncentrował się na próbach wylądowania w miejscu, gdzie nie było żadnych ludzi. Krzyknął po raz kolejny.

Poniżej krążyły Latające Asy, drwiące punkty jaskrawych barw.

Ludzie na dole z pewnością go usłyszeli, bo próbowali zejść mu z drogi. Wypatrzył plamę białości, która wydawała się dobrym celem. Starł się skierować w tamtą stronę.

Widział już pojedynczych ludzi. Czarna dziwka o blond włosach próbowała uciekać, ale miała buty na wysokich obcasach i mogła tylko skakać jak wróbel. Mężczyzna w białym smokingu gapił się w górę, jakby nie wierzył własnym oczom. Hiram Worchester podskakiwał, wymachując pięścią. Obok przeleciał Earl Sanderson o rozpostartych szeroko skrzydłach. Zmierzał ku światłu. Jack poczuł nagły przypływ smutku.

Za późno — pomyślał i natychmiast zadał sobie pytanie, co właściwie chciał przez to powiedzieć. Szum wiatru wypełniający mu uszy ucichł w jednej chwili. Poczł szarpnięcie w brzuchu, jakby nagle ruszyła winda. Podłoga nie zbliżała się już tak szybko.

Uświłdł sobie, że jest lżejszy. Hiram zmniejszył jego ciężar, ale nie był w stanie całkowicie powstrzymać jego upadku.

Zauważył, że plama bieli, ku której zmierza, to fortepian. Za chwilę na niego spadnie.

Przynajmniej nie będzie już więcej musiał słuchać tej głupiej piosenki o Argentynie.



Spector zorientował się, że jadą do miejscowego dzokerowa. Właściwe Dżokerowo znajdowało się w Nowym Jorku, ale wszystkie duże miasta miały własne getta dla dziwołagów. Budyńki wały się, były wypalone albo uległy innym uszkodzeniom. Większość samochodów na ulicach stanowiły nieruchome, częściowo rozebrane na części wraki. Na murach wypisano sprejem slogany takie jak „śmierć cudakom” albo „papka z potworów”. Z pewnością nie namalowali ich mieszkający tu dzokerzy. Getto w Atlancie było za małe, by jego mieszkańcy mogli powstrzymać przed wypadami na swój teren szalonych natoli mających ochotę coś rozwalić albo skopać tyłek odmieńcom.

Usłyszał łoskot, który nie był uderzeniem pioruna, i obejrzał się za siebie. Śledził ich różowo-biały chevrolet, model z pięćdziesiątego siódmego. Tłumik szlag trafił i samochód robił mnóstwo hałasu. Spector nie widział, kto siedzi w środku, ale był przekonany, że to banda ćpunów.

— Nie przejmuj się tym — uspokoił go Tony, zatrzymując się na chodniku obok wraku ramblera.

— Kto się przejmuje?

To nie było czcze gadanie. Spector wykończył w życiu tylu ulicznych chuliganów, że nie potrafiłby ich zliczyć. Otworzył drzwi samochodu i spojrzł na towarzysza.

— Idź za mną.

Tony okrążył samochód, wbiegł truchtem na betonowe schody, prowadzące do dobrze oświetlonego wejścia i czekał.

As szedł powoli za nim, uważnie obserwując ulicę. Chevrolet minął ich i zniknął za rogiem, ale on nadal słyszał jego silnik.

Drzwi się otworzyły. Dżokerka w prostej niebieskiej sukni uśmiechnęła się do nich. Porastało ją coś, co wyglądało jak żółte, gumowe włosy.

— Tony! — Złapała Calderone'a i uściskała go mocno. — Nie spodziewaliśmy się, że tym razem nas odwiedzisz. Na pewno jesteś bardzo zajęty.

— Przecież wiesz, że nigdy nie przepuściłbym szansy, by się z tobą zobaczyć, Shelly.

Kobieta cofnęła się o krok i wciągnęła gościa za sobą do środka, łapiąc za rękaw jego koszuli. Spector poszedł za nim.

— Shelly, to jest Jim Spector, mój stary przyjaciel z New Jersey.

Kobieta zrobiła zdziwioną minę i as bał się przez chwilę, że rozpoznała jego nazwisko. Po chwili jednak wyciągnęła do niego rękę. Uścisnął ją. Gumowate włosy robiły nieprzyjemne wrażenie, a ciało zbyt łatwo ustępowało pod uściskiem.

— Miło mi cię poznać, Jim — rzekła i odsunęła się od niego. — Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś, że się zjawisz? — zapytała, ponownie zwracając się ku Tony'emu. — I to nie sam. Posprzątałabym tu.

Tony potrząsnął głową.

— Shelly, moje mieszkanie nigdy nie wygląda tak dobrze.

Spector rozejrzał się wkoło. W pokoju było zaskakująco czysto. Meble były tanie, ale na wysoki połysk i dobrze odkurzone. Na kanapie siedział czarnoskóry mężczyzna, oglądający film w telewizji. Tej rodziny, podobnie jak większości dzokerskich rodzin, nie połączyły więzy krwi, lecz deformacje.

— To jest Armand.

Mężczyzna odwrócił się, gdy Tony wypowiedział jego imię. Miał niewłaściwie ustawione szczęki i jego usta były wąską, pionową szczeliną. As nie widział na jego twarzy warg ani nozdrzy. Armand przywitał się z Tonym, a potem wyciągnął rękę do drugiego gościa.

— Miło mi pana poznać — rzekł Spector, ściskając jego dłoń. Ta przynajmniej sprawiała wrażenie normalnej.

— Dzieciaki są w norze? — zapytał Tony, przesuwając się o jeden krok w stronę drugiego pokoju.

— Tak. Chyba grają w karty. Napijcie się kawy?

Kobieta spojrzała na Tony'ego, a następnie na drugiego gościa.

Calderone zerknął na Spectora, który potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję, Shelly. Przed chwilą zjedliśmy obfity posiłek.

Poklepał ją po ramieniu i poszedł do drugiego pokoju. As podążył za nim z bladym uśmiechem.

Dzieci siedziały przy stoliku. Dziewczynka, starsza o kilka lat od chłopca, była ładna, pomijając tylko ręce, porośnięte całymi szeregami czegoś, co wyglądało jak kolce róży. Chłopiec zajął miejsce naprzeciwko niej. Karty trzymał w chwytnych stopach. Nie miał rąk, a jego głowa była kilkakrotnie większa od normalnej. Podtrzymywał ją metalowy uchwyt, przytwierdzony do oparcia wózka inwalidzkiego.

— Cześć, wujku Tony — odezwali się chórem. Oboje sprawiali wrażenie bardziej zainteresowanych kartami.

— Hej, maluchy. — Tony usiadł obok nich. — Chciałbym, żebyście poznały mojego kumpla. Ma na imię Jim.

— Cześć, dzieciaki — odezwał się Spector. Czuł się tu zupełnie nie na miejscu. Chyba wolałby, żeby wsadzono mu w dupę kij od szczotki.

— Jestem Tina — przedstawiła się dziewczynka, odwracając kartę. — A to jest Jeffrey.

Chłopiec nie odwrócił się, by spojrzeć na niego. Zresztą chyba nie byłoby to dla niego łatwe. Odwrócił kartę i roześmiał się głośno. Jego walet pobił jej ósemkę. Chował obie karty na spód swojej kupki, wyraźnie większej od należącej do Tiny.

— Gracie w wojnę? — zapytał Spector.

— W dzokerską wojnę — poprawiła go dziewczynka.

Tony uniósł wzrok.

— Zasady są takie same, poza tym, że dzokery biją wszystko. A dama pik bije każdą kartę przeciwnika.

Tony się uśmiechnął. Spector nie potrafił odgadnąć z czego, do cholery, tak się cieszy jego dawny kolega.

Jeffrey znowu wygrał.

— Chyba cię rozgryzł, Tino — stwierdził as.

Dziewczynka zmarszczyła noskę i obrzuciła go swym najlepszym morderczym spojrzeniem. Spector cofnął się o krok, udając przestraszonego. Jeffrey nie sprawiał wrażenia, by był tak nieszczęśliwy, jakby należało. Spector miał ochotę zabić dzieciaka i zaoszczędzić mu życia pełnego męczarni, ale tego, jak to mówią, nie było w kartach.

— Mama powiedziała, że możemy później obejrzeć film — odezwała się Tina. Odwróciła karty i pozwoliła Jeffreyowi je zebrać. — Mają nadawać *Mandżurskiego kandydata*.

Tony westchnął.

— Polityka, panowanie nad umysłami i zamachy. Dzieci nie powinny oglądać takich filmów. Porozmawiam z Shelly i...

— Nie rób tego, wujku Tony — poprosiła Tina. Spojrzała na Spectora. — Niech pan mu nie pozwoli tego robić. Mama obiecała.

As wzruszył ramionami.

— Nie chciałbym uciekać się do przemocy, stary przyjacielu.

Tony uniósł ręce nad głowę.

— Tak działa demokracja — skwitował i ruszył z powrotem do salonu.

— Moja dama bije twojego ostatniego asa. — Jeffrey przerzucił karty palcami u nóg. — Wygrałem.

— Gratulacje, dzieciaki — odezwał się Spector. — Czasami tak właśnie trzeba robić. Zapamiętajcie to sobie.



Jack spadł na sam środek fortepianu i przebił się do pomieszczenia technicznego na dole. Następnie przekonał się ze zdziwieniem, że może unieść się i wrócić na górę przez otwór, który sam przed chwilą zrobił.

Hiram uczynił go lżejszym od powietrza. Niech to szlag.

Nim zdążył unieść się w pustą przestrzeń, złapał za zgięty pręt zbrojeniowy, podtrzymujący podłogę atrium, i zawisł głową w dół. Oślepiły go lampy. Blask reflektora wbijał mu się prosto w oczy. Pianista chwiał się na nogach jak pijany. Jack zobaczył w oślepiającym blasku ziemistą twarz Hirama, zwracającą się ku niemu.

— W hotelu jest zabójca! — zawołał Złoty Chłopiec. — Niski chłopak w skórzanej kurtce! Jest dziką kartą.

— Gdzie? — zapytał Worchester, wytrzeszczając oczy.

— Na piętrze senatora!

Restaurator zrobił się błąd jak trup. Odwrócił się i zaczął biec, intensywnie poruszając wszystkimi czterema kończynami. W tłumie rozszalało się pandemonium.

— Hiram! — zawołał Jack. — Worchester, do cholery!

Nadal był lżejszy od powietrza. A tylko on wiedział, jak wygląda zabójca, i w jaki sposób można go powstrzymać. Ubrany w biały smoking pianista podskakiwał przed Jackiem, wskazując na niego ręką.

— Próbował mnie zabić! Wcześniej mi groził!

— Zamknij się, do licha — warknął as.

Twarcz pianisty zrobiła się biała jak jego smoking. Mężczyzna oddalił się pośpiesznie. Dawka antygravitacji osłabła po kilku minutach i Jack spróbował popędzić do wind. Nadal był bardzo lekki i poruszał się niczym astronauta na Księżycu. Skakał po całym atrium, nie mogąc dotrzeć do celu. Ochroniarze zamykali wszystkie drzwi, co raczej nie było w stanie powstrzymać kogoś, kto potrafił przenikać przez ściany. Wreszcie jakiś nieznajomy ujął Złotego Chłopca za rękę i poprowadził go ku windom.

Jadąc w górę, Jack starał się nie myśleć o tym, że chudy garbus może siedzieć na najwyższym piętrze i przecinać liny wibrującymi rękami. Ochrona skupiła się na korytarzu prowadzącym do apartamentu i kwatery głównej Hartmanna. Billy Ray rzucał się w oczy w swym białym kombinezonie. Prężył mięśnie, stojąc przed grupą ubranych na szaro agentów Secret Service. Niektórzy z nich nosili na wierzchu uzi.

Jack strzepnął betonowy proszek ze zniszczonego ubrania, podszedł do Carnifexa i opisał mu zabójcę, kładąc nacisk na jego zdolność dematerializacji. Ray choć raz potraktował swoją robotę poważnie i powstrzymał się od drwiących uśmieszek. Przekazał informacje przez radio i poprosił Jacka, by poszedł z nim

do jednego z pokojów i zdał dokładną relację. Złoty Chłopiec zapytał, czy mógłby najpierw pójść się przebrać. Z jego ubrania zostały tylko strzępy. Billy Ray skinął głową.

Jack wrócił do apartamentu. Wchodząc do niego przez otwarte drzwi, uświadomił sobie, że nikomu nie powiedział, iż walka odbyła się właśnie tutaj.

Skierował się do sypialni i potknął się o coś leżącego na dywanie. Pochylił się i zauważył, że to część torebki Sary. Pochylił się i wysypał z niej zawartość. Na podłogę spadła jedna trzecia laptopa, a za nią posypały się papiery.

Podniósł je. Na kilku spiętych spinaczem kartkach, równo uciętych przy samej górze, znajdował się spis wystąpień Leo Barnetta w dniach poprzedzających kampanię.

Potem znalazł górną część kartki dużego formatu, na której napisano coś niebieskim długopisem. Słowa „ukryty as” podkreślono kilka razy.

Poniżej były tylko bazgroły — seria krzyży oraz rysunek nagrobka. Następna kartka była fotokopią na staromodnym, gładkim papierze. Z pewnością był to jakiś oficjalny dokument.

departament obrony. DOD#864-558-2048(b)

test krwi na obecność ksenowirusa takis-a

Resztę odcięto.

Jack przez dłuższą chwilę gapił się na dokument.

Przyszło mu na myśl, że ukryty as może wkrótce zostać zdemaskowany.

22:00

Spector poczuł ulgę, gdy w końcu nadeszła pora odjazdu. Wszyscy wypowiedzieli słowa pożegnania, poza Armandem, który nie sprawiał wrażenia, by potrafił mówić. Gdy stanęli w drzwiach, Tony wsunął w dłoń Shelly kopertę. Zapewne był w niej czek. Dżokerka pomachała jeszcze do nich ręką i zamknęła drzwi. Obaj mężczyźni ruszyli w stronę samochodu.

— Widzisz, jacy są, kiedy da się im szansę. A niech to.

Patrzył na samochód. Ktoś napisał na nich sprejem „barnett na prezydenta” literami wysokimi na piętnaście centymetrów.

Spector nie odezwał się ani słowem, ale przyszło mu na myśl, że nalepki Hartmanna na samochodzie Tony’ego okazały się zbyt wielką pokusą dla głąbów uzbrojonych w aerozol.

— Idę o zakład, że to były te pojeby z chevroleta.

— Zgadłeś. — Głos dobiegał z za ich pleców. Spector i Tony odwrócili się. Było ich siedmiu, ubranych w przepocone T-shirty oraz dżinsy. Największy miał też na sobie brązową, skórzaną kurtkę lotniczą. — Ale nie lubimy, jak nas nazywają pojebami. Chyba musimy nauczyć was manier.

Pozostali chrząknęli na znak zgody.

Spector nieraz już widział i słyszał takie rzeczy, ale tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Nie mógł po prostu zabić skurczybyków, bo Tony domyśliłby się, że jego dawny kolega jest asem, a siedmiu na dwóch to nie był korzystny przelicznik. Spuszczą im łomot.

Chłopak w skórzanej kurtce wsunął na palce mosiężny kastet i ruszył w stronę Tony'ego. Pozostali rozciągnęli się w wachlarz i podążyli za nim. Calderone przykucnął, unosząc pięść. Spector przysunął się do niego, licząc na to, że dostarczy zajęcia gościowi z kastetem. To będzie bolało, ale jego obrażenia szybko się goiły. Tony nie miał tyle szczęścia. Dobrze chociaż, że żaden z nich nie wyciągnął noża albo pistoletu.

Przywódca zamachnął się mocno na Tony'ego i w nagrodę oberwał potężnym prostym w szczękę. Cofnął się o krok, ale pozostali rzucili się hurmem do ataku. Spector trafił jednego z napastników łokciem w gardło, ale to nie był jego rodzaj walki. Szybko obalili go na chodnik i zaczęli kopać w brzuch. Zwinął się w kłębek, osłaniając głowę. Zasypywali go kopniakami przez parę chwil, aż wreszcie przestali.

— A teraz dajmy tym dzokerojebcom prawdziwą nauczkę — zaproponował jeden z chłopaków z brawurą, na jaką mógłby się zdobyć tylko bezmózgi ulicznik.

Spector przetoczył się na plecy i uniósł wzrok. Tony leżał obok. Oczy miał zamknięte, a z ust i nosa płynęła mu krew. Był nieprzytomny. Chuligan w skórzanej kurtce wyjął nóż sprężynowy i wysunął ostrze. Zgon uświadomił sobie, że gra jest skończona. Zamrugał kilka razy, by oczyścić sobie w głowie, zanim zabije chłopaka.

Rozległ się strzał, oddany z okna za nimi. Chuligan w kurtce zwałił się na chodnik z dziwnym wyrazem twarzy. Jego nóż poleciał w ciemność. Reszta napastników uciekła, nim Spector zdążył wstać. Ich przywódca otrząsnął się już z pierwszego szoku wywołanego postrzeleniem i zaczął wrzeszczeć. Jego prawa ręka, między barkiem a łokciem, zmieniła się w krwawą masę.

Spector podźwignął się z wysiłkiem i kopnął chłopaka w usta.

— Zamknij się albo wyrwę ci język, pojebie.

Krzyki napastnika przerodziły się w żałosne skomlenie.

Armand zszedł ze schodów. W rękach trzymał strzelbę. Shelly była krok za nim. Zasłaniała usta gumowatą dłonią. Tina przyciskała twarz do okna, również gapiąc się na chodnik. Na werandach sąsiednich domów zapalano światła — przynajmniej te, które działały. Kilku sąsiadów zmierzało już ku nim. Spector ostrożnie przetoczył przyjaciela na plecy. Tony miał paskudną ranę na czole. Wybito mu też kilka przednich zębów.

— Wszystko z nim w porządku? — zapytała Shelly, ocierając rękawem krew z twarzy rannego.

— Myślę, że z tego wyjdzie. — Spector otworzył tylne drzwi samochodu

i ujął przyjaciela pod pachy. — Pomóżcie mi go podnieść. Musimy go zawieźć do szpitala.

Armand złapał rannego za nogi i we dwóch władowali go na tylne siedzenie.

— Wiesz, gdzie jest najbliższy szpital? — zapytał Spector, spoglądając na Shelly.

Kobieta skinęła głową.

— W takim razie siadaj z przodu i mów mi, którądy mam jechać.

Wyciągnął kluczyki z kieszeni Tony'ego, zamknął drzwi i okrążył pojazd, zmierzając do miejsca dla kierowcy.

Armand złapał go za łokieć i wskazał ręką leżącego na chodniku chuligana.

Spector zakaszłał.

— Tony powiedziałby, żebyś przekazał go glinom i liczył na to, że wszystko będzie dobrze, ale ja radzę ci poderżnąć mu gardło i rzucić okolicznym psom na pożarcie.

Twarz Armanda zmieniła wyraz, choć as nie był pewien, czy to uśmiech. Usiadł za kierownicą i włączył silnik.

— Zapnij pasy, Shelly — rzekł i sam zrobił to samo.

Wykonała polecenie. Tony jęknął, gdy Spector nacisnął gaz i pomknęli w noc.

Rozdział piąty

Piątek, 22 lipca 1988

6:00

Ciemność powinna go ukoić, ale klimatyzacja buczała jak jakaś zła, pogrążona w drzemce bestia, a w ciemnych zakamarkach u sufitu płaśały demony. Gregg czuł, że ręce mu drżą. Był na granicy ataku lęku. Panika mogła zawładnąć nim w każdej chwili, skłaniając go do niepowstrzymanego krzyku.

— Gregg? — wyszeptała leżąca obok Ellen. Jej dłoń delikatnie dotknęła jego piersi. — Jest dopiero szósta. Powinieneś się wyspać.

— Nie mogę zasnąć.

Ledwie zdołał wykrztusić z siebie te słowa. Bał się, że gdy otworzy usta, popłynie z nich nieartykułowany krzyk. Ręka kobiety musnęła jego policzek i panika opadła powoli, choć jej cień nadal się utrzymywał. Gregg leżał sztywno, czując, że Lalkarz porusza się w jego wnętrzu niczym ślimak ukryty tuż pod skórą.

— Ucieszę się, kiedy ta konwencja wreszcie się skończy, bez względu na wynik — odezwała się jego żona.

— Spieprzyłem sprawę, Ellen. — Zamknął oczy i zaczerpnął długi, powolny oddech, który jednak nie uspokoił go nawet w najmniejszym stopniu. Pod jego powiekami zjawy nie przestawały tańczyć. — Wszystko rozpada się wokół mnie.

— Gregg... kochanie... — Objęła go ramionami, a potem przesunęła się bliżej i przytuliła do niego. — Przestań. Niepotrzebnie ulegasz stresowi, to wszystko. Gdybyś porozmawiał z Tachionem, może przepisałby ci...

— Nie — przerwał jej gwałtownie. — Żaden lekarz mi nie pomoże.

Ellen odsunęła się na moment, słysząc jego ostry ton, ale po chwili znowu się do niego przytuliła.

— Kocham cię — zapewniła, nie potrafiąc dać mu innego pocieszenia

— Wiem. — Westchnął. — Wiem. I cholernie się z tego cieszę. Boże, byłaś dla mnie taka wyrozumiała. To, jak się zachowywałem...

Przez chwilę był na granicy wyznania. Gdyby pozwolił całemu temu szaleństwu wypłynąć na zewnątrz, mógłby wreszcie z nim skończyć. Ale Lalkarz znowu się poruszył, przywołując go do rzeczywistości. Gregg ostrożnie zepchnął go w głąbiny.

Nie możesz tego zrobić — przypomniała mu moc. *Nie pozwolę ci.*

— Za bardzo się przejmujesz — mówiła Ellen. — Zdobędziesz nominację albo nie. Jeśli tym razem się nie uda, będziesz miał bardzo dobrą pozycję w dziewięćdziesiątym drugim. Możemy zaczekać. Dziecko zdąży trochę podrosnąć. — Poczł, że Ellen uśmiechnęła się odważnie. To była jej obsesja. —

Nasz syn albo córka skutecznie zajmą ci czas. Mała część nas obojga.

Ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na brzuchu tuż poniżej pępka.

— Czujesz? — zapytała. — Ostatnio okropnie kopie. Z każdym dniem staje się silniejsze i bardziej aktywne. Teraz się budzi. Czujesz? Powiedz cześć tacie, maleństwo — zamruczała śpiewnie.

Gregg nagle zapragnął, by okazało się, że Ellen ma rację. By rzeczywiście było po wszystkim. Gdy pierwszy raz poruszyła kwestię dziecka, po pełnej napięć podróży dookoła świata, sam się zdziwił, że tak łatwo się zgodził. Miał wrażenie, że to właściwa decyzja. Symbol normalności po całej tej przemocy i nienawiści. Minęły miesiące, nim w końcu zaszła w ciążę. Bardzo się wtedy ucieszył. Bez względu na wszystko pragnął tego dziecka równie mocno jak ona. Rola dumnego przyszłego ojca sprawiała mu przyjemność. Nawet ukryta wewnątrz moc sprawiała wrażenie, że cieszy się razem z nim.

Mała część nas obojga.

Teraz ledwie o tym pamiętał. Pragnienia Lalkarza przegnały dumę, miłość i nadzieję. Poczul pod palcami delikatne poruszenie. Ellen roześmiała się, również je wyczuwając.

Dziecko zdąży trochę podrosnąć.

Omał nie zerwał ręki z jej brzucha, jakby ten dotyk go parzył. Podejrzanie było jak fizyczny cios. Obecność Gimlego była wówczas słaba, odległa i nieuformowana. Można ją było z łatwością odepchnąć. Ale z każdym dniem stawała się silniejsza i bardziej aktywna.

— O mój Boże — wyszeptał Gregg. Poczul kolejne, słabe kopnięcie płodu. Pozwolił mocy wymknąć się na zewnątrz, tylko odrobinę. Zajrzał do wnętrza ciała Ellen i ujrzał podstawowe kolory płodu.

Wokół jego emocjonalnej macierzy niczym dławiące pnącza owijały się inne odcienie. Odcienie, które świetnie znał.

Gimli sam mu to powiedział:

Nie umarłem. Po prostu się zmieniłem. Potrzebowałem wiele czasu, by wrócić.

— Sama czasami nie potrafię w to uwierzyć — kontynuowała ze śmiechem Ellen. — To niewiarygodne, że rośnie we mnie dziecko nas obojga.

Senator wytrzeszczał szeroko oczy, wpatrując się w jej brzuch.

— Tak — zgodził się. — To niewiarygodne.

— Zastanawiam się, jak będzie wyglądało. — Poglaskała jego dłoń. — Założę się, że będzie takie samo jak ty.

To nie może być prawda — powiedział sobie. *Blagam, niech to nie będzie prawda.* Wiedział jednak, że to życzenie się nie spełni.

7:00

— Jezu, przestań mnie obmacywać! Nie znoszę takiego syfu! — Jack złapał Takizjanina za dłonie i odepchnął je, jakby strzepywał z siebie wodę. — Jezu.

Tach pośpiesznie stłumił irytację podchodzącą mu do gardła niczym wymioty.

— Niepokoiłem się o ciebie — oznajmił jednak z lekką irytacją w głosie. Mogłeś zginąć.

Jack zapalił camela z trzaskiem zapalniczki.

— Znajdź inny sposób, by to okazywać. Swoją drogą, wyglądasz paskudnie.

— Serdecznie dziękuję. W ogóle dziś nie spałem.

— Hej, ja też.

— Jack, co właściwie się stało? W wiadomościach strasznie wszystko poprzekręcali. Myłem sobie spokojnie zęby i nagle zobaczyłem, jak spadasz na fortepian. — Przechylił głowę na bok, pogrążając się na moment w zamyśleniu. — Ten wypadek to pewnie jedyny pozytywny efekt całego zamieszania.

— Jaki tam wypadek. Celowałem w ten cholerny fortepian.

Następnie, w kilku szybkich zdaniach, as streścił wszystkie wydarzenia wieczoru: nieudolne zaloty Sary, jego plan wyłączenia jej z gry, przybycie przerażającego garbusa i walka. Gardło Tachiona zaatakowały wymioty o smaku brandy. Kosmita popędził do łazienki.

— I co teraz? — zawołał Żłoty Chłopiec.

Tach wyszedł na zewnątrz, ocierając usta wilgotną szmatką.

— Gdzie się podziała Sara?

— Nie wiem, niech to szlag. Wybiegła z pokoju szybko jak pocisk. Nie mogę mieć do niej pretensji. Od tego czasu jej nie widziałem.

Tachion przycisnął dłonie do twarzy.

— Matki mojej matki, wybaczcie mi. Nie uwierzyłem jej.

— Słucham?

— Przyszła do mnie w poniedziałek wieczorem. Próbowwała mnie przekonać, że grozi jej niebezpieczeństwo. Ale nie chciałem jej słuchać.

Nagle dotarły do niego implikacje tego, co przed chwilą powiedział. Tach powlókł się z powrotem do łazienki.

Zostały mu już tylko soki żołądkowe. Kwas palił mu przełyk. To było tak, jakby trawił jednocześnie jego zaufanie, jego pewność. *Hartmann jest asem.*

Pomóż mi. Będziesz żałował.

Objął muszlę klozetową obiema rękami, czując chłód ceramiki dotykającej jego rozgrzanego policzka.

— Pomóż mi — wyszeptał.

— Jak? — zapytał Jack, podnosząc go na nogi. — Czego potrzebujesz? Co tu właściwie jest grane? Dlaczego w poniedziałek wspomniałeś o ukrytym asie? Porozmawiaj ze mną, Tachy.

— Nie w tej chwili, Jack. Nie w tej chwili. Najpierw muszę znaleźć Sarę.
8:00

Billy Ray zapukał i wsunął głowę do środka przez otwarte drzwi.

— Ochrona mówi, że schody są czyste, senatorze. Jesteście gotowi?

— Już idziemy — zapewnił Gregg. Skończył wiązać krawat i poprawił go na szyi.

Lalkarz czaił się jak gotowy do skoku kot, tuż pod powierzchnią. Ellen wyszła z sypialni i obrzuciła męża niespokojnym spojrzeniem. Gregg z wielką niechęcią uśmiechnął się do niej uspokajająco.

— Wszystko w porządku — zapewnił. — Po rozmowie z tobą poczułem się znacznie lepiej. Można powiedzieć, że wróciłem do normy. — Objął ją i pogłaskał po brzuchu. — W końcu nasze dziecko może mieć tatę prezydenta, tak?

Przytuliła się do niego i uściskała go bez słowa.

— Nasz chłopiec nadal cię kopie, kochanie?

— Skąd masz pewność, że to chłopiec? — zapytała żartobliwie i znowu go uściskała.

Gregg wzruszył ramionami. *Stąd, że moje dziecko to cholerny karłowaty dzoker, który powinien nie żyć. Stąd, że słyszałem, jak do mnie mówił.*

— Tak mi podpowiada intuicja, kochanie.

Poranne zebranie sztabu miało się odbyć w kwaterze głównej kampanii, piętro niżej. Gregg zawsze szedł tam schodami. Mógłby przywołać windę, ale wydawało mu się to stratą czasu. Teraz ten zwyczaj bardzo mu się przyda. Dokładnie wiedział, co musi zrobić.

Jesteś pewien? Jesteś pewien, że w ten sposób położysz temu kres? Moc wibrowała od pasji. Głos Lalkarza brzmiał natarczywie.

Nie jestem. Jeśli się nie uda, znajdziemy inny sposób. Obiecuję. Teraz, kiedy już wiemy, możemy stworzyć plan. Czekać i bądź gotowy.

Klatka schodowa brzydtko kontrastowała z korytarzami — brudne, betonowe pomosty połączone stromymi, metalowymi schodami. Oboje skinęli głowami do Alexa Jamesa, który jak zwykle stał tam na straży. Gdy Billy otworzył drzwi i przepuścił Ellen przed sobą, w klatce schodowej poniosły się echa. Gregg przytrzymał drzwi i skinął głową do Billy'ego, prosząc, by poszedł przed nim. *Nie chcę tego robić* — pomyślał senator. *Nie chcę.*

Nie mamy wyboru. W głosie Lalkarza pobrzmiwał głód.

Gregg przeskubał własną głowę w poszukiwaniu Gimlego, ale nic nie znalazł. Uwolnił Lalkarza.

Gdy Ellen zbliżyła się do stopni, moc uderzyła błyskawicznie. Lalkarz obawiał się, że jeśli się zawaha, Gimli znowu go powstrzyma. Wtargnął do jej od dawna otwartego umysłu i znalazł tam to, czego szukał.

Wszystko było na miejscu, jak się tego spodziewał. Lekkie zawroty głowy, gdy kobieta spojrzała w dół schodów, niepokojące poczucie braku równowagi, wywołane ciągnącym ją ku przodowi ciężarem brzucha. Lalkarz brutalnie wzmocnił obie te reakcje, tłumiąc jednocześnie wszystkie inne myśli wypełniające jej głowę. Gdy nadeszła krótka, nieunikniona chwila paniki, ją również wzmocnił.

Wszystko to trwało niespełna sekundę. Skutki były gorsze, niż oczekiwał Gregg.

Ellen zachwiała się i krzyknęła z przerażenia. Spróbowała złapać za poręcz, ale było już za późno.

Lalkarz w tej samej chwili przeskoczył do Billy'ego Raya i powstrzymał wypływ adrenaliny, spowodowany widokiem chwiejącej się Ellen, spowalniając w ten sposób nadzwyczajnie szybki refleks asa.

Sam Gregg nie mógłby nic zrobić, nawet gdyby chciał. Billy Ray blokował mu drogę. Ochroniarz skoczył odważnie w stronę kobiety. Zdołał musnąć palcami jej trzepoczącą rozpaczliwie kończynę, ale zacisnął dłoń w powietrzu. Ellen spadła. Wydawało się, że trwa to bardzo długo.

Gregg odepchnął na bok przerażonego Raya, który nadal wyciągał bezradnie rękę. Ellen leżała pod ścianą na pomoście. Oczy miała zamknięte, a z głębokiej rany na skroni płynęła krew. Gdy podszedł bliżej, otworzyła zamglone z bólu oczy. Spróbowała usiąść. Senator ją objął, a Ray krzykiem nakazał Jamesowi wezwać karetkę.

Kobieta jęknęła, łapiąc się nagle za brzuch. Między udami miała plamę jaskrawoczerwonej krwi. Otworzyła szeroko oczy.

— Gregg — wydyszała. — Och, Gregg...

— Tak mi przykro, Ellen. Mój Boże, tak mi przykro.

Wybuchła płaczem, oddychając spazmatycznie. Płakał razem z nią, z żalu za dzieckiem, które mogło się narodzić. Jednocześnie inna część jego jaźni triumfowała.

Przez chwilę nienawidził Lalkarza.

9:00

Thum, który zebrał się tu na śniadanie, już się rozchodził. Przychodzący tu ludzie — zarówno czarni, jak i biali — wszyscy zaliczali się do klasy pracującej i musieli iść do roboty. Spector zdecydowanie wolał jeść tutaj, a nie w Marriotcie. Tam spotykał zbyt wielu ludzi, których miał ochotę zabić, a po wydarzeniach wczorajszego wieczoru był w wyjątkowo podłym nastroju. Z uwagą przeglądał poranną gazetę, ale jak dotąd nie znalazł żadnej wzmianki o tym, że Tony wyładował w szpitalu po ataku antydzokerskich zbirów.

Pozwolił, by Shelly załatwiła formalności w szpitalu. Nie chciał być na miejscu, gdy zjawią się gliny i zaczną zadawać pytania. Nie było sensu ryzykować.

Dziwnie na niego popatrzyła, kiedy się oddalił, ale wiedział, że go nie wyda. Upewniła się, że jest po ich stronie, i to jej wystarczy.

Skończył jeść zapiekane ziemniaki z bekonem.

Kawa była gorąca i ciągle dolewali ją do kubka na nowo, więc na razie nigdzie się nie wybierał. Zresztą zaczynał już tracić entuzjazm do tej roboty. Może powinien odwiedzić Tony'ego w szpitalu i zmyć się z miasta.

Zdecyduje później. Na razie odpręży się i nie będzie się w nic wtrącał.



W poczekalni dziennikarze ustawili się w sześciu szeregach. Gregg widział ich za każdym razem, gdy otwierały się drzwi. Blask przenośnych lamp, seria elektronicznych fleszy, jazgot wykrzykiwanych pytań. Wieści o wypadku Ellen rozeszły się szybko. Wszyscy czekali w szpitalu jeszcze przed przybyciem karetki.

Bill Ray opierał się o ścianę z niezadowoloną miną.

— Jeśli pan chce, każę ochronie ich przegonić, senatorze. To stado sępów. Karmią się padliną.

— Spokojnie, Billy. Oni tylko wykonują swoją robotę. Nie przejmuj się nimi.

— Senatorze, byłem bardzo blisko. — Billy zacisnął pięść przed swoją twarzą, krzywiąc się z niezadowoleniem. — Mogłem ją złapać. To moja cholerna wina.

— Billy, nie rób tego. To nie twoja wina. Nikt nie jest winien. — Gregg siedział na leżance przed salą operacyjną, kryjąc twarz w dłoniach w starannie wypracowanej pozie zrozpaczonego męża. Lalkarz był zachwycony. Wznosił się na fali bólu Ellen, napawając się nim. Nawet gdy spowijała ją mgiełka środków znieczulających, potrafił sprawić, że wiła się z bólu. Jej strach o dziecko miał zimną barwę ciemnego błękitu, ale Lalkarz nadał mu szafirowy odcień, nasycony do granic bólu, który przechodził stopniowo w pomarańczowoczerwoną łunę odniesionych przez kobietę ran. Ale lepszy, znacznie lepszy, był Gimli. Osobowość karła, która połączyła się z dzieckiem senatora, cierpiała męki, i żadne leki nie łagodziły tego bólu, nic nie mogło powstrzymać Lalkarza przed jego zwielokrotnieniem. Gregg czuł, jak Gimli dusi się, dławi i krzyczy w macicy Ellen.

Lalkarz się śmiał. Śmiał się, kiedy dziecko umierało, ponieważ Gimli konał razem z nim. Śmiał się, ponieważ obłęd wreszcie się skończył. Powolna, straszliwa śmierć nienarodzonego dziecka była smaczna. Była dobra. Senator czuł to wszystko jak przez zasłonę. Rozszczepił się na dwoje.

Ta jego część, która była Greggiem, czuła się przerażona i zniesmaczona triumfalną reakcją Lalkarza. Ten Gregg raczej płakał, niż się śmiał.

Nie powinieneś czuć ulgi. Umiera twoje dziecko, część ciebie. Pragnąłeś go, a teraz je tracisz. I Ellen... ona cię kocha, nawet bez Lalkarza, a ty ją zdradziłeś.

Dlaczego się nie smucisz, ty sukinsynu?

Ale Lalkarz drwił tylko z tego. *Gimli je opętał. To nie było twoje dziecko. Już nie. Lepiej, żeby umarło. Lepiej, żeby nas nakarmiło.*

Gregg słyszał w głowie płacz Gimlego. Dźwięk brzmiał niesamowicie. Lalkarz chichotał, słysząc przepajające go ból i rozpacz.

Płacz przerodził się nagle w nasilający się, pełen desperacji wrzask. Dźwięk osiągał coraz wyższą tonację, ale po chwili zaczął cichnąć, jakby Gimli wpadał w głęboką, mroczną czeluść.

Potem zapadła cisza. Lalkarz jęknął w orgazmie.

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się nagle i pojawiła się lekarka w przepoconym zielonym kombinezonie. Przywitała Gregga i Raya skinieniem głowy. Na jej twarzy widniał smutny grymas. Gdy podeszła do nich, Gregg wstał.

— Jestem doktor Levin — przedstawiła się. — Pańska żona teraz odpoczywa, senatorze. To był straszliwy upadek dla kobiety w jej stanie. Powstrzymaliśmy krwotok wewnętrzny i zaszyliśmy ranę głowy, ale zostaną jej paskudne siniaki. Potem zrobimy zdjęcie stawu biodrowego. Miednica nie jest złamana, ale chcę się upewnić, czy nie ma pęknięć. Zatrzymamy ją dzień albo dwa na obserwacji, ale powinna wrócić do siebie.

Kobieta umilkła. Gregg wiedział, że czeka na jego pytanie.

— A co z dzieckiem?

Lekarka zacisnęła usta.

— Nie mogliśmy mu pomóc. Swoją drogą, to był chłopiec. Doszło do wypadnięcia pępownicy i oderwania łożyska od ściany macicy. Dziecko przez kilka minut było odcięte od dostępu tlenu. Doznało też obrażeń wewnętrznych... — Kolejny grymas. Kobieta zatarła ręce, zaczerpnęła głęboki oddech i spojrzała na Gregga ze współczuciem w ciemnych oczach. — Zważywszy wszystko razem, tak chyba będzie lepiej. Przykro mi.

Billy walnął pięścią w drzwi, wybijając w drewnie nierówną, najeżoną drzazgami dziurę. Na jego ręce pozostały długie, głębokie zadrapania. Zaczął przeklinać, cicho i nieprzerwanie. Lalkarz spróbował karmić się jego poczuciem winy, ale Gregg ponownie zepchnął go pod powierzchnię. Po raz pierwszy od wielu tygodni moc posłusznie ustąpiła. Senator przez chwilę wpatrywał się w ścianę.

Gdy Lalkarz wreszcie się nasycił, pozostała część jego osobowości mogła pograć się w żalobie.

Przełknął z wysiłkiem ślinę i wziął się w garść.

Kiedy się odwrócił, zauważył, że z oczu lekarki płyną szczere łzy.

— Chciałbym się teraz zobaczyć z żoną — oznajmił. W jego głosie pobrzmiwało wspaniałe przygnębienie i cudowne wyczerpanie. Stanowczo zbyt mała część tego była udawana.

Doktor Levin popatrzyła na niego, uśmiechając się ze zrozumieniem.

— Oczywiście, senatorze. Proszę pójść za mną.

10:00

Gdy tylko Jack usłyszał o wypadku Ellen, jego pierwsza myśl zabrzmiała:

Tak jest. Ukryty as.

— Gdzie jest teraz senator?

— W szpitalu.

— A Ray?

— Towarzyszy mu.

Może Billy zdoła powstrzymać dziwoląga. Jack miał na głowie inne sprawy.

Czuł w kieszeni na piersi zimny ciężar strzępków notatek Sary. Rozejrzał się wkoło i zobaczył ludzi pracujących na rzecz Hartmanna, którzy kręcili się wokół kwatery głównej kampanii bez celu i bez słowa. Wyglądali jak ocalali z katastrofy. Zapewne było to trafne wrażenie.

Jack doszedł do wniosku, że ukryty as postanowił najpierw załatwić Hartmanna, ponieważ to on miał poparcie największej liczby delegatów. Tylko w ten sposób można było wyjaśnić wszystkie niekorzystne wydarzenia, do których doszło, od faktu, że wszystkie ważniejsze stacje zaczęły nadawać reklamy w chwili, gdy Carter udzielał poparcia senatorowi, poprzez zamieszki podczas debaty nad platformą wyborczą aż po poronienie Ellen.

Na tę ostatnią myśl w Jacku zapłonął gniew. Ukryty as atakował nie tylko kandydatów, lecz również bliskie im cywilne osoby.

Sara Morgenstern, która знаła tożsamość asa, zniknęła. Szukał jej przez całą noc, razem z agentami Secret Service.

Devaughn opuścił kwaterę główną. Podobnie jak Amy. Jack podszedł do telefonu i zamówił tysiąc jeden róż. Zapłacił kartą kredytową i polecił dostarczyć je do pokoju Ellen. Następnie udał się do studia medialnego, znalazł wolny odtwarzacz wideo oraz trochę kaset z nagraniami wystąpień innych kandydatów oraz ich oficjalnymi biografiami. Zabrał to wszystko do swojego pokoju.

Być może kampania Gregga Hartmanna rzeczywiście już się skończyła. Złoty Chłopiec nie potrafił tego ocenić, a zresztą i tak nie mógłby nic na to poradzić.

Jedno wiedział na pewno. Zadzwoń do Rodrigueza, przekaże mu kierownictwo nad delegacją i powie, by we wszystkich kolejnych głosowaniach oddawał w jego imieniu głosy na Hartmanna. On miał na głowie inne sprawy. Będzie szukał ukrytego asa.



Mimo że hotel był twierdzą zamkniętą przed światem zewnętrznym, ten

świat i tak wnikał do środka na subtelne sposoby, wykorzystując tłum delegatów i kreatur z prasy.

Mackie wyczuwał, że jest ranek. Mówiło mu to światło, które zdołało się wdrzeć do budynku, i smak Chłodzonego Porcjowanego Produktu Powietrznego wydzielanego przez klimatyzację. A może po prostu jako hamburski szczur portowy czuł instynktowny lęk przed porankiem i potrafił wyczuć jego woń, kiedy ten czaił się na dworze.

Ręce wepchnął głęboko w kieszenie i równie głęboko pograżył się we wspomnieniach. Czasami, kiedy był młodszy i znowu spierdolił jakąś sprawę, matka wynurzała się na moment z alkoholowej mgły, i mówiła: „Detlev, jestem tobą bardzo rozczarowana”, zamiast po prostu nakrzyczeć na niego i przywalić mu czymś, co akurat miała pod ręką. Tego właśnie nienawidził najbardziej. Krzyki mógł zignorować, a przed biciem nauczył się bronić w ten sposób, że pochylał głowę, kryjąc ją boleśnie między asymetrycznymi barkami, i odwracał się. Ale rozczarowanie trafiało go w czuły punkt. Przed nim nie miał obrony.

Każda cząstka jego życia była dla kogoś rozczarowaniem. Poza chwilami, gdy jego ręce zmieniały się w stal, stawały się nożami. Kiedy płynęła krew, nie było rozczarowania, o nie.

Aż do dwóch ostatnich dni. Dwie szanse, dwa niepowodzenia. Jedynym jego sukcesem był jakiś przypadkowy czarnuch w garniturze wartym więcej niż całe ciało Mackiego. Myślał, że przynajmniej tego wielkiego złotego fiuta szlag trafi, kiedy wyleciał wczoraj przez balustradę, ale dziś rano pokazywali w wiadomościach, że rozwalił fortepian, ale jemu nic się nie stało.

Przynajmniej to jedno ucieszyło Mackiego. Skurwysyński pianista nigdy nie grał jego piosenki.

Zauważył przed sobą, jak dwóch ochroniarzy w ciemnych garniturach zaprowadziło pod ścianę faceta z torbą na ubranie przewieszoną przez ramię, wyprowadzając go z tłumu. Przycisnęli go, jak zawsze robią to psy, kiedy wiedzą, że kogoś dorwały. Mackie usłyszał strzępek rozmowy.

— Daję słowo, przed chwilą miałem identyfikator. Ktoś musiał mi go zerwać w tym tłoku...

Mackie uśmiechnął się pogardliwie. On nie potrzebował identyfikatorów. Nie musiał wykręcać się kłamstwami łatwymi do przejścia jak uśmiech kurwy, by dostarczyć rozrywki psom obrzucającym go drwiącymi spojrzeniami z ukosa. Nadal był Mackiem MacHeathem zwanym Majchrem, równie wielkim jak legenda o nim, a nie robakiem, takim jak ten natol.

Zmienił fazę i przemknął niepostrzeżenie przez tłum, zmierzając w stronę ściany, ku spotkaniu z miłością i rozczarowaniem.



John Werthen zdołał zorganizować prowizoryczną konferencję prasową w szpitalnym pomieszczeniu służącym jako sala wykładowa bądź gimnastyczna. Gdy Amy okrążyła z Greggiem niewielką mównicę, John wyczuł nagły impuls niezadowolenia płynący z jej strony.

— John, ty dupku — wyszeptała, po czym zerknęła z poczuciem winy na Gregga. Salę wykorzystywano wczoraj do nauki techniki Lamaze’a. W kącie stały tablice przedstawiające fazy porodu, rozwarcie szyjki macicy oraz różne położenia płodu. Wyglądało to niemal na szyderstwo.

Musiałeś to zrobić — powiedział sobie pośpiesznie. *Nie miałeś wyboru.*

— Przepraszam, senatorze — odezwała się Amy. — Każę komuś to wynieść.

— Nic nie szkodzi — uspokoił ją Gregg. — Nie przejmuj się tym.

Tragiczna śmierć nienarodzonego dziecka Hartmannów stała się największą sensacją konwencji. Pogłoski szerzyły się niczym pożar: Hartmann wycofa się z wyścigu; Hartmann zgodził się przyjąć pozycję wiceprezydenta za Dukakisem, Jacksonem albo nawet Barnettem. Hartmann był prawdziwym celem ataku przeprowadzonego przez terrorystów Nura; jednocześnie doszło do prób zamachów na wszystkich pozostałych kandydatów; z upadkiem Ellen miał coś wspólnego jakiś dzoker: nie, to dziecko było dzokerem; Carnifex zepchnął Ellen ze schodów albo przypatrywał się biernie jej upadkowi; Barnett oznajmił, że to była ręka Boga; Barnett wezwał Hartmanna do wspólnej modlitwy i senator się zgodził.

Wszystko to miało lekko niezdrową aurę. Atmosfera cyrku przerodziła się w coś pośredniego między grozą a fascynacją.

W sali panowała niemal nienaturalna cisza.

— Senatorze, jeśli jest pan gotowy... — odezwała się Amy. Oczy miała czerwone i opuchnięte. Odkąd przybyła do szpitala, od czasu do czasu wybuchała płaczem.

Lalkarz już o to zadbał. Spojrzała na Gregga i oczy znowu wypełniły jej łzy. Senator uściskał kobietę bez słowa, pozwalając Lalkarzowi chleptać jej smutek.

To nie sprawiało mu trudności. Z Lalkarzem wszystko było łatwe.

Amy rozsunęła przed nim kurtynę i wyszedł w znajomy blask świateł. Całą salę wypełniał gęsty tłum — z przodu dziennikarze, a za nimi popierający Hartmanna uczestnicy konwencji, pomieszani z dzokerami oraz pracownikami szpitala. Amy i John chcieli pozwolić na wstęp tylko przedstawicielom prasy, ale Gregg zdecydował inaczej. Szpital oblegała wielka grupa dzokerów i nalegał, by ich również wpuścić. Gdy sala wypełniła się całkowicie, ochrona zablokowała drzwi. W widocznych za oknami korytarzach również kłębił się gęsty tłum.

— Wpuście wszystkich — rzekł Rayowi Hartmann. — To są nasi ludzie. Wiemy, dlaczego czują się zatroskani. Jeśli są czyści, pozwólcie im tu zostać, dopóki nie opuścimy sali. Ufam ci, Billy. Wiem, że nie stanie się nic złego.

Ray był mu niemal żałośnie wdzięczny za te słowa. To również miało dobry smak.

Gregg podszedł powoli do mównicy, opuścił głowę i złapał się pulpitu. Następnie zaczerpnął głęboki oddech, słysząc, jak jego dźwięk odbija się echem od pokrytych kafelkami ścian.

Lalkarz wyczuwał skierowane ku Greggowi współczucie. Napawał się nim. Senator widział ich lalki wmieszane w ciżbę — Fistaszka, Pilnika, Gębę Ćmy i kilkunastu innych, tylko w pierwszych szeregach. Wiedział z doświadczenia, że tłum to bestia, nad którą można bez trudu zapanować. Wystarczy przejąć kontrolę nad niewielką grupką. Reszta podąży za nią.

To będzie łatwe. Łatwe jak bułka z masłem. Nienawidził tej świadomości.

Gregg pochylił z powagą głowę.

— Naprawdę... naprawdę nie wiem, co... — przerwał celowo i zamknął oczy. Poza Hartmanna biorącego się w garść. Od strony audytorium dobiegło stłumione łkanie. Delikatnie pociągnął za dziesiątki mentalnych sznurków i poczuł ruchy swych lalek. — ...nie wiem, co mam powiedzieć wam wszystkim — podjął, pozwalając, by jego głos zadrżał lekko. — Lekarze przekazali już wam wszystkie szczegóły. Hmm, chciałbym was zapewnić, że Ellen czuje się już dobrze, ale to właściwie nie byłoby prawdą. Powiedzmy, że czuje się tak dobrze, jak to tylko możliwe w podobnej sytuacji. Fizyczne obrażenia się zagoją, jeśli zaś chodzi o resztę, no cóż... — znowu przerwał, pochylając na moment głowę. — Reszta będzie wymagała długiego czasu. Słyszałem, że cały jej pokój wypełniają już kwiaty oraz kartki pocztowe wysłane przez niektórych z was. Prosiła, żebym wam podziękował. Będzie potrzebowała waszego wsparcia i modlitw, a także waszej miłości.

Wskazał na Amy.

— Zamierzałem poprosić moją asystentkę, panią Sorenson, by przeczytała wam moje oświadczenie. Miałem już gotowy tekst. Chciałem wam powiedzieć, że wycofuję się z wyścigu prezydenckiego z powodu... nieszczęśliwego wypadku, do którego dziś doszło. Przeczytałem nawet to oświadczenie Ellen, ale później poprosiła mnie o kartkę, na której było ono napisane. Oto, co mi oddała.

Czekali posłusznie na jego słowa. Lalkarz pociągnął za sznurki.

Gregg sięgnął do kieszeni. Kiedy wyciągnął z niej rękę, była zaciśnięta w pięść. Odwrócił ją i otworzył. Na parkiet posypały się kawałki papieru.

— Powiedziała mi, że już straciła syna i nie zamierza stracić całej reszty — zakończył cicho.

Lalkarz pociągnął mocno za sznurki, otwierając umysły ukrytych w tłumie lalek. Szepty nasiliły się, osiągając szczyt, a potem umilkły, przechodząc w aplauz dobiegający z tyłu sali, gdzie zgromadzili się dzokerzy. Brawa wkrótce ogarnęły całe audytorium. Większość obecnych wstała z krzeseł. Uderzali w dłonie, śmiejąc

się i płacząc jednocześnie. W sali zrobiło się nagle głośno jak na nabożeństwie zielonoświątkowców. Wszyscy kołysali się, krzyczeli i płakali, mieszając ze sobą radość i żalobę. Gregg widział Fistaszka, który podskakiwał szaleńczo, machając swą jedyną ręką. Usta dzokera były czarną raną w pokrytej twardą skorupą twarzy. Ekscytacja pobudziła dzokerską modyfikację Świetlika. Jego pulsujący blask szedł o lepsze z elektrycznymi fleszami.

Kamery obracały się nieustannie, rejestrując tę niezwykłą ceremonię. Reporterzy szeptali z pasją do mikrofonów. Gregg stał spokojnie, unosząc pustą dłoń nad strzępkami podartej kartki. Po chwili pozwolił, by ręka mu opadła, i uniósł głowę, jakby dopiero w tej chwili usłyszał hałas rozentuzjasmowanego tłumu. Potrząsnął głową, udając zdumienie.

Jego moc wpadła w ekstazę. Gregg przejął dla siebie część tej ukradzonej reakcji i wciągnął gwałtownie powietrze, poczuwszy jej czystą, nieskażoną moc. Uniósł ręce, prosząc o ciszę. Lalkarz poluzował nieco sznurki. Minie sporo sekund, nim ktokolwiek będzie mógł znowu usłyszeć senatora.

— Dziękuję — zaczął Gregg załamującym się głosem. — Dziękuję wam wszystkim. Myślę, że to raczej Ellen zasługuje na to, by zostać waszą kandydatką. Pracowała równie ciężko jak ja, może nawet ciężiej, choć była zmęczona ciążą, a rano dokuczały jej mdłości. Jeśli delegaci mnie nie zaakceptują, może zgłosimy jej kandydaturę.

To wywołało kolejne brawa, a nawet głośne okrzyki, przerywane niekiedy bliskim płaczu śmiechem. Przez cały ten czas Gregg przyglądał się tłumowi z bladym, wysiłonym uśmiechem, który nie miał w sobie nic z Lalkarza. Jakaś część jego jaźni po prostu obserwowała to wszystko ze wzdargą.

— Chciałem tylko was zawiadomić, że nie rezygnujemy z walki. Wiem, że Ellen ogląda nas z łóżka i pragnie, bym podziękował wam wszystkim za okazane wsparcie oraz współczucie. A teraz chciałbym do niej wrócić. Pani Sorenson odpowie na wasze pytania. Raz jeszcze dziękuję wam wszystkim. Amy...

Gregg uniósł ręce na pożegnanie. Lalkarz pociągnął mocno. Nagrodzili go głośnym aplauzem. Po ich policzkach spływały łzy. Odzyskał wszystko.

Wiedział, że triumf już mu się nie wymknie. Większa część jego jaźni była zachwycona.

14:00

Przez gipsowo-kartonowe ściany taniego pokoju hotelowego przesączały się dźwięki mydlanej opery. Na ekranie ustawionego w pokoju telewizora młoda, ładna dzokerka o jaskrawoniebieskiej skórze próbowała odgadnąć hasło na podstawie wskazówek pozostawionych przez Henry'ego Winklera. Owinięta w tani sztywny szlafrok kupiony przez jej tajemniczego dobroczyńcę na wyprzedaży w Kmarcie, Sara siedziała na końcu łóżka i gapiła się na ekran, jakby to, co na nim

pokazywano, miało jakiegokolwiek znaczenie.

Nadal starała się złożyć w całość okruchy rozbitego szkła, jakimi były telewizyjne wiadomości. Żona senatora Gregga Hartmanna poroniła po tragicznym upadku. Senator odważnie powstrzymywał żalobę, walcząc o polityczne przetrwanie na konwencji. Oto przykład walecznego ducha, jakiego potrzebuje Ameryka, by poprowadził ją w lata dziewięćdziesiąte. To przynajmniej sugerował głos komentatora. A może to była tylko żądza krwi w uszach Sary.

Skurwysyn. Potwór. Poświęcił żonę i nienarodzone dziecko dla ratowania swej politycznej skóry.

Z zasłon, w które spowiły wspomnienie o podróży dookoła świata, wyłoniła się twarz Ellen Hartmann. Błady, odważny uśmiezek, świadomy i wyrozumiały... nieskończenie tragiczny.

A teraz była bliska śmierci. Straciła dziecko, którego tak bardzo pragnęła.

Sara nigdy nie była wojującą feministką, widzącą wszystkie związki międzyludzkie w kategoriach wielkich kolektywów, politycznej synekdochy, w której każdy mężczyzna reprezentował Mężczyzn, a każda kobieta Kobiety.

To jednak ją zabolalo, zadało jej ranę sięgającą do głębi. Rozgorzał w niej gniew na krzywdę, która spotkała Ellen, ją samą i wszystkie ofiary Hartmanna, zwłaszcza kobiety.

A także Andreę.

Podczas przeprowadzonej wczesnym rankiem rozmowy mężczyzna, który zabrał ją z hotelu, gdy policyjne radiowozy zmierzały ku scenie najnowszej bitwy z wyciem syren i czerwono-niebieskim blaskiem kogutów, coś jej zasugerował. Obiecała, że zastanowi się nad tym, nim odszedł, by załatwić jakieś swoje sprawy. Nawet dziennikarska ciekawość nie skłoniła jej do zainteresowania się ich naturą. Jego sugestia zabrzmiała dość naturalnie w ustach człowieka, który sam przyznawał, że jest sowieckim agentem, niemniej była szokująca dla dziewczyny ze środkowego zachodu przesadzonej do ogrodu neurastenicznych nowojorskich intelektualistów, nawet takiej, która lubiła się przechwalać, że nauczyła się twardości na ulicach i w zakamarkach Dżokerowa.

Niemniej jednak... Gregga Hartmanna trzeba było powstrzymać. Gregg Hartmann musiał ponieść karę.

Ale Sara Morgenstern nie chciała umierać. Nie chciała wchodzić — zupełnie niełagodnie — do tej nocy, której nie uważała za dobrą. A taka była implikacja sugestii George'a Steele'a — nie do końca ukryta, ale też nie wypowiedziana jawnie.

Ale jakie mam szanse z tym... stworzeniem, które mnie ściga?
Z roześmianym, garbatym chłopakiem w skórzanej kurtce, który nucił pod nosem i przenikał przez ściany. Nie mogła ukrywać się wiecznie, a kiedy wreszcie ją znajdzie...

Potrząsnęła głową, oślepią nagłymi gorącymi łzami. Kosmyki włosów smagały jej policzki.

Na ekranie niebieskoskóra kobieta zgarnęła na koniec kupę forsy. Sara miała nadzieję, że to ją uszczęśliwi.

15:00

— Przestań to robić.

Nieustanny, gniewny szelest przerzucanych stron czasopisma nagle umilkł.

— Dlaczego? — zapytał wyzywającym tonem Blaise.

Tach powściągnął złość i nalał sobie kolejną brandy.

— Próbuje się zastanowić, a to zaiste mnie irytuje.

— Kiedy się wkurzysz, zawsze używasz staromodnych wyrazów.

— Blaise, proszę.

Tachion zadzwonił do pokoju Sary, opierając telefon poniżej podbródka. Żałobny ton odległego sygnału rozbrzmiewał raz po raz.

Takizjanin zabębnił palcami w blat, zakończył połączenie i zadzwonił na recepcję. Czasopismo Blaise'a pofrunęło na drugi koniec pokoju jak przerażony ptak.

— Nudzę się, kiedy tak tu siedzę i gapię się na twoje głupie zachowanie. Chcę wyjść.

— Utraciłeś to prawo.

— Nie chcę być przy tym, jak przyjdzie po ciebie CIA — oznajmił chłopiec ze złośliwym uśmiechem.

— Niech cię szlag.

Tachion uniósł pięść i popędził w stronę chłopaka. Pukanie do drzwi powstrzymało go, nim zdążył uderzyć wnuka. W korytarzu stali Hiram i Jay Ackroyd. Restaurator wyglądał jak śmierć na chorągwi. Twarz Ackroyda była opuchnięta i widziało się na niej mnóstwo kolorów, jakich nie powinno tam być. Takizjanin poczuł, że żołądek zwinął mu się w małą kulę i próbuje się cofnąć do rdzenia kręgowego. Kosmita odsunął się, z niechęcią wpuszczając gości.

Hiram podszedł powoli do okna. Tachion zauważył, że po raz pierwszy, odkąd się znali, restaurator nie korzysta ze swej mocy, by zmniejszyć własny ciężar.

Kroki Worchestera niosły się echem po pomieszczeniu. Ackroyd usiadł na sofie, stawiając przy nodze torbę z ubraniami. Cisza spowiła trzech mężczyzn i chłopaka na podobieństwo pajęczyny.

Ackroyd wskazał nagle głową na drzwi.

— Przełoń stąd dzieciaka.

— Hej! — sprzeciwił się wnuk Tachiona.

— Blaise, zostaw nas.

— Myślałem, że utraciłem to prawo — odparł chłopak z drwiącym uśmiechem.

— Wyjdź, do cholery!

— Cholera, akurat kiedy zaczęło się dziać coś ciekawego! — Blaise uniósł rękę, kierując je wewnętrznymi stronami do przodu. — Hej, nie ma sprawy. Już sobie idę.

Drzwi zamknęły się za nim i znowu zapadła cisza. Podenerwowany Tachion wyciągnął rękę.

— Hiram, co to jest, do licha?

As nie odpowiedział.

— Doktorze, musisz zrobić próbę krwi — odezwał się Ackroyd. — Natychmiast.

Takizjanin uśmiechnął się drwiąco, zataczając krąg ręką.

— Słucham? Tutaj?

Detektyw skrzywił się z niezadowoleniem.

— Nie udawaj głupiego. Jestem zbyt zmęczony i za bardzo mnie boli, żeby mieć ochotę na takie zabawy. — Jego palce zdrząły lekko, gdy otwierał torbę. — To jest marynarka, którą senator Hartmann nosił w Syrii.

Tachion ze ślepym przerażeniem gapił się na czarną plamę na tkaninie.

To koniec. Nie mógł już dłużej odwlekać odkrycia w imię pokrętej interpretacji takizjańskiego honoru. Stara krew potwierdzi zarzuty Sary albo im zaprzeczy.

— Skąd to macie?

— To długa historia i żaden z nas nie ma czasu na jej opowiedzenie — odparł ze znużeniem Ackroyd. — Powiedzmy tylko, że dostałem ją od Poczwarki. To było... hmm... coś w rodzaju spadku.

Tachion odchrząknął.

— A co twoim zdaniem mogę tam znaleźć?

— Ksenowirusa Takis-A.

Poruszając się jak automat, kosmita podszedł do serwantki, napełnił sobie kieliszek i szybko przełknął brandy.

— Widzę marynarkę. Każdy może kupić sobie taki strój i zanieczyścić go krwią zarażoną wirusem.

— Ja też tak pomyślałem — odezwał się ochryplym głosem Hiram. — Ale on — wskazał głową na Ackroyda — przeszedł zbyt wiele. Szlak wiodący z Syrii do tego pokoju został wysledzony. To marynarka sena... Hartmanna.

Tachion obrócił się powoli ku niemu.

— Czy chcesz, żebym to zrobił?

— A czy mamy wybór?

— To prawda. Zapewne nie mamy.



Przez całą drogę do Marriotta Lalkarz podsycił poczucie winy dręczące Billy'ego Raya. To była pyszna przekąska, kwaśna i doprawiona frustracją. Gregg wyczuwał, że Ray co chwila przeżywa na nowo upadek Ellen i za każdym razem czuje, jak jego palce muskają jej dłoń. Billy siedział z przodu limuzyny i stanowczo zbyt uważnie śledził ruch uliczny, mrugając co chwila za lustrzankami. Carnifex miał wielką ochotę uderzyć coś albo kogoś.

To takie proste — stwierdził z chichotem Lalkarz. *Zrobiliby wszystko, gdyby tylko uwierzył, że w ten sposób odpokutuje swój błąd.*

Pamiętaj o tym — rzekł mu Gregg. *Może dziś w nocy.*

Teraz, gdy już było po wszystkim, zaczynał się czuć normalnie. Znieczulenie i wrażenie rozdwojenia mijały. Jakaś część jego jaźni nadal nienawidziła tego, co uczynił, ale jaki miał wybór?

Nie miał żadnego. Nawet najmniejszego.

Nie pozostało mu nic innego, tak? Absolutnie nic.

Lalkarz był bardzo zadowolony z siebie.

Gdy Billy otworzył przed Greggiem drzwi kwatery głównej kampanii, do środka wpadła kartonowa Sokolica. Ktoś zamalował na białą jej kostium kąpielowy i narysował włosy łonowe oraz olbrzymie brodawki na nagich piersiach. Na boku napisano za pomocą szablonu „Latająca Pizda”.

W apartamencie panował radosny chaos. Gregg zauważył w jednym z pomieszczeń Jacka Brauna. Towarzyszyli mu Charles Devaughn i Logan. W salonie skupiła się chyba z połowa delegatów. Popijali alkohol zmagazynowany w barku i czekali na okazję spotkania z Devaughnem. Niżsi rangą członkowie sztabu siedzieli przy telefonach, a ochotnicy wciąż przychodzili z nowymi sprawami, na podłodze przy drzwiach stały sterty tac, a dywan aż lepiał się od rozlanych napojów. Cuchnęło tu pizzą sprzed tygodnia.

Po wejściu do środka senator natychmiast przyjrzał się nastrojowi zebranych. Lalkarz wyczuł, że nastrój histerycznej radości sposepniał nagle. Hałasy ucichły. Wszyscy zwrócili się w stronę Gregga.

Devaughn oddalił się od Jacka i Logana, a następnie przedarł przez zatłoczony pokój.

— Senatorze? — odezwał się. — Wszystkim nam jest bardzo przykro. Jak się czuje Ellen?

Lalkarz wyczuwał w szefie kampanii bardzo niewiele troski czy smutku. Devaughn nie przejmował się niczym, co nie dotyczyło go bezpośrednio, a jeśli coś go dotyczyło, nawet najdrobniejsza sprawa stawała się poważnym kryzysem. Gregg pokiwał głową.

— Bardzo się stara udawać, że czuje się lepiej niż w rzeczywistości. To był

cios dla nas wszystkich, ale szczególnie dla niej. Nie zostanę tutaj długo, Charles. Muszę szybko wracać do szpitala. Chciałem tylko sprawdzić, jak wam idzie. Wiem, że ostatnio nie pomagałem wam zbyt wiele...

— I tu właśnie się mylisz, senatorze. Ta konferencja prasowa w szpitalu... — Devaughn potrząsnął głową. Jego ostrzyżone w typowym dla yuppies stylu włosy pozostały nieruchomo na miejscu. — John właśnie spotyka się z delegatami z Florydy, Georgii i Missisipi. Wygląda na to, że uda się nam zwinąć Barnettowi mnóstwo południowych delegatów Gore'a. Oni bardzo mocno wierzą w wartości rodzinne i takie tam rzeczy. Możemy z łatwością odwołać się do ich współczucia.

Devaughn nawet nie zauważył, jak nietaktowne są jego słowa, mimo że jego asystenci wciągnęli głośno powietrze.

— Jezu... — zaczął nawet jeden z nich.

— Rozmawiałem z Jackiem i zachód wygląda pewnie — ciągnął szef kampanii, nie zwracając uwagi na ich reakcję. — Zwycięstwo jest w zasięgu ręki, senatorze — zapewnił z pasją. — Do zdobycia większości brakuje nam sto pięćdziesiąt, góra dwieście głosów, a fala odwróciła się na naszą korzyść. Jeszcze dwa głosowania, najwyżej trzy. Barnett dryfuje, nie zmierza donikąd, a my zgarniamy dezertów ze wszystkich pozostałych obozów. Został nam tylko wybór wiceprezydenta. Lepiej zacząć się zastanawiać nad tą decyzją.

Niektórzy z otaczających ich ludzi krzyknęli radośnie, słysząc te słowa. Gregg pozwolił sobie na drobny uśmieszek. Jack podążył za Devaughnem i stał teraz obok niego. Skrzywił się, słysząc jego przemowę. Lalkarz wyczuł w nim lekką nutę niesmaku.

— Przykro mi, Gregg — odezwał się, przesywając szefa kampanii wściekłym spojrzeniem. — Naprawdę. Nikt nie miałby ci za złe, gdybyś się wycofał. Ja chyba bym tak zrobił w podobnej sytuacji. Wiem, że nic, co ktokolwiek mógłby powiedzieć, nie ulży twoim cierpieniom.

— Dziękuję, Jack. — Gregg złapał Złotego Chłopca za bark, westchnął głęboko i wzruszył demonstracyjnie ramionami. — Możesz w to wierzyć lub nie, ale twoje słowa coś dla mnie znaczą. Posłuchaj, wpadłem tu między innymi z twojego powodu. Ellen prosiła, żebym zobaczył się z tobą i Tachionem. Chyba chce się upewnić, że strzegą mnie ludzie godni zaufania.

Gregg poczuł, że Billy Ray wzdrygnął się, ponownie przesyty poczuciem winy. Podkreślił je dodatkowo, by Lalkarz mógł się nim nasycić, a także dlatego, że po raz pierwszy od kilku tygodni mógł to zrobić bezpiecznie. Ray zaczerpnął głośny oddech.

— Tachy chyba jest w Omni — stwierdził Jack.

— Czy mógłbym cię prosić o przysługę? Chciałbym, żebyś go znalazł i zaciągnął do Marriotta. Odwiedzimy razem Ellen, jeśli nie będziecie mieli nic przeciwko temu.

Załatwienie tego nie sprawiło mu trudności. Ellen od dawna była jego lalką i z czasem stała się wyjątkowo uległa. Takie spotkanie jeszcze bardziej wzmocnił dobry PR, który zawdzięczał wypadkowi. Widział już oczami wyobraźni zdjęcie przedstawiające senatora Hartmanna, Złotego Chłopca i doktora Tachiona przy łóżku pani Hartmann. Usta Brauna wykrzywiły się w lekkim grymasie, co sugerowało, że as doszedł do podobnych wniosków. Wzruszył ramionami.

— Pewnie tak. Pójdę sprawdzić, czy da się to zrobić.

— Świetnie — ucieszył się Gregg. — Zaczekam na was w pokoju.

16:00

Jack nie znalazł Tachiona w Omni i postanowił, że odwiedzi Ellen bez niego. Nie miał serca powiedzieć kandydatowi, że kosmita zapewne siedzi w Marriotcie i pieprzy się z Fleur van Renssaeler.

Gdy limuzyna sunęła powoli w stronę szpitala przez zapchane ulice, Hartmann przez cały czas wpatrywał się w tył głowy Billy'ego Raya.

Jack zastanawiał się nad ukrytym asem. Jeśli wierzyć fragmentowi fotokopii Sary, musiał to być były żołnierz, który w jakiś sposób zdołał utajnić wyniki testu. To eliminowało Jessego Jacksona, który jako student seminarium był zwolniony ze służby wojskowej. Wszyscy pozostali kandydaci służyli w armii, ale Złoty Chłopiec doszedł do wniosku, że najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jest Leo Barnett.

Barnett był charyzmatycznym, populistycznym kaznodzieją, interpretującym Słowo Boże na własną rękę. Większość jego zwolenników głosowała w dwóch poprzednich wyborach na Reagana, ale teraz przeszli w szeregi Demokratów, podążając ślepo za swym kandydatem. Barnett głosił kazania przeciwko dzikim kartom oraz temu, co nazywał ich przemocą, ale miał za mało głosów, by zdobyć nominację, chyba żeby na konwencji zapanował całkowity chaos.

Być może zamknął się w swojej wieży i modlił się o to, by na Gregga Hartmanna spadły rozmaite nieszczęścia. Być może aniołowie spełnili jego wolę.

A może to nie byli aniołowie. Dokument o „ukrytym asie” zawierał też inny szczegół mogący być wskazówką. Sara narysowała na nim szereg krzyży. Niewykluczone, że kreśląc je, miała na myśli wielebnego Leo Barnetta.

Jack powstrzymywał się przed ostatecznym osądem do chwili, gdy zobaczy nagrania wideo. Dukakis robił na nim wrażenie pracowitego, inteligentnego i dość nudnego. Raczej nie wyglądał na człowieka, który wynajmowałby garbatego asa, by pokrajał jego rywali na plasterki. Natomiast Barnett z pewnością przyciągał uwagę.

Krążył po mównicy jak czujna pantera, ocierał z siebie całe wiadra potu szeregiem wielkich chustek, a jego głos miał bardzo szeroki zakres — od łagodnego tonu zwyczajnego człowieka mówiącego z lekkim akcentem z Wirginii

Zachodniej aż po agresywną, wrzaskliwą, wzgardliwą jeremiadę. Z pewnością nie był też bezmózgim, nawiedzonym świętoszkiem. Jego lodowatoniebieskie oczy płonęły żywą inteligencją. Jego przemówienia były dobrze skomponowane i przekonujące, przynajmniej w ramach apokaliptycznego światopoglądu, jaki reprezentowały. Autorzy mów pracujący dla pozostałych kandydatów z pewnością zazdrościli mu oratorskich zdolności.

Barnett był też seksowny, choć Jack przyznawał to z wielką niechęcią. Nie ukończył jeszcze czterdziestki, miał jasne włosy i dołek na podbródku. Przypominał nieco Roberta Redforda, i kobiety go uwielbiały.

Jack znalazł na taśmach jedną bardzo wiele mówiącą scenę. Barnett stał okrakiem nad młodą, leżącą twarzą ku ziemi dziewczyną, na którą zstąpił Duch Święty. Kandydat krzyczał do mikrofonu o fallicznym wyglądzie, podczas gdy dziewczyna mówiła językami, wiła się i stękała podczas czegoś, co dla ukształtowanego przez Hollywood umysłu Złotego Chłopca z pewnością wyglądało jak seria potężnych orgazmów... Jack przyjrzał się też skupionej twarzy kaznodziei oraz jego oczom drapieznika i uświadomił sobie, że Barnett świetnie wie, iż wprawia dziewczynę w ekstazę mocą swej osobowości oraz głosu. Wypaczona seksualność tego wszystkiego wyraźnie zachwycała Ogniousteego...

Jack przypomniał sobie wieczór w czterdziestym ósmym, gdy po premierze na Broadwayu poszli do kawiarni przy Szóstej Alei z Davidem Harsteinem, jednym z Czwórki Asów. Natury jego feromonowej mocy nie ujawniono jeszcze publicznie. Nic nie wiedzieli o tym, że nieopodal odbył się wiec Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Po jego zakończeniu grupka członków partii poszła do kawiarni, gdzie rozpoznała Jacka i Harsteina. Rozmowa zaczęła się od prośby o autografy, ale szybko przerodziła się w zawziętą debatę polityczną. Towarzysze, rozochoceni wiecem, zażądali od dwóch celebrytów poparcia ich ideologii. Polowanie na nazistów i obalenie Juana Perona było w porządku, ale kiedy Czwórka Asów ogłosi, że solidaryzuje się z robotnikami? A co z poparciem dla antyholenderskich oddziałów na Jawie oraz armii Mao w Chinach? Dlaczego nie walczą w Grecji u boku ELAS? A może by tak pomogli Rosjanom w oczyszczeniu Europy Wschodniej z niepewnych elementów?

Krótko mówiąc, codzienny los celebrytów.

Jack miał ochotę powiedzieć im „dobranoc” i przenieść się gdzie indziej, ale Harsteinowi przyszedł do głowy lepszy pomysł. Jego feromony wypełniły już niewielki lokal, czyniąc wszystkich gości podatnymi na jego sugestie. Wkrótce towarzysze — wśród których byli zarówno potężnie zbudowani robotnicy portowi, jak i intelektualiści w rogowych okularach — wleźli na kontuar, by udawać The Andrews Sisters. Siedzący w lokalu mimo późnej pory goście mieli niepowtarzalną okazję wysłuchać ich wersji *Rum and Coca-Cola*, *Boogie-Woogie Bugle Boy* oraz *Don't Sit Under the Apple Tree*.

Gdy Jack oglądał ostatnią relację z kampanii Barnetta, nakręconą w Dżokerowie, przypomniał sobie, z jaką łatwością Harstein zapanował nad wrogo nastawionym tłumem. Barnett szedł nowojorską ulicą zdewastowaną przez wojnę gangów. W pewnej chwili przywołał moce niebieskie, by uzdrowić Quasiczłowieka. Dżoker wstał z martwych. W tej chwili Jack poczuł sięgającą szpiku kości pewność, że wie, kto jest ukrytym asem.

Barnett sprawiał, że wydarzały się różne rzeczy. Jack nie był pewien, jak działa jego moc. Musiał mieć zdolność działania na odległość, by skłonić telewizyjnych producentów do puszczenia reklam w odpowiednim momencie, spowodować, że kandydaci, tacy jak Hart i Biden, wyeliminują się sami, skłonić zwolenników, by go kochali i dawali mu pieniądze, usunąć informację o dzikiej karcie z wojskowej dokumentacji, a być może nawet uleczyć Tachiona z impotencji, by podsunąć mu Fleur. Kto wie, może przesyłał też wiernym zdalne orgazmy? Garbaty chłopak z rękami jak piły mechaniczne mógł być kimś, kogo Barnett obiecał uleczyć z klątwy dzikiej karty, jeśli tylko ofiara wirusa spełni wolę Pana.

Jezu — pomyślał Złoty Chłopiec. Czy ktokolwiek oglądał te filmy? Czy ktokolwiek zorientował się, jakie są ważne? Były jak coś z Biblii, jak płonąca dłoń na niebie, wskazująca palcem na Leo Barnetta.

Barnett. Z pewnością to właśnie on był ukrytym asem.

A teraz Jack przygryzał dolną wargę i przyglądał się Hartmannowi, zastanawiając się, czy mu o tym powiedzieć. Senator nadal gapił się wyjątkowo intensywnie na Billy'ego Raya, który siedział przed nim na miejscu obok kierowcy. Czy winił Carnifexa za to, co spotkało Ellen? Jack słyszał od ludzi, że Ray z pewnością czuje się winny.

Chciał już powiedzieć o wszystkim Hartmannowi, ale przełknął słowa. Nie mógłby wyrwać senatora z zamyślenia, nie po tym, co się dziś wydarzyło.

Doszedł do wniosku, że najpierw pomówi o tym z Tachem. Pokaże mu wskazówki widoczne na filmach. We dwóch na pewno wykombinują jakieś rozwiązanie.

Zresztą ten numer z panowaniem nad myślami na odległość należał raczej do domeny Takizjanina.

17:00

Spector siedział w szpitalnej poczekalni, przeglądając „Reader's Digest”. Leżankę zrobiono z twardego, czerwonego winylu, połączonego srebrną taśmą klejącą. Pod sufitem buczała i migotała dogorywająca świetlówka. W szpitalu śmierdziało. Nie tylko chorobą i środkami odkażającymi, jak zawsze, lecz również dżokerami. Zdeformowani mieli swój własny, specyficzny odór. Ale to był zapewne jedyny szpital w mieście, do którego ich przyjmowano.

Podeszła do niego młoda, chuda jak tyka pielęgniarka.

— Może się pan teraz z nim zobaczyć. Pokój dwieście pięć.

Oddaliła się, nie odrywając wzroku od podkładki do pisania.

Spector wstał, przeciągnął się i ruszył przed siebie po wytartym linoleum. Postanowił, że nie dotrzyma umowy. Nie miał najmniejszego zamiaru utorować Barnettowi i jego pojebom drogi do Białego Domu. Pieniądze, rzecz jasna, sobie zatrzyma. Pomogą mu zacząć nowe życie w jakimś innym miejscu. Wróci do Teaneck, żeby zabrać rzeczy, a następnie ruszy w dalszą drogę. Może po prostu zakręci globusem i uda się tam, gdzie trafi jego palec, jak na filmach. Z pewnością na świecie nie brakowało miejsc, w których ktoś o jego talentach mógł liczyć na zarobek. Jeśli obecny pracodawca będzie chciał go wytropić, to proszę bardzo, niech próbuje. Zgon nie przejmował się zbytnio tą perspektywą. Najpierw jednak chciał odwiedzić Tony'ego, by się upewnić, że wszystko z nim w porządku. Potem wróci do New Jersey najbliższym samolotem.

Otworzył drzwi do pokoju dwieście pięć i wsadził głowę do środka. Tony otworzył oczy i uśmiechnął się. Po stracie tych wszystkich zębów jego uśmiech nie wyglądał już tak, jak kiedyś.

— Wejdz, proszę.

Spector usiadł na krześle przy oknie. Tony miał na jednym oku opatrunek, a pod drugim paskudny ślad. Zaszyli mu rany na kości policzkowej i na czole. Wargi miał obrzękłe i odbarwione.

— Chcesz, żebym pomógł ci stąd zwać?

— Może jutro? Lekarze powiedzieli, że oprócz wstrząsu mózgu miałem też kilka drobnych krwotoków. To nic poważnego, ale dlatego przeniosą mnie dopiero wieczorem. Do tego samego szpitala, w którym senator...

Zamknął oczy. Spector pokiwał głową.

— Boli cię, jak mówisz?

— Nawet jak mrugam. A co z tobą? — Tony usiadł. — Oszczędzali cię, czy co?

— Nic mi się nie stało. To ładnych chłopaków zawsze chcą zmasakrować. Uważają, że brzydale, tacy jak ja, i tak już mają ciężkie życie. — Spector potrząsnął głową. — Jakiś dentysta bardzo się ucieszy na twój widok. Jak tylko zajrzy ci do ust, zobaczy, że ma nowy domowy system grający.

Tony milczał przez chwilę.

— Słyszałeś o Ellen?

— Aha. — Informacja o poronieniu pani Hartmann była czołowym newsem dnia. — Paskudny pech. Przykro mi.

— Z osobistego punktu widzenia mnie również. Ale to zapewni naszemu kandydatowi czołową pozycję. — Tony uniósł rękę i podrapał się po nosie, po czym skrzywił się z bólu. — To pewnie zabrzmiało cynicznie, ale dla bardzo wielu

ludzi zwycięstwo Hartmanna będzie oznaczało poprawę losu, więc w ostatecznym rozrachunku się opłaci.

Spector spojrział na elektroniczny zegarek stojący na stoliku.

— Muszę już lecieć, Tony. Mam sporo roboty. Możemy się nie zobaczyć przez pewien czas, ale zawsze będę mógł cię znaleźć przy Pennsylvania Avenue.

— Czy mógłbyś wyrządzić mi przysługę, zanim wyjedziesz?

— Jasne. Gadaj, w czym rzecz.

— Wszystkie moje notatki zostały w Marriocie. Wiem, że dzisiaj zdobędziemy nominację i muszę ukończyć mowę akceptacyjną. Na moim łóżku leży czarna teczka. Jest w niej wszystko, czego potrzebuję. Łącznie z laptopem i odtwarzaczem CD. — Tony podciągnął ramiona na łóżku, starając się usiąść tak prosto, jak tylko był w stanie. — Po tym, jak Ellen miała wypadek i pojawiły się pogłoski o zamachowcu, nikt mi ich nie przyniesie. Wszyscy zapomnieli o mnie w tym zamieszaniu.

— Raczej nie sądzę, by pozwolili mi po prostu wejść do twojego pokoju i zabrać stamtąd twój syf.

Spector nie lubił się wykręcać, ale naprawdę nie miał ochoty wracać do Marriotta. Mógłby tam spotkać Barnetta, a wtedy musiałby zabić skurczybyka.

— Nie ma sprawy. Napiszę ci upoważnienie. Pokaż je ochroniarzom przy wejściu, a oni wszystko załatwią. Mogę wezwać pielęgniarkę z izby przyjęć i powiedzieć jej, żeby dała ci klucz do mojego pokoju.

Spector nie mógł mu odmówić, nawet jeśli bardzo chciał to zrobić.

— W porządku. Ale to może trochę potrwać. Na ulicach są paskudne korki.

Tony uśmiechnął się. Nawet z rozszczepionymi fioletowymi wargami wyglądał jak urodzony zwycięzca. Ujął dłoń Spectora i uściśnął ją mocno.

— Drużyna nadal gra.

— Jasne. — As podał mu długopis i kartkę. — Nie mogę pozwolić, żebyś tam poszedł z taką gębą. Potrzebowałbyś maski, żeby ukryć szwy.

Tony złapał go za łokieć.

— Tak jest, Jim. Maski. To właśnie jest motyw, który wykorzystam. Coś, co naprawdę podkreśla znaczenie praw dzokerów.

Puścił Spectora i uniósł obie ręce.

— Ameryko, włóż na jeden dzień maskę. Przekonaj się, jak to jest, kiedy traktują cię jak kogoś mniej wartego niż człowiek.

Spector stał przez chwilę bez słowa.

— Chyba musisz trochę nad tym popracować.

— Nie ma sprawy. Znalazłem już punkt wyjścia. Słowa przyjdą same.

Tony zaczął pisać.

— Przyniosę ci rzeczy najszybciej, jak się da.

Spector potrząsnął głową dopiero po wyjściu z pokoju.

18:00

Na ekranie mikroskopu elektronowego pojawił się charakterystyczny, krystaliczny obraz wirusa dzikiej karty.

— Jezu — wydyszał Ackroyd. — On jest piękny.

Tachion odgarnął opadające mu na czoło włosy.

— Pewnie masz rację. — Skrzywił się. — Jako Takizjanie musieliśmy stworzyć wirusa zgodnego z naszymi estetycznymi ideałami.

Obrócił się na laboratoryjnym stołku w tej samej chwili, gdy Hiram zaczął się osuwać na podłogę.

— Ackroyd!

Tachion złapał go za jedną rękę, a Rzutnik za drugą, ale to było tak, jakby próbowali powstrzymać lawinę. Po chwili wszyscy trzej siedzieli pod ścianą obok siebie. Hiram przesunął dłoń przed oczami.

— Przepraszam — mruknął. — To chyba było chwilowe omdlenie.

Tachion otworzył piersiówkę i podsunął ją restauratorowi do ust. Worchester przełknął łyk brandy. Potem głowa opadła mu na bok, jakby mięśnie jego szyi były za słabe, by powstrzymać jej ciężar. Miał na niej wielkiego, paskudnego strupa. Tach dotknął go ostrożnie palcem i Hiram wyprostował się nagle.

— Hej, mogę też sobie łyknąć? — Jay wskazał podbródkiem na butelkę. — Mam za sobą ciężki tydzień.

Detektyw przełknął brandy, poruszając grdyką, po czym westchnął głośno i otarł usta.

— Nie może być wątpliwości? — zapytał Hiram, obrzucając Tachiona błagalnym spojrzeniem.

— Nawet najmniejszych.

— Ale nawet jeśli jest asem... to jeszcze niczego nie dowodzi. Musiałby być szalony, by się przyznać, że ma wirusa. Może jest tylko nosicielem.

Między trzema mężczyznami zapadła pełna skrępowania cisza. Tachion przykucnął i wpatrywał się z namysłem w sufit. Trzy piętra wyżej Ellen Hartmann leżała w swym łóżku, śniąc o utraconym dziecku. Nie śniło się jej jednak, że jej mąż jest ukrytym asem i najprawdopodobniej również bezlitosnym mordercą. A może wiedziała o tym od samego początku?

Jay odchrząknął.

— I co teraz zrobimy?

— Bardzo celne pytanie — odparł z westchnieniem Tachion.

— To znaczy, że nie wiesz?

— Wbrew powszechnej opinii, nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Potrzebujemy więcej dowodów — stwierdził Hiram, podnosząc się z podłogi.

Ackroyd wskazał kciukiem za siebie, na ekran mikroskopu.

— Jakich jeszcze dowodów potrzebujesz?

— Nie mamy pewności, że zrobił coś złego!

— Kazał zabić Poczwarkę!

Obaj mężczyźni patrzyli sobie prosto w oczy, dysząc ciężko i gniewnie.

— Żądam dowodów na to, że popełnił jakiegokolwiek przestępstwo!

Hiram walnął pięścią w otwartą dłoń.

— To jest dowód! — krzyknął Ackroyd, ponownie wskazując na ekran.

— Przestańcie! Przestańcie! — zawołał Tachion.

Hiram zacisnął dłonie na jego ramionach.

— Idź do niego. Porozmawiaj z nim. Może istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie. Pomyśl, ile zrobił dobrego...

— No jasne.

Odpowiedź Ackroyda przesycił sarkazm, palący jak kwas. Detektyw pociągnął kolejny łyk brandy.

— Pomyśl, ile możemy stracić — zawodził Hiram.

— Po prostu okłamię Tachiona. Co nam to da?

— Nie może mnie okłamać — stwierdził Takizjanin. Grubas zdjął ręce z jego ramion i cofnął się o krok. Tach wyprostował się na pełną, choć niezbyt dużą wysokość. Spowił go płaszcz godności i panowania nad sytuacją. — Wiecie, co zrobię, jeśli do niego pójde.

Oczy Hiram wypełniało przygnębione odrętwienie. Mimo to restaurator skinął powoli głową.

— Czy zaakceptujesz prawdę, jeśli wyczytam ją z jego myśli?

— Tak.

Kosmita zwrócił się w stronę Jaya.

— A ty, Ackroyd, zabierz stąd tę marynarkę i zniszcz ją.

— Hej, to nasz jedyny dowód!

— Dowód? Naprawdę sugerujesz, żebyśmy to upublicznili? Zastanów się... to mogłoby oznaczać katastrofę dla wszystkich dzikich kart w Ameryce.

— On zabił Poczwarkę! Jeśli go nie przyszpilimy, wrobia w to Elma!

Tachion przecesał palcami włosy, wbijając paznokcie głęboko w skórę głowy.

— A niech cię, a niech cię, a niech cię.

— Posłuchaj, to nie moja wina. Ale prędzej mnie diabli wezmą, niż zgodzę się na jakąś oszukańczą zmowę, która pozwoli mordercy Poczwarce uniknąć kary.

— Przysięgam na swój honor i krew, że nie pozwolę, by Elmo ucierpiał.

— Tak? A co właściwie zrobisz w tej sprawie?

— Jeszcze nie wiem!

Tachion wyłączył mikroskop, naciskając gwałtownie guzik, zaniósł szkiełko

do zlewu i splukał z niego splamione krwią nitki.

Kosmita ruszył ku drzwiom. Restaurator szedł tuż za nim. Tach położył dłoń na jego piersi.

— Nie, Hiram. Muszę to zrobić sam.

— A jeśli kazał chłopakowi-pile mechanicznej poczekać tam na ciebie? — zapytał Jay.

— Muszę podjąć to ryzyko.

19:00

Spector przypiął sobie do klapy plastikowy identyfikator z napisem „goście specjalni” i roześmiał się cicho pod nosem. Na początku tygodnia byłby gotowy dla zdobycia takiej plakietki zabić tylu ludzi, że sterta trupów sięgałaby mu do pasa. A teraz już jej nie potrzebował. Życie było kurewsko dziwne.

Na piętrze Hartmanna było zaskakująco cicho. Oczekiwał, że na korytarzu będzie się roiło od asystentów i agentów Secret Service. Wyciągnął klucz Tony’ego i policzył w głowie numery pokoi. Doszedł do wniosku, że pora wyjechać z kraju. Może do Australii albo w jakieś inne miejsce, gdzie mówią w jakimś języku przypominającym angielski. Zatrzymał się przed drzwiami do pokoju i wsadził klucz w szczelinę. Kiedy popchnął drzwi, poczuł, że ktoś ciągnie je z przeciwnej strony.

Spector cofnął się o krok. Dżoker noszący mundur Secret Service zerknął na jego plakietkę i zaprosił go skinieniem do środka. Był wysoki i żyłasty. Przyjrzał się z uwagą gościowi, gdy tylko ten wszedł do pokoju. Wydatne, pokryte łuską wały nadoczodołowe i kilka brzydkich wypukłości na czole były jedynymi widocznymi oznakami zakażenia dziką kartą. Spector podejrzewał, że pod ubraniem kryje się ich więcej, ale nie czuł się na tyle zainteresowany, by o to pytać.

— Kim pan jest? — zapytał od niechcienia dżoker.

— Przyjacielem Tony’ego Calderone’a. Prosił, żebym przyniósł mu materiały do pisania. — As wskazał na czarną teczkę leżącą na łóżku. — To chyba będą one.

— Rozumiem. Czy zechciałby pan położyć ręce na głowie? — Spector wykonał polecenie i dżoker go przeszukał, pośpiesznie, ale starannie. Napiął mięśnie. Jeśli ten facet będzie się mu przyglądał zbyt długo, może go rozpoznać. Nie wątpił, że federalni mają na niego grubą teczkę z wielkim napisem „zgon” na okładce. — Nic o tym nie słyszałem. Muszę to sprawdzić z Calderone’em. — Dżoker podszedł do telefonu, przerzucił notes i wybrał numer. Nie odwracał się do Spectora plecami, ale nic nie wskazywało, by poznał jego twarz. — chciałem porozmawiać z Tonym Calderone’em. — Krótka przerwa. — Tony, jest tu facet, który twierdzi, że przyszedł po twoje materiały do pisania. Tak? Opisz mi go. W porządku. Tak. Przepraszam, po prostu o tym zapomnieliśmy. — Colin odłożył

słuchawkę. — Ma pan na imię Jim?

— Tak. Czy to już będzie wszystko?

Dżoker uniósł rękę, przerywając mu. Dotknął palcem mikrofonu, który miał w uchu.

— Tak, nadal jestem w pokoju Calderone'a. Jest tu facet, który ma mu zanieść do szpitala materiały do pisania. Zapomniałem. Czemu nikt mi o tym nie przypomniał? — Długa przerwa. — Nie, ludzie z hotelu mówią, że dzisiaj też nikt nie spał w pokoju Bairda. Dobra, później sprawdzę, ale moim zdaniem tracimy tylko czas. Pogadamy później. — Dżoker ruszył ku wyjściu. — Niech pan zamknie za sobą drzwi — rzekł Spectorowi. — I proszę przekazać Tony'emu moje przeprosiny.

Spector skinął sztywno głową. Nie zaczerpnął oddechu, dopóki drzwi nie zamknęły się za dżokerem. Wiedzieli o Bairdzie. Co prawda, to już nie miało znaczenia, bo i tak wyjeżdżał z miasta, ale im prędzej stąd spierdoli, tym lepiej dla niego. Usiadł na łóżku i otworzył teczkę. Jak powiedział Tony, w środku był mały komputer i odtwarzacz płyt kompaktowych. Zamknął teczkę i poszedł do łazienki, by napić się wody. W mieście znowu panował piekielny upał i nic nie zapowiadało wytchnienia. Położył teczkę obok toalety i wyciągnął rękę do kranu, gdy nagle usłyszał rozmawiających ludzi.

Kimkolwiek mogli być, żaden z nich nie sprawiał wrażenia zbytnio zadowolonego. Przystawił ucho do ściany. Nagle przewróciło mu się w żołądku, gdy rozpoznał jednego z kłócących się mężczyzn. Tachion. Wszędzie by poznał nadęty głos tego skurwysyna. Kosmita pyskował na Hartmanna. Spector usiadł na toalecie. Miał nadzieję, że nikt nie przyjdzie do pokoju, kiedy on będzie podsłuchiwał.



Tach miał przed sobą przyprawiający o zawrót głowy zjazd do holu Marriotta. Zauważył na kliniczny, zdystansowany sposób, że zaciska dłonie na balustradzie tak mocno, że knykcie mu zbieleły.

Po prostu przejdź na drugą stronę. Za zabezpieczenia. I puść je. Długi upadek ku ukojeniu. Szansa na odpoczynek. Uwolnienie od odpowiedzialności. W jego już przedtem obolałych oczach gorzały łzy, ale rozpacz szybko minęła. Był księciem z domu Ilkazam. Jego ród nie wydawał na świat tchórzy.

Rozprostował ramiona, spoglądając na drzwi apartamentu Hartmanna. Być może okaże się, że jest jakieś logiczne wytłumaczenie. Hiram w to wierzył.

Ale według Jaya Kopacz zapewniał, że widział, jak senator przyglądał się z przyjemnością, gdy chłopak z rękami jak piły mechaniczne ćwiartował Kahinę w gabinecie Poczwardki w Kryształowym Pałacu.

A ostatniej nocy ten sam garbus próbował zabić Sarę i Jacka.

Zabił Andi i Poczwarkę. Teraz kolej na mnie... mnie... mnie... mnie!

Stukanie kostek jego dłoni o drzwi poniosło się głośnym echem w korytarzu. Z dołu dobiegały odgłosy jakiejś zabawy. Notowania Gregga szły w górę, w górę, w górę!

A mnie zaczyna brakować czasu, czasu, czasu!

Drzwi otworzył Carnifex. Sprawiał wrażenie, jakby się skurczył. W jego zielonych oczach czaiło się przygnębienie.

— Muszę się zobaczyć z senatorem, Billy.

As wskazał do środka wolną ręką. Tachion wszedł do apartamentu. Gregg siedział na krześle przy oknie, kręcąc kieliszkiem między dłońmi.

— Świętujesz?

Zaskoczony senator uniósł wzrok.

— Jeszcze nie, ale spodziewam się, że już niedługo. Gdzie się podziewałeś? Kazałem Jackowi cię poszukać. Chciałem, żebyś odwiedził ze mną Ellen.

Takizjanin wpatrywał się w jego gładką twarz. Bruzdy od śmiechu w kącikach oczu. Wrażliwe usta, które zaciskały się w gniewie, gdy senator konfrontował się z barbarzyństwem w Syrii i Afryce Południowej. Moc Tachiona zdrzała jak coś żywego, ale powstrzymał ją. Przeraziła go myśl o penetracji umysłu kryjącego się za tą znajomą, przyjazną twarzą.

Poruszył się lekko. Jego przeciągające się milczenie zdawało się gniewać Hartmanna.

— Co ci się stało, do licha? Jestem o krok od zdobycia nominacji.

— Odeślij Raya.

— Słucham?

— Odeślij go.

Hartmann zerknął znacząco na ochroniarza. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło: „Zrób, o co cię prosi”. Billy skinął głową i wyszedł.

— No dobra, Tachy, o co chodzi. Napijesz się? — zapytał, unosząc butelkę.

— Jesteś asem.

Gregg parsknął głośnym śmiechem.

— Doprawdy, doktorze, z pewnością się przepracowałeś...

— Zbadałem krew na marynarce, którą nosiłeś w Syrii.

Senator zeszywniał na okamgnienie. Jednakże twarz, którą zwrócił ku Tachionowi, nic nie wyrażała.

— Zaprzeczam temu. Stanowczo.

— Napisano to twoją krwią.

— To nie jest moja marynarka. To nie jest moja krew. Wszystko to spisek moich przeciwników.

— Nie twoja krew. — Tachion powoli wypowiedział te słowa, czując ich smak na języku. — To prawda. Nie swoją krew przelałeś, kiedy kazałeś zabić

Poczwarkę.

— Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Poczwaraki.

— Zostawiłeś zbyt wiele śladów, senatorze. Kopacz. Sara. Teraz to wszystko wychodzi na jaw.

— Nikt nigdy im nie uwierzy. Ani tobie.

— Mam wynik próby krwi.

— Ale nigdy go nie opublikujesz. — Hartmann uśmiechnął się, czytając odpowiedź z twarzy Takizjanina. — Nawet gdyby to wszystko była prawda, a przecież tak nie jest.

Ponownie napełnił szklankę i rozparł się na kanapie, otoczony aurą pewności siebie.

— Wystarczy dotknięcie mojej mocy, byś leżał przede mną odsłonięty — ostrzegł go Tachion. — Mogę cię zobaczyć. Odczytać prawdę o tobie.

Twarz polityka wykrzywiła się w wyrazie nieskrywanej paniki. Hartmann zerwał się z kanapy. Szklanka wypadła mu z ręki. Na dywanie pojawiła się ciemna plama burbona.

— To szaleństwo. Straciłeś rozum. Ray. RAY!

Tachion uderzył go. Mocno. Dwa szybkie ciosy w brzuch. Gniew zawładnął nim niczym fizyczna obecność. Takizjanin trząsał się z furii i poczucia zdrady. Gregg zachwiał się do tyłu, trzymając się za żołądek. Poruszał ustami, by zaczerpnąć tchu.

Moc Tachiona uderzyła senatora, każąc mu stanąć prosto. Kosmita widział przerażenie w oczach mężczyzny unieruchomionego w uścisku jego mentalnej władzy.

Wkroczył na obszar wypełniony zgnilizną. Wpatrywały się w niego wąskie szczeliny ślepi gorejących furia i nienawiścią. Stworzenie wykraczające poza wszelkie wyobrażenia. Lalkarz wył i wyrwał się gwałtownie, podczas gdy Tachion odsłaniał z precyzją chirurga kolejne lata niczym warstwy gnijącej skóry. Czytał opowieść o śmierci, bólu i przerażeniu.

Gorączkowe, chciwe żerowanie, gdy dziecko i Gimli zapadali w ciemność. Sycenie się bólem i strachem Ellen. Żądza narastająca w chwili, gdy uwolniony od wszelkich hamulców dzoker rzucił się na nieznaną kobietę i zgwałcił ją brutalnie. Krwawa uczta w Berlinie, gdy oszalała, nieprzewidywalna lalka zwana Mackiem Majchrem poszatkowała swych byłych towarzyszy. Gorąca, wilgotna i słona. Emocje Mackiego w chwili, gdy robił łaskę Greggowi. Przekupienie, a potem zamordowanie technika, który badał jego krew. Trzask kości w chwili, gdy Roger Pellman uderzył kamieniem w twarz Andrei Whitman. Smaczne. Smaczne. Pełen orgazm. Rozdęty, zniekształcony stwór żerował na bezradnych, samotnych i pełnych strachu.

Emocje i wspomnienia były tak silne, że Tachion poczuł poruszenie we

własnym kroczu, mimo że zbierało mu się na wymioty z obrzydzenia. Krzyknął z furii na myśl, że to coś, ten potwór potrafi dotrzeć do najmroczniejszych aspektów jego natury.

Lalkarz ryknął śmiechem. Był skłębioną, przyprawiającą o mdłości masą fioletu i czerwieni. Tachion uformował z siebie miecz ze srebra i kryształu. Uderzył w potwora i zmusił go do ucieczki do jego kryjówki. Zatrzasnął za nim kraty z płomieni. To był najpotężniejszy i najbardziej przerażający konstrukt, z jakim Takizjanin spotkał się w życiu.

Wycofał się do swego ciała i poczuł woń własnego potu. Targało nim gwałtowne drzenie. Hartmann leżał rozwalony na kanapie.

— Nigdy nie zostaniesz prezydentem! Nigdy!

Gregg wstał powoli. Każdy jego ruch wyrażał groźbę. Spojrzał z góry na drobnego kosmitę.

— Nie zdołasz mi w tym przeszkodzić. Jak mógłbyś mnie... nas powstrzymać, mały człowieczku?

Odpowiedź na to pytanie zrodziła się w nim bez chwili zastanowienia, ale Takizjanin powstrzymał ją, zanim zdążyła wydostać się z jego ust. *Zabiję cię*. Nie, tego z pewnością nie mógł zrobić. Nagła śmierć doprowadziłaby do sekcji, a sekcja do... katastrofy.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.



Spector walnął pięścią w ścianę tak mocno, że usłyszał trzask pękających kostek. Złapał za klamkę drzwi prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia i spróbował je otworzyć, ale nic z tego. Zaczerpnął głęboki oddech, podniósł teczkę i wrócił do sypialni. Położył teczkę na łóżku i potarł grzbiet nosa.

Hartmann zrobił frajerów z nich wszystkich. Tony dał sobie skopać tyłek w imię kłamstwa. Dżokerzy w parku wspierali oszusta. Skurwysyn był asem, w dodatku szalonym. Był cholernym królem zbrodni, tak samo jak Astronom. Manipulował ludźmi, by wykonali za niego brudną robotę, a sam mógł zachować czyste ręce. Spector zazgrzytał zębami. On również dał się nabrać. A tego nie lubił. Gniew dodatkowo rozgrzał wypełniający go ból. Musi coś w tej sprawie zrobić. To, za co mu zapłacono.

Tachion zapewne na nic mu się nie przyda. Wypełniało go pierdolone poczucie własnej ważności. Dlatego uzna, że wystarczy, iż wycofa poparcie dla Hartmanna. Żaloszny kurdupłowaty dupek. Jak zwykle leczył objawy zamiast choroby, pozostawiając innym naprawdę trudne zadania. Spector był zbyt wkurzony, by mógł ocenić, ile czasu minęło od chwili, gdy Takizjanin opuścił apartament senatora. Słyszał jednak, że Hartmann nadal spaceruje po pomieszczeniu. To była odpowiednia chwila, żeby go załatwić, zanim zjawią się

ludzie z Secret Service. Poprawił marynarkę, wyszedł na korytarz i podszedł do drzwi Hartmanna. Gdy dotknął klamki, usłyszał czyjś głos.

— Kim pan jest?

Spector cofnął rękę od drzwi apartamentu Hartmanna, jakby poraził go prąd, i zerknął w stronę wołającego. To był Jack Braun. Złoty Chłopiec miał podejrzliwą, niezadowoloną minę. Spector bez zastanowienia rzucił się do ucieczki. Słyszał ciężkie kroki ścigającego go Brauna.

Dotarł do końca korytarza i otworzył drzwi na klatkę schodową. Kiedy przez nie przechodził, ktoś złapał go za ramię. Wysoki, jasnowłosy agent Secret Service spróbował popchnąć go pod ścianę. Zgon zrzucił mu okulary i spojrzał prosto w jego oczy. Czemu ci uciekinierzy z Hitlerjugend nie mogli go zostawić w spokoju? Złoty Chłopiec wpadł na klatkę schodową w tej samej chwili, gdy martwy agent osunął się na podłogę.



Jack siedział w kwaterze głównej kampanii i jadł pizzę, czekając, aż Tachion zakończy rozmowę z Hartmannem. Panował tu radosny nastój. Hartmannowi brakowało niespełna stu głosów do dwóch tysięcy osiemdziesięciu dwóch potrzebnych do zdobycia nominacji. Wyglądało na to, że nawet wysiłki całego plutonu ukrytych asów nie zdołają go powstrzymać. W pomieszczeniu unosiły się samolociki zwane Latającymi Asami. Amy Sorenson śmiała się głośno, rozmawiając w kącie pokoju z Louistem Manxmanem. Nawet Charles Devaughn pozwalał sobie od czasu do czasu na moment radości, wrywając się z typowej dla niego posępnej izolacji.

Ale Jack nadal się niepokoił. Musi pogadać z Tachionem. Barnett z pewnością ucieknie się do desperackich metod. Strażnicy Hartmanna musieli być na to przygotowani. Dokończył pizzę i podszedł do rozmawiającej z dziennikarzem Amy.

— Przepraszam, ale czy Tachion skończył już rozmawiać z senatorem?

Amy spojrzała na niego ze spokojnym uśmiechem.

— Tachion? Może nadal być na górze. Nie mam pojęcia.

— Dziękuję.

Amy wyraźnie zdziwiła się tą zdawkową odpowiedzią. Jack odwrócił się i potruchtał ku drzwiom. Po drodze minął Billy'ego Raya, wycierającego serwetką resztki sera i keczupu z białego stroju.

Jack pojechał windą na piętro Hartmanna. Jakiś facet o nieprzyciągającym uwagi wyglądzie i naznaczonej trądzikiem twarzą próbował otworzyć drzwi apartamentu senatora. W umyśle Złotego Chłopca zabrzmiał sygnał alarmowy. Przyśpieszył kroku.

— Hej — odezwał się. — Kim pan jest?

Zaskoczony mężczyzna uniósł głowę, a następnie rzucił się do ucieczki.

Jack również był zdumiony. Zamarł na moment w bezruchu, zanim sobie przypomniał, że powinien ścigać tamtego. Popędził za nim.

Ten mi nie ucieknie — pomyślał. Mężczyzna biegł ku jedynej klatce schodowej na tym korytarzu. Na straży stał tam Alex James. We dwóch z pewnością dopadną zbiega.

Intruz skręcił gwałtownie i uderzył ciałem w metalowe drzwi, otwierając je z hukiem, który poniósł się echem po cichym korytarzu. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Jack usłyszał odgłosy walki, przebijające się przez szum wiatru wypełniający mu uszy.

Potem rozległ się krzyk.

Przeraźliwy wrzask, wnikający aż do szpiku kości, pełen przerażenia i rozpacz. Nerwy asa zapłonęły.

Krzyk ucichł.

Jack skoczył naprzód niczym baseballista pędzący do drugiej bazy. Uderzył w drzwi obiema rękami. Otworzyły się z hukiem, ale nagle zatrzymały się na jakiejś przeszkodzie. Jack wyrzwał głową w metal. Warknął i wyrwał drzwi z zawiasów. Żłocisty blask jego mocy rozświetlił korytarz.

Alex James leżał na pomoście. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie śmiertelnego krzyku. Po plecach Jacka przebiegł zimny dreszcz. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że napastnik może być dziką kartą.

Tym gorzej dla niego — pomyślał.

Nie będzie kombinował. Nie pozwoli, by ten zabójca uciekł mu, tak jak garbus.

Z dołu dobiegał odgłos kroków. Intruz pokonał zakręt schodów piętro niżej. Jack przelotnie dostrzegł bladą, pokrytą dziobami twarz. Zamachowiec pędził w dół, pokonując za każdym krokiem cztery albo pięć stopni. Żłoty Chłopiec nie zawracał sobie głowy ściganiem go na piechotę. Przeskoczył przez poręcz i opadł na drugi pomost pod nim.

Mijając zabójcę, Jack wyprowadził kopnięcie i trafił go w bok. Intruz odbił się od ściany i spadł na pomost. Żłoty Chłopiec przykucnął i odwrócił się w stronę przeciwnika. Zamachowiec podnosił się już z brudnego betonu. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie bólu i szoku.

Triumf wypełnił serce Brauna niczym podmuch gorącego wiatru. Jack skoczył przed przeciwnika, wsparł się mocno na obu nogach i wyprowadził cios.

Intruz to zauważył i spróbował odsunąć głowę, ale pięść Jacka trafiła go w żuchwę. Na szorstką betonową ścianę trysnęła krew. Zabójca odbił się kolejno od dwóch ścian, zleciał na kolejny pomost i wylądował na boku. Stopy Jacka pośliznęły się na posadzce. Żłoty Chłopiec przewrócił się do przodu, lądując na otwartych dłoniach.

Zerwał się na równe nogi. Serce tłukło mu gwałtownie. Strzepnął krew z kostek dłoni. Zabójca się nie ruszał. Jack podszedł do niego ostrożnie. Coś zachrząściło mu pod stopą. Spojrzał w dół i zobaczył, że to wybity zęb napastnika.

Ze zmasakrowanej twarzy intruza płynęła krew i ściekała w dół schodów. Zmiażdżona żuchwa zwisała na pasie skóry. Jack skrzywił się na ten widok. Miał za mało czasu, by ponownie przyzwycząić się do widoku skutków przemocy. Nie walczył z nikim od czasu wizyty „Ułożonej Tali” w Paryżu.

Uklęknął przy leżącym i przyjrzał się jego zakrwawionej twarzy. Być może skądś go znał.

Zabójca rozchylił powieki. Złączył spojrzenie z Jackiem.

Z jego oczu wyszła śmierć i złapała Złotego Chłopca za serce.



Wszędzie było pełno krwi, pochodzącej wyłącznie od niego. Spector złapał urwaną żuchwę, zaczerpnął kilka głębokich oddechów i wepchnął ją z powrotem w stawy. Usunął mruganiem łzy, ale nie był w stanie powstrzymać palącego bólu. Wstał powoli, wspierając się o betonową ścianę.

Złoty Chłopiec się nie ruszał. Wydawało się też, że nie oddycha. Spector naprawdę się nie spodziewał, że może zrobić Braunowi krzywdę, a tym bardziej go zabić. Cieszył się, że był w błędzie, ale to nie była odpowiednia chwila na zachwycanie się własnymi możliwościami. Musiał stąd zwiewać. Walka była krótka, ale hałaśliwa. Lada moment zjawią się kolejni agenci Secret Service.

Zdjął buty wolną ręką i ruszył schodami w dół. Jeden pomost. Potem drugi. Nie zdążył się zbyt oddalić, nim stracił rachubę. Zbadają krew z pomostu i odkryją, że jest asem. Asem zabójcą. Ujął strzępy rozdartego policzka między kciukiem a palcem wskazującym i ścisnął je razem. Ciało zaczęło się zrastać. Czy to już było dziesięć pomostów? Ile to będzie pięter?

Gdzieś powyżej otworzyły się drzwi na klatkę schodową. Spector przesunął się pod zewnętrzną ścianę i szedł dalej, wciśnięty w nią całym ciałem. Wiedział, że nad nim ktoś jest. Spojrzał w górę, a potem w dół, wypatrując ręki na poręczy albo kogoś oglądającego się za siebie. Nie da się złapać tak łatwo. Ale co powinien zrobić potem? Nadal miał klucz do pokoju tysiąc trzydzieści jeden. To było ryzykowne, ale nie przychodziło mu do głowy nic lepszego.

Dobijał go ból w bokach. Złoty Chłopiec złamał mu również kilka żeber. Oddychanie nie sprawiało mu jednak trudności. Przynajmniej płuca nie były uszkodzone.

Zatrzymał się na pomoście dziesiątego piętra i zdjął marynarkę. Jego żuchwa zachowała połączenie z czaszką. Zawsze to coś. Niemniej przez pewien czas nie będzie w stanie mówić. Wytarł podszewką marynarki twarz i szyję. Część krwi już krzepła i musiał ją zdrapywać paznokciami.

Z góry dobiegły go głosy i dźwięk kroków. Nie potrafił określić odległości. Nie wiedział nawet, czy zbliżają się do niego. Był tu jednak zupełnie odsłonięty. To było pewne. Splunął w dłonie i potarł nimi twarz, by usunąć pozostałe ślady krwi. Nadal miał wrażenie, że cyrkowy siłacz próbuje mu wyrwać zuchwę z zawiasów.

Włożył z powrotem buty, a potem otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i zamknął je za sobą bardzo cicho. Przerzucił marynarkę przez ramię, by nie było widać plam krwi, po czym ruszył powoli w stronę otwartego atrium. Na balkonie było tłoczniej niż na korytarzu, ale nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Rozkasłał się nagle, gdy w gardle urwał mu się kawałek skrzepłej krwi. Jakiś stojący przy poręczy mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego, ale po chwili ponownie skierował swą uwagę na szyb atrium.

— Złoty Chłopiec — odezwał się nagle przepitym głosem i uniósł drżącą rękę. Spector skierował wzrok przed siebie i przyśpieszył kroku. Zauważył kącikiem oka jakieś poruszenie. Samolocik w kształcie Złotego Chłopca opadał powoli ku parterowi. As wiedział, że zabolaloby go, gdyby się uśmiechnął, więc nie próbował tego robić. Wykończył Brauna i Astronoma. Któż inny na całym świecie mógłby tego dokonać? Gdyby zdołał się zbliżyć do Hartmanna, nie miałoby znaczenia, że senator jest asem. Jego również by załatwił.

Wszedł do właściwego korytarza i ruszył w stronę pokoju numer tysięcy trzydzieści jeden. Znowu udało mu się zwiać. Można by niemal pomyśleć, że ktoś jest po jego stronie. Może Bóg chciał mu zrekompensować wszystkie te lata syfu. *Rób tak dalej* — pomyślał Spector. Wsunął klucz do szczeliny, zaczekał na zielone światło i wszedł do środka.



— Bilet lotniczy wystawiono na nazwisko George Kerby.

Gdy Ackroyd wypowiadał te ostatnie słowa, jego głos nabrał bardzo przenikliwych tonów. Tachion wyciągnął z drzwi elektroniczny klucz i schował go do kieszeni.

— Bilety wykupione dla ducha — mruknął Hiram.

— Tak, dla ducha — zgodził się Ackroyd. — Dla kogoś, kto wrócił z za grobu.

— James Spector? — zapytał Hiram.

— Tak jest, i on, i Kerby powrócili z martwych — potwierdził Jay. — Wynajęła tego skurwysyna, Zgona.

Obaj mężczyźni byli odwróceny plecami do Takizjanina. Wszedł do pokoju tak cicho, że nic nie usłyszeli.

— Musimy ich zawiadomić — stwierdził Hiram. Przeszedł na drugą stronę pokoju, sięgnął po telefon i wybrał numer centrali. — Proszę mnie połączyć

z Secret Service.

Wreszcie go zauważyli. Hiram wpatrywał się w niego ze strachem, natomiast Ackroyd spod przymkniętych jak u węża powiek.

— To... to nieprawda, tak? — zapytał z desperacją Hiram. — Powiedz mi, że to wszystko jakaś okropna pomyłka. Gregg nie może być...

Tachiona wypełniła litość na widok tej klęski marzeń i zniszczenia wiary.

— Hiramie — rzekł. — Mój biedny, nieszczęsny Hiramie. Widziałem jego umysł. Dotknąłem Lalkarza. — Groza owej chwili powróciła. Takizjanin zadrżał. — Jest tysiąc razy gorzej, niż moglibyśmy sobie wyobrazić.

Siła odpłynęła z jego nóg. Tach usiadł na dywanie, schował twarz w dłoniach i zalał się łzami. Pomimo rozpacz, usłyszał słowa Hirama:

— Niech mi Bóg wybaczy.

Co ma ci do wybaczenia? Jak ja mogłem się nie zorientować? Dwadzieścia lat! Jak mogłem się nie zorientować? Jak mogłem nie odgadnąć? Pierś rozboleła go od gwałtownego łkania. Tachion uświadomił sobie, że pogrąża się w histerii. Zapanował nad sobą wysiłkiem woli i łkanie zaczęło cichnąć.

— Co zrobimy? — zapytał Hiram.

— Wydamy go — odpowiedział Jay.

Tachion zerwał się na równe nogi.

— Nie! — sprzeciwił się. — Oszalałeś, Ackroyd? Opinia publiczna nie może się dowiedzieć.

— Hartmann to potwór — zaprotestował Jay.

— Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie — zapewnił Takizjanin. — Pływałem w kanale jego umysłu. Poczulem plugastwo, które w nim żyje. Dotknęło mnie. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co to było za wrażenie.

— Nie jestem telepatą — odparł Jay. — Nic na to nie poradzę. Ale i tak nie pomogę ci wybielić Hartmanna.

— Nic nie rozumiesz — zaprotestował Tachion. — Od blisko dwóch lat Leo Barnett zasypywał opinię publiczną złowrogimi ostrzeżeniami przed przemocą dzikich kart, podsycając strach przed asami i nieufność wobec nich. A ty chciałbyś, byśmy powiedzieli ludziom, że Ogniousty od początku miał rację, że monstrialny ukryty as rzeczywiście podporządkował sobie ich rząd. Jak twoim zdaniem zareagują?

Jay wzruszył ramionami.

— Dobra, Barnett wygra wybory. I co z tego? Będziemy mieli przez cztery kolejne lata prawicowego głęba w Białym Domu. Z Reaganem jakoś przeżyliśmy osiem.

Tachionem wstrząsnęła głupota detektywa.

— Nie masz pojęcia nawet o połowie tego, co znalazłem w umyśle Hartmanna. Morderstwa, gwałty, okrucieństwa, a on cały czas siedział w centrum

swej pajęczyny, był Lalkarzem pociągającym za sznurki. Ostrzegam, jeśli cała prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw, publiczna odraza będzie tak wielka, że nastaną rządy terroru, przy których prześladowania z lat pięćdziesiątych wydadzą się zupełnym drobiazgiem. — Kosmita gestykulował jak szalony. — Zabił własne nienarodzone dziecko, by zerować na bólu i przerażeniu towarzyszącym jego śmierci. A jego lalki... asowie, dzokerzy, politycy, duchowni, policjanci, każdy, kto był na tyle głupi, by go dotknąć... Jeśli ich nazwiska wyjdą na jaw...

— Tachion — przerwał mu Hiram Worchester. Jego głos był cichy, ale każdą sylabę przesycił ból.

Takizjanin zerknął na niego z poczuciem winy.

— Powiedz mi — ciągnął restaurator. — Te lalki... czy ja też byłem jedną...

Zakrztusił się słowami i nie był w stanie dokończyć pytania. Tachion skinął głową, lekko i szybko. Po policzku spłynęła mu łza. Odwrócił się.

— Na swój groteskowy sposób to nawet zabawne — usłyszał głos Hiram. Restaurator nie roześmiał się jednak. — Jay, on ma rację. To musi pozostać naszą tajemnicą.

Tach się odwrócił i zobaczył, że Ackroyd przenosi spojrzenie z Hiramem na niego. W oczach detektywa widniała gorycz.

— Róbcie, co chcecie — rzekł — ale nie liczcie na to, że zagłosuję na skurwysyna. Zresztą i tak nie jestem zarejestrowany.

Takizjanin uświadomił sobie nagle, że to stanowczo zbyt ważne, by mógł polegać wyłącznie na ich niepotwierdzonym słowie.

— Musimy złożyć przysięgę — oznajmił. — Przysięć uroczyście, że zrobimy wszystko, by powstrzymać Hartmanna, ale zabierzemy tę tajemnicę do grobu.

— Och, daj spokój — jęknął Jay.

— Hiram, daj mi ten kieliszek — warknął kosmita. Restaurator wręczył mu na wpół wypełniony kieliszek. Tachion wylał jego zawartość na dywan, pochylił się, wyjął z cholewy długi nóż, a następnie uniósł go przed oczami przerażonych, zafascynowanych ludzi.

— Musimy przysięć na krew i kość — oznajmił.

Dłoń, w której trzymał nóż, miał śliską od potu, ale ciął się pewnie w lewy nadgarstek. Ucieszył się, że jego reakcja ograniczyła się do cichego, niemal niesłyszalnego westchnienia. Być może Ziemia nie uczyniła go aż tak miękkim, jak się tego obawiał. Trzymał rękę nad kieliszkiem, aż zebrały się w nim dobre dwa centymetry krwi, po czym owiązał nadgarstek chusteczką i podał nóż Ackroydowi.

Detektyw popatrzył tylko na narzędzie.

— Chyba żartujesz.

— Bynajmniej.

— Może mógłbym do niego naszczać? — zasugerował Jay.

— Krew tworzy więź.

Hiram podszedł bliżej.

— Ja to zrobię — oznajmił i wziął nóż w rękę. Zrzucił biały, płócienny płaszcz, podwinął rękaw i ciął. Wciągnął gwałtownie powietrze z bólu, ale jego ręka się nie zawahała.

— Bardzo głęboko — mruknął Tachion. Cięcie mogło się okazać niebezpieczne. Czyżby Hiram był aż tak zrozpaczony zdradą, która go spotkała, że rozważał możliwość samobójstwa?

Grubas skrzywił się i uniół rękę nad kieliszek. Poziom czerwonego płynu uniół się wyraźnie.

Takizjanin obrzucił Ackroyda surowym spojrzeniem.

Jay westchnął głęboko.

— Jeśli wy dwaj jesteście Huckiem i Tomkiem, to znaczy, że ja jestem Murzynem Jimem. Przypomnijcie mi, żebym zbadał sobie głowę, jak już będzie po wszystkim.

Wziął w rękę nóż. Pisnął z bólu, gdy ostrze przecięło mu skórę.

Tachion przyjął kieliszek z rąk spoconego detektywa, zakręcił nim, by krew wszystkich trzech mężczyzn zmieszała się ze sobą, a potem uniół go nad głowę i wyrecytował coś po takizjańsku.

— Przysięgam na krew i kość — zakończył, po czym odchylił głowę i wypił jedną trzecią krwi jednym, długim haustem.

Podał kieliszek Worchesterowi. Obaj Ziemianie mieli wyraźnie zniesmaczone miny.

— Na krew i kość — powtórzył Hiram i wypił rytualny łyk.

— Czy mogę dodać tabasco i może też trochę wódki? — zapytał Ackroyd, gdy restaurator podał mu resztę. Jego dowcipasy zaczynały się robić lekko nużące.

— Nie możesz — odparł twardo Tachion.

— Szkoda. Zawsze lubiłem krwawą Mary. — Uniósł kieliszek. — Na krew i kość — mruknął, po czym przełknął zawartość. — Mniem, mniem — powiedział na koniec.

— Dokonało się — skwitował Tachion. — Teraz musimy przygotować plany.

— Ja wracam do Omni — oznajmił Hiram. — Popierałem Gregga niemal od samego początku i śmiem twierdzić, że mam pewne wpływy wśród nowojorskich delegatów. Może uda mi się wpłynąć na część z nich. Musimy za wszelką cenę uniemożliwić mu zdobycie nominacji.

— Zgadza się — rzekł Tachion.

— Szkoda, że nie wiem więcej o Dukakisie... — zaczął restaurator.

— Nie Dukakis — przerwał mu kosmita. — Jesse Jackson. Od początku zabiegał o nasze względy. Porozmawiam z nim. — Uścisnął dłoń Hiram. —

Poradzimy z tym sobie, przyjacielu.

— Rewelacja — odezwał się Jay. — Greggie nie zostanie prezydentem. Piękna sprawa. A co z jego ofiarami? Kahiną, Poczwardką i całą resztą?

Tachion zerknął na niego.

— Nie Poczwardką — poprawił go, nie potrafiąc uwierzyć, że nie powiedział im o tym wcześniej.

— Słucham? — wychrypiał Jay.

— To prawda, że groził Poczwarce — ciągnął kosmita. — Kazał jej i Kopaczowi patrzeć, jak jego potwór torturuje i zabija Kahinę. Ale nigdy nie spełnił tej groźby. Kiedy w poniedziałek rano usłyszał o jej śmierci, zdziwił się tak samo jak wszyscy.

— Kurwa, niemożliwe — sprzeciwił się Jay. — Na pewno się mylisz.

Rozwścieczony Tachion rozwarł nozdrza i wyprostował się na pełną wysokość.

— Jestem psionicznym władcą z Takis, wyszkolonym przez najlepszych mentatów z domu Ilkazam. Jego umysł był moim umysłem. Nie mogłem się pomylić.

— Kazał Mackiemu załatwić Kopacza! — nie ustępował Jay.

— A Kuriozum polecił odnaleźć obciążającą go marynarkę i zniszczyć ją. Z całą pewnością. Gdy się dowiedział o śmierci Poczwardki, podjął kroki mające zapewnić mu bezpieczeństwo. Ale to nie on wydał ten rozkaz. — Tachion położył dłoń na barku Jaya. — Przykro mi, przyjacielu.

— W takim razie kto to zrobił, do chuja? — warknął Jay.

— Nie mamy teraz czasu spierać się o to — wtrącił z niecierpliwością Hiram. — Ona nie żyje i nic...

— Cicho — przerwał mu nagle Ackroyd.

W telewizji pokazywano najnowsze wiadomości.

— ...kolejna tragedia na konwencji — mówił z powagą spiker. — Senatorowi Hartmannowi nic się nie stało, powtarzam, nic się nie stało, ale godne zaufania źródła podają, że as zamachowiec pozbawił życia dwie osoby, próbując dotrzeć do senatora. Nadal czekamy na oficjalne potwierdzenie, ale z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że ofiarami zabójcy padli Alex James, agent Secret Service, przydzielony do ochrony senatora Hartmanna... — Na ekranie, nad barkiem spikera, pojawiło się zdjęcie zabitego. — ...oraz przewodniczący popierającej kandydaturę Hartmanna delegacji stanu Kalifornia, Jack Braun. Kontrowersyjny as, który występował w wielu filmach oraz w telewizyjnym serialu *Tarzan*, był lepiej znany jako Złoty Chłopiec. Niektórzy uważali go za najsilniejszego człowieka na świecie. Braun po raz pierwszy przyciągnął do siebie uwagę...

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Jacka. Spiker nie przestawał gadać. Braun

miał na sobie stary mundur polowy, otaczała go złota luna i uśmiechał się krzywo. Wydawał się młody, żywy i niezwykły.

— Och, Jack — rzekł Tachion. Trzydzieści lat modlił się o jego śmierć, a nawet planował zabójstwo w szalonych majaczeniach alkoholika. A teraz jego życzenie się spełniło i kolejna cząstka Tisianne'a umarła.

— On nie mógł zginąć — warknął wściekle Hiram. — Nie dalej jak wczoraj uratowałem mu cholerne życie. — Telewizor uniósł się nad dywan i podrapał o sufit. — Nie mógł zginąć! — upierał się Worchester. Aparat spadł nagle na podłogę. Kineskop eksplodował.

— Jego śmierć nie pójdzie na marne — zapewnił Tachion. Czy jednak mogła rzeczywiście cokolwiek oznaczać? Raczej w to wątpił. Powiedział to, by udowodnić sobie, że sam jeszcze żyje. Dotknął ramienia Hiram. — Chodź — rzekł mu.



Ból był gorszy niż wszystko, co Jack kiedykolwiek sobie wyobrażał. Przepalał się przez niego od głowy aż po palce nóg, parząc wszystkie nerwy i mięśnie, każdy milimetr kwadratowy skóry. Jego mózg zmienił się w supernową. Serce stało się eksplodującą turbopompą. Każda komórka jego ciała płonęła, każda nić DNA buntowała się przeciwko odziedziczonemu kodowi.

Czarna dama — uświadomił sobie. W jakiś sposób przed chwilą wyciągnął czarną damę.

Czuł, że jego ciało wylacza się w proteście przeciwko bólowi. Kawałek po kawałku, narząd po narządzie, jakby ktoś kolejno wykręcał wszystkie korki w wielkim budynku.

Ból ustał.

Jack zobaczył się z zewnątrz. Leżał na pomoście, a jego twarz zamarła w wyrazie głupiego szoku. Zabójca ledwie był w stanie się ruszać. Zdołał zdjąć marynarkę i owinąć ją sobie wokół głowy, by powstrzymać krwotok ze zmasakrowanej twarzy.

— Hej — odezwał się Jack i spróbował złapać zamachowca. — Stój!

Tamtemu udało się jednak odczołgać.

— Cześć, chłopaku z farmy.

Jack uniósł wzrok, dziwiąc się, że słyszy głos Earla Sandersona. Earl wyglądał młodziej niż wtedy, gdy widział go po raz ostatni. Był młodym sportowcem, który dopiero co ukończył Uniwersytet Rutgers. Miał na sobie mundur Korpusu Powietrznego ze zdartymi epoletami, lotniczą kurtkę z odznaką Trzysta Trzydziestej Drugiej Grupy Myśliwskiej, czarny beret oraz długą, jedwabną apaszkę. Czarny Orzeł — uczonego, sportowca, bojownika o prawa obywatelskie... i być może najlepszy przyjaciel, jakiego Jack miał w życiu.

— Cześć, Earl — odparł Złoty Chłopiec.

— Kurde, ale jesteś powolny — stwierdził Earl. — Powinniśmy już stąd odlecieć.

— Nie umiem latać, Earl. Nie jestem taki jak ty.

— Jesteś powolny, chłopaku z farmy — powtórzył z uśmiechem Sanderson.
— Powolny.

Jack zdziwił się lekko, gdy obaj wzbili się do lotu. Marriott Marquis zniknął i znaleźli się pod niebem. Lecieli ku słońcu, które z każdą chwilą stawało się coraz jaśniejsze.

— Hej, Earl — odezwał się Jack. — Co jest grane?

— Prędzej czy później się domyślisz, chłopaku z farmy.

Słońce świeciło niemal oślepiająco. Jego żółty blask z każdą chwilą stawał się coraz bielszy. Wszelki kolor z niego odpływał. Jack dostrzegał w nim innych ludzi, chłopaków z Piątej Dywizji i z Korei, rodziców i starszego brata. Wszyscy lecieli, wznosili się ku niebu. Blythe van Renssaeler podleciała bliżej i uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

— Cholera. Asystolia — powiedziała. — Płaska linia.

— Hę?

Jack popatrzył na nią, zdziwiony.

Archibald Holmes podszedł do niego pewnym krokiem. Miał na sobie biały, płócienny garnitur. Zapalił papierosa i wetknął go do lufki.

— Cześć, panie Holmes.

— W porządku — stwierdził Archibald. — Zaintubowałem go. Gdzie jest respirator?

— Czemu to jego światło ciągle miga? — zainteresowała się Blythe.

— Nic na to nie poradzę.

Jack wzruszył ramionami.

— Zaczynamy od nowa — podjął Holmes. — Podam mu trochę adrenaliny przez rurkę intubacyjną. Za minutę chcę mieć miligram atropiny.

Jack rozejrzał się wkoło i zobaczył, że Earl trzyma się za ręce z długonogą dziewczyną o blond włosach opadających na jedno oko oraz szerokich ramionach.

— Pani na pewno jest Leną Goldoni — stwierdził. — Widziałem pani zdjęcia.

— Mamy migotanie przedsionków — oznajmiła Lena.

— Powolne. — Earl potrząsnął głową. — Chłopaki z farmy zawsze są powolne.

Jego apaszka falowała na niewidzialnym wietrze. Jack uświadomił sobie, że są tu prawie wszyscy z dawnej Czwórki Asów, pomijając tylko Davida Harsteina. Zaczął się zastanawiać, czy powinien przeprosić za to, co im zrobił. Za to, że zniszczył ich wszystkich. Ale oni wyraźnie się ucieszyli na jego widok, więc

postanowił o tym nie wspominać.

Otaczało go coraz więcej ludzi. Zdażył już zapomnieć, że niektórych znał. Był wśród nich nawet szympanś Chester, który grał razem z nim w *Tarzanie wśród małp*. Siedział komuś na ramionach.

— Dajcie mu trzysta dzuli — poleciła małpa. — Zaprzeście resuscytacji. Odsuńcie się! Odsuńcie się, do cholery! Lois, czy mogłabyś zdjąć rękę z tej metalowej poręczy?

Światło jaśniało z każdą chwilą. Okrążające ich promienie stawały się niemal dotykalne, jak ściany tunelu. Jack czuł, że przyśpiesza, pędząc ku światłu. Usłyszał śpiew, chór miliona radosnych głosów.

Blask był coraz bliżej. Nie zwyczajne białe światło, lecz Białe Światło. Serce Jacka ogarnął zachwyt. Zaczynał rozumieć, zgodnie z zapowiedzią Earla.

— Trzysta sześćdziesiąt! — wrzasnęła małpa. — Odsunąć się, odsunąć!

Jack rozpostarł ramiona, gotowy skoczyć w serce Białego Światła. Nagle poczuł, że zwalnia. Rozpaczliwie próbował przyśpieszyć. Pragnął polecieć dalej.

Uświadomił sobie, że Białe Światło patrzy na niego.

— Co za fiut — oznajmiło. — Dajcie tu tego fiuta.

Jack zakasłał i otworzył oczy. Zobaczył przykucniętych wokół niego mężczyzn i kobiety z grupy agentów Secret Service przydzielonej do Gregga Hartmanna. Posługiwali się standardowym medycznym sprzętem ratunkowym wchodzącym w skład ich wyposażenia. Czuł ból w splocie słonecznym. Nie był w stanie powstrzymać kaszlu. Uniósł wzrok i ujrzał nad ich głowami zbryzgane krwią ściany z betonu oraz strome schody.

— Normalny rytm zatokowy — stwierdził jeden z nich. — Mamy puls. Mamy ciśnienie.

Mówił głosem Archibalda Holmesa. Paru innych zakrzyknęło radośnie.

Wysoka, ciemnowłosa kobieta mówiła do walkie-talkie.

— Karetka już jedzie.

To był głos Blythe.

— Spieprzyłem sprawę — spróbował wykrztusić z siebie Jack, ale rurka intubacyjna w gardle uniemożliwiła mu mówienie. — Znowu ją spieprzyłem.

Był tak osłabiony, że nie mógł się tym zbytnio przejmować.

Pojawiła się ekipa z karetki i zabrała go stamtąd.

20:00

Wziął się już porządnie w garść. Wstrząs emocjonalny, który przeżył przed godziną, minął bez śladu. Jack nie żył. Przyjaźń z człowiekiem, którego znał jako Gregga Hartmanna, nie żyła. Poczwarzka nie żyła. No cóż. Niech i tak będzie. Wziął się w garść. Zrobi to, co konieczne.

Ale te nadęte dupki sprzeciwiały się mu. Poruszały ustami, odsłaniając

dziąsła i języki, czerwone na tle czarnych i białych twarzy.

— Mówię panu, że pastor jest zajęty. Nie jest pan umówiony — tłumaczył cierpliwie czarnoskóry asystent, jakby objaśniał upośledzonemu umysłowo dziecku tajniki dodawania.

— Zobacz się ze mną. Jestem Tachion — odpowiedział kosmita takim samym tonem, cierpliwym i protekcyjnym.

— Proszę zadzwonić. Skorzystać z właściwych kanałów — wtrącił ze spokojem Prosta Strzała.

— Nie mam czasu na właściwe kanały — warknął Tachion. Panowanie nad sobą oddalało się od niego jak linka spinningowa rozwijająca się z kołowrotka.

— Jest późno — dorzucił asystent.

Drzwi apartamentu były lekko uchylone. Takizjanin ocenił odległość między dwoma znacznie od niego wyższymi mężczyznami. Zmieści się w luce. Przecisnął się między nimi, wijąc się jak ryba, i popędził ku drzwiom.

— hej!

Krzyki. Ściana ludzi pędzących w jego kierunku. Przenikliwe dzwonki telefonów. Telewizor wypełniający elektronicznymi banałami zatłoczony apartament.

— Zejdźcie mi z drogi! zejdźcie mi z drogi! gdzie on jest! Muszę się z nim zobaczyć!

Głos Tachiona brzmiał histerycznie nawet w jego własnych uszach.

— Nie może pan tak po prostu tu wejść — zawołał Prosta Strzała.

Złapali Tachiona za ręce i nogi, unosząc go w górę. Kosmita wrzeszczał wściekle, próbując się im wyrwać. Zapanował w gorączce nad umysłami kilku z nich i poczuł, że ich uścisk słabnie. Potem szarpał się znowu, gdy nowi ludzie zastąpili tych, którzy zapadli w drzemkę i osunęli się na podłogę.

Drzwi do sypialni otworzyły się nagle, uderzając z głośnym hukiem w ścianę. Z pokoju wyszedł Jesse Jackson, trzymający w ręce okulary do czytania. Pastor łypnął ze złością na swych zwolenników i ryknął:

— puśćcie go!

Dwaj najstarsi synowie Jacksona odepchnęli poirytowanych członków jego sztabu. Bardzo ładna i wyjątkowo opanowana Jackie Jackson pomogła Takizjaninowi poprawić płaszcz. Powoli przywrócono porządek. Jesse skinął na Tachiona, zapraszając go do sypialni. Drzwi zamknęły się za nim, odcinając go od najgorszego hałasu oraz od spojrzeń ciekawskich.

— Proszę. — Tach otworzył oczy. Jackson podsunął mu pod nos hotelową szklankę wypełnioną whisky. — Lubi pan efektowne wejścia, nieprawdaż, doktorze? Nie mógł pan po prostu zadzwonić i poprosić o rozmowę?

Takizjanin potarł oczy dłonią.

— Nie zastanowiłem się. — Rozprostował ramiona i odepchnął się od

ściany, o którą się opierał. — Proszę zwołać konferencję prasową, wielbny. Właśnie został pan nową, najlepszą nadzieją dzikich kart.

Jacksonowi wyraźnie zabrakło słów. Uderzył się dłonią w udo, a następnie wykonał kilka raptownych zakrętów, spacerując po ciasnej sypialni.

— Dlaczego?

Jego głos zabrzmiał posępnie, a twarz miała podobny wyraz.

— Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że pańskie argumenty były słuszne.

— Bzdura. Wtargnął pan tutaj jak szaleniec. Drży pan jak liść... — Tachion splótł z desperacją dłonie, starając się stłumić zdradzieckie drżenie. — Co się stało?

Tachion uniósł dłoń ostrym, urywanym gestem.

— Chce pan dostać to, co panu oferuję, czy nie?

— Chcę. Ale dobrze też byłoby się dowiedzieć dlaczego.

— Nie.

— Niech pan posłucha, doktorze. Będzie pan musiał coś powiedzieć prasie. Równie dobrze może pan to wypróbować na mnie.

W sypialni stało zdobne łoże z baldachimem. Tachion owinał dłonie wokół słupka i wsparł czoło o drewno.

— Niestabilność Gregga Hartmanna jest dobrze udokumentowana — zaczął recytować bezbarwnym, monotonnym głosem. — Choć wszyscy mieli nadzieję, że senator zostawił już za sobą tragedię z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego, przekonałem się, że wydarzenia dzisiejszego ranka były dla niego straszliwym wstrząsem. W związku z tym nie mogę z czystym sumieniem poprzeć jego zabiegów o nominację na prezydenckiego kandydata Partii Demokratycznej. — Opuścił ręce i spojrział na Jacksona. — Proszę bardzo. Czy to wystarczy?

Pastor przyglądał wąsy palcem wskazującym.

— Tak, myślę, że może wystarczyć. — Przyjrzał się z powagą w oczach niziutkiemu kosmicie. — Czy w pełni rozumie pan konsekwencje tego, co robi?

— Och, tak — odpowiedział na jednym wydechu.

— I to pana nie powstrzymuje?

— Nie mogę do tego dopuścić. — Tach ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się z ręką na klamce i obejrzał za siebie. — Powierzam panu swoich ludzi, pastorze. Lepiej, żeby nie zawiódł pan mojego zaufania.

22:00

— ...niestabilność Gregga Hartmanna jest dobrze udokumentowana — mówił niski mężczyzna o długich, rudych włosach widoczny pośrodku telewizyjnego ekranu. Zza sylwetki wysokiego, uśmiechniętego Murzyna stojącego obok wystawały wielkie litery — jac po jednej stronie, a son po drugiej. —

Obawiam się, że tragiczne wydarzenia dzisiejszego poranka przyprawiły senatora Gregga Hartmanna o załamanie nerwowe.

— Ty skurwysynu, ty skurwysynu! — wrzeszczał Mackie Majcher, prychnając na ekran skwarkami. Jego chude, wypaczone ciało unosiło się nad hotelową narzutą w czymś bliskim lewitacji, jak okruch nadprzewodnika w polu magnetycznym.

W skwarkach przeważały smaki soli i tłuszczu, ale niepowodzenie miało smak gówna.

Der Boss jednak go nie odesłał. Pozwolił mu zostać, w pokoju, który ukradł, podobnie jak skwarki. To dziwne, że nawet w najbardziej zapchanym hotelu można było znaleźć wolny pokój. Zwłaszcza jeśli ktoś umiał przechodzić przez ściany.

Niewiele zabrakło. Mackie był o tym przekonany. Zawsze potrafił wyczuć, gdy odrzucenie było blisko. Tachion patrzył prosto w lunę barwy stopionego srebra. Wyglądało to tak, jakby blask wpychał jego oczy głęboko do ciemnych oczodołów.

— Nie jestem już przekonany, czy zdolności senatora Hartmanna pozwolą mu dobrze reprezentować Partię Demokratyczną, czy to jako kandydat na prezydenta, czy jako prezydent. W związku z tym postanowiłem udzielić poparcia wielbnemu Jessemu Jacksonowi, który dowiódł swego poparcia dla praw dzokerów...

Czarnuchowi! Skurwysyński kosmita porzucił Szefa dla dzikusa z dżungli! A Mackie, który mógł przynajmniej zabić tę blond pizdę, która sprawiała trudności Szefowi, spierdolił sprawę.

Był bezwartościowy. Zasługiwał na odrzucenie przez Szefa, podobnie jak poprzednio na opuszczenie przez matkę. Zaczął łkać. Wyszarpnął poduszkę spod mocno napiętej narzuty i nakrył nią sobie twarz, jakby to mogło uwięzić łzy wewnątrz jego oczu.

23:00

Zadzwoił telefon. Tachion spojrzał na śpiącego Jaya, ale detektyw nawet się nie poruszył. Pogrążył się w czymś głębszym niż zwykły sen. Głębokie wyczerpanie doprowadziło go do stanu bliskiego nieprzytomności. Takizjanin przyglądał mu się z pełną goryczy zazdrością. On również był zmęczony jak pies, ale niespokojny umysł nie pozwalał mu na sen. Przełknął dwa centymetry brandy pozostałe w kieliszku, wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

— Halo. Nie, nie udzielam wywiadów.

— Doktorze Tachion, mówi recepcja. Wielki i Potężny Żółw unosi się przed wejściem i domaga się rozmowy z panem.

— Powiedzcie mu, że jestem zajęty.

— Ale...

Tachion odłożył słuchawkę i wrócił do picia. Po kilku minutach telefon zadzwonił znowu.

— Posłuchaj, do cholery! Spotkaj się ze mną! Musimy porozmawiać.

Tachion zadał sobie pytanie, gdzie właściwie Tommy zaparkował skorupę, żeby móc zadzwonić.

— Nie, Tommy.

— Jesteś mi to winien.

— Nie.

Odłożył słuchawkę i wypił kolejny kieliszek. Szkło pękło nagle z dźwiękiem eksplodującego pocisku raketowego. Takizjanin wrzasnął z przerażenia i zasłonił głowę rękami, gdy odłamki szkła posypały się na dywan i meble. Żółw był wielką czarną plamą zasłaniającą gwiazdy. Z korytarza dobiegły krzyki zaskoczonych ludzi.

— Możesz sobie darować telefon. Pomyślałem, że porozmawiamy osobiście.

— Och, Tommy.

— Chodźmy gdzieś, żeby pogadać swobodnie.

— Nie mogę.

Moc Żółwia podźwignęła go nad podłogę i wyniosła za rozbite okno. Tachion zawisnął w powietrzu, prawie sto metrów nad ulicą.

— Możesz.

Takizjanin spojrział w dół, na dachy przejeżdżających obok hotelu samochodów. Przełknął ślinę.

— No dobra, mogę.

Żółw posadził go delikatnie na swym zaokrąglonym grzbiecie. Tach pomacał wkoło, w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu. Był zbyt pijany, by zachować równowagę bez tego.

— Dłaczego, Tachy?

— Musiałem.

— Jeszcze jedno głosowanie i zwycięstwo byłoby nasze. — Tachion milczał.

— Rozmawiaj ze mną, do cholery!

— Nie mogę.

— Nie możesz — powtórzył Tommy, naśladowując płaczliwe, napuszone brzmienie głosu Takizjanina.

Mimo znużenia w Tachionie przebudził się gniew.

— Posłuchaj, Tommy, w czym problem? Jackson zajmuje we wszystkich ważnych sprawach to samo stanowisko co Hartmann.

— Jackson nie może zostać prezydentem.

— Skąd ta pewność?

— Jest czarny i popiera dzokerów!

— Doszedłem do wniosku, że on najlepiej będzie reprezentował interesy

dzikich kart.

— Doszedłeś do wniosku? Tak po prostu? A co z resztą nas?

— Znacie mnie od dwudziestu pięciu lat. Musicie mi zaufać.

— Zaufać ci. Mimo że nas zdradziłeś. Wiesz, co zrobiłeś? Właśnie zapewnileś nominację Barnettowi.

— Nieprawda! Znasz mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że miałem powody.

— W takim razie zdradź mi je, do chuja!

— Nie.

Tachion się rozpłakał.

— Kurwa, jesteś pijany.

Mknęli tuż nad dachami. Blask reflektorów skorupy odbijał się w oknach i gzymsach. Pojawił się przed nimi kopulasty dach Centrum Konferencyjnego Omni. W mroku było widać tysiące świateł migoczących u podstawy rozległego budynku. Tach usunął mruganiem wilgoć przesłaniającą mu oczy i uświadomił sobie, że to morze dzokerów, odbywających milczące czuwanie. Ich maski i deformacje były wyraźnie widoczne w blasku tysięcy świec.

— Popatrz na nich. Przyjrzyj się im uważnie. Co im powiesz, Tach? Zaufajcie mi? Kiedy żołnierze po nich przyjdą?

— Nie dojdzie do tego.

— A gdyby doszło?

— To i tak nie zmieniłoby decyzji, którą dziś podjąłem.

Żółw odczytał te słowa jako arogancję i dał się ponieść pasji.

— jezu chryste! za kogo TY się uważasz, do chuja!

Część ukrytych pod maskami twarzy uniosła się ku nim z nagłą ciekawością. Tachion również stracił cierpliwość.

— Jestem Tisianne brant Ts'ara sek Halima ser Ragnar sek Omian z Domu Ilkazam i jeśli coś robię, robię to z ważnych powodów. Nie podważaj ich!

— Nie jestem twoim pierdolonym poddanym!

— To prawda, ale jesteś moim *stirpsem*. Adoptowałem cię oficjalnie. Jesteś krwią i kością mojego rodu. Ty i twoi potomkowie jesteście na wieki związani z moim domem. Zapominasz się! — wysyczał.

— Och, pierdol się! Niech cię diabli wezmą! Uważasz nas za zwykłe zabawki. Zawsze byliśmy dla ciebie tylko szczurami laboratoryjnymi w twoim wielkim eksperymencie.

Lecieli teraz nad Piedmont Park. Żółw runął nagle w dół jak kamień. Następnie uniósł Takizjanina swą TK i postawił go u stóp fontanny.

— Po raz ostatni, Tachion, odpowiedz mi.

— Nie mogę.

Moc uderzyła kosmitę prosto w twarz. Zwalił się na schody i wylądował

boleśnie na boku.

Wsparł się z jękiem na łokciu. Oślepiały go reflektory Żółwia, który opadł teraz bardzo nisko. Takizjanin obmacał z jękiem zebra i stwierdził, że mogą być pęknięte, ale nie są złamane. Skorupa unosiła się przed nim jeszcze przez chwilę, a potem pomknęła ku niebu.

Tachion zrozumiał, co Tommy chciał mu przekazać wyborem miejsca i tym uderzeniem. Grudzień w sześćdziesiątym trzecim. Schody pod mauzoleum Śmiga.

— Na nikim ci nie zależy.

— Nieprawda. Robię to, bo chcę was chronić. Dlatego, że was kocham. On ma zabójcę, który przechodzi przez ściany. A ja złożyłem przysięgę.

Jednakże Żółw przywołał też przerażającą wizję prezydentury Barnetta. Tachion zdołał powstrzymać Hartmanna przed objęciem Białego Domu, a teraz musiał zapobiec zwycięstwu Ognioustego. W tym celu potrzebował Jacka.



W chwili, gdy karetka dowiozła go do szpitala, Jack czuł się już dobrze, choć nadal był osłabiony. Lekarze doszli do wniosku, że miał atak serca, i poddali go całej masie testów. Był zbyt zmęczony, by się sprzeciwić, ale do czasu, kiedy mu powiedzieli, że nie wykryto nic nieprawidłowego i w związku z tym zrobią mu tomografię głowy, by poszukać śladów jakiegoś tam incydentu mózgowego. Jack czuł, że odzyskał już siły. Oznajmił, że zaszkoziła mu moc asa, ale zdołał to przeżyć. Fizycznie nic mu nie było. Wszystko wydarzyło się w jego głowie.

Lekarze zgodzili się na kompromis, każąc Jackowi zostać do rana na obserwację. Kilka minut po tym, jak pielęgniarki zostawiły go samego, złapał za telefon i zadzwonił do Billy'ego Raya, by opisać mu mężczyznę, którego widział, a także naturę i zakres jego mocy.

— On pracuje dla Barnetta — stwierdził na koniec. — On i ten drugi, chłopak w skórzanej kurtce.

— Przekażę twoje podejrzenia — zapewnił Ray. — Swoją drogą, jesteśmy przekonani, że ten, od którego oberwałeś, to James Spector, znany też jako Zgon. Otacza go zła sława. Ale jeśli będziesz nosił ciemne okulary, nie zdoła ci spojrzeć w oczy.

— Jezu, powiedz o tym senatorowi. Tych dwóch asów chce go załatwić.

— Senator ma na głowie inne problemy, mój drogi Jacku. Tachion postanowił przejść ze swoimi dzokerami do Jessego Jacksona.

— Słucham?

Jack usiadł prosto w łóżku.

— Skurwysyński kosmita.

— Kiedy to się wydarzyło?

— Mniej więcej w tym samym czasie, gdy pewien Żółty Fiut dał sobie

skopać tyłek na klatce schodowej. Porozmawiamy później, dupku.

Jack odłożył słuchawkę i wpatrzył się w ciemny ekran ustawionego w kącie telewizora.

Ekran miał taki sam nieokreślony kolor, jak oczy Jamesa Spectora.

Ukryty as — pomyślał nagle. *Ukryty as, do licha, Leo Barnett, nazwijmy go po imieniu, zdołał jakoś dotrzeć do Tachiona. Zapewne przy pomocy Fleur. Zaciągnęła go w jakieś ustronne miejsce i Barnett uderzył w niego czymś z kryjówki.*

Wstał, wyjął z szafki zakrwawione ubranie i zaczął je wkładać.

Został sam. I wiedział, co musi zrobić.



Tachion walił pięściami w ścianę dyżurki pielęgniarek. Bolało go jak diabli, ale nie był w stanie się powstrzymać.

— Jak mogliście pozwolić mu odejść? Jak mogliście? Muszę się z nim zobaczyć. Muszę się z nim zobaczyć!

— Doktorze — odpowiedziała łagodnie szczupła, czarna pielęgniarka. — Zadzwońię do doktora Englisha z oddziału psychiatrycznego.

— Nie chcę... rozmawiać... z psychiatrą. Chcę rozmawiać... z panem Braunem.

— A jego... tu... nie ma — odpowiedziała pielęgniarka, wymawiając każde słowo równie starannie jak on.

Czyjaś ręka zacisnęła się na jego łokciu z siłą imadła.

— Chodźmy stąd, Tancerzu.

Tachion odwrócił się błyskawicznie. Nagły ruch wyrwał z jego ust jęk bólu. Poliakov nie wypuścił jego łokcia. Palce Rosjanina zacisnęły się jeszcze mocniej i Tachion potulnie pozwolił się odprowadzić.

— Dowiedzieliśmy się z wiadomości, że wreszcie odzyskałeś rozsądek — odezwał się cicho George, gdy już wyszli ze szpitala.

— My?

Rosjanin wskazał na taksówkę.

— Ja i Sara. Zaopiekowałem się nią.

— Och, dzięki Idealowi. Zawieź mnie do niej...

— A co twoim zdaniem właśnie robię? — mruknął Poliakov i otworzył drzwi taksówki.

Rozdział szósty

Sobota, 23 lutego 1988

1:00

Stali przed drzwiami pokoju w Motelu 6 na przedmieściach Atlanty. Tachion próbował się zastanowić nad tym, co powie kobiecie, którą tak bardzo skrzywdził, ale mógł myśleć jedynie o własnym zmęczeniu. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spał. Odnosił niepokojące wrażenie, że to było we wtorkową noc.

Poliakow zastukał mocno.

— Saro, tu George.

Tachion zamarł na chwilę w bezruchu. Potem ujrzał Sarę. Gapiła się na niego, zmęczona i pobladła. Miała na sobie zmiętą, niebiesko-białą suknię. Cofnęła się, szeleszcząc tkaniną i zasłoniła piersi ramionami. Poliakow stał za plecami kosmity niczym mroczny, nieprzenikniony cień. Tachion poruszył kilka razy gardłem, próbując uformować słowa. Nagle podbiegł do kobiety, opadł na jedno kolano, uniósł rąbek jej sukni i ucałował go.

— Wybacz mi, Saro.

Wydała z siebie kilka płaczliwych, nieartykułowanych jęków. Koniuszki jej palców musnęły jego włosy niczym widma, gdy klęczał przy niej z pochyloną głową.

— Co on robi? — zapytała po chwili żałośnie.

— Wykonuje przesadnie dramatyczny takizjański gest — wyjaśnił Rosjanin.

— W chwilach stresu często odwołuje się do tego typu dziwaczного zachowania. Zostawię was samych.

Drzwi zamknęły się cicho za nim. Jego kroki oddaliły się korytarzem.

Sara pociągnęła Tachiona za ramię.

— Och, wstań, proszę.

Tach chrząknął z bólu w pękniętych żebrach i wstał z wysiłkiem.

— Wybacz, jeśli cię zawstydziłem, ale słowa nie są adekwatne. Skrzywdziłem cię straszliwie.

— To znaczy... to znaczy...

— Tak, nie jesteś szalona — zapewnił, rozpraszając najstraszliwszą z jej obaw. — Skonfrontowałem się z potworem.

Rozpłakała się. Musnął delikatnie koniuszkami palców jej policzki, ocierając łzy.

— Och, Ricky.

Objął ją. Jej łopatki sterczały z pleców na podobieństwo noży.

— Sza, już po wszystkim.

Odchyliła głowę i popatrzyła na niego.

— Naprawdę?

— Tak. Hartmann utracił impet. Już nie zdoła go odzyskać.

Poruszyła ze znużeniem rzęsami, opuszczając wzrok.

— To znaczy, że nic mi nie grozi?

— Tak.

Pocałował ją w policzek, czując słony smak łez. Jej białozłote włosy opadały na ramiona. Wsparła o niego głowę. Była taka maleńka. Na tej gorącej i ciężkiej planecie było niewiele kobiet, przy których mógł się czuć wysoki. Przypomniawsobnie, że kiedyś jej pragnął. Niezwykła bladość zbliżała ją do takizjańskich standardów urody. Przypomniawsobnie, że kiedyś jej pragnął. Trzy lata temu, gdy po raz pierwszy wkroczyła do jego życia, błagając go, by uratował żalosego dzokera, Kluchę, niesłusznie oskarżonego o morderstwo. A teraz znowu był sobą — przynajmniej gdy chodziło o ciało. Czuł się też samotny, zagubiony i przerażony, podobnie jak ona... Przeniósł pocałunek na jej usta.

Wiedział, że z pewnością nie była dziewicą, ale w jej reakcji było coś zachwycająco nieśmiałego i niewprawnego. Objął ją mocno i znowu jęknął.

Odsunęła nagle głowę. Na jej chudej szyi uwydatniły się ścięgna.

— Jesteś ranny.

— To nic.

Ruszył chwiejnie w stronę łóżka, ignorując ból, i położył ją na nim.

Dziwił go ten nagły przyływ pożądania w chwili, gdy jego życie obróciło się w gruzy. Potem jednak uświadomił sobie, że tak właśnie powinno być. Takizjański duch nigdy się nie zrażał, zawsze próbował obrócić klęskę w zwycięstwo i pośród rozpaczystworzyć coś nowego. Zatrzymał się na chwilę.

— Czy mnie pragniesz? — zapytał.

— Tak, och, tak. Jestem wdzięczna... tak bardzo wdzięczna.

Zakrztusiła się. Włosy na jej skroniach zrobiły się mokre od łez. Tachion wsunął dłonie pod pośladki kobiety i ściągnął z niej rajstopy. Było w nich tyle dziur, że wyglądały jak pajęczyna rozerwana przez gwałtowny wichur.

— Ach, moje biedactwo. Moje małe biedactwo.

Nagle się rozplakał. Jego żebra przeszył paroksyzm bólu. Przerazona Sara dotknęła dłońmi jego policzków.

— Nie. Proszę, nie rób tego. Co się stało?

— Ufałem mu, a on mnie zdradził. A teraz... — wskazał ręką mniej więcej w kierunku Piedmont Parku — ...oni myślą, że ja ich zdradziłem. Czuję się zmęczony. Tak bardzo zmęczony.

Sara rozebrała go delikatnie i wciągnęła pod narzutę. Jej nagie ciało było wilgotne od potu, tak samo jak jego ciało. Przez długą chwilę obejmowali się tylko z drzeniem, podczas gdy ich umysły i ciała próbowały się zrelaksować. Tachion

ujął w dłoń jej małą pierś. Sara leżała w jego objęciach, przesuając palcem wskazującym wzdłuż jego warg.

— Zapewne mam szczęście, że nie mieszkam na Takis.

— Dlaczego tak mówisz?

— Tam już dawno bym zginął. Jeśli zwykły człowiek, powierzchniowiec, potrafi mnie ograć w takizjańską grę...

Potrząsnął głową.

— A co to za gra?

— Intrygi. Znałem Hartmanna dwadzieścia lat i nigdy niczego nie podejrzewałem.

— Był bardzo sprytny. Spędziłam... — Jej głos przybrał głębszy, pełen gorzkiego tonu. — I zniszczyłam sobie życie, usiłując go dorwać.

— I w końcu ci się udało. Czy było warto?

— Nie wiem — odparła z westchnieniem.

Pocałował ją.

Tachion parsknął śmiechem, po czym wydał z siebie stłumiony jęk.

— Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa mój trzynastoletni wnuk. Czyż to nie jest niewiarygodne? Jestem tak zajęty popisami na wielkiej scenie życia, że nie mam czasu żyć. Zastanawiam się, jak to by było być zwykłym człowiekiem.

— To nudne. Czułbyś się nieszczęśliwy.

Tachion wsparł się na łokciu i popatrzył na nią.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak.

Znow się położył.

— Nie jestem pewien. Miałbym żonę, dzieci, przyjaciół.

— Masz przyjaciół.

— Chyba straciłem dzisiaj większość z nich.

Sara znowu się rozplakała.

— Tak mi przykro. To wszystko przeze mnie...

Zakrył jej usta dłonią.

— Nie. To mój tekst.

— Ricky mnie kochał i przeze mnie go poćwiartowano. Nigdy z nim nawet nie spałam.

Kosmita przesunął dłoń po brzuchu Sary i wsunął palce w jej włosy łonowe.

— Uczcijmy pamięć zmarłych, radując się życiem.

— Czy to nie nazbyt bezduszne?

— Psst, Saro. Za dużo myślisz.

2:00

Spocony Jack usiadł w hotelowym łóżku, wspierając się o liczne poduszki. W dłoni trzymał na wpół opróżnioną butelkę whisky. Wypalił dwie paczki cameli.

Telewizor był włączony. Pokazywali stary thriller z Borisem Karloffem. Karloff ciągle patrzył na Brauna oczami Jamesa Spectora. As sięgnął po pilota i wyłączył telewizor, ale pusty ekran nadal gapił się na niego. Jack wstał z łóżka i odwrócił aparat ekranem do ściany. Wiedział, co musi zrobić. Ale nie był pewien, czy wystarczy mu odwagi. Nigdy dotąd nie uczynił czegoś podobnego na własną rękę. Zawsze był z nim pan Holmes, Earl albo ktoś inny, ko mu doradzał i pilnował, by wszystko poszło jak trzeba.

Ukryty as już dwukrotnie o mało go nie zabił.

Jack zadawał sobie pytanie, czy do trzech razy sztuka?

10:00

Tachion siedział przed wózkiem z hotelowym śniadaniem, smarując grzanekę masłem, gdy z sypialni wyszedł Jay. Miał na sobie jeden z garniturów Takizjanina, a choć rękawy i nogawki były za krótkie, z pewnością wyglądał w nim na bardziej eleganckiego i zadbanego.

Rozwalony na fotelu Blaise uniósł wzrok i zachichotał. Tachion obrzucił wnuka ostrym spojrzeniem.

— Blaise, czy podobala ci się przejażdżka na taśmociągu bagażowym?

— Nie — odparł z naburmuszoną miną chłopak. — Czułem się głupio.

— W takim razie zachowuj się, na Ideał, bo inaczej poproszę pana Ackroyda, żeby znowu teleportował cię na lotnisko w Atlancie.

— Nic nie poradzę na to, że wygląda śmiesznie — tłumaczył się Blaise. — Zupełnie jak pedał.

— To moje ubranie — zauważył Tachion z oburzeniem w głosie. — Osobiście uważam, że poprawa jest dramatyczna.

— Chłopak ma rację — odezwał się Jay. Zaskoczony Blaise podniósł wzrok. Detektyw uniósł szybko palec wskazujący w geście rewolwerowca. Wnuk Tachiona wzdrygnął się trwożnie. — Mam cię — oznajmił z uśmiechem Ackroyd.

Chłopak również się uśmiechnął.

Tachion patrzył na to z dezorientacją. Najwyraźniej Jay, przenosząc jego krnąbrnego dziedzica na drugi koniec Atlanty, zdołał nawiązać z nim kontakt. Przypomniał sobie, że George kiedyś mu mówił, iż Blaise musi się najpierw kogoś bać, nim będzie się mógł do niego zbliżyć. Ogarnęło go przygnębienie.

— I tak już jest z niego wielki łobuz — mruknął. — Nie musisz go dodatkowo zachęcać.

— Chłopak jest w porządku — sprzeciwił się Ackroyd, przyciągając krzesło do wózka ze śniadaniem. — Przynajmniej jak na Takizjanina.

Uniósł srebrną kopułę nad swoim talerzem i zaatakował z pasją jajka po

benedyktyńsku.

Takizjanin ocierał sobie usta chusteczką, a Jay wycierał grzanką z talerza resztki żółtka, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Tachion wstał.

— Kto tam?

— Carnifex. Otwieraj. Nie mam całego dnia.

Tachion zerknął na Ackroyda.

— Wpuść go — rzekł detektyw. — Ray to twardziel, ale nic nie zdziała przeciwko tobie, mnie czy naszemu Cisco Kidowi — zakończył, wskazując na Blaise'a.

Kosmita skinął głową i otworzył drzwi. Carnifex rozejrzał się wkoło i wszedł do środka. biały, obcisły, kombinezon podkreślał wszystkie mięśnie i ściągnął w jego ciełe.

— Regulaminy mówią, że nie wolno nam się mieszać do politycznych przepychanek — oznajmił z pogardą Tachionowi. — Masz szczęście. W przeciwnym razie skopałbym ci tyłek. Pewnie za długo zadawałeś się z Braunem i część jego natury przeszła na ciebie.

Tachion zacisnął usta.

— Mów sobie, co chcesz, Ray — odpowiedział rządowemu asowi. — Twoje opinie na moralne i polityczne tematy nie interesują mnie nawet w najmniejszym stopniu.

— Gregg chce się z tobą widzieć.

— Ale ja nie chcę się widzieć z nim.

— Pójdiesz do niego — zapewnił Ray, uśmiechając się półgębkiem. — Powiedział, że ma propozycję, którą chce z tobą przedyskutować.

— Nie mam zamiaru o niczym dyskutować z senatorem Hartmannem.

— Boisz się? — zainteresował się Ray. — Spokojnie, jeśli chcesz, będę cały czas trzymał cię za rączkę. — Wzruszył ramionami. — Idź albo nie, dla mnie to bez różnicy. Ale jeśli nie pójdziesz, pożałujesz. — As w białym stroju rozejrzał się po pomieszczeniu. Popatrzył na wybite przez Żółwia okna, rzucony na podłogę przez Hirama telewizor i na plamy moczu na kanapie. — To musiała być niezła impreza — skwitował. — Ktoś powinien cię nauczyć sprzątanania po sobie, doktorze. Zostawiłeś tu okrutny syf.

Skierował się ku drzwiom.

— Hej, Caryl! — zawołał go nagle Ackroyd.

Tachion skrzywił się boleśnie.

Ray zwrócił się ku detektywowi z niebezpiecznym błyskiem w zielonych oczach.

— Nazywam się Carnifex, dupku.

— Carnifex, dupku — poprawił się Jay.

Tachion skrzywił się raz jeszcze. Zamknął oczy.

— Postaram się to sobie zapamiętać — zapewnił Ackroyd. — Ile masz tych wesołych kombinezonów?

— Sześć albo osiem — odparł Billy Ray z podejrzliwością w głosie. — Dlaczego pytasz?

— Na pewno cholernie trudno sprząć z nich plamy krwi.

Tachion nie wierzył własnym uszom. W dzieciństwie Ackroyd z pewnością lubił kopać mrowiska i wsadzać rękę do uli.

Ray łypnął na niego ze złością.

— Nie wchodź mi w drogę, niuchaczu, albo przekonasz się o tym na własnej skórze.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

— Niuchaczu — powtórzył Jay. — Nazwał mnie niuchaczem. Boże, jestem zdruzgotany. — Zwrócił się w stronę Tachiona. — Pójdiesz do Hartmanna?

Takizjanin wyprostował się i uniósł podbródek.

— Muszę.

— Obawiałem się, że to powiesz — rzekł z westchnieniem detektyw.



Może udało mu się trochę pospać, a może tylko od czasu do czasu przymykał na moment oczy. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli wykona swój plan jak najszybciej, zanim utraci zdolność koordynacji ruchów do tego stopnia, że nie będzie w stanie wybrać numeru na komórce.

— Chciałem porozmawiać z wielbnym Barnettem.

— Czy mogę zapytać, kto dzwoni? — zapytał kobiecy głos z silnym hiszpańskim akcentem.

— Jack Braun.

Głos nagle nabrał afektowanych tonów.

— Wielbny Barnett obecnie nie rozmawia z nikim, panie Braun. Oddaje się modlitwom, które potrważą do chwili...

— Ze mną porozmawia! — zawołał Jack głosem przechodzącym niemal w krzyk.

— Panie Braun — odparła kobieta, udając cierpliwość. — Wielbny Barnett...

— Niech mu pani powie, że mogę mu oddać Kalifornię. — Nastąpiła długa przerwa, nim głos rozległ się ponownie.

— Połączę pana z panną van Renssaeler.

Gdy Jack usłyszał to nazwisko, w oczy wbiły mu się małe sztylety kaca.

Ale przynajmniej zbliżał się do wielbnego.



Idzie do nas. Lalkarz wyczuł niesmak Billy'ego Raya, wskazujący, że zbliża się Tachion. *To błąd, że nie próbujemy nim zawładnąć.*

Nie. Gregg był nieustępliwy. *Jest dla nas za silny. Jeśli zaatakujemy go w ten sposób, damy mu pretekst do kontrataku. Mój sposób jest lepszy.*

Jesteś słaby. Przemawia przez ciebie poczucie winy.

Ten zarzut był zbyt bliski prawdy. Faktycznie czuł się winny. W końcu znał Tachiona od dwudziestu lat. *Zamknij się* — rozkazał Lalkarzowi. *Pozwól mi się tym zająć.*

*Jasne. Jasne. Komu jeszcze powiedział? Hiram wie. Być może wielu innych...
Zamknij się!*

Gregg wyglądał przez okno, gdy Billy — wyraźnie pełen złej woli — wpuścił Tachiona do apartamentu.

— Przyszedł nasz zdrajca, senatorze — oznajmił Ray, przytrzymując drzwi. — Ciekawe, ile zapłacili małemu skurczybykowi?

Ochroniarz zatrzasnął drzwi za Tachionem tak szybko, że kosmita musiał przyśpieszyć, by nie oberwać w nogę.

Gregg nadal przerzucał papiery w trzymanej w rękach aktówce, powoli i z namysłem. Zaczekał chwilę, aż usłyszał, że poirytowany Tachion pociągnął nosem.

— Powiedz, co masz do powiedzenia, senatorze. Nie mam ochoty marnować zbyt wiele czasu na rozmowy z tobą.

Te słowa sprawiły Greggowi ból, większy, niżby należało. *To nie ja zrobiłem te wszystkie rzeczy* — pragnął mu powiedzieć. *To był Lalkarz.* Nie mógł jednak tego zrobić, ponieważ Lalkarz słuchał. Odwrócił się, spojrział w twarz rudowłosemu kosmicie i rzucił aktówkę na niski stolik stojący przed gościem.

— To bardzo interesująca lektura, doktorze — stwierdził. — Zapoznaj się z nią, proszę.

Tachion przeszył go wściekłym spojrzeniem, ale ujął teczkę w delikatne palce. Przerzucił kartki opatrzone stemplami Departamentu Sprawiedliwości i wzruszył ramionami.

— O co chodzi, senatorze? Skończmy tę farsę jak najszybciej.

— To proste, doktorze. — Hartmann rozparł się wygodnie na jednym z krzeseł z wystudiowaną nonszalancją. — Wtargnąłeś do mojego umysłu w poszukiwaniu amunicji, którą mógłbyś wykorzystać przeciwko mnie. Nie lubię stawać do pojedynku z nienabitym rewolwerem. Dlatego postanowiłem poszukać materiałów na twój temat. Zastanawiałem się, kto mógł szeptać ci do ucha oskarżenia przeciwko mnie. Zastanawiałem się, skąd mogą pochodzić te kłamstwa.

— To nie są kłamstwa, senatorze. Widziałem odrażające, zбочzone plugastwo wypełniające ci głowę. Obaj o tym wiemy.

Proszę — zawołał błagalnym tonem Lalkarz, usłyszawszy tę obelgę. *Pozwól mi spróbować.*

Nie!

Gregg machnął ręką.

— Ktoś cię przekonał, byś zgwałcił mój umysł, doktorze. Wiem, że miał z tym coś wspólnego Hiram, ale on gorąco pragnie we mnie wierzyć. To nie on jest źródłem. Domyślam się, że była nim Sara, a jeśli tak, z pewnością współpracowała z kimś innym. Rozumiesz, Kahina — pamiętasz biedną Kahinę, doktorze? — rozmawiała z Sarą. Wiem też, że ona i Gimli mieli kontakty z innym człowiekiem, Rosjaninem. Mam nawet zdjęcia. I mam też wysoko postawionych przyjaciół, pamiętasz, doktorze? Oni sprawdzili dla mnie parę rzeczy, wykryli fakty z przeszłości i chronologię. Zdziwiłbyś się, czego się dowiedzieli. A może wcale byś się nie zdziwił?

Gregg potrząsnął głową i obdarzył Tachiona swym sławnym uśmiechem, z którego rysownicy zrobili jego symbol.

— Jest w tym ironia, nieprawdaż, doktorze? Okazało się, że ludzie z HUAC jednak mieli rację. Zawsze byłeś cholernym komunistą z kosmosu.

Twarz Tachiona zbieleła. Dygotał. Zaciskał usta w wąską linię. Lalkarz wyczuł strumień jego emocji i zachichotał. *Mamy go. Mamy go.*

— Pif-paf — odezwał się Gregg. — Widzisz, ja też mam kilka kul. Jedna z nich nazywa się Blaise, a druga Poliakov. Jest też garstka innych nazwisk. To wielkokalibrowa amunicja.

— Niczego nie udowodnisz — odciął się Tachion. — Twój ludzie mówią, że Poliakov nie żyje. Kahina nie żyje. Gimli nie żyje. Wszyscy, którzy się z tobą stykają, giną. Masz tylko pogłoski i insynuacje. Żadnych faktów.

— Poliakowa widziano tutaj, w Atlancie. Inne fakty łatwo będzie znaleźć — zapewnił ze spokojem Gregg. — Ale nie pragnę kłopotów.

— Czego chcesz?

— Znasz odpowiedź na to pytanie równie dobrze jak ja, doktorze. Chcę, żebyś przyznał się do błędu. Oznajmił prasie i delegatom, że to było tylko prywatne nieporozumienie między nami i już załatwiliśmy sprawę. Znowu jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy kumplami. I z pewnością poczujesz się cholernie rozczarowany, jeśli wszyscy na mnie nie zagłosują. Jeśli nie chcesz brać czynnego udziału w mojej kampanii, to proszę bardzo. Możesz wyjechać z Atlanty po konferencji prasowej. Ale jeśli jej nie zwołasz, zacznę szukać tych faktów, które traktujesz tak lekceważąco. Może uda ci się odebrać mi nominację, Tachion, ale zadbam o to, byś upadł razem ze mną i ten twój nowo odkryty wnuk też.

Udało się. Gregg był tego pewien. Tachion wybelkotał coś bez sensu, zaciskając pięści na teczce tak mocno, że karton się skruszył. Nadęty, kurdupłowaty mięczak był bliski płaczu. Oczy miał wypełnione łzami.

Wygraliśmy. Nawet jeśli nie robi nic poza trzymaniem gęby na kłódkę, wygraliśmy. Nic nam nie grozi. Widzisz? — mówił Lalkarzowi Gregg. *A jak już*

będzie po wszystkim, znajdziemy jakiś sposób, żeby pozbyć się go raz na zawsze.

Tachion płakał. Z obu oczu płynęły mu strużki łez. Wyprostował się jak karłowaty kogucik, nadał pierś i spojrział ze złością na Hartmanna.

Gregg ryknął pogardliwym śmiechem.

— Zatem umowa stoi — rzekł. — Świetnie. Każę Amy zwołać konferencję...

— Nie — przerwał mu Tachion i cisnął w senatora teczką. Papiery rozsypały się niczym zbielełe jesienne liście. — Nie! — powtórzył, tym razem krzykiem, płaczącym, lecz przesyconym nutą wyzwania. — Możesz robić, co zechcesz, senatorze, ale nic ci to nie da. Niech cię piekło pochłonie. A jeśli chodzi o groźby, że zabierzesz mnie tam ze sobą, nie dbam o nie. Już tam kiedyś byłem.

Takizjanin zwrócił się ku wyjściu. Gregg zerwał się na równe nogi. Lalkarz darł się w jego wnętrzu jak oszalały.

— Ty skurwysynu! — wrzeszczał na Tachiona. — Ty głupi kutafonie! Wystarczy jeden mój telefon, a będziesz skończony! Stracisz wszystko!

Tach obejrzał się na senatora.

— Wszystko, co ma znaczenie, straciłem już dawno — odpowiedział. — Nie masz mi czym grozić.

Tachion otworzył drzwi, pociągnął nosem i zamknął je za sobą z bezgłośną godnością.



Spectora obudził trzask otwieranych drzwi. Leżał pod łóżkiem. Spędził tam całą noc, bojąc się spać na wierzchu. Wyjrzał przez szeroką na jakieś trzy centymetry szparę między dywanem a skrajem narzuty. Para brązowych, zapinanych na sprzączki butów przesunęła się obok niego i przeszła ze stukiem na kafelki łazienki.

— Wczoraj nikt tu nie spał. — To był głos czarnoskórej kobiety. — Tracimy tylko czas na te bzdury. Chyba powinnam zadzwonić do szefa i mu o tym powiedzieć.

— Kazali ci to zrobić — odpowiedział drugi głos, dobiegający z korytarza. — Na twoim miejscu bym ich posłuchała.

Stopy zbliżyły się do łóżka. Spector wstrzymał oddech.

Kobieta wzięła w rękę słuchawkę i wystukała cztery liczby. Czekwała chwilę.

— Nigdy go nie ma przy biurku. Zawsze kręci się wokół delegatów albo ludzi z Secret Service. — Odchrząknęła. — Tak, proszę pana. Mówi Charlene z pokoju tysiąc trzydzieści jeden. W nocy nikogo tu nie było. Oczywiście, że jestem pewna. Wie pan, że pierwszej nocy, kiedy tu był, czułyśmy zapach whisky, ale potem już nie. — Długa przerwa. — Tak, będziemy miały oko na ten pokój. — Odłożyła słuchawkę. — Dupek.

Z korytarza dobiegł śmiech.

Kobieta ruszyła ku drzwiom.

— Wiesz co? Skoro już mamy bawić się w szpiegów, powinni nam za to dodatkowo zapłacić. Nie rozumiem, dlaczego mamy nadstawiać karku, żeby ważny pan Hastings mógł się wykazać.

Zamknęła za sobą drzwi.

Spector słyszał, że po wyjściu kobieta nie przestała gadać. Nawet nowojorczykowi trudno byłoby dojść do słowa w rozmowie z nią.

Konał ze zmęczenia. Żuchwa bolała tak, jakby wbito mu w nią gwoździe długości osiemdziesięciu milimetrów. Przeniesienie się w inne miejsce wymagałoby wielkiego wysiłku, do którego nie czuł się w tej chwili skłonny. Zamknął oczy, słuchając skrzypienia wózka hotelowego, oddalającego się korytarzem.



Śniadanie, na które składały się stek i kawa, nie w pełni przygotowało Jacka do konfrontacji z wielebnym Barnettem i jego stajnią asów zabójców, ale parę dodatkowych kolejek wódki zdecydowanie poprawiło sytuację. Ręce przestały mu się trząść i ogolił się spokojnie. Co prawda i tak nie mógłby się skaleczyć, choćby i chciał, bo nawet piekielnie ostra brzytwa, jaką się posługiwał, nie była w stanie sobie poradzić z jego ochronną mocą dzikiej karty. Niemniej jednak, nie lubił kiepsko wykonanej roboty.

Ubierając się, oglądał wiadomości. W pierwszym dzisiejszym głosowaniu Hartmannowi zabrakło dwustu głosów. Około trzydziestu delegatów Jacka zdezerterowało, niektórzy do Dukakisa, a inni do Jacksona. Barnettowi przybyło w sumie około czterdziestu głosów.

Niecierpliwość Złotego Chłopca wzmogła się jeszcze.

Włożył letnią bawełnianą dwurzędówkę granatowej barwy, szytą na zamówienie przez starego krawca z New Jersey, z którego usług korzystał od czterdziestu lat, jasnoniebieską koszulę marki Arrow, czarne włoskie broggy, czerwony krawat (nie potrafił pojąć, dlaczego biznesowe krawaty mają obecnie być żółte, ten kolor krawata zawsze kojarzył mu się z kimś, kto upaprał się jajkiem przy śniadaniu), a na oczy włożył wielkie hollywoodzkie ciemne okulary — zarówno po to, by ukryć kaca, jak i na wypadek, gdyby Zgon czał się gdzieś na niego. Przed wyjściem wypił kolejny kieliszek wódki, co również poprawiło jego samopoczucie. Papierosy kupi w holu.

Limuzyna Barnetta czekała na niego przy wyjściu. Były paskudne korki. Sytuację dodatkowo pogarszali maszerujący dzokerzy, Katolicy dla Barnetta, Mutanci dla Zippy'ego Pinheada, a także autobusy dowożące dziennikarzy z odległych hoteli, w których się zatrzymali.

Fleur spotkała go przy drzwiach hotelu Omni. Nerwy zatańczyły mu lekko na jej widok, ale zdołał stłumić pragnienie ucieczki. Uśmiechnął się do niej i uściskał jej dłoń.

— Winda czeka — oznajmiła kobieta.

— świetnie — ucieszył się, i oboje ruszyli przez hol.

— Przepraszam, jeśli Consuela sprawiła panu trudności. Przywykła do telefonów od świrów.

— Nie ma sprawy.

— To uciekinierka przed prześladowaniami Ladinów w Gwatemali, biedna wdowa z trojgiem dzieci. Wielebny umożliwił jej pozostanie w tym kraju.

Jack spojrział na nią z uśmiechem.

— To naprawdę niezwykle, że człowiek tak zajęty jak wielbny Barnett znalazł czas na to, by pomóc komuś takiemu.

Fleur spojrzała w jego bardzo ciemne okulary.

— On już taki jest. Pomaga ludziom.

— Z pewnością nie jest wyjątkiem. Z pewnością pani też chętnie dzieli się z innymi.

Spróbowała zrobić skromną minę.

— No cóż...

— Poświęciła pani swą cnotę, by uleczyć Tachiona z jego problemu.

Wytrzeszczyła oczy.

— Między nami mówiąc, czy rzeczywiście mu stanął? — zapytał z uśmiechem Jack.

Nie przestając się uśmiechać, wysiadł z windy za Fleur, która zaciskała usta tak mocno, że aż wargi jej zbieleły. Temperatura zrobiła się nagle o jakieś trzydzieści stopni niższa. Po długim korytarzu prowadzącym do apartamentu Barnetta krążyli ludzie z Secret Service, między innymi Czarna Lady. Jack miał nadzieję, że go nie rozpoznała.

Minął apartament pełen stolików oraz ludzi pracujących na rzecz kampanii. Większość stanowiły kobiety, nierzadko młode i atrakcyjne.

Dotarli do kolejnych drzwi. Fleur zapukała. Leo Barnett, wyglądający młodziej niż na swoje trzydzieści osiem lat, otworzył je i wyciągnął rękę.

— Witam, panie Braun — rzekł.

Jack gapił się na jego dłoń, zastanawiając się, czy Barnett może zapanować nad jego umysłem przez sam dotyk. Po chwili znalazł gdzieś odwagę i uściskał mu rękę.



Drżenie powróciło. Tachion zatrzymał rękę z kieliszkiem w połowie drogi do ust. Zadał sobie pytanie, ile już dzisiaj wypił. Dwa kieliszki? Trzy? Odstawił

naczynie przesadnie zamaszystym gestem. Stuknął nim mocno w blat, jakby chciał w ten sposób sprawić, że zostanie na miejscu i nie poleci z powrotem do jego ręki. Następnie wrócił do tacy z hotelowym śniadaniem i ugryzł kawałek zimnej grzanki.

Żołądek mu się zbuntował. Kosmita wciągnął gwałtownie powietrze. Na jego czoło wystąpił zimny pot. Powlókł się chwiejnie do łazienki i zlał sobie twarz wodą. Słyszał dobiegające z sypialni głosy oraz śmiech. Blaise rozmawiał z Ackroydem.

Tachion podszedł do drzwi pomieszczenia i otworzył je. Rozmowa umilkła. Jay spojrzał na niego pytająco, a Blaise swymi niezwykłymi oczami, z posępnym błyskiem, tak ciemnofioletowymi, że prawie czarnymi.

— Ackroyd, chciałbym z tobą porozmawiać. Czy mógłbyś tu przyjść?

Jay wzruszył ramionami, próbując ściągnąć z nóg spodnie, które opadły mu do kostek. Następnie podążył za Tachionem do salonu.

— Czego chciał Hartmann? — zapytał, sięgając do tacy ze śniadaniem.

— Chciałbym cię prosić o przysługę, Ackroyd.

— Nie ma sprawy. Co to ma być?

Tach uniósł rękę.

— Nie bierz na siebie zobowiązań zbyt pochopnie. Fakt, że stanę się twoim dłużnikiem, może nie wystarczyć, żeby przeważyć to, o co cię poproszę.

— Jezu, przejdź do rzeczy, Tachion. Starczy już tych kwiecistych takizjańskich pierdół.

Jay włożył do ust plasterki pomarańczy i wysłał miąższ.

— Hartmann mnie szantażuje. Nie zgodziłem się spełnić jego żądań, ale będę potrzebował czasu. Dzień, maksymalnie dwa, i będzie po wszystkim. Przegra wyścig o nominację. — Głos Tacha umilkł. Takizjanin wbił smętnie wzrok w krajobraz zniszczonych na wieki nadziei. Otrząsnął się jednak po chwili. — Możesz mi dać ten czas.

— Do rzeczy. Do rzeczy.

— Musisz usunąć z Atlanty pewnego człowieka. Bardziej konwencjonalne metody nie są dla nas dostępne.

W oczach detektywa pojawił się błysk podejrzenia.

— Dlaczego? Kim jest ten facet?

Porzucony kieliszek z łatwością znalazł drogę do ręki Takizjanina. Tach poczuł w dłoni chłód pokrytego kropelkami rosy szkła i wypił brandy jednym, długim łykiem.

— Dawno temu uratował mi życie człowiek, który na przemian był dla mnie diabłem i aniołem.

Ackroyd rozpostarł szeroko ręce.

— A niech to.

— To nie jest dla mnie łatwe — dodał z irytacją Tachion. Zakreślił kieliszkiem między dłońmi. — W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym zwerbowało mnie KGB — wygarnął wreszcie. Uśmiechnął się ze smutkiem na widok miny Ackroyda. — To nie było takie trudne. Zrobiłbym wtedy wszystko, żeby tylko móc się napić. Tak czy inaczej mijały lata. Okazałem się mniej użyteczny, niż na to liczone. Zapomnieli o mnie i myślałem, że jestem wolny. Ale w zeszłym roku agent, który mnie prowadził, wrócił do mojego życia i zażądał spłaty długu. On jest tutaj. W Atlancie.

— Dlaczego?

— Z powodu Hartmanna. Podejrzewał istnienie potwora. Ale teraz Hartmann dowiedział się o nim i o związku, który nas łączy.

— Jakim związku?

— On jest nauczycielem Blaise'a.

— A niech to.

Ackroyd osunął się na krzesło.

— To właśnie jest maczuga, której Hartmann zamierza użyć przeciwko mnie. Zapewne pójdę do więzienia, Ackroyd. Ale najpierw go powstrzymam.

— I chcesz, żebyśmy go gdzieś przenieśli.

— Tak. Zawiadomiono już FBI i Secret Service. Szukają George'a w całej Atlancie.

— Nadal jesteś komuchem?

Tachion uniósł palec w wykwintnym geście i dotknął koronkowego kołnierza.

— Ja? Doprawdy, Ackroyd.

Detektyw przyjrzał się drobnemu kosmicie spowitemu w zieleń, oranż i złoto.

— Aha. Kapuję, co masz na myśli. — Klepnął się dłońmi po udach i wstał z krzesła. — Hej, to dla mnie starożytne dzieje. Przenieśmy gdzieś tego komuszka.

Tachion otworzył drzwi sypialni.

— Blaise...

— Zabierasz go stąd? To znaczy, że on o tym wie?

— Oczywiście. Chodź, dziecko. Chciałbym, żebyś miał okazję pożegnać się z George'em.



Jack przyszedł na spotkanie w dwurzędowym garniturze, chcąc zrobić dobre wrażenie na konserwatywnym kaznodziei, którego widział na filmach z jego kampanii, a tymczasem Leo Barnett wyglądał równie elegancko jak Jimmy Carter odpoczywający w swym domu w Plains. Miał na sobie znoszone dzinsy, koszulę w kratę oraz czarne kedsy. Krótko ostrzyżone blond włosy były lekko

rozczochrane. Wsadził ręce do kieszeni i powlókł się z powrotem do pokoju.

— Chce pan zjeść śniadanie? Chyba sporo zostało.

Jack rozejrzał się po pokoju, w którym Barnett oddawał się modłom. To był zwyczajny hotelowy apartament z małą wnęką kuchenną, barkiem i wielkim telewizorem. Był tu nawet kominek oraz kilka stojaków na zwinięte gazety. Zgodnie z zaleceniem Secret Service zasłony zasunięto i wewnątrz oświetlało wyłącznie sztuczne światło. Na jednym stoliku stało zdjęcie narzeczonej Barnetta, a na drugim komputer Mackintosh II. Przy drzwiach ustawiono też srebrny, podgrzewany stolik na kółkach. Pod pokrywami zapewne znajdowały się potrawy.

— Dziękuję, już jadłem — odparł Jack.

— A może kawy?

Jack zastanowił się nad stanem swych nerwów i nad kacem. A co tam, po rozmowie w windzie zapewne nic mu już nie zaszkodzi.

— Pewnie nie mogę liczyć na krwawą Mary...

Barnett nie sprawiał wrażenia zaskoczonego nawet w najmniejszym stopniu.

— Myślę, że to da się zrobić. — Zwrócił się w stronę Fleur. — Mogłabyś przynieść drinka panu Braunowi? Pewnie najszybciej coś znajdziesz w pokoju prasowym na dole.

— Oczywiście, Leo — odparła głosem o temperaturze około trzech kelwinów.

Kaznodzieja uśmiechnął się do niej ciepło.

— Serdecznie ci dziękuję, Fleur.

Jack przeniósł spojrzenie z Barnetta na Fleur, a potem z powrotem na kaznodzieję. *Nierządnica dla Pana?* — pomyślał raz jeszcze. *Ciekawe, czy jego narzeczona wie?*

— Niech pan siada, panie Braun.

Jack wybrał sobie fotel i zasiadł w nim. Barnett przyciągnął sobie drugi fotel i spoczął nieco na prawo od gościa. Pochylił się do przodu, a na jego twarzy malował się wyraz oczekiwania.

— W czym mogę panu pomóc, panie Braun?

— No cóż. — Jack zaczerpnął głęboki haust powietrza, by zebrać się na odwagę. Spróbował sobie przypomnieć lekcje aktorstwa, jakich udzielano mu czterdzieści lat temu. — W ciągu dwóch ostatnich dni dwukrotnie omal nie zginąłem. Zleciałem z balkonu i to mogłoby mnie zabić, gdyby Hiram Worchester nie uczynił mnie lżejszym od powietrza. Natomiast wczoraj wieczorem as zwany Zgonem zdołał zatrzymać akcję mojego serca na pewien czas... — Jego głos ucichł. — Rzecz w tym — podjął z naciskiem Jack — że zastanawiam się, czy ktoś nie próbuje mi czegoś powiedzieć.

Barnett uśmiechnął się z przekąsem, a potem skinął głową.

— Nie miał pan zbyt wielu okazji myśleć o sprawach wiecznych,

nieprawdaż?

— Pewnie nie miałem.

— Zawsze istniało dla pana tylko życie doczesne. Otrzymał pan wieczną młodość. Niezniszczalne ciało. Zapewne nie musi się pan martwić o pieniądze. — Obrzucił Jacka spojrzeniem wyrażającym szczerą podziw. — Swoją drogą, bardzo miło wspominał Tarzana. Chyba nigdy nie opuściłem żadnego odcinka. Pamiętam, jak wracając do domu, skakał pan na lianie nad jeziorkiem, wydając ten swój okrzyk.

— Właściwie to nigdy nie krzychałem — wyznał Jack. — Zew montowano elektronicznie z wielu różnych głosów.

Barnett sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego.

— No cóż, pewnie w wieku dziesięciu lat nikt nie zastanawia się nad takimi sprawami. — Znowu się uśmiechnął. — A co się stało z szympansem?

— Jest w zoo w San Diego.

Jack zawsze tak odpowiadał na to pytanie, choć była to kompletna nieprawda. Wkrótce po tym, jak szympanś Chester wkroczył w wiek młodzieńczy, zastrzelono go, gdy próbował urwać rękę treserowi. As przekonał się jednak, że większość ludzi woli, by życie szympanśa też miało szczęśliwe zakończenie. Osobiście nie podzielał tego pragnienia. Nigdy nie lubił małego, wrednego zwierzaka, który kradł mu każdą scenę.

Barnett po chwili wziął się w garść.

— Przepraszam, panie Braun — rzekł. — Obawiam się, że niepotrzebnie odwróciłem pana uwagę.

— Nic nie szkodzi. I tak nie jestem pewien, co właściwie chciałem powiedzieć.

— Wielu ludziom brakuje słów, by mówić o sprawach wiecznych. — Barnett rozciągnął usta w autoironicznym uśmiešku. — Na szczęście my, kaznodzieje, możemy im pomóc choćby w niewielkim stopniu.

— Hmm, tak. Właśnie dlatego tu jestem.

Złotemu Chłopcu trudno było pogodzić tego wyluzowanego Barnetta z pełnym pasji kaznodzieją, którego widział na filmach, blond panterą podkradającą się do swojej kongregacji, drapieżnikiem, w którym widział ukrytego asa mordercę. Czy to mógł być ten sam człowiek?

Jack odchrząknął.

— Widział pan *Portret Doriana Graya*? To stary film Alberta Lewina z lat czterdziestych. George Sanders, Hurd Hatfield, Angela Lansbury. — Ponownie odkaszlnął. Rurka intubacyjna podrażniła mu gardło, a palenie też nie pomagało. — I chyba Donna Reed — podjął, próbując sobie przypomnieć. — Tak jest, Donna Reed. To historia młodego człowieka, który każe namalować swój portret i jego dusza przechodzi do obrazu. Potem bohater zaczyna prowadzić, bo ja wiem,

grzeszne życie, jeśli można to tak nazwać, ale nie spotykają go z tego powodu żadne konsekwencje. Cały czas pozostaje młody. Tylko portret robi się stary i... zmitręzony? Czy to odpowiednie słowo?

Barnett skinął głową.

— Tak czy inaczej, na koniec obraz ulega zniszczeniu i Dorian Gray nagle robi się stary i zły, po czym pada trupem. — Uśmiechnął się. — No wie pan, efekty specjalne. Dużo o tym myślałem. Nie zmieniam się od czterdziestu lat i nie można powiedzieć, bym prowadził czyste życie. Co, jeśli to się zużyje? Jeśli zestarzeję się nagle, jak Dorian Gray? Albo jeśli zabije mnie jakiś szalony as?

Jack uświadomił sobie, że krzyczy. Serce zabiło mu szybciej, gdy dotarło do niego, że to już nie jest gra. Że mówił o autentycznych traumach. Odchrząknął raz jeszcze i usiadł wygodniej.

Barnett pochylił się ku niemu i położył rękę na jego ramieniu.

— Byłby pan zaskoczony, gdyby się pan dowiedział, jak często odwiedzają mnie ludzie znajdujący się w podobnej sytuacji. Być może ich obawy nie są aż tak... spektakularne, ale spotkałem wiele podobnych osób. Mężczyźni i kobiety, którzy odnieśli w życiu sukces i z pozoru są zadowoleni, ale nie myślą o sprawach ostatecznych, dopóki nie poczują ich dotknięcia. Może to być ostrzegawczy atak serca, śmierć bliskiej osoby w wypadku albo nieuleczalna choroba jednego z rodziców. — Uśmiechnął się. — Nie wierzę, by takie ostrzeżenia były przypadkiem, panie Braun.

— Jack.

Zgasił papierosa. Przyszło mu na myśl, że omal nie stracił panowania nad sobą.

— Proszę bardzo, Jack. Wierzę, że takie ostrzeżenia mają swój cel. Że Wszchemocny przypomina nam w ten sposób, że istnieje. Że fakt, iż dwukrotnie uszedłeś z życiem dzięki uśmiechowi szczęścia, może być objawieniem Bożego celu.

Jack spojrział przez ciemne okulary w lśniące błękitem oczy Barnetta.

— Czyżby? — zapytał.

W tych niebieskich oczach płonął żar gorliwości.

— Pan rzekł nam: „Do mnie się zwróćcie, wszystkie krańce Ziemi, abyście były zbawione, bo ja jestem Bogiem i nie ma innego”.

Do mnie się zwróćcie — pomyślał Jack. *Czy ma na myśli Boga, czy samego siebie?*

— Dzika karta dała ci fałszywe przekonanie o własnej nieśmiertelności — kontynuował kaznodzieja — ale Pan znalazł sposób na to, by ostrzec cię przed fałszem, przypomnieć, gdzie można odnaleźć prawdziwą nieśmiertelność, i ocalić cię, byś nadal mógł Mu służyć.

Ktoś zapukał do drzwi. Barnett poderwał się lekko, jakby ten dźwięk

wyprowadził go z transu. Spojrzał w tamtym kierunku.

— Proszę.

Fleur weszła do pokoju, trzymając w lodowatej dłoni krwawą Mary.

— Drink dla pana Brauna.

Złoty Chłopiec uśmiechnął się do niej.

— Proszę mi mówić Jack.

Łypnęła na niego złowrogo. As wyjął drinka z jej ręki i przyjrzał mu się nad krawędzią ciemnych okularów, by się upewnić, czy do niego nie napluła.

— Dziękuję ci serdecznie, Fleur.

Tym razem Barnett nie uśmiechnął się aż tak ciepło. Jego słowa były rozkazem odejścia. Kobieta go posłuchała.

Jack popił łyk koktajlu. Był świetny. Najwyraźniej ktoś w pokoju prasowym potrafił uszczęśliwić dziennikarzy.

— Czy jest dobra? — W głosie Barnetta zabrzmiało szczere zainteresowanie.

— Tak.

Jack pociągnął większy łyk.

— Nigdy... — Barnett machnął ręką. — Nieważne.

Złotego Chłopca zdziwił tęskny ton słyszalny w głosie kaznodziei. Barnett brzmiał zupełnie jak mały chłopiec, któremu matka zabroniła wyjść na dwór podczas deszczu.

Może on rzeczywiście nie miał w życiu żadnego wyboru — pomyślał. Może o wszystkim zdecydowano za niego. Może tylko raz nie postąpił tak, jak oczekiwano. Wtedy, gdy uciekł z domu, by zaciągnąć się do marines.

Nikt ci nie każe kandydować na prezydenta — zakończył jednak z pasją.

Barnett rozparł się wygodniej w fotelu, łącząc palce w piramidkę poniżej podbródka. Ponownie skupił całą uwagę na Jacku. Złoty Chłopiec przyglądał mu się zza wielkich ciemnych okularów.

— Chciałbym ci opowiedzieć swój sen, Jack — podjął Barnett cichym, łagodnym głosem. — Pan zesłał mi go przed kilku laty. W tym śnie znalazłem się w wielkim sadzie. Gdziekolwiek spojrzałem, wszędzie rosły drzewa owocowe, suto obwieszane bożymi darami. Rosły tam najrozmaitsze owoce, Jack, wiśnie i pomarańcze, persymony i śliwki, wszystko, co tylko wypełnia boży róg obfitości. Ogród był tak piękny, że moje serce zapłonęło radością i zadowoleniem. Aż nagle... — Barnett spojrzał na sufit, jakby coś tam widział. Jack złapał się na tym, że podąży wzrokiem za spojrzeniem kaznodziei, ale powstrzymał się natychmiast. *Aktorskie sztuczki* — pomyślał i pociągnął porządny łyk krwawej Mary. — Aż nagle chmura zasłoniła słońce — kontynuował Barnett. — A z chmury lunął mroczny deszcz. Spadał na ogród to tu, to tam, przynosząc zarazę każdemu owocowi, którego dotknął. Widziałem, jak wszystkie pomarańcze oraz cytryny poczerniały i spadły z drzew. Widziałem, jak liście więdły i umierały. Co więcej,

później ujrzałem, że choć deszcz minął, zaraza nadal się szerzy. Widziałem ciemność sięgającą ku zdrowym drzewom, by je również skazić. Aż wreszcie usłyszałem głos.

Ton kaznodziei zmienił się nagle, stał się głębszy i poważniejszy. Transformacja była tak całkowita, że po plecach Jacka przebiegł dreszcz,

— Głos, który rzekł: „W twoje ręce oddaję ten sad. Tobie zlecam zadanie zniszczenia zarazy”.

Głos i zachowanie Barnetta zmieniły się znowu. Kaznodzieja zrobił się rozgorączkowany i pełen entuzjazmu. Jego dźwięczne słowa niosły się echem w niewielkiej sypialni.

— Uświadomiłem sobie, że owoce w tym sadzie to dzieci Boga, stworzone na Jego obraz i podobieństwo. Zrozumiałem, że mroczny deszcz to szatan. Pojąłem, że zaraza to dzika karta. Padłem na twarz i zacząłem się modlić: „Panie! Jestem za słaby! Nie jest godzinę tego zadania”. Ale pan odpowiedział: „Dam ci siłę!”. — Głos Barnetta przeszedł w krzyk. — „Uczynię twe serce mocnym jak stal! Uczynię twój język ostrym jak miecz, a twe tchnienie gwałtownym niczym tornado!” Zdawałem sobie sprawę, że muszę uczynić to, czego żąda ode mnie Pan.

Barnett zerwał się z fotela i zaczął spacerować po pokoju, ani na moment nie przestając mówić. *Jakby Bóg szarpał jego łańcuch* — pomyślał Jack.

— Wiedziałem, że mam moc leczenia dzikiej karty! Rozumiałem, że dzieło Pana musi być wykonane, a Jego ogród oczyszczony! — Wskazał palcem na Jacka. — Moi krytycy niesłusznie mnie oskarżają — ciągnął. — Nie zamierzam czyścić ogrodu okrutnie ani arbitralnie, nie będę się kierował złą wolą. Moi przeciwnicy mówią, że zamknę dzokerów w obozach koncentracyjnych! — Roześmiał się. — Ale ja pragnę ich umieścić w szpitalach, wyleczyć ich z choroby i nie dopuścić do tego, by przeszła na ich dzieci. Uważam, że rząd grzeszy, przeznaczając tak niewielkie sumy na badania nad dziką kartą. Ja zwiększyłbym wydatki dziesięciokrotnie, by móc wreszcie zetrzeć tę zarazę z powierzchni Ziemi!

Barnett zwrócił się ku Jackowi. Ku zdumieniu Złotego Chłopca w oczach kaznodziei pojawiły się łzy.

— Masz wystarczająco wiele lat, by pamiętać czasy, gdy ten kraj dręczyła plaga gruźlicy. Pamiętasz setki, a nawet tysiące sanatoriów rozsianych po całym terytorium Arizony oraz Nowego Meksyku, dzięki którym chorzy nie mogli zarażać innych, podczas gdy uczeni pracowali nad stworzeniem lekarstwa. Tak właśnie pragnę pomóc ofiarom dzikiej karty. Jack! — zawołał Barnett błagalnym tonem. — Pan przedłużył ci życie. Pan ocalił cię przed śmiercią! To z pewnością oznacza, że przeznaczył dla ciebie jakieś miejsce w swym planie. Pan pragnie, byś poprowadził ofiary tej zarazy ku uzdrowieniu. „Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie”. Zdrowie, Jack! — Twarz Barnetta promieniała

radością i uniesieniem. Stanął przed Złotym Chłopcem, wznosząc triumfalnie ręce. — Czy mi nie pomożesz, Jack? Pomóż mi uzdrowić Boże dzieci! Pomódl się ze mną, Jack! „Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do Królestwa Bożego. Wszystkim jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, by stali się dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego”.

Ku swemu zdumieniu Jack poczuł, że coś, jakby ręka olbrzyma, złapało go za kark i uniosło z fotela. Klęknął nagle przed kaznodzieją i podniósł ręce. Jego dłonie splotły się z dłońmi wielebnego Leo Barnetta. Wielebny uniosł ku górze zlaną łzami twarz i zakrzyknął w modlitwie:

— „Jeśli więc ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, minęło, a oto stało się nowe”.

Jego moc była niemal dotykalna. To nie mógł być tylko talent aktorski i umiejętność oszołomienia widza. Jack znał się na tego rodzaju sztuczkach, ale czegoś takiego nigdy w życiu nie widział.

On jest asem — pomyślał Złoty Chłopiec. *Mój Boże, on naprawdę jest asem.* Do tej chwili właściwie w to nie wierzył. Barnett był asem, a Jack go zniszczy.

11:00

Cal Redken mówił jak pryszczaty, uzależniony od fast foodów samotnik, którym rzeczywiście był. W tle wszystkich prowadzonych przez niego rozmów zawsze można było usłyszeć szelest rozwijanych papierków. Jego słowa były niewyraźne, gdyż ciągle przeżuwał twinkies, snickersy albo fritosy. Mówił jak ktoś gruby, głupawy i leniwy.

Tylko pierwsze z tych trzech określeń było prawdziwe.

Gregg zrobił z niego swoją lalkę już dawno temu, raczej odruchowo, niż dlatego że rzeczywiście tego pragnął. Bawił się nienasyconym apetytem Redkena, lekko rozbawiony świadomością, że może komuś kazać jeść tak długo, że mało braknie, by dosłownie pękł. To jednak nie zaspokajało zbyt skutecznie głodu Lalkarza i Gregg rzadko wykorzystywał Redkena. Mężczyzna nie był Hiramem — asem o szczególnych zdolnościach i upodobaniach — był jednak kompetentnym dochodzeniowcem, nawet jeśli prowadził siedzący tryb życia. Nikt nie poruszał się sprawniej od niego w skomplikowanym labiryncie biurokracji. To właśnie Redken w jedną noc złożył w całość sieć domysłów i poszlak, czym posłużył się Gregg, by spróbować zastraszyć Tachiona.

A teraz postara się, by domysły przerodziły się w rzeczywistość.

Usłyszał w słuchawce dwa sygnały telefoniczne, a po nich głośnie przełknięcie.

— Cześć, Cal. Mówi Gregg Hartmann.

— Słucham, senatorze. — W tle rozległ się odgłos rozdieranego celofanu, towarzyszący otwieraniu kolejnej przekąski. — Odebrałeś moją przesyłkę, tak?

— Dziś rano, Cal. Dziękuję.

— Nie ma sprawy, senatorze. Kazałeś mi szukać ciekawych rzeczy — dodał po chwili namysłu, po czym odgryzł kawałek przysmaku i zaczął głośno przeżuwać.

— O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Trzeba zbadać tę sprawę dokładniej. Muszę się dowiedzieć, czy możemy postawić Tachionowi zarzuty.

— Senatorze... — Odgłos przetykanej śliny. — Mamy tylko poszlaki. Rosyjski agent przydzielony do odpowiedniego miasta we właściwym czasie, potem przypadkowe przecięcie się ścieżek w Londynie w zeszłym roku, twoja agentka w DSS i jej relacja, kilka innych luźnych powiązań tu i ówdzie. Nic z tego nie jest poważnym dowodem. Nawet w najmniejszym stopniu.

— Był przerażony, Cal. Widziałem to. Musi coś w tym być.

— Ale to jeszcze nie dowód.

— W takim razie musimy się przyjrzeć temu uważniej. Wiesz, co nam powiedziała Wideo w zeszłym roku. Gimli i Kahina z całą pewnością mieli kontakty z sowieckim wywiadem. W zeszłym roku agent KGB spotkał się z nimi w Nowym Jorku, a Gimli, zwracając się do niego, używał nazwiska Poliakow.

— Poliakow nie żyje, senatorze. Wszystkie nasze źródła są w tej sprawie zgodne. KGB i GRU również w to wierzą. Może po prostu ktoś używa jego nazwiska, żeby wprowadzić nas w błąd.

— Wszystkie te źródła się mylą. Wideo nadal ma w pamięci jego obrazy. Zgadzą się z opisem Poliakowa.

— To samo można by powiedzieć o tysiącach innych ludzi. Na świecie pełno jest grubych, łysych mężczyzn w starszym wieku. Co więcej, żaden sąd nie uzna talentu dzikiej karty dzokerki za dowód. Projekcja mentalna to nie fotografia.

— Ale to jakiś początek. Znajdź ją i przyjrzyj się temu, co ma. Wysłuchaj jej relacji. A potem zacznij kopać.

Redken westchnął. Plastik zaszeleścił jak suche liście. Głos mężczyzny przytłumiło nagle coś miękkiego, co wypełniało mu usta.

— W porządku, senatorze. Zrobię to. Na kiedy potrzebujesz wyników?

— Na tydzień temu. A najpóźniej na wczoraj.

Kolejne westchnienie.

— Rozumiem. Zadzwoń do Nowego Jorku, jak tylko skończę pracę. Coś jeszcze?

— Szybko, Cal. Muszę to dostać szybko.

— Chcesz, żebym nie zjadł obiadu?

— Zrób to dla mnie, a kupię ci cholerną restaurację.

— Zgoda, senatorze. Umowa stoi. Pogadamy później.

Ostatnie słowo zmieniło się w bełkot, gdy Redken włożył sobie do ust kolejny kąsek. Połączenie się przerwało.



— Ktoś nas śledzi.

— Słucham?

Tachion odwróci się nagle i wyjrzał przez tylne okno taksówki.

Ackroyd położył dłoń na jego ramieniu.

— Spokojnie. Jest dobry. W ten sposób nigdy byś go nie zauważył. Panie kierowco. — Detektyw wyciągnął z kieszeni portfel. — Dostaniesz dodatkowo pięćdziesiąt dolców, jeśli uda ci się zgubić szarego dodge'a. Jakies trzy samochody za nami.

Czarna twarz kierowcy rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

— Jasna sprawa, proszę pana.

Tachion zauważył nagle przygnębienie w oczach Jaya. Detektyw wyciągnął banknot dziesięciodolarowy i trzy jednodolarowe. Takizjanin mruknął z niezadowoleniem, wyciągnął portfel i wsadził banknoty do kieszeni koszuli taksówkarza. W następnej chwili wylądował na kolanach Ackroyda, gdy taksówka nagle skręciła w lewo. Blaise, uśmiechając się z zachwytem, uczył się przedniego siedzenia niczym mała małpka.

— Zupełnie jak w Paryżu, *k'ijdad*.

— Hę? — zapytał Jay.

— Mniejsza z tym. Znasz już wystarczająco wiele moich sekretów — warknął Tachion.

Jay obejrzał się za siebie.

— Cholera, jest dobry.

— Co zrobimy?

W żołądku Tacha znowu coś się poruszyło. Poczuł też powracające drżenie rąk.

Ackroyd zakrył usta dłonią.

— Zapewne nie będzie czasu na długie pożegnania.

Pojawił się przed nimi szyld Motelu 6.

— Sara również tam jest — oznajmił Tachion.

— Jezu Chryste. Masz tam też cały skład nowojorskiej filharmonii? I może jeszcze Dodgersów?

— To nie jest śmieszne.

— Nie gadaj. Gaz do dechy, kolego.

Taksówka przyśpieszyła i skręciła na parking z wizgiem opon. Trzech pasażerów wypadło z pojazdu, nim ten zdążył się zatrzymać. Jay rzucił przez ramię swą ostatnią dziesięciodolarówkę i wszyscy pobiegli do pokoju.

Sara leżała na łóżku, podwijając nogi i przyciskając poduszkę do piersi. Oglądała telewizję. Poliakov odsunął się na bok z wyrazem zaskoczenia na twarzy,

żeby go nie stratowali. Jay złapał za krawędź drzwi, zatrzasnął je i zasunął rygiel. Tachion podbiegł do Sary i podniósł ją z łóżka. Blaise rzucił się Rosjaninowi w ramiona.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia. Hartmann wie. Ktoś nas śledzi. — Tachion złapał suknię Sary przy szyi i rozdarł tkaninę z głośnym trzaskiem. Kobieta krzyknęła i zasłoniła się rękami. Pod spodem miała tylko biustonosz. — Pod prysznic! Szybko! Nie wychodź stamtąd! Swoją drogą, wynajmujesz pokój na godziny.

Kosmita pchał ją ku drzwiom łazienki, po drodze zrywając z niej biustonosz.

Korytarzem szybko zbliżały się ciężkie kroki. W szarych oczach Poliakowa malowały się spokój i fatalizm.

— Nie mamy czasu.

— Mamy. Jay odeśle cię daleko stąd. Na Boga, Blaise, ruszaj się!

Rozległ się szum wody. Poliakow delikatnie odsunął chłopaka.

— Otwierać! Otwierać te cholerne drzwi!

Takizjanin rozpoznał głos Billy'ego Raya.

— Teraz! — syknął niecierpliwie do detektywa.

Ackroyd uformował palce w pistolet. Poliakow zniknął. Powietrze wypełniło ze słyszalnym trzaskiem miejsce zajmowane przedtem przez jego ciało.

Tachion przeskoczył na drugą stronę pokoju, złapał stojącą na kredensie butelkę wódki, rozpiął kołnierz i rzucił się na łóżko.

Drzwi rozpadły się na drobne kawałeczki i do środka wpadł Billy Ray. Jay osłonił Blaise'a ciałem, a Tach zasłonił twarz. Agent z Departamentu Stanu miał magnum kalibru .44. Takizjanin spojrzał prosto w wylot lufy rewolweru, rozwarty jak wejście do jaskini.

— No dobra. Gdzie on jest? Gdzie się, kurwa, podział?

— Hę? — zapytał Ackroyd.

Ray odepchnął detektywa, przewracając go na podłogę. Wyrwał z zawiasów drzwi szafki i porozrzucał ubrania. Zajrzał pod łóżko, a następnie ruszył ku drzwiom łazienki. Tachion skrzyżował palce, modląc się do wszystkich przodków, którzy mogli się czaić w pobliżu.

— Wyłaż stamtąd! Natychmiast!

Głos Sary przebił się przez szum wody. Z pewnością kobiecy, z wyraźnym południowym akcentem. Tachion modlił się o to, by nikt poza nim nie usłyszał wyraźnej nuty paniki.

— Hej, kochanie. To ilu chłopaków mam obsłużyć?

Zasłona kabiny odsunęła się z chrzęstem. Sara krzyknęła. Na dłuższą chwilę w łazience zapadła cisza. Potem rozległ się policzek. Ray wrócił do pokoju z różowym odciskiem dłoni szybko blednącym na policzku. Biały uniform miał od przodu zupełnie mokry.

— On tu był — wydyszał. — Cholerny Rosjanin tu był.

— Rosjanin? — zapytał Jay, spoglądając na Tacha. — Nie widzę tu żadnego Rosjanina. Może ty widzisz? A nasza policzkująca ślicznotka z pewnością nie mówi jak Rosjanka. Za Rosjanki płaci się więcej.

Wyszczrzył zęby do oburzonego asa.

— Dlaczego przede mną uciekaliście?

Tachion westchnął i pociągnął z gwinta długi łyk.

— Bałem się, że to prasa, a nie chciałem, żeby mnie przyłapali z prostytutką.

— Zawsze zabierasz ze sobą chłopaka? — zapytał Ray, kierując magnum w stronę Blaise'a.

— Czy mógłbyś schować ten rewolwer? Denerwuję się, kiedy tak nim machasz. No wiesz, większość ofiar broni palnej to przypadkowe postrzały.

Billy łypnął na niego ze złością.

— To nie byłby przypadek. Odpowiedz na pytanie, do chuja.

Tachion odchrząknął delikatnie.

— No cóż, mówiąc krótko, pora, by chłopak zaczął się uczyć. — Rozejrzał się po motelowym pokoju. — To może nie jest otoczenie, jakiego bym pragnął, ale dziewczyna jest bardzo dobra. Sam ją wypróbowałem poprzedniej nocy. Oczywiście, nikt nie mógłby się równać z kobietą, którą ojciec podarował mi na czternaste urodziny...

Rozwścieczony Ray opuścił pomieszczenie.

— Czternaste? — zapytał Ackroyd. — Nie robisz sobie jaj?

— Och, przestań wreszcie.

12:00

— Zwołaj konferencję prasową — rzekł wielbnemu Jack. — Dziennikarze nie widzieli cię od wielu dni. Jeśli ja ich zaproszę, mogą się nie zjawić.

Barnett się zgodził.

Gdy rozpoczęto przygotowania, Jack przyjrzał się wydarzeniom na konwencji. Hartmann wyraźnie utracił impet. Wyniki zmieniały się z każdym głosowaniem. Jedynym stałym czynnikiem był powolny wzrost notowań Barnetta. Kaznodzieja zyskiwał na każdym kroku, podczas gdy szeregi jego przeciwników szły w rozsypkę. Rodriguez miał zakłopotaną minę za każdym razem, gdy ogłaszał wyniki głosowania kalifornijskich delegatów. Jackowi było go żal.

Konferencję urządzono w tym samym pomieszczeniu, które służyło Barnettowi jako biuro prasowe. Jack zdążył przełknąć jeszcze dwie krwawe Mary, zanim wszyscy się zeszli.

Pierwsza głos zabrała Fleur, stojąca na mównicy zwieńczonej lasem mikrofonów.

Jack i Barnett trzymali się z boku, podczas gdy kobieta sprawdzała kolejno

wszystkie mikrofony.

Cały ten czas zerkala z ukosa na Złotego Chłopca. Najwyraźniej nie ufała mu nawet w najmniejszym stopniu.

Jack czuł się nagi, nawet jeśli ukrywał się za hollywoodzkimi ciemnymi okularami.

— Nim wielbny Barnett wygłosi swe oświadczenie — zaczęła Fleur — wysłuchamy krótkiej deklaracji kogoś, kogo obecność może być dla was zaskoczeniem. Mam na myśli pana Jacka Brauna, przewodniczącego kalifornijskiej delegacji, znanego także jako Złoty Chłopiec.

Wchodząc na mównicę, Jack nie uśmiechnął się ani nie pomachał ręką do dziennikarzy. Mikrofony wyciągały się ku niemu niczym las włóczni. Zdjął ciemne okulary, złożył je i uśmiechnął się do oślepiającego blasku reflektorów.

Miał nadzieję, że oczy nie zrobiły mu się czerwone od alkoholu i braku snu.

— Przed chwilą odbyłem dwugodzinną rozmowę z wielbny Leo Barnettem — zaczął. Słyszał trzaski automatycznych kamer kierujących się na niego. Wsparł się o mównicę, starając się powstrzymać trzęsienie ziemi targujące jego nerwami. — Na konwencji doszło do bardzo wielu niezwykłych wydarzeń oraz aktów przemocy — kontynuował. — Zabito kilka osób. Doszło do dwóch zamachów na życie senatora Hartmanna. Obu dokonali asowie, władający mocami dzikiej karty. Wielbny Barnett od początku głosił, że dzikie kraty są odpowiedzialne za większą część chaosu prześladowającego tę kampanię. Po naszej dzisiejszej rozmowie muszę się z nim zgodzić.

Czterdzieści lat doświadczenia z mediami powiedziały Jackowi, że wszystkie automatyczne kamery robią zbliżenie na niego. Pomijając ich dźwięk, w pomieszczeniu zapadła cisza. Złoty Chłopiec nadał swej twarzy wyraz całkowitej szczerości i spojrział na audytorium, zupełnie jak przed laty, gdy grał Eddiego Rickebackera i mówił generałowi Pershingowi, że chce latać.

— Na tej konwencji są ukryci asowie — podjął Jack. — Ale jeden z nich odegrał szczególnie ważną rolę. To on jest odpowiedzialny za większą część panującego tu chaosu, a także za przynajmniej niektóre ofiary śmiertelne. Jestem przekonany, że ten as potrafi wpływać na ludzi na odległość, skłaniając do uczynków sprzecznych z prawem i z ich interesami. Inni asowie, asowie zabójcy, pracują dla niego. Próbowali wyeliminować jego przeciwników, używając przemocy.

Wyczuł, że stojący obok Barnett i Fleur pochylają ku sobie głowy, próbując odgadnąć, o czym on mówi. Obdarzył kamery uśmiechem godnym Clinta Eastwooda.

— Po porannej rozmowie doszedłem do wniosku... — Przemknęło mu przez głowę, że to właśnie jest odpowiedni moment na dramatyczną pauzę. — ...że ukrytym asem jest wielbny Leo Barnett.

Kamery przesunęły się gorączkowo, próbując pochwycić reakcję Barnetta.

— To Barnett stoi za próbami zamachów! — zawołał Jack prosto do mikrofonów. — Wzywam go, by dowiódł, że nie jest asem!

Barnett gapił się na niego. Twarz Fleur van Renssaeler pobladła śmiertelnie. Jej usta poruszały się we wściekłym, bezgłośnym gniewie. Kaznodzieja potrząsnął powoli głową, jakby próbował dojść do siebie po ciosie. Choć Jack nie miał takiego zamiaru, cofnął się, ustępując mu miejsca na podium.

Kaznodzieja pochylił się nad mikrofonami, trzymając ręce w kieszeniach. Uśmiechnął się niepewnie.

— Nie mam pojęcia, co kombinuje Jack — zaczął. — Ja przyszedłem tu z zupełnie innego powodu, ale jeśli tego właśnie pragnie, jestem gotowy stać tu tyle godzin, ile tylko będzie trzeba, by zebrać grupę lekarzy, którzy zrobią mi test krwi. — Uśmiechnął się szerzej. — Wiem, że nie mam dzikiej karty, a każdy, kto twierdzi inaczej, jest kłamcą albo... — zerknął z ukosa na Jacka — ...myli się rozpaczliwie.

Jack spojrzał w niebieskie oczy kaznodziei i poczuł, że wypełniający go triumf odpływa w dół, ku czarnym włoskim brogsom.

Uświadomił sobie, że w jakiś sposób zdołał znowu spieprzyć sprawę.



Spector odkręcił kurek nad zlewem w łazience i wziął w usta łyk wody. Płukał je przez dłuższą chwilę, nim wypluł płyn, brązowy od skrzepłej krwi. Zaczerpnął kolejny łyk i przełknął go. Czuł się nie tylko zmęczony, lecz również spragniony. Zawsze tak było, gdy musiał wracać do siebie po poważnych obrażeniach.

Sprawdził zuchwę. W górę i w dół przemieszczała się bez większych problemów, ale ruchy na boki były piekielnie bolesne. Czuł, że kości wyskakują mu z trzaskiem ze stawów. Za parę miesięcy nie będzie już tak źle. Zważywszy wszystko razem, mogło być znacznie gorzej.

Usłyszał jakiś dźwięk dobiegający od drzwi. Nie miał czasu, by uciec pod łóżko. Rozejrzał się po łazience. Jedynym miejscem, w którym mógłby się schować, była kabina prysznicowa. Wszedł do niej w tej samej chwili, gdy ktoś zamknął za sobą drzwi pokoju. W sypialni ktoś mamrotał cicho do siebie. Spector wiedział, kto to może być. Wstrzymał oddech. Znowu. Jak tak dalej pójdzie, zrobi się siny na stałe.

Skupił się na śmiertelnym bólu. Był tam nadal, zawsze gotowy do użycia. Zobaczył pulchne palce na zasłonie kabiny.

Mężczyzna odsunął plastikową zasłonę i otworzył usta, gotowy krzyknąć.

Spector spojrzał intruzowi w oczy, nim ten zdołał wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Zepchnął aż do samej granicy śmierci, po czym się zatrzymał

i złapał osuwającego się na posadzkę mężczyznę za kołnierz.

Oparł go o ścianę łazienki i przeszukał mu kieszenie. Zabrał klucze i portfel, ignorując resztę. Ten facet zapewne wiedział o hotelu wszystko, co tylko możliwe. Gdyby zdołał go zmusić do mówienia prawdy, mógłby się od niego dowiedzieć paru rzeczy.

Pochylił się, przetrzymał intruza jedną ręką i spoliczkował go drugą. Gdy mężczyzna zaczął odzyskiwać przytomność i as był już pewien, że poczuje ciosy, przywalił mu kilka razy naprawdę mocno.

Recepcjonista otworzył oczy. Spector zasłonił dłonią jego pulchne usta.

— Cicho. Jeśli zawołasz pomocy, jeśli odpowiesz na moje pytania inaczej niż szeptem, albo jeśli na nie nie odpowiesz, zabiję cię. Jasne?

Mężczyzna skinął głową. As odsunął powoli dłoń.

— Kim jesteś?

— Nazywam się... — powoli zaczerpnął oddechu — ...Hastings.

Spector sprawdził zawartość jego portfela.

— Jak dotąd się zgadza. Co tu robisz?

Hastings wytrzeszczył szeroko oczy, rozglądając się po pokoju. Najwyraźniej szukał drogi ucieczki.

— Hmm, rządowi agenci powiedzieli nam, że mamy zwracać uwagę na wszystkich, którzy wydadzą się nam podejrzani. Tak jak ty.

— To mi się nie podoba... — Sprawdził na prawie jazdy jego imię. — Maurice.

Hastings otarł usta.

— Nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Nie nazywasz się Baird. Jesteś asem.

Spector skinął głową.

— Wiesz co? Ze swoimi zdolnościami dedukcji i darem intuicji mógłbyś zostać cholernie dobrym prywatnym detektywem.

Mężczyzna uśmiechnął się blado, starając się pomimo strachu okazać wdzięczność za komplement.

— Dziękuję.

Spector zaczekał parę chwil.

— Nienawidzę prywatnych detektywów — dodał wreszcie. Bawił się piekielnie dobrze. Omal nie zapomniał o tym głąbie, a teraz miał tłustego skurczybyka na widelcu.

— O Boże. Proszę, nie zabijaj mnie. Zrobię wszystko. — Hastings dygotał. Ponownie otarł usta.

— Nie zabiję cię, jeśli zrobisz, co zechcę — skłamał Spector, zastanawiając się, gdzie najlepiej byłoby ukryć ciało. — Zaczniemy od łatwego pytania. Gdzie jest najbliższy wolny pokój na tym piętrze?

— Wszystkie pokoje są zajęte. Przysięgam.

As cmoknął.

— Nie wciskaj mi kitu. Wiem, że hotele zawsze zostawiają kilka wolnych pokojów, na wypadek nagłej potrzeby. Wiesz, co mogę zrobić, jeśli znowu mnie okłamiesz? Mogę zmusić cię do skoczenia z dziesiątego piętra na hol. Upadek potrwa tylko parę sekund, ale narobisz okropnego bałaganu. Albo po prostu wepchnę cię pod prysznic i zamienię w płyn. Spłyniesz z wodą. Nie ma śladu, nie ma kłopotów.

— Proszę, nie. — Hastings splótł dłonie. — Myślę, że pokój tysiąc dziewiętnaście może być otwarty. Nie zabijaj mnie. Przepraszam, że cię niepokoilem. Zrobię wszystko, czego będziesz potrzebował. Podsunę Secret Service fałszywe tropy. Naprawdę.

Spector wyciągnął kartę z portfela Hastingsa.

— Czy to twój klucz uniwersalny?

Mężczyzna przygryzał przez moment wargę, zanim odpowiedział:

— Tak.

As pochylił się nad nim i spojrzał mu prosto w oczy.

— Nie kłamiesz?

— Nie. Niech mnie Bóg ukarze... daję słowo, że to prawda.

— W porządku. Włóż pod prysznic. — As pociągnął za zasłonę. — Natychmiast.

Hastings wciągnął do środka swe otyłe ciało.

— Ale po co?

As ponownie spojrzał mu w oczy. Tym razem nie odwracał spojrzenia. Recepcjonista zwałił się na posadzkę. Zadrzał krótko i znieruchomiał.

— Po to. — Spector powoli zaciągnął zasłonę. — Nikomu, kto ze mną zadziera, nie ujdzie to na sucho.

To nie było najlepsze miejsce, by schować trupa, ale jak zwykle musiał improwizować.

Raz jeszcze przejrzał się w lustrze. Miał teraz krzywą szczękę, do pary z krzywym uśmiechem. Może, kiedy już będzie po wszystkim, kupi sobie krzywy domek na Bahamach. Ale najpierw musi załatwić Hartmanna. O wakacje będzie się martwił później.

13:00

— Ty fiucie.

Fioletowe oczy Tachiona gorzały furiją. Takizjanin przeszedł obok niego, trzymając w ręce torbę lekarską. Za jego plecami tłoczyli się reporterzy, otaczający trzema rzędami Barnetta, który, rzecz jasna, pomyślnie przeszedł test krwi. Nie wykryto u niego żadnych śladów czarnego deszczu szatana.

— Oh, zamknij się — mruknął Jack, głęboko zaabsorbowany kolejną

krwawą Mary.

Tachion odwrócił się na pięcie, podszedł do Złotego Chłopca i zatrzymał się przed nim, wysuwając do przodu zaostrzony podbródek.

— Przed chwilą zapewniłeś nominację Barnettowi! Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Myślałem, że to byłeś ty. — Nieokreślony gniew Jacka skupił się na Takizjaninie. — Myślałem, że to byłeś ty. Pieprzyłeś się z Fleur i przeszedłeś do Jacksona, gdy tylko zaczęły się trudności.

Tach poczerwieniał.

— Jedyne, co możesz teraz zrobić, to oddać Kalifornię Jacksonowi.

Złoty Chłopiec uśmiechnął się szyderczo.

— Pierdol się, dupku. Ja przynajmniej próbuję coś zrobić.

Tachion wpatrywał się w niego przez chwilę, przełknął parę nasuwających się ripost, a potem odwrócił się i odszedł.

Jack, stojący samotnie z tyłu pokoju, uświadomił sobie, że reporterzy rzucą się na niego, gdy tylko Barnett skończy przemawiać, podszedł do barku, wziął sobie półlitrową butelkę siedemdziesięciopięcioprocentowego rumu i włożył ją do kieszeni.

Doszedł do wniosku, że zapewne najbezpieczniejszy będzie na sali obrad, gdzie będzie mógł się schować za plecami swych delegatów.

14:00

Gregg wziął w rękę telefon i wykręcił numer. Przebywał w szpitalnym pokoju Ellen. W jednej ręce trzymał słuchawkę, a drugą głaskał żonę po włosach, spoglądając z uśmiechem na jej pobladłą, zapadniętą twarz. Spróbowała odwzajemnić uśmiech, lecz bez powodzenia. Była piękna i bardzo bezbronna. Poczul, że łzy zbierają mu się w oczach, gdy na nią patrzy.

Boże, tak mi przykro, Ellen. Tak bardzo mi przykro.

Ktoś w końcu podniósł słuchawkę, odrywając jego uwagę od żony.

— Cal? Mówi Hartmann.

— Senatorze? — W głosie Redkena pobrzmiwała nerwowość. Gregg wyczuł, że grubas nie chce z nim rozmawiać. — Jak ci idzie?

Spasiony skurczybyk. Gdyby tylko tu był — usłyszał w swej jaźni gniewny głos Lalkarza.

— O to właśnie chciałem cię zapytać. Oczekuję jakichś wyników, Cal.

Redken natychmiast zaczął się bronić. Hartmann niemalże widział rumieniec na przyszczatej twarzy bełkoczącego tłuszciocha. Zapewne sięgnął teraz po baton pod wpływem stresu.

— Posłuchaj, senatorze, to nie takie łatwe. — W tle rozległ się trzask rozrywanego opakowania. — Jeśli chodzi o twojego Rosjanina, wszyscy twierdzą,

że on nie żyje. Od półtora roku. Ciało spłonęło i sprawa jest zamknięta. Tak mówią wszyscy ludzie z Departamentu, CIA i FBI, z którymi rozmawiałem. Nikt nie ma ochoty jej ponownie otwierać. Mam już dość słuchania, że jestem świrem, upierdliwym natrętem albo przygłupem.

Gregg czuł, że zaczyna tracić cierpliwość. Redken wykręcał się i grał na zwłokę, a tymczasem Tachion nadal mógł działać swobodnie i podlizywać się Jacksonowi. Devaughn przeklinał i robił srogie miny. Musieli użyć wszystkich swych wpływów, by tylko powstrzymać odpływ głosów. Leżąca na łóżku Ellen uśmiechnęła się pytająco do męża. Dostała zastrzyk demerolu i chciało się jej spać. Gregg odgarnął włosy z jej czoła i wzruszył ramionami. Następnie zaczerpnął głęboki oddech i ponownie skierował swą uwagę na rozmowę.

— Wideo ma cholerne obrazy, Cal. Wiem, że jest dzokerką, ale obrazy są autentyczne. Czy nie wystarczą, by skłonić kogoś do wznowienia poszukiwań? Czy nie wysłuchałeś jej relacji? A co z reporterem, który widział Poliakowa w Atlancie? Czy nikt mu nie uwierzył?

— Nikt nie może znaleźć Wideo, senatorze. Na tym polega problem. Słowa jakiegoś reportera to za mało. Nikt jej nie widział już od kilku dni, a bez niej, no cóż, nie wiem, jak właściwie mógłbym ci pomóc.

— To za mało — oznajmił bez ogródek Gregg. — Stanowczo za mało.

Cal westchnął z tonem bliskim bezczelności. Włożył sobie coś do ust i zaczął gryźć hałaśliwie. Lalkarz się poruszył. *Kiedy wrócimy do Waszyngtonu, zapłaci za to* — obiecał Gregg i stłumił brutalnie moc.

— Przepraszam, senatorze — powtórzył Redken. — Zrobiłem wszystko, co w tej chwili możliwe. Będziemy kontynuować poszukiwania Wideo. Ja nadal podążam papierowym tropem, ale on już dawno wystygł, a wie pan, że nawet w najlepszej sytuacji to może trwać długo. Znowu pójde do Petersa z CIA i powiem mu, że w jego danych musi być błąd. Jeśli zdobędę jakieś nowe informacje, zwrócę się z nimi do kogo trzeba. Wtedy będę mógł się upewnić, że coś w tej sprawie zrobią. Ale na to mogę potrzebować kilku dni.

Cierpliwość całkowicie opuściła Gregga.

— Nie mam kilku cholernych dni, Cal. Mogę nawet nie mieć dzisiejszego popołudnia. — Przez chwilę nie słyszał nic poza szumem satelitarnego połączenia oraz odgłosem przeżuwania. — Posłuchaj, sprawdź, co możesz zdobyć natychmiast — odezwał się wreszcie senator. — I nie zapominaj, że będę pamiętał, jak się spisałeś.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę.

— Poważne problemy? — zapytała Ellen, wyciągając do niego rękę.

Uściskał jej dłoń i pozwolił Lalkarzowi zlizać ból przeciekający przez luki w zasłonie demerolu. To nieco złagodziło jego frustrację.

Musimy to zrobić sami, Gregg. Nie ma innego wyjścia. Pozbyliśmy się

Gimlego i nic nam nie grozi. Zastanów się nad tym.

Senator już się zastanowił i dokładnie wiedział, co musi zrobić.

— Niewykluczone — odpowiedział na pytanie Ellen. — A może nie aż tak poważne, jak mi się zdawało. Są inne sposoby, by sobie z nimi poradzić, i pora już zacząć z nich korzystać.

— Przykro mi, że pokłóciłeś się z doktorem Tachionem, Gregg. To bardzo miły człowiek, chociaż okropnie uparty.

— Nie przejmuj się tym, kochanie — odparł Gregg. — Tachion to tylko przejściowy problem.

16:00

Nagle poczuł się jak na Merkurym. Gdy tylko wyszedł z Marriotta, podmuch hotelowej klimatyzacji uderzył go w plecy. Z przodu naparł na niego upał Atlanty. Po twarzy spłynął mu pot. Na chodniku tłoczyli się zwolennicy Jacksona, wymachującymi jaskrawoczerwonymi tabliczkami z napisem „jesse”. Limuzyna stała tuż za nimi. Jackson ucisnął dłoń Tachiona i uniósł ręce ich obu nad głowy. Tach wiercił się nerwowo, wspinając się na palce. Pastor był znacznie wyższy od niego.

Rozległy się okrzyki. Obaj mężczyźni ruszyli w stronę limuzyny, uśmiechając się i ściskając dłonie otaczających ich gapiów. Jackson miał wielką wprawę w rozdawaniu uścisków. Tachion przyglądał mu się z zazdrością.

Ackroyd czekał na nich przy drzwiach pojazdu.

— I co teraz?

— Jesse chce pogadać z dzokerami czekającymi przed Omni — wyjaśnił Takizjanin. — On i ja razem. Popiera prawa dzikich kart równie mocno, jak Hartmann. Gdyby tylko zechcieli go wysłuchać. — Westchnął przeciągle i głęboko. — Jay, jeśli masz inne tropy do sprawdzenia, nie musisz tam z nami jechać.

Detektyw wzruszył ramionami.

— Równie dobrze mogę pojechać — stwierdził. — Nie umiem tańczyć.

Przynajmniej limuzyna ma klimatyzację — pomyślał z zadowoleniem Tachion, gdy ruszyli w drogę.

Ochroniarz Jacksona, as zwany Prostą Strzałą, gapił się na niego z nieubłaganym wyrazem twarzy. Kosmita zaczynał sobie uwiadamiać, że to głupie i beznadziejne przedsięwzięcie. Nie wysłuchają ich. Jesse miałby więcej szans bez niego.

— To się nie uda — wygarnął drżącym od nerwowości głosem.

— Więcej wiary, doktorze — skarcił go pastor.

Tach siedział wciśnięty między Jaya Ackroyda i Jacksona. Odwrócił spojrzenie z detektywa, kierując je na Jessego.

— Znienawidzili mnie.

Limuzyna się zatrzymała. Jackson przyjrzał się szeregom milczących dzokerów.

— Tylko niektórzy. W końcu nie przeniósł pan swojego poparcia na Barnetta. Ja chyba nie jestem aż tak odrażający, nieprawdaż?

— Nie dla mnie. — Tachion uściśnął ramię wysokiego Ziemianina. — Jestem pewien, że zdoła ich pan przekonać.

— Niech mi pan trochę pomoże.

— Zrobię, co tylko w mojej mocy.

Prosta Strzała otworzył drzwi czarnej limuzyny. Jackson i Tachion wrócili wupał. Policja utworzyła przejście w tłumie dzokerów. Na końcu tego długiego korytarza stała ciężarówka z platformą wyposażoną w system nagłaśniający. Upał był niewiarygodny. Żar odbijał się falami od nawierzchni. Tach zobaczył, że pod Arachne nagle ugięło się osiem nóg. Dzokerka osunęła się z westchnieniem. Jej natolska córka pochyliła się nad matką i zaczęła wachlować nieprzytomną kobietę złożoną gazetą.

— Jak mogą tak ich nienawidzić? — zapytał Tachion. Jego liliowe oczy wypełniało cierpienie. — Są tacy nieszczęśliwi i odważni. Tak bardzo odważni.

Dzokerzy ich zauważyli. Przez ciżbę przebiegła fala niepewności. Potem tłumy zebranych zaczęły napierać na kordony policji. Jackson ruszył ku samemu środkowi placu. Takizjanin zacisnął zęby, uniósł prosto głowę i podążył za nim. Nagle spojrzał w oczy Skrzelaka. Dzoker poruszył grubą szyją, błony jego skrzeli zatrzepotały. Kaszlnął i w twarz Tachiona uderzyła grudka białego, gęstego śluzu. Kosmita wzdrygnął się, a następnie podbiegł bliżej i wyciągnął rękę, błagając o zrozumienie. Ale Skrzelak odwrócił się już do niego plecami.

Starł plwocinę z twarzy, i ruszyli dalej w tłum. Tach słyszał przed sobą głos Jessego, ale nie rozumiał słów. Był zbyt zajęty wypatrywaniem w tłumie twarzy przyjaciół i znajomych. Obojętność, nieskrywana nienawiść, współczucie. Padł na niego cień. Żółw. Ale Tommy poleciał dalej.

blady, ogromny, męczyzna rozerwał ręce dwóch policjantów z kordonu. Nawet ceglany mur nie zdołałby powstrzymać prawie trzystu kilogramów żywej wagi, składających się na Kluchę. Dzoker zatrzymał się przed maleńkim kosmitą.

— Doktorze.

— Słucham, mój drogi.

Nie potrafił się zdobyć na to, by nazywać nieszczęśnika „Kluchą”.

— Mówią, że panna Sara to zdrajcy i że ty też jesteś zdrajcą. Nie rozumiem tego.

— To bardzo skomplikowane, dziecko.

— Cy juz nie kochas senatora?

Tach osłonił oczy dłonią.

- Was wszystkich kocham bardziej.
- Dziwnie to okazujesz! — zawył ktoś w tłumie.
- Zdrajca. Zdrajca! zdrajca!

Okrzyki uderzały w niego z siłą pocisków, aż wreszcie Tachion skrył twarz w dłoniach. Nagle Jackson znalazł się przy nim i objął jego ramiona.

— Chodźmy. Poradzi pan sobie. Przedostaniemy się przez ten tłum, wejdziemy na platformę i wygłosimy przemówienia. Wszystko będzie dobrze.

— Nie, pastorze. Obawiam się, że pewnych spraw nie da się naprawić.

Przypomniano mu jednak o obowiązku. Dlatego Tachion uśmiechnął się i znowu ruszył naprzód. Wyciągały się ku niemu zupełnie niewiarygodne kończyny — szpony, macki, bezkształtne bryły ciała pokryte cuchnącą wydzieliną. Widok normalnej ludzkiej dłoni przyniósł mu tak wielką ulgę, że Tachion natychmiast pognał, by ją uścisnąć.

Młody mężczyzna, ubrany w skórzaną kurtkę pomimo upału, uniósł opadające powieki i popatrzył na niego. Oczy miał całkowicie pozbawione wyrazu, jak ślepia rekina.



Na całej ulicy tłoczyli się dzokerzy, milczący i obrzydliwi. Upał i blask dusiły go, owijały mu się wokół piersi jak pyton, wzmacniający stopniowo uścisk. Mackiemu przypominało to lato w Hamburgu. Nie cierpiał wszystkiego, co przywodziło mu na myśl dom. Nie mógł znieść upału i wilgoci, a za światłem dnia też zbyt nie przepadał. Najbardziej jednak nienawidził dzokerów.

Mimo to czuł się szczęśliwy. Nadzieja odkupienia wypełniła mu żyły niczym dawka dobrego spidu.

Der Boss dał mu kolejną szansę. Znowu stał się MacHeathem i przedzierał się przez tłum, a w gardle dźwięczała mu jego mantryczna piosenka.

W masie potworów nic nie przyciągało niczyjej uwagi. A już z pewnością nie Mackie. Niewielkie rozmiary pozwalały mu ograniczać kontakt z innymi do minimum. Straszliwy upał sprawiał, że ukryte pod kurtką i starym T-shirtem żebra spowijały mu macki potu, ale jego osobisty smród niknął w tłumie.

Ktoś go nagle potrącił.

— Hej, skurwysynu! — Dłoń, która złapała go za ramię, porastały pióra. — Uważaj, kogo pchasz! Za kogo się, kurwa, uważasz?

— Jestem Mackie Majcher, ty wstrętny bydlaku!

Wezbrał w nim gniew. Poczuł, że kutas mu zeszywniał. Zaczął przywoływać wibrację.

Nie. Pamiętaj o zadaniu! Mackie zmienił fazę i potwór złapał tylko puste powietrze. Głupi wyraz jego tak zwanej twarzy rozśmieszył młodzieńca.

Niematerialny Mackie przechodził przez gęsty rój monstrualnych czerwi

udających ludzi, aż wreszcie znalazł wir wystarczająco duży, by jego chude ciało mogło znaleźć miejsce dla siebie. Dżokerzy nie zwracali na niego uwagi.

Zaczęło się skandowanie, ciche i wrogie. Słowa zamazywały się w jego umyśle. Nie próbował ich zrozumieć, Dżokerzy nie mieli nic do powiedzenia. Te zwierzęta nawet nie wiedziały, że krążył między nimi. Był Mackiem Majchrem, kamienną tajemnicą i śmiercią. Był niezwyciężony.

Obok jego celu stał wysoki czarnuch, kandydujący na prezydenta. takim ludziom pozwalali piastować polityczne urzędy! Czyż nie był to najlepszy dowód na dekadencję kapitalizmu? Karol Marks napisał, że czarny człowiek powinien być niewolnikiem, a der alte Karl wiedział, co mówi. Mężczyzna stojący po drugiej stronie Tacha wydawał się Mackiemu skądś znajomy. Pewnie był jednym z fagasów kosmity z Dżokerowa.

Tachion posuwał się wzdłuż granicy tłumu, ściskając ręce albo coś w tym rodzaju. Na myśl o dotyku tak wielu dżokerów po skórze Mackiego przebiegły ciarki. Krążył jak rekin z jego piosenki, ten, który miał zębów pełen pysk.

Szef powiedział mu, że musi być bardzo ostrożny, bo Tachion umie czytać w myślach. Nie mógł pozwolić, by kosmita odgadł jego intencje.

Nie ma sprawy. Był Mackiem Majchrem. Wiedział, jak się robi takie rzeczy.

Łatwo mu będzie zmienić fazę i przedostać się przez tłum, zająć go od tyłu, uruchomić wibrację ręki i wbić ją sławetnemu doktorowi Tachionowi w pierdolone nieziemskie serce. To będzie wręcz zbyt proste.

Nigdy dotąd nie załatwił kosmity. Ani nikogo naprawdę sławnego, jak Tachion.

Chciał, żeby mały skurwysyn spojrział mu w oczy. Żeby wiedział, kto go zabija.

Dżokerzy ruszyli do przodu. Ich fala niosła go tam, gdzie chciał się znaleźć.

Cały świat skurczył się do Tachiona i dotknięcia.



Popołudnie składało się dla Jacka z krótkich, spójnych impulsów, przerywanych hałasem i bezsensownym ruchem, jak film pocięty na kawałki, które następnie posklejano w przypadkowej kolejności. Delegaci nie przestawali przesuwać się z miejsca na miejsce, a wyniki głosowań zmieniały się co pół godziny.

Tylko dwa elementy były stałe. Hartmann tracił głosy, a Barnett je zyskiwał. Mimo że Gregg i Devaughn temu przeczyli, wszyscy uważali, że oskarżenie Barnetta przez Jacka było ostatnią, desperacką próbą odzyskania inicjatywy przez obóz Hartmanna.

— Hej — warknął wreszcie Devaughn do naciskających go reporterów. — Dajcie facetowi spokój. Wczoraj ktoś zatrzymał mu serce. Kto wie, ile komórek

mózgowych stracił.

Serdeczne dzięki, Charles — pomyślał Jack. *Jak zwykle pełen współczucia.* Jedynym możliwym lekarstwem był kolejny łyk wysokoprocentowego alkoholu.

Jim Wright, co chwila wzywający do kolejnego głosowania, wyglądał, jakby wątroba odmówiła mu posłuszeństwa. W sali doszło do kolejnych bijatyk. Muzycy grali, co tylko przyszło im do głowy, od kawałków Stephena Fostera aż po utwory Jaggera i Richardsa. U stóp Jacka wylądował samolocik przedstawiający Gwiezdnego Blaska, a on niechcący go rozdeptał, próbując go podnieść. Spróbował rzucić zgniecioną zabawkę, ale rozpadła się, gdy tylko opuściła jego rękę.

Pierdolony Latający Dżoker — pomyślał.

Gdy Jack skończył butelkę, wróciło mu coś w rodzaju jasności myśli, intensywna świadomość grozy tego wszystkiego. *Niech to* — pomyślał. *Upiłem się na trzeźwo.*

Doszedł do wniosku, że nie pozostaje nic innego, jak wybrać się po kolejną flaszkę. Podniósł się chwiejnie i ruszył ku najbliższemu wyjściu, przedzierając się przez pandemonium. Gdy tylko opuścił salę, zobaczył młodą kobietę obwieszoną znaczkami Hartmanna, rozmawiającą poważnie z wysokim, czarnoskórym mężczyzną w rogowych okularach.

— Wybacz, Sheilo — mówił mężczyzna. — Twój tata to najsympatyczniejszy gość, jakiego w życiu spotkałem, i przykro mi, że go rozczaruję, ale jeśli w tym głosowaniu nie przejdę na stronę Jacksona, mogę zapomnieć o poparciu w swoim okręgu.

Na zewnątrz odbywało się coś w rodzaju wiecu. Stała tam ciężarówka z platformą, obwieszona transparentami Jacksona. Przez tłum przebijiała się zmierzająca w jej kierunku limuzyna. Klakson nie milkł nawet na chwilę. Wszędzie kłębiły się tłumy dżokerów. Jack nigdy w życiu nie widział ich tylu naraz.

Spróbował przedrzeć się przez ciżbę, ale była zbyt gęsta. Ludzie w limuzynie najwyraźniej doszli do tego samego wniosku, bo drzwi pojazdu się otworzyły i pasażerowie wysiedli. Prosta Strzała w swym szarym mundurze, jakiś niski, biały facet, którego Jack nie znał, Jesse Jackson i Tachion.

Rewelacja. Akurat ci ludzie, których pragnął zobaczyć.

Tlum zaryczał. Reporterzy przepychali się z dżokerami, by znaleźć miejsca dla kamer. Policjanci i ludzie z Secret Service próbowali się dopchnąć do ciężarówki, nie przewracając nikogo po drodze.

Tachion i kandydat ściskali po drodze liczne dłonie. Ktoś splunął Takizjaninowi w twarz. Prosta Strzała miał przerażoną minę, zapewne nie z powodu śliny, lecz dlatego, że to równie dobrze mogła być kula.

Po ziemi przesunął się cień. Jack uniósł wzrok. Nad placem bezgłośnie przeleciał Żółw. Ktoś napisał na jego skorupie „hartmann!” wielkimi, srebrnymi literami.

Złoty Chłopiec opuścił wzrok i zauważył, że w tłumie na ułamek sekundy pojawiła się luka. Młodzieniec z rękami jak piły mechaniczne przeciskał się przez ciżbę najwyżej pięć metrów od niego.

Adrenalina uderzyła w Jacka z siłą huraganu.

— Nie! — zawołał i zaczął płynąć przez tłum. Poruszał potężnie ramionami, nie zważając na krzyki sprzeciwu.

Chłopak w skórzanej kurtce zniknął. As wyciągnął szyję, rozglądając się w jego poszukiwaniu. Nagle go zauważył. Pochylał się pod ramieniem policjanta z kordonu, wyciągając rękę. Takizjanin zauważył go i uśmiechnął się.

— Nie! — krzyknął raz jeszcze Złoty Chłopiec, ale nikt go nie słyszał.

Tachion ujął jego dłoń.



Tachion ujął jego dłoń z czymś bliskim ulgi i uściśnął ją mocno.

— Jestem Mackie Majcher — oznajmił chłopak i włączył wibrację na maksa.



Rozległ się odgłos piły mechanicznej, który Jack pamiętał aż za dobrze. Trysnęła fontanna krwi zmieszanej z odpryskami kości. Takizjanin krzyknął. Setka innych osób również. Niewykluczone, że był wśród nich Złoty Chłopiec.

Jack popędził naprzód, ale cały tłum parł w tamtą stronę. Potknął się, omal się nie przewracając. Otaczający go ludzie posypali się na ziemię. Srebrnookie dzokerskie dziecko uczepiło się jego nogi. Spróbował strącić chłopczyka, wrzeszcząc z furii.

Tach zatoczył się do tyłu. Z nadgarstka tryskała mu krew. Prosta Strzała cały czas obserwował tłum wokół Jacksona. Dopiero w tej chwili odwrócił głowę i zorientował się w sytuacji. Tylko policjant, pod którego ramieniem chłopak w skórzanej kurtce wyciągnął rękę, był wystarczająco blisko, by coś zrobić. Połowę twarzy zbryzgała mu jednak krew Tachiona, a szok spowolnił jego reakcję. Spróbował złapać napastnika za kurtkę. Gdyby miał czas się zastanowić, z pewnością zrobiłby wszystko, tylko nie to.

Chłopak zwrócił się w stronę gliniarza. Serce podskoczyło Jackowi do gardła. Jeśli zabójca spojrzy za plecy policjanta, zauważy zbliżającego się asa. Ale dziwoląg tego nie zrobił. Był zbyt zajęty uśmiechaniem się do policjanta i zlizywaniem krwi Takizjanina z dolnej wargi. Odciał gliniarzowi prawą rękę w barku.

Napastnik zwrócił się w stronę Tachiona, odwracając się plecami do Złotego Chłopca. Jack wreszcie strącił z siebie dzokerskiego dzieciaka i popędził naprzód. Zamachnął się, zaciskając pięść. Jeśli zabójca chciał wykończyć Tachiona, będzie

musiał pozostać materialny. As uderzy go z siłą armaty.

Chłopak w skórzanej kurtce wyciągnął rękę w stronę Tachiona delikatnym ruchem, jakby chciał popieścić jego policzek. Jeszcze jeden krok i Jack przywali mu tak mocno, że jego głowa poleciała dwadzieścia przecznic stąd.

Uderzył, ale w tej samej chwili dziwoląg zniknął z donośnym trzaskiem. As zakręcił się wkoło od siły ciosu. Wrzasnął gniewnie. Pośliznął się na krwi Tachiona, ale w jakiś sposób zdołał zachować równowagę.

— Kto to zrobił? — krzyknął.

Prosta Strzała stał nieruchomo, unosząc nad głowę rękę, w której trzymał płonąca strzałę. Wyglądał jak posąg Zeusa Gromowładnego. Ludzie z Secret Service zbili Jacksona z nóg i nakryli go ciałami. Mnóstwo osób wyciągnęło broń.

— Ackroyd — zorientował się mormoński as. Płomień zniknął z jego palców.

Tłum jęknął, jakby z bólu. Ludzie z kamerami telewizyjnymi krążyli wokół policyjnego kordonu w poszukiwaniu lepszego widoku. Oczy całego kraju chciwie obserwowały wydarzenia.

Tachion zamrugał i osunął się na nawierzchnię. Policjant krzyczał. Jack widział, że ranę zadano mu zbyt wysoko, by można było założyć opaskę uciskową. Podszedł do niego, zacisnął pięść i uderzył go lekko w skroń. Głowa policjanta odskoczyła jak worek treningowy. Mężczyzna stracił przytomność.

Prosta Strzała podszedł do Jacka. Jego twarz pobladła z szoku. Wyciągnął rękę i dotknął barku rannego policjanta. Na palcach mormońskiego asa rozkwitły gorące płomienie. Krew zawrzała z sykiem i wyparowała. Prosta Strzała skauteryzował ranę. W powietrzu uniósł się swąd palonego mięsa. W umyśle Jacka przywołało to wspomnienie krzyków mężczyzny umierającego w płonącym czołgu gdzieś w pobliżu Monte Cassino.

Być może życie policjanta udałooby się uratować, gdyby nie umarł na skutek wstrząsu przed upływem pięciu minut. Jack czuł się zupełnie bezradny, podążył jednak za Prosta Strzałą, który podszedł do Tachiona i uniósł jego rękę. Twarz i żabot Takizjanina pokrywała krew. Jack czuł, że pod stopami chrzesczą mu jakieś obiekty, o których wolał nie myśleć.

Prosta Strzała przypalił ranę kosmity krótkim i skutecznym impulsem ognia, podobnie jak zrobił to w przypadku gliniarza. Jack odwrócił wzrok. Nie chciał słyszeć syku krwi ani czuć woni palonego mięsa. Sięgnął po papierosy. W jego nerwach tańczył gniew. Miał już mordercę, rozbiłby tę jego małą głowę jak skorupkę jajka.

Jesse Jackson już się podnosił. Jego zdziwiona mina dobitnie świadczyła, że nie widział nic z tego, co się wydarzyło. Agenci Secret Service próbowali wezwać karetki przez radio.

— Ackroyd — odezwał się Prosta Strzała, wstając od rannego. — Dokąd go

wysłałeś?

Zapytany był nieprzyciągającym uwagi człowiekiem, którego Złoty Chłopiec widział w limuzynie w towarzystwie Tacha i Jacksona. Sprawiał wrażenie tak samo wstrząśniętego jak wszyscy.

— Ach — odezwał się. — O Jezuu.

Jego dłonie wędrowały po całym ciele, jakby swędziało go w jakimś miejscu, którego nie potrafił zlokalizować.

— Kim jesteś, do cholery? — ryknął Jack.

Mężczyzna popatrzył na niego bez zrozumienia.

— To Jay Ackroyd — wyjaśnił Prosta Strzała. — Prywatny detektyw. Mówią na niego Rzutnik.

— Miałem skurwysyna! — Rozjuszony Złoty Chłopiec potrząsnął pięścią, miażdżąc trzymaną w niej paczkę papierosów. — Mogłem z niego zrobić miazgę! Niech to chuj!

Wypuścił paczkę cameli i kopnął ją w tłum.

— Dokąd go wysłałeś, Ackroyd?

— Przerzuciłem go — odparł mężczyzna.

Prosta Strzała złapał go za klapy i potrząsnął nim.

— Dokąd wysłałeś zabójcę?

Detektyw oblizwał wargi.

— Do Nowego Jorku. Do więzienia Tombs.

Mormoński as puścił go i wyprostował się z zadowoleniem.

— W porządku.

Jack miał ochotę wykopać Ackroyda gdzieś za granicę.

— On umie przechodzić przez ściany! — wrzasnął. — Na pewno już go tam nie ma!

Mina Prostej Strzały zrzędała.

W oddalili rozległy się sygnały karetek. Jack rozejrzał się wkoło, popatrzył na klęczącego przy Tachionie Jacksona, na agentów Secret Service trzymających w rękach broń, tłum jęczący i zawodzący pod wpływem szoku i na filmujących to wszystko ludzi z telewizji. Uświadomił sobie, że znowu przegrał. Kolejna tragedia, której nie zdołał zapobiec. Wszystko przeciekało mu przez palce.

A na całej tej sprawie nie skorzysta nikt poza Leo Barnettem.



Nagle znalazł się w jakimś pomieszczeniu, otoczony przez wielkich czarnuchów i kraty. Przez chwilę Mackie myślał, że to sen. Potem jednak uświadomił sobie, że do jego twarzy i kurtki przylegają jak roztopiony plastik gorące kawałki mięsa kosmity.

W prawej ręce ścisnął tylko powietrze. Lewa przerodziła się w sztywny,

wibrujący nóż, gotowy uciąć głowę doktorowi Tachionowi. Ale Mackie nie przebywał już na słonecznej ulicy w Atlancie i Tachiona tu nie było.

— *Nein!* — krzyknął, waląc się kłębami dłoni w czoło. — *Nein, nein, nein!*

Znowu mu się nie powiodło. To było niemożliwe. Ale tak właśnie się stało. Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Tsunami mdłości przesunęło się z jednej strony jego żołądka na drugą, gdy odwrócił się i zobaczył olbrzymiego, czarnego mężczyznę o zupełnie łysej kopule czaszki, noszącego w uchu złote kółko.

— Hej, koleś — zapytał łagodnie olbrzym. — Skąd się tu, kurwa, wzięłeś?

Mackie znowu wrzasnął. Tym razem nawet nie próbował ukształtować słów. Kazał swoim ręką zrobić różne rzeczy, najpierw tu, a potem tam, aż wreszcie to inni zaczęli krzyczeć, a gdy krzyki umilkły, wybiegł przez kraty celi, popędził zielonymi korytarzami cuchnącymi wymiocinami, potem i strachem, zbiegł na dół po schodach i wybiegł w przyćmiony blask nowojorskiego słońca.

Musi natychmiast wrócić do Atlanty, by odkupić się w oczach swego pana, swego ukochanego.

17:00

Gregg zaczął od uściśnięcia dłoni Jessego. Lalkarz natychmiast przebiegł na drugą stronę i niecierpliwie otworzył jego umysł. To był wspaniały umysł, zdolny do bardzo głębokich uczuć. W końcu takie właśnie były najlepsze. Obecnie wypełniała go plama głębokiej, pomarańczowoczerwonej barwy, wspomnienie czegoś bardzo bolesnego i straszliwego. Gregg wiedział, co to może być.

Jackson nie zmienił marynarki. Nadal była zbryzgana krwią Tachiona. Gregg poczuł się niedobrze na ten widok. Powróciło ulotne poczucie winy. Lalkarz zadrwił z niego w myślach z tego powodu.

— Pastorze, dziękuję, że zgodził się pan spotkać ze mną tak szybko i to po równie straszliwym popołudniu. Jak... jak się czuje doktor Tachion?

— Trzyma się życia, ale jego stan jest krytyczny. Lekarze mówią, że ręka była zbyt uszkodzona, by udało się ją przyszyć. — Na ciemnej, pociągłej twarzy Jacksona pojawił się mars. — To straszliwe wydarzenie, senatorze. Nie spotkałem się z tak zimną, patologiczną przemocą od czasu zamordowania pastora Kinga.

Lalkarz przyjrzał się uważnie emocjom Jacksona. Wykrył przerażenie, strach i odrazę, ale żadne z tych uczuć nie było skierowane przeciwko Greggowi. To znaczyło, że Tachion dochowuje tajemnicy.

Świetnie. W takim razie nie miało znaczenia, że Mackie jeszcze nie dokończył roboty.

Gregg budził w Jacksonie tylko odrobinę niesmaku o barwie ochry. Lalkarz z łatwością zepchnął ją głębiej, pokrył warstwą szacunku, jaki Jackson czuł do niego z uwagi na wspólnotę poglądów na wiele spraw.

— Słyszę to z wielką przykrością, pastarze — rzekł Hartmann. — Proszę, niech pan siada. Kazałem swojej asystentce skontaktować się z pańskim sztabem i poprosić o ubranie na zmianę dla pana. Chciałby się pan czegoś napić?

Jackson odmówił skinieniem dłoni i usiadł na krześle. Gregg zajął pozycję na kanapie naprzeciwko niego i złożył palce w piramidkę przed twarzą, jakby się zastanawiał, co ma powiedzieć.

— To nie jest najlepsza chwila na rozmowę o podobnych sprawach — zaczął po chwili. — Nie po tym, co wydarzyło się dziś po południu. Ale może właśnie ten moment jest odpowiedni. Musimy położyć kres przemocy, do jakiej tu dochodzi. Musimy zjednoczyć delegatów i przygotować się do prawdziwej kampanii, przeciwko Bushowi.

— Wiem, co chce mi pan zaproponować, senatorze. Powiniennem pana poinformować, że mój sztab pragnie, bym odmówił.

Pomimo traumy, jaką dziś przeżył, Jackson sprawiał wrażenie spokojnego i zrelaksowanego. Skrzyżował przed sobą nogi, a wielkie dłonie splótł na jednym kolanie. Ciemne plamy na marynarce nadawały mu dziwnie surrealistyczny wygląd. Z pozoru wydawał się wyciszony i opanowany, niemal obojętny.

Ale Lalkarz nie dał się nabrać. Wyczuł zapach, który pojawił się nagle w jaźni Jacksona — jaskrawoniebieski rozbłyskujący niczym błyskawica.

— Chcą, żebym odmówił, ponieważ wierzą, że przy poparciu doktora Tachiona nasza Tęczowa Koalicja ma szansę zatriumfować na tej konwencji — kontynuował. — Nie mówię o połowicznych sukcesach, lecz o całkowitym zwycięstwie.

— Przyjaźniłem się z doktorem Tachionem przez blisko dwadzieścia lat — odparł Gregg. — To dumny i bardzo uparty mężczyzna. Prawda wygląda tak, że my dwaj tylko odbieramy sobie nawzajem głosy, co prowadzi do zwycięstwa Barnetta. Jeśli ja nie zdobędę nominacji, pan również jej nie dostanie. Obaj o tym wiemy, bez względu na to, w co chcielibyśmy wierzyć. Jeśli ja nie wygram, kandydatem zostanie Leo Barnett. Dzisiejszy atak na Tachiona tylko wzmocnił jego pozycję.

Lalkarz czuł irytację, o jaką przepawiły Jacksona te słowa. Nie było tajemnicą, że obaj duchowni nie przepadają za sobą. Jackson był idealistą, należącym do skrajnie lewicowego skrzydła partii, a Barnett zajmował analogiczną pozycję po jej prawej stronie. Gregg pozwolił swej mocy popieścić tę irytację, aż wreszcie Jackson skrzywił się wyraźnie.

— Pastarze, nie wie pan, dlaczego Tachion przeszedł na pana stronę — ciągnął Hartmann. — Mój sztab chciał ujawnić tę informację po jego dezercji, ale postawiłem weto przez wzgląd na naszą dwudziestoletnią przyjaźń. Tachy... no cóż, nie da się tego powiedzieć oględnie. W ostatnich dniach nawiązał romans z Fleur van Renssaeler, która jest szefem kampanii Barnetta. Nie jestem pewien,

czy ona uwiodła jego, czy też było na odwrót. To zapewne nie ma znaczenia. Kiedy mu o tym wspomniałem, wpadł w szal. Oznajmił, że to nie mój interes. Odpowiedziałem, że jak najbardziej mój, że zrozumiałych powodów, i zacząłem naciskać mocniej. — Hartmann zrobił skwaszoną, niezadowoloną minę. — Zapewne powiedziałem parę rzeczy, których nie powinienem był mówić. Wybuchła ostra kłótnia, aż wreszcie Tachion wyszedł. Wkrótce dowiedziałem się, że wycofał poparcie dla mnie.

Gregg uśmiechnął się ze smutkiem.

— Rozumiem, dlaczego przeszedł do pana, pastorze. Niektóre sprawy nas dzielą, ale myślę, że każdy, kto spojrzy na przebieg naszej kariery i na nasze poglądy, uzna, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Obaj sprzeciwiamy się uprzedzeniom i nienawiści wszelkiego rodzaju. Obaj pragniemy, by wszystkie strony połączyły się ze sobą i nawiązały harmonijną współpracę. Wspieraliśmy się nawzajem podczas prac nad platformą wyborczą i jestem przekonany, że wyznajemy te same ideały.

Lalkarz przestawił parę dźwigni w umyśle Jacksona.

— To brzmi jak jedno z pańskich przemówień wyborczych, senatorze. — Na ciemnej twarzy pastora pojawił się uśmiech. — Słyszałem już podobną retorykę.

— A retoryka jest tania. Wiem o tym. Wiem też jednak, że jeśli spojrzy pan na historię moich głosowań w senacie, na to, co działałem jako przewodniczący SKAZA i jak reagowałem na wszystkie propozycje ustaw dotyczących praw dzokerów i praw obywatelskich, przekona się pan, że nie dzieli nas zbyt wiele. Myślę, że możemy zgodnie ze sobą współpracować.

— To prowadzi nas z powrotem do pytania, którego pan dotąd nie zadał, senatorze.

Jest głęboko zainteresowany, nawet bez mojego wpływu. Widzisz to? Czujesz?

— Wie pan, co chcę panu zaoferować.

W ustach Gregga zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

— Wiceprezydenturę — zgodził się Jackson, kiwając głową. — Mówi pan, wielbny Jackson, dlaczego nie każe pan swoim delegatom zagłosować na listę Hartmann/Jackson? Jeśli połączymy swoje głosy, możemy zdobyć nominację.

— Dzięki pańskim słowom, pańskiej sile, pańskiej mocy wspólnie... — Gregg przerwał na chwilę, by przydać emfazy temu ostatniemu słowu — zdobędziemy nie tylko nominację, lecz również Biały Dom.

Pożądanie rozgorzało palącym błękitem. Pod spodem jednak nadal kryły się czarne plamki niepewności. Lalkarz zdrapał tę czerń, sprawił, że zniknęła bez śladu. Jackson wydał wargi.

— Mógłbym postawić panu taką samą propozycję, senatorze... — zaczął, ale Lalkarz nie przestawał grzebać w jego umyśle.

Jackson umilkł. Po chwili skinął głową.

I wyciągnął rękę.

— Zgoda, senatorze — rzekł, gdy uścisnęli sobie dłonie. — Ma pan rację. Pora wybudować most, po którym obaj będziemy mogli przejść. Pora połączyć siły.

Lalkarz ryknął triumfalnie. Gregg nie potrafił powstrzymać śmiechu.

Miał to. Tym razem mu nie umknie. Zostało mu jeszcze kilka manewrów do wykonania, ale jego pragnienia w końcu się spełnią.



Piekielnie mocny rum uderzył w żołądek Jacka niczym fala mile witanego ognia. Przełknął jeszcze parę łyków, a potem zakręcił butelkę i wsadził ją do kieszeni. Kupił ją po tym, jak Tachiona zabrali do szpitala i Secret Service pozwoliło mu odejść.

Na mankietach i na butach nadal miał krew. Starał się nie myśleć o tym, skąd się wzięła, i doszedł do wniosku, że mocny trunek mu w tym pomoże.

Podszedł do jednego z tylnych drzwi Omni. *A co tam* — pomyślał. Stał w nich wysoki strażnik ze złamanym nosem. Connally. Już w tej chwili potrząsał głową, nie chcąc wpuścić siwowłosego mężczyzny, wymachującego mu przed twarzą przepustką. Jack mógł niemalże wyrecytować dialog między Connallym a delegatem.

— Przykro mi. Nikt nie może wejść przez te drzwi.

— Przed chwilą przez nie wychodziłem. Widział mnie pan.

— Nikt nie może wejść przez te drzwi.

— Proszę pana, ja tylko chcę pójść po córkę, która jest delegatką. Mam przepustkę.

Gdy Złoty Chłopiec usłyszał głos mężczyzny, poczuł na karku dotknięcie lodu. Zatrzymał się jakieś trzy metry za nim i wpatrzył się w tył jego siwej głowy. Gdzie przedtem słyszał ten głos?

— No cóż — odparł powoli Connally. — Pewnie nic złego się nie stanie. Mimo że nikt nie powinien tędy wchodzić.

— Wszystko będzie w porządku — zapewnił mężczyzna.

Connally potrząsnął głową, jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego to robi, sięgnął po pęk kluczy na łańcuchu, który miał u pasa, i otworzył drzwi.

W głowie Jacka zatańczyło zaskoczenie.

— Dziękuję panu. To bardzo miło z pana strony — powiedział mężczyzna i wszedł do środka.

Jack podszedł bliżej. Coś tu było nie w porządku.

— Przepraszam — odezwał się.

— Gdzie się wybierasz, dupku? — zapytał Connally, przesywając go

złowrogim spojrzeniem.

— Jestem delegatem — odparł Jack z wymuszonym uśmiechem.

Connally zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

— Nikt nie może przejść przez te drzwi. Tak mi rozkazano.

Jack popatrzył na szklane drzwi i oddalającą się sylwetkę siwowłosego mężczyzny.

— Jego pan przepuścił — zauważył.

Connally wzruszył ramionami.

— I co z tego?

— On nawet nie jest delegatem! Ja nim jestem!

Strażnik ponownie zerknął na niego.

— Ale on nie jest dupkiem, a ty jesteś.

Jack zauważył, że siwowłosa mężczyzna obejrzał się przez ramię i uniósł rękę, by pomachać po przyjacielsku do Connally'ego. Nagle zobaczył Jacka i jego twarz przybrała kamienny wyraz. Opuścił rękę i ruszył swoją drogą.

Jacka przeszył dreszcz. Widział niedawno tę twarz, na okładce „Time'a”, po tym, jak aktor o nazwisku Josh Davidson zagrał króla Leara w Central Parku.

Co ważniejsze, widział już kiedyś to spojrzenie. Przypomnił sobie robotników portowych tańczących na stole i śpiewających *Rum and Coca-Cola*.

Wybacz, Sheilo, Twój tata to najsympatyczniejszy gość, jakiego w życiu spotkałem — przypomniał sobie słowa usłyszane na korytarzu.

Znał spojrzenie Davidsona. Ostatnio widział je w latach pięćdziesiątych, kiedy wyszedł z sali po złożeniu zeznań przed HUAC i przeszedł obok czekających na korytarzu Earla, Davida, Blythe i pana Holmesa. Przeszedł obok nich, nie odzywając się ani słowem. Nagle zerwał się do biegu, zostawiając za sobą zaskoczonego Connally'ego, i popędził ku najbliższym drzwiom, z których mógł skorzystać.

Josh Davidson był ukrytym asem.

Gdy Jack pędził ku drzwiom, butelka wypadła mu z kieszeni i rozbiła się o beton. Nawet nie zwolnił.

Wszyscy uważali, że to Złoty Chłopiec jest jedynym z Czwórki Asów nadal pozostającym przy życiu. Nikt jednak nie miał pewności, ponieważ jeden z nich zniknął bez śladu.

Odsiedziawszy trzy lata w więzieniu na wyspie Alcatraz, David Harstein wyszedł na wolność w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim. W następnym roku Kongres uchwalił Specjalną Ustawę o Poborze i Harstein otrzymał wezwanie. Nie stawił się przed komisją i od tego czasu nikt go już więcej nie widział. Krążyły plotki, że umarł, zamordowano go, uciekł do Moskwy albo zmienił nazwisko i przeniósł się do Izraela.

Żadna z plotek nie twierdziła jednak, że zrobił sobie operację plastyczną,

poćwiczył trochę z ciężarami, zapuścił brodę, zapisał się na lekcje dykcji i został aktorem na Broadwayu.

Twój tata to najsympatyczniejszy gość, jakiego w życiu spotkałem. No jasne. Nikt nie mógłby czuć antypatii do Davida Harsteina. Nie po tym, jak dotarły do niego jego feromony. Nikt nie mógłby się z nim nie zgodzić. Nikt nie mógłby uniknąć zrobienia czegoś, czego Harstein od niego chciał.

Jack machnął przepustką przed nosem człowiekowi stojącemu przy drzwiach, po czym wpadł do środka i popędził przez tłum w kierunku, w którym ostatnio widział Davidsona, ignorując spojrzenia innych delegatów. Zobaczył go nad głowami ludzi. Zmierzał w kierunku jednego z tuneli prowadzących do sali obrad. Dogonił Davidsona i złapał go za ramię.

— Hej.

Mężczyzna odwrócił się i strzepnął z siebie rękę Jacka.

— Wolałbym z panem nie rozmawiać, panie Braun.

Jack zaczął się cofać. Poczuł, że kolor odpływa z jego twarzy.

— Ale ja chciałbym z tobą porozmawiać, Harstein — odparł. — Mamy prawie czterdzieści lat do nadrobienia.

Mężczyzna złapał się za serce. Złotego Chłopca przeszył dreszcz niepokoju. Czyżby przyprawił staruszka o zawał? Wyciągnął ręce, by podtrzymać Harsteina, ale ten odrzucił zimno jego dłonie. Następnie odwrócił się nieco, wspierając się o ścianę.

— „Jeżeli to stanie się teraz, nie stanie się później, jeżeli się później nie stanie, stanie się teraz; jeżeli nie teraz, to musi się stać później”.

— „Wszystko polega na tym, żeby być w pogotowiu”⁵ — dokończył cytat Jack. W liceum grywał Laertesa.

Harstein przeszył go ostrym spojrzeniem.

— Odkryłeś mnie po tylu latach. Można powiedzieć, że tak właśnie powinno się stać.

— Skoro tak mówisz.

— Po co prowadzimy tę rozmowę? Chyba że zamierzasz mnie wydać.

Jack odetchnął głęboko.

— Nikogo nie wydam, David — zapewnił.

— Ciekawe, jak niektórym zmienia się charakter — zauważył aktor z pogardą na twarzy.

— Jesteś specjalistą od charakterów.

— I od więzień też. Przesiedziałem trzy lata.

— Ja cię tam nie wysłałem, David — zauważył Jack. — Wsadzili cię, nim jeszcze złożyłem zeznania.

— Kolejna interesująca deklaracja. — Davidson wzruszył ramionami. — Ale jeśli to przynosi ulgę twojemu sumieniu...

Jack poczuł, że oczy szczypią go od łez. Osunął się po ścianie. Tym razem nie mógł się bronić tak, jak w rozmowie z Hiramem. Harstein tam był. Nie złamał się i właśnie dlatego zamknęli go w więzieniu.

A to, co spotkało Blythe, było znacznie gorsze.

— Po wyjściu z więzienia pojechałem odwiedzić Blythe — odezwał się Harstein, jakby czytał w jego myślach. — W listopadzie pięćdziesiątego trzeciego. Przekonałem sanitariuszy i poszedłem prosto do jej celi. Powiedziałem jej, że wszystko będzie w porządku. Powiedziałem jej, że jest zdrowa. Ale nie była. Trzy tygodnie później umarła.

— Przykro mi — rzekł Jack.

— Przykro ci. — Harstein wypowiedział te słowa tak, jakby smakował je w ustach. — Bardzo łatwo to powiedzieć, ale nic z tego nie wynika. „Niezatarłe nasze czyny może w ciemną zwątpień noc rozbitkowi w walk godziny tchną do nowych czynów moc”⁶. — Spojrzał Braunowi w oczy. — Ale nadszedł wiatr, Jack, i zatarł ślady naszych czynów. — Przyglądał się Złotemu Chłopcu przez długi czas. Z jego nieubłaganego spojrzenia odpłynęły wszelkie ślady emocji. — Zostaw mnie, Jack. Nie chcę już nigdy cię widzieć na oczy.

David Harstein odwrócił się i odszedł. Złoty Chłopiec osunął się powoli, wsparty o ścianę. Jego ciałem targało przerażenie i wyrzuty sumienia. Minęło co najmniej pięć minut, nim odzyskał panowanie nad sobą. Kiedy wstał, miał pod pachami wielkie plamy potu.

Delegaci idący tunelem patrzyli na niego z litością albo niesmakiem, przekonani, że jest pijany. Mylili się. Był trzeźwy, absolutnie trzeźwy. Przerażenie wypaliło każdy gram alkoholu w jego organizmie.

Jack wszedł do sali w tej samej chwili, gdy Wright ogłosił wyniki ostatniego głosowania. Poparcie dla Hartmanna diabli brali.

19:00

Hotelowy hol opustoszał niemal całkowicie. Większość ludzi poszła na salę obrad, by obserwować wydarzenia. Spector poszedł do snack baru. Pod pachą trzymał butelkę Jacka Blacka. Przespał większą część dnia i musiał coś zjeść. Restauracje w Marriotcie nie wchodziły w grę. Po walce ze Złotym Chłopcem z pewnością będą go szukać. Osłabł już jednak z głodu i musiał coś sobie znaleźć.

Wędrował między półkami z tanim jedzeniem i pamiątkami, aż wreszcie wybrał sobie parę batonów, puszkę orzechów nerkowca i kilka kielbasek. Młody czarnoskóry mężczyzna stojący za kasą gapił się na ekran małego, czarno-białego telewizora. As położył swoje zakupy na ladzie i oderwał rachunek.

— Chwileczkę, proszę pana — odezwał się sprzedawca. — Po tych reklamach mają pokazać, jak ręka Tachiona eksplodowała. Nie widziałem tego na żywo. Kurde, to musiał być niezły widok. Widział pan to?

— Ręka Tachiona eksplodowała? O czym pan gada, do licha?

— Siedział pan cały dzień na basenie, czy co? — Sprzedawca potrząsnął głową. — Jakiś brzydki kurdupel uściśnął doktorowi dłoń i rozwalił ją na drobne kawałeczki. Podobno... Chwileczkę. Już się zaczyna.

Obrócił telewizor tak, żeby Spector też widział ekran.

Obraz odtworzono w zwolnionym tempie. Tachion posuwał się wzdłuż tłumu, ściskając kolejne dłonie.

— Kto go załatwił? — zapytał Spector.

— Jakiś mały garbus. Niech pan spojrzy, to on.

As otworzył usta. A potem je zamknął. To był ten sam mały głąb, który leciał z nim samolotem. Garbus ujął Tachiona za rękę i krew trysnęła na wszystkie strony. Kamerzystę przewrócił spanikowany tłum i relacja się skończyła.

— Czy on jeszcze żyje?

Spector zawsze pragnął śmierci Tachiona i miał nadzieję, że jego życzenie wreszcie się spełniło. W końcu sam miał zamiar wykończyć go któregoś dnia.

— Jak dotąd. — Sprzedawca odwrócił telewizor i przyjął rachunek. — Pewnie jest twardszy, niżby się zdawało. — Włożył zakupy do torebki i wydał Spectorowi resztę. — Niedobrze jest ściskać rękę diabłu, proszę pana.

Już za późno mi o tym mówić — pomyślał z uśmiechem Spector. Schował resztę i ruszył z powrotem do pokoju.



— Hej, Jack.

— O co chodzi, *ese*?

— Rozkazy od Devaughna.

— Tak? — zapytał Złoty Chłopiec bez entuzjazmu. Ukrywał się przed dziennikarzami wśród swych lojalnych delegatów. Nielojalni, jedna trzecia całości, zgromadzili się wokół nowych szefów.

— Po przerwie — ciągnął Rodriguez — obóz Jacksona zgłosi wniosek o zawieszenie zasad konwencji, by Jesse mógł przemówić. Mamy zagłosować za.

Jack popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Nie możemy pozwolić kandydatowi przemówić. Do licha, wtedy wszyscy zażądatają...

— Rzecz w tym, że Jackson ma się wycofać. — Rodriguez uśmiechnął się i postukał palcem w czubek nosa.

— Coś mi tu śmierdzi. Idę o zakład, że Jackson zawarł umowę z szefem. Idę o zakład, że zostanie wiceprezydentem.

Jack pośpiesznie się zastanowił nad tą myślą. Właściwie nie kierował swoją delegacją już od czasu, gdy spadł w czwartek z balkonu. To Rodriguez kontrolował kalifornijskich delegatów i głosował na Hartmanna w imieniu Jacka. Nie mógł nie podziwiać instynktów swego zastępcy.

Jeśli zaś chodzi o listę Hartmann/Jackson, czemu by nie? Taką samą ugodę zawarli Roosevelt i Garner w trzydziestym drugim, podczas poprzedniej nierozstrzygniętej konwencji Demokratów.

— Czy poparcie nasze i Jessego wystarczy...

— Nie. Ludzie Jessego pracują teraz nad Dukakisem.

— Barnett na pewno coś zwęszy.

Albo Fleur — pomyślał. *Ona ma bardziej czuły nos. Może to ona jest ukrytym asem, a nie Barnett.*

Zadał sobie pytanie, czy Fleur służyła w wojsku.

— Po tym, co wydarzyło się dziś rano — zaczął taktownie Rodriguez — nikt z nas nie może się do nich zbliżyć. Ktoś rozmawiał z Fleur, jak jej tam. Powiedziała „nie”. Nie chce nawet o tym rozmawiać.

Jack wstał, spoglądając z zaszępioną miną na przypominającą dziób potężnego pancernika mównicę. Jim Wright ogłosił wznowienie obrad i oznajmił, że odbędzie się kolejne głosowanie. Trwało to całą wieczność. Szefowie kampanii całkowicie utracili kontrolę nad delegatami i liczebność każdej grupy trzeba było sprawdzać od początku. Wniosek o zawieszenie zasad konwencji miał być zgłoszony po ogłoszeniu wyniku głosowania. A potem ten wniosek również trzeba będzie przegłosować. O Boże, jak długo to potrwa?

— Kurwa! Kurwa! — krzyczał Rodriguez do telefonu komórkowego. Następnie wepchnął urządzenie na zestaw i spojrzał na Jacka. — Dukakis się zgodzi. Nie ma nic do stracenia, a może uda mu się przejąć część delegatów Jacksona. Ale nie możemy zmienić zasad bez Barnetta. Potrzebujemy trzech czwartych głosów.

— Paskudna sprawa, *ese*.

— Jeśli ten numer z Jacksonem nie przejdzie, Barnett wpadnie w szal. — Rodriguez zaczerpnął oddech. — Dobra. Oto, czego chce Devaughn. Zaczniemy puszczać pogłoski, że Jackson zamierza się wycofać i chce się tylko zwrócić do delegatów z prośbą w imieniu swych wyborców. Nikt już nie będzie kierował jego indywidualnymi delegatami. Może żołnierze Barnetta nie zwrócą uwagi, kiedy każe im zagłosować na nie.

— Może.

Rodriguez wzruszył ramionami.

— Cały ten plan jest wątpliwy.

Jack poczuł, że jego zwisające ręce zaciskają się w pięści. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby naprawić wszystkie szkody, które spowodowali asowie zabójcy, a także, niech to szlag, on sam.

Przypomniał sobie robotników portowych tańczących na stoliku w barze. *David Harstein* — pomyślał jak szalony. *Potrzebujemy poparcia Harsteina. Niech przekona delegatów, by nominowali Hartmanna przez aklamację.*

Nie. To było głupie. Wszyscy by zauważyli. Ludzie oglądający to w telewizji zadawaliby sobie pytanie, dlaczego nie czują takiego entuzjazmu, jak delegaci na sali. Co więcej klimatyzacja mogłaby wywiać feromony Harsteina.

Jego moc była subtelna i należało jej używać w subtelny sposób. Mógł wpłynąć tylko na kilka osób jednocześnie.

Ale to mogłoby być kilka ważnych osób — pomyślał Złoty Chłopiec. Na przykład szef kampanii Barnetta.

Wyobraził sobie Fleur tańczącą na stołach, rzucającą bieliznę widzom w atrium Omni, dzwoniącą do Barnetta, żeby mu opowiedzieć, jaki dobry w łóżku był Tachion... Napawał się przez chwilę tą wizją, ale ostatecznie wszystko się rozpadło.

David Harstein go nienawidził. Jack nie mógł go do niczego skłonić.

Do licha z tym. Harstein chciał, żeby wybrano Hartmanna. Tak? W ostateczności Złoty Chłopiec posunie się do szantażu. Wiedział, że Harstein jest ukrytym asem. Może mu zagrozić, że ujawni ten fakt.

Przypomniał sobie, jak płakał w tunelu, i zrobiło mu się niedobrze.

Jim Wright odczytał wyniki głosowania delegatów z Alabamy. Wszyscy poparli Barnetta. To przekonało Jacka. Ruszył ku miejscom zajmowanym przez delegatów z Nowego Jorku, przechodząc pod wielką mównicą. Harstein siedział na ławce, przyglądając się, jak jego córka przemawia do nowojorskich delegatów. Minę miał smutną, a zarazem dumną. Jack klepnął go w ramię, nie pozwalając mu wstać.

Aktor poparzył na niego z uwagą. Jego oczy nic nie wyrażały.

— Myślałem, że doszliśmy do porozumienia. Ty dasz spokój mnie, a ja tobie.

— Posłuchaj, to ważne — odpowiedział pośpiesznie Jack. — Za kilka minut zgłoszą wniosek o zawieszenie zasad konwencji, by pozwolić Jacksonowi przemówić. Jesse się wycofa i przekaże poparcie naszemu kandydatowi.

— To dobra wiadomość dla Hartmanna. — Harstein skrzywił się wyraźnie. — Ale co to ma wspólnego ze mną?

— Ten wniosek musi przejść prawie jednogłośnie. Barnett ma wystarczająco wiele głosów, żeby nas zablokować. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy porozmawiać z Fleur van Renssaeler i przekonać ją do zmiany zdania.

— My? — Silna emfaza, z jaką aktor wypowiedział to słowo, sprawiła, że Jack miał ochotę zapaść się pod ziemię. — Czy to twój plan, czy powiedziałeś o mnie Hartmannowi?

Jack potrząsnął głową, starając się nie kulić trwoźnie.

— Nikt poza mną nie wie. Nikomu nie powiem, ale musisz mi pomóc.

Harstein potarł ze znużeniem czoło.

— Liczysz na to, że wejdę do sztabu Barnetta i przekonam wszystkich do

zmiany zdania? — Mogłoby się wydawać, że mówi do siebie. — Wydaje ci się, że to czterdziesty siódmy? Takie sztuczki nie udawały się wtedy, a tym bardziej nie udadzą się teraz.

Miał rację. To było oczywiste. Jak Jack mógł być taki głupi?

Był na progu wzruszenia ramionami i oddalenia się, gdy nagle się zorientował, że feromony Harsteina oddziałują na niego, skłaniając go do zgodzenia się z jego słowami. Jak w takim razie mogły nie działać?

David nakłonił Franco do oddania władzy. Mimo to, gdy Jack przemówił, jego słowa nie zabrzmiały przekonująco nawet dla niego samego.

— Jeśli tego nie zrobimy, Barnett wygra i cała ta praca pójdzie na marne. — Po twarzy Jacka spływały strumienie potu. Czuł się tak, jakby serce w każdej chwili miało mu eksplodować. — Musimy wpłynąć na umysł tylko jednej osoby. Fleur.

Davidson odwrócił wzrok, zastanawiając się. Jack rozpaczliwie zaczerpnął haust powietrza, starając się uspokoić drżenie kończyn.

— Stworzyłem dla siebie nowe życie — zaczął aktor. — Mam rodzinę. Nie mogę jej narażać. Moja fałszywa tożsamość nie oprze się starannemu dochodzeniu. — Popatrzył na Jacka. — Jestem już stary i nie robię takich rzeczy. Może w ogóle nie powinno się ich robić.

Żył Jacka wypełniło zaskoczenie. *Pragnie mojego zrozumienia* — pomyślał.

— Właśnie to robisz — zauważył. — Nie byłoby cię tutaj, gdybyś nie próbował wpływać na ludzi.

— Jack, nadal nic nie rozumiesz, prawda? Nie mogę nic poradzić na to, że wpływam na ludzi. Nie potrafię włączać i wyłączać swojej mocy. Dlatego właśnie nie jestem delegatem. Dlatego trzymam się na uboczu. Jakie mam prawo zastępować czyjąś opinię własną? Czy moja koniecznie musi być lepsza?

Harstein potrząsnął głową.

Jack opierał się gwałtownej pokusie, by po prostu zgodzić się z aktorem i pójść stąd.

— Nasze opinie są bez porównania lepsze niż bredzenie szaleńca, który nam zagraża — odparł, z wysiłkiem wypowiadając każde słowo. — Twoja córka... — Wskazał na nią i przypomniał sobie jej imię. Sheila. — Sheila ma dziką kartę. Ty dostałeś pełną dawkę, oba chromosomy, i nawet jeśli twoja żona nie ma wirusa, musiałeś przekazać Sheili recesywny gen. Jeśli poślubi kogoś, kto również go ma, ich dzieci mogą otrzymać pełną dziką kartę.

Harstein milczał. Jego oczy powędrowały ku córce, stojącej między innymi delegatami. Sheila obejrzała się na niego ze zmartwioną miną. Najwyraźniej wiedziała, kim jest jej ojciec, i domyślała się, że Jack również wie.

— Wiesz, co się z nimi stanie, jeśli Barnett zostanie prezydentem? —

zapytał Jack. — Zamkną ich w ładnym szpitalu w jakimś odludnym miejscu. Szpitalu otoczonym drutami kolczastymi. Nie doczekasz się wnuków. Barnett już tego dopilnuje.

Harstein zwrócił się ku niemu.

— Uprzejmie proszę, byś już więcej nie wspominał o moich córkach. — Jego głos odzyskał lodowate brzmienie. — Nigdy nie używaj takich argumentów w rozmowie ze mną. One nic cię nie obchodzą i ja również nie.

Davidson umilkł. Ponownie spojrzął na córki.

— „Ubiegły już najlepsze nasze lata; spiski, obłuda, zdrada i nieład burzący wszystko będą nam towarzyszyć aż do grobu!”⁷ — Spojrzął na Jacka. — To był nieuczciwy argument, ale przekonałeś mnie. Zrobię, co tylko będę mógł. — Zawahał się. — Czuję się lekko zaskoczony. Byłem przekonany, iż zagroisz, że mnie wydasz. Cieszę się, że się pomyliłem.

Jack pomyślał, że zawsze może to zrobić, ale nie powiedział tego na głos. Nie miał nic przeciwko temu, by dla odmiany zdobyć reputację porządnego człowieka.

Droga z centrum konferencyjnego Omni do sąsiadującego z nim hotelu trwała zaledwie minutę, minęło jednak niemal dziesięć następnych minut, nim Jack i Harstein zdołali się dostać do wind i pojechać na piętro, na którym działał sztab Barnetta. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi Ognioustego, gapiących się na nich otwarcie. Jack ich ignorował. Zastanawiał się intensywnie.

Ich identyfikatory pozwolą im dotrzeć do hotelu i zapewne również do pokoju sztabowego. Ochrona będzie najściślejsza wokół samego kandydata, a pokój Barnetta znajdował się na innym piętrze. Kłopot polegał na tym, co zrobić, by Jackowi udało się zostać w pokoju sztabowym wystarczająco długo, by dotrzeć do Fleur i pozwolić feromonom Harsteina zadziałać.

Aktor wspomniał o szantażu i to podsunęło Złotemu Chłopcu pewien pomysł.

Czekając na windę, wziął sobie z biurka w recepcji kartkę z kopertą i napisał krótki list. Następnie włożył go do środka i napisał na kopercie „Fleur van Renssaeler”.

Treść brzmiała: „Potrzebuję pięciu minut twojego czasu. Jeśli mi go nie dasz, cały świat (i wielbny Barnett) dowiedzą się, że zgrzeszyłeś cieleśnie z Tachionem”.

Zastanawiał się, czy nie podpisać listu „Twój w Chrystusie, Jack Braun”, ale doszedł do wniosku, że to byłoby przegięcie.

Drzwi windy się otworzyły i Jack wszedł do środka, diabelnie zaskakując dwie zwolenniczki Barnetta typu „drobna kobieta z niebieskimi włosami”. Uśmiechnął się do nich uprzejmie, wchodząc do windy, i nacisnął guzik piętra, na którym znajdował się sztab kampanii Barnetta.

Kiedy wysiadł, ludzie czekający na windę spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale nikt nie próbował go zatrzymać, gdy zmierzał do pokoju sztabu. Wszedł do środka, mijając mnóstwo młodych kobiet siedzących przy telefonach, ale nigdzie nie widział Fleur. Uśmiechnął się do najbliższej z dziewczyn.

— Gdzie jest szefowa? — zapytał.

Blondynka spojrzała na niego ze zdumieniem. Mogła mieć jakieś siedemnaście lat i była ładna na swój nieuformowany sposób. Identyfikator informował, że ma na imię Beverly.

— Nie... — zająknęła się. — Pan jest...

Harstein pochylił się nad nią.

— W porządku. Możesz mu powiedzieć. — Uśmiechnął się zachęcająco.

— Hmm...

— To naprawdę w porządku, Beverly — zapewnił Harstein z uspokajającym wyrazem twarzy. — Pan Braun ma tu pewną sprawę do załatwienia, a ja mu tylko towarzyszę.

— Myślę, że panna van Renssaeler jest w gabinecie — odpowiedziała Beverly, wskazując ołówkiem. — Dwa pokoje dalej. Numer siedemset osiemnaście.

— Dziękuję.

W sali dawało się wyczuć zaniepokojenie. Ludzie gapili się złowrogo na Jacka i łapali za telefony. Uśmiechnął się do nich uspokajająco, pomachał ręką i wyszedł. Harstein podążył za nim.

— Mam nadzieję, że to mały pokój — odezwał się aktor. — Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wynalazek klimatyzacji wpłynął na moją moc.

Ludzie wyglądali zza drzwi, gdy Jack podszedł do pokoju siedemset osiemnastego i zapukał do drzwi. Słyszał w środku kilka telewizorów oraz dzwonek telefonu. Po chwili dzwonek umilkł i rozległy się kroki zmierzające ku wejściu. Drzwi się otworzyły.

Stał za nimi srebrnowłosy mężczyzna. Wytrzeszczył nagle oczy ze zdumienia, a potem przymrużył gniewnie powieki. Zaczerwienił się.

— Tak — mówiła Fleur do telefonu. — Chyba już tu jest. Dziękuję, Veronica.

— Nie jest pan tu mile widziany — oznajmił srebrnowłosy mężczyzna.

— Chciałem się zobaczyć z panną van Renssaeler — oznajmił Jack.

Mężczyzna chciał zatrzaskać drzwi, ale Złoty Chłopiec zatrzymał je otwartą dłonią.

— Proszę — powiedział.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Fleur spojrzała na Jacka znad prostokątnych okularów do czytania. Usta mocno zaciskała w wąską linię. Za nią stało dwóch mężczyzn. Ich postawa wyrażała niepewność. Jedną ze ścian

zajmowały telewizory, nastawione na różne kanały wiadomości.

— Nie sądzę, byśmy mieli o czym ze sobą rozmawiać, panie Braun — odezwała się.

— Mamy — zapewnił Jack. — Na początek pragnąłbym panią przeprosić.

— W porządku, już pan to zrobił — odparła Fleur i zaczęła zamykać drzwi.

— Chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

— Jestem zajęta. Może pan napisać list i umówić się ze mną po konwencji.

Drzwi przesunęły się kilka następnych centymetrów, ale Jack ponownie je powstrzymał, po czym wyjął z kieszeni kopertę.

— Proszę bardzo. To jest mój list z prośbą o spotkanie. Chciałbym, żeby pani go teraz przeczytała.

Wrzucił kopertę do środka. Fleur zamknęła drzwi. Rozejrzał się po korytarzu i zobaczył dwóch zbliżających się ochroniarzy, z pewnością wezwanych przez telefonujące kobiety. Gdy ujrzeni człowieka, który w swoim czasie ręcznie zrzucał rosyjskie czołgi z koreańskich gór, ich miny wyraźnie zrzędyły.

— Hmm — odezwał się jeden z nich.

Jack uśmiechnął się do nich.

— Nie ma sprawy, panowie. Pójdę sobie, gdy tylko panna van Renssaeler wyznaczy mi termin spotkania.

Popatrzyli na siebie nawzajem, po czym postanowili zaczekać.

— Powiedziano nam, że jest tu problem — oznajmił jeden z nich.

— Problem? Nie ma żadnego problemu.

Strażnicy nie sprawiali wrażenia, by ich to uspokoiło.

Drzwi się otworzyły.

— Pięć minut — oznajmiła Fleur. — Tylko tyle czasu, co mogę panu poświęcić. — Zwróciła się ku mężczyznom przebywającym z nią w apartamencie. — Wielebny Pickens, panie Smart, panie Johnson, mam nadzieję, że wybaczycie mi na chwilę. Mam sprawę do załatwienia.

Mężczyźni wyszli na korytarz. Otaczała ich aura niepewności pomieszanej z ulgą. Jack wszedł do pokoju. Harstein podążył za nim.

— Kim jest ten człowiek? — zapytała Fleur. — Nie zgodziłam się na rozmowę z nim.

— Josh Davidson, proszę pani — przedstawił się Harstein z niskim scenicznym ukłonem.

— To stary przyjaciel rodziny. Jest ze mną.

— Może poczekać na zewnątrz.

— Nie będę się wtrącał w pani sprawy — zapewnił Harstein. — Staremu człowiekowi, takiemu jak ja, trudno jest czekać w zimnych, klimatyzowanych korytarzach. Nikomu nie zaszkodzę. „Czy oko moje nie wilgotne? Czy ręka nie sucha? Nie żółte policzki? Nie biała broda? Czy nie ubywa mi łydek, a nie

przybywa brzucha?”⁸ Zasługuję na litość. Proszę, nie wzgardź mną i nie wygnaj mnie.

Fleur popatrzyła na niego. Kąciki jej ust zadrżały w ledwie powstrzymywanej wesołości.

— Rozsądek nakazuje mi co innego, ale może pan zostać — zgodziła się.

Na szczęście rozsądek nie zatriumfował.

21:00

Wniosek Jacksona przeszedł z przygniatającą przewagą głosów. Harstein pocałował Fleur w rękę i obaj z Jackiem ruszyli ku windom.

— Być może właśnie zdecydowaliśmy, kto będzie prezydentem — stwierdził Jack. Czuł się miło podchmielony, jak po szampanie.

Harstein szedł prosto przed siebie.

— Hej. Wygraliśmy.

— „Na co nie ma środka, nad tym się nie ma i co zastanawiać. Co raz się stało, już się nie odstanie”⁹ — odparł aktor.

Spojrzał na Złotego Chłopca.

— Nasza znajomość jest skończona. Nigdy już nie próbuj się do mnie zbliżać, Jack, ani nie rozmawiaj z nikim z mojej rodziny. Ostrzegam cię.

Krew Złotego Chłopca zrobiła się zimna jak lód.

— Jak sobie życzysz.

Pozwolił, by Harstein sam pojechał pierwszą windą.



Sara miała przyklejony do twarzy odpowiedni, plastikowy uśmiech i gdy tylko zobaczyła ubranego w sportowy garnitur Rosjanina z zupełnie nową torbą podróżną przewieszoną przez ramię wysiadającego z wagonika kolejki miejskiej, zarzuciła mu ręce na szyję i uściskała go z ferworem, który zaskoczył ją samą.

— Wujku George! — zawołała. — Tak się cieszę, że cię widzę!

Poliakow uściskał ją i poklepał po ramieniu.

— Nie tak głośno, dziecko. W moim wieku bębunki łatwo pękają.

Ujął ją za rękę i wprowadził w tłum zmierzający do schodów ruchomych prowadzących do taśmociągów bagażowych.

— Nie wpuszczają za bramki nikogo, kto nie ma ważnego biletu — ostrzegła go Sara. — Jesteś pewien, że to bezpieczne?

Uśmiechnięta Sara wyglądała zupełnie, jakby rozmawiała z dawno niewidzianym starszym krewnym, którego przed chwilą spotkała. Wskazała jednak głową w kierunku punktu kontroli bezpieczeństwa, gdzie tłum pasażerów przechodził przez wykrywacz metalu jak krowy pędzone do rzeźni. Z boku stało dwóch młodych mężczyzn, przyglądających się tłumowi tak dyskretnie, jak tylko

było to możliwe dla podobnych mięśniaków. Mieli ciemne garnitury z wypukłościami pod lewymi pachami. Z uszu zwisały im krótkie przewody.

— Szukają niebezpiecznych rosyjskich szpiegów próbujących uciec z Atlanty, a nie dostać się do niej — odparł z uśmiechem.

— Ale lotnisko...

— To prawda, że mogłem pojechać autobusem, zwłaszcza że przyjaciel naszego dobrego doktora przeniósł mnie do Port Authority w Nowym Jorku.

Usłyszawszy wzmiankę o Tachionie, Sara skrzywiła się lekko, jakby nadepnęła na gwóźdź.

— Ale to trwałoby za długo, a dworce autobusowe z pewnością również obserwują. Poza tym nie znoszę autobusów.

Byli już na schodach ruchomych.

— Słyszałeś, co się wydarzyło? — zapytała kobieta.

— Można to było zobaczyć na wszystkich telewizorach będących plagą poczekalni na lotnisku La Guardia. Życie w kapitalizmie musi być okropnie samotne, jeśli wykorzystujecie swą ogromną produktywność po to, by całkowicie otaczać się syntetycznym towarzystwem. As zabójca próbujący dokonać zamachu na życie potencjalnego kandydata na prezydenta, zwłaszcza tak etnicznie kontrowersyjnego jak Jackson, musiał wywołać sporą sensację.

Rzecz jasna, tak to właśnie widziała policja i media: garbaty chłopak w skórzanej kurtce chciał zabić Jacksona, a Takizjanin stanął mu na drodze.

— Jak się czuje doktor? — zapytał łagodnym tonem mężczyzna.

— Jego stan jest, jak to mówią, stabilny. Musieli mu amputować rękę, ale szybko wraca do zdrowia. Trzymają go w którymś szpitalu, media nie podają w którym. Policja powiązała napastnika z zabójstwem Ricky'ego i z walką z Jackiem Braunem w czwartek wieczorem. Wiedzą, że potrafi przechodzić przez ściany. Porucznik Herlihy był w końcu zmuszony przyznać, że na terenie konwencji grasuje as zabójca. I to nie zwykły zabójca, lecz zamachowiec kierujący się motywami politycznymi.

Nie próbowała ukrywać gorzkiej satysfakcji pobrzmiewającej w jej głosie. *Gdyby tylko gliniarze mnie wysłuchali* — pomyślała, choć bynajmniej nie było jasne, co właściwie mogliby zrobić. Ale przynajmniej ktoś musiałby przyznać, że Sara jest kimś więcej niż histeryczką szukającą zemsty na mężczyźnie, który ją odrzucił.

Ktoś poza mężczyzną znanym jako George Steele.

Rozsunęły się przed nimi automatyczne drzwi i wyszli w parne, wilgotne powietrze. Sara zostawiła na parkingu samochód, wypożyczony pod przybranym nazwiskiem. Oczywiście, teraz gliniarze z Atlanty gorąco pragnęli z nią porozmawiać, nawet jeśli nie miała im do powiedzenia nic nowego. Nie miała też złudzeń, że potrafiliby ją obronić przed jasnookim młodzieńcem, który nucił pod

nosem, kiedy zabijał.

Poliakow potrząsnął głową.

— Dla dzikich kart w tym kraju nadchodzą złe czasy. Obawiam się, że to pozostanie prawdą bez względu na to, co zdołamy tu zrobić. Niemniej to znaczy, że powstrzymanie tego szaleńca Hartmanna jest jeszcze ważniejsze. Być może będziesz zmuszona odegrać bardziej aktywną rolę.

Stała jak wryta w drzwiach, które próbowały się otwierać i zamykać w mechanicznym szale.

— Nie! Już ci mówiłam, że nie mogę tego zrobić.

Ujął ją za ramię i poprowadził na chodnik. Zaatakował ich odór dieslowskich spalin oraz nawoływania taksówkarzy. Zignorowali oba te czynniki.

— Ktoś musi to zrobić, a Tachion może nie być w stanie.

— Czemu nie ty? Też jesteś asem zabójcą. Dlaczego nie miałbyś zrobić użytku ze swojej mocy?

Rozejrzał się, nie poruszając oczami. W pobliżu nie było nikogo.

— No wiesz, naszym celem jest powstrzymanie wybuchu trzeciej wojny światowej. Czy przysłużyłoby się temu celowi, gdyby as z KGB zabił kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Tak, to właśnie był jego cel. Odwróciła się i przebiegła na drugą stronę ulicy, unikając przejechania raczej dzięki szczęściu niż uwadze. Rosjanin podążył za nią. Ale ostrożniej.

Sapał lekko, gdy dogonił ją przy parkingu krótkoterminowym.

— Sprytnie się zachowałeś, sprawdzając automatyczną sekretarkę.

Starł się ją uspokoić, jakby była przestraszonym zwierzęciem, ale bezskutecznie.

— To ty postąpiłeś sprytnie, zostawiając wiadomość, kiedy wrócisz.

Otworzyła drzwi szaroróżowej toyoty corolli i usiadła za kierownicą.

— To moja praca — wyjaśnił, gdy pochyliła się, by otworzyć drzwi po drugiej stronie. — Jestem zawodowym szpiegiem. Płacą mi za to, żebym myślał o takich rzeczach.

— Zajęcie szpiega nie różni się zbytnio od zawodu dziennikarza — odpowiedziała. — Zapytaj generała Westmorelanda.

Przekręciła gwałtownie kluczyk w stacyjce i ruszyła w drogę.



— Stoję teraz przed wami — zaczął Jesse Jackson. — To prawo, będące również przywilejem, zawdzięczam krwi i potowi niewinnych, przelanych za mojego życia.

Z miejsca, gdzie siedział Jack, sylwetka kandydata wydawała się maleńka w porównaniu z potężną, białą mównicą, ale jego donośny, dźwięczny głos niósł

się daleko. As usłyszał, że niespokojni delegaci ucichli, czekając na słowa Jacksona. Wszyscy — czy go lubili, czy nie — wiedzieli, że będą ważne.

— Moja obecność w tym miejscu jest świadectwem walki tych, którzy byli przed nami; wskazówką dla tych, którzy przyjdą po nas; hołdem dla wytrwałości, cierpliwości i odwagi naszych przodków; zapewnieniem, że ich modlitwy zostały wysłuchane, ich wysiłki nie poszły na marne, a nadzieja nigdy nie umiera...

Tych, którzy byli przed nami. Jack pomyślał o Earlu, który stał na mównicy, odziany w strój pilota, a audytorium wsłuchiwało się w jego głos. *To Earl powinien tu stanąć. Wiele lat temu.*

— Ameryka nie jest jednym kocem utkany z jednego materiału w jednym kolorze. Kiedy byłem dzieckiem w Greenville w Karolinie Południowej i moja babcia nie mogła sobie pozwolić na koc, nie uskarżała się, a my nie musieliśmy marznąć. Wzięła kawałki wełny, jedwabiu, gabardyny i tkaniny workowej, tak marnej jakości, że ledwie się nadawały do czyszczenia butów. Ale ta sytuacja szybko się zmieniła. Dzięki pewnym rękom i mocnej nici zszyła te skrawki w kołdrę, wzór piękna, siły i kultury. Partia Demokratyczna musi teraz stworzyć taką właśnie kołdrę. Farmerzy domagają się uczciwych cen za swoje produkty. Mają rację, ale nie poradzą sobie sami. Ich skrawek jest za mały. Robotnicy walczą o sprawiedliwe pensje i mają rację, ale ich skrawek jest za mały. Dżokerzy dobijają się o sprawiedliwe traktowanie, prawa obywatelskie oraz system ochrony zdrowia uwzględniający ich potrzeby, ale ich skrawek jest za mały...

Przed laty, gdy Louis B. Mayer udzielał mu lekcji dykcji i panowania nad głosem, Jack nauczył się sztuczek retorycznych. Wiedział, dlaczego kaznodzieje, tacy jak Jackson i Barnett, posługują się tymi długimi kadencjami i rytmiczną, kontrolowaną emfazą. Wiedział, że długie zdania i odpowiednio dobrany rytm mogą wprowadzić audytorium w stan lekkiej hipnozy, uczynić słuchaczy podatnymi na przekaz mówcy. *Co, gdyby to Barnett tu stał?* — zadał sobie pytanie. Jaki przekaz niosłyby te efektowne wizje, te uwodzicielskie rytmy?

— Nie ulegajcie rozpacz! — zawołał Jackson. — Bądźcie mądrzy jak moja babcia. Połączcie wszystkie skrawki w całość, zszyjcie je jedną nicią. Gdy już stworzymy wielką kołdrę jedności i wspólnych celów, będziemy mogli zapewnić opiekę zdrowotną i pracę, wykształcenie i nadzieję. Kiedy patrzę na tę konwencję, widzę twarz Ameryki: czerwoną, żółtą, brązową, czarną i białą. Prawdziwą patchworkową kołdrę, którą jest nasz kraj. Tęczową koalicję. Ale jeszcze się nie zjednoczyliśmy, żadna silna ręka nie połączyła nas w całość. Zwracam się dziś do was, by wymienić nazwisko człowieka, który zszyje nasze skrawki w coś, co nie pozwoli Ameryce zmarznąć podczas długiej, zimnej nocy reaganomiki...

Wśród delegatów poniosły się szept. Nie wszystkim, nawet wśród zwolenników Jacksona, powiedziano, że to będzie mowa rezygnacyjna. Niektórzy właśnie usłyszeli pierwszą wskazówkę.

— Jego przodkowie przybyli do Ameryki na statku imigrantów — ciągnął Jackson — a mój przyjaciel, który został dziś po południu poważnie ranny, gdy stał u mojego boku, przyleciał na tę planetę gwiazdolotem. Moich przodków przywieźli do Ameryki handlarze niewolników. Ale bez względu na to, jakie statki pozwoliły nam tu dotrzeć, dzisiaj wszyscy jesteśmy na tej samej łodzi.

Od kolder do łodzi. Słysząc było brawa, gwizdy i nieustanne szepty. Jakaś delegatka z Illinois zerwała się na równe nogi.

— Nie, Jesse!

— Wydarzenia, do których doszło na konwencji, grożą zatopieniem tej łodzi — ciągnął Jackson. — Biegaliśmy z jednego jej końca na drugi, od konserwatyzmu do progresywizmu, od prawej burty do lewej. W końcu doszło do tego, że łódź może się przewrócić do góry dnem, Partia Demokratyczna może zatonać. Nadszedł zatem czas, by przekazać ster komuś, kto potrafi bezpiecznie doprowadzić ją do portu. Dzisiaj oddaję honory temu człowiekowi. Jego kampania była dobrze zorganizowana i godna. Choć czuł się wyczerpany i poddawano go ciężkim próbom, zawsze opierał się pokusie demagogii. Przyglądałem się jego szybkiemu i sprawnemu umysłowi, jego stalowym nerwom. Prowadził swą kampanię wśród licznych konkurentów, bez odwoływania się do tego, co w nas najgorsze. Widziałem, jak jego perspektywa się poszerza, w miarę jak styka się z nowymi środowiskami. Byłem świadkiem jego twardości i nieustępliwości, wiem też, że jest oddany służbie publicznej.

Jackson przerwał na chwilę i przeszukał wzrokiem widownię, zaciskając dłonie na pulpicie. Być może zastanawiał się nad pytaniem, co przyniesie mu nowa rola twórcy królów.

— Namawiam konwencję, by zjednoczyła się pod przewodnictwem tego człowieka, tego nowego kapitana. Zachęcam wszystkich obecnych, w tym również moich delegatów, by zagłosowali na nowego kapitana, nim nasza łódź obróci się do góry dnem i zatoniemy na kolejne cztery lata. A tym kapitanem jest... — Zapadła cisza. Jack słyszał bicie własnego serca. — Senator! — ciągnął Jackson.

Złoty Chłopiec spojrział na siedzącego obok Rodrigueza.

— Gregg! — powiedział równocześnie z Jacksonem.

Rodriguez popatrzył na niego. W jego oczach malowała się szalona radość.

— Hartmann! — ryknął razem z Jackiem, Jessem i całym tłumem. Wszyscy nagle wpadli w szal.

Cieszyli się z triumfu Hartmanna.



Spector siedział na dywanie przed telewizorem. Ściszył dźwięk. W pokoju numer tysiąc dziewiętnaście nie powinno nikogo być i nie chciał, by ludzie tu zaglądali. Kupił na dole puszkę orzechów nerkowca i butelkę whisky. Podczas

głosowania pochłonął większość tych zakupów. Miał nadzieję, że Hartmann przegra. Kandydata, który się wycofał, ochrona nie pilnowałaby tak starannie jak nominata. Jak zwykle, wszystko poszło nie tak.

— Hartmann, Hartmann, Hartmann — skandowali delegaci. Wreszcie samo brzmienie nazwiska zaczęło go wkurzać. Jesse Jackson z jakiegoś powodu postanowił wycofać się z wyścigu. Wszyscy komentatorzy mówili o jakiejś zakulisowej ugodzie. Tak czy inaczej, w następnym głosowaniu Hartmann uzyskał rekordowe poparcie. Kołysano tabliczkami z nazwami stanów, puszczano balony, sypano konfetti i wygłaszano długie, nudne przemówienia.

Złoty Chłopiec żył. To dodatkowo zaniepokoiło Spectora. Braun dobrze mu się przyjrzał i z pewnością zdoła go rozpoznać. Kiedy pokazali go w telewizji, as judasz był zalany albo chory. Zgon westchnął. Ci, których zabił, na ogół już nie wracali.

Jutro skupi się na znalezieniu jakiegoś sposobu, który pozwoli mu dotrzeć do Hartmanna. Na razie nie miał pojęcia, jak się do tego zabierze, ale senator nie opuści Atlanty żywy. Oczywiście, Spectorowi również może się to nie udać. Nie próbował jednak wmawiać sobie, że są rzeczy gorsze od śmierci. Wiedział lepiej.

Gdyby znalazł kogoś, kto by mu pomógł, kogoś potężnego, mógłby naprawdę odejść stąd w jednym kawałku. Znał też pewną osobę, którą mógłby do tego namówić. Ryzyko byłoby wielkie, ale co tam.

Wyłączył telewizor, zwinął się w kłębek na podłodze wokół niemal pustej butelki i spróbował zasnąć.

5 Fragmenty z *Hamleta* Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

6 Fragment z *Psalmu życia* Henry'ego Wadswortha Longfellowa w przekładzie Wiktora Baworowskiego (przyp. tłum.).

7 Fragment z *Króla Leara* Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha (przyp. tłum.).

8 Fragment z *Henryka IV* Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha (przyp. tłum.).

9 Fragment z *Makbeta* Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

Rozdział siódmy

Niedziela, 24 lipca 1988

7:00

Sara owinęła się w tani ręcznik, okrywający jej ociekające wodą ciało od piersi aż po uda, a pod drugim schowała włosy. Gdy wyszła z łazienki, ciągnęły się za nią obłoki pary. Ruch sprawiał jej trudności. Niemalże trupia sztywność sięgała aż do głębin jej duszy.

— Nie możemy już liczyć na Tachiona.

Wycisnęła te słowa z ust, jakby przeciskała kawałki plasteliny przez żaluzję. To nie było pytanie.

Mężczyzna posługujący się nazwiskiem George Steele siedział na łóżku w spodniach i podkoszulku, wpatrując się w grzbiety swych dłoni. Były owłosione, tak samo jak jego ramiona. Uniósł głowę.

— Nie możemy.

— Pamiętasz plan, o którym dyskutowaliśmy wcześniej?

Zmarszczył brwi.

— Tak.

— Zrobię to.

Odwróciła się i wróciła do łazienki, by wysuszyć włosy.

9:00

Szpitalne były smaczne, a Lalkarz robił się już głodny. Gregg odsunął się od swego komputera Compaq Portable III i potarł powieki. Napisał pośpiesznie wiadomość: „Tony, muszę sobie zrobić krótką przerwę. Mowa wygląda dobrze. Przesyłam ci ostatnie poprawki. Zostawię komputer włączony i odbiorę tekst, kiedy wrócę. Dziękuję”.

Wysłał wiadomość przez modem na komputer Calderone’a i ponownie potarł powieki.

— Zmęczyłeś się, kochanie? — Ellen uśmiechnęła się do niego ze szpitalnego łóżka. Ona również była bliska zapadnięcia w sen. — Uważam, że następny prezydent Stanów Zjednoczonych powinien móc się chwilę przespać. Masz za sobą długą noc. Jack mówił mi, że ty i Jesse siedzieliście do rana, planując kampanię.

— To była cudowna noc, Ellen. Przemówienie Jessego było rewelacyjne. Bardzo żałuję, że cię tam nie było. Nic z tego nie byłoby możliwe bez ciebie.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa, ale w jej uśmiechu wyczuwało się nutę smutku. Nadal była blada, skórę miała niemal półprzezroczystą, a oczy zapadnięte

i podkrążone. Śmierć dziecka pozostawiła w niej ślady trwalsze, niż uważałby to za możliwe.

— Dziś wieczorem przyjdę wysłuchać twojego przemówienia. Nic nie mogłoby mnie powstrzymać. Pocałuj mnie, następny prezydencie Stanów Zjednoczonych.

— Spodobała ci się ta fraza, co?

— Po wczorajszym głosowaniu? Wielki stan Nowy Jork oddaje wszystkie swe głosy na następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Gregga Hartmanna! Ile mamy stanów? — Rozpostarła szeroko ramiona.

Gregg pochylił się nad łóżkiem i pocałował ją delikatnie w usta. Lalkarz trącił go lekko.

Oddaj ją mnie.

Nie. Zostaw ją w spokoju. Naraziliśmy ją na wystarczająco wiele. Moc drwiła z niego, ale nie była skłonna do sprzeczki.

W takim razie chodźmy gdzie indziej. Jestem głodny.

Gregg uściskał żonę.

— Posłuchaj — rzekł. — Pójdę na krótki spacer. Może przy okazji odwiedzę kilku pacjentów i uściskę im dłonie.

— Już zaczynasz kampanię. — Ellen westchnęła drwiąco. — Panie następny prezydencie Stanów Zjednoczonych.

— Przyzwyczaj się do tego, kochanie.

— Zanim to wszystko się skończy, znudzisz się ściskaniem rąk, Gregg.

Uśmiechnął się do niej dziwnie.

— Wątpię w to — odparł. Wewnątrz jego jaźni Lalkarz powtórzył echem te słowa.

11:00

Spector obudził się z mętlikiem w głowie. Czuł w ustach metaliczny posmak i wszędzie go bolało. Wszystkie swoje rzeczy zostawił w motelu i nie mógł się ogolić ani umyć zębów. Będzie musiał tam wpaść i doprowadzić się do porządku, zanim wybierze się z wizytą.

Wziął w rękę książkę telefoniczną i zaczął ją kartkować, aż dotarł do szpitali. Znalazł ten, w którym leżał Tony, zawahał się przez chwilę i wybrał numer.

— Proszę z Tonym Calderone'em — powiedział telefonistce.

Po kilku sygnałach podniesiono słuchawkę.

— Hmm, no tak. Mówi Jim. Chciałem się wytłumaczyć za wczoraj.

— Nie ma sprawy. Colin mówił, że byłeś w moim pokoju. Mam nadzieję, że nie napadli cię znowu.

Tony sprawiał wrażenie, że cieszy się, że go słyszy.

— Nic w tym rodzaju. Zatrzymały mnie sprawy służbowe, nic więcej. —

Spector pragnął mu opowiedzieć, co podsłuchał, ale wiedział, że Tony mu nie uwierzy. Był zbyt głęboko zaangażowany. — Chciałem cię tylko zawiadomić, że ze mną wszystko w porządku.

— Aha, trochę się martwiłem. Ale skończyłem mowę. To najlepsze, co w życiu napisałem. Mam nadzieję, że uda ci się ją usłyszeć. — Tony przerwał na chwilę. — Jesteś pewien, że nic ci nie dolega?

— Nic, czego nie wyleczy powrót do New Jersey. — Spector pociągnął za sznur od telefonu. — Bardzo się ucieszyłem, że cię zobaczyłem. Daję słowo.

— Spotkamy się znowu, szybciej, niż ci się zdaje. W Waszyngtonie.

W głosie Tony'ego pobrzmiwała niezachwiana pewność.

— Jasne. — Spector zdawał sobie sprawę, że pod koniec dzisiejszego dnia Tony znenawidzi go na zawsze. Straci jedyne przyjaciela. Wiedział też jednak, że nie może się już wycofać. — Posłuchaj, muszę się śpieszyć. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia przed wyjazdem.

— W porządku. Zadzwoń do mnie, jak już wszystko się uspokoi. A tymczasem uważaj na siebie.

— No to cześć.

Spector odłożył ostrożnie słuchawkę. Nie mógł pozwolić, by podobny sentymentalny syf uczynił go słabym. Musi teraz być silny.

Wsadził butelkę whisky do kieszeni płaszcza, rozejrzał się jeszcze uważnie po pokoju i wyszedł. Wiedział, że już tu nie wróci.

12:00

Choć Jack od czasu do czasu szukał Blaise'a, nie udało mu się go znaleźć. Doszedł do wniosku, że pora pojechać do szpitala i powiedzieć Tachionowi, że jego wnuk zniknął.

Do licha. Chłopak najpewniej właśnie siedział u dziadka.

Zwolennicy Hartmanna krążyli po holu Marriotta, w różnym stopniu zalani albo wykończeni. Dziurę wybitą w podłodze przez spadającego Jacka otoczono ostrzegawczą żółtą taśmą. As zauważył atrakcyjną kelnerkę, którą widział przedtem, i mrugnął do niej znacząco. Uśmiechnęła się do niego. Zajął się myślami o kelnerce i nie zauważył Hirama aż do momentu, gdy omal się nie potknął o wielką walizkę — niemalże kufer — którą restaurator postawił na podłodze obok siebie.

Hiram sprawiał wrażenie równie zaskoczonego jak Jack. Zaniepokojony grubas otworzył szeroko oczy. Być może w walizce znajdowało się coś cennego.

Restauratorowi towarzyszył chudy dzoker z cienkim wąsikiem oraz pajęczyną ze skóry zarastającą puste oczodoły.

— Och, przepraszam.

Jack okrążył walizkę i popatrzył na Hirama.

— Nie zostaniesz na przemówieniu Hartmanna?

— Hmm, nie. I tak już siedziałem w Atlancie dłużej, niż zamierzałem. — Hiram skierował na Złotego Chłopca paskudnie podkrążone oczy. Wyglądał okropnie. Włosy miał rozczochrane, a rozpięty kołnierzyk odsłaniał wrzód na szyi. Niewykluczone, że spał w garniturze. Ujął Jacka za ramię i odprowadził go na bok, poza zasięg słuchu chudego dzokera. — Właściwie to chciałem z tobą porozmawiać.

— Ja też miałem nadzieję się z tobą zobaczyć — odparł z uśmiechem Jack. — Chciałem ci podziękować za to, co wtedy zrobiłeś. Mógłbym zostać ranny, gdybyś nie zmniejszył mojego ciężaru.

— Cieszę się, że na coś się przydałem. — Hiram obejrzał się przez ramię na dzokera i uśmiechnął się nerwowo. Potem znowu zwrócił się ku Jackowi. — Chciałem ci coś powiedzieć — oznajmił.

Jego ton sprawił, że wzdłuż kręgosłupa Brauna przebiegł ostrzegawczy dreszcz. Wiedział, że wołałby nie usłyszeć słów, które za chwilę padną.

— Oczywiście — zgodził się.

— Chciałem ci powiedzieć, że teraz rozumiem — oznajmił Hiram grobowym głosem. — Że miałeś rację, mówiąc, że nie wiemy, jak się zachowamy, dopóki nie poddadzą nas próbie.

— Aha — mruknął Złoty Chłopiec. Rzeczywiście nie chciał słuchać tych wyznań. Kimkolwiek mógł być i cokolwiek uczynił, nie pragnął, by czyjeś grzechy wypełniały mu głowę. Miał wystarczająco wiele kłopotów z własnymi.

— Kiedy cię oskarżałem podczas tamtej rozmowy — ciągnął restaurator — w rzeczywistości oskarżałem samego siebie. Staralam się zaprzeczyć zradom, których się dopuściłem.

— Jasne.

Jack pragnął tylko tego, by Hiram poszedł sobie ze swoją mydlaną operą. Jakiego rodzaju zdrady mógłby się właściwie dopuścić ktoś taki? Kupić cielęcinę drugiego gatunku dla swojej restauracji?

Grubas patrzył na niego z błyskiem w oczach, jakby oczekiwał od niego jakichś mądrych słów, czegoś, co pomoże mu podźwignąć brzemię samoświadomości. Jack nie miał mu zbyt wiele do zaoferowania.

— Nie możemy zmienić przeszłości, Hiram — rzekł mu. — Możemy co najwyżej spróbować uczynić przyszłość nieco lepszą. Mam wrażenie, że w ostatnim tygodniu udało się nam osiągnąć ten cel.

— Hiram. — Dzoker skierował na nich ślepe oczodoły. Jack odniósł niepokojące wrażenie, że poddaje go uważnym oględzinom. — Pora ruszać.

— Tak, oczywiście.

Restaurator dyszał ciężko, jakby rozmowa z jakiegoś powodu go wyczerpała.

— No to do zobaczenia — rzucił Jack.

Worcester odwrócił się bez słowa, podszedł do walizki i uniósł ją. Albo w środku nic nie było, albo restaurator zmniejszył jej ciężar.

Na widok Hirama dźwigającego ogromną walizkę w stronę wielkich obrotowych drzwi Jacka uderzyła fala paranoidalnych podejrzeń. Przypuśćmy, że Blaise...

Ale nie. Uświadomił sobie, że walizka jest duża, ale nie aż tak, by mogła pomieścić nastoletniego chłopca.

Wydarzenia kilku ostatnich dni uczyniły go przesadnie nerwowym.

13:00

Pomimo działania leków Lalkarz i tak wyczuwał ból Tony'ego Calderone'a. Miał on korzenny smak. Moc podkreśliła go, tylko dla własnej przyjemności. Tony skrzywił się i podskoczył w łóżku, kołysząc trzymanym na tacy laptopem. Twarz wyraźnie mu pobladła.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Gregg, ignorując niosący się w jego jaźni śmiech Lalkarza.

— To tylko chwilowy ból, senatorze. Nic takiego.

Pot na czole zadawał jednak kłam jego słowom. Lalkarz zachichotał. *Zostaw go teraz w spokoju. Musimy trochę popracować.*

Nie ma sprawy, Reggie. Po prostu dobrze jest znowu poczuć się wolnym. Udało się. Wszystko jest teraz nasze.

— Zastanawiałem się nad przemówieniem, senatorze — mówił Tony. — Chyba wreszcie wpadłem na tę kluczową frazę, o której mówiliśmy. Sprawdziłem twoje stare przemówienia. Pamiętasz, co powiedziałaś w parku Roosevelta, kiedy ogłosiłaś, że będziesz kandydować?

To przywołało wspomnienia. Wkrótce po wygłoszeniu tego przemówienia kazał zamordować Kahinę na oczach Poczwaraki i Downsa, by się upewnić, że nie wspomną ani słowem o jego mocy asa. *To z pewnością się udało* — pomyślał z ironią.

Udało się — upierał się Lalkarz. *Uciszyło ich na czas trwania kampanii. Tachion dowiedział się zbyt późno. Sprawa jest już załatwiona.*

Pewnie tak...

— Jaką frazę masz na myśli, Tony? — zapytał Gregg.

Mężczyzna nacisnął klawisz i zaczął czytać tekst, który pojawił się na ekranie:

— „Istnieją maski inne od tych, z których zasłynęło Dżokerowo”. To twój tekst, o ile sobie przypominam, i to bardzo dobry. „Zakażenie kryjące się za tą maską jest aż za bardzo ludzkie... Chcę zerwać maskę i odsłonić kryjące się pod nią fałsz i szpetotę. Szpetotę nienawiści.”

Tony postukał palcem w ekran.

— To potężny obraz. Myślę, że już czas, byśmy go wykorzystali.

— To brzmi nieźle. Co dokładnie masz na myśli?

— Pracowałem nad tymi słowami już od wczorajszego wieczoru. I nasunęła mi się też inna myśl.

Mężczyzna się uśmiechnął i Gregg wyczuł żółtą, pulsującą falę. Tony był dumny ze swojego pomysłu. Odłożył laptopa, usiadł prościej w łóżku, bębniąc z ekscytacji palcami w udo.

— Co, gdybyście wszyscy włożyli maski? Ty, Jesse, wszyscy ludzie stojący na scenie i delegaci w audytorium? Dżokerzy, asowie i natole, wszyscy zamaskowani tak, żeby nie można ich było od siebie odróżnić. A kiedy wypowiesz odpowiednią frazę... — Tony zamknął oczy, pogrążając się w zamyśleniu. — No nie wiem, coś w rodzaju: „Chcę zerwać maski. Maski uprzedzeń, nienawiści i nietolerancji”, ale to musiałyby być mocniejsze, znacznie mocniejsze, i potrzebny byłby długi wstęp, prowadzący do tej chwili. A w tej samej chwili, gdy to powiesz, bach, wszyscy zerwą maski i rzucają je w górę.

Gregg zachichotał, wyobrażając sobie tę scenę.

— Lubię to. Naprawdę to lubię.

— To bardzo chwytliwe. Zapewni ci miejsce na każdym kanale. Wyobrażasz to sobie, wszystkie te maski w powietrzu? Kurde, to dopiero będzie news. Przyciągnie uwagę wszystkich wyborców do kwestii dzikich kart. Bushowi będzie cholernie trudno zorganizować coś równie dramatycznego na konwencji Republikanów.

Gregg klepnął otwartą dłonią w pościel i wstał.

— Zrobimy to. Zaczynaj pracować nad tekstem przemówienia. Ja pogadam z Amy, Johnem i Devaughnem. Musimy to skoordynować z naszymi ludźmi. Jak tylko ukończysz wstępną wersję, wyślij ją do pokoju Ellen. Zostawię modem compaqą włączony.

— Już się robi, senatorze — zapewnił z uśmiechem Calderone.

— Ludzie nigdy nie zapomną tego, co się dziś wydarzy, Tony. Bierz się do roboty. Mamy mało czasu.

Gregg uśmiechał się, wychodząc z pokoju. Wyeliminował Tachiona z gry, nominację miał zapewnioną, a teraz otrzymał też znakomity obraz na nadchodzącą kampanię. Był tak zadowolony, że nawet nie słuchał skarg Lalkarza, użalającego się, że nie pozwolił mu po raz ostatni skosztować bólu Tony'ego.

15:00

— Mimo że niewielka część nadgarstka ocalała, postanowiłem dokonać amputacji kilku centymetrów w górę przedramienia.

Doktor Robert Benson rozmawiał z pacjentami w skrajnie rzeczowym stylu. *Wogóle nie ma podejścia do ludzi* — pomyślał Tachion, gapiąc się z grozą

i obrzydzeniem na niekształtny splot bandaży otaczający kikut jego prawej ręki. *Może uważa, że jako lekarzowi łatwiej mi to znieść... No cóż, myli się.*

Jego kończynę przeszywał ból pulsujący w rytm uderzeń serca. Tach zerknął na kroplówkę, mechanicznie przesyłającą płyny do jego ciała. Wkluli się do wielkiej żyły na grzbiecie jego lewej dłoni. *Dobrze, że zauważyli, że jestem praworęczny... nie, ty durniu. Nie mogli podłączyć kroplówki do prawej dłoni, bo jej nie masz.*

Złapały go mdłości.

— Niedobrze się pan czuje? — Benson podsunął mu nerkę pod podbródek.
— To naturalne. Skutki znieczulenia.

— Wiem... ile... czasu... jaki dziś... jest dzień?

— Aha, czas. Jest niedziela. Trochę po trzeciej po południu.

— To długo.

— Tak. Fizycznie jest pan głęboko wyczerpany z powodu wstrząsu i utraty krwi.

Benson wzruszył ramionami.

— Boli mnie.

— Każę pielęgniarce zrobić kolejny zastrzyk.

— Jestem uczulony na kodeinę. Użyjcie morfiny albo...

— Lekarze to najgorsi pacjenci. Zawsze próbują kierować własnym leczeniem. — Uśmiechnął się jednak i zapisał to na karcie. — Niech pan spokojnie śpi.

Tach poczuł, że dolna warga mu drży.

— Moja ręka.

— Sądząc po tym, co widziałem w wiadomościach, miał pan szczęście, że skończyło się tylko na tym.

— Doktorze. — Benson zatrzymał się w drzwiach i obejrzał na pacjenta. — Proszę im nie mówić.

— Ma pan na myśli wirusa?

— Tak.

— Nie powiem.

Tachion zamknął oczy i poddał swój stan ocenie. Ból w gardle od rurki intubacyjnej, poczucie ogólnej dezorientacji pozostałe po znieczuleniu, boleśnie wypełniony pęcherz i nade wszystko intensywny ból w zmasakrowanej kończynie. Fantomowe palce jego prawej dłoni podkuliły się konwulsyjnie.

Gdyby był na Takis, wyhodowanie nowej kończyny byłoby kwestią tygodni. Czy jednak wirus dzikiej karty, owinięty teraz miłośnie wokół łańcuchów jego DNA, pozwoliłby na normalny wzrost? Czy raczej umieściłby na końcu jego ramienia jakieś okropieństwo?

Było ironią losu, że on, który zabił własnych krewnych, próbując zapobiec

uwolnieniu wirusa, a potem przez czterdzieści lat pracował wśród jego ofiar, by odbyć pokutę, musiał teraz cierpieć tak bardzo.

— Objaw się i skończ z tym! — zawołał na głos. Gorące łzy wsiąkały mu we włosy na skroniach i w bokobrody.

Wirus milczał, zadowolony z siebie.

16:00

Po wejściu do szpitalnego pokoju Tachiona Jack zauważył, że rudowłosa kosmita miota się na łóżku, ściskając kikuta.

— Jezu — odezwał się as i szybko podszedł do łóżka. — Co ci się stało?

— Ciągle sięgam po wszystko prawą ręką — wyjaśnił Takizjanin słabym głosem.

— Wezwij pielęgniarkę. Niech ci założy temblak. Dzięki temu będziesz pamiętał.

— Tak, tak, tak. — Tachion nie przestawał ściskać kikuta.

Złoty Chłopiec sięgnął po papierosa i zapalił go.

— Mam zawołać pielęgniarkę, żeby zrobiła ci zastrzyk?

— Nie.

Tachion zacisnął usta.

Jack dmuchnął na niego dymem papierosowym.

— Ludzie uważają mnie za tępego macho. Pewnie dlatego, że nigdy nie mieli do czynienia z takizjańskimi książętami. — Rozejrzał się po pokoju. — Czy Blaise tu dzisiaj był? Próbowałem go znaleźć. Chciałem się upewnić, że nic mu się nie stało.

— Nie widziałem go.

Na twarzy Tachiona pojawił się niepokój.

— Ktoś widział go w towarzystwie Raya Ackroyda. Tego detektywa, który teleportował dziwoląga, zanim zdążyłem go rozwalić.

— I według wszystkich relacji uratował mi życie — zauważył Tachion, dotykając kikuta lewą dłonią. — Jeśli Blaise będzie pozostawiony bez nadzoru, może wpaść w kłopoty.

— Tak właśnie sobie pomyślałem.

Tachion znowu przybrał władcą pozę.

— Znajdź mojego wnuka, Jack.

— Spróbuję.

Kosmita usiadł i wskazał lewą ręką na szafkę.

— Podaj mi ubranie, dobra?

Jack spojrział na niego z zaskoczeniem.

— Tach, nie przejmuj się. Znajdę go.

— Muszę wracać na konwencję.

Złoty Chłopiec roześmiał się nerwowo.

— Już po wszystkim. Nie musisz nigdzie jeździć.

Tachion zamarł w bezruchu, szeroko otwierając fioletowe oczy.

— Co masz na myśli?

Jack westchnął.

— Nikt ci nie powiedział?

— Co się stało?

As się zawahał. Nie chciał poruszać tej sprawy. Zaciągnął się głęboko, chcąc jak najszybciej mieć to za sobą.

— Gregg i Jesse zawarli ugodę. Jackson się wycofał i przekazał poparcie Hartmannowi. Gregg zdobył nominację, a Jackson będzie wiceprezydentem.

— Nie! — Oczy Takizjanina otworzyły się szeroko z przerażenia. — Nie, nie, nie.

Umysł Jacka wypełniło zniecierpliwienie.

— Mógłbyś wreszcie przestać się martwić o stabilność Gregga, do licha? To on zaaranżował całą ugodę. Świetnie panuje nad sytuacją, tak? Mimo że wszyscy ci asowie próbują go załatwić.

— Nie! Nie! Nie!

Złotego Chłopca ogarnęło przerażenie, gdy zobaczył, że Takizjanin wysoko uniósł kikut prawej ręki, a potem zaczął nim raz po raz walić w poręcz łóżka.

Jack rzucił papierosa i złapał Tacha za ramiona. Przycisnął wyrywającego się kosmitę do materaca i trzymał go, dopóki ten się nie uspokoił.

— Co ci się stało?

Tachion przeszył go wściekłym spojrzeniem.

Wtem nowa myśl uderzyła Złotego Chłopca z siłą huraganu. Poczł się, jakby wichur uniósł go i porwał w ciemność, w jakieś miejsce pozbawione światła, bezpieczeństwa i nadziei.

— To Gregg, prawda? — zapytał. — Gregg jest ukrytym asem.

Tachion odwrócił wzrok.

— Odpowiedz mi, do cholery!

— Nie mogę.

Jack poczuł, że kolana nie chcą już dłużej utrzymywać jego ciężaru. Zatoczył się do tyłu, sięgnął po krzesło i opadł na nie. Jego papieros tlił się na podłodze. As podniósł go i zaciągnął się głęboko. Ogarnął go kruchy, niepewny spokój.

— Powiedz mi, Tach — prosił. — Muszę się dowiedzieć. Muszę się dowiedzieć, czy znowu spieprzyłem sprawę.

Takizjanin zamknął oczy.

— To już nie ma znaczenia, Jack.

— To jedyna dobra rzecz, jaką zrobiłem. Jedyna dobra rzecz, jaką udało mi się zrobić od lat.

As popatrzył ze zdziwieniem na papierosa, którego przed chwilą zgniótł w dłoni. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś kosza, nie znalazł go, wzruszył ramionami i rzucił rozkruszone resztki na podłogę.

— Tach — podjął. — Muszę to wiedzieć. To ja załatwiłem Greggowi nominację. Mniejsza z tym, jak to robiłem. Muszę się dowiedzieć, czy postąpiłem słusznie, czy nie.

Takizjanin nadal nie otwierał oczu. Jack popatrzył na niego z narastającym gniewem.

— Czy mamy grać w dwadzieścia pytań, Tach?

Kosmita milczał.

— Czy Gregg jest ukrytym asem?

Cisza.

— Sara Morgenstern oskarżyła go o to, że jest zabójcą. Czy to prawda?

Nic.

— A ten mały dziwoląg, który próbował zabić Sarę? Czy pracuje dla Gregga?

Te ostatnie słowa przerodziły się w krzyk. Tachion leżał w łóżku z zamkniętymi oczami.

— Zostaw mnie — odezwał się wreszcie. — Już po wszystkim. Nie możemy nic na to poradzić.

Umysł Jacka wypełnił gniew. Złoty Chłopiec wstał gwałtownie z krzesła i pochylił się nad łóżkiem.

— Jesteś taki arogancki! — wykrzyczał kosmicie prosto w twarz. — Jesteś cholernym księciem. Powiedziałeś, że jest po wszystkim, a więc jest po wszystkim. Powiedziałeś ludziom, że mają przestać popierać Hartmanna, ale nie podałeś żadnego powodu. Mieli cię posłuchać, bo jesteś takizjańskim księciem i wiesz lepiej niż wszyscy. Czy przyszło ci do głowy, że gdybyś raczył powiedzieć niektórym z nas, z nędznej ziemskiej hołoty, prawdę o Greggu, mogłoby się nam udać powstrzymać jego kampanię, nie oddając jednocześnie nominacji Barnettowi? Ale ty tylko powiedziałeś, że mam przekazać głosy kalifornijskich delegatów Jacksonowi i spodziewałeś się, że odpowiem: „Wedle rozkazu, wasza książęca wysokość”. — Jack potrząsnął pięścią przed zamkniętymi oczami Jacksona. — Czy przyszło ci do głowy, że mógłbyś czasem zaufać któremuś z ludzi? Odpowiedz mi.

Takizjanin nie odezwał się ani słowem.

— Niech cię szlag!

Tachion cały czas milczał. Jack odwrócił się i wybiegł z pokoju jak lokomotywa, która wyrwała się spod kontroli. Jego długie kroki karmiła furia. Wypadł ze szpitala w parne, słoneczne popołudnie i upał skutecznie wyssał gniew z jego ciała. Złoty Chłopiec zmierzał w przybliżeniu w kierunku Omni.

Z pewnością nie miał żadnego innego miejsca, do którego mógłby pójść. Nie wiedział, co zrobić w sprawie Hartmanna, a Blaise mógł się znajdować na tej ulicy równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej.

Gdyby tylko cholerny kosmita nam zaufał — pomyślał. Potem przyszło mu do głowy, że być może to właśnie on, Jack, przed laty nauczył Tachiona nie ufać nikomu w naprawdę ważnych sprawach.

Ta przygnębiająca myśl towarzyszyła mu przez całą powrotną drogę do domu.



Ustalono godzinę przemówienia, uzgodniono z Devaughnem i sztabem Jacksona program wszystkich wieczornych występów. Gregg osobiście zadzwonił do wszystkich pozostałych kandydatów i poprosił ich, by towarzyszyli mu podczas kampanii w swych rodzinnych stanach. Dukakis i Gore byli uprzejmi i pełni entuzjazmu. Pogratulowali mu zwycięstwa i obiecali, że pomogą zjednoczyć partię. Tylko Barnett zareagował chłodno, zgodnie z oczekiwaniami Gregga.

Do diabła z nim. Przy następnym spotkaniu zrobimy z niego lalkę i będziemy mieli świetną zabawę.

Ellen spała. W komputerze czekała na niego najnowsza wersja przemówienia napisanego przez Calderone'a. Słyszał jak Colin, dzokerski agent Secret Service, który zastąpił Alexa Jamesa, szura nogami na korytarzu.

Pocałował Ellen, która uchyliła powieki.

— Wracam do hotelu, żeby się spotkać z Loganem i kilkoma innymi — wyszeptał.

Pokiwała sennie głową.

Gregg schował komputer do torby i zabrał ze sobą czekającego pod drzwiami Colina.

— Jedziemy do Marriotta — powiedział dzoker do walkie-talkie. — Podjedźcie samochodem do bocznego wejścia. Ustawcie kilku ludzi przy windach.

Na dole Gregg usłyszał znajomy głos, dobiegający od wejścia.

— Proszę pana, niech pan posłucha. One są dla żony senatora...

Fistaszek. Lalkarz poruszył się nagle.

— Zaczekaj chwilkę, Colin...

Gregg ruszył w stronę holu. Jego ochroniarz zawiadomił innych o zmianie planów.

Fistaszek przyniósł wielki, choć nieco sfatygowany bukiet kwiatów. Ale siedzący za biurkiem ochroniarz nie chciał go przepuścić.

— W czym problem, Marvin?

Gregg spotkał Marvina, chodząc dziś rano po szpitalu. Na temat tępego i leniwego ochroniarza krążyły dziesiątki żartów. Senator słyszał je w ostatnich

dniach od lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy. Uścisnęli sobie przelotnie ręce i Lalkarz natychmiast wyczuł, że Marvin nie znosi swojej pracy. W gruncie rzeczy, ochroniarz nie lubił nikogo, a szczególnie antypatią darzył dzokerów.

— Chce, żebym zaniósł te kwiaty do pokoju pańskiej żony — warknął Marvin, pociągając za pas zapięty na wielkim brzuszysku. Polityków również nie lubił, zwłaszcza Demokratów. Popatrzył pogardliwie na atletycznie zbudowanego Colina i jego granatowy garnitur. — Wyglądają, jakby wyciągnął je z kosza na śmieci, jeśli pan mnie pyta.

Fistaszek popatrzył żałośnie na Gregga. Jego wilgotne oczy kryły się w fałdach twardej, karbowanej skóry, a kwiaty zwisały bezwładnie w jedynej ręce. Lalkarz czuł czysty podziw wypełniający upośledzonego umysłowo dzokera, a także zaskakująco głęboki smutek wywołany tym, co spotkało Ellen.

— Przepraszam, że narobiłem kłopotów, senatorze — odezwał się Fistaszek. Sprawiał wrażenie, że zaraz się rozplacze. Przenosił spojrzenie między Greggiem, Marvinem a przyglądającym mu się obojętnie Colinem. — Myślałem, że mogą się jej spodobać... Wiem, że nie są wiele warte, ale...

— Są bardzo ładne — zapewnił Gregg. — Jesteś Fistaszek, prawda?

Dzokera wypełniła duma. Senator go rozpoznał. Spróbował się uśmiechnąć i skóra w kąciakach jego ust pękła z trzaskiem. Skinął nieśmiało głową. Gregg wyciągnął rękę po kwiaty.

— Marvin jest nadgorliwy — wyjaśnił, nie patrząc na ochroniarza. — Nikt nie potrzebuje ochrony przed troską i współczuciem. — Lalkarz wyczuł zimny gniew strażnika i wychleptał go chciwie, sycąc się nim. — Ellen będzie dumna, że przyniosłeś jej kwiaty — ciągnął senator. — Dopilnuję, żeby je otrzymała. Powiem pielęgniarce, żeby ułożyła je u podnóża jej łóżka. Tam będzie mogła je zobaczyć, gdy tylko się obudzi.

Fistaszek wręczył kwiaty Greggowi. Umysł dzokera płonął od żółtobiałej dumy. Przez jego brzegi przelewał się lazurowy kult bohatera.

— Dziękuję, senatorze — zawołał Fistaszek, pochylając głowę. — Dziękuję. Jesteś... wszyscy cię kochamy. Wszyscy wiemy, że zwyciężysz.

Gregg wręczył kwiaty Colinowi, ścisnął przez chwilę Fistaszka, a następnie uśmiechnął się do siedzącego za biurkiem ochroniarza.

— Marvin na pewno chętnie wezwie dla ciebie taksówkę, która zawiezie cię, dokąd zechcesz. Mam rację, Marvin?

Ach, nienawiść. Spojrzenie strażnika było ostre jak sztylety.

— Jasne — zgodził się. — Nie ma sprawy — dodał, połykając końcówkę każdego słowa. — Dobrze się nim zaopiekuję.

— Świetnie. Dziękuję ci raz jeszcze, Fistaszku, w imieniu swoim i Ellen. Naprawdę muszę już lecieć. Cieszę się, że znowu cię zobaczyłem. Colin...

Oddalili się. Lalkarz został z Marvinem.

Siedzący z tyłu zmierzającej do Marriotta limuzyny Gregg zamknął oczy, napawając się furią Marvina i bólem Fistaszka, gdy za pojemnikiem na śmieci z tyłu szpitala ochroniarz stłukł dzokera na kwaśne jabłko.

To była niezła przekąska.

18:00

Po wyjściu z Marriotta Spector poszedł do Piedmont Parku. Krążył wśród dzokerów, którzy nie zwracali na niego nawet najmniejszej uwagi. Nigdy w życiu nie widział tyle szczęśliwych dziwołagów.

Śpiewali, ściskali się i całowali. Przynajmniej ci, którzy byli w stanie się całować. Z pewnością świętowali przez całą noc, bo co najmniej połowa tłumu spała w cieniu, gdzie tylko można go było znaleźć. Gdyby wiedzieli, co wkrótce zrobi albo spróbuje zrobić Spector, rozerwaliby go na tysiąc kawałków.

W końcu znudził się tym i poszedł na cmentarz Oakland. Przechadzał się wśród marmurowych pomników oraz zwietrzałych nagrobków i czytał umieszczone na nich napisy w nadziei na inspirację. Nie znalazł jej jednak. Zdawał sobie sprawę, że po prostu zabija czas.

Złapał taksówkę i pojechał do motelu. Wykąpał się i ogolił, a następnie pojechał kolejną taksówką do szpitala. Dopił butelkę whisky i kupił następną. Pociągnął już z niej kilka łyków, chcąc uspokoić nerwy.

Podszedł do recepcji i skinął na siedzącą za biurkiem kobietę. Kiwnęła głową i zbliżyła się do niego. Była w średnim wieku i miała lekką nadwagę, a myszowate włosy splotła sobie w ciasny kok.

— W którym pokoju leży doktor Tachion? — zapytał as, wyciągając podrobioną legitymację prasową.

— Czy nie możecie zostawić biedaka w spokoju? — zapytała, potrząsając głową.

— Przykro mi, proszę pani. Pani zajęcie wymaga współczucia, moje zbierania wiadomości. — Spector schował legitymację. — Niech mi pani poda numer jego pokoju, a ja nie będę pani przeszkadzał w litowaniu się nad nim. Zgoda?

— Czteryście trzydzieści pięć — wyszeptała, opuszczając wzrok.

— Dziękuję — rzekł, odwracając się. — Zapewniam panią, że to leży w interesie publicznym.

Szpital wyglądał zupełnie inaczej niż ten, w którym leżał Tony. Równie dobrze mogłyby się znajdować na innych planetach. Ściany i podłogi były nieskazitelnie czyste. Prawie w ogóle nie czuło się zapachu środków odkażających, typowego dla szpitali, a już z pewnością nie było tu smrodu dzokerów. Na ścianach wisiały obrazy, a głos kobiety przemawiającej przez głośniki brzmiał jak wyjęty z erotycznych snów.

Zatrzymał się przed drzwiami pokoju, upewnił się, że nikt nie patrzy, i pociągnął kolejny szybki łyk whisky. Potrząsnął rękami jak sportowiec rozluźniający się przed startem, zaczerpnął głęboki oddech i wszedł do środka.

Na widok tego, co tam zobaczył, omal nie wybuchnął śmiechem. Tachion stał odwrócony do niego plecami. Miał na sobie niebieską szpitalną koszulę, rozciętą od tyłu. Wystawała spod niej chuda, biała dupa. W nieuszkodzonej ręce trzymał kaczkę. Jego kutas dyndał nad nią. Nic się nie działo. Na końcu drugiej ręki Takizjanina sterczał owinięty w gazę kikut. Spector nie był w stanie bać się tego małego żalostnego człowieczka. Zamknął za sobą drzwi.

Kaleki kosmita nawet się nie odwrócił.

— Proszę mi dać jeszcze parę minut. Wiem, że uda mi się coś wycisnąć. Może, gdyby odkręciła pani wodę...

— Sam ją sobie odkręć, doktoru.

Takizjanin podskoczył nagle i okrył swą nagość.

— Na Ideał, czy nie ma pan choć krzty przyz...

Odwrócił się i zobaczył Spectora. Zamknął szybko usta i wybałuszył oczy.

— To ty!

Zgon podszedł szybko do łóżka i zabrał małe urządzenie służące do wzywania pielęgniarki.

— Nie będziesz tego potrzebował.

Tachion odwrócił się od niego, próbując się wcisnąć w najdalszy kąt łóżka.

— Uważaj, bo wyrwiesz sobie kroplówkę. — Spector wskazał na rurkę kończącą się w dłoni Takizjanina. — Przyszedłem tu, bo potrzebuję twojej pomocy.

Przerażony Tachion potrząsnął głową.

— Nie, James, nie rób tego. Nie mogę na to pozwolić.

— Nie możesz na to pozwolić? Niech mnie chuj. — Zgon mówił cicho, ale nawet nie próbował ukrywać pogardy. — Jeśli ktokolwiek zasługuje na śmierć, to z pewnością Hartmann. Chcę, żebyś zapanował nad umysłami kilku ludzi i pozwolił mi się do niego dostać. Resztą sam się zajmę.

— James, proszę. — Takizjanin nadal nie chciał spojrzeć mu w oczy. — Błagam cię... nie rób tego. Sekcja... skandal. — Wziął się w garść i mówił dalej: — Wpadliby w szal. Wytropiliby wszystkie dzikie karty i poddali je kwarantannie.

Spector nie zamierzał tracić sił na dyskusje. Złapał Takizjanina za kikut i ścisnął mocno. Drugą rękę zasłonił mu usta, żeby stłumić krzyki. Tachion ugryzł go w rękę. Popłynęła krew. Spector go puścił.

— Popatrz, doktoru.

Uniósł dłoń przed oczy Tachiona, by kosmita widział, jak rana się zamyka.

— Przodkowie — wydyszał Takizjanin.

— A jednak nie wiesz o mnie wszystkiego, co? Choć raz okaż odrobinę

odwagi, niech cię chuj. Sam zrób sekcję. Albo zapanuj nad umysłami ludzi, którzy się tym zajmą. Użyj swojej cholernej mocy do czegoś innego niż skłanianie ogłupiałych od kultu bohaterów dziwek do obciążania twojego takizjańskiego fiuta.

Spector puścił Takizjanina i odsunął się o krok.

Tachion nadal potrzasał głową.

— Nic nie rozumiesz. Potrzebuję odpoczynku. Spokoju. — Niski kosmita był na granicy hysterii. — Ale spokój odnajdę tylko w grobie.

Tego nie powinien był mówić. Jego słowa wyprowadziły Spectora z równowagi. Przywalił kosmicie — mocno, ale nie aż tak, jak miałyby na to ochotę.

— Poczuleś? To nic w porównaniu z tym, co czuję w każdej minucie każdego dnia swojego życia. I tak będzie, dopóki nie umrę. — Spector pochylił się nad nim. — Kiedyś zabiłem małą dziewczynkę, tylko po to, by zobaczyć twarz jej matki, kiedy znajdzie ciało. Pomyślałem wtedy o tobie. — To było kłamstwo, ale Spector pragnął obrócić nóż w ranie kosmity tyle razy, ile tylko mógł. — Jeśli mi nie pomożesz, ofiar będzie znacznie więcej. Masz wobec mnie dług, doktorku, za to, co mi robiłeś. Jezu, nigdy nie spłacisz tego długu.

— Przykro mi — odparł Tachion, kryjąc głowę pod trzymaną w nieuszkodzonej ręce poduszką. — Ale nie mogę tego zrobić.

— Powinienem był to przewidzieć.

Spector wstał i ruszył ku drzwiom, spojrział jeszcze na telewizor i zatrzymał się. Ktoś robił wywiad z dzokerskim agentem Secret Service, którego spotkał w pokoju Tony'ego.

— To znaczy, że wszyscy, którzy będą przebywali na podwyższeniu podczas przemówienia senatora Hartmanna, będą nosili maski?

Reporter zadający to pytanie stał tak daleko od Colina, jak to tylko było możliwe.

Dzoker odchrząknął.

— Tak. Tego właśnie życzy sobie senator. Pragnie w ten sposób przekazać coś wszystkim ludziom w Ameryce.

— Pan również?

— Tak. Miałem okazję nosić je w przeszłości. — Colin sprawiał wrażenie, że chętnie urwałby głowę dziennikarzowi. — Niełatwo jest wyzbyć się przyzwyczajień. Ja również często im ulegam.

Tachion jęknął za plecami Spectora, ale as ledwie go słyszał. A więc Tony sprzedał swojemu szefowi pomysł z maskami. Grupa zamaskowanych ludzi na podwyższeniu. To całkowicie zmieniało sytuację. Może nawet nie potrzebować małego skurczybyka.

Podszedł do kosmity i wręczył mu kaczkę.

— Kiedy skończę z Hartmannem, przyjdę po ciebie.

Wychodząc z pokoju, usłyszał, jak szczynty uderzyły o metal. Roześmiał się

głośno.

Nie mów, że nigdy ci w niczym nie pomogłem.



Tach leżał na boku, wspierając okaleczoną rękę na stercie poduszek. Czuł silny odór moczu, a prześcieradło pod jego biodrem było mokre. Drżał tak bardzo, że większość moczu spłynęła na łóżko. Spróbował zebrać rozproszone myśli.

Och, Ideale, James Spector, człowiek, który dosłownie zabija spojrzeniem. Trzeba było zapanować nad jego umysłem... pojmać go. Ale za bardzo się bałem.

Zadał sobie pytanie, co powiedziałby na to wyznanie jego ojciec. To nie byłyby delikatne słowa. Książęta z domu Ilkazam nigdy nie przyznawali do strachu.

James zabije Hartmanna. Potem przeprowadzi się sekcję i świat się skończy.

To fatalna wiadomość dla Trolla, i Ojca Kałamarnicy, Arachne i Cętki Wideo, Finna i Elma... nie, Elmo uniknie prześladowań dzikich kart. Pójdzie do więzienia Attica za morderstwo, którego nie popełnił, a Tach wiedział, co robią dzokerom w Attica. To fatalna wiadomość dla nich wszystkich.

I dla niego również.

Blaise zniknął. Tachionowi groziło więzienie, ponieważ dochodzenie rozpoczęte przez Hartmanna będzie żyło po jego odejściu. Czy nadal skazują ludzi na śmierć za szpiegostwo? *Że też musiałem zostać amerykańskim obywatelem. Ale i tak nie zobaczy więzienia. Spector zabije go przedtem.*

Zawsze mógł zadzwonić do Secret Service. Ostrzec ich przed Spectorem. Ale wtedy Hartmann zostałby prezydentem. Z drugiej strony, czy to byłoby takie złe? Tachion mógłby go monitorować, być może zapanować nad nim.

Nonsens! On mnie zabije. Już próbował to zrobić. Nie spocznie, dopóki mu się nie uda.

Ale dzikie karty będą bezpieczne.

Nie, zbyt wiele osób wie. Jay, Jack i Hiram, Kopacz, Sara, George i Spector. Hartmann spróbuje zabić ich wszystkich, a w samoobronie będą mówić.

A jeśli reakcja w tej chwili byłaby dramatyczna, to po tym, jak Hartmann zostanie prezydentem, stałaby się niewyobrażalnie gorsza.

Nie wiem, co począć! Ideale, co powinienem zrobić? Nic. Był zbyt zmęczony. Zanadto nieszczęśliwy. Za bardzo chory.

Zamknął oczy i zaczął rozpaczliwie szukać znieczulenia we śnie. Środki przeciwbólowe spowijały jego umysł gęstą mgłą, ale ból przeżerał się przez nie niczym kwas.

— Nie jest tak źle. Nie boli cię aż tak bardzo. Wszystko będzie dobrze.

O dziwo, Tach zgadzał się z cichym głosem. Rozchylił klejące się powieki i ujrzał przed sobą twarz Josha Davidsona.

— Cześć. Jak się czujesz?

— Już lepiej. Myślałem, że wszyscy mnie opuścili.

— Czasami ludziom coś przypomina o obowiązkach związanych z przyjaźnią.

Aktor zmarszczył nos, poczuwszy kwaśny odór moczu.

— Zlałem się w łóżko — przyznał Takizjanin ze wstydem i przygnębieniem.

— W takim razie trzeba zmienić pościel. Pozwól, że ci pomogę. — Davidson opuścił poręcz, objął Tachiona w pasie, drugą ręką złapał za kroplówkę i pomógł mu usiąść na krześle. — Zaczekaj. Zaraz wracam.

Po paru minutach wrócił z pielęgniarką. Kobieta zmieniła pościel. Davidson wyraźnie nie mógł się doczekać, aż pielęgniarka sobie pójdzie. Gdy drzwi się za nią zamknęły, aktor usiadł przy małym stoliku, sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobyl stamtąd kieszonkowe szachy.

— Pomyślałem sobie, że moglibyśmy rozegrać partyjkę.

Wziął w rękę po jednym pionku obu kolorów, schował je za plecami, a potem podsunął Takizjaninowi dwie zaciśnięte pięści.

Tach spróbował wyciągnąć prawą rękę. Obaj mężczyźni zamarli w bezruchu, spoglądając na owinięty kikut.

— Lewa — powiedział Tachion.

Palce Davidsona otworzyły się, odsłaniając czarnego pionka.

— Zaczekaj. Ustawię ci wszystko.

W aksamitnym głosie autora zabrzmiała jakaś osobliwa nuta.

Davidson otworzył partyjkę pionkiem na e4. Kilka pierwszych ruchów wykonali w milczeniu. Wreszcie Tachion uniósł wzrok.

— Gambit Evansa. To bardzo staromodne otwarcie — stwierdził i przesunął się lekko, ponieważ winyl krzesła lepił się do jego gołego tyłka. — Miałem kiedyś przyjaciela, który zawsze zaczynał w ten sposób.

— Tak?

— Z pewnością go nie znasz.

— I co się z nim stało?

— Nie mam pojęcia. Zniknął. Już dawno. Tak samo jak reszta.

— A może nie — odpowiedział Davidson. Tach dotknął skoczka końcem lewego palca wskazującego. — Lepiej tego nie rób — wyszeptał aktor. — Gонец byłby lepszy.

Kosmita zamienił figury i...

— David! David! DavidDavidDavidDavidDavid!

Kroplówka wyrwała mu się z żyły, gdy skoczył na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Słabość go zdradziła. Nie zdołał się utrzymać na nogach. David Harstein złapał go pod pachy i razem upadli na podłogę.

Dotyk tweedowego płaszcza drażnił jego skórę. Tkanina zahaczała o zarost

pokrywający mu policzek. Takizjanin zawodził jak trzyletnie dziecko. Nie był w stanie się powstrzymać. Dłoń Davida głaskała go delikatnie po kędzierzawych włosach.

— Sza. Wszystko jest już w porządku.

I rzeczywiście było, albowiem taką mocą los obdarzył Wysłannika.

— Och, David, wróciłeś do mnie.

— Tylko na krótką chwilę, Tach. — Takizjanin zeszywniał. — Jestem już stary, Tachy. Któregoś dnia umrę.

Przez krótką chwilę siedzieli bez słowa.

— Chodź, położę cię z powrotem do łóżka — zaproponował wreszcie David, zmieniając nastrój.

— Nie, tak jest dobrze. Porozmawiaj ze mną. Opowiedz mi o wszystkim. O tych pięknych, pięknych dziewczynach. To twoje córki?

— Tak. Jestem z nich bardzo dumny.

— Czy one wiedzą?

— Tak. Rodzina od początku była dla mnie oparciem. Kiedy wyszedłem z więzienia, czułem się bardzo rozgoryczony. Rząd próbował mnie zwerbować do tajnych operacji prowadzonych przez asów. — Jego ruchliwe usta wykrzywiły się boleśnie. — Uciekłem. David Harstein umarł i narodził się Josh Davidson. Przybrałem nową tożsamość, ale stara nienawiść przetrwała. Potem spotkałem Rebecę. Ona uleczyła mój ból. Żadna z nich nigdy mnie nie zdradziła.

Ciemne oczy aktora miały odległy, zamyślony wyraz.

— Czy Jack... to znaczy, chciałem zapytać...

— Wszystko w porządku, Tach. Braun i ja... znaleźliśmy wspólny grunt, żeby zacytować naszego kandydata na wiceprezydenta. Przypomniał mi też, że wszyscy mamy obowiązki. — Przerwał, zastanawiając się przez dłuższą chwilę. — Wczoraj wieczorem, gdy wszyscy myśleliśmy, że umrzesz, zdałem sobie sprawę, że sama świadomość, iż mieszkasz na tym samym świecie, co ja, dodaje mi otuchy. Rebecca przypomniła mi, że... świadomość, że żyję, może się także stać pocieszeniem dla ciebie.

— Jest nim — zapewnił Tachion. Westchnął i zacisnął mocno dłonie na kłapach garnituru Davida.

— Przez z górą trzydzieści lat podziwiałem asów, którzy mieli odwagę korzystać ze swej mocy, i zazdrościłem im — rzekł mu Harstein. — Ty miałeś tę odwagę.

— Odwagę tak, ale nie mądrość.

— To zawsze jest problem, czyż nie tak?

— O czym myślisz? — zapytał po chwili Wysłannik, przyglądając się rzeźbionej twarzy przyjaciela.

— Co jest najważniejsze, David? Miłość, honor, odwaga czy obowiązek?

- Miłość — odparł bez chwili wahania aktor.
Kosmita pogłaskał go po policzku.
— Zawsze byłeś uczuciowym człowiekiem.
— A dla ciebie?
— Honor i obowiązek. Muszę się dostać do Omni, David. Pomożesz mi?
— Powiesz mi po co?
— Nie mogę. Pomożesz mi?
— Cóż to ma być za pytanie?

19:00

Spector schował się pod łóżkiem. Miał nadzieję, że Colin nie kłamał, mówiąc, że ulega przyzwyczajeniom. Ciało Hastingsa nadal leżało pod prysznicem. Właściwie nie czuło się smrodu, nie poza łazienką. Pokojówki najwyraźniej zajrzały tylko do środka podczas obchodu, bo w przeciwnym razie z pewnością by je znalazły. Zgon zerknął na zegarek. Była równo dziewiętnasta. Jeśli dzoker się spóźni albo nie zjawi się w ogóle, będzie musiał coś wykombinować, żeby dostać się na salę obrad. Kupił sobie maskę, ale obawiał się, że może nie pasować do pozostałych.

Usłyszał kroki zatrzymujące się przed drzwiami. Przykucnął za łóżkiem. Drzwi się otworzyły. Zamknęły. Usłyszał, że ktoś węszy. Wystawił głowę. Dzoker sięgał po broń. Zgon spojrzał mu w oczy i nacisnął mocno. Nogi ugięły się pod Colinem. Z jego ust wyrwało się stłumione westchnienie. Następnie padł trupem.

Spector starał się zrobić to jak najszybciej. Krótka rozmowa, jaką odbył z Colinem, nie dała mu żadnych powodów, by go nie lubić. Dzoker po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Gdy uklęknął przy ciele, zauważył coś, co przedtem umknęło jego uwagi. Włosy Colina miały oleisty połysk. Z pewnością nie był to żel. Zapewne jakiś skutek uboczny bycia dzokerem. Zgon umył dziś rano własne włosy i teraz były suche jak pieprz. Potarł dłońmi włosy umarłego, a potem własne. Gdy powtórzył tę czynność kilka razy, jego włosy wyglądały tak samo, jak włosy Colina. Niestety, nabrały też zapachu kuwety dla kota.

Później przeszukał ciało. Colin miał przy sobie przepustkę, pistolet, słuchawkę noszoną w uchu, a nawet maskę. Przypomniał sobie spotkanie w zakurzonej magazynie w fabryce masek, na początku tygodnia. Miał wrażenie, że od tego czasu minął już miesiąc.

Zdjął ubranie z dzokera, a potem ściągnął własne. Po kilku minutach był gotowy. Garnitur był trochę zbyt obszerny, a pas kabury uwierał go nieprzyjemnie w bark, ale mógł z tym żyć. Poszedł do łazienki i włożył maskę, a potem odsunął się od lustra i przyjrzał się sobie. Wyglądał niemal idealnie. Oleiste włosy naprawdę zmieniły bardzo wiele.

Ostrożnie pociągnął zwłoki dzokera pod prysznic i zwałił je na ciało Hastingsa. Nie chciałby być na miejscu pokojówki, która w końcu przyjdzie tu posprzątać.



Opustoszałe pomieszczenie za mównicą drżało, jak podczas słabego trzęsienia ziemi. Na boisku do koszykówki na zewnątrz tłum przygotowywał się do wybuchu entuzjazmu, ze sporą pomocą małych gnomów Hartmanna.

Głupcy — pomyślała Sara. Jej oddech odbijał się rykoszetem wewnątrz jej maski z piór czapli, drażniąc jej uszy. Czuła się jak w jakiejś bajce. Mieli koronować nowego króla i nikt się nie domyślał, że za uśmiechniętą maską kryje się demon z piekła rodem.

Krępy mężczyzna w niebieskim kombinezonie, mający na prawej piersi logo NBC, a na plecach napis „robo team”, przyjrzał się jej przepustce dla vipów. Nazwisko i zdjęcie na niej były fałszywe. W słabym świetle sączącym się z góry Sara dostrzegła zarys twarzy i białoblonde włosy. To nie była jej twarz, lecz oblicze dzokerki, wybrane tak, by nawet największego twardziela, który służył kiedykolwiek w Secret Service, zniechęcić do zaglądania pod maskę, by się upewnić, że to, co tam zobaczy, zgadza się z fotografią.

Czytała sporo książek le Carrègo i nie czuła się zaskoczona. W końcu „George Steele” był agentem KGB wysokiej rangi. Z pewnością dysponował licznymi zasobami. Nie ulegało wątpliwości, że cała ta próba powstrzymania Hartmanna nie jest improwizowaną akcją przeprowadzaną w ostatniej chwili. Skinęła głową i mężczyzna przypiął identyfikator do jej białej sukni.

— A teraz powiedz — odezwał się mężczyzna, pochylając się nad leżącą u jego boku minikamerą — czy jesteś rzeczywiście zdecydowana to zrobić?

Minikamera się otworzyła. Jej elektroniczne wnętrze częściowo usunięto, by zrobić miejsce dla małego pistoletu Heckler & Koch P7. Słabe światło padające ze świetlików niepewnie padało na ciemną stal.

Wziął pistolet w rękę, sprawdził, czy jest nabity, i wprowadził nabój do komory.

— Pamiętaj, co ci pokazałem? Trzy punkty celowania muszą się pokrywać. Broń nie wystrzeli, dopóki nie odbezpieczysz jej tutaj, z boku, i nie naciśniesz tego przycisku z tyłu.

Skinęła niecierpliwie głową.

— Pamiętam. W dzieciństwie strzelałam z colta woodsman, kaliber dwadzieścia dwa. Należał do mojego kuzyna.

— Kaliber dziewięć milimetrów wywołuje spore uszkodzenia, ale nie ma dużej siły uderzeniowej. Sugeruję, żebyś nie przestawała strzelać, dopóki cel nie padnie na ziemię.

Albo dopóki nie załatwią mnie chłopaki z Secret Service. Wyciągnęła rękę i podał jej pistolet. Wsunęła go do białej torebki z lakierowanej skóry i zamknęła ją starannie.

— Od tego, czy ci się uda, zależy pokój na świecie — powiedział jej.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Od tego, czy mi się uda, zależy, czy śmierć Andi zostanie pomszczona. A także śmierć Sondry Fallin, Kahiny oraz Poczwaruki. I moja również.

Przyglądał się jej, jakby miał wrażenie, że powinien coś powiedzieć, ale nie był pewien co. Stała na palcach i delikatnie pocałowała go w policzek. Odwrócił się i odszedł pośpiesznie. Śledziła go wzrokiem.

Biedak. Myśli, że to on mnie wykorzystuje.

To dziwne, że doświadczony szpieg potrafi być taki naiwny.



Jadalnia opustoszała niemal całkowicie. Każdy, kto zdołał się wepchnąć pod ciemną kopułę Omni, był już w środku i oklaskiwał zakończenie wiceprezydenckiej mowy Jacksona. Tachion słyszał głęboki, gardłowy ryk tłumu. *Bestia się budzi, a ja wchodzę prosto w jej paszczę* — pomyślał.

David ubierał go bardzo delikatnie, ale gdy wsuwał zmasakrowaną rękę do rękawa koszuli, a potem płaszcz, Takizjanina zlewał zimny pot. Kiedy David przekonywał pielęgniarkę, żeby ich wypuściła, Tach zwinął garść środków przeciwbólowych z tacki z wieczornymi lekami. W taksówce przełknął je na sucho, ale jeszcze nie zaczęły działać i ledwie się trzymał na nogach.

Stojący w drzwiach agent przyjrzał się sceptycznie im obu. Szczupły, ciemnowłosy, starszy mężczyzna obejmował w pasie Takizjanina. Tachion wyjął swą prasową przepustkę.

— Nie ma miejsca, doktorze. — Strażnik popatrzył podejrzliwie na Harsteina. — A gdzie pańska przepustka?

— Nie mam przepustki. To on musi wejść do środka.

— Nie ma wolnych miejsc.

— Nie ma sprawy. Postoję.

— Nie mogę pana wpuścić. Przepisy przeciwpożarowe nie pozwalają. Idźcie do centrum konferencyjnego. Tam można będzie wszystko obejrzeć na wielkim ekranie.

Tachion stłumił falę mdłości i zawrotów głowy. Potarł ręką spoconą twarz i poczuł drapiący zarost.

— Proszę — powiedział, przyciskając okaleczoną rękę do piersi.

— Myślę, że byłoby bardzo dobrze, gdyby pan go wpuścił — rzekł cicho David. — W końcu ile szkód może narobić? To tylko jeden mały człowieczek.

— Aha — mruknął ochroniarz z wahaniem w głosie.

— Opuścił szpital tylko po to, by być tu osobiście. Wiem, że z chęcią by pan mu pomógł.

— No dobra. A co tam. Niech wejdzie.

Tachion ścisnął mocno lewą ręką bark Harsteina.

— David, nie zniknij znowu.

— Będę na ciebie czekał.

20:00

Spectora zlewały całe wiadra potu. Dotarcie na podwyższenie nie sprawiło mu kłopotów, ale utrzymać się tam było znacznie trudniej.

Sala kongresowa była ogromna, znacznie większa niż sobie wyobrażał na podstawie tego, co widział w telewizji. Będą patrzyły na niego tysiące ludzi, miliony, jeśli liczyć telewidzów. Wlepił wzrok w oświetlone stanowiska mediów, próbując wypatrzeć Connie Chung, Dana RATHERA czy tego, jak go tam zwał, z CNN. To zajmowało jego umysł i pomagało mu utrzymać się na nogach.

Przemawiał Jesse Jackson. Jego potężny głos unosił się i opadał w typowym dla niego stylu kaznodziei z Południa. Nie ulegało wątpliwości, że wiceprezydencka nominacja była ceną, jaką Hartmann zapłacił mu za wycofanie się z wyścigu.

Spector nie widział żadnego sposobu na dostanie się do Hartmanna, dopóki ten przebywał na scenie. Lepiej poczekać na chwilę, gdy będą odprowadzali senatora do hotelu, i wtedy się do niego dobrać. Mógłby później pobiec do telefonu, by wezwać karetkę, i w ten sposób się ulotnić. Wszyscy byliby zbyt zaabsorbowani sytuacją, żeby go zauważyć. Potem wróci do New Jersey, żeby chwilę odpocząć w spokoju. Musi tylko wybrać odpowiedni moment.



— To był mój pomysł. Ludzie mówią, że to był pomysł sztabu kampanii, ale to ja jestem odpowiedzialny za całą tę sprawę, od początku do końca. — Jack westchnął teatralnie. — Myliłem się, ale wtedy wydawało mi się, że mam rację.

Ludzie z telewizji wypełniali czas, przeprowadzając wywiady z celebrytami. Delegaci szemrali cicho, czekając na kandydata. Chyba z połowa nosiła maski.

Jack uśmiechnął się ze smutkiem, spoglądając w oczy Waltera Cronkite'a.

— Wszystko zdawało się tworzyć logiczną całość. Cała ta przemoc dzikich kart, a proszę pamiętać, że mnie również zaatakowano dwa razy, sprawiała wrażenie skierowanej przeciwko senatorowi Hartmannowi i popierającej kandydaturę wielbego Barnetta. Gdy poznałem Barnetta osobiście, ujrzałem jego wielką charyzmę. Ponieważ na świecie istnieją ludzie tacy jak Nur al-Allah, który również jest charyzmatycznym przywódcą, a jednocześnie dziką kartą, wyciągnąłem z tego błędne wnioski.

— Ale teraz jesteś już pewien, że w obozie Barnetta nie ma żadnych dzikich kart?

Jack rozciągnął usta w wyćwiczonym, cynicznym uśmiešku.

— Jeśli są, dobrze się ukrywają. — Roześmiał się nieszczerze. — Musieliby się dobrze ukrywać, Walter.

Za plecami Cronkite'a na ponad dwudziestu monitorach wyświetlano obrazy z kamer obserwujących konwencję. Ludzie machali tabliczkami, tańczyli i śmiali się pod maskami. Spoceni mężczyźni ze słuchawkami na uszach pochylali się nad konsolami.

Cronkite wyraźnie był w dobrym nastroju, nie przypominał agresywnego reportera, za jakiego go uważano. Niemniej jego następne pytanie było bolesne.

— Czy uważasz, że powinieneś przeprosić uczestników kampanii Barnetta?

Jack obdarzył go kolejnym wyćwiczonym uśmiechem.

— Już to zrobiłem. Wczoraj po południu osobiście przeprosiłem Fleur van Renssaeler.

Zacisnął rozciągnięte w uśmiechu usta, spoglądając do kamery. *I co ty na to, Fleur?* — pomyślał.

— A co czujesz teraz, gdy Gregg Hartmann w końcu zdobył nominację?

Jack spojrzał prosto w kamerę. Uśmiech zamarzył na jego twarzy.

— Myślę — zaczął ostrożnie — że popełniłem zbyt wiele błędów, żebym mógł się teraz z czegokolwiek cieszyć, Walterze.

Cronkite włożył słuchawkę do ucha i słuchał przez chwilę. Wreszcie uniósł wzrok.

— Wygląda na to, że kandydat za chwilę przemówi. Dziękuję, Jack. Przełączmy się teraz na Dana RATHERA i Boba SCHEIFFERA.

Czerwone światelko na kamerze zgasło. Tłum zerwał się na równe nogi, rycząc radośnie.

Jack z całego serca żałował, że nie może krzyknąć razem z nim.



Przez dłuższą chwilę Tachion czuł się zbity z tropu. Potem zauważył transparent kalifornijskiej delegacji i zorientował się, gdzie się znajduje. Mównica wnikała w zatłoczoną salę niczym dziób statku. Na jej rozmaitych poziomach stali wielcy i potężni. Dłoń kosmity zacisnęła się niczym szpon na ramieniu stojącego przed nim reportera i zmusiła go do zejścia mu z drogi.

— Hej, dupku! Uważaj!

— Ruszaj się! — warknął Tachion i przepchnął się obok mężczyzny. Zagłębiał się w tłum. Szukał dobrego punktu obserwacyjnego.

— ...następny prezydent stanów zjednoczonych... — Słowa wreszcie przebiły się przez spowijającą Tachiona mgłę. — ...gregg hartmann!

Piętnaście tysięcy ludzi przebywających w Omni eksplodowało aplauzem. Orkiestra zagrała *Stars and Stripes Forever*. Okrzyki, wrzaski, gwizdy. Balony opadały na widownię i szaleńczo rozkołysane tabliczki z nazwiskiem Hartmanna ponownie podrzucały je w górę. Tachion drżał pod naciskiem hałasu i bliskości tak wielu ludzi.

Skierował obolałe oczy na podwyższenie. Gregg uśmiechał się, machał ręką i ścisnął dłoń Jacksona. Błada, wychudła Ellen siedziała obok na wózku szpitalnym i uśmiechała się. Nagle do kosmity dotarł fakt, który do tej pory był dla niego tylko podprogową informacją. Chyba z osiemdziesiąt procent ludzi obecnych w Omni miało na twarzach maski. Zadanie, do tej pory tylko bardzo trudne, nagle stało się niemożliwe. Na statki i gwiazdy, nie miał żadnych szans zlokalizować Spectora na czas, by zapobiec zabójstwu.

Płakał, podczas gdy ludzie skandowali:

— ...następny prezydent Stanów Zjednoczonych, Gregg Hartmann!

Wypełniający Omni tłum ogarnął szalony entuzjazm. Zielono-złote tabliczki z nazwiskiem Hartmanna kołysały się w rytm muzyki granej przez orkiestrę. Z sieci pod sufitem na rozradowanych delegatów sypały się balony.



Lalkarz był bliski orgazmu. Emocje wzbierające przez długi tydzień uwolniły się w jednej radosnej ceremonii. Ich siła zbijała z nóg. Gregg zdjął maskę klauna i wyszedł na mównicę, unosząc ręce w triumfalnym geście. Ludzie zakrzyknęli gwałtownie. Hałas był niemal ogluszający. Musiał krzyczeć do Jessego, by ten wyszedł z nim na platformę. Ujęli się za dłonie, unieśli ręce nad głowy i zaczęli machać nimi do ludzi. Krzyki rozległy się ze zdwojoną siłą, zagłuszając orkiestrę. Cała sala zadrżała od aplauzu.

To było wspaniałe. To była ekstaza.

Owacja ciągnęła się przez długie minuty. Gregg machał do tłumu, unosił triumfalnie ręce i kiwał głową. Zauważył Jacka Brauna w kabinie CBS w towarzystwie Cronkite'a, wskazał na niego palcem, uśmiechnął się i uniósł triumfalnie kciuk. Pocałował Ellen, siedzącą na wózku z tyłu podium. Uśmiechał się do Devaughna, do Logana, do wszystkich. Wiedział, że oni również uśmiechają się do niego pod swoimi maskami.

Udało się! Mieszkająca w nim moc była w ekstazie. Wszystko jest nasze. Wszystko.

Mógł jedynie uśmiechnąć się bezradnie na znak potwierdzenia. *Wszystko jest nasze.*

Gdy wreszcie ludzie trochę się uspokoili, wszedł na mównicę. Popatrzył na zatłoczone ławki i na gęsty tłum kłębiący się na dole. Wielu nosiło maski, podobnie jak ci na podwyższeniu.

— Dziękuję wam wszystkim — zaczął ochryłym głosem.

Tłum ryknął znowu. Uniósł ręce i aplauz ucichł nieco. Poczul się dobrze, ujrzawszy, że potrafi tego dokonać.

— To była najtrudniejsza walka w moim życiu — podjął. — Ale Ellen i ja nigdy nie traciliśmy nadziei. Wierzyliśmy w mądrość was wszystkich, a wy nas nie zawiedliście.

W sali poniosło się skandowanie.

— Hartmann! Hartmann! — Gwałtowna fala porwała wszystkich. — Hartmann! Hartmann!

Gregg potrząsnął głową, udając skromność. Uśmiechnął się, pozwalając, by entuzjazm przetoczył się nad nim.

— Hartmann! Hartmann!

Nagle uśmiech zamarł na jego twarzy. Mackie zdołał w jakiś sposób przeniknąć w pierwsze szeregi tłumu. Młody, garbaty mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce uśmiechał się tak samo jak wszyscy. Po plecach Gregga przebiegł zimny dreszcz.

Wszystko w porządku — wyszeptał Lalkarz w jego głowie. *Wszystko w porządku. Potrafię nad nim zapanować.* Jednakże Gregg zadrżał i gdy znowu pochylił się do mikrofonu, jego głos utracił część entuzjazmu.



Przepychając się przez tłum oszalałych delegatów w białych plastikowych kapeluszach przypominających słomiane, wszystkie bez wyjątku ozdobione napisami „hartmann”, Mackie czuł się, jakby był powietrzem. Nigdy nie odbierał rzeczywistości inaczej, kiedy był w niematerialnej fazie, ale gdyby odbierał, tak właśnie mogłoby to wyglądać. Jakby w każdej chwili mógł się rozproszyć niczym chmura.

Ostatniej nocy nie spał ani przez chwilę. Siedział między dwoma śmierdzącymi menelami w autobusie z Port Authority w Nowym Jorku. Noszący garnitur zbok z pociągiem do lekko dziwnego seksu z pewnością zdawał sobie sprawę, że miłość, jakiej szuka, nie kosztuje tanio w czasach histerii dotyczącej AIDS. Nawet gdy Mackie wyrzucił pierwszy zakrwawiony banknot studolarowy, to, co mu zostało, z nawiązką wystarczyłoby na bilet lotniczy. Nie odważył się jednak polecieć samolotem. Na lotniskach mogli go szukać. Widziano go już trzy razy.

Der Boss byłby bardzo rozczarowany.

Szef był teraz na podwyższeniu. Tropizm miłości i skruchy przyciągał do niego Mackiego. Nie wolno mu było zbliżać się do Hartmanna w miejscu publicznym. Nie złamie tego zakazu. Po prostu pragnął być blisko niego.

Wszedł do sali pod łozami prasowymi, wiszącymi nad pomieszczeniem

niczym Gwiazda Śmierci, po czym prześliznął się niczym węgorz pomiędzy krzyczącymi mężczyznami w rozciągniętych koszulach i tłustymi kobietami w pastelowych sukniach. Wszystkie twarze świeciły od potu, tłuszczu, a także z ekscytacji na myśl o zyskach, jakie przyniesie im to święto kapitalizmu.

To przedstawienie zastraszyłoby go i wzbudziło w nim niesmak, gdyby mógł myśleć o czymkolwiek innym niż Hartmann. Niż miłość, obowiązek i porażka.

Podium wznosiło się przed nim niczym błękitny nadreński zamek. Nie widział jeszcze Szefa, ale człowiek stojący na podium mówił o nim. Mackie rozejrzał się wkoło, próbując wypatrzeć Hartmanna.

Nagle jego spojrzenie przyciągnął jakiś ruch. Coś białego. Łoże dla vipów wznosiły się wokół podium niczym weselny tort. Drobna postać w białym stroju przepychała się między siedzącymi w nich dygnitarzami po lewej stronie. Dotarła już do poziomu podwyższenia. Twarz skrywała pod ekstrawagancką maską ptaka, zrobioną z białych piór, lśniących w jasnych światłach niczym srebro.

Wstrętna dzokerska pizza — pomyślał, ale nagle uświadomił sobie, co przyciągnęło jego uwagę.

Jej ruchy. Zawsze umiał poznawać ludzi po postawie, sposobie poruszania się, tym, jak ich kończyny współpracowały z ciałem. Poznawał tę dziwkę, swą matkę, po jej chodzie, nawet w całym tłumie kurew w Sankt Pauli.

A teraz poznał Sarę Morgenstern, która była dla niego najważniejsza ze wszystkich kobiet od czasu śmierci matki. Wezbrała w nim radosna furia. Zaczął się przedzierać przez tłum. Tym razem nie zawiedzie Szefa. Ani jej.



Hartmann przemawiał. Tłum skandował jego nazwisko, ledwie pozwalając mu dojść do słowa. Jack kręcił się po łoży prasowej CBS, starając się nie wchodzić nikomu w drogę.

Na monitorach pokazywano skłębiony, oszalały tłum. Jack obserwował go, zastanawiając się, co zrobić.

Mógłby powiedzieć o wszystkim ludziom. Ale przed chwilą miał szansę i przekonał się, że nie jest w stanie tego zrobić.

Nie mógł znowu stać się asem judaszem. Dać początek nowej serii prześladowań.

Sięgnął po papierosa i nagle zobaczył na jednym z monitorów chłopaka w skórzanej kurtce.

Nie mógłby pomylić szczupłego garbusa z nikim innym, nawet gdy miał maskę na twarzy. Drobne ciało i arogancki, urywany krok tworzyły niepowtarzalne połączenie.

— Hej! — zawołał Jack. Nagły przyływ adrenaliny omal nie zwałił go z nóg. Skoczył do przodu w tej samej chwili, gdy dziwoląg zniknął z obrazu. — To

jest zabójca! — Dźgnął palcem w monitor. — Tutaj. Gdzie jest skierowana ta kamera?

Realizator spojrział na niego z furią w oczach.

— Czy mógłby pan...

— Zawiadomcie Secret Service! To ten zabójca z rękami jak piły mechaniczne! Jest na sali!

— Co...?

— Gdzie jest skierowana ta kamera, do cholery?

— Hmm, kamera numer osiem? Jest po prawej stronie podium...

— Cholera!

Dziwołąg był tuż obok kandydatów.

Jack rozejrzał się wokół gorączkowo. Komentatorzy zapadli w stan medytacji zen i jeszcze nie usłyszeli jego gorączkowych krzyków.

— Kamera numer osiem. — To był głos realizatora. — Przesuń obraz trochę w prawo i w lewo. Gotowy? Cięcie.

Jack skoczył na biurko przed Cronkite'em i uderzył nogą w okno. Pancerna szyba łoży uwypukliła się i stopę asa otoczyła pajęczyna pęknięć. Zaskoczony Cronkite cofnął się od biurka na fotelu na kółkach, przeklinając jak wilk morski. Jack oparł stopę na pękniętej szybie i popchnął, by powiększyć dziurę.

Belki podtrzymujące dach Omni Center były tuż przed nim. Skoczył i złapał jedną z nich w obie dłonie, a potem zaczął się posuwać ręka za ręką w kierunku podium. To trwałoby wiecznie. Zakołysał się, odepchnął i przeskoczył na sąsiednią belkę.

W NBC robił to latami. Dawne odruchy Tarzana wróciły bez chwili zastanowienia.

Nagle doszło do poruszenia. Hartmann przestał mówić. Jack się spóźnił.



Gdy Gregg Hartmann posuwał się naprzód przy akompaniamencie burzy oklasków, Sara celowo zwilżyła wargi. *Cóż za pewność siebie. Wydaje mu się, że jest bogiem.*

Ale bogów już nie ma. Są tylko ludzie, choć niektórzy z nich dysponują mocą tak potężną, że śmiertelnicy nie mogą jej używać bezpiecznie. Torebka otworzyła się pod jej znieczulonymi palcami, jakby spontanicznie. Wsunęła urękawiczoną dłoń do środka. Metal i guma uchwytu parzyły jej palce zimnym ogniem.

— Andi — wyszeptła i wyciągnęła pistolet. Pozwoliła, by torebka zwisała bezwładnie na jednym pasku i uniosła broń w obu rękach.



Mackie niemalże biegł przez gęsty tłum delegatów. Uderzał w tłuste tyłki

wibrującymi łokciami, wykorzystując je jak elektrycznego pastucha, by utorować sobie drogę, a w razie potrzeby zmieniał fazę.

Wykończy jebaną Sarę Morgenstern na oczach całego kraju, przebije jej serce prawą ręką. *Der Boss* będzie z niego dumny.

Poczuł nagły ucisk pod pachami. Jego nogi straciły kontakt z podłogą. Ktoś złapał go za kołnierz kurtki i uniósł w górę.

— Nie tak szybko, pierdolony dzokerze — warknął mu ktoś prosto do ucha.

Napastnik odwrócił próbującego się wyrwać Mackiego. Garbus poczuł oddech cuchnący gorzałą i tytoniem. Potężnie zbudowany mężczyzna miał na sobie białawy kombinezon. Czarne włosy opadały mu na twarz o osobliwym wyglądzie, jakby ktoś rozbił ją na kawałki, a potem pośpiesznie skleił super glue. Nos przypominał zgniecioną masę, kości policzkowe były asymetryczne, a gorejące, zielone oczy spoglądały na Mackiego pod różnymi kątami.

— Lepiej ze mną nie zadzieraj, ty chuju! — wrzasnął garbus, na wpół oślepiiony z furii. — Nie jestem cholernym dzokerem! Jestem Mackie Majcher!

Wysoki mężczyzna skrzywił się, opluty przez rozwścieczonego młodzieńca.

— Wyglądasz raczej jak Mackie Zastraniec, chłopcze. A teraz ty, ja i moja zdrowa prawa ręka pójdziemy gdzieś, żeby porozmawiać sobie na osobności, jak...

Mackie uderzył własną prawą ręką.

Gdy koniuszki jego palców trafiły w sękatą kość policzkową mężczyzny, rozległ się dźwięk brzmiący jak wiertło dentystyczne wgryzające się w ząb. Palce przebiły policzek, wargę i kość, przecinając pod kątem połowę żuchwy. Nagie zęby szczyrzyły się do Mackiego przez milisekundę, nim przesłoniła je wypływająca krew. Mężczyzna puścił go i złapał się obiema rękami za zmasakrowaną twarz.

Mackie ponownie zwrócił się w stronę podium. Na drodze stanęła mu kobieta o pomarańczowych włosach, rozdziawiająca usta tak szeroko, że zmieniły się w tunel prowadzący wprost do jej brzucha. Usunął ją ze swej trasy jak podróżnik ucinający maczetą zawadzającą mu gałąź.

Der Boss będzie musiał to zrozumieć. Nie było już czasu na subtelności.



Nie spodziewała się usłyszeć krzyków tak szybko. Miała szansę na zemstę — ponieważ życie i tak z pewnością straci — na to, że gdy Gregg zacznie przemówienie, oczy wszystkich w sali skierują się ku mównicy. Nikt z siedzących w pobliżu vipów nie sprawiał wrażenia, by ją zauważał. Trzy punkty celowania pojawiły się przed jej oczami niczym wielkie, białe księżycy szukające fortunnej koniunkcji.

Zdradziło ją widzenie obwodowe. Wśród delegatów ze stanu Missisipi, naprzeciwko mównicy, doszło do jakiegoś poruszenia. Choć Sara bardzo się starała nie widzieć nic poza Hartmannem i wschodzącymi księżycami, zerknęła przelotnie

w tamtą stronę.

I poczuła, że siły odpływają z niej jak z przekłutego balonu. To był on. Chłopak w skórzanej kurtce. Torował sobie krwawą drogę przez tłum, zmierzając prosto ku niej.



Hartmann przemawiał. Tachion wpatrywał się w jego usta jak zahipnotyzowany, nie słysząc ani słowa. Na znajomą, zwyczajną twarz senatora nakładała się druga — obrzękła, rozwiązała i zła. Lalkarz uśmiechał się do niego szyderczo.

Zniesmaczony Takizjanin opuścił wzrok i wpatrzył się we własny kikut. Myśl za myślą goniła w jego głowie, jak liście niesione wiatrem.

Muszę go powstrzymać.

Ale jak?

Muszę coś zrobić.

Co?

Muszę go powstrzymać.

Jak?

Jak? Jak?

Słowa kandydata i aplauz tłumy umilkły nagle, przerwane krzykami. Z początku słabe, jak strużka krwi wpływająca do zdrowej tkanki, stawały się coraz silniejsze, aż wreszcie przerodziły się w krwotok. Otaczający Tachiona reporterzy wyczuli, że coś się dzieje, i ruszyli w tamtą stronę, ciągnąc Takizjanina za sobą. Zderzyli się jednak z falą spanikowanych uciekinierów. Delegaci pędzili ku wyjściom, rozdziawiając szeroko usta z przerażenia.

Świat wypełniły miotające się bezładnie kończyny i odór strachu. Tarcze Tachiona uginały się pod naciskiem piętnastu tysięcy ludzi, reagujących pod wpływem przerażenia bądź niepewności.

Jakiś masywnie zbudowany mężczyzna, w koszuli pokrytej znaczkami wyborczymi postukującymi niczym kastaniety, wpadł na maleńkiego kosmitę. Tachion wydał z siebie przenikliwy, rozdzierający krzyk, gdy bandaże na jego kikucie zahaczyły o sprzączkę pasa mężczyzny i uciekinier pociągnął go za sobą. Tach stracił równowagę i runął na podłogę. Bandaż zerwał się z ręki.

Stopy kolejnych zbiegów tratowały Takizjaninowi plecy, wybijając mu dech z piersi. Poczuł, że jego popękane żebra ustąpiły pod naciskiem. W pierś wbił mu się rozżarzony do czerwoności pręt, wnikający coraz głębiej z każdym oddechem.

To jednak był drobiazg w porównaniu z bólem w kikucie. Buty przerażonych ludzi wgniatały uszkodzoną kończynę w podłogę sali.

Umrę tu. Dławił się z przerażenia. Nagle jednak pojawiła się w nim lekka nuta furii. *Nie! Niech mnie diabli, jeśli zginę w tak upokarzający sposób,*

stratowany przez ogarniętych histerią powierzchniowców.

Musiał skupić całą siłę woli, by jego myśli zdołały się przebić przez dławiący kokon bólu. Umysł Brauna był znajomym światłem w chaosie szaleństwa. Tachion skierował ku niemu swą moc, która przycupnęła obok potężnie zbudowanego asa jak gołąb pocztowy wracający w bezpieczne miejsce. Wyczytał w umyśle Złotego Chłopca dezorientację i niepewność.

Jack, uratuj mnie!

Tach?

Pomóż mi! Pomóż mi!

Nie był w stanie dłużej podtrzymać kontaktu. Przerwał go z westchnieniem.

Ale Jack nadchodził.



Coś uderzyło Mackiego w plecy z siłą pociągu towarowego. Impet wbił jego prawą dłoń, uniesioną niczym grot włóczni na końcu sztywnej ręki, w pierś mężczyzny noszącego różową koszulę i beżowy krawat. Nacisk nieubłaganie popychał go do przodu i w dół. Ręka Mackiego wynurzyła się gwałtownie z piersi ofiary. Trysnął strumień krwi. Chłopak zwałił się na podłogę. Jego głowa odbiła się od twardego parkietu. Poczul, że coś pękło mu w piersi.

Pisnął z gniewu i bólu, a potem uruchomił wibrację w całym ciele. Napastnik stoczył się z niego z wrzaskiem. Mackie zerwał się na równe nogi.

— Ty skurwielu, ty skurwielu, utnę ci kutasa i każę go zjeść!

Krzyczał teraz po niemiecku, ale to nie miało znaczenia. Ręce przemówią w jego imieniu.

Przez zasłonę łez ujrzał pięść zmierzającą ku jego twarzy. Coś odwróciło na moment jego uwagę — krótka jak okamgnienie chwila zwątpienia. Z opóźnieniem zaczął zmieniać fazę.

Pięść trafiła go w podbródek, odrzucając jego głowę do tyłu...

A potem przeleciała bez szkody na drugą stronę.



Gregg przestał mówić, choć pośród aplauzu i skandowania nikt jeszcze tego nie zauważył. Opuścił wzrok i zobaczył, że Carnifex przebija się w stronę Mackiego, zostawiając za sobą w tłumie widoczny ślad. Dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi chłopak w skórzanej kurtce również go zauważył. Odwrócił się, warcząc wściekle. Jego dłonie zaczęły wibrować. Ktoś stojący obok krzyknął i wyciągnął rękę. Wszyscy zaczęli się odsuwać od garbusa. Carnifex rzucił się do ataku z głośnym wrzaskiem.

Lalkarz zakrzyknął radośnie razem z nimi. *Świetnie. Chłopak już na nic nam*

się nie przyda. Niech Carnifex go zabije.

Mackie pokroi go na plasterki — oznajmił swej mocy Gregg.

Obaj są lalkami. Możemy kontrolować przebieg walki.

Niezwykłe połączenie ekstazy i strachu miało bardzo dobry smak.

Tak jest, powinien się pozbyć Mackiego. Ale to nie będzie łatwe. Chłopak uderzył i przód białego uniformu Carnifexa splamiła linia krwi. W tej samej chwili Billy Ray zdzielił go pięścią i jego przeciwnik zwałił się na plecy. Umysł Carnifexa wypełniła oślepiająca, pulsująca czerwień bólu i przerażenia. As w bieli cofnął się o krok, obserwując dłonie Mackiego. Chłopak zerwał się z podłogi. Uśmiechał się, choć usta miał rozbite na miazgę.

Lalkarz sięgnął ku walczącym. Odnalazł strach w jaźni Carnifexa i stłumił go brutalnie. Potem zwrócił się ku Mackiemu, szukając w jego oszalałym umyśle przełącznika, który uczyniłby chłopaka podatnym na atak.

Tutaj — pomyślał z satysfakcją Lalkarz. Tutaj.

Strzał poniósł się głośnym echem w uchu Gregga. W tej samej chwili Lalkarz, zaskoczony tak samo jak on, stracił kontrolę nad Mackiem na bezcenną chwilę. W zatłoczonej sali eksplodowały głośne krzyki. Aura paniki i przerażenia unosiła się w powietrzu niczym gęsta mgła.

— Mój Boże, oni się pozabijają! — zawołał ktoś.

— Stać! — krzyknął senator do mikrofonów, ale jego głos zniknął pośród hałasu.



To musi być teraz — pomyślała. Zanim tu dotrze. Skupiła całą siłę woli i nakazała swym rękóm unieść czarną, tępo zakończoną broń.

Jakiś wysoki i chudy mężczyzna o wąskim paśmie siwych włosów otaczającym ostro zakończoną czaszkę wrzasnął z przerażenia, zerwał się z krzesła niczym spłoszony bocian i uderzył łokciem w pistolet, wytrącając go z ręki Sary.

Kobieta wrzasnęła z desperacji, gdy broń przeकोziołkowała w powietrzu i zniknęła w tłumie.

Od strony podwyższenia dobiegły odgłosy strzałów. Gregg Hartmann zniknął pod falą ubranych w garnitury agentów Secret Service.



Spector podskoczył nagle, gdy coś rozbiło szybę łoży prasowej. Zamarł na moment w bezruchu i ochroniarze zdążyli otoczyć Hartmanna oraz innych ważniaków, wypychając ich za kulisy oraz obalając na podłogę. Przebiegł kilka kroków w stronę senatora, ale dwaj inni ochroniarze obalili już Hartmanna na podłogę za podium.

Krzyki go ogłuszały. Hałas nie pozwalał asowi myśleć. Strzały. Widział

kilku agentów strzelających do jakiegoś celu kryjącego się w tłumie. Złoty Chłopiec kołysał się na dźwigarach, zmierzając ku miejscu, gdzie strzelano. Spector wdrapał się na Hartmanna. Senator stęknął, ale nie odwrócił się, by spojrzeć na niego. Za moment czy dwa obejrzy się jednak przez ramię i Spector będzie już na niego czekał.



Jack przemieszczał się z belki na belkę, kołysząc się jak zdesperowane wahadło. Nie dostrzegął, co się dzieje na podwyższeniu. Widział biały uniform Billy'ego Raya, uzbrojonych agentów Secret Service oraz uciekających panicznie delegatów, ale nigdzie nie było Hartmanna ani garbusa. Widział jednak wyraźną aurę przemocy. Przeskoczył na belkę znajdującą się nad jego kalifornijską delegacją, a potem się zatrzymał.

Gregg Hartmann był ukrytym asem, zabójcą. Czemu Jacka miałyby obchodzić, co się z nim stanie?

W tej chwili wahania usłyszał krzyk, niosący się echem wewnątrz jego czaszki. Tłum tratował Tachiona. Braun znowu się zawahał. Krzyk zabrzmiał ponownie. Zauważył, że bezpośrednio pod nim nikogo nie ma, i zeskoczył na podłogę.



Cofnął się tanecznym krokiem. Broda bolała go tak, jakby ktoś uderzył w nią młotkiem. Mięśnie szyi płonęły mu z bólu. Gdyby cios uderzył go z pełną siłą, złamałby mu kark. Kto to był?

Przejaśniło mu się przed oczami. Zachwiał się, jakby znowu oberwał. To był czarnowłosa mężczyzna z twarzą złożoną z części zamiennych. Uśmiechał się do niego niby czaszka. Przednią część kombinezonu miał zupełnie czerwoną od krwi. Wyglądał jak paralityk, który próbował jeść spaghetti z sosem pomidorowym. Gejzer krwi przerodził się w cienki strumyczek.

— Seraz ci fokażę, skurfysynu! — ryknął potężnie zbudowany mężczyzna i zamachnął się szaleńczo.

Mózg Mackiego wypełniło przerażenie. *Nie dam rady pokonać tego potwora!* Chłopak stłumił strach i zmienił fazę na moment przed tym, nim cios zdążył zmiażdżyć mu przodomózgowie. Przeciwnik przeleciał przez Mackiego na wylot pod wpływem impetu. Odzyskał jednak równowagę szybko jak tygrys i odwrócił się, wyciągając ręce do uderzenia lub osłony.

Mackie popędził ku niemu. Furia wzięła w nim górę nad nieustępliwym strachem. Wymierzył cios w skroń potężnego mężczyzny. Zobaczmy, jak sobie poradzi z głową przeciętą na pół.

Czarnowłosa mężczyzna uniósł rękę, by zablokować cios. Kiedy Mackie ją

przeciął, palce posypały się na podłogę jak klamerki do bielizny z rozprutego worka. Mężczyzna rzucił się do tyłu w tłum, w ostatniej chwili ratując czaszkę przed rozcięciem przez wibrującą rękę.

Przy każdym oddechu prawą stroną piersi Mackiego przeszywał ból. Na pewno złamał sobie żebro, kiedy ten wielki skurwysyn go zaatakował. Przeniknął przez ścianę u podstawy podwyższenia i znalazł się w ukrytej fosie, dzielącej delegatów od podium. W rogu, gdzie kwadratowa kolumna właściwej mównicy spotykała się z powierzchnią podwyższenia, stał młody, muskularny mężczyzna ze zwisającym z ucha przewodem. Spojrzał na Mackiego i wyciągnął spod ciemnej marynarki małe pistolet maszynowy. Zabójca spojrzał mu prosto w oczy i uśmiechnął się, nieświadomy, że z nosa płynie mu krew i wygląda jak upiorny klaun.

Agent Secret Service nacisnął konwulsyjnie spust. Kule przemknęły przez miejsce, gdzie nie było już Mackiego, i uderzyły w tłum. Chłopak omal się nie spuścił, słysząc nowe krzyki rannych.

Mackie uciął mocno zaciśnięte nogi ochroniarza tuż poniżej kolan. Mężczyzna zwałił się z krzykiem do fosy, bryzgając krwią na przód podium oraz dolne części swych nóg, które nadal tam stały. Przez krótką chwilę.

Po obu stronach podwyższenia ulokowano białe, przypominające stopnie zigguratu, za duże, by mogły służyć jako schody. Mackie zaczął się na nie wspinać.

Cios od tyłu obalił go na drugi stopień. Oszołomiony chłopak pozwolił, by napastnik uniósł go i cisnął w dół jak lalkę. Mackie uderzył o zewnętrzną ścianę fosy.

Coś w nim się złamało.

— *Mutti* — jęknął. — Mamo.

To był czarnowłosy mężczyzna. Przywalił mu zmasakrowaną ręką i rzucił nim w dół zdrową. Stał teraz u podstawy podwyższenia i patrzył na Mackiego ze złowrogim grymasem na twarzy, rozciągając fragmenty warg, które mu pozostały.

Nagle przykucnął i skoczył niczym tygrys na leżącego pod ścianą chłopaka.

Zdesperowany Mackie odepchnął się od ściany, wyciągnął rękę przed siebie i uruchomił wibrację.

Jego dłoń napotkała opór. Na twarz trysnęły mu gorące, lepkie płyny.

Czarnowłosy mężczyzna runął na ścianę podwyższenia i wybił w niej dziurę, wlokąc za sobą pętle jelit niczym tłuste, fioletowoszare proporce.



Leżąca na brzuchu na podłodze łoży dla vipów Sara mogłaby z łatwością trafić Hartmanna w głowę. Senator leżał przygnieciony stosem agentów Secret Service, ale oni zwracali uwagę tylko na to, co się działo w sali. Nikt nie patrzył na miejsca dla dygnitarzy. Kiedy pozwolą mu wstać, znajdzie się na wprost przed nią.

Ale ona straciła broń.

Waliła pięścią w podłogę kabiny w pełnym nienawiści do samej siebie rytmie.



Gregg nie zdążył odzyskać równowagi.

Dwaj ludzie z Secret Service wpadli na niego jak zawodowi futboliści, obalając go na podłogę przy akompaniamencie gardłowych, nieartykułowanych krzyków. Colin, dzoker leżący na samym wierzchu, omal nie wybił mu tchu z płuc.

— Nie ruszaj się, senatorze! — zawołał.

Lalkarz warknął, rozjuszony tą ingerencją.

Hartmann wciąż słyszał odgłos rąk chłopaka oraz krzyki tłumu, które rozległy się w chwili, gdy Carnifex zaatakował Mackiego. Nic jednak nie widział. Nie mógł swobodnie pociągać za sznurki, ponieważ nie wiedział, co się dzieje.

Uwolnij mnie! Pozwól mi nimi pokierować! To nasza jedyna szansa! Gregg wypuścił z uścisku Lalkarza. Sam nadal leżał pod strażnikami, ale jego gwałtowna moc wyrwała się na zewnątrz. Lalkarz zgwałcił umysł Carnifexa, stłumił ból i strach, a poziom adrenaliny podkręcił tak bardzo, że senator niemalże czuł, jak serce Billy'ego tłucze się wewnątrz jego czaszki. Jednocześnie spróbował zminimalizować obłąkaną furję Mackiego, ale to było jak próby gaszenia ognia rękami. Wrywał mu się i parzył w dłonie.

Rozwal go! — krzyknął do Carnifexa Lalkarz. *Użyj tej swojej cholerycznej siły i zrób z niego krwawą plamę na podłodze.*

Potem, pomimo dzielącej ich blokady umysłowej, usłyszał krzyk agonii Billy'ego i, chłepcząc chciwie jego ból, uświadomił sobie, że Mackie wygrał walkę. Przygniatający go ciężar zniknął. Sześciu agentów Secret Service krzyczało do siebie na podwyższeniu. Gregg próbował się podźwignąć, by widzieć, co się dzieje.

— Kroj nas na plasterki...

Rozległy się kolejne strzały, głośne i stanowczo za bliskie.



Gwałtownymi ruchami rąk Mackie otarł z oczu krew przeciwnika. Dziwka zniknęła. Cholera, cholera, cholera. Musi ją znaleźć, nie może znowu zawieść...

Unióś wzrok. Hartmanna nigdzie nie było. Czyżby Szefowi coś się stało? Płacząc krwią i łzami, wykasłując krwawiące smarki, gramolił się na górę niczym połamana zabawka na schodach zbudowanych przez olbrzymów. Dotarł bez przeszkód do rampy prowadzącej na mównicę od prawej strony sceny. Hartmann leżał na podłodze, przygnieciony przez sześciu młodych mężczyzn w garniturach. Wyglądało na to, że nic mu się nie stało. Na dolnych powiekach Mackiego

pojawiły się łzy radości.

Poczuł gorący podmuch na policzku i usłyszał dobiegający z tyłu krzyk bólu, gdy kula trafiła kogoś znajdującego się dalej. Mężczyzna w ciemnym garniturze uklęknął obok senatora i wycelował w Mackiego, trzymając pistolet w obu rękach.

Chłopak spróbował zmienić fazę, ale zmęczenie i niepewność sparaliżowały jego umysł. *Nie mogę...*

Z krótkiej lufy wypadł żółty ogień i dosięgnął Mackiego. W jego piersi eksplodowała ciemność. Chłopak padł na podłogę.



Silne ręce podniosły Spectora z Hartmanna i odwróciły go w stronę tłumu.

— Kroj nas na plasterki. Łap za broń. Musimy go załatwić — oznajmił agent Secret Service, który postawił go na nogi.

To była prawda. Mały garbus ciął ludzi na kawałki przypominającymi piły mechaniczne rękami. Spector odpiął kaburę i wyciągnął pistolet. A co tam, równie dobrze może wziąć w tym udział. W ten sposób łatwiej mu będzie później się uwolnić. Broń dawała większego kopa, niż się tego spodziewał, i jego kula trafiła jakiegoś gościa stojącego daleko z tyłu. Wsparł rękę z pistoletem na drugiej dłoni i nacisnął spust jeszcze trzy razy. Garbus zawirował i runął na podłogę.

Spector odwrócił się w stronę Hartmanna.

— Nic się panu nie stało, senatorze?

Hartmann uniósł wzrok i Zgon spojrzał mu prosto w oczy.



Ciemność wyciągała do Mackiego uwodzicielskie ramiona. Opierał jej się. Było coś, co musiał zrobić. Ktoś...

Ekspłodowało w nim przerażenie. Otworzył oczy.

Leżał na stopniu z rozpostartymi kończynami. Próg podwyższenia zasłaniał przed nim senatora. *Der Boss mnie potrzebuje!*

Ta świadomość dodała mu sił. Wysiłkiem woli zmusił swe kończyny do posłuszeństwa, mimo że dłonie i kedsy ślizgały mu się po czerwonym płynie pokrywającym rampę.

Der Boss leżał tam, gdzie przedtem, ale wyciągał dziwnie szyję, wlepiając wzrok w wysokiego, chudego agenta Secret Service. Na jego twarzy uniesienie mieszało się z grozą.

Nienawiść do chudego agenta podziałała na Mackiego jak amfetamina. *To on mnie postrzelił!* Co gorsza, robił coś senatorowi. Mackie nie miał pojęcia co, ale wiedział, że to nic dobrego.

Pokuśtykał naprzód, powłócząc prawą nogą. Przy każdym kroku ból przeszywał mu brzuch niczym rozżarzony do białości pręt. *On mnie potrzebuje.*

Nie... mogę... go... znowu... zawieść...



Spector poczuł, że coś w jaźni Hartmanna opierało mu się przez chwilę. Potem wessało go niczym wir. Cały ból jego śmierci zawrzał w umyśle senatora; wszystkie pełne cierpienia szczegóły, połamane kości, gorejąca krew i duszenie się.

Coś jednak było nie tak. Umysł Hartmanna reagował inaczej od innych. Rozdymał się, żerował na jego śmierci. Zgon nacisnął mocniej. Drugi umysł ustąpił powoli pod jego naciskiem. I zaczął zanikać.



Takie dobre, takie smaczne, ale to boli, zabija... to nieprawda, to nie może być prawda, niemożliwe...

Ale to była prawda. Głos Lalkarza przerodził się w szept, a potem umilkł całkowicie. Nawet ból wnikający za jego pośrednictwem w psychikę Gregga stał się palącym kwasem. Senator pragnął krzyczeć i błagać. *Nie zabijaj mnie, nie zabijaj, nie chcę umierać.*

Nie mógł jednak oderwać się od tego straszliwego spojrzenia, od tych niezwykłych, smutnych, pełnych bólu, zaskoczenia i poczucia krzywdy oczu, które nie byłyimi oczami Colina, lecz kogoś innego...

Uświadomił sobie, że umrze, że to on będzie następny, że podąży za Lalkarzem w pustkę kryjącą się za tymi oczami.

— Zabijasz mnie! — warknął ze wszystkich sił, jakie mu zostały, licząc na to, że te oczy mrugną, odwrócą się albo...

Na całym świecie nie pozostało nic poza nimi.



Plecy w ciemnej marynarce majaczyły przed nim niczym wąskie urwisko. Mackie zachwiał się. Pragnął jedynie położyć się i zasnąć na bardzo długi czas.

Uniósł jednak prawą rękę i włączył wibrację. Popatrzył na własne palce, które zmieniły się w zamazaną, różową plamę. Ten widok dodał mu sił. Uderzył płasko ręką.



Spector ledwie się trzymał na nogach. Kolana ugiwały się pod nim z wysiłku. Włożył w Hartmanna wszystko, co miał, i poczuł, jak senator załamuje się pod jego naciskiem. Ale skurwysyn nadal patrzył na niego i mrugał. To było po prostu niemożliwe.

Przypomniał sobie, że trzyma w ręce pistolet. Wycelował w pierś ofiary. Nagle usłyszał dźwięk przypominającym brzęczenie olbrzymiej pszczoły i zawahał

się. Poczul w szyi dojmujący ból. Sala konferencyjna zawirowała wokół niego raz i drugi, a następnie uniosła się ku niemu i uderzyła go w twarz. Jego uszy wypełnił ryk, ale żaden z dźwięków, które słyszał, nie miał żadnego sensu. Obok niego leżało jakieś ciało. To był Colin, a przynajmniej wyglądał jak on. Nie miał głowy. Tam, gdzie odpadła od tułowia, z szyi zwisały strzępy rozdartego ciała. Poza tym Spector widział tylko stopy biegających wkoło ludzi.

To na pewno był sen. Taki sam jak ten, który miał poprzednio, tylko gorszy. Czul się chory i sparaliżowany, ale poza tym ogarnęła go dziwna euforia. Zamknie na chwilę oczy, by odzyskać panowanie nad sytuacją.



Głowa potoczyła się na tył podwyższenia. Mackie pokuśtykał ku niej, czując, jakby unosił się w powietrzu. W sali zapadła głucha cisza.

Pochylił się boleśnie ku przodowi. Miał wrażenie, że jego ciało jest jak sucha gałązka, łamiąca się w nowym miejscu za każdym razem, gdy pochylił się nieco głębiej.

Podniósł głowę. Uniósł ją wysoko, by mógł ją zobaczyć Gregg oraz wszystkie te przerażone owce w białych kapeluszach, które tratowały się nawzajem, by uciec przed nim jak najszybciej.

— Jestem Mackie Majcher — wychrypiał. — Jestem wyjątkowy.

Przysunął głowę do swojej twarzy i pocałował ją w usta. Oczy się otworzyły.



Spector poczul, że ma coś w ustach. Otworzył oczy. Garbus gapił się na niego z góry z drwiącym uśmiechem. To nie był sen. Ta świadomość była dla niego jak cios w pierś. Tyle że on już nie miał piersi. Mały skurwysyn uciął mu głowę. Wkrótce umrze. Kurwa, przeszedł przez tak wiele, a teraz umrze! Znowu.

Stłumił panikę i spojrzał garbusowi prosto w oczy. Za ich pośrednictwem przekazał człowiekowi, który go zabił, cały swój ból i przerażenie. Otaczający go świat zaczął się zamazywać i drżeć. Czul, że mrok zamyka się wokół niego i starał się wepchnąć go w całości w oczy garbusa. W jego jaźń zakradł się znajomy strach. Spector czul się bardzo samotny.

Zapadła nieprzenikniona ciemność.



Mackie starał się odwrócić wzrok, ale oczy głowy wsysały go niczym czarne dziury.

Coś trzęsło jego duszą, rozbijając ją na strzępy. Jego ciało zaczęło drżeć w tym samym rytmie. Coraz szybsza wibracja wyrwała się asowi spod kontroli. Poczul, że krew mu wrze. Ze wszystkich porów jego ciała buchała para.

Krzyknął.

Skóra na policzkach odciętej głowy przysmażyła się i poczerniała od tarcia wibrujących palców Mackiego. Wkrótce dotknęły kości, a czaszka zaczęła się rozpadać na fragmenty. Płyny w jej zaokrąglonym wnętrzu były bliskie wrzenia.

Ale oczy...



Chłopak w skórzanej kurtce eksplodował. Sara skryła głowę w ramionach. Poczula, że we włosy uderzyły ją wilgotne odpryski. Nigdy o nich nie zapomni.

Gdy uniosła głowę, po garbusie i głowie zostały tylko czerwono-czarne dymiące plamy, rozsiane po całym podwyższeniu.

Na moment zapadła głucha cisza.

Potem Gregg zrzucił z siebie narzutę z agentów Secret Service i dźwignął się z wysiłkiem. Tłum uprzednio odsunął się od podwyższenia, jak rtęć cofająca się przed dotykiem palca, ale teraz wrócił z rykiem, który nie milkł nawet na chwilę.

To koniec. W praktyce już jest prezydentem. Śmierć asa zabójcy nie pocieszała jej nawet w najmniejszym stopniu. Prezydent Gregg Hartmann nie będzie potrzebował niemieckich psychopatów, żeby policzyć się ze swoimi przeciwnikami.

Być może nie będzie nawet musiała czekać tak długo. Steele dawał do zrozumienia, że Sowieci zdecydują się na wyprzedzający atak jądrowy, zamiast czekać na inaugurację Hartmanna.

Głowa ciążyła jej straszliwie. Sara pozwoliła jej opaść. Rozpacz wypłynęła z jej oczu pod postacią pozbawionych nadziei łez.



Jack po prostu odrzucał na boki wszystkich, którzy stanęli mu na drodze, aż wreszcie znalazł Tachiona, uniósł go i wsadził bezpiecznie pod pachę. Rozległy się strzały. Spanikowany tłum przyśpieszył. Na podwyższeniu eksplodowała szalona, chaotyczna przemoc. Nie mógł stąd nic zobaczyć.

Przedarł się przez tłum, rozstępujący się przed nim jak Morze Czerwone. Wreszcie obaj z Tachionem zatrzymali się przed białym, potężnym podwyższeniem, ale z dołu nie mieli szans nic ujrzeć.

Cokolwiek tam się wydarzyło, najwyraźniej było już po wszystkim. Gregg Hartmann wyłonił się z grupy agentów Secret Service, otrzepał garnitur i podszedł niepewnie do mikrofonów.

— Cholera! — warknął Jack. — Spóźniliśmy się.



W sali nadal pełno było krzyczących ludzi. Panika nie wygasła. Delegaci

biegli na oślep ku wyjściom albo gapili się na podwyższenie, sparaliżowani z grozy.

Mimo to Gregg odniósł wrażenie, że nagle zapadła cisza i wszystko znieruchomiało, jak na starym zdjęciu. Słyszał własny oddech, bardzo głośny i wypełniający mu uszy. Wyraźnie czuł dotyk rąk agentów Secret Service spoczywających na obu jego bokach. Widział, jak sprowadzają z podwyższenia Jessego Jacksona. Ellen otoczył kordon umundurowanych ochroniarzy, dygnitarze leżeli na podłodze, chowali twarze w dłoniach, a niektórzy uciekli na oślep ze sceny.

Krwi było tak wiele, że Gregg nie wierzył własnym oczom.

W głowie czuł dziwną, pełną echa pustkę. *Lalkarzu?*

Odpowiedzi nie było. *Lalkarzu?* — zapytał raz jeszcze. Cisza. Tylko cisza.

Zaczerpnął drżący oddech, pozwolił, by postawiono go na nogi, a następnie strącił ręce próbujące powstrzymać go przed wejściem na mównicę.

— Senatorze, proszę...

Gregg potrząsnął głową.

— Nic mi się nie stało. Już po wszystkim.

Było oczywiste, co musi teraz zrobić. Otworzyła się przed nim nowa ścieżka, dar. Lalkarz zniknął. Czuł się tak, jakby nagle zdjęto mu z ramion ciężkie, mroczne brzemie. Brzemie, z którego istnienia nawet nie zdawał sobie dotąd sprawy. Czuł się świetnie. Ze wszystkich stron otaczały go ślady rzezi, ale...

Później. Później się przekonamy.

Poprawił marynarkę i krawat. Ułożył w myślach potrzebne słowa. Wiedział już, co za chwilę powie. *Proszę. Proszę, zachowajcie spokój. Oto, do czego dochodzi, gdy pozwala się wzrastać zazdrości i nienawiści. Oto owoce, które wyrastają z nasion uprzedzeń i ignorancji. Oto gorzkie żniwa, jakie zbieramy, gdy odwracamy się od cierpiących.*

Te słowa pozwolą jego kampanii podnieść się z gruzów. Odważny Hartmann, spokojny Hartmann, współczujący Hartmann. Hartmann występujący przed całym narodem — opanowany, kompetentny przywódca w samym środku kryzysu.

Podszedł do mikrofonu, spojrzął na tłum i uniósł rękę.



Lewa ręka Tachiona spoczywała na karku Brauna. Prawą dotykał własnej piersi. Resztki spowijającego kikut bandaża zboczyła krew. Ból w połamanych żebrach i w ręce był tak straszliwy, że Takizjanin nie był w stanie unieść głowy z barku Jacka. Potężnie zbudowany as tulił go w ramionach.

Jack wrócił na swoje miejsce w kalifornijskiej delegacji. W sali Omni śmierdziało jak w rzeźni. Klimatyzacja nie była w stanie usunąć mdłego,

słodkawego odoru krwi. Wyczuwało się też ostrą woń prochu oraz smród gówna, które wypłynęło z kiszek ofiar. Całą konwencję poraził szok.

James Spector nie żył.

Garbaty zabójca nie żył.

Ale Hartmann ocalał.

Tachion przygryzał dolną wargę.

Kandydat uwolnił się z rąk agentów Secret Service. Uniósł wysoko głowę i rozprostował ramiona, a następnie wznosił ręce nad głowę w geście uspokajającego błogosławieństwa.

I podszedł do mikrofonu.

W tej właśnie chwili Takizjanin uświadomił sobie, co musi zrobić.



Gregg omiótł błagalnym spojrzeniem ludzi siedzących przed nim.

— Proszę... — zaczął głosem spokojnym, dźwięcznym i przyciągającym uwagę.

I nagle poczuł, że Tachion jest w jego głowie. Silna, nieustępliwa obecność kosmity zapanowała nad opierającym się ego senatora i zepchnęła go do tyłu. Takizjanin zajął miejsce u steru, a Gregg mógł jedynie stawiać rozpaczliwy, bezskuteczny opór.

— Proszę, zachowajcie spokój. Hej, zamknijcie się i słuchajcie, do chuja! — zagrział głos Hartmanna bez żadnego udziału jego woli, tak donośnie, że poniósł się echem po całej sali. Senator zobaczył samego siebie w jednym z monitorów na ścianach. Na jego twarzy widniał ten sam gładki uśmiezek, który tak dobrze wyćwiczył podczas kampanii. Można by pomyśleć, że nic się nie wydarzyło. — O kurde, chyba trochę przegiałem, co?

Gregg poczuł, że chichocze, zupełnie jak małe dziecko. Próbował powstrzymać śmiech, ale Tachion był za silny. Senator wypowiadał słowa kogoś innego, bezradny jak lalka brzuchomówcy.

— Ale musicie przyznać, że się zamknęliśmy, prawda? Tak lepiej. Hej, jestem spokojny. Wszyscy postarajmy się być spokojni. Ja nie panikuję w chwili kryzysu. Nie ma mowy. Wasz przyszły prezydent nigdy nie panikuje. O kurde.

Delegaci przestali uciekać z sali. Wszyscy gapili się na Gregga. Jego beztroski, niedbały ton był bardziej przerażający i mrozący krew w żyłach niż jakikolwiek atak hysterii. Usłyszał za swoimi plecami dobiegający z miejsc dla vipów głos Connie Chung.

— Kamery na Hartmanna! — krzyczała do mikrofonu kobieta. — Natychmiast!

Jażn Gregga nadal szarpała się z więzami, jakie nałożył na nią Tachion. *A więc tak czują się lalki* — pomyślał. *Wypuść mnie do cholery!* Ale ucieczki nie

było. Takizjanin trzymał sznurki w rękach, a on również był doświadczonym lalkarzem.

Gregg zachichotał, spojrzął na stertę trupów, a następnie potrząsnął głową i ponownie skierował się ku tłumowi. Uniósł rękę, wskazując wprost na widownię, odwrócił dłoń dolną powierzchnią ku podłodze i rozpostarł szeroko palce.

— Spójrzcie — podjął. — Nawet najmniejszego drżenia. Spokojny jak ocean. Koniec z obawami o powtórkę z siedemdziesiątego szóstego, tak? Może na dłuższą metę dobrze się stało, jeśli dzięki temu położymy kres takim bzdurom.

John Werthen i Devaughn podeszli bliżej, chcąc sięgnąć go z mównicy. Gregg obserwował, jak wymachuje rękami i odpycha ich, a potem łapie kurczowo za mikrofony.

— Idźcie stąd! Czy nie widzicie, że wszystko ze mną w porządku? Spadajcie. Dam sobie radę.

John spojrzął na Devaughna, który wzruszył ramionami. Mężczyźni puścili go z oporami. Gregg poprawił straszliwie zabrudzoną marynarkę i ponownie zaprezentował kamerom niesamowity uśmiezek.

— Na czym to stanąłem? Aha. — Raz jeszcze zachichotał i pogroził delegatom palcem. — Takie zachowanie jest niedopuszczalne — skarcił ich, jakby mówił do dzieci w klasie. — Nie będę tego tolerował. Mieliśmy tu mały problem, ale już jest po wszystkim. Zapomnijmy o tym. W gruncie rzeczy...

Zachichotał i pochylił się ku podłodze. Kiedy się wyprostował, z jego palca wskazującego skapywał gęsty, jaskrawoczerwony płyn.

— Chcę, żebyście wszyscy za karę napisali po sto razy „Koniec z przemocą” — oznajmił, po czym wskazał na czystą, akrylową tablicę, którą miał przed sobą, i nabazgrał na niej palcem literę „K”. Niestety, już pierwszy kawałek „o” był ledwie widoczny.

— O kurde, zabrakło mi atramentu — oznajmił radośnie i pochylił się raz jeszcze. Tym razem rzucił w tablicę jakimś ochłapem niezidentyfikowanego mięsa. Rozległ się wyraźny, mlaszczący dźwięk. Senator zanurzył palec w czerwonej masie jak gęsie pióro w kałamarzu. Za jego plecami ktoś znowu głośno zwymiotował. Z widowni dobiegły kolejne krzyki. Słyszał płacz Ellen.

— Zabierzcie go stamtąd — błagała każdego, kto tylko chciał jej słuchać. — Proszę, niech ktoś go powstrzyma...

John i Devaughn wrócili na mównicę. Tym razem złapali go stanowczo, każdy za jedną z rąk.

— Hej, nie możecie tego zrobić! — oburzył się głośno Gregg. — Jeszcze nie skończyłem! Nie możecie...

Skończyło się. To przynajmniej się skończyło. Tachion wycofał swą moc i Gregg osunął się bezwładnie w rękach dwóch odprowadzających go na zaplecze mężczyzn. Starał się nie widzieć przerażonych twarzy tych, których mijał po

drodze — Ellen, Jacksona, Amy. Przeklinał Tachiona, wiedząc, że kosmita nadal przebywa w sali.

Niech cię szlag trafi. Nie musiałeś tego robić w ten sposób. Nie musiałeś mnie upokorzyć i zniszczyć. Czy nie wyczuleś, że Lalkarz nie żyje? Niech cię diabli wezmą.

23:00

Tachion leżał w łóżku. Chcieli go zabrać z powrotem do szpitala, ale wyrwał się jak szalenciec. W końcu Jack uwolnił go z rąk lekarzy. Takizjanin pozwolił, by założyli mu nowy opatrunek na kikut i zabandażowali żebra, ale na tym koniec. Nie chciał nawet połknąć tabletek przeciwbólowych. Gdzieś w tym mieście był jego wnuk. Musiał zachować jasność umysłu, żeby go odnaleźć. Kiedy próbował, czuł się tak, jakby jego mózg tłukł o ściany czaszki, ale odpowiadała mu jedynie ciemność.

Ponownie zaatakował go ból. Tach wychylił się za brzeg łóżka i zwymiotował. Jego dezorientację dodatkowo powiększało wspomnienie kilku ostatnich, pełnych chaosu minut na konwencji. Umysł Hartmanna miotał się w żelaznym uścisku mocy Takizjanina jak przerażone, uwięzione zwierzę.

Przez krótki moment poczuł wyrzuty sumienia. Uniósł jednak swój brzydki, pokraczny kikut i przyjrzał mu się z uwagą. Ulotny żal ustąpił miejsca nienawiści. *Nigdy już nikogo nie zoperuję. Niech go czeka wieczna wędrówka!*

Zacisnął usta w wąską, pełną goryczy linię i wygramolił się z łóżka. Skrzypce Nagyvary'ego leżały obok, w otwartym futerale. Miejskie światła wnikały do wnętrza pomieszczenia przez szczeliny między zasłoną a ścianą, padając na polerowane drewno i tańcząc na strunach. Delikatnie przesunął po nich palcami lewej ręki, produkując cichutki dźwięk. Wypełniła go furia. Złapał za skrzypce i cisnął nimi o ścianę. Drewno pękło z przerażającym, suchym trzaskiem. Kilka strun zerwało się z ostrym brzękiem, muzycznym krzykiem bólu.

Ten ruch pozbawił kosmitę równowagi. Wyciągnął odruchowo prawą rękę, by powstrzymać upadek. Wrzasnął. Przed oczami zatańczyły mu czarne punkty. Nagle poczuł na barkach czyjeś dłonie. Ktoś uniósł go do góry.

— Co ty wyprawiasz, cholerny durniu? — zapytał Poliakov, kładąc go z powrotem na łóżku.

— Co... jak... jak się tu dostałeś?

— Jestem szpiegiem, pamiętasz?

Najgorszy ból minął. Tach dotknął językiem górnej wargi i poczuł smak soli.

— To nie było profesjonalne zachowanie — skarcił Rosjanina.

— Musimy porozmawiać.

George zaczął przerzucać jego ubrania, aż wreszcie znalazł piersiówkę.

— Mogłeś po prostu wyjechać — wyszeptał Takizjanin i poczuł, że

nienawidzi się za tę słabość. — Wymknąć się do Europy albo na Daleki Wschód... zacząć od nowa. I zostawić mnie sam na sam z dysharmonijną muzyką.

Poliakow przełknął łyk brandy.

— Zbyt wiele ci zawdzięczam.

Na wąskich ustach Tachiona pojawił się gorzki uśmiezek.

— Słucham? Nie wierzysz w nagłe, tragiczne załamanie nerwowe Gregga?

— Wierzę, że ktoś mu pomógł.

Tachion westchnął.

— Niewiele zabrakło — mruknął Rosjanin.

— W ten sposób to było bardziej ekscytujące. — Takizjanin przyjął od niego piersiówkę i również się napił. — Nie lubisz ekscytujących wydarzeń — podjął. — Lubisz subtelność i skuteczność. Co teraz z nami będzie, George? Wylądujemy w jednej celi w Leavenworth?

— A czego byś chciał?

— Nie jestem zbyt dumny, żeby błagać. Pomóż mi, proszę. Moje diabelskie przybrane dzieci, mój wnuk... Co się z nimi stanie, jeśli pójdę do więzienia? Proszę, proszę, pomóż mi.

Materac przesunął się z piskiem, gdy Rosjanin na nim usiadł.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Dlatego, że wiele mi zawdzięczasz?

— Zapewne już nigdy więcej się nie zobaczymy.

— Te słowa też już kiedyś słyszałem.

Poliakow pociągnął kolejny łyk brandy.

— W jaki sposób zamierzasz kontrolować Blaise'a?

— Sprawię, żeby mnie pokochał. Och, George, gdzie on się podział? Gdzie może być? A jeśli coś mu się stało i potrzebuje mojej pomocy, a mnie przy nim nie ma?

Głos Takizjanina przeszedł w przenikliwy krzyk. Rosjanin z powrotem położył go na poduszce.

— Histeria w niczym ci nie pomoże.

Tach ścisnął w dłoni skraj prześcieradła, wpatrując się znużonymi oczami w przeciwległą ścianę.

— Pod jednym względem mogę cię uspokoić. Skontaktowałem się już z FBI i zaproponowałem, że zgodzę się na współpracę w zamian za gwarancję bezpieczeństwa dla ciebie.

— Och, George, dziękuję. — Znużony Takizjanin opuścił głowę na poduszkę. — Żegnaj, George. Uściskałbym ci dłoń, ale...

— Pożegnamy się po rosyjsku.

Poliakow uściskał go na misia i pocałował mocno w oba chude policzki. Tachion odpowiedział mu na takizjański sposób — pocałunkiem w czoło i w usta.

Rosjanin zatrzymał się jeszcze w drzwiach sypialni.

— Skąd wiesz, że możesz mi zaufać?

— Wiem, bo jestem Takizjaninem i nadal wierzę w honor.

— W dzisiejszych czasach raczej o niego trudno.

— Dlatego zawsze się cieszę, gdy uda mi się go znaleźć.

— Żegnaj, Tancerzu.

— Żegnaj, George.

Rozdział ósmy

Poniedziałek, 25 lipca 1988

8:00

— Jako polityk jesteś skończony — oznajmił Devaughn niemalże radosnym tonem.

Gregg miał ochotę przywalić mu w tę pierdoloną gębę. Gdyby nadal miał Lalkarza, to byłoby łatwe.

Ale Lalkarz go opuścił. Umarł.

— Nie wycofam się, Charles — nie ustępował. — Ogłuchłeś? To tylko drobne potknięcie.

— Drobne potknięcie? Jezu, Gregg, jak możesz mówić coś takiego? — Devaughn potrząsnął gazetami, które przyniósł. — Popatrz na tytuły na pierwszych stronach. „USA Today” opublikowało sondaż, zgodnie z którym osiemdziesiąt dwa procent Amerykanów uważa, że masz świra. ABC i NBC przeprowadziły nocą sondaże telefoniczne, według których Bush ma teraz sześćdziesiąt procent przewagi nad tobą. CBS nawet nie zwracało sobie tym głowy. Według ich badań ponad dziewięćdziesiąt procent ludności uważa, że powinieneś natychmiast się wycofać. Ja również tak sędzę. — Devaughn po raz kolejny okrążył opustoszałą kwaterę główną. — Jackson porządnie się wkurzył, nawet jeśli stara się załagodzić sprawę — ciągnął. — Komitet chce, żebyś jeszcze dziś rano złożył rezygnację na piśmie. Obiecałem im, że to załatwię.

Gregg osunął się bezwładnie na krzesło. W telewizji znowu pokazywali jego załamanie nerwowe. Czy raczej załamanie sprowokowane przez Tachiona. Hartmann wstał i bardzo spokojnie podszedł do telewizora.

A potem rozbił kopniakiem kineskop.

Devaughn uniósł brwi, ale nie odezwał się ani słowem.

— Pierdolić sondaże — skwitował Gregg i łypnął ze złością na szefa swojej kampanii. Z jego rękawów sypały się odłamki szkła. — Nie wierzę w nie. Cholera, pozwólcie mi na debatę z Bushem. Urwę mu jaja. Ma w sobie tyle dynamiki, co sucha grzanka. Wtedy sondaże się zmieniają.

— Bush nie zgodzi się z tobą debatować, Gregg. Nawet się do ciebie nie zbliży. Jeśli będziesz nalegał, zrobisz z siebie durnia. Zrezygnuj, Gregg.

— Posłuchaj, Charles. Ja jestem kandydatem. Rozumiesz? Nie ma znaczenia, co ty czy ktokolwiek inny sądzicie na ten temat. Konwencja wybrała mnie i, na Boga, będę kandydował. Mam Jacksona, to charyzmatyczny...

— Jackson się wycofa, jeśli będziesz się upierał przy kontynuowaniu tej farsy. — Devaughn pociągnął nosem jak zarozumiały angielski lord. Jak Tachion.

— Miałeś załamanie nerwowe, Gregg. Cała Ameryka widziała w telewizji, że bredziłeś jak szaleniec. Wszyscy zadają sobie pytanie, jak zareagujesz w przypadku kryzysu w Białym Domu. Nie chcą twojego palca na guziku, Gregg. Szczerze mówiąc, ja również nie chcę.

— Cholera, to nie ja się załamałem. Powtarzam, to był Tachion. Zapanował nad moim umysłem. Mówiłem ci to już ze sto razy.

— Ty tak twierdzisz. Ale trudno ci będzie to udowodnić. Szczerze mówiąc, Gregg, to zabrmi jak kolejna nieprzekonująca wymówka. A może twierdzisz, że w siedemdziesiątym szóstym to też był Tachion?

— Niech cię diabli! — ryknął Gregg i popchnął Devaughna obiema rękami. Masywny mężczyzna zatoczył się do tyłu. Na jego twarzy nagle pojawił się strach. — Nie zrezygnuję!

— Ręce przy sobie, Gregg.

Hartmann spojrzał na Devaughna. Gdyby miał Lalkarza, zmusiłby skurwysyna, żeby padł przed nim na twarz... Zaczerpnął głęboki oddech, odsunął się i wytarł dłonie o spodnie, jakby się zabrudziły.

— Podjąłem już decyzję — oznajmił cicho.

Devaughn popatrzył na niego z pogardą.

— W takim razie zaczną konwencję od nowa, czy ci się to podoba, czy nie. Jeśli będziesz walczył, zostaniesz z niczym. Wyjdiesz na pełnego głąba. Zrezygnuj, a zdołasz uratować przynajmniej godność. To moja ostatnia rada dla ciebie, senatorze.

Ostatnie słowo wypowiedział z drwiącą emfazą.

Gregg podszedł do kanapy. Szkło z telewizora chrzęściło pod podeszwami jego butów. Usiadł ciężko i zaczął monotonnie przeklinać pod nosem. Devaughn przyglądał mu się bez słowa.

Po chwili senator uniósł głowę. Słowa, które wypowiedział, miały dla niego smak popiołu.

— Wisiałem nad przepaścią, trzymając się na koniuszkach palców, a ty zacząłeś po nich skakać, czekając, aż spadnę. Świetnie się bawiłeś, co? Dostaniesz to, czego chciałeś. Każ Tony'emu napisać tę cholerną rezygnację — ciągnął Gregg. — Może w niej umieścić, co tylko zechce. Wszystko mi jedno. Sam ją przeczytaj. To ci sprawi cholerną przyjemność. I powiedz Amy, żeby załatwiła mnie i Ellen wyjazd z Atlanty. Nie chcę rozmawiać z żadnymi dziennikarzami. Jasne?

Devaughn ponownie pociągnął nosem. Jego spojrzenie było pełne pogardy i poczucia wyższości. Gregg z wielką chęcią zerwałby mu z gęby uśmiezek, ale nie miał już mocy.

— Sam im to powiedz. Ja już dla ciebie nie pracuję. — Devaughn potrząsnął głową. — Załatwiłem ci wszystko, czego potrzebowałeś, a ty spieprzyłeś sprawę. Pójdę sprawdzić, czy moje talenty przydadzą się na coś Dukakisowi.

Zamknął za sobą drzwi z napuszczoną godnością. Agent Secret Service wsadził głowę do środka, spojrzął na Hartmanna i na potłuczone szkło leżące na dywanie, po czym ponownie zamknął drzwi.

Hartmann siedział tam samotnie przez bardzo długi czas.

9:00

Tak się złożyło, że w ciągu tych wszystkich lat bardzo często odwiedzał kostnice. Choćby nawet były najpiękniej urządzone i absolutnie czyste, nic nie mogło ukryć zasadniczego faktu, że w rzeczywistości są składami mrożonego ludzkiego mięsa.

— Cieszę się, że pan tu przyszedł — mówił patolog, prowadząc Tachiona do prosektorium. Jego spojrzenie powędrowało ku kikutowi kosmity, ale odwrócił wzrok bardzo szybko. — Zwłaszcza po... Nigdy nie widziałem czegoś takiego, a pan jest ekspertem.

— Nie ma sprawy. Powinienem to zrobić.

Mężczyzna pomógł mu włożyć fartuch i maskę. Razem podeszli do stołu. Kobieta o pobladłej twarzy przyciskała do piersi przecinak do żeber, spoglądając z wyraźnym niepokojem na bezgłowe ciało.

Ciało rozcięto od mostka aż po pachwinę. Żebra przecięto i rozłożono na boki. A jelita lśniły od jasnożółtego tłuszczu. Z żeber wyrastały maleńkie kostne witki. Kikut szyi zarósł skórą. Pośrodku szyi, jak palec wbity w membranę bębna, sterczał maleńki pączek. Tachion pochylił się, by przyjrzeć mu się uważniej. Fascynacja mieszała się w nim z przerażeniem. Nie był w stanie się powstrzymać.

— Wygląda... jakby...

— Odrastała mu nowa głowa. Tak jest.

Takizjanin odskoczył nagle, uświadomiwszy sobie, że embrionalna główka ma oczy.

Co, jeśli nagle się otworzą? Czy Zgon zachował swą moc? Czy spełni groźbę, nawet z za grobu?

Nie bądź głupi! Już raz zabił z za grobu! Tachion pochylił się, wyciągnął sztylet z cholewy i wbił go mocno w pośladek trupa. Ciało wygięło się i szarpnęło gwałtownie.

— O cholera! — krzyknęła kobieta.

Patolog rzucił się do ucieczki i zatrzymał dopiero przy drzwiach.

— Co... co... to jest, do chuja? — wyjąkał, trzymając się otwartych drzwi.

— Pomyłka. Kiedyś popełniłem bardzo poważny błąd. To moja kara, przypomnienie, że nie powinienem się bawić w Boga. Czy mogę zasugerować, byśmy dali sobie spokój z sekcją i przeszli bezpośrednio do kremacji?

— Znakomicie. Z pewnością nie zamierzam się sprzeciwić. A co z popiołami? Czy miał jakąś rodzinę?

Usta Tachiona rozciągnęły się w pozbawionym wesołości uśmiešku.

— Można powiedzieć, że jestem tu *in loco parentis*. Wezmę je.

— Doktorze, naprawdę dziwny z pana facet — stwierdziła kobieta i skróciła zebro wyrastające poza linię, wzdłuż której przecięto wszystkie.

10:00

bitwa asów

na konwencji krwawa jatka

Sara skrzywiła się i pozwoliła gazecie upaść w błoto, utworzone przez wodę z polewaczek i zdeptane tysiącem stóp o najrozmaitszym wyglądzie.

Masz rację, niech cię szlag — pomyślała, na wypadek, gdyby Tachion podsłuchiwał jej myśli. Nie zrobiłby tego jednak. Nie pozwalał na to takizjański honor. Ten cholerny, jakże przydatny takizjański honor.

Powiedział jej to prosto i bezpośrednio, tak samo jak przeleciał ją w piątek. Nawet mniej delikatnie. *Nie możesz zdemaskować Hartmanna. To zapewniłoby zwycięstwo Barnettowi. Ilu niewinnych dzokerów jesteś gotowa poświęcić dla swojej zemsty?*

Ani jednego — odpowiedziała.

Kilku dzokerów przyglądało jej się ze zrodzoną z szoku obojętnością. Żaden z nich jej nie poznał. Miała dziś na twarzy maskę lamparta. Znalazła ją na ziemi w Peachtree. Demonstranci nie zniszczyli jej zbyt i nadawała się jeszcze do użytku.

Coś skrzypnęło pod jej stopą. Kopała przedmiot, aż wreszcie z błota wyłonił się znak, napisany ręcznie przed wczorajszą demonstracją w namiocie, w którym znajdował się sztab DSS. Kiedy przeczytała tekst, omal się nie uśmiechnęła.

„Judasz Jack 1950

Sprzedawczyk Tach 1988

Obaj są tacy sami”

Po śmierci Mackiego Sara mogła bezpiecznie wrócić do pokoju. Dziś włożyła na siebie niebieskie džinsy i luźną, jasnoniebieską bluzkę. Pozwoliła, by reeboki zaniósł ją za wóz transmisyjny CBS, gdzie młody, czarnoskóry niezależny dziennikarz mówił z poważną miną do fallusa z żółtej plastikowej pianki.

— Piedmont Park nadal jest niemal całkowicie opustoszały po całonocnych zamieszkach, podczas których aresztowano trzystu dzokerów. Kilkudziesięciu kolejnych krąży, jakby w oszołomieniu, po ruinach stratowanego miasta namiotów. Burmistrz Atlanty, Andrew Young, wczesnym rankiem odwołał na prośbę gubernatora stanu Massachusetts Michaela Dukakisa polecenie aresztowania wszystkich dzokerów przebywających na ulicach. Nadal trwa debata na temat decyzji gubernatora Harrisa, który odmówił wprowadzenia stanu wyjątkowego...

Byli nieliczni, ale w pewnym sensie byli jej ludem. Chodziła między nimi po

raz ostatni. Żaden z nich już nigdy jej nie zaufa, a ona przysięgła na własną duszę, że nie zdradzi tajemnicy, która mogłaby ją zrehabilitować w ich oczach. Dla ich dobra pozwoli, by ją znienawidzili.

I dla mojego też. W przeciwnym razie nigdy już nie mogłabym przejść obok lustra z otwartymi oczami.

Tony Brokaw mówił do niej z przenośnego telewizora stojącego na odwróconej do góry dnem skrzynce na lód. Apatyczny czarnoskóry dzoker ignorował go całkowicie. Jego twarz i nieosłonięte przez kombinezon części ciała pokrywały lśniące niebieskie czyraki mnogie.

— ...niepewny rozejm między mieszanymi oddziałami policji i asów oraz kilkuset demonstrantami pod Kliniką imienia Blythe van Renssaeler...

Kamera przesunęła się na tablicę podtrzymywaną ze wszystkich stron przez sześć zakończonych zielonymi mackami palców. „Walet Kier Biję Wszystkie Dżokery w Talii”. Potem na ekranie pojawił się dzoker, z oczywistych powodów zwany Czyrakiem. W tle było widać obłożoną klinikę w Dżokerowie.

— Asowie pomagają tu psom uciskać dzokerów — mówił do kamery, wskazując na kordon powstrzymujący protestujących. — As wykończył Poczwarkę, a dzoker ucierpi z tego powodu. Albo my, albo oni!

Tachion, Tachion, czy wiedziałeś, co poświęcasz? Sara wiedziała. Z tego powodu była gotowa zniszczyć swą karierę i reputację na jego żądanie.

Był też drugi powód. Wywarła już zemstę i nic innego nie miało znaczenia.

Lalkarz, jak Hartmann zwał swą moc, nie żył. Zgodnie z zapewnieniami Tachiona Zgon go zabił, wyssał przez oczy Hartmanna, zanim Mackie Majcher uciął mu głowę.

Ale zło nie zginęło, o nie. Bez względu na to, jak bardzo Gregg płakał i zapewniał o swojej niewinności. Lalkarz był krystalizacją pożądań Hartmanna, a te pożądanja żyły nadal.

Gregg nie miał już jednak możliwości pociągania za sznurki i zmuszania lalek do tańczenia zgodnie z jego pragnieniami. Tego pozbawił go Zgon.

A Hartmann nigdy nie będzie miał odwagi, by wyruszyć w noc z nożem w ręce.

Bez swej mocy był uwięziony w piekle. Sara nie pragnęła już jego śmierci. Życzyła mu, by żył tak długo, jak to tylko możliwe.

Usiadła na przewróconym pojemniku na śmieci. *Andi, to jest zemsta, prawda?* — pomyślała. *Nie chciałabyś, żebym zniszczyła życie wszystkich dzikich kart w Ameryce tylko po to, żeby kupić ci trochę lepszą?*

Mała, rozpieszczona suka zapewne by tego chciała. Ale Andrea Whitman również już nie żyła.

Sara potrząsnęła niemalże białymi włosami i odgarnęła je z twarzy obiema rękami. Od strony parku dał wietrzyk, niosący ze sobą lekki chłód. Uniosła głowę

i spojrzała na pobojuwisko.

Czarny policjant dosiadający wielkiego, gniadego wałacha jechał skrajem parku. Pies polujący na kolejne ofiary? Wystraszony człowiek próbujący wykonywać swoją robotę? Trudno to było odgadnąć, a Sara czuła się pozbawiona intuicji.

Ofiary.

Wszystkie sznurki Lalkarza przecięto. Ale pozostała jeszcze jedna ofiara Gregga Hartmanna.

Sara wstała i opuściła park. Wypełniająca ją poczucie celu wydawało się czymś zupełnie obcym dla kogoś, kto utracił wszelkie cele. Maskę wyrzuciła do pojemnika z napisem „Dbaj o piękno Atlanty”.



Tachion zamknął za sobą drzwi apartamentu Gregga. Hartmann uniósł wzrok znad walizki firmy Samsonite, którą właśnie pakował.

— Dziwię się, że przyszedłeś tak szybko, doktorze — odezwał się. — Amy mogła do ciebie zadzwonić najwyżej kilka minut temu.

— Pewnie uważałem, że jestem ci to winien.

Kosmita trzymał się sztywno, wysuwając podbródek do przodu. Wystrojony był w koronkowy kołnierz i jaskrawoniebieską koszulę w łezki. Pomimo tej ekstrawagancji, łatwo można było zauważyć, że jest doszczętnie wyczerpany. Skórę miał zanadto bladą, a oczy podkrążone i zapadnięte. Gregg zauważył też, że Takizjanin trzyma kikut prawej ręki za plecami.

— Nie czuję się winny z powodu tego, co ci uczyniłem. Z chęcią zrobiłbym to jeszcze raz.

Gregg skinął głową, zamknął walizkę, zapiął paski i przekręcił klucz w zamczkach.

— Za kilka godzin odbieram Ellen ze szpitala — oznajmił od niechcienia. Postawił walizkę na podłodze i wskazał bez słowa na krzesło.

Tachion usiadł na nim. Jego liliowe oczy były pozbawione wszelkiego wyrazu.

— Zatem odegrajmy ostatnią scenę tego małego dramatu. Tylko szybko. Muszę jeszcze odwiedzić kilka innych osób.

Gregg spróbował sparaliżować go wzrokiem, ale trudno mu było znieść spojrzenie niemrugających, liliowych oczu kosmity.

— Wiesz, że nie możesz nic powiedzieć — odezwał się wreszcie. — Nadal nie możesz.

Tachion się skrzywił, a jego oczy pociemniały, jakby w niewypowiedzianej groźbie.

— Nie zrobisz tego — skwitował cicho Gregg. — Gdybyś powiedział prasie

wszystko, co o mnie wiesz, udowodniłbyś, że Barnett od początku miał rację. Rzeczywiście istniał ukryty as, trzymający w rękach sznurki rządu. Wirusa dzikiej karty trzeba się bać. Natole muszą coś zrobić, żeby się bronić przed nami. Jeśli się wygadasz, doktorze, wszystkie stare prawa zaczną się kojarzyć z wolnością. Obserwowałem cię przez dwadzieścia lat, doktorze. Wiem, jak myślisz i reagujesz. Nic nie powiesz. To by przekreśliło cel, dla którego zrobiłeś to wczoraj.

— Tak, pod tym względem masz rację. — Tach westchnął i przycisnął kikut do piersi, jakby czuł w nim ból. — To, co zrobiłem, pogwałciło wszystkie moje zasady. Zarówno te stare, jak i niektóre z nowych. To nie było coś, co robi się łatwo albo pod wpływem kaprysu. Jesteś mordercą i powinieneś ponieść karę. — Potrząsnął głową ze znużeniem i frustracją. — A statki powinny być gwiazdami, ale nimi nie są i nic ich na nie nie przerobi.

— Co to ma być, do licha? Takizjańska wersja żalu nad rozlanym mlekiem? — Gregg przeszedł na drugi koniec pokoju i odwrócił się błyskawicznie, by spojrzeć na kosmitę. — Posłuchaj, powinieneś się dowiedzieć jednego. Ja nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. To był Lalkarz — oznajmił Hartmann. — Moc dzikiej karty. Wszystko to była robota dzikiej karty, nie moja. Nie masz pojęcia, jak to było nosić go w sobie. Musiałem go karmić, bo inaczej zniszczyłby mnie. Oddałbym wszystko, by się od niego uwolnić. I w końcu tak się stało. Mogę zacząć od nowa. Od początku...

— Co? — przerwał mu ryk Tachiona.

— To prawda. Lalkarz nie żyje. Zgon zabił go wczoraj na mównicy. Wejrzyj we mnie, doktorze, i powiedz mi, co widzisz. Nie musiałeś mnie niszczyć. Zło już odeszło. W chwili, gdy zapanowałeś nad moim umysłem, byłem już wolny. — Gregg przyjrzał się własnym dłoniom. Wezbrał w nim głęboki smutek. Kiedy spojrzął na Tachiona, jego oczy lśniły wilgocią. — Byłbym dobrym prezydentem, doktorze. Być może nawet wielkim.

Takizjanin skierował na niego spojrzenie twarde jak stal.

— Gregg, nie ma żadnego Lalkarza. Nigdy nie było. Był tylko Gregg Hartmann i jego słabości, człowiek, któremu zarażenie takizjańskim wirusem dało moc pozwalającą mu karmić najmroczniejsze zakamarki własnej duszy. Twój problem nie polega na tym, że jesteś dziką kartą. Polega na tym, że jesteś sadystą. Te twoje żalosne usprawiedliwienia to niemal klasyczny przykład przeniesienia winy. Stworzyłeś sobie drugą osobowość, by móc udawać, że pomimo tego wszystkiego Gregg nadal jest porządnym i uczciwym człowiekiem. To dziecinna sztuczka. Oszustwo godne dziecka. Jesteś zbyt inteligentny, by w to wierzyć.

Ostre słowa Takizjanina zabrzmiały jak policzek. Gregg zaczerwienił się, wściekły, że Tachion nie chce go zrozumieć. To było takie oczywiste. Wydawało się niemożliwe, że kosmita nie zauważył różnicy.

— Ale on nie żyje — zawołał zdesperowany Gregg. — Dowiodę ci tego.

Zrób to — nalegał. — Proszę cię, żebyś to zrobił. Zajrzyj do wnętrza mojej jaźni i powiedz mi, co widzisz.

Tachion westchnął. Zamknął oczy, a potem je otworzył. Odwrócił się od Gregga i przez długą chwilę spacerował po pokoiku. Potem zatrzymał się przy oknach. Gdy wreszcie spojrzął na Hartmanna, w jego oczach lśniło dziwne współczucie.

— A nie mówiłem? — Gregg był bliski śmiechu z ulgi. — Lalkarz umarł wczoraj wieczorem. I cieszę się z tego. Cholernie się z tego cieszę. — Poczuł, że jego śmiech zaczyna się przeradzać w histerię i zaczerpnął głęboki oddech. Zerknął na Tachiona, który spoglądał na niego surowo. Przyśpieszył, by jak najszybciej powiedzieć resztę. — Mój Boże, słowa są tak kurewsko niewystarczające i głupie. Niemniej to prawda. Przepraszam. Przepraszam za wszystko i zrobię, co tylko będę mógł, by za to zadośćuczynić. Doktorze, zmuszano mnie do popełniania czynów, których nienawidziłem. Straciłem syna, ponieważ Gimli wykorzystał Lalkarza przeciwko mnie i...

— Nie słuchasz mnie. Nigdy nie było żadnego Lalkarza, a Gimli umarł ponad rok temu. Gimlego również nie było.

Minęło kilka dobrych sekund, nim znaczenie tych słów dotarło do Gregga.

— Co? — wyjąkał. Potem przyszło zaprzeczenie, gwałtowne, gniewne i pełne desperacji. — Nie masz pojęcia, o czym mówisz, doktorze. Ciało Gimlego umarło, ale jego umysł przetrwał. W jakiś sposób dotarł do mojego syna. Był w mojej głowie, omal nie doprowadził do tego, że straciłem kontrolę nad Lalkarzem. Tak właśnie to wszystko się zaczęło. Groził mi, mówił, że sprawi, że Lalkarz zniszczy mnie i moją karierę.

— Gimli umarł przed rokiem — powtórzył bezlitośnie Tachion. — Całkowicie. Sam stworzyłeś jego ducha, w taki sam sposób jak Lalkarza.

— Kłamiesz! — wykrzyknął Gregg. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie gniewu.

Takizjanin popatrzył na niego zimno.

— Byłem w twojej głowie, senatorze. Nie ukryjesz przede mną niczego. Masz rozszczepioną osobowość. Chcąc uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny, stworzyłeś Lalkarza, a gdy pojawiło się niebezpieczeństwo, że wyrwie się spod kontroli, wymyśliłeś kolejne usprawiedliwienie, Gimlego.

— Nie! — zawołał Gregg.

— Tak — nie ustępował Tachion. — Powiem ci to znowu. Nigdy nie było Gimlego ani Lalkarza. Był tylko Gregg. Wszystko, co zrobiłeś, zrobiłeś sam.

Hartmann potrząsnął szaleńczo głową. W jego oczach widniały błaganie, ból i bezradność.

— Nie — sprzeciwił się cicho. — Gimli istniał. — Wtem jego oczy otworzyły się szeroko. Pojawił się w nich błysk strachu. — Nie... nie zabiłbym

własnego dziecka, doktorze.

— Zrobiłeś to — stwierdził Tachion i zobaczył w oczach Gregga głębokie rany. Każde jego słowo wnikało głęboko w duszę senatora, nawet jeśli ten nie chciał tego przyznać.

Hartmann zaczął już świadomie narzucać sobie coś w rodzaju spokoju i panowania nad sobą. Przygładził włosy ręką.

— Doktorze, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz...

— Poszukaj pomocy...

Skupiony na swych słowach, Gregg ledwie go usłyszał.

— Hę?

— Znajdź pomoc, Gregg. Znajdź terapeutę. Ja ci go znajdę. — Tachion uświadomił sobie nagle, że to niemożliwe. Terapeucie zbyt dużo trzeba by powiedzieć i wszystko wyszłoby na jaw. W taki czy inny sposób. Skrzywił się w grymasie frustracji. Nie podobało mu się jedyne rozwiązanie, jakie mu się nasunęło. — Spędzimy razem bardzo wiele czasu, Gregg.

— Nie rozumiem.

— Od tej chwili jestem twoim lekarzem. Pozostajesz pod moją opieką.

Gregg parsknął śmiechem i odwrócił się do Tachiona plecami.

— Nie — sprzeciwił się. — Też coś. Nie potrzebuję cholernego psychoanalityka, ponieważ Lalkarz nie żyje. Nawet nie jesteś człowiekiem, doktorze. Nie sądzę, byś miał kwalifikacje psychologa.

— Możesz to uznać za kompromis. To zagwarantuje ci moje milczenie.

— Powtarzam ci, że moc zniknęła, a to ona była wszystkim winna.

— Znowu wracamy do punktu wyjścia. Przyznaj, że moje słowa są prawdą, Gregg. Nie chcesz nawet na mnie spojrzeć. Dostrzegam w tobie poczucie winy. Możesz wszystkim zaprzeczać, nawet przed samym sobą, ale znasz prawdę. Pora stawić czoło rzeczywistości.

Zapadła długa cisza.

— W porządku, doktorze — zgodził się wreszcie Gregg. — Zgodzę się na kompromis. Politycy są do nich przyzwyczajeni. Ty zachowasz milczenie, a ja dam ci zarobić. Po obcięciu funduszy pewnie będziesz potrzebował płacących klientów.

Tachion nie zaszczycił tej zniewagi komentarzem.

— Skontaktuję się z tobą zaraz po powrocie do Nowego Jorku.

— Świetnie.

Hartmann westchnął. Spróbował zaprezentować Tachionowi swój profesjonalny uśmiech, lecz bez powodzenia. Podszedł do łóżka i zdjął z niego walizkę.

— No cóż, to by było wszystko. Pojadę po Ellen. Z pewnością czuje się zraniona i zbita z tropu tym wszystkim. — Znowu ten jakby zażenowany uśmieszek. — Powiem jej, że mi przykro. No to na razie do widzenia. Pewnie

wkrótce się spotkamy...

Hartmann wyciągnął rękę do Tachiona.

Takizjanin popatrzył z gorzkim niedowierzaniem na wyciągniętą dłoń. Zastanawiał się, czy to nie miał być jakiś ostatni okrutny żart. „Hej, wszystko jest wybaczone. Uściśnijmy sobie ręce i znowu zostanemy przyjaciółmi”.

Ale ja nie mogę ci podać ręki, ty skurwysynu. Zadbaleś o to. Hartmann uświadomił sobie nagle, co zrobił, i cofnął rękę. Podszedł bez słowa do drzwi i otworzył je. Wyszli razem z pokoju.

— Pójdiesz ze mną do windy? — zapytał Hartmann.

— Nie.

— W takim razie zadzwonię, żeby umówić się na spotkanie.

Tachion śledził wzrokiem oddalającego się senatora — rozlazłego mężczyznę z nadwagą o bladych, przypominających skrzydła zatokach na czole w miejscach, gdzie włosy się cofnęły. Gregg zawsze wydawał mu się przystojny i dynamiczny, ale teraz Tach uświadomił sobie, że to również był efekt jego mocy.

Czy postąpiłem słusznie, mówiąc mu prawdę? Być może lepiej byłoby pozwolić mu wierzyć, że opętali go Lalkarz i Gimli.

NIE! Uszedł karze. Nie pozwolę, by uniknął również poczucia winy.

Tak czy inaczej, Lalkarz umarł. Teraz Tachion musiał dopilnować, żeby nie ożył. A to znaczyło, że będzie zmuszony trzymać się blisko Gregga Hartmanna. Robiło mu się niedobrze na tę myśl.

Kosmita podszedł do schodów i usiadł na betonowym stopniu, wspierając głowę o zimną, metalową poręcz. Rękę znowu wypełnił mu pulsujący ból, sięgający pazurami aż po bark. *Niewykluczone, że w tym właśnie miejscu umarł Jack — pomyślał ze znużeniem. A nieco niżej Gregg zabił własne dziecko. Ja też już nie żyję. Ale nikt jeszcze tego nie zauważył, bo nadal chodzę po świecie.*

Osiem dni w lipcu. Osiem dni, podczas których stracił tak wiele: swoją najstarszą przyjaźń na Ziemi; wiarę w Gregga Hartmanna i szacunek dla niego; miłość i uznanie dzokerów.

Rękę.

Niewinność.

Ale Jack nie umarł. Tachion też nie.

Przestań się użalać na sobą, Tis. Zajmij się własnym życiem.

Ale muszę zadawać się z Hartmannem! — zawył jego umysł.

A to pech. Może jak już umrze, będziesz mógł opublikować pracę o nim w „Journal of American Medical Association”.

Tachion zaczął się wspinać na schody.

11:00

— Nie potrzebuję tego!

— Przestań być takim arystokratycznym dupkiem, Takizjańska Ekscelencjo. Jack rozłożył wózek i postawił go przy łóżku Tachiona.

— Przez cały ranek radziłem sobie bez ciebie i twojego cholernego wózka.

— Aha, i tylko na siebie spójrz. Wyglądasz jak coś, co zwymiotował kot.

— Powinieneś szukać Blaise'a — obruszył się Tachion. Wspierał się o poduszki, twarz miał bardzo białą i wyraźnie cierpiał.

— Policja już się tym zajęła — odparł z westchnieniem Jack. — Zaalarmowano też FBI. Nawet ten bęcwał Prosta Strzała zabrał się do roboty. Co takiego mogą zrobić, czego oni nie potrafią?

Twarz Tachiona miała udręczony wyraz. Zacisnął ocalałą dłoń na kołdrze.

— Muszę odnaleźć wnuka. On jest wszystkim, co mi zostało.

Jack usiadł na krześle i sięgnął po papierosa.

— Policja mówi, że w sobotę wieczorem, po twojej operacji, widziano go w szpitalu w towarzystwie Jaya Ackroyda, tego, którego nazywają Rzutnikiem. Oglądali telewizję w pokoju dla oczekujących. Jedna z pielęgniarek pamięta, że coś w programie przyciągnęło ich uwagę. Rzutnik odwrócił się nagle do Blaise'a i zapytał: „Chcesz się pobawić w detektywa?” albo coś w tym rodzaju.

— Ideale. — Tachion przygryzł wargę. — Jeśli Rzutnik wciągnął mojego wnuka w jakąś swoją intrygę...

— Gliniarze starają się ustalić, na jaki kanał był nastawiony telewizor. — Jack potrząsnął głową. — W tym również im nie pomogę. — W sobotę wieczorem imprezowałem. — Dopadło go przygnębienie. — Myślałem, że odpowiedni kandydat zdobył nominację.

— Próbowałem dodzwonić się do Hirama — poinformował go Tachion. — Myślałem, że może widział Blaise'a, ale on również zniknął.

— Wyjechał wczoraj rano.

— Nieprawda. Pytałem o to. Nie wyrejestrował się z hotelu.

— Widziałem go w holu. Taszczył walizkę.

Tachion zmarszczył brwi.

— Jay i Hiram są bardzo bliskimi przyjaciółmi. Gdyby Ackroyd miał kłopoty, z pewnością zwróciłby się do Worchestera.

Takizjanin umilkł, pogrążając się w zamyśleniu.

— Ponieważ wszyscy zniknęli, raczej nam nie pomogą. A ty potrzebujesz odpoczynku.

Tachion znowu oparł się o poduszki.

— Masz rację. — Zamknął oczy. — Być może powinienem spróbować odnaleźć mentalną sygnaturę Blaise'a. Czy mógłbyś zgasić światła? To ułatwi mi koncentrację. Jestem zmęczony — dodał prawie niesłyszalnym głosem. — Tak bardzo zmęczony.

— Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli łyknę sobie burbona?

— Bynajmniej.

Jack zgasił światła, pozostawiając tylko odrobinę słonecznego blasku przesączającego się do środka pod zasłonami. Następnie ruszył z papierosem w kierunku butelek stojących na stole Tachiona. Wrzucił do szklanki trochę lodu, a potem sięgnął w niemal całkowitej ciemności po jedną z butelek. Okazało się, że zawiera prochy Jamesa Spectora. Odstawił urnę i sięgnął po kolejną butelkę. Płyn chyba miał odpowiedni kolor. Nalał sobie.

Szkocka. Niech to szlag.

Najwyraźniej miał pechowy dzień.



Wszystko to wydawało mu się bardzo dziwne.

Gregg nie znał agentów Secret Service, którzy towarzyszyli mu w wynajętej limuzynie po drodze do szpitala Ellen. Ich twarze były mu obce i nie odzywali się do niego ani słowem. Byli obcy, kryli się za ciemnymi okularami i zasepionymi minami, i pod ciemnymi garniturami.

Zawsze pozostaną dla niego obcy. Ich umysły były zamknięte. Gregg nie miał już klucza, którym mógłby je otworzyć. Czuł się z tym wszystkim bardzo osobliwie. Jego głowę wypełniało milczenie, nie był w stanie wyczuć falowania otaczających go uczuć, nie potrafił pływać w jaskrawym, słonym oceanie emocji, nie mógł zrobić nic, by zmienić jego szybkie prądy.

Tak z pewnością czuł się ktoś, kto nagle stał się ślepy, głuchy albo niemy. *Lalkarzu?* — zawołał raz jeszcze w myślach i ponownie odpowiedziało mu tylko echo własnych myśli.

Umarł. Odszedł. Gregg westchnął, czując się zagubiony, smutny i pełen nadziei zarazem. Przyjrzał się otaczającym go ludziom. Dotykali go, ale byli od niego izolowani. Odrębni.

Nie był pewien, czy kiedykolwiek się do tego przyzwyczai.

Chciał tylko uciec z rozżarzonego pieca, jakim była Atlanta, i wrócić do domu, by zostać sam i mieć czas na zastanowienie. Przekonać się, czy będzie mógł uleczyć niektóre z zadanych przez siebie ran i zacząć od nowa.

To nie była moja wina. Naprawdę nie moja. To był Lalkarz, a on nie żyje. To powinno być wystarczającą karą.

Właściwie nie wiedział, co powie Ellen. Ona przynajmniej próbowała go wczoraj pocieszać. Zapewniała, że nic takiego się nie stało, że to nie ma znaczenia, że wszystko zostanie po staremu. Wiedział jednak, że za tymi słowami kryje się pragnienie poznania przyczyn, a nie miał pojęcia, jak jej to wyjaśnić. Jakaś część jego jaźni pragnęła po prostu wyznać straszliwą, koszmarną prawdę i błagać o wybaczenie. Nie był obojętny Ellen. Wiedział o tym od Lalkarza i dostrzegał jej miłość nawet bez uciekania się do mocy.

Tak jest, powie jej przynajmniej część prawdy. Przyzna, że był asem i nadużywał swych zdolności dla zdobycia władzy, i manipulował ludźmi. Tak jest, nawet nią.

Ale nie wszystko. Niektórych rzeczy nie mógłby wyznać. Nie wspomni o śmierci, bólu i przemocy. Ani o tym, co zrobił ich dziecku.

Zwłaszcza o tym, bo wtedy nie byłoby już dla niego nadziei. Ellen była jedynym, co Gregg mógł uratować z katastrofy.

Potrzebował jej. Nagły niepokój w żołądku i zimny strach wypełniający jego trzewia mówiły mu, jak rozpaczliwa jest ta potrzeba.

— Senatorze? Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przy bocznym wejściu do szpitala. Agenci Secret Service, którzy jechali z nim z tyłu, otworzyli drzwi samochodu. Upał i blask słońca uderzyły wysiadającego Gregga z siłą pięści. Zamrugał za przeciwsłonecznymi okularami. Zajrzał do chłodnego, pachnącego wyprawioną skórą wnętrza.

— Wrócimy za kilka minut — oznajmił kierowcy. — Musimy tylko zabrać Ellen i jej rzeczy.

— Senatorze — odezwał się jeden ze stojących na zewnątrz ochroniarzy. — Czy to nie ona?

Gregg wyprostował się i zauważył, że Ellen wywożą ze szpitala na wózku. Otaczała ją grupka reporterów, przydzieleni do niej ludzie z Secret Service osłaniaли ją przed naporem kamer. Hartmann zmarszczył brwi ze zdziwienia.

Żar bijący od asfaltu zmienił się nagle w chłód. Za plecami Ellen ujrzał Sarę. Stała wewnątrz, przyciskając twarz do szklanych drzwi.

— Nie — wyszeptał Gregg. Niemalże podbiegł do Ellen. Ochroniarze utorowali mu drogę przez tłum reporterów. Zobaczył jej torbę, stojącą obok wózka.

Kobieta wstała, gdy się zbliżał. Gregg uśmiechnął się do kamer, starając się ignorować widmo stojącej parę metrów od niego Sary.

— Kochanie — odezwał się do żony. — Czy Amy dzwoniła...

Ellen spojrzała mu prosto w oczy i jego głos ucichł. Przyglądała mu się długo i uważnie. Wreszcie odwróciła wzrok. Zaciśnęła usta w wąską, prostą linię. Jej oczy miały surowy, poważny wyraz. Kryła się w nich gorycz i pogarda.

— Nie wiem, czy wszystko, co powiedziała Sara, jest prawdą — wychrypiała Ellen. — Nie mogę mieć pewności, ale widzę coś w tobie, Gregg. Szkoda, że nie dostrzegłam tego przed laty. — Rozplakała się, nie zauważając otaczających ich reporterów albo nie przejmując się ich obecnością. — Niech cię szlag, Gregg. Niech cię piekło pochłonie za to, co zrobiłeś.

Jej ręka uderzyła niespodziewanie. Policzek był tak silny, że głowa Gregga odskoczyła do tyłu. Oczy zaszyły mu łzami z bólu. Oszołomiony mężczyzna dotknął szkarłatnej plamy, która zrobiła mu się na policzku.

Słyszał kamery i głosy podekscytowanych reporterów.

— Ellen, proszę... — zaczął, ale ona go nie słuchała.

— Potrzebuję czasu, Gregg. Muszę pobyć z dala od ciebie.

Wzięła torbę i ominęła go, zmierzając do czekającego samochodu. Gdy Hartmann cofnął rękę od palącej go twarzy, stojąca za szybą Sara spojrzała mu prosto w oczy.

Ty skurwysynu — wypowiedziała bezgłośnie i odwróciła się.

— Ellen! — Gregg odwrócił się nagle. Obraz oskarżającej go Sary nadal mu towarzyszył. — Ellen!

Nie odwróciła się. Kierowca włożył jej torbę do bagażnika. Ochroniarze otworzyli przed nią drzwi.

Gdyby Gregg miał Lalkarza, mógłby ją powstrzymać. Mógłby spowodować, że padłaby mu w ramiona w geście radosnego pojednania.

Gdyby miał Lalkarza, mógłby napisać szczęśliwe zakończenie tej historii.

Ellen wsiadła do samochodu i osunęła się ciężko na siedzenie. Pojazd odjechał.

12:00

Szef sali na próżno czekał na swoje sto dolarów. Hotel opustoszał i w Bello Mondo nie było już tłoku.

Jack przyprowadził ze sobą Tachiona, ale nie był w stanie zmusić go do jedzenia. Połowa filetu z soli leżała porzucona na talerzu. Braun skończył swój nowojorski kotlet.

— Jedz, jedz, chłopcze, jak mówiła mi mama po niemiecku.

— Nie jestem głodny.

— Potrzebujesz siły.

Tach łypnął na niego ze złością.

— Który z nas dwóch jest lekarzem? — zapytał.

— A który z nas jest pacjentem?

Odpowiedzią była głucha cisza. Złoty Chłopiec przełknął łyk trunku. Nareszcie burbon. W fioletowych oczach Takizjanina pojawiła się nuta smutku.

— Wybacz, Jack. Niepokój pozbawił mnie dobrych manier.

— Nie ma sprawy.

— Muszę ci podziękować. Za obiad i za to, że próbowałeś znaleźć Blaise'a.

— Gdyby tylko mi się udało. — As westchnął, wspierając łokcie na stole. — Chciałbym, żeby z całej tej sprawy wynikło coś dobrego.

— Może coś takiego się znajdzie.

— Z pewnością prezydentura George'a Busha. — Jack wlepił wzrok w swój talerz. — Nigdy już nie będę się mieszał do polityki. Za każdym razem, gdy próbuję zmienić świat, wszystko idzie w diabły.

Tachion potrząsnął głową.

— Nie potrafię cię pocieszyć.

— Wszystko spieprzyłem. Nawet umrzeć nie dałem rady. A jedyną rzecz, która mi wyszła, zrobiłem dla niewłaściwego człowieka. — Pociągnął kolejny łyk. — Chyba nigdy w życiu nie czułem się bardziej zbity z tropu. Niech to diabli. — Kolejny łyk. — Przynajmniej jestem bogaty. Na tym świecie zawsze można liczyć na forszę.

Oparł się wygodnie na krześle.

— Może napiszę wspomnienia. Jeśli opiszę to wszystko, może domyślę się, czy to cokolwiek znaczy.

Wspomnienia — pomyślał. Boże, czy rzeczywiście był już taki stary? W dzień śmierci Śmiga miał dwadzieścia dwa lata, a wyglądał jeszcze młodziej. Od tej pory nie postarzał się ani trochę.

Ale przynajmniej widział kilka rzeczy. Był gwiazdorem filmowym. Zmieniał świat, dopóki wszystko się nie zawaliło. W Korei uratował życie wielu ludziom, a to było już po tym, jak wszystko spierdolił po mistrzowsku. Nawet widział *Jolsona*.

Doszedł do wniosku, że to całkiem niezły początek wspomnień. „Kiedy zginął śmig, oglądałem *Jolsona*”.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich nie odzywał się ani słowem. Wreszcie Jack uświadomił sobie, że Tachion śpi. Zapłacił rachunek i wytoczył wózek z restauracji, kierując się ku windom. Po drodze zauważył człowieka, który podczas konwencji sprzedawał samolociki w galerii handlowej. Złożył już swój stolik, a towar zapakował do papierowych worków. Rozmawiał z jakimś znajomym. Jack zatrzymał wózek i kupił pełen zestaw. Kiedy wracał ze swoimi samolocikami, zauważył, że Takizjanin się obudził. Pokazał mu samolociki.

— To dla Blaise’a — oznajmił. — Jak już go znajdziemy.

— Dziękuję, Jack.

Pierwszy raz w całym tygodniu winda przyjechała natychmiast. Nacisnął numer piętra Tachiona i nagle dopadły go zawroty głowy. Oszklona winda wystartowała gwałtownie, omal nie zbijając go z nóg. Chcąc zapomnieć o wysokości, zaczął składać samolocik.

Styropianowy Earl Sanderson popatrzył na niego z powagą zza lotniczych okularów. Jack niejasno zadał sobie pytanie, czy po tych wszystkich latach ma mu jeszcze coś do powiedzenia.

Pomijając przeprosiny, rzecz jasna. Najlepiej zacząć od podstaw. Winda szarpnęła raptownie. żołądek Złotego Chłopca podskoczył razem z nią. Drzwi się otworzyła i wstrząśnięty Jack zauważył, że do środka wszedł David Harstein.

Tachion łypnął na niego z wyraźnie dostrzegalnym poczuciem winy. Braun podejrzewał, że jego twarz przybrała taki sam wyraz przesadnej, głupiej niewinności.

— Wiesz — stwierdził Takizjanin.

— Wiesz? — odpowiedział pytaniem Jack.

— Hej, wszyscy wiemy — uspokoił ich David z serdecznością w głosie.

Szklana skrzynka szarpnęła gwałtownie i pomknęła ku niebu. Jack ponownie poczuł ucisk w żołądku. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć.

Winda znowu się zatrzymała. Drzwi się otworzyły i na pokład weszła Fleur van Renssaeler. Obejrzała się przez ramię i pomachała do kogoś ręką. Drzwi się zamknęły i kobieta zwróciła się ku nim.

Wszyscy wstrzymali oddech na długą chwilę. Winda jechała w górę. Nagle Tachion wyciągnął rękę i nacisnął guzik stop obandażowanym kikutem.

Kosmita zawył z bólu jak zwierzę. David natychmiast uklęknął przy jego wózku. Winda zatrzymała się chwiejnie.

— Psst, to w ogóle nie bolało.

Takizjanin zamrugał intensywnie, by usunąć wilgoć z oczu.

— David Harstein — oznajmiła Fleur pozbawionym wyrazu głosem.

Tach poczuł, że przeszył go zimny dreszcz.

— Właśnie przypomniałam sobie pana z lat dzieciństwa. — Uśmiechnęła się półgębkiem. — Człowiek, który stracił Chiny na rzecz czerwonych. I przez wszystkie te lata ukrywał się pan pod brodą.

Uśmiechnęła się raz jeszcze, zwracając się w stronę Jacka.

— Stary przyjaciel rodziny — stwierdziła z pogardą.

Potęźnie zbudowany as wyciągnął chusteczkę i otarł pot z czoła.

— Wtedy wydawało się nam, że to dobry pomysł — wyjaśnił nieprzekonująco Jack.

— „Mogę cię zapewnić, że skarb najdroższy od nieba dostałem, duszę pamiętną na dobrych przyjaciół”¹⁰ — rzekł David.

Tachion zerknął na niego.

— Tak, zebrały się tu wszystkie duchy.

Fleur skierowała na niego pozbawione wyrazu oczy.

— Nie jestem moją matką!

— Oczy ma pani po ojcu — zauważył delikatnym tonem David.

To było proste stwierdzenie faktu. Nie oskarżenie. Nie było w nim żadnych ukrytych znaczeń. Fleur zawahała się przez chwilę, zbita z tropu. Opuściła ją wojowniczość.

— Nie zna mnie pan — wyszeptała.

— Nie znam — przyznał David. — Niestety.

Przez chwilę sprawiała wrażenie, że pragnie go uściskać. Szczerze mówiąc, Tachion również miał na to ochotę. Cisza rozciągała się między nimi czworgiem na podobieństwo pajęczyny. Fleur spoglądała w ciemne, pełne współczucia oczy Davida. Łzy wezbrały w jej oczach i spłynęły powoli po policzkach. Ale po chwili

strach powrócił. Wcisnęła dłonie w twarz i odsunęła się.

— Nie, proszę mi tego nie robić.

Tachion westchnął.

— Musimy porozmawiać, Fleur.

— Będę krzyczała.

Jej głos stał się pajęczą nicią wyrażającą panikę.

— Proszę tego nie robić — spróbował ją uspokoić David. — Nie ma pani powodów do obaw.

Fleur uspokoiła się wyraźnie.

— Nieprawda — zdołała jednak powiedzieć. — Mam takie powody. Jestem tu sama z wami trzema.

— Czy jesteśmy aż tacy straszni? — zapytał Harstein. — Stary aktor, jednoręki mężczyzna i... — zerknął w stronę Brauna. — I fiut.

— Hej — zaczął się sprzeciwiać Jack, ale nagle potarł zuchwę, jakby po chwili refleksji przyznał, że Harstein miał rację.

Fleur złapała się dłońmi za łokcie.

— Nie rozumiecie. Naprawdę nie rozumiecie, prawda? — trzech mężczyzn popatrzyli na nią. — Dysponujecie mocami, które mogą nas ranić albo wypaczać, i dziwicie się, dlaczego się boimy.

Jack spojrział z lekkim zmieszaniem na samolocik trzymany przez Tachiona. Zaczął mówić — powoli, zastanawiając się nad każdym słowem.

— Myślę, że Earl powiedziałby, że nie możemy bać się innych ludzi dlatego, że inaczej wyglądają, ponieważ nigdy nie da się wytyczyć granicy. Czy boimy się ich z powodu dzikiej karty, odmiennych przekonań, czy niewłaściwego koloru skóry...

— Boję się ich, ponieważ mogą mnie skrzywdzić — upierała się Fleur.

— Bardzo wielu ludzi może panią skrzywdzić, a tylko nieliczni z nich mają dziką kartę — zauważył Jack.

— Łatwo tak mówić, jeśli jest się jednym z nich — odcięła się Fleur. — Wie pan, jak nas nazywają. Natole. To słowo ma oznaczać naturalne pochodzenie, ale jednocześnie wyraża pogardę. Sugeruje kogoś, kto stoi niżej. Mamy przestrzegać prawa i dobrze was traktować, ale was to nie dotyczy. Nie musicie być dobrzy dla natoli. Macie moc.

— Fleur — odezwał się David. — To pani ma tutaj władzę. Trzyma pani moje życie w swoich rękach.

Wahała się przez długi czas, spoglądając na niego. Sygnał alarmowy był jak sopel lodu wbijający się w mózg.

— Nie musi się pan obawiać — rzekła wreszcie. — Z mojej strony nic panu nie grozi.

David skinął głową, jakby wiedział o tym od samego początku.

— Ruszajmy w górę — rzekł cicho.

Tachion obrócił się niezgrabnie i nacisnął guzik. Winda ruszyła z drżeniem w dalszą drogę.

— Nie chciałbym wylewać kubła zimnej wody na to święto miłości — powiedział Harsteinowi Jack — ale czy pamiętasz Mao? Mao Tse-tunga, tego faceta z Chin? Prędzej czy później będziemy musieli wypuścić ją z tej windy, a wtedy ona natychmiast cię zakabluje.

— Ma do tego prawo.

Te słowa wyrwały Tachiona z zadumy, w jaką na chwilę zapadł.

— Nie — sprzeciwił się.

David skierował na niego swe ciemne oczy.

— Tak — odpowiedział łagodnie. — Wiem, jakie ryzyko podejmuję. Zapłaciłem już kiedyś taką cenę i jestem gotowy zapłacić ją ponownie.

Dotarli na jej piętro. Drzwi się otworzyły i kobieta wyszła na korytarz.

— Fleur — powiedział Jack Braun. — Niech się pani dobrze zastanowi, zanim zaczniesz wymieniać nazwiska. Ja tego nie zrobiłem i do dziś ponoszę konsekwencje.

Przyglądała im się przez długi czas. Tach zastanawiał się, o czym myślała. Mógłby z łatwością to sprawdzić, ale postanowił tego nie robić. Fleur odeszła bez słowa.

Drzwi windy się zamknęły. Tach wlepił spojrzenie w zmieniające się cyfry.

— Czemu pozwoliłeś jej odejść? — zapytał Jack. — To szaleństwo.

— Czasem trzeba zaryzykować i komuś zaufać — odparł Harstein.

— Jest córką swojego ojca! — sprzeciwił się Złoty Chłopiec.

Tach poruszył się na wózku i oddał Jackowi samolocik przedstawiający Earla Sandersona.

— I swojej matki też.

Winda mknęła ku niebu, niosąc swój ładunek duchów i tych, którzy przeżyli.

10 Fragment z *Króla Ryszarda II* Williama Szekspira w tłumaczeniu Leona Ulricha (przyp. tłum.).

Lista postaci

Gwiazdy

Stworzone i napisane przez:

Jack (Złoty Chłopiec) Braun

Walter Jon Williams

Senator Gregg Hartmann

Stephen Leigh

Mackie Majcher

Victor Milán

Sara Morgenstern

Victor Milán

James (Zgon) Spector

Walton Simons

Doktor Tachion

Melinda M. Snodgrass

Postacie pierwszoplanowe

Stworzone przez:

Jay (Rzutnik) Ackroyd

George R.R. Martin

Blaise Andrieux

Melinda M. Snodgrass

Wielebny Leo Barnett

Arthur Byron Cover

Billy (Carnifex) Ray

John J. Miller

Hiram Worchester

George R.R. Martin

Postacie drugoplanowe

Stworzone przez:

Joshua Davidson

George R.R. Martin

Tom (Gimli) Miller
Stephen Leigh
Georgij Władimirowicz
Michael Cassutt
Fleur van Renssaeler
Melinda M. Snodgrass

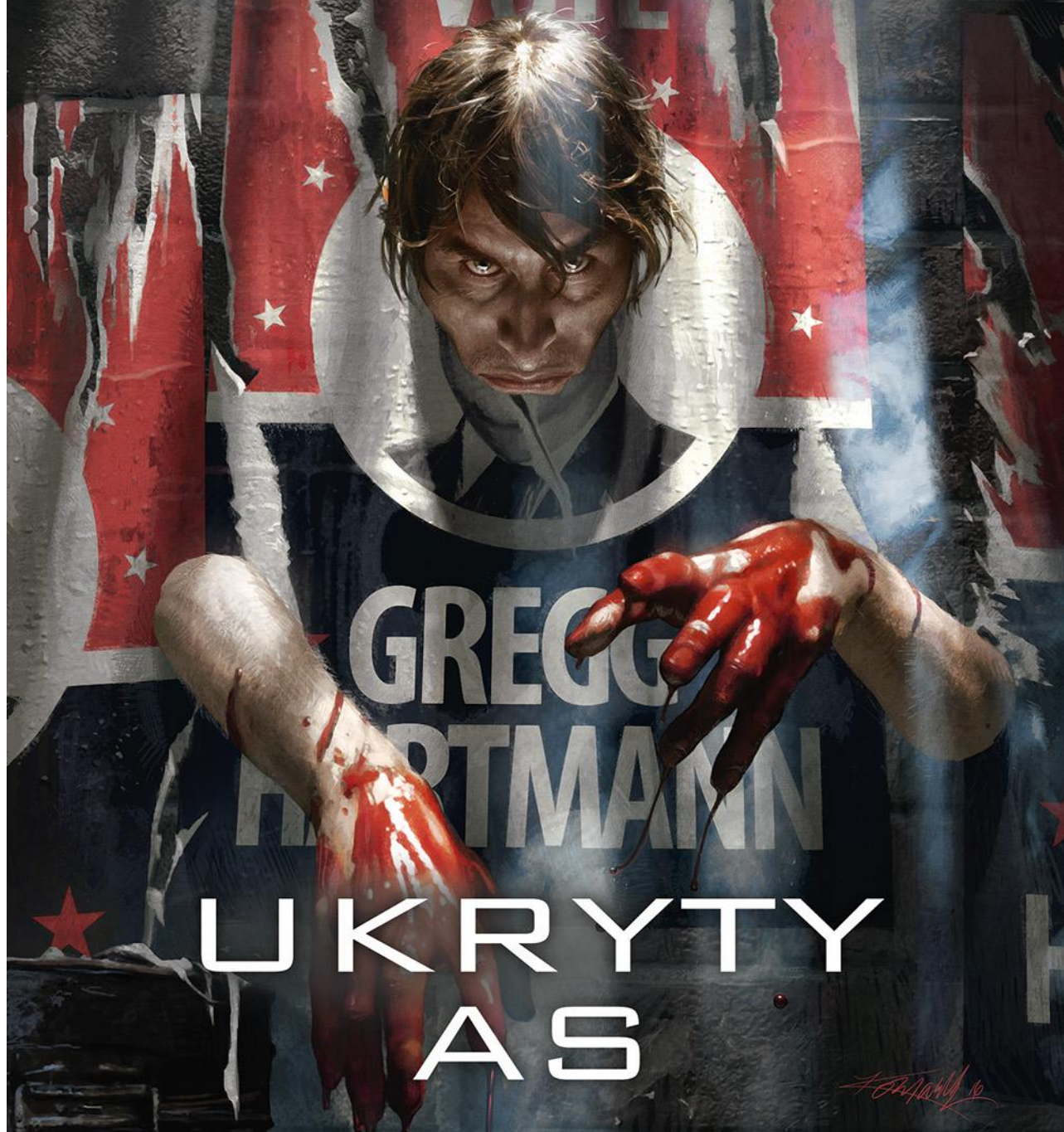
Postacie epizodyczne

Stworzone przez:

Nephi (Prosta Strzała)
Walter Jon Williams
Callendar
Odźwierny
Victor Milán
Amy Sorenson
Stephen Leigh
Charles Devaughn
Victor Milán
Tony Calderone
Walt Simons
Klucha
Victor Milán
Wielki i Potężny Żółw
George R.R. Martin

REDAKCJA I WYBÓR

GEORGE R.R. MARTIN



GREGG
MOUNTMANN
UKRYTY
AS

